

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

W DWUNASTU TOMACH

Z PORTRETEM AUTORA

ŻYCIORYS SHAKESPEARA I PRZEDMOWY DO
POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW OPRACOWAŁ
PROF. DR. ROMAN DYBOSKI. — STU-
DYUM »SHAKESPEARE W POLSCE« NAPISAŁ
DR. LUDWIK BERNACKI. — WYBORU
PRZEKŁADÓW DOKONAŁ STANISŁAW
==== KRZEMIŃSKI. ====



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ===== LUBLIN ===== ŁÓDŹ
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

WILLIAM SHAKESPEARE DZIEŁA DRAMATYCZNE

TOM X.

HAMLET
KRÓL LIR
OTELLO

W PRZEKŁADZIE J. PASZKOWSKIEGO.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ===== LUBLIN ===== ŁÓDŹ
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 57276



BGZs 57276



57276
820(091) + 929(41)] A/2 + 220-2

K-6/84/141

KRAKÓW — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



TLÓMACZENIE J. PASZKOWSKIEGO.

W pierwszych latach kariery londyńskiej Shakespeara wielką popularnością na scenie stołecznej cieszył się typ tragedyi z emsty. Rozwinął on się pod stylistycznym wpływem dziesięciu łacińskich tragedyi Seneki, przetłómaczonych w latach 1556—1581; w angielskim teatrze ludowym ukazuje się nam w formie dramatu pełnego szalonych namiętności i zakończonego krwawą, gromadną katastrofą. Zachowało nam się najgłośniejsze z dzieł tej kategorii — może główna podstawa jej popularności — »Tragedya w Hiszpanii« (*The Spanish Tragedy*), której autorem był Tomasz Kyd. Młody Shakespeare tworzył zrazu w zupełnej zależności od panujących wzorów literackich; w przeładowanej okropnościami tragedyi »Tytus Andronikus«, przedstawiając zemstę ojca za synów, naśladuje wyraźnie Kyda w ukształtowaniu tematu zarówno jak i technice i stylu. Ale i dojrzały Shakespeare, jak świadczą zgodnie prawie wszystkie jego doskonalsze dzieła, bez przymusu poddawał się przyjętym konwencyom literackim i największe swe tryumfy odnosił w dziedzinach modnych i powszechnie wokoło uprawianych. Otóż i w ostatnich latach XVI wieku, gdy sztuka Shakespeara sięgała zenitu, nadeszła w dramaturgii nowa, powrotna fala popularności owych tragedyi zemsty w rodzaju Kyda: sama jego »Tragedya hiszpańska« znowu kilkakrotnie się pojawia w repertoarze, i jeden z najbardziej poważanych poetów dramatycznych, Ben Jonson, odświeża ją i zdobi nowymi dodatkami. Kilka nowych dzieł, podobnych w osnowie i stylu, a niecałkiem pewnej daty, po części może już z kolei podlega wpływowi Shakespeara¹⁾; Shakespeare bowiem nie

¹⁾ Marston: »Antonio i Mellida«; Chettle: »Hoffmann, czyli zemsta za ojca«; Tourneur: »Tragedya bezbożnika«. Niewątpliwym już naśladowcą »Hamleta« jest wielki poeta Chapman w swej tragedyi z historyi

omieszkął zastosować się niebawem do wznowionej mody dramatycznej: jeszcze w roku 1599 wybrał z Plutarcha temat »Juliusza Cezara«, zgodny z panującym szablonem, gdyż zawiera i pojawienie się ducha i zemstę na zabójcach; te same zasadnicze rysy powtarza najbliższe niewątpliwie w porządku twórczości Shakespeara dzieło — »Hamlet«; świeże wspomnienie poprzedniej tragedii drga jeszcze w umyśle poety, gdy w scenie początkowej każe Hamletowi opowiadać obszernie o złowróżbnych zjawiskach, które poprzedziły śmierć »wielkiego Juliusza« w Rzymie (I, 1). Szlachetność charakteru i skłonność do filozoficznej zadumy łączy Brutusa i Hamleta węzłem bliskiego pokrewieństwa; w Hamlecie też jeszcze, tak samo jak w »Cezarze« i w poprzedzających je dramatach historycznych o Henryku IV i V, przeważnie panuje miódopłynna pełność wystowienia poetyckiego, równomierna melodia wiersza i spokojna harmonia między obrazowaniem a myślą, — co wszystko w późniejszych wielkich tragediach ustępuje miejsca skoncentrowanej potędze poszczególnych momentów i gorączkowej pogoni coraz nowych obrazów za obfitością idei, w stylu »Hamleta«, jak wykazał niemiecki krytyk Sarrazin, wzrastający pesymizm objawia się jedynie w przewadze przenośni i porównań z zakresu choroby, zgnilizny, śmierci, w życiu ludzkim, zwierzęcem, roślinnym — wzrastające nerwowe rozdrażnienie twórcy w znacznej liczbie drobnych sprzeczności i niejasności w akcyi i charakterystyce, nad których rozwikłaniem bezowocnie mozolą się pokolenia komentatorów.

Ten sam stały u Shakespeara oportunizm artystyczny, który mu kazał w doborze przedmiotów »Cezara« i »Hamleta« zastosować się do upodobań dnia, podyktował mu także najdogodniejszy sposób podania publiczności swego utworu w tej formie, jakiej żądała: Ben Jonson w roku 1601 dla użytku trupy, rywalizującej z shakespeareowską, odnawia przez swe uzupełnienia dzieło Kyda; Shakespeare dla swoich kolegów prawdopodobnie, jak to zresztą nieraz czynił, wskrzesił i przerobił starszy dramat o Hamlecie, pochodzący z tych samych lat, co »Tragedya hiszpańska«. Ze taki dramat istniał już w roku 1589, że autor jego czerpał »pełnemi garściami« z angielskiego tłumaczenia Seneki,

francuskiej »Bussy d'Ambois«, której drugą część (»Zemsta«) wypełniają rozmyślenia i skrupuły mściciela, podobne do refleksyi królewicza duńskiego.

i że występował w nim duch, wołający żałośnie, »jak przkupka z ostrzygami«: »Hamlecie, zemsty!« — wiemy z drwiących aluzyi we współczesnych broszurach¹⁾; — grała dramat o Hamlecie w roku 1594 według zapisków spekulanta teatralnego Henslowa jego trupa, wtedy przez jakiś czas występująca wspólnie z shakespeareowską. Domyślam co do autora tego pierwotnego »Hamleta« otwarte jest szerokie pole; zwolennicy nieprawdopodobnej teoryi, że nierówności w dziełach Shakespeara tłumaczą się przez pierwsze szkice i późniejsze przeróbki, mienili autorem samego Shakespeara, który ten wczesny utwór miał potem przejrzeć i uzupełnić; tak samo udowodnić się nie da mniemanie innych, że autorem dawniejszego »Hamleta« był Kyd; równie dobrze mógł nim być jakiś młodszy jego naśladowca.

W 1602 zgłoszono w cechu księgarzy londyńskich do publikacji »książkę pod nazwą *Zemsta Hamleta*, tak jak była niedawno graną przez trupę lorda Podkomorzego«, czyli przez Shakespeara i jego kolegów²⁾. Istotnie też w roku następnym wychodzi pierwszy tekst *in quarto* shakespeareowskiego »Hamleta«, w roku 1604 drugi, podający się na kartce tytułowej za autentyczny i »uzupełniony do podwójnej prawie objętości«. Istotnie te dwa wydania — oba zatytułowane *The Tragicall Historie of Hamlet, Prince of Denmarke, by William Shakespeare* — znacznie się między sobą różnią w tekście: pierwsze obejmuje 2143 wierszy, drugie 3719³⁾; pierwsze jest jedną z owych pokaleczonych i pogmatwanych wersyi, które dla przedsiębiorczych księgarzy spisywali najęci przez nich stenografowie w teatrze na przedstawieniu, a łatali może potem również najęci drugorzędni poeci. Drugie wydanie zawiera przyjęty dziś za autentyczny tekst »Hamleta«. Pewne różnice między wydaniami nie dadzą się wyłómaczyć jedynie popsuciem tekstu przez stenografa; w pierwszym wydaniu stary Polonius nosi stale nazwę *Corambis*, a jego sługa Reynaldo (II, 1) nazywa się *Montano*⁴⁾; monolog Hamleta

¹⁾ Pierwszy szczegół podaje w roku 1589 Nashe w przedmowie do wydania noweli Greena *Menaphon*; drugi — Lodge w roku 1596 w tytrze »Nędra dowcipu i szaleństwo świata«.

²⁾ Wydawca i biograf Shakespeara Rowe (1709) podaje wiadomość, że sam Shakespeare grał w »Hamlecie« rolę ducha starego króla.

³⁾ »Hamlet« jest najdłuższym ze wszystkich dramatów Shakespeara.

⁴⁾ Zauważono, że imiona *Corambus* i *Rinaldo* znajdujemy także w komedyi »Koniec wieńczy dzieło« (III, 4; IV, 3), którą inne jeszcze podobieństwa łączą z »Hamletem«: hrabina Rousillon udziela synowi podob-

i rozmowy jego z Ofelią, Poloniusem, dworakami i aktorami w drugim i na początku trzeciego aktu inny mają porządek w pierwszym wydaniu, niż w drugim; wreszcie wiadomości o losach Hamleta na morzu, w drugim wydaniu rozrzucone po listach i rozmowach (IV, 3, 6, 7; V, 2), w pierwszym wydaniu zebrane są pod koniec czwartego aktu w krótkiej scenie między Horacym a królową, gdzie królowa daleko bardziej stanowczo bierze stronę syna przeciwko małżonkowi, niż w którymkolwiek ustępie przyjętego tekstu. W tych i innych wariantach pierwszego wydania dopatrywano się odbicia to pierwotnego dramatu o Hamlecie, to pierwszej redakcji dramatu przez samego poetę, później zastąpionej przez drugą, to wreszcie specjalnej wersyi teatralnej, która istniała obok literackiej. Za najnieprawdopodobniejsze z tych przypuszczeń można uważać pierwsze, gdyż starsze wydanie *in quarto* zawiera już wiele z najistotniejszych piękności »Hamleta« — n. p. sześć z siedmiu wielkich monologów bohatera; — gdyby zatem otwierało utwór poprzednika Shakespeara, byłby to poeta, przewyższający go geniuszem, a sam Shakespeare uchodziłby musiał za bardzo śmiałego plagiatora. Prócz druków angielskich osobny i ważny czynnik w tej sprawie stanowi dramat niemiecki *Der bestrafte Brudermord*, drukowany w roku 1778 według rękopisu z roku 1710, ale reprezentujący prawdopodobnie wersję, grywaną przez wędrujących komedyantów angielskich w Niemczech z początkiem XVII wieku; wiemy z zapisków o przedstawieniu

nych napomnień (I, 1), jak Polonius Laertesowi (I, 3). Nazwisko *Montano* jako imię pasterza spotykamy w bardzo popularnej w XVI wieku powieści Sanazzara *Arcadia*, w ekłodze drugiej; tamże w ekłodze dziewiątej dyalog z Montanem prowadzi sędziwy rolnik, nazwany *Ophelia*, który może dał imię kochance Hamleta. Angielski uczony Gollancz wyraził przypuszczenie, że Polonius shakespearewski miał być satyrycznym portretem sędziwego doradcy królowej Elżbiety, Williama Cecila lorda Burleigh († 1598), i że Shakespeare dla odwrócenia posądzeń nadał starymu dworzaniowi imię, przywodzące publiczności na myśl *P o l a k a*, mianowicie znanego w całej Europie dyplomaty Wawrzyńca Orzymałę Goślickiego (*Goslicius*), którego dzieło *De optimo senatore* (1568) świeżo wyszło było w angielskim tłumaczeniu (1598, 2. wyd. 1604, dalsze wersje w XVII i XVIII wieku); ale sentencje, które Gollancz z tego dzieła przytacza, nie mają uderzającego podobieństwa do gnomiki Poloniusa. Źródła dla tych złotych maksym nie potrzebował zresztą Shakespeare tak daleko szukać: angielska literatura gnomiczna zdawien dawna była bardzo bogata; w poczytnej za czasów Shakespeara powieści Jana Lyly *Euphues* (1579) są reguły życia, w niektórych punktach niemal dosłownie analogiczne do rad Poloniusa.

»Hamleta« w Dreźnie w roku 1626. Przeróbka niemiecka, grubo ciosana jak wszystkie te dramaty komedyanckie, polega niewątpliwie na dojrzałym shakespearewskim »Hamlecie«, nie na jakiejś pierwotniejszej formie dramatu; łączy ona właściwości obu starych wydań angielskich; otwacza n. p. piękne słowa Hamleta o sztuce dramatycznej jako »zwierciadło epoki« (III, 2), których niema w starszem; z drugiej strony ze starszem tylko w tej samej scenie dzieli obszerniejsze niż w przyjętym tekście napaści Hamleta na improwizacye jakiegoś popularnego błazna na scenie. Z tego Creizenach wnioskuje, że starsze wydanie angielskie *in quarto* i dramat niemiecki polegają na odmiennych od siebie wersjach scenicznych autentycznego »Hamleta«; ale o naturze tych wersyi, o różnicach między niemi a wersją literacką, te dwa teksty, jeden srodze pokaleczony, drugi przerabiany na potrzeby niemieckie, nie mogą nam dać jasnego pojęcia. Podaje nam natomiast najstarszy tekst *in quarto*, jako spisany na przedstawieniu, obfitsze nieco wskazówki sceniczne od późniejszych wydań; z niego się dowiadujemy, że na scenie shakespearewskiej duch, gdy się pojawiał po raz drugi, w scenie między Hamletem a matką w sypialni (III, 4), występował już nie w zbroi, lecz »w stroju nocnym«, że obłąkana Ofelia wchodziła na scenę (IV, 5) »z rozpuszczonymi włosami, grając na lutni«. Sprawę stosunku tekstów jeszcze komplikuje fakt, że w późniejszym wydaniu *in folio* znajdujemy dzieło także nie w formie najpełniejszej: brakuje tu ważnego monologu Hamleta po spotkaniu z armią Fortinbrasa (IV, 4), który posiadamy tylko w drugim wydaniu *in quarto*; z drugiej strony cały szereg drobniejszych, ale charakterystycznych ustępów w tekście (zwykle po dwa do trzech wierszy), spotykamy w wydaniu *in folio* i w pierwszym *in quarto*, a niema ich w drugim *in quarto*, co zdaje się dowodzić, że już i pierwsze wydanie *in quarto* polega na jakiejś definitywnej redakcyi »Hamleta«. Wogóle z całego tego zamieszania wynosimy wrażenie, że jakkolwiek być mogły różne wersje teatralne, które przypuszczalnie otwieraają i pierwsze wydanie *in quarto* i przeróbka niemiecka i tekst *in folio*, w każdym razie autentyczny shakespearewski »Hamlet«, na którym wszystkie polegają, istniał nie w jakichś dwóch redakcyach, wcześniejszej i późniejszej, lecz w jednej, definitywnej; że Shakespeare nad tym dramatem, tak samo jak nad innymi, nie pracował na dwa zawody,

w różnych okresach swej twórczości, lecz stworzył go raz na zawsze; że co najwyżej przy wystawianiu go w swoim teatrze sam zarządzał pewne zmiany lub godził się na nie, i że te zmiany mogły być rozmaite według okoliczności.

Z XVII wieku prócz dwóch najstarszych wydań *in quarto*, oraz tekstów dramatu w czterech zbiorowych wydaniach dzieł Shakespearu *in folio*, posiadamy jeszcze nie mniej jak dziewięć osobnych wydań »Hamleta« *in quarto*, — przekonywający zaiste dowód wielkiej i stałej popularności dzieła zaraz u pierwszych pokoleń widzów i czytelników. Roi się zresztą w najbliższych latach po powstaniu »Hamleta« od aluzji do charakterystycznych zwrotów i motywów utworu w całej współczesnej literaturze angielskiej¹⁾. Niektóre z najwcześniejszych takich aluzji odnoszą się napewno, inne odnosić się mogą, do starszego dramatu o Hamlecie; stąd trudność wyciągania z nich wniosków co do daty shakespeareowskiego dramatu.

Na kwestyę daty »Hamleta« rzuciły pewniejsze światło badania, przez które Amerykanin Wallace wyjaśnił wplecione do rozmowy bohatera z aktorami wzmianki o rywalizacji między trupą dorosłych artystów a trupą chłopców (III, 2); okazało się, że wszystkie szczegóły tego ustępu pogodzić się dadzą tylko z faktami londyńskiej historii teatralnej pod koniec r. 1601 i na początek r. 1602: jeżeli więc wierzymy w jednorazową genezę całego dramatu²⁾, ten właśnie czas dla niej wypadnie wyznaczyć.

* * *

Studia literackie nad »Hamletem« dlatego prawie wyłącznie poruszać się zawsze musiały w torach subiektywnej interpretacji, że nie posiadamy i nie jesteśmy w stanie odtworzyć sobie w szczegółach starego dramatu, który prawdopodobnie był bezpośrednio źródłem dzieła; niepodobna stwierdzić z absolutną pewnością, co w dramacie Shakespeare sam stworzył, a co znalazł w starszym utwo-

¹⁾ Około stu takich przykładów, dowodzących wczesnej popularności »Hamleta«, zawiera dwutomowa encyklopedia aluzji shakespeareowskich z XVI i XVII wieku (*The Shakspeare Allusion-Book*, ed. J. Munro; London, Chatto & Windus, 1909).

²⁾ Wzmianki o chłopcach-aktorach w zwęższej formie zawiera już pierwsze wydanie *in quarto*, — także argument przeciwko teorii dwukrotnej roboty Shakespearu nad »Hamletem« w różnych okresach.

rze i przekształcił. Materiału do porównań — w najogólniejszych tylko zarysach przydatnego — dostarcza nam francuski zbiór opowieści *Cent Histoires Tragiques*, którego kompilatorami byli Boaistuau i Belleforest; nowela o Hamlecie jest trzecią piątą tomu (1570); angielskie tłumaczenie tej noweli posiadamy w tym druku dopiero z r. 1608. Historia Hamleta jest bardzo dawnej daty; wraz z nazwiskiem bohatera rozpowszechnioną była u starych ludów skandynawskich; spotykamy ją w XII wieku u duńskiego kronikarza Saxona Grammatyka (*Historia Danica*, lib. III—IV¹⁾). Boaistuau i Belleforest czerpali z włoskiego nowelisty Bandella. Ich opowiadanie kilka tylko najgłówniejszych motywów ma wspólnych z dramatem: »zamordowanie ojca Hamleta, małżeństwo matki z zabójcą, udany obłęd Hamleta, jego rozmowa z matką i podróż do Anglii«, — to prawie wszystko, jak stwierdził wydawca angielskiego tłumaczenia, Collier. Prócz imienia królewicza (*Amleth*) i jego matki (*Geruth*) wszystkie nazwiska osób w dramacie są inne, niż w noweli. Ojciec Hamleta, Horvendile, o którego bohaterstwach w wojnie z Norwegią obszernie opowiada pierwszy rozdział noweli, zabity jest przez brata, Fengona, przy pomocy zgrai zwolenników publicznie, na uczcie; ducha ojca według panującej mody dramatycznej — która miała pierwowzór w tragedji Seneki *Thyestes* — wprowadził w akcję autor starego dramatu o Hamlecie: jedyny to szczegół jego dzieła, napewno nam znany jako taki ze współczesnych aluzji. Shakespeareowi mistrzowską ekspozycję ułatwia jego scena, wolna od zmian dekoracji: przenosi widownię to na taras pałacu *Elsinore*²⁾, to do wnętrza i w ten sposób przedstawia nam dokładnie wszystkie z kolei osoby akcji, a zarazem stopniuje usposobienie Hamleta; stopniuje także umiejętnie wrażenie pojawień się ducha, przegradzając jego występy scenami na dworze; sama scena początkowa, o której wątpiono, czy jest potrzebna, stanowi nastrojowe preludium tego samego rodzaju, co pojawienie się czarownic na początku »Makbeta«. Nie brak w samej ekspozycji dramatu

¹⁾ Opowiadania o Hamlecie i podobne do nich z różnych literatur i baśni ludowych Wschodu i Zachodu zebrał w *Corpus Hamleticum* prof. J. S. Ch. i c. k. (tom I, Berlin, E. Felber, 1912).

²⁾ Zamek *Helsingör* — nie wymieniony w noweli — widziała w r. 1586 wędrująca trupa aktorów angielskich, i od nich mógł o nim słyszeć Shakespeare lub autor pierwotnego »Hamleta«.

tych drobnych sprzeczności, które ciągną się przez cały dramat, i o których wyjaśnienie Shakespeare zapewne prosto nie dbał. Powitanie królewicza z kolegą uniwersyteckim (I, 2) pozostawia wątpliwość, czy Hamlet był niedawno w Wittenberdze ¹⁾, czy może był już na dworze, gdy ojciec umarł. Łączy się z tą sprawą kwestya wieku Hamleta: w scenie na cmentarzu (V, 1) słyszymy wyraźnie, że ma trzydzieści lat ²⁾ — przez cały ciąg dramatu robi wrażenie człowieka młodszego; może być, że filozofujący bohater postarzał się poecie pod ręką; może też być, że ustanowienie dłań poważniejszego wieku, — tak samo jak tusza Hamleta, o której wspomina królowa w scenie pojedynku (V, 2) — to rysy, umieszczone w dramacie ze względu na aktora trupy shakespeareowskiej, który grał tę rolę. W niepewności także zostawia nas Shakespeare co do czasu, jaki upłynął od zamordowania ojca Hamleta, i jaki upływa między pierwszym a drugim aktem; nie wiemy, kiedy zaczęła się miłość do Ofelii, tak jak nie wiemy, kiedy się kończy; nie wiemy, czy szalone odwiedziny królewicza, które ona opisuje ojcu w pierwszej scenie drugiego aktu, następują niebawem po scenie z duchem czy później, czy są pierwszym objawem udanego obłądzenia ³⁾ czy mają głębsze znaczenie pożegnania. Shakespeare w tym dramacie, jak w innych (»Kupiec wenecki«, »Otello«), operuje »podwójnym czasem«, jak ten efekt jego techniki trafnie nazwał Wilson: w miarę wymagań nastroju dramatycznego to wywołuje wrażenie powolnego i naturalnego biegu wypadków, to gwałtownego ich natłoku i pościgu.

Zagadką dalej wobec braku źródła dramatycznego pozostać musi krecia robota ducha pod sceną w czasie przysięgi (I, 5); Hamlet odzywa się doń wyrazami, których w komicznych partyach staroświeckich dramatów moral-

¹⁾ Uniwersytet wittenberski miał rozgłos w Europie szczególnie od czasów Lutera; publiczności teatralnej angielskiej znany był z dramatu Marlowa »Dr. Faustus«, i stąd zapewne, bez głębszej myśli, przejął jego nazwę Shakespeare.

²⁾ Tylko według drugiego wydania *in quarto* (1604); pierwsze (1603) wzmianek o trzydziestu latach nie zawiera; według niego Yorick leży w ziemi od lat 12, według drugiego od lat 23.

³⁾ Ocenę sprawy utrudnia fakt, że ubiór Hamleta, jak go opisuje Ofelia, bardzo podobny jest do rozmyślnie zamieданego stroju zrozpaczonego kochanka w konwencyonalnej poezji miłosnej owej doby. Warto wspomnieć, że w tym ustępie tekst pierwszego wydania *in quarto* jest wyjątkowo gładki i poetycki; jeżeli gdzie, to tutaj wygląda na umiętnie wykonane skrócenie.

nych używał uosobiony Występek wobec dyabła. Ta mieszanina śmieszności z grozą w interpretacji znakomitego aktora stać się może czemś przekonywującym i mistrzowskim, tak samo jak taki autor zbyt czynnym uczynić potrafi wszelki komentarz do dziwactw Hamleta w scenie poprzedniej, gdzie zapisuje sobie w notatniku uwagę o »uśmiechniętym nikczemniku« (I, 4), albo do lekkomyślnie żartobliwego tonu, w jakim później mówi o piorunującym wrażeniu przedstawienia aktorów na królewskiego zbrodniarza (III, 2). Równie możliwe jednak jest, że w scenie przysięgi — jak przypuszczał Bradley — przez poezję Shakespeara prześlada surowa robota starego dramatu, którą Shakespeare tutaj zachował. W żadnym z zachowanych dramatów epoki niema motywu ducha pod sceną.

Niemniej obfite w zagadki są te party dramatu, w których Hamlet pod maską obłąkanego obrzuca gorzkimi uwagami całe otoczenie, sam w monologach zmagając się ze zwątpieniem, wreszcie gościnnie wita aktorów i postanawia wystawić króla na próbę przez dramatyczne przedstawienie jego zbrodni. Za racjonalniejszy uważano układ scen w pierwszym wydaniu *in quarto*, gdzie sceny udanego obłądzenia rozpoczynają się od monologu »Być albo nie być«, potem następują jedna po drugiej rozmowy z Ofelią (»Idź do klasztoru«) z Poloniusem i z Rosencrantzem i Guildensternem; potem znowu jednym ciągiem sceny z aktorami, przygotowania i samo przedstawienie. Czy ten logiczny układ jest bardziej artystycznym, to rzecz osobistej oceny; czy pochodzi od Shakespeara — nie wiemy. Nowela w drugim rozdziale opowiada, jak Hamlet udawał obłąkanego; na samym początku autor, nazywając go »uczniem« rzymskiego Brutusa, wyraźnie wskazuje ostateczne źródło tego szczegółu podania; powołuje się także na przykład króla Dawida, który udawał obłąkanego na dworze króla Achisza (I księga Samuela, rozdz. 21, w. 10—15). O dowcipie w rozmowach szaleńca, który w dramacie chwali Poloniusa (»jest system w tym obłądzeniu«, II, 2), słyszymy i w noweli; tylko tam same symptomy udanego obłąkania są daleko drastyczniejsze. Bardzo odległym prototypem Ofelii jest w noweli dama dworu, której król używa, by Hamleta kusić; jeżeli królewicz ulegnie pokusie, ma to być znak, że jest zdrowy na umyśle, i w takim razie zostanie natychmiast zabity; ostrzegają go jednak zawczasu i przyjacieli i sama niewiasta, która go kocha i jest przezeń ko-

chaną; Hamlet więc i przy tem spotkaniu udaje szaleńca. Nazwiska damy niema w noweli, ani też nie jest jej ojcem stary dworzani, zabity później przez Hamleta podczas rozmowy z matką. Rosencrantz i Guildenstern — obdarzeni nazwiskami znanych w renesansowej Europie rodów duńskich ¹⁾ — to zapewne twory samego Shakespeara, tak samo jak Osrick w piątym akcie; znakomitą myśl przedstawienia tego typu człowieka tuzinkowego w dwóch jednakowych egzemplarzach poddał Shakespeareowi zapewne zwyczaj — który i sam gdzieśgdy zachował — wprowadzania na scenę pary bliźniów w epizodach komicznych.

Zdumiewać nas muszą entuzjastyczne pochwały, które Hamlet oddaje recytowanemu przez aktora ustępowi z tragedji trojańskiej; poezja to miejscami wspaniała, ale gdzieindziej popsuta przez nieznośną przesadę i nienaturalne obrazowanie, a w całym ujęciu zgoła nie-dramatyczna. Trudno przypuszczać, żeby nie podzielał opinii swego bohatera autor, który zaraz potem (II, 2; III, 3) przez jego usta wypowiada niewątpliwie własne i tak wzniosłe zdania o misji i stylu sztuki aktorskiej ²⁾. Zauważono podobieństwo tematu i pewne analogie w stylu do opowiadania Eneasza o zburzeniu Troi w tragedji o Dydonie przez Marlowa i Nasha, poprzedników Shakespeara w poezji dramatycznej; ale niema pewnej podstawy do tłumaczenia tego interludium jako hołdu, rywalizacji lub karykatury. Nietrudno natomiast — jak to skrętnie uczynił A. C. Bradley — wykazać przez cytaty z dramatów poety, że on sam nawet w najdojrzszych dziełach niejednokrotnie popada w podobny bombast i afektację; nawet jeden z najbardziej rażących momentów — że Pryam upada od samego wiatru, który czyni miecz Pyrrusa — powtarza się prawie dosłownie w trojańskim dramacie Shakespeara »Troilus i Kresyda« (V, 3). Wolno więc powiedzieć sobie, że teorye este-

¹⁾ *Rosencrantz* nazywał się poseł duński w Anglii przy wstąpieniu na tron Jakóba I; nazwisko *Gyllestjerna* figuruje w tragicznej historii króla Chrystyana II († 1559).

²⁾ Zapatrywania Hamleta na społeczne zadanie sceny jako »portretu epoki« i »zwierciadła natury« — dwukrotnie w dramacie wypowiedziane (II, 2; III, 2) — dosłownie przypominają aforyzmy Cycerona o komedji jako »zwierciadle obyczajów« (*speculum consuetudinis*), zachowany nani tylko jako cytát u gramatyka Donata, a często powtarzany także w kraju i czasie poety, w polemice literackiej z purytańskimi przeciwnikami teatru. Tę samą klasyczną sentencję prawie równocześnie z Shakespeareem używał także Cervantes w swem arcydziele *Don Quijote*.

tyczne poety tak samo nie były nieomyślne, jak nieomyślnym nie był zawsze i wszędzie jego takt artystyczny.

Jeżeli w tych scenach z aktorami wydawać się nam musi, że słyszemy głos samego Shakespeara, rozprawiającego o sprawach zawodowych, to daleko bardziej stanowcze jeszcze wrażenie tego samego rodzaju wywołuje sławny monolog Hamleta »Być albo nie być« (III, 1). Mimo różnych usiłowań komentatorskich nie udało się dotychczas przekonywająco wythómaczyć tego ustępu w taki sposób, żeby się organicznie łączył z treścią i nastrojem reszty dramatu: Hamlet, który widział ducha swego ojca i słyszał od niego o mękach czyścowych, tu mówi o »nieodkrytym kraju, z którego żaden nie wraca wędrowiec« ¹⁾; — on, co wprzódy, pragnąc śmierci, żałował, że »Przedwieczny prawa swe zwrócił przeciw samobójstwu« (I, 2), tutaj z innych, zgoła nie religijnych motywów przed samobójstwem się wzdryga; — on, co przed katastrofą wypowiada wiare, że jest »bóstwo, co naszym celom kształt nadaje«, że »wróbel nie padnie bez szczególnego dopuszczenia Opatrzności« (V, 2), tutaj duma, czy sen śmierci przynosi jakie marzenia ²⁾. Takie sprzeczności zdają się zezwalać na wniosek, że tutaj wyraźniej niż gdzieindziej poeta przez usta bohatera wygłasza swe własne refleksje; to wrażenie wzmacnia się jeszcze, gdy rozłoczony w słowach Hamleta obraz nędzy tego życia porównamy z całkiem podobnym jej opisem w jednym z najbardziej pesymistycznych sonetów poety ³⁾; wobec uderzających podobieństw, jakie

¹⁾ Amerykanin Cunliffe zwrócił uwagę na podobieństwo między tym wierszem a zwrotami w tragedjach Seneki *Hercules Furens* (865—866: *nemo ad id sero venit, unde nunquam, | cum semel venit, potuit reverti*) i *Hercules Oetaeus* (1526—7: *regnum canis inquieti, | unde non unquam remeabit ille*). Kopiował Senekę już Marlowe w »Edwardzie II« (w. 2634).

²⁾ Daleko bardziej dogmatycznym i ściślej religijnym w osnowie jest ten monolog w pierwszym wydaniu *in quarto*; tam jest mowa nie o trwodze przed tajemnicami śmierci, lecz o »nadziei, radosnej nadziei« dla tych, co znoszą życie cierpliwie; za »snu śmierci« budzimy się, by stanąć »przed wiekiustym Sędzią«; na widok »nieodkrytej krainy« »uśmiechają się błogosławieni, na zatracenie idą przekleci«. Ale cały ustęp jest beznadziejnie pogmatwany i nie wiemy, kto go tak kiepsko pozeszywał; przypuszczać tylko można, że wyrażenia sceptyczne zastąpiono przez religijne w scenicznej wersji ze względów cenzuralnych.

³⁾ Sonet 66:

»Znużon tem wszystkim, tęsknię li do skonu!
Widzę, jak cnocie dają kij żebaczy,
I jak się nicość dmie na wyżach tronu,
Jak zdrada wszędzie swoje ślady znaczy —

łączą monolog z temi niewątpliwie osobistemi wynurzeniami, tracą wartość zestawienia literackie: analogie między temi rozmyślaniami o samobójstwie ¹⁾ a rozprawami Montaigne'a o śmierci ²⁾ są zresztą bardzo ogólnikowe i za dowód zależności starczyć nie mogą.

»Być albo nie być« — to jakby głos Shakespeara; ta sama nuta osobistej refleksji w tymże akcie dramatu zdaje się rozbrzmiewać w nadmiernie długich deklamacyjnych króla-aktora w interludium o nikłości postanowień ludzkich, oraz w bolesnych dumaniach króla-zbrodniarza o marności pozornej skruchy (III, 3) ³⁾. Natomiast za głos poprzednika Shakespeara, autora starszego dramatu, radziłyśmy stanowczo uznać nienaturalnie nastrojowy monolog Hamleta po przedstawieniu (III, 2):

»To właśnie pora nocy do czarodziejstw,
Gdy otwierają się groby, a piekło
Tchnie ze swych głębin zarazą na ziemię.
Krewbym potrafił teraz pić gorącą
I tak okrutnych dopuścić się czynów,
Że na ich widok dzień pobladłby z trwogi«.

Znowuż następujący zaraz potem motyw oszczędzenia króla, zatopionego w modlitwie (III, 3), nierozzerwalnie wydaje się połączony ze specyficznie shakespearowskim ujęciem charakteru Hamleta. Shakespearowska także chyba jest subtelna ironia, z jaką w przyjętym tekście ⁴⁾ pierwsze

I jak się bezwstyd czci koroną mieni,
I jak zdeptano niewinność dziewiczą,
I w jakiej hańbie żyją zaślubieni,
Jak moc prawdziwą między słabość liczą;
Jak władza sztukę poniża do błota,
I jak nad wiedzą pieczę mają błazni,
I jak za głupstwo uchodzi prostota,
Jak zło zamyka wszelkie dobro w kaźni:
Znużon tem wszystkim, chciałbym odejść w ciemnię —
Tylko że miłość zmartałaby beze mnie«.

(Tł. J. Kasprowicz).

¹⁾ Nawet ten szczegół w interpretacji »Hamleta« nie pozostał niezaprzeczonym pewnikiem: byli tacy, co twierdzili, że bohater tu myśli nie o samobójstwie, lecz o niebezpieczeństwie życia, połączonym z otwarciem zamachu na króla.

²⁾ *Essays*, I, 19; II, 3; III, 12.

³⁾ Obie te deklamacje znacznie są krótsze w pierwszym wydaniu *in quarto*; może Shakespeare uznał za stosowne w wersji scenicznej pomijać ile możności te swe subiektywne medytacje.

⁴⁾ W pierwszym wydaniu *in quarto* o postanowieniu wystania Hamleta do Anglii dowiadujemy się w krótkich słowach z ust króla dopiero w rozmowie z królową na początku czwartego aktu.

zarządzenia króla przeciwko królewiczowi poprzedzają nieuszkodzony zamach. Ani epizodu z modlącym się królem ani przedstawienia niema w noweli. To ostatnie, jako efekt bardzo często na ówczesnej scenie używany, było prawdopodobnie zawarte w przedshakespearowskim dramacie o Hamlecie ¹⁾. Ale sposób, w jaki nam je ukazuje Shakespeare, znowu zadaje łamigłówek. Nierzadko pisarze dramatyczni owej epoki uzupełniają akcję pantomimą; uczynił to może i sam Shakespeare w »Peryklesie«; ale nigdzie taka pantomima na początku dramatu nie zawiera w sobie z góry — jak tu w »Hamlecie« — całej treści akcji. A skoro już tak jest, dlaczego sumienie ukoronowanego mordercy budzi się dopiero przy przedstawieniu zbrodni z towarzyszeniem słów, a nie już przy równie wyraźnym, pierwszym jej przedstawieniu w gestach? Wolno nam uważać te trudności za spowodowane przez nerwową nieuwagę poety ²⁾.

Ze wszystkich sytuacji w dramacie najwięcej podobieństwa do noweli ma najprzykrejsza — scena rozprawy między synem a grzeszną matką (III, 4), przerwanej zabiciem podsłuchującego dworaka ³⁾. W noweli syn nie porównywa, jak u Shakespeara, portretów ojca i stryjki; ale gorzkie jego wyrzuty miejscami są retorycznie prawie równie potężne, jak w dramacie. Rozmowa z matką obraca się zresztą w znacznej części około trudnego położenia i planów zemsty Hamleta, który w noweli jest bardzo stanowczy. Królowa, jak w dramacie, obiecuje mu dotrzymać jego tajemnicy; przysięga także, iż w zamordowaniu małżonka udziału nie miała, czego u Shakespeara w przyjętym tekście nie czyni; w starszym wydaniu *in quarto* klnie się, że o zabójstwie nie wiedziała ⁴⁾; tamże przyrzeka synowi czynny udział w zemście.

¹⁾ Czy była już w starym dramacie ta sama dziwna technika zbrodni — wlewanie trucizny przez ucho śpiącej ofiary — niewiadomo; Shakespeare określa truciznę niewyjaśnioną nazwą *hebenon*; formę *hebon* spotykamy w dramacie mistrza jego młodości, Marlowa, »Żyd maltański«. Rozliczne historie sensacyjnych wypadków otrucia rozchodziły się z renesansowych Włoch po całą Europę, i Shakespeare mógł wziąć swój motyw z jakiejś ustnej tradycji.

²⁾ W niemieckiej wersji *Der bestrafte Brudermord* król porywa się i uchodzi zaraz po pantomimie.

³⁾ Okrzyk Hamleta: »Szczur, szczur!« znajduje się tylko w angielskim tłumaczeniu noweli i w dramacie.

⁴⁾ Tak samo w niemieckim dramacie *Der bestrafte Brudermord*.

Powtórne pojawienie się ducha zwiastuje początek drugiej połowy akty; jest to jedyny, ale dostatecznie wyraźny symbol symetrycznej budowy dramatu w rozumieniu poety¹⁾. Wskutek wysłania Hamleta do Anglii jest w czwartym akcie pewien zastój, pewna próżnia: Shakespeare wspaniale ją wypełnia lirycznymi scenami szafu Ofelii²⁾; oprócz tego korzysta z czasu i miejsca, by uwydatnić dramatyczne przesłanie dwóch młodzieńców, których postacie służą charakterystyce Hamleta przez kontrast. Hamlet wahał się zabić stryja przy modlitwie: Laertes jest gotów zabójcą ojca »zarznąć w kościele«, (IV, 7); buntuje lud, by się pomścić (IV, 5); wszak i to mógł Hamlet uczynić, bo, jak słyszemy od króla (IV, 3), »miłość ma u tłumów«. Fortinbras także, jak Hamlet, stracił ojca i jego kraje (I, 1), i wraz gotował wojnę przeciw jego zwycięzcy; tę wojnę, jak bunt Laertes, poeta zażegnał (II, 2); ale przymiotom Fortinbrasa, jego męstwu i pragnieniu sławy, sam Hamlet przeciwstawia wymownie swą trwożliwą rozważę w długim monologu (IV, 4), tak samo jak poprzednio sam kontrastował swą opieszałość z uniesieniem deklamującego aktora (II, 2).

Z wyprawą Hamleta do Anglii fabułą dramatu ostatecznie i zupełnie się oddala od noweli. Tam Hamlet nie

¹⁾ W niemieckim dramacie fakt, że królowa nie widzi i nie słyszy ducha, uzasadniony jest słowami Hamleta: »Boście nie godną widzieć go, matko!« — jeden z nielicznych prawdziwie pięknych i poetyckich ryśów w tej ramocie.

²⁾ Poetyckie *intermezzo* jej obłędu i śmierci oczywiście tylko jako poezję liryczną oceniać i uwielbiać można; wobec wymagań logiki dramatycznej nie ostałby się szczególnie przepiękny opis jej śmierci, który natchnął malarza Millaisa (IV, 7): kto tak dokładnie widział nieszczęsny wypadek, jak go opisuje królowa, byłby przedewszystkiem Ofelię ratował.

Miarę grubej roboty starego dramatu niemieckiego daje zupełne odarcie z uroku tych właśnie scen: tam obłąkana Ofelia przesładuje swoją miłością błazna-dworzanina, który wciąż przed nią ucieka i używa o niej wyrażenia *das Raben-Aas*!

U Shakespeara wdzięk Ofelii ozłaca nawet rubaszne zwrotki piosenek ludowych, które nuci w obłędzie; pozostajemy zupełnie obojętni wobec rozpatrywanej już nieraz przez psychiatrów kwestyi, czy Shakespeare tu wiernie odmalował symptomy erotyczne, towarzyszące często obłąkaniu u kobiet. Tem mniej mówić warto o brzydkich i niepotrzebnych dociekaniach nad zmysłową stroną jej stosunku do Hamleta, niejednokrotnie, niestety, pojawiających się w krytyce shakespeareowskiej od czasów Tiecka, który pierwszy wątpił o jej dziewictwie. Goethe w piosenkach Ofelii widział naturalny wyraz namiętności zmysłowej, którą w zdrowym umyśle hamowała etykieta.

wraca odrazu do Danii¹⁾, lecz zostaje cały rok w Anglii i poślubia córkę króla. W Danii zjawia się potem na stypie, na własną jego pamięć obchodzonej; zabija króla i ogniem niszczy dwór i pałac; w długiej mowie — wypełniającej cały rozdział — usprawiedliwia się wobec ludu, i zostaje królem w miejsce stryja. Nastaje potem na jego życie teść, król angielski, ale przypląca śmiercią swój zbrodniczy zamiar. Hamlet w młodej królowej szkockiej zyskuje drugą żonę; ginie wreszcie w walce z drugim zdradzieckim stryjem, i temu owa druga żona po śmierci Hamleta się odaje: w ten sposób podobne wypadki powtarzają się w dziejach tej samej rodziny.

W piątym akcie »Hamleta« gwałtowne niemal jest przeciwieństwo między wysoce nastrojowem przygotowaniem na tragiczny koniec przez mistrzowską scenę z grabarzami, pogrzeb Ofelii i przecucia Hamleta — a jatkami ludzkimi w scenie końcowej, gdzie dwukrotnie mieczowi pomaga trucizna²⁾, i liczba ofiar tragedyi dochodzi do ośmiu. Można w tak żywiołowej katastrofie widzieć doraźny objaw pesymizmu poety w tym okresie twórczości; w tym samym czasie w »Królu Lirze« pomyślne zakończenie zachowanego nam starego dramatu zmienił na tragiczne; — można także sądzić, że Shakespeare i tutaj przychylił się do konwencji teatralnej i wymagań publiczności, że wreszcie całe to krwawe zakończenie znalazł gotowe w starszym dramacie.

To domniemanie potwierdza prawdopodobieństwo, do

¹⁾ W dramacie powrót uskuteczony jest w sposób stanowczo niezręczny, co nawet niektórych komentatorów skłoniło do przypuszczenia, że Hamlet podkupił zbójów morskich, którzy napadają na jego okręt! — W niemieckim dramacie Hamlet uchodzi śmierci w ten osobliwy sposób, że rzuca się na ziemię w środku między swymi siepaczkami, którzy wskutek tego strzelają jeden do drugiego!

²⁾ Dzisiejszej reżyseryi trudność sprawia wymiana rapierów w podjętym: pierwsze wydanie *in quarto* mówi krótko: »Chwyatają jeden rapier drugiego, i obaj odnoszą rany«; drugie nie ma żadnej wskazówki scenicznej; *folio* pisze lakonicznie: »Szamocąc się, wymieniają rapierzy«. W niemieckim dramacie jest wskazówka obszerniejsza: »Laertes upuszcza rapier na ziemię i chwyta za drugi, zatruty, który leży na pogotowiu; rani księcia w ramię kwartą. Hamlet odbija cios tak silnie, że obu broty wypada z rąk. Biegają każdy po swój rapier, Hamlet podejmuje zatruty i rani Laertesą śmiertelnie«.

Słowa Hamleta do konającego króla: »Wypij ten trunek!« trzeba, jak świadczy dalszy tekst, brać dosłownie: rannemu od miecza daje pić truciznę z puharu, w którym potem jeszcze tyle zostaje, że Horacyo tą resztą chce sobie śmierć zadać!

którego w braku absolutnej pewności uciekać się trzeba. Nie mamy starego dramatu o Hamlecie, ale posiadamy najgłośniejszy okaz tej samej klasy utworów — »Tragedyę hiszpańską« Kyda. Porównanie tego dzieła z »Hamletem« Shakespeara pomaga nam wytworzyć sobie pojęcie o pewnych typowych rysach »tragedyi zemsty«, które według wszelkiego prawdopodobieństwa miał także już »Hamlet« przed-shakespearowski. Te podobieństwa między obu dziełami sięgają istotnie bardzo głęboko w treść akcji¹⁾. Kyd przedstawił zemstę ojca za syna²⁾, Shakespeare — zemstę syna za ojca; tu i tam duch zamordowanego pojawia się i wzywa do niej na początku dramatu. Już u Kyda także — co ważne i ciekawe — mściciel waha się przez znaczną część dramatu i nie może się zdobyć na czyn stanowczy: trzeba listu od kochanki zabitego, wyznania intryganta i namowy niewieściej, aby go skłonić do działania. Już u Kyda również — i już w shakespeareowskim »Tytusie Androniku« także — mściciel udaje obłąkanego; już w »Tragedyi hiszpańskiej« silne poczucie zobowiązania do zemsty i rozpacz nad własną bezczynnością od udanego obłądę często go prowadzą do granic rzeczywistości. Mściciel w »Tragedyi hiszpańskiej« niemniej ma skłonności do refleksji, niż Hamlet: wypowiada w ciągu dramatu sześć długich monologów w stylu Seneki — z tych jeden na temat samobójstwa. W rozmowie z otoczeniem — znowu tak samo jak Hamlet — puszcza wodze gryzącej ironii; w postępowaniu umie tryumfować przez chytrą. Intryga gra przeciw intrydze: podobnie podstępnie, jak Hamlet Rosencrantza i Guildensterna, w »Tragedyi hiszpańskiej« intrygant pozbywa się nikczemnego pomocnika. W obu tragediach obok udającego obłąkanie bohatera jest niewiasta, rzeczywiście owładnięta obłądę pod wrażeniem tragicznych wypadków: u Kyda jest nią matka zamordowanego. W obu tragediach jest dramat w dramacie: u Kyda to przedstawienie amatorskie na dworze, użyte przez mściciela na dokonanie krwawego dzieła; tu i tam bohater omawia przedstawienie na przód z aktorami i ma udział w przygotowaniach. Tu i tam jest jedno zabójstwo w środku tragedyi; tu i tam wreszcie

¹⁾ Zestawił je dokładnie Ashley H. Thorndike: *The Relations of Hamlet to Contemporary Revenge Plays (Publications of the Modern Language Association of America, 1902)*.

²⁾ U Kyda zamordowany syn nazywa się *Horatio*: Shakespeare zażył to imię dla przyjaciela swego bohatera.

na końcu krew płynie obficie: u Kyda ginie dziesięć osób, i tylko królowie, hiszpański i portugalski, pozostają przy życiu, by wypowiedzieć nekrolog nad trupami.

Nie tylko w przebiegu głównej akcji jednak, ale i w technice dramatycznej i w drobnych szczegółach tragedya Kyda ma wiele punktów stycznych z »Hamletem«. W obu dziełach wrażenie wzmocnione jest przez motywy i figury dodatkowe: jak Hamlet z Fortinbrasem i Laertesem, tak u Kyda ojciec-mściciel Hieronimo skonstrastowany jest z wice-królem portugalskim, pełnym żalu po mniemanej stracie syna, i ze starym człowiekiem z ludu, któremu syna zabito i który zjawia się z petycją na dworze. Z pojedynczych małych efektów jako wspólne obu utworom wymienić można: czarne szaty mściciela, gdy się nam pierwszy raz ukazuje; przysięgę na głownię miecza; czytanie książki przed rozpoczęciem refleksyjnego monologu; wreszcie zarządzenia pogrzebowe na końcu. Motywem obcym tragedyi Kyda jest cudzołożna namiętność jako sprężyna akcji: ten istotny składnik fabuły zapewne już autor pierwotnego »Hamleta« przejął z noweli. Żadnej analogii w »Tragedyi hiszpańskiej« nie mają wspaniałe rozmowy na cmentarzu (V, 1): w nich radziłybyśmy widzieć twórczą rękę Shakespeara samego; pojawiające się w innych współczesnych »tragediach zemsty« sceny cmentarne — mostrealnie przesadne szczególnie u Tourneura — możnaby w takim razie uważać za kopie, a zatem interesujące dowody silnego wrażenia, jakie ten genialny pomysł poety wyrzucił musiał na współczesnych.

Już zestawienie głównych motywów »Hamleta« z »Tragedyą hiszpańską« prawie że usuwa z pola wiele z tych przeróżnych trudności, które w oczach tyłu już pokoleń otaczają to dzieło Shakespeara; wszak i Goethe, który tak pomnikowo scharakteryzował Hamleta w powieści *Wilhelm Meisters Lehrjahre* (1795, ks. IV—V), jednak jeszcze potem w starości o całym dramacie powiedział, że ostatecznie »cięży nam na duszy, jak ponura zagadka«¹⁾. W szczególności główne i najogólniejsze z zagadnień hamletowskich — dlaczego Hamlet ociąga się z wykonaniem zlecenia ducha — zdaje się tracić rację bytu, gdy rozpatrujemy »Hamleta« w związku z innymi przykładami »tragedyi zemsty«. Mści-

¹⁾ *Ein Rätsel, das denn doch, man mag sagen, was man will, als ein düsteres Problem auf der Seele lastet. 1828.*

ciel we wszystkich tych dziełach ociąga się i waha; ociągać i wahać się musi, ponieważ — jak w odniesieniu do »Hamleta« samego zauważył racjonalista Johnson w XVIII wieku — gdyby odrazu dokonał dzieła, nie byłoby czem wypełnić pięciu aktów, nie mogłoby być tragedii. Naturalnie, że takie czysto techniczne tłumaczenie na żart zakrawa wobec Shakespeara, po którym spodziewamy się ożywienia danego w źródle literackim szablonu akcji przez psychologiczne uzasadnienie. Dlatego też o psychologicznej treści »Hamleta« więcej pono napisano, niż o czemkolwiek innym w całej literaturze powszechnej. Przeglądu rozlicznych teorii o »Hamlecie« czynić tu nie trzeba: posiadamy encyklopedyczne ich zestawienia w języku angielskim, niemieckim i polskim¹⁾. Kilkakrotnie także już wykazano, że mało która rozprawa o »Hamlecie« słuszne sobie rości pretensje do oryginalności, że raczej każda prawie należy do jednej z kilku wielkich klas lub kategorii, w których wszystkie niemal dotychczasowe interpretacje pomieścić się dadzą²⁾. Z drugiej strony niema prawie teorii, któraby nie miała w sobie czegoś przekonywającego, jakiegoś ziarenka słuszności, — i właśnie ta mnogość możliwych, mniej więcej usprawiedliwionych interpretacji jest imponującym hołdem dla niewyczerpanego czaru i nieskończoności żywotności poematu. Przyznając każdemu z wielu rozmaitych wyjaśnień pewne usprawiedliwienie, można powoływać się na fakt, że człowiekiem przy każdym niemal w życiu postępkowi powoduje nie jeden jednolity motyw, lecz większa ich ilość naraz; tak samo więc i na bezczynność Hamleta więcej niż jeden powód się składa, i w tej wielostronności umotywowania Shakespeare jest prawdziwy i prawdziwie wielki. Ale taka, rzec można, fotograficzna ocena utworu nie daje zadowolenia: natura ludzka w dziele sztuki domaga się jedności, uogólnienia, syntezy; każdy czytelnik »Hamleta« chciałby sprowadzić wszystkie poruszenia tej bogatej duszy do jednego wspólnego pierwiastka. Trzy kardynalne typy takich

¹⁾ H. H. Furness, *A New Variorum Edition of Shakespeare: Hamlet* (2 tomy, Philadelphia, 1877). — R. Loening, *Die Hamlet-Tragödie Shakespeares* (Jena, 1893). — Wł. Matlakowski, *Hamlet* (tekst angielski i polski, z obszerną przedmową i komentarzem, Kraków, 1894).

²⁾ Takich klasyfikacji dokonali A. H. Tolman (*The Views about Hamlet*, Boston, 1906) i A. C. Bradley *Shakespearean Tragedy*, London, 1905, rozdz. III—IV).

usiłowań w historii krytyki »Hamleta« odróżnić się dadzą. Do najprostszycy pozornie należy obiektywne tłumaczenie, któremu szczególnej powagi nadał hegelianin Werder (1875): według niego i innych, okoliczności zewnętrzne przez cały przeciąg dramatu uniemożliwiają Hamletowi wykonanie zlecenia, i nie można wcale u niego mówić o wahaniu i braku decyzji. Jakby sam chciał z góry usunąć podstawę do tak jednostronnych wyjaśnień, Shakespeare nie tylko nigdzie w rozmyślaniach Hamleta o trudnościach czysto zewnętrznych nie wspomina, ale wprost każe mu orzec w monologu po spotkaniu z wojskiem Fortinbrasa, że ma »słuszne powody, wolę, siłę, środki« do stanowczego czynu (IV, 4). W ostatecznych wnioskach to obiektywne tłumaczenie prowadzić musi do fatalistycznej interpretacji dzieła: poeta w pewnych aluzjach pod koniec dramatu — szczególnie w słowach Hamleta o władaniu Opatrzności (V, 2) — rozmyślnie taki fatalistyczny nastrój wywołuje, tak samo jak go wywołuje od pierwszej sceny i wciąż podtrzymuje w »Makbecie«. Ale fatalistą w tem znaczeniu co tragicicy staro-grecy Shakespeare nie jest; nie pewność i nieodmienność przeznaczenia, lecz wiekuiста zagadkowość stosunku woli ludzkiej do kolei przeznaczeń jest głównym czynnikiem niepożytego uroku jego wielkich tragedii, i to nadewszystko różni je jako arcydzieła ducha romantycznego od absolutnie jednoznacznych w tym względzie tragicznych pomników klasycyzmu. Niektórzy krytycy, przejęci tym ideałem romantyzmu, chcieli nawet problematyczność całej wogóle psychiki Hamleta określić jako główną artystyczną zaletę dzieła; mówią — jak Dowden — o »żywotnej niejasności« (*vital obscurity*) dramatu jako źródle jego niegasnącego uroku; to już rezygnacja zbyt daleko posunięta wobec renesansowego poety, którego estetyce obce było podnoszenie świadomych i rozmyślnych niedopowiedzeń do godności systemu.

Powracając do fatalistycznych tłumaczeń »Hamleta«: że przeznaczeniem dla bohatera staje się nie zbieg zewnętrznych okoliczności tylko, lecz także — i przede wszystkim — stan jego duszy, to znaczna większość krytyków uznaje; ale daleko rozbiegają się zdania o kwestyi, co właśnie w jego duszy stanowi tę siłę fatalną, która go wstrzymuje od zlecenego czynu aż do chwili własnej zguby. Pewna liczba komentatorów mniema, że hamują go skrupuły natury moralnej — sumienie, wzdragające się przed

zabójstwem, brak absolutnej pewności co do winy króla, względ na opinię narodu, przed którą król-wicz chce być zupełnie czysty. Cała ta klasa teorii cierpi na ten sam niedostatek co poprzednia: brak w samym tekście dzieła ustępów, któreby ją silnie popierały. Hamlet wprawdzie niedługo przed katastrofą zapytuje Horacya, czy nie sądzi, że teraz »z czystym sumieniem« mógłby wystąpić ze świata tyrana, co tak nikczemnie nastawał na jego życie (V, 2); ale w swych monologach, gdzie wypowiada obszerniej i szczerzej, co myśli o sobie i swem położeniu, nigdzie ani słowem nie wspomina o przeszkodach etycznej natury¹⁾.

Daleko więcej podstawy w słowach samego Hamleta ma trzecia grupa teorii, najbogatsza w odmiany, najsilniejsza i mocą argumentów i autorytetem nazwisk komentatorskich. Są to teorie, tłumaczące bezczynność Hamleta jego temperamentem, naturą, charakterem, usposobieniem, czy jak tam inaczej zechcemy nazwać pewną zasadniczą skłonność lub słabość. Goethe, określając jako temat utworu »wielkie zadanie, włożone na duszę niezdolną do jego wykonania«, mógł się powołać na rozpaczliwy okrzyk bohatera (I, 5):

»Czas wyszedł z stawów — losów klątwa zdarza,
Że się rodziłem na jego lekarza!«

i miał prawo zrobić te słowa osiłą swjej interpretacji. Wielcy romantycy — Schlegel i Coleridge — mówiąc o niezdolności głęboko refleksyjnej natury do stanowczego czynu, mogli cytować równie wymowne słowa bohatera w monologu o samobójstwie (III, 1);

»Tak to rozważa czyni nas tchórzami²⁾;
Postanowienia rumiane oblicze
Myśl chorowitą błądząca powleka;
Zamiary ducha olbrzymie i ważne
Na myśl tę z drogi swjej się odwracają
I tracą czynu nazwisko.« (III, 1).

Ci, co później nazwali Hamleta pesymistą, potrzebowali tylko przytoczyć wspaniały wybuch zniechęcenia do wszech rzeczy tego świata w rozmowie z Rosencrantzem i Guilden-

¹⁾ Używa wprawdzie Hamlet w tekście angielskim słów *conscience* (III, 1) i *scruple* (IV, 4), ale w znaczeniach zgoła odmiennych od dzisiejszych, i w zastosowaniu nie do sumienia, lecz do intelektu.

²⁾ Tak słusznie tłumaczy ten wiersz Paszkowski.

sternem¹⁾. Ci znowuż, co mienią Hamleta sceptykiem, za *motto* podać mogą jego nieśmiertelne powiedzenie: »Nic nie jest samo przez się złem albo dobrem, myśl tylko w jedno lub drugie je przemienia« (II, 2). Ci, co Hamleta definiują jako melancholika z natury — podlegającego (jak dodaje Loening) co pewien czas cholerycznym impulsom — powtarzają jego własne wyrażenia: o »słabości i melancholii« mówi król-wicz (II, 2) z zaimkiem dzierżawczym jako o stałych przymiotach swjej osoby. Nawet tacy, co, posuwając się dalej, nazywają Hamleta zasadniczo opieszałym i niedbałym, czy też poprostu tchórzliwym w swjej ostrożności, znajdują te obelżywe określenia w jego własnych z sobą rozprawach.

»A ja, ciężki nędzarz,
Błady nikczemnik, z duszą pełną błota,
Drzemię nieczuły, sprawy mej niepomny,
Nic rzec nie umiem
Czym jest tchórzem?
Kto mnie nędznikiem nazwie?
Ha! wszystko znieścibym musiał!« (II, 2).

»Jest-li to więc skutkiem
Zwierzęcej, godnej bydła niepamięci,
Czy trwożliwego i drobiazgowego
Przewidywania, które ściśle biorąc
Zawsze ma w sobie trzy części tchórzostwa
A tylko jedną mądrości, — doprawdy
Nie mogę tego pojąć, że aż dotąd
Mówię do siebie: tr z e b a t o u c z y n i ć,
I kończę na tem...« (IV, 4).

(Tł. Paszkowskiego).

Wspólną właściwością całej tej licznej klasy teorii o »Hamlecie« jest, że cokolwiek w jego duchowej osobistości okre-

¹⁾ II, 2: »To piękne dzieło — ziemia — zdaje mi się pustym przyładkiem; ten zachwycający baldachim — powietrze — patrzcie, ten piękny firmament nad naszymi zawieszony głowami, to majestatyczne sklepienie złotym strojone ogniem — dla mnie wszystko to zdaje się szpetnym, za-trutym zbiorem wyziewów. Co za arcydzieło człowiek! jak szlachetny rozumem! jak nieskończony w zdolnościach! w postaci i ruchu jak wyraziści i cudowny! w czynach jak do aniołów podobny! myślą jak do bóstwa zbliżony! ozdoba świata, wzór wszystkich stworzeń! a przecie, dla mnie, czemuż jest ta kwintesencja prochu? Człowiek nie ma dla mnie uroku, nie — ani mąż ani niewiasta, choć wasz usmiech wąpić się o tem zdaje.«
(Tł. Ułricha.)

ślają jako właściwą przyczynę jego niezdolności do czynu, zawsze jest to jakiś stały przymiot, jakaś konstytucyjna, istotna część jego moralnego ustroju, jakaś skłonność, co od początku w nim była i wreszcie zupełnie nim owładnęła. Wszyscy komentatorzy tej kategorii mogą do Hamleta odnosić słowa bohatera o przyrodzonych słabościach ludzi (przez niego użyte o pijafistwie na dworze duńskim):

»Tak bywa często w ludziach pojedynczych,
 Że jedna mała natury ich plama,
 Czy z urodzenia — w czym nie jest ich wina,
 Bo nikt początku swego nie wybiera —
 Czy to ze zbytniej bujności humoru,
 Szranki i twierdze rozumu łamiącej,
 Czy też z nałogu, który swym fermentem
 Obyczajności kształtne formy krzywi:
 Ci ludzie, jednym piętnowani błędem,
 Wołą natury lub zesłaniem losu,
 Choćby ich cnoty były nieskończone,
 Były tak czyste, jak jest niebios łaska, —
 W powszechnej błędzi jednego naganie
 Zmarnieją wszystkie. Jeden gram spodenia
 Szlachetne ciało do swej nikczemności
 Sprowadza nieraz«. (I, 4). (Tł. Ułricha.)

Znakomita powieściopisarka George Eliot, która także wierzyła w taką konstytucyjną skłonność Hamleta, w żartobliwym ustępie swej powieści *The Mill on the Floss* nazkicowała obraz królewicza, jakimby on był w późniejszych latach życia, gdyby nie zbrodnia stryja. »Zaślubiwszy Ofelię, przeszedłby przez życie z reputacją normalnego umysłowo człowieka, mimo licznych monologów, zgryźliwych sarkazmów wobec pięknej córki Poloniusa, nie mówiąc już o zupełnie otwartej nieuprzejmości wobec teścia«. Istotnie nasuwa się pytanie, czy wspólna cecha wszystkich tych teorii, szukających wyjaśnienia »Hamleta« w zasadniczym ustroju duszy bohatera, nie jest wspólną ich słabą stroną; czy poza pewnem (wcale nie chorobliwie nadmiernem) upodobaniem w refleksjach i uogólnieniach można się dopatrywać w pierwotnej fizyognomii duchowej Hamleta czegoś radykalnie odmiennego od ogółu otoczenia. Jakim właściwie człowiekiem był królewicz przed śmiercią ojca i nowymi ślubami matki? Na podstawie tego, co o nim i od niego słyszymy, wolno nam wyobrazić sobie, że był wzorem i połączeniem zalet dworzanina, żołnierza i uczonego: taką gwiazdę w nim widziało rozkochane oko

Ofelii (III, 1); — wolno nam uważać go nawet za urodzonego geniusza rozumu i wyobraźni: takim go mianowali Vischer, Türck i inni, przypisując bohaterowi coś z tego blasku, który jest własnością jego twórcy; — ale nic w tekście dramatu nie upoważnia nas do mniemania, że poglądy Hamleta na świat i życie nacechowane były czemś innym jak przeciętną normalną pogodą młodego człowieka jego stanu; świadczy o tem choćby historia jego zabiegów miłosnych, opowiedziana przez Ofelię (I, 3; III, 1). Poeta daje do zrozumienia, że bezpośrednio przed samymi wypadkami dramatu zaszła w duszy Hamleta jakaś wielka zmiana, że dokonał się w nim zupełny przewrót. Nie bez rozmysłu każe Shakespeare królowi (II, 2) mówić o »przeobrażeniu« (*transformation*) synowca; każe mu stwierdzić dobitnie, że

»nic w nim tak zewnątrz
 Jak i na zewnątrz, nie jest tem, czem było.« (II, 2).
 (Tł. Paszkowskiego).

Ten, co wypowiada te słowa, odnosi je wyłącznie do pozornego obłądzenia Hamleta; ale nie mogą się odnosić do tej maski tylko słowa bohatera samego, gdy mówi do kolegów z lat szkolnych (III, 2): »Od pewnego czasu — nie wiem dlaczego — straciłem dawną wesołość, zaniedbałem zwykłych ćwiczeń, i zaprawdę... ciężkość na duszę moją spadła...«¹⁾ Opisując swój stan w ten sposób, Hamlet niewątpliwie mówi prawdę; jedno tylko zastrzeżenie, które z góry czyni, z prawdą zgodne nie jest: »nie wiem dlaczego«. On z n a przyczynę swego zniechęcenia do życia. »Lecz piękni, serce — usta me zamknięte!« (I, 2). Przyczynę odgaduje budzące się sumienie matki: jest nią nie tylko śmierć ojca, lecz »nasze pośpieszne śluby« (II, 2). Obrzydzenie nad tym »niecnym pośpiechem w kazirodne łożo« przemawia wielkim głosem z pierwszego monologu, jaki z ust bohatera słyszymy (I, 2). Natury tego uczucia nie zmienia objawienie ducha: ono je tylko potęguje do przeświadczenia o cudzołóstwie matki jeszcze za życia ojca, — i ta straszliwa pewność zabarwia swym brudem cały słoneczny dotąd obraz świata. Pod takim wrażeniem

¹⁾ Nie trzeba tego zdania brać zbyt dosłownie, o ile chodzi o symptomy czysto fizyczne: Hamlet sam później, gdy chodzi o szermierkę, mówi, że nie przestał się w niej ćwiczyć od czasu wyjazdu Laertesza do Francji (V, 2); — może czynił to już z myślą o krwawej zemście.

nikt się uogólnieniom oprzeć nie może: dla Hamleta teraz cały świat jest zły i zepsuty, oczyścić i naprawić żaden człowiek go nie zdoła, żyć i działać — nie warto. To istotnie tłumaczy bezwzględna pogarda i nieufność wobec dworskiego otoczenia, rozpacziwą bezczynność, a przede wszystkim brutalne zaprzeczenie dawnej wiary w życie i naturę ludzką w cynicznych rozmowach z Ofelią (III, 1, 2): reszta miłości, tą goryczą zatrutej, każe mu widzieć dla niej w klasztorze jedyną ucieczkę z takiego świata! — To tłumaczenie — najwyraźniej sformułował je A. C. Bradley — wyjaśnia także centralne w dramacie stanowisko i bolesną w swej żywotnej potędze retorykę wielkiej rozprawy syna z matką (III, 4). Ma wreszcie to tłumaczenie dla człowieka dzisiejszego tę zaletę, że nie czyni zachowania Hamleta w zupełności zależnym od objawień ducha. Duch ojca w świetle tej interpretacji nie jest ani tą prosto decydującą w akcji rzeczywistą osobą, jaką był dla publiczności shakespeareowskiej a dla nas oczywiście być nie może, — ani czystą halucynacją, jaką radziby go zrobieć niektórzy psychologowie, lecz jest tą maszyną teatralną, jakiej potrzebował i bez metafizycznych namysłów użył sam Shakespeare, by do wrażeń i uczuć Hamleta dorzucił tyle konkretnych wiadomości, ile potrzeba dla wprowadzenia w ruch akcji dramatycznej.

O pozostałych figurach »Hamleta« trudno powiedzieć więcej lub co innego, aniżeli o nich mówi sam tekst utworu. Wryte są w pamięci każdego, kto zna dramat, ze światłem i cieniem, z wadami i zaletami, wszechstronnie i przekonująco, jako wieczyście żywe rzeczywistości. Jedno może tylko ostrzeżenie jest potrzebne: dla poety, jak dla nas, królewicz był widocznie najmiłszą i najważniejszą postacią tragedyi; i dlatego widz i czytelnik zbyt skłonny jest patrzeć na wszystkich wokoło przez szkła samego Hamleta. Poeta usiłuje miejscami zaznaczyć, że ani zbrodniczy Klaudyusz nawet nie jest tak zupełnie pozbawiony godności męskiej i monarszej, jak dowodzi Hamlet; majestat wiary całych pokoleń renesansowych w boską misję króla opromienia go chwilowo, gdy śmiało stawia czoło zbuntowanym¹⁾; i o jego pijaństwie (I, 4) i o jego fizycznej postaci (III, 4)

¹⁾ »Osoby króla taka strzeże boskość,
Ze zdrada może wielkie plany tworzyć,
Ale nie może wykonać ich części« (IV, 5).

Hamlet niewątpliwie mówi z przesadą nienawiści. Ani dalej Polonius nie jest tak zdziennym i nierozsądnym, jak się wydaje zniecierpliwionemu bohaterowi; ani może wierny i ukochany przyjaciel Horacyo, dość bezbarwnie w swych własnych słowach się przedstawiający, nie jest właściwie tym mężem »najsprawiedliwszym«, beznamietności, obojętnym na gniewy i łaski Fortuny, jakiego entuzjastycznie wielbi w nim Hamlet (III, 2). Ani wreszcie sama królowa — niestety! — nie jest pono zdolna do tak głębokich i żywiołowych poruszeń całej moralnej istoty, jakie Hamlet mniema, że w niej wywołał; ona nie potrafi, jak jej syn radzi (III, 4), całkiem odrzucić »gorszej części« rozdartego serca, i »żyć czystszej z tą drugą połową!« Z drugiej strony powiedzieć także można, że wysokie pochwały, jakie Hamlet oddaje Laertesowi, przeciwważą złe wrażenie, jakie wywołać musi jego rozmysłny udział w nikczemnej intrydze króla przeciw bohaterowi. Różne wreszcie wątpliwości, jakie otaczają postać Ofelii, są wynikiem świadomego starania poety o to, by ten epizod miłosny zachować w należnych granicach. Ofelia nie jest zakrojona na bohaterkę tragiczną wielkiej miary, i Shakespeare nie chciał, by w dramacie zajęła stanowisko tak okazałe, jak Julia obok Romea, lub Kleopatra obok Antoniusza; dlatego też musiał różne fazy tej historyi miłosnej pozostawić w półcieniu. »Hamlet« nie jest tragedją miłości, bo miłość dla twórcy »Romea i Julii« i »Snu nocy letniej« w ciężkich i poważnych latach wieku męskiego już nie jest największą sprawą tego życia; siła musu a siła woli, znaczenie bytu ziemskiego i tajemnice śmierci, — to problemy górujące w umyśle poety, gdy pisał »Hamleta«, »Otella«, »Lira« i »Makbeta«.

OSOBY:

Klaudyusz, król duński.
Hamlet, syn poprzedniego a synowiec teraźniejszego króla.
Poloniusz, szambelan.
Horacy, przyjaciel Hamleta.
Laertes, syn Poloniusza.
Woltymand
Korneliusz
Rozenkranc
Gildenstern
Ozryk
Ksiądz.
Marcellus
Bernardo } Dworzanie.
Francisko, żołnierz.
Renaldo, sługa Poloniusza.
Rotmistrz.
Poseł.
Duch ojca Hamleta.
Fortynbras, księżę norweski.
Gertruda, królowa duńska, matka Hamleta.
Ofella, córka Poloniusza.
Panowie, damy, oficerowie, żołnierze, aktorowie, grabarze,
majtkowie, posłowie i inne osoby.

Rzecz się odbywa w Elzynorze.

HAMLET.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Taras przed zamkiem.

(Francisko na warcie, Bernardo zbliża się ku niemu).

Bernardo. Kto tu?

Francisko. Nie, pierwszej ty sam mi odpowiedz;
Stój, wymień hasło!

Bernardo. Niech Bóg chroni króla.

Francisko. Bernardo?

Bernardo. Ten sam.

Francisko. Bardzo akuratanie
Stawiacie się na czas, panie Bernardo.

Bernardo. Tylko co biła dwunasta. Idź, spocznij,
Francisko.

Francisko. Wdzięcznym wam za zluzowanie,
Bom zziąbł i głupio mi na sercu.

Bernardo. Miałżeś
Spokojną wartę?

Francisko. Ani mysz nie przeszła.

Bernardo. Dobranoc. Jeśli napotkasz Marcella
I Horacego, z którymi tej nocy

Straż mam odbywać, powiedz, niech się śpieszą.
(Horacy i Marcellus wchodzą).

Francisko. Zda mi się, że ich słyszę. — Stój! kto idzie?
Marcellus. Lennicy Danii.

Horacy. Przyjaciele kraju.
Francisko. A zatem dobrej nocy.
Marcellus. Bądź zdrow, stary.

Kto cię złuzował?
Francisko. Bernardo. Dobranoc.
(*Odchodzi*).

Marcellus. Hola! Bernardo!
Bernardo. Ho! czy to Horacy

Z tobą, Marcellu?
Horacy. Niby on.
Bernardo. Witajcie.

Horacy. I cóż? Czy owa postać i tej nocy
Dała się widzieć?

Bernardo. Ja nic nie widziałem.

Marcellus. Horacy mówi, że to przywidzenie,
I nie chce wierzyć wieści o tem strasznym,
Dwa razy przez nas widzianem zjawisku;
Uprosiłem go przeto, aby z nami
Przepędził część tej nocy dla sprawdzenia
Świadectwa naszych oczu i zbadania
Tego widziadła, jeżeli znów przyjdzie.

Horacy. Nic z tego; ręczę, że nie przyjdzie.

Bernardo. Usiądź,
I ścierp, że jeszcze raz zaszurmujemy
Do twego ucha, które tak jest mocno
Obwarowane przeciw opisowi
Tego, czegośmy przez dwie noce byli
Świadcami.

Horacy. Dobrze, usiądźmy; Bernardo,
Opowiedz, jak to było.

Bernardo. Przeszłej nocy,
Gdy owa jasna gwiazda na zachodzie
Tę samą stronę nieba oświecała,
Gdzie teraz błyszczy, i zamkowy zegar
Bił pierwszą, Marcel i ja ujrzelśmy...

Marcellus. Przestań; spojrzycie tam: nadchodzi znowu.
(*Duch się ukazuje*).

Bernardo. Zupełnie postać nieboszczyka króla.

Marcellus. Horacy, przemów doń, uczony jesteś.

Bernardo. Może być większe podobieństwo? powiedz.

Horacy. Prawda; — słupię z trwogi i zdumienia.

Bernardo. Zdawałoby się, że chce, aby który
Z nas doń przemówił.

Marcellus. Przemów doń, Horacy.

Horacy. Ktoś ty, co nocnej pory nadużywasz
I śmiesz przywłaszczać sobie tę wspaniałą
Wojenną postać, którą pogrzebiony
Duński monarcha za życia przybierał?
Zaklinam cię, na Boga: odpowiadaj.

Marcellus. To mu się nie podoba.

Bernardo. Patrz, odchodzi.

Horacy. Stój! mów; zaklinam cię: mów.

(*Duch znika*).

Marcellus. Już go niema.

Bernardo. I cóż, Horacy? Poblądłeś, drżysz cały.

Powiesz że jeszcze, że to urojenie?

Cóż myślisz o tem?

Horacy. Bóg świadkiem, że nigdy

Nie byłbym temu wierzył, gdyby nie to

Tak jawne, dotykalne przeświadczenie

Własnych mych oczu.

Marcellus. Nie jestże to widmo

Podobne, powiedz, do zmarłego króla?

Horacy. Jak ty do siebie. Taką właśnie zbroję

Miał wtedy, kiedy Norweńczyka pobił:

Tak samo, pomnę, marszczył czoło wtedy,

Kiedy po bitwie zaciętej na lodach,

Rozbił tabory Polaków. Rzecz dziwna!

Marcellus. Takto, dwa razy, punkt o tejże samej

Godzinie przeszło marsowymi krokami

To widmo mimo naszych posterunków.

Horacy. Coby to w gruncie mogło znaczyć, nie wiem;

Atoli wedle kalibru i skali

Mojego sądu, jest to prognostykiem

Jakichś szczególnych wstrząśnień w naszym kraju.

Marcellus. Siądźcie, i niech mi powie, kto świadomy,

Na co te ciągłe i tak ściśle warty

Poddanych w kraju noc w noc niepokoją?

Na co to lanie dział i skupywanie

Po obcych targach narzędzi wojennych?

Ten ruch w warsztatach okrętowych, kędy

Trud robotnika nie zna odróżnienia

Między niedzielą a resztą tygodnia?

Co powoduje ten gwałtowny pośpiech,

Dający dniowi noc za towarzyszkę?

Objasniż mi to kto?

Horacy.

Ja ci objaśnię.

Przynajmniej wieści chodzą w taki sposób:
 Ostatni duński monarcha, którego
 Obraz dopiero co nam się ukazał,
 Był, jak wiadomo, zmuszony do boju
 Przez norweskiego króla, Fortynbrasa,
 Zazdroszczącego mu jego potęgi.
 Mężny nasz Hamlet (jako taki bowiem
 Słynie w tej stronie znajomego świata)
 Położył trupem tego Fortynbrasa,
 Który na mocy aktu, pieczęciami
 Zatwierdzonego i uświęconego
 Wojennem prawem, był obowiązany
 Części swych krajów ustąpić zwycięzcy,
 Tak jak nawzajem nasz król, na zasadzie
 Klauzuli tegoż samego układu,
 Byłby był musiał odpowiednią porcję
 Swych dzierżaw oddać na wieczne dziedzictwo
 Fortynbrasowi, gdyby ten był przemógł.
 Owóż syn tego, panie, Fortynbrasa,
 Awanturycznym pobudzony szałem,
 Zgromadził teraz zebraną po różnych
 Kątach Norwegii, za strawę i jurgielt,
 Tłuszcę bezziemnych ochotników, w celu,
 Który bynajmniej nie traci tchórzostwem,
 A który, jak to nasz rząd odgaduje,
 Nie na czem innem się zasadza, jedno
 Na odebraniu nam siłą oręża,
 W drodze przemocy wyż rzeczonych krain,
 Które utracił był jego poprzednik;
 I to, jak mi się zdaje, jest przyczyną
 Owych uzbrojeń, powodem czat naszych
 I źródłem tego wrzenia w całym kraju.

Bernardo. I ja tak samo sędzę; tem-ci bardziej,
 Że to zjawisko w wojennym przyborze
 Odwiedza nasze czaty i przybiera
 Na siebie postać nieboszczyka króla,
 Który tych wojen był i jest sprężyną.

Horacy. Znak to dla oczu ducha płodny w groźbę.
 Gdy Rzym na szczycie stał swojej potęgi,
 Krótko przed śmiercią wielkiego Juliusza,
 Otworzyły się groby i umarli
 Błądzili jęcząc po ulicach Rzymu;

Widziane były różne dziwowiska:

Jako to gwiazdy z ogonem, deszcz krwawy,
 Plamy na słońcu i owa wilgotna
 Gwiazda, rządząca państwami Neptuna,
 Zmierzczyła, jak gdyby na sąd ostateczny.
 I otóż takie same poprzedniki
 Smutnych wypadków, które, jako gońce,
 Biegną przed losem, albo są prologiem
 Wróżb przyjść mających, nieba i podziemia
 Zsyłają teraz i naszemu państwu.

(Duch powraca).

Patrzcie! znów idzie. — Zastąpię mu drogę,
 Choćbym miał zdrowiem przypłacić. — Stój, maro!
 Możesz-li wydać głos albo przynajmniej
 Dźwięk jakikolwiek przystępny dla ucha:
 To mów!

Jest-li czyn jaki do spełnienia, zdolny
 Dopomódz tobie a mnie przynieść zaszczyt:
 To mów!

Masz-li świadomość losów tego kraju,
 Które, wprzód znając, możnaby odwrócić:
 O, mów!

Alboli może za życia pogrzebłeś
 W nieprawy sposób zgromadzone skarby,
 Za co wy, duchy, bywacie, jak mówią,
 Skazane nieraz tułać się po śmierci.

(Kur pieje).

Mów! Stój! mów! — Zabieź mu drogę, Marcellus.
Marcellus. Mamże nań natrzeć halabardą?

Horacy. Natrzyj,

Jeśli nie stanie.

Bernardo. Tu jest.

Horacy. Tu jest.

(Duch znika).

Marcellus. Zniknął.

Krzywdzim tę postać tak majestatyczną,
 Chcąc ją przemocą zatrzymać; powietrze
 Tylko chwytamy i czczą naszą groźba
 Złośliwem tylko jest urągowskiem.

Bernardo. Chciał coś podobno mówić, gdy kur zapiął.

Horacy. Wtem nagle wzdygnął się, jak winowajca
 Na głos strasznego apelu. Słyszałem,
 Że kur, ten trębacz zwiastujący ranek,

Swoim donośnym, przeraźliwym głosem
Przebudza bóstwo dnia i na to hasło
Wszelki duch, czy to błądzący na ziemi,
Czy w wodzie, w ogniu, czy w powietrzu, śpiesznie
Wraca, skąd wyszedł; a że to jest prawdą,
Dowodem właśnie to, cośmy widzieli.

Marcellus. Zadrżał i rozwiął się, skoro kur zapiał.

Mówią, że ranny ten ptak, w owej porze,
Kiedy święcimy Narodzenie Pana,
Po całych nocach zwykł śpiewać i wtedy
Żaden duch nie śmie wyjść z swego siedliska:
Noce są zdrowe, gwiazdy nieszkodliwe,
Złe śpi, ustają czarodziejskie wpływy,
Tak święty jest ten czas i dobroczynny.

Horacy. Słyszałem i ja o tem i po części
Sam daję temu wiarę. — Ale patrzcie,
Już dzień w różanym płaszczu strząsa rosę
Na owym wzgórku wschodnim. Zejdźmy z warty.
Moja zaś rada, abyśmy niezwłocznie
O tem, czegośmy tu świadkami byli,
Uwiadomili młodego Hamleta;
Bo prawie pewien jestem, że to widmo,
Milczące dla nas, przemówi do niego.
Czy się zgadzacie na to, co nam zrobić
Zarówno serce jak powinność każe?

Marcellus. Jak najzupełniej, i wiem nawet, gdzie go
Na osobności zdybiemy dziś z rana.
(*Wychodzą.*)

SCENA II.

Sala audyencyjonalna w zamku.

(*Król, Królowa, Hamlet, Poloniusz, Laertes, Woltymand,
Korneliusz, Panowie i orszak.*)

Król. Jakkolwiek świeżo tkwi w naszej pamięci
Zgon kochanego, drogiego naszego
Brata Hamleta, jakkolwiekby przeto
Sercu naszemu godziło się w ciężkim
Żalu pogrążyć, a całemu państwu
Zawrzeć się w jeden fałd kiru; o tyle
Jednak rozwaga czyni gwałt naturze,

Że, pomnąc o nim, nie zapominamy
O sobie samych. Dlatego — z zatrutą,
Że tak powiemy, od smutku radością,
Z pogodą w jednym a żłą w drugim oku,
Z bukietem w rękę a jękiem na ustach,
Na równi ważąc wesele i boleść —
Połączyliśmy się małżeńskim węzłem
Z tą niegdyś siostrą naszą a następnie
Dziedziczką tego wojennego państwa.
Co wszakże czyniąc, nie postąpiliśmy
Wbrew światlejszemu waszemu uznaniu,
Które swobodnie objawione dało
Temu krokowi sankcyę. Dzięki za to. —
A teraz wiedzcie, że młody Fortynbras,
Czyli to naszą lekceważąc wartość,
Czyli to sądząc, że z śmiercią drogiego
Brata naszego w królestwie tem znajdzie
Nieład i bezrząd, i na tem jedynie
Budując płonną nadzieję korzyści,
Nie zaniedbuje naglić nas przez posłów
O zwrot tych krain, które prawomocnie,
Za sprawą świętej pamięci Hamleta,
Brata naszego, z rąk jego rodzica
Przeszły na własność Danii. Tyle o nim.
Terazże o nas i o celu, w jakim
Tu się zesłiliśmy. Wzywamy tem pismem
Stryja młodego Fortynbrasa, dzisiaj
Króla Norwegii, — który, z sił opadły,
Obłożnie chory, może i nie słyszał
O tych zabiegach swojego synowca, —
Aby powstrzymał go od popierania
Tych roszczeń; aby mu wzbronił zbierania
Wojsk i czynienia wszelkich nieprzyjaznych
Nam demonstracji. — Wam zaś, Korneliuszu
I Woltymandzie, poruczymy zanieść
To pismo, łącznie z pozdrowieniem naszym
Władcy Norwegii, nie upoważniając
Was do wchodzenia z nim w nic więcej nad to,
Co treść powyższych słów naszych zakreśla.
Bywajcie nam więc zdrowi i niech pośpiech
Chwali gorliwość waszą.

Korneliusz i Woltymand. Jak we wszystkim,
Tak i w tem starać się będziemy jej dowieść.

Król. Nie wątpię o tem. Bywajcież nam zdrowi.
(*Korneliusz i Woltymand wychodzą*).

Miałeś nas o coś prosić, Laertesie;
Jakiż jest przedmiot tej prośby? Mów śmiało.
Nie traci próżno słów, kto się udaje
Z słusznem żądaniem do monarchy Danii.
Czegożbyś pragnął, czegobym nie gotów
Spełnić wprzód jeszcze, niżeliś zapragnął?
Głowa nie bliżej jest pokrewną sercu,
Ręka nie skorszą ku przystudze ustom,
Jak tron nasz ojcu twemu, Laertesie,
Czegoż więc żądasz?

Laertes. Pozwolenia Waszej
Królewskiej Mości na powrót do Francyi,
Skąd chętnie wprawdzie tu przybyłem, aby
Złożyć powinny hołd przy koronacyi
Waszej Królewskiej Mości, ale teraz,
Gdym już dopełnił tego obowiązku,
Życzenia moje i myśli, wyznaję,
Ciągną mię znowu do Francyi; ku czemu
O przychylenie się i przebaczenie
Kornie śmiem Waszą Królewską Mość błagać.

Król. Cóż na to ojciec waszmości? Przystaję
Na to Poloniusz?

Poloniusz. Usilnemi prośby
Póty kołatał do mojego serca,
Ażem do życzeń jego mimochętnie
Przyłożył pieczęć zezwolenia. Racz mu
Wasza Królewska Mość nie bronić jechać.

Król. Jedź więc, rozrządzaj według woli czasem
I łaską naszą.

Do ciebie się teraz
Zwracam, kochany synowcze Hamlecie,
Synu mój.

Hamlet (*na str.*). Trochę więcej niż synowcze,
A mniej niż synu.

Król. Jakiż tego powód.
Że czarne chmury wciąż cię otaczają?

Hamlet. I owszem, Panie, jestem wystawiony
Bardzo na słońce.

Królowa. Kochany Hamlecie,
Zrzuć tę ponurą barwę i przyjaźnie
Wypogodzonym okiem spójrz na Danię;

Przestań powieki ustawicznie spuszczać
W ziemię, o drogim ojcu rozmyślając.
Co żyje, musi umrzeć: dziś tu gości,
A jutro w progi przechodzi wieczności;
To pospolita rzecz.

Hamlet. W istocie, Pani,
Zbyt pospolita.

Królowa. Gdy wszystkim jest wspólną,
Czemuż się tobie zdaje tak szczególną?

Hamlet. Zdaje się, Pani! bynajmniej, jest raczej;
U mnie nic żadne zdaje się nie znaczy,
Niczem sam przez się ten oczom widzialny
Czarnej żałoby strój konwencyonalny;
Wietrzne z trudnością wydawane tchnienie,
Obficie z oczu ciekące strumienie,
Żałość na widok stawiana obliczem,
Mina, gestami — to wszystko jest niczem;
To tylko zdaje się, bo potajemnie
Można być obcym temu; ale we mnie
Jest coś, co w ramę oznak się nie mieści,
W tę larwę żalu, liberyę boleści.

Król. Zaletę-ć czyni, Hamlecie, ten smutek,
Którym oddajesz cześć pamięci ojca;
Lecz wiedz, że ojciec twój miał także ojca
I że go także utracił tak samo,
Jak tamten swego. Dobry syn powinien
Jakiś czas boleć po śmierci rodzica;
Lecz uporczywie trwać w utyskiwaniach
Jest to dowodzić bezbożnej czułości,
Sprzeciwiającej się wyrokowi niebios;
Jest to nie męskie okazywać serce,
Niesforny umysł i płochą rozważę.
Bo skoro wiemy, że coś jest zwyczajnem,
Jak każda inna rzecz najpowszedniejsza,
Na cóż, stawiając opór konieczności,
Brać to do serca? Wstydz się, jest to grzechem
Przeciw naturze, przeciw niebu, przeciw
Zmarłemu nawet; jest to naostatek
Wbrew rozumowi, który od skonania
Pierwszego z ludzi, aż do śmierci tego,
Którego świeżą oplakujem stratę,
Ciągłe i ciągle woła: *tak być musi!*
Rzuć więc, prosimy cię, te płonne żale,

I pomnij, że masz w nas drugiego ojca,
 Niechaj się dowie świat, żeś ty najbliższym
 Naszego tronu i naszego serca;
 Co się zaś tyczy twojego zamiaru
 Wrócenia nazad do szkół wittenberskich,
 Jest on życzeniom naszym wręcz przeciwny;
 Przetoż wzywamy cię, abyś się zgodził
 Na pozostanie tu pod czułą pieczę
 Naszego oka, jako nasz najmilszy
 Dworzanin, krewny i syn.

Królowa. O, Hamlecie,
 Nie daj się matce prosić nadaremnie;
 Pozostań z nami, porzuć myśl jechania
 Do Wittenberga.

Hamlet. Ze wszystkich sił moich
 Będę-ć posłusznym, Pani.

Król. To mi piękna,
 Co się nazywa, synowska odpowiedź! —
 Pójdź, ukochana żono, ta uprzejma
 Nieprzymuszona powolność Hamleta
 Rozpromieniła mi serce; dlatego
 Każdy wzniesiony dziś na zamku toast
 Moździerze wzbijają w obłoki, i niebo,
 Wtórząc radosnym królewskim wiwatom,
 Odpowie ziemi równym grzotem. Idźmy.

(Król, Królowa i wszyscy, prócz Hamleta, wychodzą.)

Hamlet. Bogdaj to trwałe, zbyt wytrwałe ciało
 Stopniało, w lotną parę się rozwiąło!
 Lub bogdaj Ten, tam w niebie nie był karą
 Zagroził samobójcy! Boże! Boże!
 Jak nudnym, nędznym, lichym i jałowym
 Zda mi się cały obrót tego świata!
 To niepielony ogród, samym tylko
 Bujnie krzewiącym się chwastem porosły.
 O, wstydzie! że też mogło przyjść do tego!
 Parę miesięcy dopiero, jak umarł! —
 Nie, nie, i tego niema — taki dobry,
 Taki anielski król, naprzeciw tego
 Istny Hyperion naprzeciw Satyra;
 A tak do matki mojej przywiązany,
 Że nie mógł ścierpieć nawet, aby lada
 Przyostrzy powiew dotknął się jej twarzy.
 Ona zaś — trzebaż, abym to pamiętał! —

Wieszła mu się u szyi tak chciwie,
 Jakby w niej rosła żądza pieśczoł w miarę
 Zaspokajania jej. I w miesiąc potem...
 O, precz z tą myślą!... Słabości, nazwisko
 Twoje: kobieta. — W jeden marny miesiąc,
 Nim jeszcze zdarła te trzewiki, w których
 Szła za biednego mego ojca ciałem,
 Zalana łzami jako Niobe, — patrzcie! —
 Boże mój! zwierzę, bezrozumne zwierzę
 Dłużejby czuło żal — zostaje żoną
 Mojego stryja, brata mego ojca,
 Lecz który tak jest do brata podobny,
 Jak ja do Herkulesa. W jeden miesiąc,
 Nim jeszcze słony osad łez nieszczerych
 Z zacerwienionych powiek jej ustąpił,
 Została żoną innego! Tak prędko,
 Tak lekko skoczyć w kazirodne łoże!
 Nie jest to dobrem ani wyjść nie może
 Na dobre. Ale pękaj, serce moje,
 Bo usta milczeć muszą.

(Horacy, Bernardo i Marcellus wchodzą.)

Horacy. Przyjmij pozdrowienie nasze, drogi Książę.

Hamlet. Miło mi widzieć panów w dobrym zdrowiu. —
 Wszak to Horacy! albo zapomniałem,
 Jak się sam zowie.

Horacy. Ten sam i jak zawsze
 Królewiczowskiej Mości biedny sługa.

Hamlet. Dobry przyjaciel raczej; weź to miano,
 A mnie daj tamto. Cóż cię z Wittenberga
 Sprowadza? — Wszak to Marcellus?

Marcellus. Tak, Panie.
Hamlet. Bardzom rad widzieć Pana. Dobry wieczór.
 Ale na seryo, powiedz mi, Horacy,
 Co cię przywiodło z Wittenberga?

Horacy. Skłonność
 Do próżniackiego życia, Mości Książę.
Hamlet. Tegoby nie śmiał mi powiedzieć nawet
 Twój nieprzyjaciel, i sam też źle czynisz,
 Chcąc ucho moje przymusić do wiary
 W własne zeznanie twoje przeciw tobie.
 Wiem, żeś nie próżniak; jakież więc być może
 Cel przebywania twego w Elzynorze?
 Nauczysz się tu pić tęgo.

Horacy.

Przybyłem

Na pogrzeb ojca twego, Mości Książę.

Hamlet. Nie żartuj ze mnie, szkolny towarzysz;

Przybyłeś raczej na ślub matki mojej.

Horacy. W istocie, prędko nastąpił po tamtym.

Hamlet. Oszczędność, bracie, oszczędność! Przygrzane

Resztki przysmaków z pogrzebowej stypy

Dały traktament na ucztę weselną. —

O, mój Horacy, wolałbym być ujrzyć

Najzawziętszego mego wroga w niebie,

Niż dożyć tego dnia. Mój biedny ojciec!...

Zda mi się, że go widzę.

Horacy.

Gdzie?!

Hamlet.

Przed duszy

Mojej oczyma.

Horacy.

Widziałem go niegdyś;

Był to król, jakich mało.

Hamlet.

Człowiek, powiedz.

Chociażby wszystko w tym fałszywym świecie

Było tem, czem się na pozór wydaje,

Jeszczeby drugi taki się nie znalazł.

Horacy. Zda mi się, że go widziałem tej nocy.

Hamlet. Widziałeś? kogo?

Horacy.

Króla, ojca Waszej

Książęcej Mości.

Hamlet.

Króla? mego ojca?!

Horacy. Zawieś na chwilę zdumienie, o Panie,

I bacznem uchem racz wysłuchać tego

Nadzwyczajnego doniesienia, które

Zgodnie z świadectwem tych dwóch zacnych ludzi,

Mam ci uczynić.

Hamlet.

Mów, na miłość Boską!

Horacy. Przez dwie już noce po sobie idące,

Wśród głuchoj ciszy północnej, ciż sami

Oficerowie, Marcel i Bernardo,

Straż odbywając przy zamku, miewają

Następujące widzenie:

Postać podobna do świętej pamięci

Ojca twojego, Panie, uzbrojona

Jak najkompletniej od stóp aż do głowy,

Staje przed nimi, uroczystym krokiem

Przechodzi mimo zwolna i poważnie;

Trzykroć przeciąga przed ich zdumiałemi

I struchlałemi oczyma tak blisko,

Że ich nieledwie laską swą dotyka;

Oni zaś stoją jak wryci i jakby

Zgalareceni przerażeniem, nie śmiają

Przemówić do niej ani słowa. Mając

Więść o tem sobie przez nich udzieloną

Jak najtajemniej, udałem się z nimi

Następnaj nocy samotrzeć na wartę;

I rzeczywiście o tym samym czasie,

W taki sam sposób, co do joty zgodnie

Z przywiedzionymi szczegółami, przyszło

Widziadło. Znałem ojca twego, panie:

Te ręce mniej są do siebie podobne.

Hamlet. Gdzie się to działo?

Horacy.

Na tarasie, Panie.

Hamlet. Nie przemówiłżeś do tego zjawiska?

Horacy. I owszem, ale żadnej odpowiedzi

Nie otrzymałem. Raz tylko podniosło

Głowę i zdało się chcieć coś powiedzieć;

Ale w tej chwili zapał kur poranny,

Na głos którego zerwało się nagle

I znikło nam z przed oczu.

Hamlet.

Osobliwsza!

Horacy. Jak żyw tu stoję, Mości Książę, jest to

Rzetelną prawdą, i mieliśmy sobie

Za obowiązek donieść o tem Waszej

Książęcej Mości.

Hamlet.

Zaprawdę, to widmo

Niespokojności mię nabawia. Macież

Tej nocy wartę?

Wszyscy trzej.

Mamy, Mości Książę.

Hamlet. Było więc uzbrojone?

Wszyscy trzej.

Tak jest, Panie.

Hamlet. Od stóp do głowy?

Wszyscy trzej.

Od czaszki do kostek.

Hamlet. Nie widzieliście więc jego oblicza?

Horacy. I owszem: miało przytłbicę wzniesioną.

Hamlet. Groźnież na twarzy wyglądało?

Horacy.

Smutno

Bardziej, niż gniewnie.

Hamlet.

Błado czy rumiano?

Horacy. O, bardzo blade.

Hamlet.

I wzrok w was wlepiąto?

Horacy. Nieporuszenie.

Hamlet. Szkoła, że tam nie był.

Horacy. Byłbyś był, Panie, osłupiał.

Hamlet. Być może,

Być może. Długoż bawiło?

Horacy. Tak długo,

Jak długoby ktoś przy średnim pośpiechu

Sto musiał liczyć.

Marcellus i Bernardo. O, dłużej.

Horacy. Nie wtedy,

Kiedy ja byłem.

Hamlet. Siwąż miało brodę?

Horacy. Zupełnie taką, jaką u zmarłego

Króla widziałem: czarną, posrebrzoną.

Hamlet. Będę dziś z wami na warcie: być może,

Iż przyjdzie znowu.

Horacy. Przyjdzie niezawodnie.

Hamlet. Skoro przybiera postać mego ojca,

Muszę z nim mówić, choćby całe piekło,

Rozwarłszy paszczę, milczeć mi kazało. —

Co do was, moi panowie, jeśliście

Tę okoliczność dotąd zataili,

Trzymajcież ją i nadal pod zamknięciem,

I co bądź zdarzy się tej nocy, bierzcie

Wszystko na rozum, ale nie na język;

Zawdzięczę wam tę dobroć. Bądźcie zdrowi.

Pomiędzy jedenastą a dwunastą

Zejdziem się na tarasie.

Wszyscy trzej. Słudzy Waszej

Książęcej Mości.

Hamlet. Bądźcie przyjaciółmi,

Tak jak ja jestem waszym. Do widzenia.

(*Horacy, Marcellus, Bernardo wychodzą.*)

Duch mego ojca! uzbrojony! Coś tu

Złego się święci, coś tu krzywo idzie.

Oby już była noc! tymczasem jednak

Milcz serce moje. Zbrodnie i, z pod ziemi

Wychodzą, aby stać się widomemi.

(*Wychodzi.*)

SCENA III.

Pokój w domu Poloniusza.

(*Laertes i Ofelia.*)

Laertes. Już rzeczy moje zniesione na pokład;

Bądź zdrowa, siostrze; a gdy wiatr przyjaźnie

Zadmie od brzegu i który z okrętów

Zdejmie kotwicę, nie zasypiaj wtedy,

Lecz donoś mi o sobie.

Ofelia. Wątpisz o tem?

Laertes. Co się zaś tyczy Hamleta i pustych

Jego zalotów, uważaj je jako

Mamiący pozór, wynikłość krwi wrzącej;

Jako fijołek młodocianej wiosny,

Wczesny lecz wąty, luby lecz nie trwały;

Woń, kilka tylko chwil upajającą;

Nic więcej.

Ofelia. Więcej nic?

Laertes. Nie myśl inaczej.

Natura ludzka, kiedy się rozwija,

Nietylko rośnie co do form zewnętrznych;

Jako w wznoszącej się świątyni, służba

Duszy i ducha zwiększa się w niej także.

Być może, iż on ciebie teraz kocha,

Że czystość jego chęci jest bez plamy;

Ale zważywszy jego stopień, pomnij,

Że jego wola nie jest jego własną.

On sam jest rodu swego niewolnikiem;

Nie może, jako podrzędni, wybierać

Dla siebie tylko, od jego wyboru

Zależy bowiem bezpieczeństwo, dobro

Całego państwa; przeto też i jego

Wybór koniecznie musi być zależny

Od życzeń i od przyzwolenia tego

Wielkiego ciała, którego jest głową.

Jeżeli zatem mówi, że cię kocha,

Rozwadze twojej przystoi mu wierzyć

O tyle tylko, o ile on zgodnie

Ze stanowiskiem przez się zajmowanym

Będzie mógł słowa swojego dotrzymać,

To jest, o ile powszechny głos Danii

Przystanie na to. Uważ, jaki zakał
 Grozi twej stawie, jeśli łatwowiernie
 Poszeptom jego podasz ucho, serce
 Sobie uwieźnisz i skarb niewinności
 Otworzysz jego bezwodziem zapędom.
 Strzeż się, Ofelio, strzeż się, luba siostrze;
 I stój w odwodzie twej skłonności, zdala
 Od niebezpieczeństw i napaści pokus.
 Wstydlive dziewczę za wiele już waży,
 Gdy przed księżycem wdzięki swe odślania;
 Na samą cnotę pada rdza obmowy;
 Robak zbyt często toczy dzieci wiosny,
 Nim jeszcze pączki zdążyły otworzyć;
 I kiedy rosa wilży młodość hożą,
 Wpływy złośliwych miazm najbardziej grożą.
 Strzeż się więc; tarczą najlepszą w tej próbie
 Niedowierzenie, nawet samej sobie.

Ofelia. Treść tej nauki postawię na straży
 Mojego serca. Nie idź jednak, bracie,
 Za śladem owych fałszywych doradców,
 Którzy nam stromą i ciernistą ścieżkę
 Cnoty wskazują, a sami tymczasem
 Kroczą kwiecistym szlakiem błędów, własnych
 Rad nie pamiętni.

Laertes. Bądź o mnie spokojną,
 I bądź mi zdrową. Lecz oto nasz ojciec.
(Poloniusz wchodzi).

Podwójne błogosławieństwo podwójne
 Szczęście przynosi: szczęśliwe spotkanie,
 Które mi zdarza sposobność ku temu.

Poloniusz. Laertes jeszcze tu? Dalej na okręt!
 Wiatr wzdyma żagle, czekają na ciebie.
 Raz jeszcze daję ci błogosławieństwo
 Na drogę.

(Kładzie rękę na głowę synowi).

Weź je i wraź sobie w pamięć
 Tych kilka przestróg: Nie bądź skorym myśli
 Wprowadzać w słowa a zamiarów w czyny.
 Bądź popularnym, ale nigdy gminnym.
 Przyjaciół, których doświadczysz, a których
 Wybór okaże się być ciebie godnym,
 Przykuj do siebie żelaznemi klamry;
 Ale nie plugaw sobie ręk uściskiem

Dłoni pierwszego lepszego socyusza.
 Strzeż się zatargów, jeśli zaś w nie zajdziesz,
 Tak się w nich znajduj, aby twój przeciwnik
 Nadal się ciebie strzedz musiał. Miej zawsze
 Ucho otworem, ale rzadko kiedy
 Otwieraj usta. Chwytaj zdania drugich,
 Ale sąd własny zatrzymuj przy sobie.
 Noś się kosztownie, o ile ci na to
 Mieszek pozwoli, ale bez przesady;
 Wytwornie, ale nie wybrednie; często
 Bowiem ubranie zdradza grunt człowieka,
 I pod tym względem Francuzi szczególnie
 Są pełni taktu. Nie pożyczaj drugim
 Ani od drugich; bo pożyczkę daną
 Tracim najczęściej razem z przyjacielem,
 A braną psujem rząd potrzebny w domu.
 Słowem, rzetelnym bądź sam względem siebie,
 A jako po dniu noc z porządku idzie,
 Tak za tem pójdzie, że i względem drugich
 Będziesz rzetelnym. Bądź zdrow; niech cię moje
 Błogosławieństwo utwierdzi w tej mierze.

Laertes. Z pokorą żegnaj cię, Ojczy i Panie.

Poloniusz. Idź już; czas nagli, wszystko w pogotowiu.

Laertes. Bądź zdrowa, siostrze, i pamiętaj na to,
 Com ci powiedział.

Ofelia. Zamknęłam to w sercu,
 A ty masz klucz od niego.

Laertes. Bądź mi zdrowa.
(Wychodzi).

Poloniusz. Cóż to on tobie powiedział, Ofelio?

Ofelia. Coś, co tyczyło się księcia Hamleta.

Poloniusz. W porę mi o tem wspominasz. Słyszałem,
 Że on cię często nawiedzał w tych czasach,
 I że znajdował z twojej strony przystęp
 Łatwy i chętny. Jeżeli tak było,
 (A udzielono mi o tem wiadomość,
 Jako przestrogę) muszę ci powiedzieć,
 Że się nie cenisz tak, jakby przystało
 Dbając o sławę córce Poloniusza.

Jakież wy macie stosunki? Mów prawdę.

Ofelia. Oświadczył mi się, ojczy, z swą skłonnością.

Poloniusz. Z skłonnością? hm, hm! Mówisz, jak dzierlatka

Niedoświadczona w rzeczach niebezpiecznych.
Wierzysz-li tym tak zwanym oświadczeniom?

Ofelia. Nie wiem, co myśleć mam, mój ojciec.

Poloniusz.

Nie wiesz?

To ja ci powiem: Masz myśleć, żeś dziecko,
Gdy oświadczenia te bez poświadczenia
Rozsądku bierzesz za dobrą monetę.
Nie radzę ci się z nim świadczyć, inaczej
(Że tej igraszki słów jeszcze użyję)
Doświadczysz następstw nie dobrych.

Ofelia.

Wynurzał

Mi swoją miłość bardzo obyczajnie.

Poloniusz. Tak, tak, bo czynić to jest obyczajem.

Ofelia. I słowa swoje stwierdził najświęszymi,
Jakie być mogą, przysięgami.

Poloniusz.

Plewy
Na młode wróble! Wiem ja, gdy krew kipi,
Jak wtedy dusza hojną jest w kładzeniu
Przysięg na usta. Nie bierz tych wybuchów
Za ogień, więcej z nich światła niż ciepła,
A i to światło gaśnie w oka mgnieniu.
Bądź odtąd trochę skąpszą w przystępności
I więcej sobie waż rozmowę swoją,
Niż wyzywanie drugich do rozmowy.
Co się zaś księcia Hamleta dotyczy,
Bacz na to, że on jeszcze młodzieniaszek,
I że mu więcej jest wolno, niż tobie
Może być wolno kiedykolwiek. Słowem,
Nie ufaj jego przysięgom, bo one
Są, jak kuglarze, czem innym, niż szaty
Ich pokazują: orędownicami
Bezbożnych chuci, biorącemi pozór
Świętości, aby tem łacniej usidlić
Naiwne serca. Krótko mówiąc, nie chcę,
Abyś od dziś dnia czas swój marnowała
Na zadawaniu się z księciem Hamletem.
Pamiętaj, nie chcę tego. Możesz odejść.

Ofelia. Będę-ć posłuszną, Panie.

(*Wychodzą.*)

SCENA IV.

Taras zamkowy.

(*Wchodzą: Hamlet, Horacy i Marcellus.*)

Hamlet. Ostry wiatr wieje; przejmujące zimno.

Horacy. W istocie: bardzo szczypiące powietrze.

Hamlet. Która godzina?

Horacy. Dwunasta dochodzi.

Marcellus. Dwunasta biła już.

Horacy. Już? Nie słyszałem.

Zbliża się zatem czas, o którym widmo

Zwykło się jawić.

(*Odgłos trąb i wystrzałów za sceną.*)

Co to znaczy, Panie?

Hamlet. To znaczy, że król czuwa z czarą w ręku,

Zgrają opilców dworskich przepijając;

Każdy zaś taki sygnał trąb i kotłów

Jest tryumfalnem hasłem nowej miary

Przezeń spełnionej.

Horacy.

Czy to taki zwyczaj?

Hamlet. Zwyczaj zaiste; mojem jednak zdaniem,

Lubom tu zrodzon i z tem oswojony, —

Chlubniej byłoby taki zwyczaj łamać,

Niż zachowywać. Te biby na zabój

W pośmiech i wzgardę tylko nas podają

U innych ludów: beczkami nas mienia,

I trzodzie chlewnej właściwy przydomek

Hańbi nazwisko nasze. W rzeczy samej,

Choćbyśmy zresztą byli bez zarzutu,

To jedno jużby starło z naszych czynów

Zaszczytną cechę ich wewnętrznej wartości.

I pojedynczym ludziom się to zdarza:

Niejeden skutkiem naturalnych przywar —

Czyli to rodu (czemu nic nie winien,

Bo któż obiera sobie pochodzenie),

Czy to jakiegoś krwi usposobienia,

Które częstokroć rwie tamy rozumu,

Czy to nałogu przeciwnego formom

Przyzwoitości — niejeden, powiadam,

Upośledzony w taki sposób jaką

Szczególną wadą, bądź to organicznie,
Bądź przypadkowo, — choćby jego cnoty
Były skądinąd jako kryształ czyste
I mnogie, jako być mogą w człowieku, —
Tą jedną skazą zarażony będzie
W opinii ludzi. Jedna drachma złego
Niweczy wszelkie szlachetne pierwiastki.
(*Duch wchodzi*).

Horacy. Widzisz go, Panie.

Hamlet. Aniołowie Pana
Zastępów, miejcie mię w swojej opiece! —
Błogosławionyś ty, czy potępiony,
Tchniesz-li tchem niebios, czy wyziewem piekieł!
Masz-li zamiary zgubne, czy przyjazne,
Przychodzisz w takiej postaci, że muszę
Wydobyć z ciebie głos. Hamlecie, królu,
Ojczę mój, władco Danii, odpowiadaj!
Nie pozostawiaj mię w nieświadomości;
Powiedz, dlaczego święte kości twoje,
Na wieki w trumnie złożone, przebiły
Śmiertelny całun; dlaczego grobowiec,
W który widzielim cię zstępującego,
Podniósł swe ciężkie marmurowe wieko,
By cię powrócić nazad? Co to znaczy,
Że ty, trup, nazad w kompletnym rynsztunku
Podksiężycowy ten padół odwiedzasz,
Czyniąc noc straszną i nas, niedołącznych
Synów tej ziemi, wstrząsając myślami,
Przechodzącami metę naszych pojęć?
O, powiedz, co to jest? Co za cel tego?
Czego chcesz od nas?

Horacy. Daje ci znak, Panie,
Abyś z nim poszedł, jakby chciał sam na sam
Pomówić z tobą.

Marcellus. Jak uprzejmym gestem
Wzywa cię, Panie, w ustronniejsze miejsce.
Nie idź z nim jednak.

Horacy. Nie chodź, Mości Książę.

Hamlet. Chce ze mną mówić; pójdę.

Horacy. Nie czyń tego,
Łaskawy Panie.

Hamlet. Czegożbym się lękał?
To życie szpilki złamanej nie warte,

A dusza moja, jak on, nieśmiertelna.
Patrz, znowu na mnie kiwa... Pójdę za nim.
Horacy. A gdyby on cię zaprowadził, Panie,
Nad przepaść, na brzeg owej groźnej skały,
Która się stromo spuszcza w morską otchłań,
I tam przedzierzgnął się w inne postacie,
Jeszcze straszniejsze, któreby ci mogły
Odjąć, o Panie, przytomność umysłu
I w obłąkanie cię wprawić? Zważ tylko!
Już samo tamto miejsce bez żadnego
Innego wpływu budzi rozpaczliwe
Usposobienie w każdym, kto spostrzeże
Morze na tyle sążni tuż pod sobą
I słyszy jego huk.

Hamlet. Wciąż na mnie kiwa.
Idź już, idź; pójdę z tobą.

Marcellus. Zostań, Panie.

Hamlet. Puśćcie mnie!

Horacy. Wstrzymaj się, Panie, pozostań!

Hamlet. Los mój mnie woła i najmniejszą żyłkę
Mojego ciała czyni tak potężną,
Jak najsilniejszy nerw lwa nemejskiego.

(*Duch nie przestaje kiwać*).

Ciągle mnie wzywa! — Puśćcie mnie! —
(*Wyrwyjając się*).

Na Boga!

W upiora zmienię tego, co mnie dłużej
Wstrzymywać będzie. — Idź, śpiesz za tobą.
(*Duch i Hamlet wychodzą*).

Horacy. Imaginacya w szal go wprawia.

Marcellus. Idźmy
W trop za nim; tu nie w porę posłuszeństwo.

Horacy. Idźmy. Na czymże się to skończy?

Marcellus. Jest coś chorobliwego w państwie duńskim.

Horacy. Niebo zaradzi temu.

Marcellus. Śpieszmy za nim.
(*Wychodzą*).

SCENA V.

Oddalona część tarasu.

*(Wchodzą: Duch i Hamlet).***Hamlet.** Gdzie mnie prowadzisz? Mów; nie pójdę dalej.**Duch.** Słuchaj mnie.**Hamlet.** Słucham.**Duch.** Zbliża się godzina,

O której w srogie, siarczyste płomienie

Muszę powrócić znowu.

Hamlet. Biedny duchu!**Duch.** Nie lituj się nade mną, ale baczmem

Uchem ogarnij to, co ci mam odkryć.

Hamlet. Mów, powinnością moją słuchać ciebie.**Duch.** Jak niemniej zemścić się, gdy mnie wysłuchasz.**Hamlet.** Zemścić się?**Duch.** Jestem duchem twego ojca,

Skazanym tułać się nocą po świecie,

A przez dzień jęczeć w ogniu, póki wszystkim

Kał popełnionych za żywota grzechów

Nie wypali się we mnie. Gdybym miejsca

Mojej pokuty sekret mógł wyjawić,

Takiebyś rzeczy ci opisał, których

Najmniejszy szczegół rozdarłby ci duszę,

Młodą krew twoją zmroził, oczy twoje

Jak gwiazdy z posad wydobył, zwinione

Gładkie kędziory twoje wyprostował

Tak, że ich każdy włos stanąłby dębem,

Jako na jeżu kolce; ale takich

Podań nie znosi ludzkie ucho. Słuchaj,

O, słuchaj, słuchaj, jeśli choć cokolwiek

Kochałeś twego ojca.

Hamlet. Przebóg!**Duch.** Pomścij

Śmierć jego, dzieło ohydneho mordu!

Hamlet. Mordu?**Duch.** Tak, mordu; wszelki mord ohydny,

Lecz ten był nadzwyczajny, niesłychany.

Hamlet. Dla Boga, wymień go, wymień czempredzej,Abym na skrzydłach chyżych jak modlitwa,
Lub myśl kochanka podążył ku zemście.**Duch.** Zdajesz się pełen dobrych chęci, byłbyś

Też nikczemniejszy, niż najlichsze ziele,

Wegetujące nad brzegami Lety,

Gdybyś pozostał na to obojętnym.

Słuchaj więc, słuchaj, Hamlecie. Puszczono

Rozgłos, że podczas mego snu w ogrodzie

Wąż mię ukąsił; takim to skłamanym

Powodem śmierci mej zwiedziono Danię:

Dowiedz się bowiem, szlachetny młodzieńcze,

Że ów wąż, który zabił twego ojca,

Nosi dziś jego koronę.

Hamlet. O, nieba!

Stryj! Nie zawiodył mnie przeczcucia moje.

Duch. Ten to bezwstydnym, cudzołozny potwór

Zdradnym dowcipem, czarami wymowy —

*(Przeklęty dowcip, przekłeta wymowa,**Która tak może ułudzić!)* — potrafił

Skłonić k' sromocie wolę mojej niby

Cnotliwej żony. O, Hamlecie! cóż to

Był za upadek! Ode mnie, którego

Miłość statecznie chodziła dłoń w dłoń

Z ślubną przysięgą, w objęcia nędznika,

Którego dary przyrodzone były

Naprzeciw moich tak liche!

Lecz jako cnota pozostaje czystą,

Choćby ją sprośność w postaci niebianki

Usiłowała skusić, tak zła żądzą,

Choćby ją łączył ślub z aniołem nawet,

Prędko uprzykrzy sobie święte łożo

I rzuci się na bartóg.

Ale dość tego! Już powietrze ranne

Czuć mi się daje; muszę kończyć: kiedym

Raz po południu jak zwykle w ogrodzie

Bezpiecznie zasnął, wkradł się stryj twój z fiaską,

Zawierającą blekotowe krople,

I wlał mi w ucho ten zabójczy rozczyn,

Którego siła tak jest nieprzyjazna

Ludzkiej naturze, że jak żywe srebro

Przebiega nagle wszystkie drogi, wszystkie

Kanały ciała i, jako sok kwaśny,

Wlany do mleka, ścina wnet i zgęszcza

Wszystką krew zdrową. Tak było i z moją;
I wraz plugawy trąd, jak u Łazarza,
Wystąpił na mnie i brzydką skorupą
Pokrył mi całe ciało.
Takto śpiąc, ręką brata pozbawiony
Zostałem życia, berła i małżonki,
Skoszony w samym kwiecie moich grzechów:
Bez namaszczenia, bez przygotowania,
Bez porachunku z sobą wyprawiony
Zdać porachunek z win jeszcze niezmytych.
O, to okropnie! okropnie! okropnie!
Masz-li iskierkę czucia, nie ścierp tego;
Nie pozwól, aby łoże władców Danii
Było ohydny gniazdem wszeteczeństwa.
Jakkolwiek jednak czyn ten pomścić zechcesz,
Nie uwłócz swemu sercu, nie czyn przeciw
Matce zamachów; pozostaw ją niebu
I owym cierniom, które w głębi łoża
Występnych siedzą; zrobią one swoje.
Bądź zdrów, świecący robaczek oznajmia,
Że ranek już jest blizki; wąż bowiem
Świątełko jego znacznie już pobladło;
Żegnam cię, żegnam cię; pamiętaj o mnie.
(*Znika*).

Hamlet. O, wy niebieskie potęgi! O, ziemio!
Cóż więcej? Mamże piekło jeszcze wezwać?
Nie, o, nie! Krzep się, krzep się, serce moje!
Pręćcie się nerwy! — Pamiętać o tobie?
O, biedny duchu, stanie ci się zadość,
Dopóki tylko na tym wietrznym globie
Pamięć żyć będzie. Pamiętać o tobie?
Wraz pamięć moja z tablic swych wykreśli
Wszelkie powszednie tuzinkowe myśli;
Książkową mądrość, obrazy, wróżenia,
Płody młodości lub zastanowienia,
Wszystko, co związek ma z przyszłym mym bytem;
To, coś mi zlecił, to tylko wrytem
W księdze mojego mózgu pozostanie;
Tak mi dopomóż, wiekuisty Panie! —
O, wiarołomna niewiasto! O, łotrze,
Uśmiechający się, bezczelny łotrze!
Muszę to sobie zapisać, że można

Nosić na ustach uśmiech i być łotrem, —
W Danii przynajmniej.

(*Wyjmuje pugilares i zapisuje*).

Tak; siedź tu, stryjaszku,
Teraz-że, duszo moja, pilnuj hasła,
A tem jest: *Żegnam cię, pamiętaj o mnie!*
Przysiągłem mu być wiernym.

Horacy (*za sceną*). Królewiczu!

Marcellus (*podobnie*). Książę Hamlecie!

Horacy (*podobnie*). Chroń go, Panie!

Hamlet. Amen!

Marcellus. Hop, hop, hop, Mości Książę!

Hamlet. Hop, hop, chłopcze!

Tu tu, mój ptaku!

(*Horacy i Marcellus wchodzą*).

Horacy. I cóż?

Marcellus. I cóż, Panie?

Hamlet. Dziwy!

Horacy. Opowiedz nam to, Panie.

Hamlet. Właśnie!

Żebyście potem roztrąbili.

Horacy. Jażbym

Mógł to uczynić?

Marcellus. O, ani ja pewnie!

Hamlet. Cóż wy powiecie na to? któżby sądził?

Ale będziecież milczeć?

Horacy i Marcellus. Jak Bóg w niebie!

Hamlet. Niema na całą Danię nikczemnika,

Któryby nie był kompletnym ladaco.

Horacy. Do objawienia nam tego, nie trzeba,

Żeby aż duchy wychodziły z grobów.

Hamlet. W istocie macie słusność. Owóż tedy,

Nie pozostaje nam teraz nic więcej,

Jeno bez żadnych dalszych korowodów

Uścisnąć sobie dłonie i pójść z Bogiem.

Wy idźcie, gdzie wam każe iść interes

Lub skłonność, — każdy bowiem na tym świecie

Ma jakąś skłonność lub interes; — ja zaś

W prostocie mojej pójdę się pomodlić.

Horacy. To są czcze tylko słowa, Mości Książę.

Hamlet. Przykro mi, żeście obrażeni; z serca

W istocie, z serca przykro.

Horacy. Gości Księżę,
Niema tu żadnej obrazy.

Hamlet. I owszem,
Zaprawdę mówię wam, jest tu obraza,
I wielka. Co się tyczy tego ducha,
Jest to duch dobry; poprzestańcie na tem;
Co zaś pomiędzy nim a mną tu zaszło,
Ciekawość swoją w tej mierze przytłumcie
Całą możliwą dozą rezygnacyi.
A teraz, moi mili przyjaciele,
W imię przyjaźni, w imię koleżeństwa,
Zróbcie mi jedną grzeczność.

Horacy. Jaka, Panie?

Hamlet. Nie mówcie, coście widzieli tej nocy.

Horacy i Marcellus. Nie powiem, Panie.

Hamlet. Przysiążcie mi na to.

Horacy. Na honor, nic nie powiem.

Marcellus. I ja także,
Na honor.

Hamlet. Na ten miecz raczej przysiążcie.

Marcellus. Jużeśmy, Panie, przysięgli.

Hamlet. Przysiążcie
Na ten miecz, na ten miecz, mówię.

Duch (z pod ziemi). Przysiążcie!

Hamlet. Ha! to ty! Stamtąd odzywasz się, ptaku?

Słyszycie tego kłapa tam w piwnicy?
Przysiążcież!

Horacy. Na cóż mamy przysiądz, Panie?

Hamlet. Że o tem, coście widzieli, nikomu
Nigdy a nigdy nie powiecie słowa.
Przysiążcież na ten miecz!

Duch (z pod ziemi). Przysiążcie!

Hamlet. Znowu?

Hic et ubique? Odmieńmy więc miejsce.

Pójdźcie tu, moi Panowie, połóżcie
Na moim mieczu palce i przysiążcie,
Że o tem, coście słyszeli, nikomu
Nic nie powiecie.

Duch (z pod ziemi). Przysiążcie!

Hamlet. Ha, krecie!

Tak prędko umiesz szybować pod ziemią?
Wyborny z ciebie minier! — No, Panowie.

Horacy. Na Boga, to są rzeczy niepojęte!

Hamlet. Chciałżebyś wszystko pojąć? O, Horacy,
Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie,
Niż się ich śniło waszym filozofom.
Pójdźcie tu, i jak pierwaj w imię Boga,
Przysiążcie, że jakkolwiekbym się kiedy
Wydawał dzikim, dziwacznym w obejściu, —
Być bowiem może, że mi się na przyszłość
Wyda stosownem przybrać taką postać, —
Że, mówię, widząc mnie takim,
Żaden z was ani potrząsaniem głowy,
Ani wżruszaniem ramion, ani wreszcie
Jakiemikolwiek wątpliwemi słowy,
Jako to *hm, hm, wiem ja*; — albo: *mógłbym,*
Gdybym chciał; — albo: *gdybym był gadułą*; —
Albo: *są tacy, coby mogli* — zgoła,
Niczem dwuznacznem nie da się domyślić,
Że wie coś o mnie. — Poprzysiążcież na to,
Jeśli pragniecie, aby się nad wami
W nieszczęściu Pan Bóg zmiłował.

Duch (z pod ziemi). Przysiążcie!

Hamlet. Ukój się, ukój, rozdrażniony duchu! —

Pomnijcież na wasz ślub, mili Panowie,
A przez co tylko taki biedny człowiek,
Jak Hamlet, będzie wam zdolny okazać
Swoją życzliwość, to was nie ominie.
Teraz rozejdźmy się. — Świat wyszedł z formy:
I mnież to trzeba wracać go do normy! (*Wychodzą*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Pokój w domu Poloniusza.
(*Poloniusz i Rajnold*).

Poloniusz. Rajnoldzie, oddasz mu Waszmość to pismo
I te pieniądze.

Rajnold. Nie omieszka, Panie.

Poloniusz. Zanim się jednak doń udasz, Rajnoldzie,
Mądrzebyś zrobił, ażebyć poprzednio
O jego sprawowaniu się wywiedziać.

Rajnold. Tak też myślałem, Panie.

Poloniusz. Dobrześ myślał,

Bardzoś roztropnie myślał. Przedewszystkiem
Wypytasz mi się najdokładniej, jacy
Są Duńczykowie w Paryżu; jak który,
I z czego żyje; gdzie bywa i jakie
Z kim ma stosunki; gdy zaś skutkiem takich
Krętobadawczych, manowcowych pytań
Dojdiesz, że oni znają mego syna,
Wtedy przystąpisz do materyi o nim
Bliżej, niżeli w poprzednich pytaniach.
Powiesz naprzykład, udając, jakobyś
Znał go zdaleka: »znam jego rodzinę,
Jego przyjaciół, a w części i jego«;
Rozumiesz mnie, Rajnoldzie?

Rajnold. Najzupełniej.

Poloniusz. »I jego w części, wprowadzić, dodać możesz,

Niewiele, jest-li on wszakże tym samym,
O którym myślę, wietrznik to, rozpustnik,
Skłonny do tego i tego«; zwał wtedy,
Co ci się żywnie podoba, na niego;
Jednakże nic takiego, coby mogło
Szwank przynieść jego sławie; tego strzeż się.
Takie jedynie przypisz mu wybryki,
Jakie z młodością i krewkością w parze
Zazwyczaj chodzą.

Rajnold. Kosterstwo, naprzykład?

Poloniusz. Tak, albo pochop do zwad, kłątów, pijatyk,
Gachostwa wreszcie; tak daleko możesz
Posunąć swoje kłamstwa.

Rajnold. Ależ, Panie,
Toby już jego sławie szwank przyniosło.

Poloniusz. Bynajmniej, jeśli tylko będziesz umiał
Wziąć się do rzeczy. Nie trzeba ci dawać
Do zrozumienia, że on w żądach swoich
Jest rozpasany, tego nie chcę; wytknij
Jego usterki tak subtelnie, żeby
One się zdały tylko nadużyciem
Wolności, duszy ognistej wybuchem,
Obłędem wrzącej krwi, słowem, pustotą,
Właściwą wszystkim młodym.

Rajnold. Radbym wiedzieć,
Łaskawy Panie...

Poloniusz. Do czego to wszystko?

Rajnold. Tak, Panie.

Poloniusz. Zaraz ci powiem: mój zamiar
Uzasadniony i, jak się spodziewam,
Niepłonną skutku dający rękojmię.
Skoro na mego syna złożysz Waszmość
Te drobne chyby, niby skazy, którym
Ulega każda rzecz, gdy się wyrabia,
Wtedy, jeżeli tylko ten, którego
Za język ciągnąć będziesz, kiedykolwiek
Młodzieńca w mowie będącego widział
Jednej z powyższych praktyk oddanego,
Ten ktoś, bądź pewien, przywórtzy ci zaraz,
W ten sposób: Mości dobrodzieju, albo:
Mój miły Panie, albo: widzisz Waćpan, —
Stosownie do zwyczaju miejscowego
Lub w miarę swojej atencji.

Rajnold. Rozumiem.

Poloniusz. Skoro zaś to ci powie, powie potem...

Cóżem to dalej miał mówić? do licha,
Miałem powiedzieć coś; na czemżem stanął?

Rajnold. Na tem podobno, że ktoś mi przywórtzy.

Poloniusz. Że ci przywórtzy, aha! tak więc tedy
Ten ktoś przywórtzy ci pewnie w ten sposób:
»Znam tego pana, widziałem go wczoraj«,
Albo »owego dnia, wtedy a wtedy,
Z tym a z tym i w istocie grał wysoko«;
Albo »pokłócił się«; albo »miał w czubku«,
Albo »widziałem, jak wchodził do domu
Podejrzanego«, i tak dalej. Takto
Na wędę fałszu złowisz karpia prawdy.
Takto rozumni, zręczni ludzie, boczkami,
Rzemiennym dyszlem zachodząc, umieją
Trafić do celu: i tak samo Waszmość,
Według wskazówki i instrukcyi, jaką
Ci udzieliłem, poweźmiesz języka
O moim synu. Wiesz już, o co idzie?

Rajnold. Wiem, Panie.

Poloniusz. Jedź, więc, niech cię Bóg prowadzi!

Rajnold. Jednakże...

Poloniusz. Zresztą sam śledź jego kroki.

Rajnold. Dopełnię tego.

Poloniusz. A niech mi się ćwiczcy
W muzyce.

Rajnold. Dobrze, Panie.
(*Wychodzi. — Wchodzi Ofelia.*)

Poloniusz. Bądź zdrów Waszmość.

Co ci to jest, Ofelio? Co się stało?

Ofelia. Ach, Panie, takim strasznie się przeleżała.

Poloniusz. Czego? dla Boga!

Ofelia. Siedziałam przy krosnach

W moim pokoju, gdy wtem księżę Hamlet,
Z odkrytą głową, rozpięty, w obwisłych
Brudnych pończochach, błady jak koszula,
Chwiejący się na nogach, z tak okropnym
Wyrazem twarzy, jakby się wydostał
Z piekła i jego zgrozę chciał obwieścić,
Staął przede mną.

Poloniusz. Czyliżby z miłości
Oszalał?

Ofelia. Nie wiem, ale się obawiam.

Poloniusz. Cóż ci powiedział?

Ofelia. Ujął mnie za rękę,

Nie mówiąc słowa, i silnie ją trzymał;
Cofnął się potem na długość ramienia
I, drugą rękę przytknąwszy do czoła,
W twarz moją wlepił oczy tak badawczo,
Jak gdyby ją chciał narysować. Długo
Tak stał, nareszcie, lekko potrząsając
Mojem ramieniem i kiwając głową,
Wydał tak ciężkie, żalosne westchnienie,
Że się zdawało, iż mu piersi pękną
I życie z niego uleci. Odstąpił
Wtedy ode mnie i powolnym krokiem
Szedł z odwróconą głową poza siebie,
Kierując się ku drzwiom. Przeszedł w ten sposób
Przez cały pokój, bez pomocy oczu
I wyszedł, ciągle wpatrując się we mnie.

Poloniusz. Muszę natychmiast udać się do króla;

Są to objawy gwałtownej miłości,
Która się trawi w sobie i prowadzi
Do rozpaczliwych kroków, tak jak każda
Inna namiętność trapiąca ród ludzki;
Boleję nad tem. Możesz tymi czasy
Przykre mu jakie słowo powiedziała?

Ofelia. Nie, Panie; tylko, tak jak rozkazałeś,
Odesłałam mu listy i wzbroniałam
Dalszych odwiedzin.

Poloniusz. To go w szatę wprawiło.

Boleję nad tem, żem jego skłonności
Dokładniej, pilniej nie zbadał. Myślałem,
Że on cię durzy, przywieść chce o zgubę.
Przeklinam teraz moją podejrzliwość.
Zdaje się, że nam starym jest właściwem
Przebierać miarę w przeczności, tak jak
Nawzajem młodym maio jej posiadać.
Biegnę do króla; zatajenie tego
Więcej niż rozgłos zrządzić może złego.
Pójdź. (*Wychodzą.*)

SCENA II.

(*Król, Królowa, Rozenkranc, Gildenstern i orszak.*)

Król. Witaj, Rozenkranc, witaj, Gildensternie!
Pośpiechu, z jakim was tu wezwaliśmy,
Nie sama tylko chęć widzenia Panów
Była przyczyną, ale i potrzeba
Waszej pomocy. Wiecie już o dziwnem
Przeistoczeniu się Hamleta, mówię
Przeistoczeniu, bo nic w nim tak wewnątrz
Jak i na zewnątrz nie jest tem, czem było.
Coby innego, jak śmierć ojca mogło
Do tego stopnia wywieść go za obręb
Jego natury, nie pojmuję wcale.
Proszę was przeto, was, coście z nim wzrosli,
I z blizka z jego wiekiem i myślami
Sąsiadujecie, abyście czas jakiś
Na naszym dworze zabawili, bądź to
Dla rozerwania go, bądź dla zbadania
Powodów tego obcego nam smutku,
Na który, gdyby stał się nam wiadomym,
Znaleźlibyśmy może jaki środek.

Królowa. Często on o was wspominał, Panowie,
I wiem, że niema na świecie dwóch ludzi,
Bardziej mu, niż wy, miłych. Jeśli w dowód
Życzliwych chęci i uczu uprzejmych

Zechcecie trochę czasu tu przepędzić
I wesprzeć nasze nadzieje, możecie
Liczyć na taką wdzięczność z naszej strony,
Jaka przystoi monarchom.

Rozenkranc. Obojgu
Waszym Królewskim Mościom służy prawo,
Z mocy najwyższej ich władzy nad nami,
Wolę swą w rozkaz przyoblekać raczej,
Niż w prośbę.

Gildenstern. Będziem jednakże posłuszni,
I dobrowolnie na rozkazy Waszych
Królewskich Mości u stóp Ich składamy
Nasze usługi.

Król. Dzięki ci za to, Rozenkranc, i tobie,
Kochany Gildensternie.

Królowa. Dzięki ci za to, Gildenstern, i tobie,
Kochany Rozenkranc. Idźcie natychmiast
Do mego syna.

(Do dworzan).

Niech tam który wskaże
Tym panom, gdzie jest Hamlet.

Gildenstern. Oby nieba
Nie uczyniły naszych usiłowań
Bezowocnymi!

Królowa. Daj to dobry Boże!
(Rozenkranc, Gildenstern i jeden z dworzan wychodzą).
(Wchodzi Poloniusz).

Poloniusz. Panie! Wysłane do Norwegii posły
Szczęśliwie są już w tej chwili z powrotem.

Król. Zawsze był Waćpan ojcem dobrych nowin.

Poloniusz. Bądź przekonany, Miłościwy Panie,
Że obowiązki moje względem Boga
I mego władcy, tak samo jak duszę
Trzymam w porządku. Jakoż zdaje mi się,
(Jeżeli tylko ten mózg nie zszedł na bok
Z drogi trafności, którą zwykł był kroczyć),
Że ostatecznie nie jest mi już obcem,
Skąd bierze źródło lunatyzm Hamleta.

Król. Mów; o tem chcemy wiedzieć przedewszystkiem.

Poloniusz. Daj, Panie, pierwszej posłuchanie słowom;

Wieść moja będzie na wety po uczcie.

Król. Zróbże im zaszczyt i sam ich tu wprowadź.
(Wychodzi Poloniusz).

On utrzymuje, kochana Gertrudo,
Że odkrył powód tej zmiany Hamleta.

Królowa. Nie jest nim, mojem zdaniem, nic innego,
Tylko śmierć ojca i nasz rychły związek.

(Poloniusz wraca, a wraz z nim wchodzi Korneliusz i Woltymand).

Król. Dojdziemy tego. — Witajcie, Panowie.

Cóż nam śle przez was nasz brat, król norweski?

Woltymand. Najuprzejmiejszych pozdrowień zamianę.

Na przełożenie nasze kazał zaraz
Wstrzymać zaciągi swojego synowca,
Które mu zdały się być wymierzone
Przeciw Polakom, które jednak bliżej
Poznawszy, znalazł zwróconymi przeciw
Waszej Królewskiej Mości. Rozjątrzony
Takiem niegodnem korzystaniem z jego
Późnego wieku i niemocy, kazał
Przyaresztować Fortynbrasa, który
Z pokorą stawiał się i, wysłuchawszy
Napomnień stryja, przysiągł wobec niego.
Że, póki życia, nigdy przeciw Waszej
Królewskiej Mości nie wzniesie oręża:
Czem ucieszony starzec, trzy tysiące
Koron intraty rocznej mu przeznaczył,
I owe wojska, przezeń zwerbowane,
Użyć pozwolił mu przeciw Polakom.
Nam zaś doręczył ten list,

(Podaje papier).

którym prosi

Waszą Królewską Mość o pozwolenie
Przejścia tym wojskom przez duńskie dzierzawy,
Przy zapewnieniu im bezpieczeństwa, w liście
Tym wymienionych.

Król. Poprzestajem na tem.

W wolniejszym czasie przejrzymy to pismo,
Pomyślim nad niem, odpowiemy na nie.
Tymczasem Waszmość Panom dziękujemy
Za ich skuteczne trudy. Idźcie spocząć.
Będziemy dzisiaj wieczerali razem;
Miło nam widzieć was z powrotem.

(Woltymand i Korneliusz wychodzą).

Poloniusz. To się
Dobrze powiedło. Miłościwy Panie

I Miłościwa Pani, chcieć określić,
 Czem jest majestat, czem powinność sługi,
 Dlaczego dzień jest dniem, a noc jest nocą,
 A czas jest czasem, byłoby to jedno,
 Co chcieć zmarnować dzień, noc i czas drogi,
 Z tego powodu, ile że treściwość
 Jest duszą mowy, a rozwlekłość ciałem
 I powierzchownem tylko bawidełkiem,
 Chcę być treściwym. Cny wasz syn oszalał:
 Oszalał, mówię; ściśle bowiem biorąc,
 Szaleństwo czemże jest, jeśli nie stanem
 Człowieka szalonego?

Królowa. Więcej rzeczy,
 W mniej sztucznych frazach.

Poloniusz. Przysięgam, o, Pani,
 Że się bynajmniej o sztukę nie silę.
 Syn was oszalał, jest to prawda; prawda,
 Że to nieszczęście i nieszczęście wzajem,
 Że to jest prawda. Otóż się skleiło
 Pomimo woli coś retorycznego.
 Bodajto! Licho zabierz sztuczne frazy!
 Stałem tedy na tem, że dostojny
 Syn was sfiksował; dobrze; idzie teraz
 O wysłedzenie przyczyn tej fiksacyi,
 Która, nie będąc fikcją, już tem samem
 Nie może nie mieć przyczyn; to rzecz pewna;
 W jaki zaś sposób pewna i o ile,
 Rozważcie Państwo sami.
 Mam córkę; mam ją, ponieważ jest moją.
 Ta tedy dziewczka, pomna obowiązku
 I rozkazowi mojemu powolna,
 Oddała mi ten świstek. Posłuchajcie
 I konkludujcie państwo.

(Czyta).

»Do niebiańskiego bóstwa mojej duszy, tysiącem wdzię-
 ków okraszanej Ofelii«. To niestosowne wyrażenie, try-
 wialne wyrażenie. Okraszanej nie jestże wyrażeniem
 trywialnem? Ale idźmy dalej. (Czyta). »Twojemu cudnie
 białemu łonu powierzam tych kilka wyrazów«.

Królowa. Czy to Hamlet do niej pisał?

Poloniusz. Cierpliwości, Miłościwa Pani; niczego nie zataję.
 (Czyta).

»Wątp, czy gwiazdy lśnią na niebie;
 Wątp, o tem, czy słońce wschodzi;
 Wątp, czy prawdy blask nie zwodzi;
 Lecz nie wątp, że kocham ciebie.
 O, najmilsza Ofelio, nie biegłym w rymowaniu; nie
 umiem skandować westchnień moich, ale że cię bar-
 dzo a bardzo kocham, temu wierz. Bądź zdrowa.
 Twój na zawsze, dopóki ta machina pozostanie jego
 własnością

Hamlet.*

To mi posłuszna pokazała córka,
 I uszom moim odkryła zarazem,
 Tak co do czasu, miejsca, jak sposobu,
 Wszystkie zaloty jego.

Król. Ale jakże

Ona przyjęła te jego zaloty?

Poloniusz. Cóż o mnie myślisz, Mości Królu?
Król.

Myślę,

Żeś Waćpan prawy, honorowy człowiek.

Poloniusz. Takim starałem się zawsze okazać.
 Cóżbyś mógł sobie o mnie myśleć, Panie,
 Gdybym tę miłość tak namiętną widział
 Był w jej zarodzie (a mówiąc nawiasem,
 Dostrzegłem jej był pierwej, nim mi o niej
 Doniosła moja córka); cóżby sobie
 Królowa Pani mogła o mnie myśleć,
 Gdybym był wtedy spokojnie odegrał
 Rolę koperty lub pugilaresu?
 Lub serce moje zrobił głuchoniemem?
 I gnuśnem okiem patrzył na tę miłość?
 Cóżbyście Państwo mogli byli sobie
 O mnie pomyśleć? Jam sprawy nie zaspiał,
 I wnet dziewczynie mojej powiedziałem:
 »Hamlet jest księciem nad waścina sferę;
 Nie będzie z tego nic«. Dałem jej przytem
 Surowe upomnienia, aby odtąd
 Nie przyjmowała ani jego wizyt,
 Ani biletów, ani podarunków.
 Takem uczynił; ona usłuchała,
 A on, on, krótko mówiąc, zawiedziony
 W swoich nadziejach, popadł najprzód w smutek,
 Potem w bezsenność, potem w wstręt do jada,
 Następnie w niemoc, następnie w gorączkę,

I tak stopniami aż w szaleństwo, które
Trawi go teraz z wielkim naszym żalem.

Król. Cóż mówisz na to?

Królowa. Him! toby być mogło.

Poloniusz. Czyż się zdarzyło kiedy, radbym wiedzieć,
Aby tam, gdzie ja powiedziałem: *tak jest*,
W istocie było inaczej?

Król. Nie pomnę.

Poloniusz (*wskazując na kark i głowę*).

Zdejmcie to z tego, jeżeli tak nie jest.
Skoro sposobność posłuży, wykryję
Gdzie siedzi prawda, chociażby się skryła
W wnętrznościach ziemi.

Król. Jakżebyśmy mogli
Sprawdzić to?

Poloniusz. Wiecie, Państwo, że on czasem
Przez kilka godzin zwykł się w tej galerii
Przechadzać.

Królowa. W rzeczy samej, zwykł to czynić.

Poloniusz. Taką więc porę upatrzawszy kiedy,
Wprowadzę tutaj moją córkę: Wasze
Królewskie Moście będą mogły wtedy
Ukryć się ze mną owdzie za obiciem
I być świadkami ich spotkania. Jeśli
On jej nie kocha i nie skutkiem tego
Utracił zmysły, to niech z szambelana
Zostanę prostym chłopem albo klechą.
(*Wchodzi Hamlet, czytając*).

Królowa. Patrzcie, jak smutno biedny chłopiec z książką
Zbliża się tutaj.

Poloniusz. Oddalcie się Państwo,
Błagam was; ja z nim pomówię. Pozwólcie.
(*Król i królowa wychodzą ze swym orszakiem*).
Jakże się miewa mój łaskawy książę Hamlet?

Hamlet. Dobrze, dzięki Bogu.

Poloniusz. Wiesz-li, kto jestem, Panie?

Hamlet. Wiem doskonale; jesteś rybak.

Poloniusz. Zaprawdę, nie jestem nim.

Hamlet. Tem ci gorzej, radbym, żebyś był tak pocziwym
człowiekiem.

Poloniusz. Pocziwym, Mości Książę?

Hamlet. Tak jest, Mości Panie. Być pocziwym w dziejach

tego świata, na jedno wychodzi, co być wybranym między
tysiącami.

Poloniusz. Masz wielką słuszność, Mości Książę.

Hamlet. Jeżeli bowiem słońce płodzi w zdechłym psie robaki,
promienie bóstwa ścierwo całują. Czy masz Waćpan
córkę?

Poloniusz. Mam, Panie.

Hamlet. Nie pozwalaj jej chodzić po słońcu. Każdy początek
trudny, ale począć bardzo łatwe. Miej to na względzie,
mój przyjacielu.

Poloniusz. Co przez to rozumiesz, Mości Książę? (*Do siebie*.)
Zawsze mu się marzy moja córka. A jednak nie
poznał mnie zrazu, wziął mnie za rybaka. Daleko z nim
już zaszło, daleko zaszło. I mnie, prawdę mówiąc, za
młodu miłość przyprowadziła do ostateczności podobnych
prawie. Muszę go jeszcze raz zagabnąć. — Cóż
to czytasz, Mości Książę?

Hamlet. Słowa, słowa, słowa.

Poloniusz. A o treść czy mogę spytać?

Hamlet. Czyją?

Poloniusz. Tej książki, którą Książę czytasz.

Hamlet. Potwarze, mój Panie, same potwarze. Ten łotr
satyryk utrzymuje, że starzy ludzie mają siwe brody
i zmarszczki na twarzy; że im ambra i kalafonia ciecze
z oczu; że mają zupełny brak dowcipu obok wielkiego
wycień czenia łydek. Lubo ja temu wszystkiemu najsilniej i
najpotężniej daję wiarę, przecież nie sądzę, aby o tem
pisać przystało; bo Waszmość sam stałbyś się pewnie
jak ja starym, gdybyś mógł, jak rak, w tył kroczyć.

Poloniusz. Chociaż to waryacya, nie jest jednakże bez metody.
Możebyś chciał zejść, Mości Książę?

Hamlet. Z tego świata?

Poloniusz. W rzeczy samej, byłoby to zejściem. Jak trafne
ma czasem odpowiedzi! Dar ten często bywa udziałem
szalonych, gdy tymczasem przytomni i rozumni nie
zawsze są zarówno szczęśliwi. Muszę go już opuścić
i niezwłocznie pomyśleć o sposobach, jakby się on
i moja córka zejść mogli. Miłościwy Książę, zmuszony
jestem pozbawić Waszą Książęcą Mość dłuższej mojej
obecności.

Hamlet. Nie możesz mnie, mój Panie, pozbawić niczego,
czegobym chętnie się nie wyrzekł: wyjąwszy życia, wyjąwszy
życia, wyjąwszy życia.

Poloniusz. Żegnaj cię, mój łaskawy Księżę.

Hamlet. Nudne stare głupcy.

(*Rozenkranc i Gildenstern wchodzą*).

Poloniusz. Szukacie, Panowie, Księcia Hamleta: oto jest.

(*Wychodzą*).

Rozenkranc (*do Poloniusza*). Bogu cię polecamy.

Gildenstern. Miłościwy Księżę!

Rozenkranc. Drogi nasz Księżę!

Hamlet. Kochani, dobrzy przyjaciele! Jak się macz, Gildensternie? A, Rozenkranc! Jak mi się macie, moje chłopcy?

Rozenkranc. Zwyczajnie, jak nic nie znaczący ludzie.

Gildenstern. Szczęśliwi przez to, że niezbyt szczęśliwi.

Czepca fortuny nie jesteście guzem.

Hamlet. Ale i nie podeszwa jej trzewików?

Rozenkranc. Nie, Mości Księżę.

Hamlet. A więc mieszkacie u jej pasa?

Gildenstern. Niby tak, w tej okolicy.

Hamlet. Cóż tam nowego?

Rozenkranc. Nic, Panie, wyjąwszy, że świat spoczcwiiał.

Hamlet. Więc blizki jest dzień sądu. Ale wiadomość wasza nie prawdziwa. Powiedźcie mi, w czemeście tak przeskrobali fortunie, że was tu do więzienia wtrąciła?

Gildenstern. Do więzienia?

Hamlet. Dania jest więzieniem.

Rozenkranc. Więc niem i świat jest także.

Hamlet. O, i wielkiem! pełnem turm, lochów i ciemnic.

Dania jest jedną z najgorszych.

Rozenkranc. Nie myślimy tak, Mości Księżę.

Hamlet. Więc dla was nie jest taką. W rzeczy samej, nic nie jest złem ani dobrem samo przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takim. Dla mnie Dania jest więzieniem.

Rozenkranc. Skutek, to chyba, Panie, dumy twojej; Dania jest dla niej za ciasną.

Hamlet. O, Boże! jabyem mógł być zamknięty w łupinie orzecha i jeszczebym się sądził panem niezmiernie przestrzni, gdybym tylko złych snów nie miewał.

Gildenstern. A te sny są właśnie utworem dumy; istota bowiem dumy nie jest czem innym, tylko snów cieniem.

Hamlet. Same już sny nie są czem innym, tylko cieniem.

Rozenkranc. Zapewne, duma zaś w moich oczach jest tak

powietrznej i znikomej natury, że można ją nazwać cieniem cienia.

Hamlet. Takim sposobem żebracy są ciałami, a nasi monarchowie i nadęci bohaterowie cieniami żebraków. Nie poszlibyśmy do dworu? bo, doprawdy, nie umiem rozumować.

Rozenkranc i Gildenstern. Wierzymy Waszej Księżęcej Mości.

Hamlet. Dajmy pokój temu; nie chcę was liczyć do rzędu sług moich, bo zaprawdę przysługują mi się okropnie. Ależ powiedźcie mi, tak po przyjacielsku, co porabiacie w Elzynorze?

Rozenkranc. Chcieliśmy cię odwiedzić, Mości Księżę; innego celu nie mamy.

Hamlet. Taki ze mnie nędzarz, żem nawet w podziękę ubogi: dziękuję wam jednak, chociaż to podziękowanie, wiercie mi, kochani przyjaciele, nie warte i pół szeląga. — Czy nie posyłano po was? Przybyliścież mnie odwiedzić z własnego popędu, z dobrej woli? Powiedźcie mi, powiedźcie; bądźcie szczerzy. I cóż?

Gildenstern. Cóż mamy powiedzieć, Mości Księżę?

Hamlet. Cobądź, byle się stosowało do rzeczy. Posyłano po was: widzę w waszych oczach pewien rodzaj wyznania, które skromność wasza napróżno usiłuje pokryć. Wiem, że miłościwy król i miłościwa królowa posyłali po was.

Rozenkranc. W jakimżeby celu, Mości Księżę?

Hamlet. Tegoć się od was chcę dowiedzieć. Ale zaklinam was na prawa koleżeństwa, na współdzwięk młodych lat naszych, na obowiązki naszej statecznej przyjaźni, na wszystko, co jest najświętsze i na co lepszy mówca lepiejby was, niż ja, mógł zakląć, powiedźcie mi rzetelnie, otwarcie: posyłanoż po was, czy nie posyłano?

Rozenkranc (*do Gildensterna*). Cóż ty na to?

Hamlet (*na stronie*). Aha, przyszliście mnie więc wymacać. — (*Głośno*). Jeżeli mi dobrze życzycie, powiedźcie prawdę.

Gildenstern. W istocie, posyłano po nas.

Hamlet. Powiem wam, w jakim celu; tym sposobem domysłność moja uprzedzi waszą gadatliwość i dyskretność wasza nie będzie dyskredytowaną. Od niejakiego czasu, nie wiem skąd, ze szczętem humor straciłem; zarzuciłem dawne przywyknienia i w tak ponure popadłem

usposobienie, że ten piękny obszar ziemski pustynią mi się wydaje; to wspaniałe sklepienie tam w górze, ten cudnie wiszący firmament, ta majestatyczna przestrzeń złotemi obsypana iskrami, niczem innym nie jest w moich oczach, jak tylko marnym, zaraźliwym zbiorem wyziwów. Jak doskonałym tworem jest człowiek! jak wielkim przez rozum! jak niewyczerpanym w swych zdolnościach! jak szlachetnym postawą i w poruszeniach! czynami podobnym do anioła, pojętnością zbliżonym do bóstwa! Ozdobą on i zaszczytem świata. Arcytypem wszech jestestw! A przecież czemże jest dla mnie ta kwintesencja prochu? Synowie ziemi nie pociągają mnie, ani jej córki, jakkolwiek, sądząc po waszym uśmiechu, zdajecie się to przypuszczać.

Rozenkranc. Myśl taka, Panie, nie przeszła mi przez głowę.

Hamlet. Dlaczegoż się Waćpan roześmiałeś, kiedym powiedział, że mnie synowie ziemi nie pociągają?

Rozenkranc. Bom sobie pomyślał, jakie w takim razie przyjęcie znajdą aktorowie, którycheśmy w drodze spotkali, a którzy tu dają celem ofiarowania Waszej Księżęcej Mości usług swoich.

Hamlet. Ten, co gra króla, godnie będzie przyjęty: jego królewska mość otrzyma ode mnie pamiątkę; awanturniczy rycerz będzie mógł do woli użyć tarczy i miecza; kochanek nie będzie darmo wdychał; melancholik spokojnie odegra swoją rolę; błazen pobudzi do śmiechu tych, co mają łechczywe płuca; a piękna dama swobodnie wynętrzy swe uczucia, jeśli nie będzie miała wstrętu do wiersza bez końcówki. — Cóż to za aktorowie?

Rozenkranc. Ciż sami, którzy cię zwykli byli zadowalać, Mości Księżę; tragicy ze stolicy.

Hamlet. Skądże im przyszło teraz po świecie wędrować? Na miejscu siedząc, lepiejby wyszli, tak pod względem sławy, jak korzyści.

Rozenkranc. Przyczyną ich wędrowania były, jak się zdaje, świeżo zaszłe innowacje.

Hamlet. Sąż oni jeszcze tak samo lubieni, jak wtedy, kiedym był w stolicy? Zawszeż liczne mają *publicum*?

Rozenkranc. Zaiste, teraz nie bardzo.

Hamlet. Skądże to pochodzi? Czy się opuścili w sztuce?

Rozenkranc. Bynajmniej: usiłowania ich postępują zawsze równym krokiem; ale wylęgło się tam stado dzieci,

małych indycząt, które piszczą jak opętane i tyrańskie, za to odbierają oklaski. Te są teraz w modzie i tak dalece wyzyskują teatr niższej klasy (tak nazywają tamten), że niejeden z rapierem przy boku, bojąc się piór gęsiich, nie śmie się już tam pokazać.

Hamlet. Są-li to dzieci naprawdę? Któż ich utrzymuje? Jak są płatni? Myśląż oni tylko dopóty sztukę uprawiać, dopóki nie stracą dyszkantu? Nie powiedząż wtedy, gdy sami spadną między niższą klasę (co jest bardzo prawdopodobne przy takim braniu się do rzeczy), że piszący dla nich krzywdę im wyrządzili, każąc im wykrzykiwać na ich własną przyszłość?

Rozenkranc. Bądź co bądź, z obu stron niemało było hałasu, i publiczność nie miała sobie za grzech podźgać ich nawzajem do kłótni. Przez czas jakiś nie można było grosza na żadnej sztuce zarobić, jeżeli autorzy i aktorzy za łby się w niej nie powiedli.

Hamlet. Czy być może?

Gildenstern. Niemało też sobie włosów powydzierano.

Hamlet. I smarkacze wzięli górę?

Rozenkranc. Nie inaczej. Herkules zmuszony był kapitulować przed Pigmejczykami.

Hamlet. Niema w tem nic dziwnego boć mój stryj jest królem duńskim; i ciż sami, którzy mu za życia mego ojca wykrzywiali zęby, dają teraz dwadzieścia, czterdzieści, pięćdziesiąt i sto dukatów za jego portret w miniaturze. Do licha! musi w tem być coś nadnaturalnego. Gdyby to filozofia mogła wyttómaczyć?

(*Odgłos trąb za sceną.*)

Gildenstern. Zapewne to aktorowie.

Hamlet. Koledzy, miły miście gośćmi w Elzynorze. Podajcie mi dłonie. Do orszaku gościnności należy etykieta i ceremonie; winienem was przeto podjąć tym trybem: inaczej, moje obojętne się z aktorami, które, uprzedzam was, będzie się musiało okazać uprzejmem, wydałoby się gościnniejszym, niż z wami. Zostaliście przyjęci z otwartymi rękoma, ale mój stryj-ojciec i moja matka-stryjenka zostali oszukani.

Gildenstern. Jakim sposobem, drogi Księżę?

Hamlet. Szalony jestem tylko przy wietrze północno-zachodnim; kiedy z południa wieje, umiem odróżnić jastrzębia od czapli.

(*Wchodzi Poloniusz.*)

Poloniusz. Dobre nowiny, panowie, wesołe nowiny!

Hamlet. Słyszycie go? — Ten wielki dzieciuch nie wyszedł jeszcze z pieluch.

Rozenkranc. Chyba nie wszedł powtórnie; bo mówią, że starzy ludzie na nowo stają się dziećmi.

Hamlet. Prorokuję wam, że przychodzi nam zwiastować aktorów; uważcie tylko. — Masz Waćpan słuszność: było to w poniedziałek z rana, w rzeczy samej.

Poloniusz. Mości Książę, mam ci oznajmić coś nowego.

Hamlet. Mości Panie, mam ci oznajmić coś nowego. Gdy Roscysz w Rzymie był aktorem...

Poloniusz. Aktorowie przybyli, Mości Książę.

Hamlet. Ejże? Ejże?

Poloniusz. Na honor, Mości Książę.

Hamlet (*śpiewając*). Każdy więc aktor przyjechał na osle.

Poloniusz. Są to aktorowie najlepsi w świecie; zdolni do wszelkiego rodzaju przedstawień: tragicznych, komicznych, historyczno - sielankowych, tragiczno - historycznych, tragiczno - komiczno - historyczno - sielankowych; czy to w scenach ciągłych, czy to w luźnym poemacie. Seneka nie jest dla nich za ciężki, ani Plaut za lekki. Tak w recytowaniu jak w improwizowaniu nie mają sobie równych.

Hamlet. O, Jefte, sędzio Izraela, jakież to skarb posiadałeś!

Poloniusz. Jakież on skarb posiadał, Mości Książę?

Hamlet. Ba! Córkę gładką, nic więcej, którą wielce miłował.

Poloniusz (*na stronie*). Zawsze mu się marzy moja córka.

Hamlet. Nie prawdaż, stary Jefte?

Poloniusz. Jeżeli mnie nazywasz Jeftem, Mości Książę, to nie przeczę, iż posiadam córkę, którą wielce miłuję.

Hamlet. Ależ nie to idzie za tem.

Poloniusz. Cóż za tem idzie, Mości Książę?

Hamlet. Ba! To, co rzekomo

Bogu wiadomo.

A potem, jak wiesz Waćpan,

Stać się musiało,

Co snadź się stało.

Pierwszy dwuwiersz tej pobożnej pieśni więcej objaśni Waćpana, niż ja mogę; bo oto nadchodzą przeszkody.

(*Wchodzi czterech lub pięciu aktorów*).

Witam was, Mości Panowie, witam. Cieszę się, że cię oglądam w dobrem zdrowiu. Witajcie, przyjaciele

O, stary, jakże ci się twarz poorwała, odkąd cię ostatni raz widziałem! Przyszedłeś mi tu imponować temi zmarszczkami? A, to ty, piękna damo! Szlachetna dziewico, dalipan, od czasu jak cię ostatni raz widziałem, zbliżyłaś się ku niebu na całą wysokość korka. Nie daj Boże, aby głos twój, jak dukat oberżnięty, wyszedł z obiegu! Witajcie nam wszyscy bez wyjątku! Będziemy, jak francuscy łowcy, rzucać się na wszystko, co ujrzymy. Nie moglibyśmy usłyszeć czego zaraz? Dajcie nam próbkę swego talentu: przedeklamujcie co patetycznego.

Pierwszy aktor. Co naprzykład, Panie?

Hamlet. Słyszałem cię raz deklamującego jeden ustęp, ustęp sztuki, która nigdy graną nie była, albo co najwięcej raz tylko, bo, ile pamiętam, nie podobała się publiczności; był to kawior dla jej podniebień: mojem jednak zdaniem, i tych, których sąd o takich rzeczach równego z moim był wzrostu, była to sztuka wyborna, dobrze podzielona na sceny, ułożona z równą zręcznością jak naturalnością. Przypominam sobie kogoś, co mówił, że braknie tym wierszom sosu, dla dodania smaku osnowie, i osnowy, któreby pozwalała posądzić autora o uczucie; przyznawał jej wszakże dobrą manierę, jędrność w obrobieniu i piękność, lubo bez wdzięku. W sztuce tej szczególnie lubiłem jeden ustęp, to jest opowiadanie Eneasza; mianowicie też owo miejsce, w którym ten bohater opisuje Dydonie śmierć Pryama. Jeżeli je pamiętasz, to zacznij od tego wiersza: Zaraz, zaraz.

•Okrutny Pirrus, jak ów zwierz hirkkański...

Nie, nie tak się zaczyna, ale zawsze od Pirrusa.

•Okrutny Pirrus, którego zbroica,

Czarna jak jego myśl, podobna była

Do owej nocy, gdy w złowrogim koniu

Chytrze ukryty leżał, powłókł teraz

Straszną swą postać dzikszą jeszcze barwą:

Od stóp do głowy czerwienią się odział,

Zbroczon krwią ojców, matek, córek, synów,

Spiekły od żaru płonącego miasta,

Które przeklętym blaskiem przyświecało

Mordercy swego pana; rozpalony

Gniewem i ogniem i skrzepły zarazem

Od stęgłej na nim posoki; oczyma

Jak karbunkuły płomieniejącemi
Szuka piekielny Pirrus sędziwego
Starca Pryama«. — Mów dalej.

Poloniusz. Jako żywo, ślicznie deklamujesz, Mości Książę,
z doskonałym akcentem i spadkiem głosu.

Pierwszy aktor. »Znajduje go wreszcie

Słabo na Greków nacierającego.
Rdzawy miecz jego, zbuntowany przeciw
Jego ramieniu, nieposłuszny woli,
Płazem uderza, kędy spadnie. Z całą
Przewagą siły, rzuca się na niego
Pirrus; z wściekłością próżny cios wymierza;
Lecz sam już zamach, sam świst jego stali
Obala starca; wtedy oto Ilium
Jak gdyby chciało nowy cios odwrócić,
Koronowaną płomieniami głowę
Chyli ku ziemi i trzaskiem okropnym
W niewolę ima Pirrusowe ucho;
Bo patrzcie! oto zabójczy miecz jego,
Nad mleczną głową czcigodnego starca
Już, już wzniesiony, zda się jakby nagle
Ugrzął w powietrzu. Jak kamienny posąg
Bóstwa zagłady, ważąc się pomiędzy
Czynem i wolą, stał czas jakiś Pirrus,
I nie przedsiębrał niczego.

Lecz jako nieraz widzimy przed burzą
Ciszę na niebie, spokojność w obłokach,
Wichry uśpione, a na dole ziemię
Jak grób milczącą, wtem przerażający
Piorun rozdziera chmurę: tak po chwili
Zbudzona zemsta podżęga na nowo
Zastaje ramię Pirrusa, i nigdy
Niemiłosierniej ciężki młot Cyklopów
Nie spadł na Marsa wiecznotrwałą zbroję,
Jak teraz krwawy miecz Pirrusa spada
Na sędziwego Pryama.

Hańba ci, zmienna Fortuno! Bogowie,
Wy wszyscy, którzy zasiadacie owdzie
W radzie Olimpu, odejmcie jej władzę!
Połamcie szprychy i dzwona jej koła,
I stoczcie krągłą piastę z szczytu niebios
W bezdenną otchłań piekieł!»

Poloniusz. To za długie.

Hamlet. Idź do balwierza i każ sobie brodę ogolić. Mów
dalej, bracie. Jemuby trzeba jasefek lub fars pluga-
wych, inaczej zaśnie. Dalej, przejdź teraz do Hekuby.

Pierwszy aktor. »Ale kto widział nieszczęsną królowę,
Jak rozczochna...«

Hamlet. Jaktó, rozczochna?

Poloniusz. To dobre wyrażenie; rozczochna królowa jest
dobrem wyrażeniem.

Pierwszy aktor. »Jak rozczochna, grożąca płomieniom
Łez potokami, biegła tu i owdzie
Boso, z łachmanem na tej samej głowie,
Którą niedawno jeszcze dyadem stroił;
Odziana, miasto sukni, prześcieradłem,
W chwili popłochu schwyconem naprędce;
O, ktoby to był widział, ten zmaczanym
W żółci językiem byłby był wznaczany
Przeciw Fortunie ostatnie bluźnierstwa:
A gdyby były ją widziały nieba
W tej chwili, kiedy ujrzała Pirrusa,
Z dziką radością siekącego mieczem
Ciało jej męża, wybuch jej boleści
Byłby był z oczu ich promieniejących
(Jeżeli tylko rzeczy tego świata
Mogą je wzruszyć) stok rosy wycisnąć,
I współjęk z piersi bogów«.

Poloniusz. Patrzcie, jak mu się twarz zmieniła i tży mu
w oczach stanęły. Skończ już Waćpan.

Hamlet. Dostyc tego, dopowiesz mi resztę innym razem.
Mości Panie, zechciej dojrzeć, aby ci Ichmość dobrze
byli ugoszczeni. Słyszysz Waćpan? Niech znajdą dobre
przyjęcie; bo oni są streszczoną, żywą kroniką czasu.
Byłoby lepiej dla Waćpana zyskać po śmierci niepo-
chlebny napis na nagrobku, niż za życia niekorzystne
ich świadectwo na scenie.

Poloniusz. Mości Książę, obejdę się z nimi odpowiednio
ich zastudze.

Hamlet. Do palarusza! znacznie lepiej. Gdybyśmy się obcho-
dzili z każdym wedle jego zasług, któżby uniknął chłó-
sty? Obchodź się z nimi Waćpan odpowiednio do własnej
twej zacności i godności. Im mniej kto zasługuje na
względy, tem więcej ma zasługi nasza względem niego
uprzejmość. Odprowadź ich.

Poloniusz. Pójdźcie, Panowie.

(Wychodzi z kilkoma aktorami).

Hamlet. Idźcie z nim, moi przyjaciele; dacie nam jutro jakie przedstawienie. Słuchajno, stary, możecie grać zabójstwo Gonzagi?

Pierwszy aktor. Możemy, Panie.

Hamlet. To grajcie je jutro. Nie mógłżebyś w potrzebie nauczyć się dwunastu do piętnastu wierszy, którebym napisał i wtrącił do twojej roli?

Pierwszy aktor. Czemu nie, łaskawy Panie.

Hamlet. To dobrze. Udaj się za tamtym jegomością, tylko nie drwij z niego, proszę cię.

(Wychodzi aktor).

Kochani przyjaciele, *(do Rozenkranca i Gildensterna)* pozwólcie mi was pożegnać. Do zobaczenia wieczorem.

Rozenkranc i Gildenstern. Żegnamy cię, drogi Książę.

(Wychodzą).

Hamlet. Bóg z wami! Otóż nareszcie sam jestem.

O, jakież ze mnie głąb, jaki ciemięga!

Czyliż to nie jest zgrozą, że ten aktor,

Niby w wzruszeniu, w parodii uczucia,

Do tego stopnia mógł nagiąć swą duszę

Do swoich pojęć, że za jej zrzadzeniem

Twarz mu pobladała, z oczu łzy pociekły,

Oblicze jego, głos, ruch, cała postać

Zastosowała się do jego myśli?

I gwoli komuż to? gwoli Hekubie!

Cóż z nim Hekuba, on z nią ma wspólnego,

Żeby aż płakał nad jej losem? Cóżby

Ten człowiek czynił, gdyby miał podobny

Mojemu powód i bodziec do wrzenia?

Zalałyby łzami całą scenę, rozdarł

Uszy słuchaczy rażącymi słowy,

W występnych rozpacz wzbudził, dreszcz w niewinnych,

Zmieszał prostaczków i sparaliżował

Refleksję ludzi myślących.

A ja, ospały niedołęga, drzemię

Jak Maciek, świętej niepamiętny sprawy,

I ani usta ująć się nie umiem

Za tego króla, na którego włości

I drogiem życiu dokonany został

Najohydniejszy rozbój. Jestem tchórzem?

Któż mi zarzuci podłość? któż mnie może

Wziąć za kark, za nos powieść, w twarz mi plunąć,
Wyrzucić w oczy kłamstwo? Któż to może?

A jednak

Zasługiwałbym na to, bo w istocie
Muszę mieć chyba wewnętrzości gołębia

I brak zupełny żółci, nadającej

Gorycz poczucia krzywdy, kiedym jeszcze

Nie napast dotąd stada sępów ścierwem

Tego nędznika. O, bezwstydy łotrze!

Zakamieniały, krwawy, sprośny łotrze!

Bodajżem! Mnież to przystoi, synowi,

Jednakowi zamordowanego

Drogię ojca, od nieba i piekła

Powołanemu do zemsty, jak baba

Marnemi słowy dawać folgę sercu,

I na przekleństwach czas trawić, jak prosta,

Karczenna dziewczka?!

Fuj! fuj! Gdzież moja głowa? Powiadają,

Że zatwardziali złoczyńcy, obecni

Na przedstawieniu okropnych widowisk,

Tak silnem zdjęci bywali wrażeniem,

Że sami swoje wyznawali zbrodnie:

Bo mężobójstwo, w braku ust, cudowny

Ma organ mowy. Każę tym aktorom

Coś podobnego do sceny zabójstwa

Ojca mojego odegrać przed stryjem;

Patrząc mu będę w oczy, śledzić będę

Najmniejszy jego ruch: jeżeli zadrgnie,

Wiem, co mam uczynić. Ten duch, com go widział,

Mógł być szatanem (bo szatan przybiera

Jaką chce postać) i, nadużywając

Mojej słabości i smętności (taki

Bowiem stan duszy bardzo mu dogodny),

Ciągnie mnie może w przepaść? Chcę pewniejszej,

Niż ta, rękojmi. Zamierzona sztuka

Będzie probierzem, którym, jak na wędę,

Sumienie króla na wierzech wydobędę.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Pokój w zamku.

(Król, Królowa, Poloniusz, Ofelia, Rozenkranc i Gildenstern).

Król. I nie mogliście wyrozumieć żadnym
Zwrotem rozmowy, skąd to rozprzężenie,
Które mu pokój zakłóca tak dzikim
I niebezpiecznym rodzajem maniactwa?

Rozenkranc. Przyznaje, że się czuje rozstrojonym;
Lecz przez co, w żaden sposób wyznać nie chce.

Gildenstern. Nie znaleźliśmy go bynajmniej skłonnym
Do wywnętrzania się; zrzęcnym dziwactwem
Trzymał nas owszem z daleka od siebie,
Kiedyśmy chcieli z niego coś wyciągnąć.

Królowa. Jakże was przyjął?

Rozenkranc. Bardzo grzecznie.

Gildenstern. Ale

Nie bez przymusu.

Rozenkranc. Szczodrym był w pytaniach,
Lecz w odpowiedziach oszczędny nad miarę.

Królowa. Nasunęliścież mu jaką rozrywkę?

Rozenkranc. Traf zrządził, żeśmy spotkali na drodze
Trupę aktorów: wspomnieliśmy o tem
Księżciu, i to go trochę ucieszyło.
Ci aktorowie już się tu znajdują
I, jak słyszałem, otrzymali rozkaz
Grania mu dzisiaj.

Poloniusz. Tak jest w rzeczy samej,
I mnie on zlecił prosić najpokorniej
Wasze Królewskie Moście, by racyły
Być obecnymi na tem widowisku.

Król. Z największą chęcią: serdecznie rad, że się
Do tego skłania. Wciąż go utrzymujcie,
Moi panowie, w tem usposobieniu,
I podniecajcie w nim gust do takiego
Rodzaju zabaw.

Rozenkranc i Gildenstern. Uczynim to, Panie.
(Wychodzą).

Król. Oddał się także, kochana Gertrudo.

Ułożyliśmy rzecz tak, aby Hamlet,
Niby przypadkiem, zszedł się tu z Ofelią.
Ja i jej ojciec (będzie to szpiegostwo
Godziwe) tak się tu ulokujemy,
Abyśmy widząc, niewidzialni sami,
O tem spotkaniu z blizka mogli sądzić
I z zachowania się jego wnioskować,
Czy to miłości wpływ, czy nie miłości
Tak go udręcza.

Królowa. Jestem ci posłuszną,
Mój mężu. Dałby Bóg, luba Ofelio,
Aby potęgą twoich wdzięków była
Błogim powodem tej zmiany Hamleta:
Wtedy szlachetność twoja, mam nadzieję,
Na dawnąby go sprowadziła drogę,
Ku zaszczytowi was obojga.

Ofelia. Pragnę,
Aby tak było, Miłościwa Pani. *(Królowa wychodzi).*

Poloniusz. Ofelio, chodź tu sobie. Najjaśniejszy,
My się umieścim tam. *(Do Ofelii).* Czytaj tę książkę,
Aby ten pozór zajęcia ubarwił
Twoją samotność. Tak to my, grzesznicy,
Rzekomo świętą miną, uczynkami
Budującymi pocukrzamy nieraz
Samego dyabła.

Król *(na stronie).* Prawda! Jakże srodze
Bicz tych wyrazów chłoszcze mi sumienie!
Twarz nierządnicę, różem upiększona,
Nie tak jest szpetną obok tej powłoki,
Jak czyn mój obok pokostu słów moich.
O, ciężkież moje brzemię!

Poloniusz. Już nadchodzi.
Śpieszmy na miejsce, Miłościwiu Panie.
(Król i Poloniusz wychodzą. — Hamlet wchodzi).

Hamlet. Być albo nie być, to wielkie pytanie.
Jest-li w istocie szlachetniejszą rzeczą
Znosić pociski zawistnego losu,
Czy też, stawwszy czoło morzu nędzy,
Przez opór wybrnąć z niego? — Umrzeć — zasnąć —
I na tem koniec. — Gdybyśmy wiedzieli,
Że, raz zasnawszy, zakończym na zawsze
Boleści serca i owe tysiączne
Właściwe naszej naturze wstrząśnienia,

Kres taki byłby celem na tej ziemi
 Najpożądanym. Umrzeć, — zasnąć. — Zasnąć!
 Może śnić? — w tem sęk cały; jakie bowiem
 W tym śnie śmiertelnym marzenia przyjść mogą,
 Kiedy zrzucimy z siebie więzy ciała,
 To zastanawia nas: i toć to czyni
 Tak długowieczną niedolę; bo któżby
 Ścierpiął pogardę i zniewagi świata,
 Krzywdy ciemiezcy, obelgi dumnego,
 Lekceważonej miłości męczarnie,
 Odwłokę prawa, butę władz i owe
 Upokorzenia, które nieustannie
 Cichej zasługi stają się udziałem,
 Gdyby od tego kawałkiem żelaza
 Mógł się uwolnić? Któżby dźwigał ciężar
 Nudnego życia i pocił się pod nim,
 Gdyby obawa czegoś poza grobem,
 Obawa tego obcego nam kraju,
 Skąd nikt nie wraca, nie wąliła woli,
 I nie kazała nam pędzić dni raczej
 W złem już wiadomem, niż, uchodząc przed niem,
 Popadać w inne, którego nie znamy.
 Tak to rozważa czyni nas tchórzami;
 Przedsiębiorczości hoża cera blednie
 Pod wpływem wahań i zamiary pełne
 Jędrności, zbite z wytkniętej kolei,
 Tracą nazwisko czynu. — Ha! co widzę?
 Piękna Ofelia! — Nimfo, w modłach swoich
 Pomnij o moich grzechach.

Ofelia. Jakże zdrowie

Waszej Książęcej Mości od dni tyłu?

Hamlet. Dobrze; pokornie dziękuję Waćpannie.

Ofelia. Mam jeszcze od was, Panie, kilka drobnych
 Pamiątek; dawno zwrócić je pragnęłam:
 Odbierzcie je dziś, proszę.

Hamlet. Jako żywo!

Jam nigdy w życiu nic nie dał Waćpannie.

Ofelia. Wiesz dobrze, Mości Książę, żeś to czynił,
 I upominki swoje ubarwiałeś
 Takimi słowy, które wszelkiej rzeczy
 Wartość podnoszą. Woń ich uleciała;
 Weź je napowrót, Panie, w oczach bowiem
 Każdej szlachetnie myślącej osoby

Najdroższe dary lichymi się stają,
 Gdy dawca martwi. Oto są.

Hamlet. Ha, ha, ha! Jestżeś uczciwą?

Ofelia. Mości Książę.

Hamlet. Jestżeś piękną?

Ofelia. Co znaczą te pytania?

Hamlet. To, że, jeżeli jesteś uczciwą i piękną, uczciwość
 twoja nie powinna mieć nic do czynienia z pięknością.

Ofelia. Jakto, Panie? Możeż piękność z czem lepszym cho-
 dzić w parze, niż z uczciwością?

Hamlet. Zapewne; tylko że potęgą piękności prędzej obróci
 uczciwość w sekutnicę, niż wpływ uczciwości potrafi
 piękność na swoje kopyto przerobić. Było to niegdyś
 paradoksem, ale w nowszych czasach okazuje się pewni-
 kiem. Kochałem dawniej Waćpannę.

Ofelia. W rzeczy samej, dawałeś mi to Książę do zrozu-
 mienia.

Hamlet. Nie trzeba ci było tak rozumieć; bo cnota nie
 daje się w stary nasz pień wszczepić tak, żebyśmy trą-
 cić nim przestali. Nie kochałem cię wcale.

Ofelia. Tem bardziej więc zostałam zawiedziona.

Hamlet. Idź Waćpanna do klasztoru; na co ci mnożyć
 grzeszników? Ja sam jako tako jestem uczciwy, a prze-
 cież mógłbym sobie zarzucić takie rzeczy, że lepiejby
 było, gdyby mnie była matka na świat nie wydała. Je-
 stem nadzwyczajnie dumny, mściwy, chciwy władzy;
 więcej mam przywar, niż władz umysłowych do ich po-
 znania, niż wyobraźni do dania o nich wyobrażenia
 i czasu do okazania ich w postępkach. Czego się takie
 figury tłuc mają pomiędzy ziemią i niebem? Jesteśmy
 arcyhultaje, wszyscy bez wyjątku; żadnemu z nas nie
 ufaj. Idź prosto do klasztoru. Gdzież Waćpanny ojciec?

Ofelia. W domu, Mości Książę.

Hamlet. Zamknijże go na klucz, aby nigdzie indziej nie
 grał roli błazna, tylko we własnym domu. Bądź zdrowa.

Ofelia (na stronie). Panie, zmiłuj się nad nim!

Hamlet. Jeżeli za mąż pójść zechcesz, dam ci w posagu
 tę przestrożę: Chociażbyś jak śnieg była czystą, jak
 lód nieskalaną, przecież nie ujdiesz obmowy. Wstąp
 do klasztoru. Adieu. Albo jeżeli koniecznie potrzebować
 będziesz wyjść za mąż, to wyjdź za głupca, bo rozsą-
 dni ludzie wiedzą bardzo dobrze, jakie z nich czynicie
 potwory. Idź czempzędziej do klasztoru. Adieu.

Ofelia (*na stronie*). O, nieba, wesprzyjcie go swą łaską!
Hamlet. Słyszałem też o malowaniu się waszem: nie dość
 wam jednej twarzy otrzymanej od Boga, dorabiacie so-
 bie drugą; sztafirkujecie się, krygujecie, cedzicie słowa,
 przedrzeźniacie boskie stworzenia i swawolę pokrywa-
 cie płaszczykiem naiwności. Precz, precz! nie chcę już
 patrzeć na to: to mnie we wściekłość wprawia. Wara
 odtąd mężczyznom żenić się; ci, co się już poženili,
 jednego wyjąwszy, niech żyją zdrowi, reszta pozostać
 winna tak, jak jest. Do klasztoru! Do klasztoru!

(*Wychodzi*).

Ofelia. O, jak szlachetny duch zwichnięty został!
 Dworaka, wodza, mędrca ton, miecz, umysł;
 Kwiat oczekiwania potężnego państwa,
 Wzór ukształcenia, zwierciadło poluru,
 Cel zwracającej się uwagi świata:
 Wszystko to, wszystko w niwecz obrócone!
 I ja, ze wszystkich kobiet najnędzniejsza,
 Com ssała nektar słodkich jego ślubów,
 Skazanam teraz widzieć tę wspaniałą,
 Wybraną duszę, jak spękany dzwonek,
 Chrapliwe tylko wydającą dźwięki;
 To czyste źródło bogatej młodości
 Zmącone szałem. O, czemuż musiałam
 Ujrzeć, co widzę, widzieć, co widziałam!

(*Wchodzi: Król i Poloniusz*).

Król. Miłość! Nie takie są jej symptomata.
 To, co on mówił, choć trochę bez związku,
 Cechy szaleństwa nie nosiło wcale.
 Ponura jego smętność wysiaduje
 Coś złowrogiego, co wylęgte z jarka
 Mogłoby stać się zgubnem. Pragnąc przeto
 Zapobiedz złemu, po świeżym namyśle,
 Postanowiłem wystać go niezwłocznie
 Do Anglii, celem niby zażądania
 Przynależnego nam haraczu. Może
 Ta podróż, widok różnych miejsc i rzeczy,
 Potrafi z jego serca wyrugować
 To coś, wokoło czego jego myśli,
 Bijąc się ciągle i skrycie nurtując,
 Tak go z właściwych wyrwyjąć karbów.
 Cóż Waćpan na to?

Poloniusz. Może to być dobrem;

Rozumiem jednak zawsze, że prawdziwem
 Jądem i źródłem tej jego choroby
 Jest bezwzajemna miłość. — No, Ofelio,
 Nie potrzebujesz nam objawiać tego,
 Co-ć mówił ksiązę Hamlet, bośmy sami
 Wszystko słyszeli. — Uczyń, co chcesz, Panie;
 Jeżeli jednak uznasz to stosownem,
 Niech po skończonem dzisiaj widowisku
 Królowa matka w poufnej rozmowie
 Prosi go, aby jej zwierzył swój smutek.
 Niechaj z nim mówi bez ogródki; ja zaś,
 Jeżeli się na to zgodzi Wasza Wielkość,
 Przyłożę ucho do tego sam na sam.
 Nie wydobędzie li nic z niego, wtedy
 Ślij go do Anglii, Panie, albo zamknij,
 Gdzie mądrość twoja wskaże.

Król. Dobra rada:
 Szalonych możnych pilnie strzedz wypada.
 (*Wychodzą*).

SCENA II.

Wielka sala tamże.

(*Wchodzi Hamlet z kilkoma aktorami*).

Hamlet. Proszę cię, wyrecytuj ten kawałek tak, jak ja ci
 go przepowiedziałem, gładko, bez wysilenia. Ale jeżeli
 masz wrzeszczeć, tak jak to czynią niektórzy nasi akto-
 rowie, to niech lepiej moje wiersze deklamuje miejski
 pachołek. Nie siecz też za bardzo ręką powietrza,
 w taki sposób; bądź raczej ruchów swoich panem;
 wśród największego bowiem potoku i, że tak powiem,
 wiru namiętności, trzeba ci zachować umiarkowanie,
 zdolne nadać wewnętrznej twojej burzy pozór spokoju.
 Nie posiadam się z oburzenia, słysząc, jak siaki taki
 barczysty gbur w peruce w gałgany obraca uczucie,
 prawdziwy z niego łach robi, by zadowolić uszy na-
 rodku, który po największej części kocha się tylko
 w niezrozumiałych gestach i wrzawie. Oćwiczycybm
 rad kazał takiego chama, żeby się lepiej hamował. Pro-
 szę cię, chroń się tego.

Pierwszy aktor. Zapewniam Waszą Wysokość.

Hamlet. Nie bądź też z drugiej strony za miękki; niech własna twoja rozważa przewodnikiem ci będzie. Zastosuj akcyę do słów, a słowa do akcyi, mając przede wszystkim to na względzie, abyś nie przekroczył granic natury; wszystko bowiem, co przesadzone, przeciwne jest zamiarowi teatru, którego przeznaczeniem, jak dawniej tak i teraz, było i jest, służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnotcie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku powstać ich i piętno. Owóż przeholowanie tego celu lub niedosięgnięcie może wprawdzie rozśmieszyć prostaczków, ale znającym się na rzeczy musi pójść w niesmak; nagana zaś jednego z tych ostatnich, na szali waszych zasług, przeważać musi poklask całego tłumu pierwszych. Widziałem ja aktorów, i znaleźli się tacy, co ich chwalili, głośno nawet; aktorów, którzy, bogobojnie mówiąc, ani z mowy, ani z ruchów nie byli podobni do chrześcijan, ani do pogan, ani do ludzi, a rzucali się i ryczeli tak, iż pomyślałem sobie, że chyba jaki najemnik natury sfabrykował ludzkość; tak bezecznie ją naśladowali.

Pierwszy aktor. Pochlebiamy sobie, żeśmy się tego pozbyli cokolwiek.

Hamlet. O, pozbadźcie się tego ze szczętem. Tym zaś, co u was grają błaznów, zakaźcie jak najsurowiej prawić cobądź więcej nad to, co stoi w ich roli; są bowiem między nimi tacy, co się namawiają do śmiechu, aby w pewnej liczbie jałowych spektatorów także śmiech wzbudzić, i to właśnie w chwili, kiedy przypada jaki szczególnie sztuki zasługujący na uwagę. To niegodziwość, dowodząca politowania godnej wyniosłości w błaznie, który tak czyni. Idźcie i bądźcie w pogotowiu.

(Aktorowie wychodzą).

(Wchodzi: Poloniusz, Rozenkranc i Gildenstern).

No i cóż, Mości Panie? Czy król chce spożyć ten kęs widowiska?

Poloniusz. Jego Królewska Mość przybędzie, Królowa Jej Mość także, i to zaraz.

Hamlet. Powiedźże Waćpan aktorom, niech się śpieszą.

(Poloniusz wychodzi).

A Panowiez to nie dopomożecie ich zagnąć do pośpiechu?
Rozenkranc i Gildenstern. I owszem, Mości Książę.

(Wychodzą).

Hamlet. Hola, Horacy!

(Horacy wchodzi).

Horacy. Co rozkażesz, Panie?

Hamlet. Horacy, jesteś najpocziwszym z ludzi,
Z którymi kiedykolwiek przedstawiałem.

Horacy. O Panie!

Hamlet. Nie myśl, że ci chcę pochlebić.

Czegożbym mógł się spodziewać od ciebie,
Który nic nie masz, krom reżkości ducha,
Ku wyżywieniu się i ku okryciu?
Któżby pochlebiał biednym! Niechaj w cukrze
Smażony język liże głupią pychę,
Niech się zawiasy kolan uginają
Tam, gdzie łaszenie się zdobywa korzyść.
Słuchaj: od chwili, kiedy dusza moja
Mogła być panią swojego wyboru
I ludzi jednych przenosić nad drugich,
Od owej chwili już cię ona sobie
Upodobała; boś ty, wiele cierpiąc,
Takim był zawsze, jakbyś nic nie cierpiał;
Boś ty fortunie zarówno był wdzięczny
Za jej umizgi i prześladowania;
A błogostawion, w kim krew z przekonaniem
Tak są zmieszane, iż on palcom losu
Nie służy za flet do wydania dźwięków
Wedle kaprysu. O, daj mi człowieka,
Nie będącego żądź swych niewolnikiem,
A w głębi mego serca go umieszczę,
W sercu samegoż serca, tak jak ciebie.
Za wiele tego już podobno. W sztuce,
Która niebawem ma być przedstawioną,
Jest jedna scena zbliżona do tego,
Com ci o śmierci mego ojca zwierzył.
Gdy się ta scena pertraktować będzie,
Zwróć, proszę, całą potęgę uwagi
Na mego stryja. Jeśli jego wina,
Podczas tej sceny sama się nie zdradzi,
Ów niby zacny duch był potępieńcem,
A wyobraźnia moja istną siostrą
Młotu Wulkana. Nie spuszczał go z oczu,
Ja mój wzrok także pilnie w twarz mu wryję,
A potem zlejem nasze spotrzeżenia
W stanowczą formę wniosku.

- Horacy.** Dobrze, Panie;
Jeżeli skradnie co mojej baczności
I ujdzie cały, zapłacę tę kradzież.
- Hamlet.** Już idą; muszę znowu zostać głupcem.
Dalej na miejsce!
(Marsz. Odgłos trąb. Król, Królowa, Poloniusz, Ofelia, Rozenkranc, Guildenstern i inne osoby wchodzi).
- Król.** Jakże się miewa nasz syn Hamlet?
- Hamlet.** Wybornie; żyję jak kameleon powietrzem, nadzieją obietnicami; kapłonów nie moglibyście lepiej tu czyć.
- Król.** Nie mam co zrobić z tą odpowiedzią. Te słowa nie do mnie należą.
- Hamlet.** Ani do mnie już teraz. *(Do Poloniusza).* Waćpan grywałeś kiedy na uniwersytecie, jeżeli się nie mylę?
- Poloniusz.** Tak jest, Mości Książę, i miałem sławę dobrego aktora.
- Hamlet.** A cóżes Pan przedstawiał?
- Poloniusz.** Przedstawiałem Juliusza Cezara i zostałem zabity na Kapitolu. Brutus mnie zabił.
- Hamlet.** Cóż to za brutalstwo było z jego strony, żeby tak kapitalne ciele tam zabijać! — Czy aktorowie już w pogotowiu?
- Rozenkranc.** Czekają, Panie, na twe rozkazy.
- Królowa.** Pójdź tu, kochany Hamlecie, siądź przy mnie.
- Hamlet.** Wybacz, kochana matko, tu jest metal silniej pociągający.
- Poloniusz** *(do króla).* Słyszałeś, Panie?
- Hamlet** *(do Ofelii).* Mogeż, o Pani, ledz na twojem łonie?
- Ofelia.** Nie, Mości Książę.
- Hamlet.** To jest na twojem łonie głowę wsparłszy?
- Ofelia.** Możesz, Książę.
- Hamlet** *(kładąc się u jej nóg).* Sądziś-li, żem miał w myśli co innego?
- Ofelia.** Ja nic nie sądę.
- Hamlet.** Toby był pomysł nielada.
- Ofelia.** Co takiego?
- Hamlet.** Nic.
- Ofelia.** Książę dziś jesteś wesół.
- Hamlet.** Kto? ja?
- Ofelia.** Nieinaczej.
- Hamlet.** O, jedynie na cześć twoją. Cóż zresztą człowiek ma czynić, jeżeli nie weselić się? Oto naprzykład moja

- matka, patrz Pani, jak promieniejąco wygląda, chociaż mój ojciec zmarł przed dwiema godzinami.
- Ofelia.** Przed dwa razy dwoma miesiącami, Mości Książę.
- Hamlet.** Tak to już dawno? Niechże się dyabeł czarno nosi, ja przywdzieję sobole. Dla Boga! Od dwóch miesięcy zmarły i jeszcze nie zapomniany? Jest więc nadzieja, że pamięć wielkich ludzi zdoła przetrwać ich żywot przez pół roku; notabene, jeżeli ufundują kościoły; w przeciwnym razie niech się nie skarżą, jeżeli ich spotka los tego konika, któremu na nagrobku napisano: »Konik zdechł, więc go w miech«.
- (Odgłos trąb. Poczem następująca pantomima: Para królewskich małżonków w czulej komitywie wchodzi na scenę. Królowa ściska króla i on ją nawzajem; kłęką przed nim z wyrazem najtkliwszego przywiązania; on ją podnosi i głowę na jej piersi skłania; kładzie się potem na kwiecistej darni i zasypia. Ona, widząc go uspiętego, odchodzi. Po niejkiej chwili ukazuje się jakiś człowiek, zbliża się do śpiącego, zdejmując mu z głowy koronę, całuje ją, wlewa potem w ucho królowi truciznę i wychodzi. Królowa powraca, znajduje króla nieżywego i bardzo rozpacza. Zabójca w towarzystwie dwóch czy trzech niemych osób wchodzi znowu i niby także lamentuje. Wynoszą trupa. Zabójca składa przed królową dary i oświadcza jej swoją miłość. Ona okazuje zrazu wstręt i niechęć, w końcu jednak podaje mu rękę. Wychodzą).*
- Ofelia.** Co to było, Mości Książę?
- Hamlet.** To był hultajski bigos.
- Ofelia.** Zapewne ta pantomima zawierała w sobie treść sztuki?
- (Wchodzi Prolog).*
- Hamlet.** Dowiemy się od tego jegomości. Aktorowie nie umieją trzymać języka za zębami; muszą wszystko wypaplać.
- Ofelia.** Czy on nam odkryje znaczenie tego?
- Hamlet.** Niezawodnie, tak jak wszystko, co byś mu pani odkryła.
- Prolog.** Cni Panowie i cne damy,
Dla nas i dla naszej dramy,
Kornie was o wzgląd błagamy.
- Hamlet.** Prolog-li to, czy dewiza na sygnet?
- Ofelia.** To było krótkie.
- Hamlet.** Jak miłość kobiet.
(Wchodzi: król aktor i królowa aktorka).

Król aktor. Trzydzieści razy Feba rumaki obiegły
 Krąg Tellusa i przestwór Neptuna rozległy,
 I trzydzieścikroć razy dwanaście naprzemian
 Zapłonął i zbladł miesiąc nad głowami ziemian,
 Odkąd nam Amor serca, Hymen złączył dłonie
 Węzłem, który się chyba rozwiąże po zgonie.

Królowa aktorka. Obyśmy drugie tyle zmian luny i słońca
 Zliczyli, nim miłości dożyjemy końca!
 Lecz ach! już od pewnego czasu niezbadana
 W zdrowiu, w humorze twoim, Panie, zaszła zmiana.
 Lękam się... niechaj jednak te niewieście trwogi
 Nie przyczyniają-c cierpień, o! mężu mój drogi.
 Obawy u płci naszej z miłości się rodzą,
 Jak ta, lub nie istnieją lub miarę przechodzą.
 Czem moja miłość, tego liczeńś miał objawy;
 W jakim zaś stopniu miłość, w takim i obawy.
 Gdzie wielka miłość, lada wątpliwość przeraża,
 I z zwiększeniem się obaw miłość się pomnaża.

Król aktor. Tak, najmiłsza, opuszczę cię i to niedługo.
 Coraz już siły skąpszą darzą mię postugą;
 Ty zostaniesz; żyć będziesz na tym pięknym świecie
 Szanowana, kochana, i może ci splecie
 Wieniec drugi małżonek.

Królowa aktorka. O, wstrzymaj te słowa!
 Zbrodniąby w mojem łonie była myśl takowa.
 Obym przy drugim mężu była potępioną!
 Taka tylko drugiego może zostać żoną,
 Co zabiła pierwszego.

Hamlet. To piołun.

Królowa aktorka. Podłe tylko chucie
 Kleją powtórne związki, lecz nigdy uczucie.
 Zabójczyni pierwszego powtórnie go zgładza,
 Gdy nowego małżonka w łóżce swe wprowadza.

Król aktor. Że myślisz tak, jak mówisz, najzupełniej wierzę;
 Nieraz jednak człek łamie to, co przedsięwberze.
 Zamiar jest niewolnikiem wyłącznym pamięci.
 Silnej budowy ale słabej konsystencji;
 Krzepko wisi, jak owoc nieźrzały u drzewa,
 Lecz gdy zmięknie, przed czasem lada wiatr go zwiewa.
 Nie dziw, że nie pomnimy wypłacać na dobie
 Długu, któryśmy winni tylko samym sobie.
 To, co postanawiamy w chwili uniesienia,
 Z uniesieniem minionem w parę się zamienia;

Zbytńia gwałtowność, czy to radości, czy smutku,
 Sama własne swe chęci wydziedzicza z skutku:
 Gdzie radość pusta, smutek przechodzi w rozpacz.
 Tam po chwili cieszy się smutek, radość płacze,
 Świat ten nie wiekuiesty, ni się kto zdumiewa,
 Że z przesileniem szczęścia i miłość omdlewa;
 Kwestya to bowiem jeszcze mieszcząca zawitość,
 Czy miłość jedna szczęście, czy też szczęście miłość?
 Można runąć, pierzchają wraz czcicieli zgraje;
 Biedny wznioł się, aliści wróg dłoń mu podaje.
 Zdaje się więc, że miłość szczęściu jest służebna,
 Ma przyjaciół, komu ich miłość niepotrzebna,
 A kto w potrzebie niby przyjaciela zwywa,
 Gotowego w nim sobie wroga wychowywa.
 Słowem, bym skończył na tem, od czego zacząłem,
 Chęć i moc nasza tak są odrębnym żywiołem,
 Że najczęściej upada to, co człek zamierzy;
 Myśl nasza do nas, cel jej nie do nas należy.
 Tak i ta myśl, że z drugim nie będziesz złączona,
 Skona w tobie, gdy pierwszy twój małżonek skona.

Królowa aktorka. Niech mi niebo odmówi światła, ziemia
 [wody,

Noc nie da odpoczynku, dzień nie da swobody!
 W rozpacz niech wszelka moja zmieni się pociecha!
 Los tylko więźnia w lochu niech mi się uśmiecha!
 Wszystko to, co rumieniec przeistacza w błądność,
 Niech będzie mym udziałem, gdy uczuję radość!
 Tu i tam niech ponoszę kaźń co chwila nową,
 Jeśli żoną zostanę, raz zostawszy wdową!

Hamlet (*do Ofelii*). Gdyby tę przysięgę miała złamać...

Król aktor. Ślub to straszliwy. — Luba, opuść mię na
 [chwile;

Myśli mi się mieszają; może snem zasile
 Znękane ciało.

(*Zasypia*).

Królowa aktorka. Niech cię kołysz sen błogi,
 I wszelkie złe omija zdala nasze progi!
 (*Wychodzi*).

Hamlet (*do królowej*). Jak ci się, Pani, podoba ta sztuka?

Królowa. Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele.

Hamlet. O, ale dotrzyma słowa.

Król. Czy znasz Waćpan treść tej sztuki? Nie mieścił ona
 w sobie nic zdrożnego?

Hamlet. Nic zgoła; oni tylko żartują, trują żartem; nic zdrożnego w świecie.

Król. Jakiż ta sztuka ma tytuł?

Hamlet. Łapka na myszy. Skąd zaś taki? Przez przenośnię. Przedstawia ona morderstwo dokonane w Wiedniu. Zamordowany książę nazywał się Gonzago, a jego żona Baptysta. Arcyszelmowska to sprawka, jak zaraz obaczymy. Ale co nam do tego? Wasza Królewska Mość i my wszyscy mamy spokojne sumienie, nie może nas to dotknąć. Niech się drapie, kto ma liszaj; nasza skóra zdrowa. *(Wchodzi Lucyan).*

To jest niejaki Lucyan, synowiec króla.

Ofelia. Objaśniasz, Mości Książę, tak dobrze, jak chór starożytny.

Hamlet. Gotówem służyć Pani za epilog nawet, byleby tylko było szczęśliwe rozwiązanie.

Ofelia. Kolący masz dowcip, Mości Książę.

Hamlet. Odpokutowałabyś, Pani, niejednym jękiem stępienie mi kolca.

Ofelia. Coraz to lepiej.

Hamlet. Nadużywacie Panie naszej flegmy. — Dalej, morderco; zrzuć twą przeklętą larwę i zaczynaj.

— — Już kruk krakaniem

Do zemsty daje hasło.

Lucyan. Myśl czarna, ręka pewna, płyn dzielny, czas sprzyja, Nie tamuje zamiaru obecność niczyja.

Szary wyskoku, w północ z zbójczych ziół zebrany,

Po trzykroć pod Hekaty kłątwą gotowany,

Władzę twą czarodziejską, straszłą w swem rozwiciu
Okaz niezwłocznie na tem zdrowem jeszcze życiu.

(Wlewa truciznę w ucho śpiącemu).

Hamlet. Truje go w jego własnym ogrodzie dla zagrabienia jego państwa. Nazwisko tamtego jest Gonzago; rzecz autentyczna i we włoskim tekście wybornie opisana. Teraz zobaczymy, jakim sposobem morderca pozyskuje miłość żony Gonzagi.

Ofelia. Król powstaje.

Hamlet. Jakto? strwożony fałszywym alarmem!

Królowa. Co ci jest, Panie?

Poloniusz. Niech skończą widowisko!

Król. Światła! — Wychodźmy.

Poloniusz. Światła! światła! światła!

(Wszyscy wychodzą prócz Hamleta i Horacego).

Hamlet. Niech ryczy z bólu ranny łoś,

Zwierz zdrów przebiega knieje;

Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś.

To są zwyczajne dzieje.

Powiedz mi Waćpan, czy ta komedia, z dodatkiem lasu piór na głowie i pary prowansalskich róż u dziurawych trzewików, nie powinaby (jeżeli mi Turek reszty szczęścia nie zabierze) utorować mi przyjęcia do jakiej trupy aktorów? He?

Horacy. Poniekąd.

Hamlet. Bezwarunkowo.

Wiedz bowiem, miły mój Damonie,

Że z raju dziś tu step;

Gdzie wczora Jowisz był na tronie,

Tam dziś panuje — pustka.

Horacy. Mogłeś dorymować, Mości Książę.

Hamlet. O Horacy! Słowa tego ducha złota warte. Czy widziałeś?

Horacy. Najwyraźniej.

Hamlet. Kiedy była mowa o otruciu?..

Horacy. Uważałem dobrze.

Hamlet. Ha! ha! — Niebna tam gdzie jakiego grajka? Hej!

Bo skoro król komedyi nie lubi, pewnikiem

Król Jegomość komedyi nie jest lubownikiem.

A co, są grajkowie?

(Wchodzą: Rozenkranc i Gildenstern).

Gildenstern. Mości Książę, niech nam wolno będzie powiedzieć jedno słowo.

Hamlet. Ile ich jest w słowniku.

Gildenstern. Mości Książę, Król...

Hamlet. Cóż Król porabia, Mości Panie?

Gildenstern. Od wyjścia stąd bardzo zaniemógł.

Hamlet. Z przepicia?

Gildenstern. Z wzburzenia żółci.

Hamlet. Troskliwość pańska byłaby się była okazała trafniejszą, udając się w takim razie do doktora? bo gdybym ja mu zapisał na przeczyszczenie, mogłoby mu to jeszcze bardziej żółć wzburzyć.

Gildenstern. Racz, łaskawy Panie, zamknąć swą mowę w pewne szranki i nie odskakiwać tak dziko od celu, w jakim przychodzimy.

Hamlet. Jestem już potulny: mów Waćpan.

Gildenstern. Królowa, matka Waszej Księżęcej Mości, w najgłębszem rozżaleniu przysyła nas do ciebie, Panie.

Hamlet. Miło mi Panów powitać.

Gildenstern. Nie, Mości Księżę; te grzeczności nie w porę. Jeśli się Waszej Księżęcej Mości podoba dać nam zdrową odpowiedź, wypełnimy polecenie jego matki; w przeciwnym razie, przebaczenie Waszej Księżęcej Mości i oddalenie się nasze będzie jedynym owocem naszego tu przybycia.

Hamlet. Nie mogę, doprawdy.

Gildenstern. Czego, Mości Księżę?

Hamlet. Dać Panom zdrowej odpowiedzi, bom chory na głowę; na jaką wszakże będę się mógł zdobyć, taką im służyć będę, albo raczej matce mojej. Dlatego przystąpmy wprost do rzeczy, bez korowodów. Mówicie więc Panowie, że moja matka...

Rozenkranc. Nie tai tego, że postępowanie Waszej Księżęcej Mości w podziw ją i zdumienie wprawia.

Hamlet. O, dziwny synu, który tak możesz zdumiewać matkę swoją! — A czy niema tam czasem jakiego postskryptu pod tym macierzyńskim podziwem? Powiedzcie, Panowie.

Rozenkranc. Życzeniem jej jest, abyś się Księżę z nią widział w jej gabinecie, nim się udasz na spoczynek.

Hamlet. Będę jej posłuszny, choćby była dziesięć razy moją matką. Czy macie panowie co więcej do powiedzenia?

Rozenkranc. Mości Księżę, był czas, żeś mię lubił.

Hamlet. Na Bacha i Merkurego! i teraz jeszcze.

Rozenkranc. Łaskawy Księżę, co cię udręcza? Dobrowolnie zamykasz, Panie, drzwi swobodzie, ukrywając troski swoje przed przyjacielem.

Hamlet. Nie mam wpływu, mój Panie.

Rozenkranc. Jako? kiedy sam król zapewnia Waszej Księżęcej Mości następstwo duńskiego tronu!

Hamlet. Tak, tak, ale znasz Pan przysłowie: dostał koń owsa, — koniec trochę niesmaczny.

(Muzykanci wchodzą.)

Otóż i gędzba. — Pozwólno mi, bracie, swego fletu. — *(Biorąc Rozenkranca na stronę.)* Dlaczego tak tropisz wkoło mnie, jak gdybyś mię chciał w lisią jamę zapędzić?

Rozenkranc. O, Panie! jeśli mię żarliwość uczyniła za

śmiałym, przywiązanie moje słusznie możesz nazwać nieokrzesanem.

Hamlet. Nie rozumiem tego dobrze. Zagrajno, proszę, na tym flecie.

Rozenkranc. Nie umiem, Mości Księżę.

Hamlet. Proszę cię.

Rozenkranc. Nie umiem, doprawdy.

Hamlet. Jak mnie kochasz.

Rozenkranc. Nie potrafię z niego wydobyć głosu, Mości Księżę.

Hamlet. To tak łatwo przecie, jak kłamać. Przebieraj po tych dziurkach palcami, włóż ten koniec w usta i zadmij, a wydobędziesz ton najdziwniejszego. Patrz, tu są klapy.

Rozenkranc. Ale ja ich użyć nie umiem do wydania jakiejś bądź melodyi; nie znam się na tem.

Hamlet. Patrząc teraz, za jakiego mnie masz bajbardzo. Chciałbyś grać na mnie; wmawiasz w siebie, że znasz mój mechanizm? chciałbyś wyrwać ze mnie rdzeń mej tajemnicy, wycisnąć ze mnie całą skalę tonów, od najniższej nuty aż do dyszkantu; a w tym tu marnym instrumencie tyle jest głosu, tyle harmonii, jednakże nie możesz go skłonić do przemówienia. Cóż u kata! czy sądzisz, że na mnie łatwiej zagrać, niż na flecie? Miej mię za jaki chcesz instrument: przedać, rozstroić mię potrafisz, ale zagrać na mnie — nigdy.

(Wchodzi Poloniusz.)

Witam Waćpana Dobrodzieja.

Poloniusz. Mości Księżę, Królowa Jejmość życzy sobie z Waszą Księżęcą Mością pomówić, i to zaraz.

Hamlet. Czy widzisz tam Waćpan tę chmurę z kształtu podobną do wielbłąda?

Poloniusz. W rzeczy samej, istny wielbłąd.

Hamlet. Zdaje mi się, że jest podobniejszą do łasicy.

Poloniusz. Prawda, z boku podobniejsza do łasicy.

Hamlet. Albo raczej do wieloryba.

Poloniusz. Bardzo podobna do wieloryba.

Hamlet. No, to dobrze; zaraz pójde do matki. — Z tymi głupcami trzeba zgłupieć naprawdę. — Zaraz idę.

Poloniusz. Śpieszę to powiedzieć.

Hamlet. Zaraz, łatwo da się powiedzieć. — Zostawcie mnie, przyjaciele.

(Wychodzą: Rozenkranc, Gildenstern i Horacy.)

Teraz jest właśnie czarodziejski, straszny
Ów peryod nocy, w którym się podnoszą
Groby, i same piekła wyziewają
Na świat zarazę. O, terazbym gotów
Pić krew i takie rzeczy wykonywać,
Na których widok dzieńby zbladł: lecz teraz
Mam iść do matki. O, serce, nie zaprzecz
Naturze mojej! Niech nigdy w to łono
Nie znajdzie wstępu Neronowa dusza!
Niech będę srogim, ale nie wyrodnym!
Sztylety w ustach mam, ale nie w dłoni!
Niechaj mój język będzie w tem spotkaniu
Obłudnym względem serca, i jakkolwiek
Słowa me będą miotać się i srożyć,
Pieczęci, duszo, nie daj doń przyłożyć!
(*Wychodzi*).

SCENA III.

Pokój tamże.

(Król, Rozenkranc i Gildenstern).

Król. Nie można mu dowierzać, nie byłoby
Nawet roztropnem, gdybyśmy mu dłużej
Wodze szaleństwa puszczać dali. Bądźcie
Więc w pogotowiu; skoro odbieriecie
Depesze, już się przygotowujące,
Natychmiast jedźcie z nim do Anglii. Dobro
Naszego państwa nie pozwala cierpieć
Takiej bliskości hazardu, na który
Jego wybryki z każdą chwilą bardziej
Nas wystawiają.

Gildenstern. Będziem w pogotowiu.
Święta i bogobojna to troskliwość
Waszej Królewskiej Mości, bo tu idzie
O zachowanie bezpieczeństwa tylu
Tysięcy ludzi, które pod jej berłem
Żyją szczęśliwie.

Rozenkranc. Każdy pojedyńczy,
Prywatny żywot już jest w obowiązku
Wszelkimi siły i z całą dzielnością
Chronić i bronić siebie od uszczerbku:

O ileż więcej taki byt, na którym
Polega życie milionów! Nie kończy
Nigdy majestat sam jeden dni swoich;
Jak spadający potok chłonie z sobą
Wszystko, co było w pobliżności. Jest on
Niby potężnem kołem przytwardzonym
Do szczytu góry, przy którego dzwonach
Olbrzymich wiszą krocie przyczepionych
Drobiazgów; jeśli to koło się stoczy,
Wrzą każda z owych podrzędnych jednostek
Chyżo mknie w przepaść. Nigdy bez współdzwięku
Jęków ogólnych król nie wydał jęku.
Król. Śpiesznie gotujcie się do tej podróży.
Trzeba nam spętać ten postrach, co teraz
Za bardzo hula.

Gildenstern i Rozenkranc. Będziem się śpieszyli.
(*Wychodzą. — Wchodzi Poloniusz*).

Poloniusz. Ma przyjść niebawem do pokoju matki;
Ja za obiciem stanę i wysłucham,
Co się tam będzie działo. Pewny jestem,
Że mu królowa jejmość zmyje głowę;
Trzeba atoli, jak to bardzo mądrze
Wasza Królewska Mość zauważyła,
Aby krom matki, bo matki z natury
Są stronne, jeszcze drugi jaki świadek
Był tam obecny. Idę więc i, zanim
Wasza Królewska Mość pójdzie do łóżka,
Będę z powrotem, by zdać sprawę z tego,
Czego się dowiem.

Król. Dziękuję-ć, mój drogi.
(*Wychodzi Poloniusz*).

O, kał mej zbrodni cuchnie aż w niebiosach!
Najstarsza kłątwa na niej ciąży, stygmat
Bratniego mordu! Nie mogę się modlić,
Chociaż potrzeba dorównywa chęci;
Moc winy mojej kruszy moc mej woli,
I jako człowiek rozdwojon w działaniu,
Stoję wahając się, co mam wprzód zacząć,
I nic nie czynię. Jakto? choćby nawet
Ta dłoń przekłęta była od krwi bratniej
Dwukroć tak brudną, czyliż miłosierne
Nieba nie mają dżdżu do jej obmycia,
Ażby zbielała jak śnieg? Na cóż łaska,

Jeśli nie na to, by przebaczać winnym?
 Czemże są modły, jeżeli nie ową
 Podwójną siłą, zdolną nas podeprzeć,
 Gdy mamy upaść, lub podnieść na nowo,
 Kiedy upadnięm? Wzniosę przeto oczy;
 Błąd mój już minął. Lecz ach! jaki rodzaj
 Modlitwy może być dla mnie pomocnym?
 Przebac mi moje ohydne morderstwo!
 To być nie może; boć jeszcze posiadam
 To wszystko, co mię wiodło do morderstwa:
 Koronę, władzę, żonę brata. Możeż
 Być rozgrzeszonym, kto dzierży plon grzechu?
 W praktykach tego zepsutego świata
 Zdarza się zbrodni pozłoconą ręką
 Usuwać na bok sprawiedliwość; nieraz
 Widziano nawet prawo przekupione
 Owocem gwałtu; ale *tam* tak nie jest:
 Tam nie popłaca szalbierstwo; tam czyni
 Nago się jawią i człowiek, stawiony
 Naprzeciw swoich przestępstw oko w oko,
 Musi je wyznać. Cóż mi więc zostaje?
 Spróbować, czego żal dokaże? Czegoż
 On nie dokaże? lecz czegoż dokaże,
 Gdy winowajca nie może żałować?
 O, straszna dolo! duszo, jak śmierć czarna!
 Splątana myśli, która, usiłując
 Być wolną, coraz okropniej się wikłasz!
 Przyjdźcie mi w pomoc, o wy aniołowie!
 Zegnijcie, się kolana! i ty, stała
 Okute serce, zmięknij, jako nerwy
 Nowo narodzonego niemowlęcia!
 Jeszcze się wszystko da naprawić.

(*Kłęka. — Wchodzi Hamlet.*)

Hamlet. Modli się; teraz mógłbym to uczynić;
 Teraz uczynię. Ale tym sposobem
 Pójdzie do nieba; i toż będzie zemstą?
 Trzeba się nad tem zastanowić. Nędznik
 Zabija mego ojca, i ja za to,
 Ja, syn jedyne zamordowanego,
 Posyłam tegoż nędznika do nieba.
 Toby nagrodą było a nie zemstą.
 On go tyrańsko zgładził, w sennej dobie,
 W stanie sytości, w maju jego grzechów;

Jak tam rachunek jego stoi, Bogu
 Wiadomo; sądząc atoli po ludzku,
 Żle z nim być musi. I jażbym się zemścił,
 Gdybym go zabił teraz, kiedy skruczą
 Oczyszcza duszę, przygotowanego,
 Opatrzonego w podróż z tego świata?
 Nie. Czekaj, mieczu, sposobniejszej pory.
 Kiedy pijany będzie, we śnie, w gniewie,
 Albo wśród uciech kazirodujących; kiedy
 Grać lub kłąć będzie, lub cobądź innego
 Czynić, co wcale nie pachnie zbawieniem;
 Wtedy go ugodź tak, żeby aż nogi
 Zadarł ku niebu, aby jego dusza
 Tak wtedy była przeklętą i czarną,
 Jak piekło, w które pójdzie. Matka czeka.
 Ten tylko kordyał śmierć twoją odwleka. (*Wychodzą.*)
Król (*powstając*). Słowa wzlatują, myśl w prochu się grzebie;
 Ach! słów bez myśli nie przyjmują w niebie.
 (*Wychodzi.*)

SCENA IV.

Inny pokój tamże.

(*Królowa i Poloniusz.*)

Poloniusz. Przyjdzie wnet. Mów z nim, Pani, bez ogródki.
 Powiedz mu, że się już przebrała miarka
 Jego wybryków; że Wasza Dostojność
 Za długo stoisz już jako parawan
 Pomiędzy nim a ogniem; lub podobnie,
 Tylko z nim ostro.
Królowa. Nie turbuj się Waćpan;
 Zgromię go należycie. Wyjdź, już idzie.
 (*Poloniusz kryje się. — Hamlet wchodzi.*)
Hamlet. Jestem więc, matko; czego żadasz?
Królowa. Hamlecie, bardzoś zmartwił twego ojca.
Hamlet. Matko, zmartwiłaś bardzo mego ojca.
Królowa. Przestań; odpowiedz twoja bezrozumna.
Hamlet. Przestań; pytanie twe bezbożne.
Królowa. Cóż to
 Znaczy, Hamlecie?
Hamlet. Czego żadasz, matko?

Królowa. Czy mnie już nie znasz?

Hamlet. O znam, na krucyfiks!

Jesteś królową, żoną twego szwagra;
A przytem — żał się Boże! — moją matką.

Królowa. Muszę więc kogo innego przywołać,
Co się rozmówi z tobą.

Hamlet. Siadaj, Pani;

Nie wyjdiesz stąd, na krok się stąd nie ruszysz,
Póki nie stawię przed tobą zwierciadła,
W którym się przejrzyś z gruntu.

Królowa. Co chcesz czynić?

Nie chcesz mię zabić przecie. Hej! ratunku!

Poloniusz (*za obiciem*). Ratunku!

Hamlet (*dobrywając szpady*). Cóż to? szcur? — Bij, zabij
[szczura!

Ten sztych dukata wart.

(*Zadaje pchnięcie przez obicie*).

Poloniusz (*za obiciem*). Zabity jestem!

(*Pada i umiera*).

Królowa. Nieszczęsny, cóżżeś uczynił?

Hamlet. Sam nie wiem,

Czy to król?

(*Podnosi obicie i wyciąga Poloniusza*).

Królowa. Co za czyn zapamiętały!

Hamlet. Zapamiętały czyn! W istocie, matko;

Tak samo prawie, jak zgładzać ze świata

Króla, a potem iść za jego brata.

Królowa. Jak zgładzać króla?

Hamlet. Takem wyrzekł, Pani.

(*Do Poloniusza*).

Bądź zdrów, usłużno-wścibski, biedny głupcze!

Wziąłem cię za lepszego; znieś twą dolę;

Widzisz, że czasem źle być zbyt gorliwym. —

Nie łam rąk, Pani; siądź i ścierp, że raczej

Ja serce twoje teraz łamać będę;

I skruszę je, na Boga, jeśli nie jest

Z nieprzełomnego metalu, i jeśli

Przeklęty nałóg nie zrobił go wałem

Przeciw wszelkiemu wpływowi uczucia.

Królowa. Cóżem ja popełniła, że się ważysz

Tak obelżywą mową na mnie targać?

Hamlet. Czyn, który kazi wdzięk i kwiat skromności,

Cnotę w obłudę zmienia; zdiera różę

Z hożego czoła niewinnej miłości
I sadza na niem wrzody; który święte
Mażeńskie śluby czyni fałszywymi,
Jako zakłęcia gracza, a religię
Czczą grą wyrazów. Płoni się twarz nieba,
I wiecznotrwały ten gmach chorobliwą
Przybiera postać wobec tego czynu,
Jak gdyby w wilię dnia sądnego.

Królowa. Przebóg!

Jakiż to czyn tak grmiący zarzut ściąga?

Hamlet. Spójrz, Pani, na ten portret i na tamten,

Na ten konterfekt dwóch rodzonych braci.

Patrz, ile wdzięku mieści to oblicze:

Czoło Jowisza, Hyperyona włosy;

Wzrok Marsa groźny i rozkazujący;

Postawa godna Merkurego, kiedy

Na niebotyczny szczyt góry zstępuje.

Wszystko tu tak jest pełne, tak skończone,

Jakby dla dania pierwowzoru męża

Każdy bóg swoją pieczęć był przyłożył

Na tym człowieku; to był twój małżonek. —

Patrz teraz owdzie, to twój mąż dzisiejszy;

Jak zaśniedziały kłos, zarażający

Zdrowego brata. Masz-li Pani oczy,

Żeś mogła rzucić to górne pastwisko

Dla paszy na tem bagnie? Gdzie masz oczy?

Nie możesz tego tłómaczyć miłością,

Bo w twoim wieku krew nie war, pokornie

Słucha rozwagi, a jakaż rozwaga

Mogłaby kazać przenieść to nad tamto?

Masz, Pani, zmysły, to pewna, boć przecie

Nie jesteś martwą; ale i to pewna,

Że zmysły te są zwichnięte; bo tuby

Nawet szalony nie zbłądził w wyborze;

Bo nigdy jeszcze żadne obłąkanie

Do tego stopnia nie stepiło zmysłów,

Aby im jakiś organ nie pozostał

Do namacania tak wielkiej różnicy.

Jakiż u licha bies przy ciuciubabce

Tak cię zaślepił? Wzrok bez dotykania,

Czucie bez wzroku, słuch bez rąk i oczu,

Węch bez wszystkiego innego, ba nawet

Najułomniejsza część zdrowego zmysłu

Takby nie mogła się zmylić. O, wstydzie!
 Gdzie twój rumieniec? Piekielny rokoszu,
 Jeśli ty możesz płomień twój rozniecać
 W łonie matrony, to zaiste cnocie
 Wrzającej młodości stać się trzeba woskiem
 I stopnieć w własnym ogniu. Niech się przeciw
 Atakom pokus odtąd srom nie zbroi,
 Skoro lód płonie tak żywo i rozum
 Żądz jest faktorem.

Królowa. O, przestań, Hamlecie!
 Ty oczy moje zwracasz w głąb mej duszy;
 Widzę w niej czarne, szpetne plamy, których
 Zmyć nie potrafię.

Hamlet. Ha! tak żyć w barłogu
 Kaziernego łoża, gnić w sprośności,
 Z śmietnika rozkosz chłęptać!...

Królowa. Przestań, przestań!
 Każde twe słowo razi mnie, jak sztylet.
 Przestań, Hamlecie luby!

Hamlet. Zbój i podlec;
 Nikczemnik nie wart setnej części setki
 Twego pierwszego męża; rzeżymieszek,
 Który z wystawy ściągnął drogi dyadem
 I w kieszeń schował!...

Królowa. Przestań!
(Duch wchodzi).

Hamlet. Król z postawy
 Z szmat i okrawek...
 Osłońcie mię opiekuńczemi skrzydły,
 Święte zastępy niebios! Czego żądasz,
 Szanowna maro?

Królowa. Niestety! Oszałał.

Hamlet. Co cię sprowadza? Przychodzisz-li zgromić
 Opieszałego syna, że tak gnuśnie
 Czas marnotrawi, w odwłokę puszczając
 Spełnienie twego strasznego rozkazu?
 O, mów!

Duch. Pamiętaj na twe przyrzeczenie.
 Przychodzę po to tylko, żebym wzmocnił
 Zwątlone nieco przedsięwzięcie twoje.
 Ale patrz, w jakim stanie twoja matka!
 O, stań pomiędzy nią a jej sumieniem,
 Odbywającem walkę; wyobraźnia

Najsilniej działa w słabem ciele. Przemów
 Do niej, Hamlecie.

Hamlet. Co ci jest, o Pani?

Królowa. Niestety, raczej ty powiedz, co tobie,
 Że tak upornie oczy w próżnię wlepiasz
 I z bezcielesnem rozmawiasz powietrzem?
 Dziko z twych oczu strzela wewnętrzny płomień;
 I gładkie włosy twoje, jak żołnierze
 Zbudzeni ze snu alarmem, powstają
 I wyprężone stoją. O, mój synu,
 Skrop tę trawiącą cię gorączkę chłodem
 Zastanowienia. W co się tak wpatrujesz?

Hamlet. W niego! tam! w niego! Patrz, jaki on błady!
 Ach! jego postać, jego sprawa zdolna
 Byłaby wzruszyć glazy. — Nie patrz na mnie!
 Bo od żalosnych tych spojrzeń rozmięknie
 Tęgość mej woli i w kontr zamiarowi
 Nie krew pocieknie, ale łzy.

Królowa. Do kogo
 Zwracasz te słowa?

Hamlet. Czy nic tam nie widzisz?

Królowa. Nic zgola, chociaż wszystko, co jest, widzę.
Hamlet. I nic nie słyszysz?

Królowa. Nic oprócz nas dwojga.

Hamlet. Patrz! tam! Nie widzisz go? już się oddala!
 Mój ojciec! On to, w teźże samej szacie,
 W którą za życia lubił się przybierać.
 Patrz, już jest blisko drzwi; już jest za progiem
(Duch wychodzi).

Królowa. Płód to chorobliwego mózgu twego.
 W tworzeniu tego rodzaju widziadeł
 Gorączka bardzo jest biegłą.

Hamlet. Gorączka!
 Puls mój spokojnie bije i do taktu,
 Tak jak twój, Pani. W tem, co powiedziałem,
 Nie było nic od rzeczy. Chcesz dowodu,
 To ci powtórzę każde moje słowo,
 A tego przecie waryat nie potrafi.
 O, matko, matko! przez miłość zbawienia,
 Nie kładź pochlebnej maści na twą duszę
 Tą myślą, że to nie sumienie twoje,
 Ale szaleństwo moje przemawiało.
 Onaby tylko zaciągnęła błonę

I zablizniła miejsca owrządzone,
 Ale zepsuta materya dlatego
 Nie przestawalaaby wewnątrz nurtować.
 Wypowiadaj się niebu, żałuj tego,
 Co przeszło, chroń się tego, co przyjść może,
 I nie pokrywaj chwastu mierzwą, aby
 Rósł bujniej. Przebacz mi tę moją cnotę;
 Bo w dychawicznym biegu tego świata
 Przychodzi nocie przepraszać występpek,
 Korzyć się przed nim i nieledwie żebrać
 O pozwolenie zrobienia mi dobrze.

Królowa. Hamlecie, na pół rozdarłeś mi serce.

Hamlet. O, rzuć precz, Pani, część jego poślednią

I zacznij z drugą tem czerstwiejsze życie.
 Dobranoc... tylko nie wespół z mym stryjem,
 Pożycz choć cnoty, jeżeli jej nie masz.
 Nałóg, ten potwór, imający zmysły
 W szatańskie pęta, jest jednak aniołem
 Przez to, że prawym, szlachetnym popędem
 Użycza także szat, które wciągnąwszy,
 Nietrudno nosić. Wstrzymaj się dziś, Pani,
 A umartwienie to uczyni-ć łatwem
 Jutrzejsze, dalsze jeszcze łatwiejszemi!
 Bo przywyknienie zdolne jest nieledwie
 Odmienić stempel natury i albo
 Wciela szatana, albo go cudowną
 Siłą wypędza. Jeszcze raz dobranoc.
 A gdy zapragniesz być błogosławioną,
 I ja poproszę-ć o błogosławieństwo. —
 Co się dotyczy tego jegomości,

(Wskazując na Poloniusza).

W istocie, żal mi go; lecz, widno, nieba
 Dla ukarania nas zobopólnego
 Chłosty mię swojej zrobiły narzędziem.
 Pogrzeb mu sprawię i odpłacę godnie
 Śmierć mu zadaną. — Dobranoc tymczasem.
 Miłość to moją tak zatwardza duszę;
 Chcąc być powolnym, okrutnym być muszę. —
 A! jeszcze parę słów.

Królowa. Cóż mam uczynić?

Hamlet. Nic, Pani; wcale owszem nie masz czynić
 Tego, coć powiem, abys uczyniła;
 Gdy cię pijany król wezwie do łoża,

Nazwie swą kotką, z pieszczot w twarz uszczypnie,
 Wtedy za parę kliwych pocałunków
 Albo łaskotek niecnych jego palców
 Odkryj mu wszystko, coś tu usłyszała;
 Powiedz mu, żem ja w gruncie nie szalony,
 Tylko szalony przez podstęp. To byłby
 Czyn budujący; bo któraż królowa
 Piękna, roztropna, dobrych obyczajów,
 Coś podobnego mogłaby zataić
 Przed nietoperzem, wygą, koczkozanem?
 Pytam się, która? Nie, wbrew rozumowi
 I w kontr dyskrecyi otwórz kosz na dachu,
 Wypuść zeń ptaki, jako małpa w bajce,
 A potem sama w kosz wlaższy, dla próby,
 Ruń na złamanie karku.

Królowa. Bądź przekonany, że jeżeli słowa

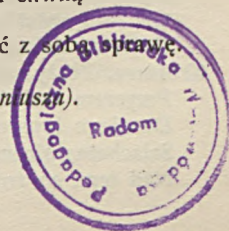
Są tchnień, a tchnienia życia wynikłością,
 Nie mam dość życia do wydania w słowach
 Tego wszystkiego, co mi powiedziałeś.

Hamlet. Muszę do Anglii jechać; czy wiesz Pani?

Królowa. Niestety! zapomniałam; tak, podobno.

Hamlet. Już są gotowe listy, i dwóch moich
 Koleżków — którym ufam tak jak zmijom —
 Ma je wziąć. Misya ich polega na tem,
 Żeby mi wskazać, gdzie raki zimują.
 Życzę im szczęścia; idzie tu albowiem
 O to, ażeby inżyniera własną
 Jego petardą wysadzić w powietrze;
 A to sęk będzie właśnie, bo ja głębiej
 O parę sążni podkopię ich minę
 I puszczę ich aż pod księżyc.
 Bodaj to, kiedy się przy jednym dziele
 Z dwóch stron przeciwnych zejda dwa fortele. —
 Dobranoc, matko. — Trzeba mi stąd sprzątać
 Tę bryłę mięsa. Coś teraz pan radca
 Cichy, poważny, on, co był przed chwilą
 Uosobioną, głośną krotofilą.
 Pójdź Waszmość, musim skończyć z sobą bójkę.
 Dobranoc, matko.

(Wychodzi, wlokąc ciało Poloniusza).



AKT CZWARTY.

SCENA I.

Ten sam pokój, co w końcu aktu poprzedniego.

(Królowa, Rozenkranc i Gildenstern, po chwili wchodzi Król).

Król. Tych głuchych jęków, tych przeciągłych westchnień
Musí być powód; winniśmy go dociec.

Gdzie syn twój, Pani?

Królowa *(do Rozenkranca i Gildensterna)*. Odstąpcie na
[chwilę.

(Tamci odchodzą).

Ach, Panie, cóżem widziała tej nocy!

Król. Cóżś widziała, Gertrudo? Mów: co się
Dzieje z Hamletem?

Królowa. Szaleje, jak morze
I wicher, kiedy w zawody spór wiodą,
Kto z nich silniejszy. Usłysawszy szelest
Poza obiciem, w niepoahamowanym
Zapędzie, dobył szpady i, wołając:
«Szczur», przebił szpadą owdzie ukrytego
Nieszczęśliwego starca.

Król. Co za wściekłość!

Tak samoby się było stało ze mną,
Gdybym był tam się znalazł. Wolność jego

Zagraża wszystkim, mnie i tobie samej.

Niestety! jakież zadośćuczynienie

Zagładzić zdoła ten krwawy postępek?

Moja to, moja wina, bo przezorność

Nakazywała mi wcześniej wziąć w kluby,

Poskromić tego młodego szaleńca;

Ale kochałem go, tak go kochałem,

Żem nie chciał wejrzeć w tę smutną konieczność;

I jak ktoś brzydką dotknięty chorobą,

Chcąc ją zataić, pozwoiliem złemu

Dojść aż do rdzenia życia. Gdzież on poszedł?

Królowa. Złożyć w ustroniu ciało zabitego,

Przyczem szaleństwo jego, jako ruda

Drogię kruszcu zmieszanego z podłym,

Szlachetną stronę ukazało: płakał

Nad tem, co zrobił.

Król.

Wyjdźmy stąd, Gertrudo.

Prędzej, niż słońce szczyty gór ozłoci,

Musi on wsiąść na okręt: nam zaś trzeba

Calej powagi i zręczności użyć

Na ubarwienie i uniewinnienie

Tego niecnego czynu. Gildensternie!

(Wchodzą: Rozenkranc i Gildenstern).

Idźcie i weźcie z sobą jeszcze kogo.

Hamlet w szaleństwie zabił Poloniusza

I gdzieś go powłókt z tego tu pokoju.

Idźcie, wynajdźcie go, przemówcie grzecznie

I kaźcie ciało zanieść do kaplicy.

Śpieszcie się, proszę was.

(Wychodzą: Rozenkranc i Gildenstern).

Pójdźmy, Gertrudo,

Zgromadzim naszych najlepszych przyjaciół

I odkryjemy im tak to, co zaszło,

Jak to, co czynić zamierzamy. Może

Takim sposobem potwarz, której poszept

Z jednego krańca świata do drugiego,

Szparko, jak działo do tarczy, przenosi

Zatruty pocisk, minie nas i tylko

Nieczułe zrani powietrze. Pójdź, luba!

Trapi i twoży mnie ta ciężka próba.

SCENA II.

Inny pokój. Tamże.

(Wchodzi Hamlet).

Hamlet. Bezpiecznie schowany; *(Rozenkrancza sceną: Hamlecie! Książę Hamlecie!)* ale cicho; cóż to za hałas? ktoś
wołał Hamleta; a! to oni.

(Wchodzą: Rozenkranc i Gildenstern).

Rozenkranc. Przychodzim cię zapytać, Mości Książę,
Gdzieś podział trupa?

Hamlet. Złączyłem go z prochem,

Z którym najbliższe miał powinowactwo.

Rozenkranc. Racz nam powiedzieć, Panie, gdzie on leży,
Byśmy go mogli przenieść do kaplicy.

Hamlet. Nie sądźcie tego.

Rozenkranc. Czego, Mości Książę?

Hamlet. Ażebym umiał być panem waszej tajemnicy, a swojej własnej nie umiał. A potem, kiedy pytanie czyni gąbka, jakąż odpowiedź ma dać syn królewski?

Rozenkranc. Masz-li mnie, Książę, za gąbkę?

Hamlet. Nie inaczej; za gąbkę, która wciąga w siebie królewskie fawory, nagrody i łaski. Ale takie istoty wyświadczają ostatecznie samemuż królowi przysługę. Trzyma on je w gębie i cmoka, aby je połknął potem. Skoro zapotrzebuje tego, co Waść zbierzesz, dość mu cię będzie ścisnąć, a wnet nasiąkła gąbka znowu będzie suchą.

Rozenkranc. Nie rozumiem tego, Mości Książę.

Hamlet. Tem lepiej. Gdy o łajdactwie mowa, na tobie tępa głowa.

Rozenkranc. Mości Książę, trzeba, żebyś nam powiedział koniecznie, gdzie jest ciało, i poszedł z nami do króla.

Hamlet. Ciało jest w posiadaniu króla, ale król nie jest w posiadaniu ciała; król jest czemś.

Gildenstern. Jak to czemś?

Hamlet. Nijak. Prowadźcie mnie do niego. Lis do nory, wszyscy za nim.

(Wychodzą).

SCENA III.

Inny pokój tamże.

(Król w towarzystwie kilku panów).

Król. Kazałem szukać go i znaleźć ciało. Jak niebezpiecznym jest pozostawienie Tego młodzieńca na wolności, sami Widzimy teraz, niestety, zbyt jasno. Nie nam tu jednak wypada surowe Stosować środki. On ma zachowanie U ludu, który nie bierze na rozum, Ale na oko; gdzie zaś to ma miejsce, Tam zwykle bywa ważoną na szali Nie wina, ale kara winowajcy. Trzeba dla tego, ażeby to nagłe Jego wysłanie wydało się krokiem Oddawna ułożonym! Złe gwałtowne

Gwałtownem tylko leczy się lekarstwem
Lub żadnem.

(Wchodzi Rozenkranc).

I cóż?

Rozenkranc. Gdzie złożone ciało,
Wydobyć z niego nie mogliśmy, Panie.

Król. Gdzież on jest?

Rozenkranc. Czeka na rozkazy Waszej
Królewskiej Mości w przyległym pokoju,
Pod strażą.

Król. Niechaj wnijdzie.

Rozenkranc. Gildensternie,
Wprowadź tu księcia.

(Wchodzą: Hamlet i Gildenstern).

Król. Hamlecie, gdzie Poloniusz?

Hamlet. Na kolacyi.

Król. Na kolacyi? gdzie?

Hamlet. Nie tam, gdzie on je, ale tam, gdzie jego jedzą. Zebrał się właśnie koło niego kongres politycznych robaków. W gastronomii niema, Panie, większego potentata jak robak. Karmimy wszelkie istoty dla karmienia glist. Tłusty król i chudy pachotek są to tylko różne potrawy, dwa dania na jeden stół i basta.

Król. Niestety!

Hamlet. Rybak może wsadzić na wędę robaka, który Jego Królewską Mość pożywał, i spożyć rybę, która tego robaka zjadła.

Król. Co przez to rozumiesz?

Hamlet. Nic; to tylko pokazuje, jakim sposobem król może odbyć podróż przez wnętrzości charłaka.

Król. Gdzie Poloniusz?

Hamlet. W niebie. Każ go tam szukać; a jeżeli go posłowie twoi tam nie znajdą, poszukaj go sam w innym miejscu. To pewna jednak, że jeżeli go nie znajdziecie w tym miesiącu, poczujecie go w następnym na schodach, prowadzących do galeryi.

Król *(do kilku osób z orszaku).* Idźcie go tam poszukać.

Hamlet. Będzie czekał, aż przyjdziecie.

(Wychodzi kilka osób z orszaku).

Król. Hamlecie, własne twoje bezpieczeństwo, Którego pragniem, tak jak opłakujem To, coś uczynił, — wymaga, ażebyś Czyn ten niezwłocznym opłacił wyjazdem.

Gotuj się przeto; okręt już pod żaglem,
Wiatr sprzyja; orszak twój czeka i wszystko
Wskazuje-ć drogę do Anglii.

Hamlet. Do Anglii?

Król. Tak jest, Hamlecie.

Hamlet. Dobrze.

Król. Będzie dobrze,

Hamlecie; gdybyś widział moje chęci!

Hamlet. Widzę Cherubina, który je widzi. Do Anglii zatem! Idźmy, Panowie. Bądź zdrowa, kochana matko.

Król. Jam przywiązany twój ojciec, Hamlecie.

Hamlet. Matko! Ojciec i matka tyle znaczą, co mąż i żona, a mąż i żona są jednym ciałem: a więc matko! Dalej, do Anglii! *(Wychodzi).*

Król. Idźcie w trop za nim. Zwabcie go czempredzej

Na okręt; niechaj odpłynie dziś jeszcze,

Przygotowane już i przewidziane

Wszystko, co będzie wam potrzebne. Śpieszcie,

Śpieszcie, nie tracąc czasu.

(Wychodzą: Rozenkranc i Gildenstern).

A ty, Anglio,

Jeśli ci przyjaźń moja pożądana,

(O czem nie wątpię, boś świeżo uczuła

Moją polegę, i gojąc dotychczas

Blizny zadane duńskim mieczem, trwożne

Niesiesz nam hołdy), Anglio, nie waż lekce

Wszzechwładnej woli mojej, która w listach,

Zaklinających cię o tę przysługę,

Wyraźnie żąda od ciebie niezwłocznej

Śmierci Hamleta. Wypełnij to, Anglio,

Bo on mi trawi krew, jak zaród suchot,

Z którego ty mnie masz uleczyć. Póki

To się nie stanie, póty w żadnej doli

Nic mnie nie znęci i nie zadowoli.

SCENA IV.

Równina w Danii.

(Wchodzi Fortynbras z wojskiem).

Fortynbras. Mości rotmistrzu, idź, pozdrów ode mnie
Duńskiego króla; powiedz mu, że wskutek

Przyrzeczeń, jakie od niego otrzymał,
Fortynbras prosi go o glejt do przejścia
Przez duńskie kraje. Wiesz, gdzie się zejść mamy.
Jeżeli Jego Królewska Mość będzie
Miała co do nas, to mu przyjdziem oddać
Należną czołobitość. Tak mu powiedz.

Rotmistrz. Oznajmię mu to, Panie.

Fortynbras.

Naprzód! zwolna!

(Wychodzi z wojskiem).

(Wchodzi: Hamlet, Rozenkranc i Gildenstern).

Hamlet. Czyje to wojska, rotmistrzu?

Rotmistrz.

Norweskie.

Hamlet. Gdzie one idą?

Rotmistrz.

Ku granicom Polski.

Hamlet. Kto ma nad nimi dowództwo?

Rotmistrz.

Synowiec

Starego króla, Fortynbras.

Hamlet.

Czy pochód

Ich ma na celu podbój całej Polski,

Lub pewnej części tylko?

Rotmistrz.

Prawdę mówiąc,

I bez dodatków, idziemy zagarnąć

Marny kęs ziemi, z którego, krom sławy,

Żaden nam inny nie przyjdzie pożytek.

Za parę mędli dukatów nie chciałbym

Wziąć go w dzierzawę; i pewnieby więcej

Nie przyniósł ani nam ani Polakom,

Gdyby był w czynsz puszczoney.

Hamlet.

W takim razie

Polacy pewnie bronić go nie będą.

Rotmistrz. I owszem, myślą o tem.

Hamlet.

Wartoż tracić

Parę tysięcy dusz i dziesięć razy

Tyle dukatów za taki psi ogon?

Jest to, zaprawdę, ślepy wrzód pokoju

I pomyślności, który wewnątrz pęka,

I ani znaku nie daje na zewnątrz,

Dlaczego człowiek umiera. Dziękuję-ć,

Mości rotmistrzu.

Rotmistrz.

Bóg z wami, Panowie.

(Wychodzi).

Rozenkranc. Pójdziemyż dalej, Mości Książę?

Hamlet.

Zaraz

Służyć wam będę. Idźcie trochę naprzód.

(*Wychodzą: Rozenkranc i Gildenstern*).

Jakże mnie wszystko oskarża i wszystko
Leniwej zemście mej bodźca dodaje!
Czemże jest człowiek, jeżeli najwyższem
Jego zadaniem i dobrem na ziemi
Jest tylko spanie i jadło? Bydłęciem,
Szczerem bydłęciem. Ten, co nas obdarzył
Tak dzielną władzą myślenia, że może
I wstecz i naprzód poglądać, nie na to
Dał nam tę zdolność, ten udział boskości,
Rozumem zwany, aby w nas jałowo
Leżał i butwiał. Jest-li to więc skutkiem
Zwierzęcej, bydła godnej niepamięci,
Czy trwożliwego i drobiazgowego
Przewidywania, które ściśle biorąc
Zawsze ma w sobie trzy części tchórzostwa,
A tylko jedną mądrości, — doprawdy,
Nie mogę tego pojąć — że aż dotąd
Mówię do siebie: *trzeba to uczynić*,
I kończę na tem, kiedy mi do czynu
Nie brak powodów, woli, sił i środków.
Przykłady, wielkie jak świat, stoją przecie
Przedemną; choćby to wojsko tak liczne
I tak zasobne, pod wodzą takiego
Młodego księcia, który, zapalony
Szlachetną żądzą sławy, lekceważy
Ukrytą szalę wypadków i chętnie
Co jest doczesnem i przemijającym
Na sztych wystawia hazardom, zagładzie;
Za co? za marną łupinę orzecha.
Prawdziwie wielkim być, nie jest to działać
Tam, gdzie do tego wielki powód skłania;
Lecz wielkomyślnie o żdźbło nawet walczyć,
Gdzie honor każe. I cóż ja wart jestem,
Ja, który ojca zgon, zhańbienie matki
Śpiąco przepuszczam? gdy oto ze wstydem
Widzę przed sobą blizką śmierć dwudziestu
Tysięcy ludzi, którzy dla chimery,
Dla widma sławy w grób idą, jak w łóżko,
Aby wywalczyć nikczemną piędź ziemi,
Niedostateczną nawet do pokrycia

Tych, co polegną. Bądź odtąd dowodną,
O! woło moja, albo wzgardy godną!
(*Wychodzi*).

SCENA V.

Elzynor. Pokój w zamku.

(*Wchodzą: Królowa i Horacy*).

Królowa. Nie chcę jej widzieć.

Horacy. Natarczywie prosi
O możliwość wnijscia; stan jej budzi litość.

Królowa. Cóż jej jest?

Horacy. Ciągłe wspomina o ojcu;
Słyszała, mówi, że świat krzywo idzie;
Wzdycha i chwyta się za serce; lada
Fraszka ją drażni; słowa jej bez związku
Nie określają niczego, jednakże
Zastanawiają; podnosi je słuchacz
I zszywa podług kroju własnych myśli;
Każdy zaś wyraz jej, obok wyrazu
Jej twarzy, ruchów i postawy, takie
Czyni wrażenie, że możnaby myśleć,
Iż jest w nim jakaś myśl, tylko zawiła
I bardzo smutna.

Królowa. Muszę z nią pomówić;
Mogłaby bowiem złym ludziom dać powód
Do niebezpiecznych przypuszczeń. Niech wnijdzie.
(*Horacy wychodzi*).

Chora ma dusza każdą rzecz powszednią
Złowrogich następstw sądzi przepowiednią.
Jak głupio w twarde występek przesadza,
Że, drżąc przed zdradą, sam się prawie zdradza.
(*Horacy wprowadza Ofelię*).

Ofelia. Gdzie jest ozdoba majestatu Danii?

Królowa. Czego chcesz, luba Ofelio?

Ofelia (*śpiewa*). Po czem ja cię poznam teraz,
O, kochanku mój?
Płaszcz pielgrzymi, kij, sandały,
Twójże to jest strój?

Królowa. Niestety, kochane dziewczę, co znaczy ten
śpiew?

Ofelia. Czy tak? nie, pani; posłuchaj tylko:

(*Śpiewa*).

On zmarł, znikł z naszego grona;

Zmarł, opuścił nas;

U nóg jego darń zielona,

W głowach zimny głaz.

Och! Och!

Królowa. Ależ, Ofelio.

Ofelia (*Śpiewa*). Całun jego jak śnieg biały.

(*Król wchodzi*).

Królowa. Ach, patrz, mój mężu.

Ofelia (*Śpiewa*). Na całunie kwiat;

Wierne ręce go posłały

Za nim, w lepszy świat.

Król. Jak się masz, śliczna panienko?

Ofelia. Dobrze; Bóg wam zapłać. Mówią, że sowa była córką piekarza. Ach, Panie! Wiemy, czem jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie. Niech wam Bóg pomaga przy wieczery!

Król. Marzy jej się o ojcu.

Ofelia. Nie mówmy już o tem, proszę; ale jak się was pytać będą, co to znaczy, to powiedzcie:

Dzień dobry, dziś święty Walenty,

Dopiero co świtać poczyna;

Młodzieniec snem leży ujęły,

A hoża doń puka dziewczyna.

Poskoczył kochanek, wdział szaty,

Drzwi rozwarł przed swoją jedyną,

I weszła dziewczyna do chaty.

Lecz z chaty nie wyszła dziewczyną.

Król. Nadobna Ofelio!

Ofelia. Dajmy pokój przysięgom; zaraz skończę:

Bezbożność to wielka; Bóg widzi

Jak wielka w mężczyznach bezbożność!

Cny młodzian się tego nie wstydzi,

Gdy tylko nastroczy się możność.

Wszak nimes cel życzeń otrzymał,

Przysiągłeś się ze mną ożenić! —

To ona mu tak mówi, a on jej odpowiada:

I byłbym był słowa dotrzymał,

Lecz trzeba ci było się cenić.

Król. Jak dawno ona w tym stanie?

Ofelia. Jeszcze się wszystko naprawi, mam nadzieję. Tylko

cierpliwości! Ale nie mogę nie zapłakać, pomyślawszy, że go mają złożyć w zimną ziemię. Mój brat dowie się o tem, a zatem dziękuję państwu za dobrą radę. Niech powóz zajeżdża! Dobranoc, panie; dobranoc, śliczne panie, dobranoc, dobranoc.

(*Wychodzi*).

Król. Idź Waćpan za nią, niech jej pilnie strzegą.

(*Horacy wychodzi*).

Jest to trucizna głębokiej boleści, Której śmierć ojca źródłem. O, Gertrudo! Gertrudo! ziszcza się na nas ta prawda, Że kiedy kogo nawiedzają smutki, To nigdy luzem a zawsze gromadnie. Naprzód zabójstwo jej ojca, następnie Wyjazd twojego syna, nieszczonego Sprawcy własnego swojego wygnania; Głuche szemranie ludu, uprzedzone I złem brzemienne żywiącego myśli, Z powodu śmierci cnego Poloniusza, Którego skore pochowanie było Niedorzecznością z naszej strony; teraz To biedne dziewczę, wyzute z szlachetnej Władzy rozumu, bez której jesteśmy Lalkami tylko albo zwierzętami; Nareszcie, i to jedno tyle waży, Co tamto wszystko, brat jej potajemnie Powraca z Francyi, karmi się zdumieniem, Kryje się w chmurach i nadstawia ucho Donosicielom, którzy jadowite O śmierci ojca wdmuchują mu wieści — Wieści z uszczerbkiem naszym, przeciw którym Zastanowienie, ubogie w dowody, Nic nie podoła. O, Gertrudo, zbieg ten Wypadków, nakształt kilkuramiennego Narzędzia śmierci, z wielu stron od razu Zabójczą ranę mi zadaje.

(*Zgiełk zewnątrz*).

Królowa.

Przebóg!

Cóż to za hałas?

(*Wchodzi jeden z dworzan*).

Król.

Hola! Szwajcarowie!

Gdzie oni? Niechaj drzwi pilnie obsadzą.

Skąd ten zgiełk?

Dworzanin. Chroń się, Miłościwy Królu.

Ocean, z łoża swojego wybiegły,
Nie chłonie z większą gwałtownością nizin,
Jako Laertes na czele powstańców
Straż twą powala. Lud go głosi panem;
I jakby świat był dopiero w zawiązku,
Przeszłość zatartą, zapomnianym zwyczaj,
Ten słów hamulec i wszelkiej swawoli,
Słychać wołania: *Wybierajmy króla!*
Laertes królem! Czapki, dłonie, usta,
Ze wszech stron wtrząsają temu okrzykowi:
Laertes królem! Wiwat król Laertes!

Królowa. Jak ujadają za fałszywym wiatrem!

O, pod trop gonisz, podła duńska psiarnio!

Król. Drzwi wylamano.

(Laertes wychodzi uzbrojony; za nim Duńczycy).

Laertes. Gdzie ten król? — Stańcie owdzie, przyjaciele.

Duńczycy. Pozwól nam także wejść.

Laertes. Nie wchodźcie, proszę.

Duńczycy. Będziem posłuszni.

(Cofają się za drzwi).

Laertes. Dziękuję wam; stójcie

Przy drzwiach na straży. — Nienawistny królu,

Oddaj mi ojca!

Król. Zwolna, Laertesie.

Zbierz trochę zimnej krwi.

Laertes. Kropla krwi zimnej

Byłaby we mnie świadectwem bękarcstwa,

Urągowskiem przeciw memu ojcu,

Zakałem, któryby piętno bezwstydu

Wyrył na czystym czole matki mojej.

Król. Jakiż cię powód skłania, Laertesie,

Tak buntowniczo przeciw nam powstawać?

Odstąp, Gertrudo, nie lękaj się o nas;

Taki jest bowiem urok majestatu,

Że zdrada, choćby niewiedzieć co chciała,

Tępi o niego swój pocisk. —

Powiedz mi, Laertesie, co to znaczy? —

Gertrudo, daj im pokój. — Mów, młodzieńcze.

Laertes. Ty sam mów raczej: gdzie mój ojciec?

Król.

Umarł.

Królowa. Ale nie z jego winy.

Król. Daj mu pokój.

Niech się wypyta do sytości.

Laertes. Jakim

Sposobem umarł? Nie dam się omamić.

Do czarta z uległością! Niechaj w piekło

Pójdą przysięgi! Sumienie, powinność,

Niech w najczarniejszej przepadną otchłani!

Urągam potępieniu. Na to przyszło,

Że oba światy niczem są w mych oczach;

Wszystko mi obojętne, byłem tylko

Sowicie pomścić ojca.

Król. Któż ci broni?

Laertes. Nikt w świecie, jedno własna moja wola;

Możność zaś moją k' temu tak urządzą,

Że z małą garścią środków wiele wskóra.

Król. Chcesz-li się czegoś pewnego dowiedzieć

O śmierci ojca twego, Laertesie,

Jestże w twej zemście zapisana zguba

Zarówno jego przyjaciół i wrogów?

Tych, co zyskali, i tych, co stracili?

Laertes. Niczyja, tylko jego nieprzyjaciół.

Król. Chceszże ich poznać?

Laertes. Przyjaciołom jego

Szeroko moje otworzę ramiona

I, jak pelikan dzielący się życiem,

Obdzielę ich krwią moją.

Król. Teraz mówisz,

Jak nieodrodny syn i prawy szlachcic.

Żem ja nie winien śmierci twego ojca,

Owszem najmocniej nią jestem dotknięty,

To się okaże wnet rozwadze twojej

Tak jasnym, jak dzień oczom.

Duńczycy (za sceną). Puśćcie ją!

Laertes. Co to jest? skąd ten hałas?

(Ofelia wchodzi, fantastycznie ubrana w kłosa i kwiaty).

O, wściekłości!

Spal mi mózg! Solo łez, straw mi zmysł wzroku!

Na Boga! za to twoje obłąkanie

Ciężką zapłatę ściągnę z jego sprawców,

Tak, że aż szala od jej wagi całkiem

Na dół opadnie. O, majowa różo!

Kochane dziewczę, luba siostrzo, wdzięczna

Moja Ofelio! Boże! czy podobna,

Aby dziewczęcy umysł był tak wąty,
Jak życie starca? Miłość uszlachetnia
Naturę ludzką, gdy zaś ta szlachetna,
Wtedy zamyka najlepszą swą cząstkę
W grobie tych, których kochała.

Ofelia. Pochłonęła go zimna mogiła,
Pieszczoty moje, niema was już!
I na grób jego ściekło łez siła.

Bądź zdrów, mój gołąbku!

Laertes. Gdybyś przy zdrowych zmysłach chciała kogo
Zagrzać do zemsty, wymowniejbyś tego
Dopiąć nie mogła.

Ofelia. Trzeba wam mówić pacierz po nim, skoro mówicie,
że już po nim. Nieprawdaż, jak się to ładnie składa?
Fałszywy to sługa, który uwiódł córkę swego pana.

Laertes. Ten nonsens więcej wart, niż sensowność.

Ofelia (do Laertes). Oto rozmaryn na pamiątkę; proszę
cię, luby, pamiętaj; a to niezapominajki na niezabud.

Laertes. Przechorny obłądzie! niezapomnienie łączysz do
pamięci.

Ofelia (do króla). Oto koper dla was, orliki. *(Do królowej)*
Oto ruta; część jej wam daję, a część sobie zachowam;
możemy ją nosić obie, tylko z pewną różnicą.
Oto stokrotki. Radabym wam dać i fijołków, ale mi
wszystkie ze śmiercią ojca powiędły. Mówią, że szczęśliwie skończył. *(Śpiewa).*

Bo luby mój Jasio to skarb mój jedyny.

Laertes. Tęsknotę, smutek, boleść, piekło samo
Zamienia ona w wdzięk i lubość.

Ofelia (śpiewa). Czyliż on już nie powróci?
Czyliż on już nie powróci?
Nie, nie, on śpi w grobie:
Zaśnij i ty sobie.
Już on nigdy nie powróci.

Śnieżną była jego broda,
Włos na głowie cały mleczny;
Już po nim, już po nim,
Napróżno łyż ronim.

Boże, daj mu pokój wieczny!

I wszystkim dobrym chrześcijanom! Będę się za was
modliła. Bóg z wami!

(Wychodzi).

Laertes. Boże! ty patrzysz na to?

Król. Laertesie,

Muszę podzielić z tobą to cierpienie,
Chyba mi prawa do tego zaprzeczysz.
Ustąp tymczasem. Wybierz, kogo zechcesz,
Z pośród przyjaciół swych najzaufańszych,
Niech ten rozsądzi nas. Jeśli mię uzna
Winnym w tej sprawie, bądź wprost, bądź pośrednio,
Natychmiast oddam ci na satysfakcję
Tron, państwo, życie, wszystko, co posiadam;
W przeciwnym razie ty twoją zranioną
Duszę cierpliwie porucz naszej pieczy,
A wtedy razem pomyślimy nad tem,
Jakby ją spełnia zaspokoić.

Laertes. Zgoda.

Ta jego nagła śmierć, ten cichy pogrzeb,
Bez żadnych oznak, bez żadnych obrzędów,
Należnych jego stopniowi i cnotcie,
Wszystko to woła na mnie w niebogłosość
O ścisłe śledztwo.

Król. Sprostasz temu snadnie;
Gdzie zaś jest wina, tam niech kara spadnie.
(Wychodzi).

SCENA VI.

Inny pokój w zamku.

(Horacy i jego sługa).

Horacy. Co to za ludzie, co chcą mówić ze mną?
Sługa. Są to majtkowie, Panie; mają, mówią,
Listy do Pana.

Horacy. Wpuść ich.

(Sługa wychodzi).

Nie wiem, ktoby

Z pomiędzy całej rzeszy tego świata
Mógł pisać do mnie, jeżeli nie Hamlet.
(Majtkowie wchodzą).

Pierwszy majtek. Bóg wam pomaga, Panie.

Horacy. I wam wzajem.

Pierwszy majtek. Pomoże, jeżeli mu się podoba. Oto list
do was, jeżeli tylko miano wasze Horacy, jak nas

o tem zapewniono. Oddał nam go jakiś poseł wyprawiony do Anglii.

Horacy (*czyta*): »Horacy, jak tylko ten list przeczytasz, dopomóż oddawcom jego dostać się do króla, mają oni pismo i do niego. Zaledwieśmy przebyli dwa dni na morzu, gdy silnie uzbrojony statek korsarski wyprawił na nas łowy. Ponieważ miał nad nami w żaglach przewagę, zmuszeni byliśmy stawić mu czoło i przyjąć bitwę, wśród której wrzenia wskoczyłem na ów statek. W tejże chwili piraci oddalili się od naszego okrętu i tym sposobem sam jeden zostałem ich jeńcem. Obeszli się ze mną, jak pocziwym łotrom przystoi; ale wiedzieli, co czynią; muszę się im za to dobrze wywdzięczyć. Postaraj się, aby król odebrał to, co doń piszę, i śpiesz do mnie tak chyżo, jak gdybyś uciekał przed śmiercią. Mam ci coś do powiedzenia na ucho, co cię w onemieniu wprawi, a przecież słowa będą tu tylko cieniem rzeczy samej. Ci dobrzy ludziska doprowadzą cię do miejsca, gdzie się znajduję. Rozenkranc i Gildenstern peregrynują do Anglii; o nich także mam ci wiele do powiedzenia. Bądź zdrów. Twój, jak go znasz,

Hamlet.*

Chodźcie, ułatwię drogę tamtym listom
O ile tylko będę mógł najprędzej,
Byście tem prędzej mnie zaprowadzili
Do tego, co je wam oddał.

(*Wychodzą*).

SCENA VII.

Inny pokój tamże.

(*Król i Laertes*).

Król. Teraz mię musisz w sądzie swym rozgrzeszyć,
I w sercu swoim umieścić przyjażnie,
Skoroś jawnego nabrał przekonania,
Że ten, co zabił twego ojca, godził
Na własne moje życie.

Laertes. Rzecz widoczna;
Nie mogę sobie tylko wytłómaczyć,
Dlaczego przeciw tym jego knowaniom,
Tak karygodnym i wyrodnym razem,

Nie przedsięwziąłeś, Panie, żadnych środków,
Jak ci to własne twoje bezpieczeństwo,
Monarsza godność, mądrość, wszystko zgoła
Powinno było radzić?

Król. O, z dwóch przyczyn,
Które ci może wydadzą się błahe,
Dla mnie są jednak bardzo ważne. Najprzód,
Królowa, matka jego, żyje prawie
Jego widokiem, a ja, niech to będzie
Słabość lub cnota, tak dalece jestem
Ciałem i duszą do niej przywiązany,
Że, jako gwiazda w jednej tylko sferze
Krażąca, przez nią się tylko poruszam.
Drugą przyczyną, dla której go jawnie
Skarcić nie mogłem, była miłość ludu,
Która usterki jego topi w sobie,
I jako owo źródło drzewo w kamień,
Zmienia naganę w chwalbę. Strzały moje,
Za tępe przeciw takiemu wiatrowi,
Byłyby w łuk mój powróciły nazad,
Zamiast osiągnąć, gdziebym je był posłał.
Laertes. Tak więc straciłem najlepszego ojca;
Siostrę znajduję pchniętą w głąb rozpaczy,
Siostrę, ach! której szanowne przymioty
Wyzywająco jaśniały na szczycie
Widowni wieku. Ależ przyjdzie chwila
Mej zemsty.

Król. Możesz być o to spokojnym.
Nie sądz, ażebym był z tak miękkiej gliny,
Iżbym pozwolił się niebezpieczeństwu
Targać za brodę i miał to za fraszkę.
Wkrótce ci powiem coś więcej. Kochałem
Twojego ojca, kocham też i siebie:
To ci powinno dać do zrozumienia!
(*Wchodzi pokojowiec*).

Co tam masz?

Pokojowiec. Listy od księcia Hamleta:
Ten do Was, Panie, a ten do królowej.

Król. Od kogo? Od Hamleta? Któż je przyniósł?
Pokojowiec. Jacyś majtkowie, Panie; tak przynajmniej
Mówił mi Klaudyusz, który je odebrał
I mnie doręczył.

Król. Słuchaj, Laertesie: —
Zostaw nas.

(Wychodzi pokojowiec).

(Czyta): »Pośpieszam Waszą Królewską Wielkość uwiadomić, że nago na Jej ziemię wysadzony został. Jutro prosić będę o pozwolenie ujrzenia jego Królewskiego oblicza i wtedy, wyśląwszy sobie najprzód Waszej Wielkości przebaczenie, będę miał honor zdać Jej sprawę z wypadku, który spowodował mój nagły i osobliwszy powrót.

Hamlet.

Co się to znaczy? Wróciliż i tamci?
Czyli też to jest tylko jakiś podstęp?

Laertes. Nie poznajesz-li, Panie, kto to pisał!

Król. Ręka Hamleta. *Nago* — i w przypisku
Stoi: *Sam jeden*. Rozumiesz to Waćpan?

Laertes. Bynajmniej. Ale niech wraca! Raźnieje
Chore me serce na myśl, że niebawem
Będę mu w ucho mógł wtłoczyć te słowa:
Tyś to jest tego sprawcą.

Król. Skoro tak jest, —
A czyżby mogło być inaczej? — chceś
Posłuchać mojej rady, Laertesie?

Laertes. I owszem, Panie; pod warunkiem jednak,
Aby tej rady celem nie był pokój.

Król. Twój własny tylko. Jeśli on, wstręt czując
Do tej podróży i niełatwo skłonny
Znów ją przedsiębrać, istotnie powrócił,
Mam ja nań inny środek w pogotowiu,
Który nie może chybić; śmierć zaś jego
Nie ściągnie ani cienia podejrzenia,
I sama nawet matka jego nazwie
To dzieło skutkiem traflu.

Laertes. Radź więc, Panie.
Chętnie-ć posłusznym będę, i tem chętniej,
Jeżeli będę mógł być wykonawcą
Tego pomysłu.

Król. O toć właśnie idzie.
Od czasu twego wyjazdu szeroko,
Wobec Hamleta, mówiono o pewnym
Talencie, w którym masz być celujący.
Wszystkie zdolności twoje razem wzięte
Nie obudzały w nim tyle zazdrości,

Ile ta jedna, najmniej w moich oczach
Ceny mająca.

Laertes. Jakaż to jest zdolność?

Król. Błaha jak wstążka, którą sobie młodzieź
Zdobi kapelusz, jednakże potrzebna;
Lekki, swobodny strój przystoi bowiem
Rzeźkiej młodzieży, tak jak ciepłe futro
I długa suknia późnemu wiekowi,
Bo mu przyczynia zdrowia i powagi.
Był tu przed parą miesiącami pewien
Normandzki rycerz; widziałem Francuzów,
Służyłem nawet kiedyś między nimi;
Mistrze to w konnej jeździe; ale ten był
Dyabłem wcielonym; przyrastał do siodła
I tak cudownie zażywał rumaka,
Że koń i jeździec zdawali się w jednej
Formie ulani. Cobądz o tym kunszcie
Pomyśleć mogłem, wszystko niższem było
Od tego, czego ów zuch dokazywał.

Laertes. Normandczyk, mówisz, Panie?

Król. Tak, Normandczyk.

Laertes. Lamord! jak żyw tu stoję!

Król. Ten sam.

Laertes. Lamord,

Od razu go poznałem. On jest chlubą,
Istnym klejnotem swojego narodu.

Król. Ten tedy Lamord szeroko i długo
Rozwodził się nad tobą, Laertesie.
I tak wynosił twą biegłość i zręczność
W robieniu bronią, zwłaszcza też rapierem,
Że, wnosząc z jego opisu, ciekawy,
Byłby to widok, gdyby ci kto sprostał.
Z pomiędzy jego współziomków najpierwsi,
Mówił, fechmistrze stracili przytomność,
Oko i zwinność w spotkaniu się z tobą.
Opowiadanie to wzbudziło taką
Zawiść w Hamlecie, że niczego odtąd
Nie pragnął, jeno twojego powrotu
I spróbowania się z tobą na ostrze.
Otóż więc...

Laertes. Cóż więc, Panie?

Król. Laertesie,

Kochałeś ojca? albo jesteś tylko

Pokrowcem żalu, postacią bez serca?

Laertes. Dlaczego się mnie, Panie, o to pytasz?

Król. Nie przeto, abym w wątpliwość podawał

Twoją ku niemu miłość, lecz dlatego,

Iż wiem, że miłość jest dziecięciem czasu;

A doświadczenie uczy mnie codziennie,

Że czas miarkuje jej siłę i zapał.

Płomień miłości zawsze mieści w sobie

Coś nakształt knota, co moc jego tłumi,

I w jednostajnym nic nie trwa wigorze;

Bo wigor, z zbytku krwi dostając pleury,

Własnym nadmiarem zabity zostaje.

Kto chce, powinien wraz to, co chce, spełnić;

Bo to *chce* zmienne tyle napotyka

Tam i szkopułów, ile jest na świecie

Ramion, języków i przygód, a później

Owo *powinien* staje się niewczesnym

Westchnieniem, które, ulżywając, szkodzi.

Lecz wróćmy w sam rdzeń wrzodu: Hamlet wraca,

Cóż chcesz przedsięwziąć, aby się okazać

Nie w słowach ale w czynie dobrym synem?

Laertes. Przeszyć mu piersi na środku kościoła.

Król. Zemsta, zaiste, nie może znać granic,

I żadne miejsce uświęcać mordercy;

Chcesz li się jednak zemścić, Laertesie,

Zamknij się na czas jakiś w swym pokoju.

Hamlet przybywszy dowie się, żeś wrócił.

Głosić będziemy przed nim twoją zrećność,

I sławę, którą ci zrobił ów Francuz,

W dubelt powleczem werniksem. Wyjdź wtedy,

I przyjm spotkanie się z nim, do którego

Znajdziesz sposobność. Jego lekkomyślność,

Niepodejrzliwość i szlachetność sprawią,

Że nie obejrzy kling, z łatwością zatem,

Chociażby trochę używszy podstępny,

Będiesz mógł wybrać rapier niestępiony,

I umiejętnem pchnięciem odwetować

Śmierć ojca.

Laertes. Zrobię tak i dla pewności

Nabalsamuję ostrze mego miecza.

Nabyłem od pewnego szarlatana

Taką maść, że gdy nóż w niej umaczany

Najmniej zdraśnie żyjącą istotę,
Niema pomiędzy najzabawienniejszemi
Ziołami środka, któryby potrafił
Uchronić ją od śmierci. Tym to jadem
Miecz mój omaszczę; niech go drasnę tylko,
Już będzie po nim.

Król. Rozważmy to głębiej,

I baczmy, jakie nam okoliczności

I czas w tej mierze mogą dać poparcie;

Bo gdyby to nas miało zawieść, gdyby

Plan nasz chybiony miał wypłynąć na wierzch,

Lepiejby go zaniechać. Trzeba zatem,

Aby ten projekt miał w odwodzie drugi,

Który w potrzebie przyszedłby mu w pomoc.

Czekaj — pomyślmy trochę. — Uroczysty

Postawię zakład na kartę twojej sztuki;

A potem — potem... Ha! wiem już, co robić.

Gdy was bój znuży, tak, że się aż obu

Czuć da pragnienie (ostro żgaj dlatego),

I gdy on zechce czego do ochłody,

Wtedy podadzą mu puhar, z którego

Jeden łyk, w razie, gdyby jakim trafem

Uszedł twojego zatrutego ciosu,

Da nam skuteczny sukurs! — Skąd ta wrzawa?

(*Wchodzi królowa.*)

Co to jest, droga małżonko?

Królowa. Nieszczęścia

Nawałem biegną jedne za drugimi.

Laertes, siostra twoja utonęła.

Laertes. Przebóg! Gdzie?

Królowa. Owdzie nad potokiem stoi

Pochyła wierzba, której siwe liście

W lustrze się czystej przeglądają wody.

Tam ona wiła fantastyczne wieńce

Z kwiatów i zielska, i gdy, chcąc zawiesić

Jeden z tych wianków na zwisłej gałęzi,

Nie dość ostrożnie wspięła się na drzewo,

Giętka latorośl złamała się pod nią,

I z kwiecistemi trofeami swemi

Wpadło w toń biedne dziewczę. Przez czas jakiś

Wzdęta sukienka niosła ją po wierzchu,

Jak nimfę wodną, i wtedy nieboga,

Jakby nie znając swego położenia,

Lub jakby czuła się w swoim żywiole,
Śpiewała starych piosenek urywki.
Ale niedługo to trwało, bo wkrótce
Nasiątkłe szaty pociągnęły z sobą
Biedną ofiarę ze sfer melodyjnych
W zimny muł śmierci.

Laertes. A więc utonęła?

Królowa. Niestety!

Laertes. Biedna Ofelio, za wiele
Masz już wilgoci, wstrzymam więc lzy moje.
A jednak, jest to rzecz ludzka, natura
Żąda praw swoich na przeker wstydowi;
Gdy te strumienie ściekną, zniewieściałość
Wyjdzie wraz z nimi z serca. —
Żegnam cię, Panie, mam w ustach wyrazy,
Które płomieniem radeby wybuchnąć;
Ale je gasi to dzieciństwo.

(*Wychodzi.*)

Król. Idźmy
Za nim, Gertrudo. Ten wypadek może
Na nowo zażędz jego wściekłość, którą
Z takim mozołem ledwie uśmierzyłem.
Idźmy więc za nim.

(*Wychodzą.*)

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Cmentarz.

(*Dwóch grabarzy z rydlami i t. d. wchodzi na scenę.*)

Pierwszy grabarz. Godziź się po chrześcijańsku grzebać
kogoś, co samowolnie szuka zbawienia?

Drugi grabarz. Co się tam o to pytasz; bierz się lepiej
żywo do kopania. Fizyk był przy niej i zakwalifikował
ją do chrześcijańskiego pogrzebu.

Pierwszy grabarz. Jak to być może? Nie utopiła się prze-
cie bez przyczynienia się własnego.

Drugi grabarz. Powiadam ci, że tak zeznano.

Pierwszy grabarz. Musiało być przyczynienie się, a to

punkt właśnie stanowi. Kiedy się topię, w takim razie
popelniam czyn, a czyni się popełnia trojako: działając,
wykonywając i uskuteczniając. Tak więc widzisz, Argalu,
że się ona utopiła z umysłu.

Drugi grabarz. Ależ, pozwól...

Pierwszy grabarz. Gadaj zdrów. Tu płynie woda, dajmy
na to, a tu stoi człowiek, dajmy na to: jeżeli człowiek
pójdzie do wody i utopi się, rad nie rad, to jużci nie
zaprzeczy temu, że poszedł; ale jeżeli woda przyjdzie
do niego i zatopi go, to co innego; wtedy nie można
powiedzieć, że on się utopił. Wierzaj mi, kumie, że
kto sam nie jest winien swojej śmierci, ten tam sobie
życia nie skraca.

Drugi grabarz. Czy prawo tak mówi?

Pierwszy grabarz. Ma się rozumieć: prawo *fizyczne*.

Drugi grabarz. Chcesz wiedzieć prawdę? Gdyby to nie
była dygnitarska córka, nie byłaby po chrześcijańsku
chowana.

Pierwszy grabarz. Trafiłeś w sedno. Ale tem gorzej dla
panów dygnitarzy, że większą na tym świecie mają za-
chęcę do topienia się i wieszania, niż ich współbracia
w Chrystusie. Podaj mi rydel. — Niema dawniejszych
dygnitarzy, niż ogrodnicy, górnicy i grabarze, bo oni
idą w prostej linii od ojca Adama.

Drugi grabarz. Czy Adam był dygnitarzem?

Pierwszy grabarz. A jakże? on pierwszy przecie krzyż nosił.

Drugi grabarz. Ejże, ejże! nie nosił żadnego.

Pierwszy grabarz. Czyś Waśc poganin? Także pismo ro-
zumiesz? Pismo powiada, że Adam ziemię kopał: ko-
piąc, musiał-ci się schylać, a jakżeby się mógł schylić,
nie mając krzyża? Zadam ci jeszcze jedno pytanie, a je-
żeli mi sprytnie nie odpowiesz, to cię nazwę...

Drugi grabarz. No, no.

Pierwszy grabarz. Co to za rzemieślnik, co trwalej bu-
duje, niż mularz, cieśla i majster okrętowy?

Drugi grabarz. Szubienicznik, bo jego budowla przetrzyma
tysiąc lokatorów.

Pierwszy grabarz. Podoba mi się twój dowcip. W isto-
cie, szubienica wyświadcza przysługi, ale komu? oto
tym, co się źle zasługują; a ponieważ ty się źle zasłu-
gujesz Bogu, twierdząc, że szubienica jest trwalsza, niż
kościół, powinna ci więc szubienica wyświadczyć swoją
przysługę. Ale wróćmy do rzeczy.

Drugi grabarz. Któż buduje trwalej, niż mularz, cieśla i majster okrętowy?

Pierwszy grabarz. O to właśnie idzie.

Drugi grabarz. Zaraz ci powiem.

Pierwszy grabarz. Słucham.

Drugi grabarz. Do licha, nie mogę jakoś.

(Hamlet i Horacy ukazują się w pewnej odległości).

Pierwszy grabarz. Nie łam sobie już nad tem mózgownicy; osła batem nie popędzisz; a kiedy cię kto o to jeszcze raz zapyta, to mu powiedz: — grabarz. Domy jego roboty przetrwają do dnia sądu. Idź do szynkwasu i przynieś mi półkwaterek gorzałki.

(Drugi grabarz wychodzi).

(Pierwszy grabarz kopie i śpiewa).

Za młodu — o, gdyby ten wiek mógł powrócić!

Miłości mym były żywiołem;

Pokochać, odkochać, uścisnąć, porzucić,

To u mnie zwyczajnem szło kołem.

Hamlet. Czy ten człowiek nie zna natury swego rzemiosła? Śpiewa przy kopaniu grobu.

Horacy. Przyzwyczajenie wyrobiło w nim ten rodzaj swobody.

Hamlet. Tak to bywa we wszystkim; im mniej się do czego rękę przykładą, tem delikatniejsze jej czucie.

Pierwszy grabarz *(Śpiewa).*

Lecz starość nie radość, napadłszy znienacka,

Zwaliła mię swoim obuchem;

Znikł kuraż i rezon i mina junacka:

Ni śladu, żem kiedyś był zuchem.

(Wyrzuca czaszkę).

Hamlet. Ta czaszka miała także język i mogła śpiewać. Patrz, jak nią poniewiera ten hultaj; pomiata nią, jak gdyby szczęką Kaima! Może to czaszka jakiego dyplomaty, która obfitowała w podejścia, a teraz ją podszedł ten osioł; albo kogoś takiego, co chciał Pana Boga oszukać? Nieprawdaz?

Horacy. Być może.

Hamlet. Albo jakiego dworaka, który mógł mówić: »dzień dobry, Jaśnie Wielmożny Panie; jakże zdrowie Waszej Ekscelencyi?« Albo jakiego zausznika, który chwalił konia swego mecenasa, aby go od niego wyłudzić? Jak myślisz?

Horacy. Mogłoby to być, Mości Książę.

Hamlet. Taka to kolej rzeczy. A teraz musi służyć za *rendez-vous* robakom i cierpieć szturchańce zakrystyańskiej łopaty. Co za radykalna przemiana! aż się głupio robi na sercu. Czyliż utrzymanie tych kości na to tylko tyle kosztowało, aby z czasem grano w nie, jak w kręgle? Ból czuję w moich na tę myśl.

Pierwszy grabarz *(Śpiewa).*

Łoże w ziemi i wór zgrzebny

Na pokrycie kości;

Oto cały sprzęt potrzebny

Dla tutejszych gości.

(Wyrzuca czaszkę).

Hamlet. Masz i drugą. Nie jestże to czasem czerep adwokata? Gdzież się podziały jego kruczki i wykrety, jego ewentualności, jego kazualności i matactwa? Jak może znieść, żeby go ten grubianin bił w ciemną swoją plu-gawą motylką, i nie wystąpić przeciw niemu z akcją o czynną obelgę? Hm! hm! A może też to był swego czasu jakiś wielki posesyonat, który skupował dobra drogą licytacji, subhastacyi, kompanacyi, tranzakcyi i cesyi? Na toż mu się zdała czysta masa nieruchomości, aby sam stawszy się nieruchomością, obrócił się w masę błota? Nie zdołaliż ci, co mu pisali ewicye, ewinkować mu większej przestrzeni, tylko taką, jaką wzdłuż i wszecz pokryje para fascykułów? Kontrakty kupna jego majątków zaledwieby się w takim obrębie zmieściły; a samże ich dziedzic nie ma mieć więcej miejsca? He?

Horacy. Ani o włos więcej, Mości Książę.

Hamlet. Nie jestże pergamin ze skór baranich?

Horacy. Nieinaczej; i z cielęcych także.

Hamlet. Barany i cielęta z tych, co w nim bezpieczeństwa szukają! Muszę pomówić z tym człowiekiem. — Czyż to grób, przyjacielu?

Pierwszy grabarz. Mój. —

(Śpiewa).

Oto cały sprzęt potrzebny

Dla tutejszych gości.

Hamlet. Twój, nie przeczę, bo w nim siedzisz.

Pierwszy grabarz. Waspan w nim nie siedzisz, to też on nie Waspana; co do mnie, nie siedzę w nim, a jednak jest moim.

Hamlet. Twoim więc jest, bo w nim stoisz.

Pierwszy grabarz. Nie stoję w nim; stoję tam pod kociołem.

Hamlet. Któż to jest, co w tym grobie ma leżeć?

Pierwszy grabarz. Nikt.

Hamlet. Dla kogoż go kopiesz?

Pierwszy grabarz. Dla kogoś, co był, a więc już nie jest.

Hamlet. Cięty hultaj! Trzeba nam ważyć słowa, inaczej igraszka ich wystrychnie nas na dudków. Zaprawdę, mój Horacy, świat się stał tak dowcipnym, od trzech lat to uważam, że chłop swoim wielkim palcem u nogi nagniotków nabawia dworaka, następując mu na pięty. — Od jak dawna jesteś grabarzem?

Pierwszy grabarz. Dniem, w którym zacząłem tę profesję, był właśnie ten dzień roku z pomiędzy wszystkich innych, w którym nieboszyk nasz król Hamlet pobił Fortynbrasa.

Hamlet. Jakże to dawno?

Pierwszy grabarz. Nie wiesz Waspan? Każdy smyk u nas wie o tem. Było to tego dnia, kiedy młody Hamlet przyszedł na świat; ten sam, co to zwaryował i został wysłany do Anglii.

Hamlet. Czy tak? A dlaczegoż on został wysłany do Anglii?

Pierwszy grabarz. Dlatego właśnie, że zwaryował. Ma on tam rozum odzyskać; ale chociażby go nie odzyskał, nie będzie tam o to kłopotu.

Hamlet. Dlaczego?

Pierwszy grabarz. Bo tam tego nie dostrzegą nawet; tam wszyscy waryaci tak jak on.

Hamlet. Skutkiem czego on zwaryował?

Pierwszy grabarz. Skutkiem pewnej przyczyny.

Hamlet. Jakiej przyczyny?

Pierwszy grabarz. Skutkiem utraty rozumu.

Hamlet. Gdzieżby to być mogło!

Pierwszy grabarz. Gdzie? Tu w Danii, której ziemię kopię od lat trzydziestu.

Hamlet. Jak długo może kto leżeć w ziemi, nim zgnije?

Pierwszy grabarz. Jeżeli nie zgnął przed śmiercią (co się w tych czasach często zdarza, mamy bowiem ciała, które pod tym względem nie czekają, aż się je w ziemię włoży), to może przeleżeć jakie ośm albo dziewięć lat. Garbarz przeleży lat dziewięć.

Hamlet. Dlaczegoż ten jeden więcej, niż drudzy?

Pierwszy grabarz. Bo mu jego rzemiosło tak wygarbo-

wało skórę, że kawał czasu może wodę wstrzymać; a woda, Panie, jest straszliwą naszych grzesznych ciał niszczycielką. Oto czaszka, która od dwudziestu trzech lat leży w ziemi.

Hamlet. Czyjąż ona była?

Pierwszy grabarz. Sławnego wartogłowa. Czyją naprzykład, jak myślicie?

Hamlet. Nie domyślam się wcale.

Pierwszy grabarz. Żeby go mrówka porwał! Przypominam sobie, jak mi wylał na głowę całą flaszkę różanego likworu. Ta czaszka była własnością Yoryka, królewskiego błazna.

Hamlet (*podnosząc czaszkę*). Jego?

Pierwszy grabarz. Jego samego.

Hamlet. Biedny Yoryku! — Znałem go, mój Horacy; był to człowiek niewyczerpany w żartach, niezrównanego humoru; mało tysiąc razy piastował mię na rękę, a teraz — jakże mię jego widok odraża i aż w gardle ściska! Tu wisały owe wargi, które nie wiem jak często całowałem. Gdzież są teraz twoje drwinki, twoje wyskoki, twoje śpiewki, twoje koncepty, przy których cały stół trząsł się od śmiechu? Nicze z nich nie pozostało na wyszydzenie twojej własnej terażniejszej miny? Mogłżeś do tego stopnia zeszywnieć? Idźże teraz do gotowalni modnej damy i powiedz jej, że chociażby się na cal grubo malowała, przeciw się takiej fizyognomii doczeka. Pobudź ją przez to do śmiechu. — Proszę cię, mój Horacy, powiedz mi jedną rzecz.

Horacy. Co, mój książę?

Hamlet. Czy myślisz, że Aleksander W. tak samo w ziemi wyglądał?

Horacy. Zupełnie tak.

Hamlet. I tak samo pachniał? Brr!

(*Odrzuca czaszkę*).

Horacy. Zupełnie tak, Mości Książę.

Hamlet. Jak nikczemna dola może się stać naszym udziałem! Nie mogłabyz wyobraźnia, idąc w trop za szlachetnym prochem Aleksandra, znaleźć go na ostatku zatykającego dziurę w beczce?

Horacy. Tak brać rzeczy, byłoby to brać je za ściśle.

Hamlet. Bynajmniej; możnaby go tam przeprowadzić, najlżej biorąc i z wszelkiem prawdopodobieństwem, naprzykład w taki sposób: Aleksander umarł, Aleksander został

pogrzebiony, Aleksander w proch się obrócił; proch jest ziemią, z ziemi robimy kit, i dłaczegożbyśmy tym kitem, w który on się zamienił, nie mogli zalepić beczki piwa?

Potężny Cezar przedzierzgnął się w glinę,
Którą przed wiatrem chłop zatkał szczelinę.
Zatrząszczy światem, pójsz na polep chaty,
Toż kres wielkości, toż los potentaty!?

Lecz cicho, cicho, — patrz: król tu nadchodzi.

(Księża procesjonalnie wchodzi, za nimi niosą zwłoki Ofelii, tuż za zwłokami postępuje Laertes i żalobnicy, następnie król, królowa i orszak).

Królowa, cały dwór. Czyżże to pogrzeb?
I ceremonia skrócona! To znaczy,
Że ten, którego zwłoki tak prowadzą,
Sam sobie musiał rozpacziwą dłońią
Odebrać życie. Ktoś to z wyższej klasy.
Odstąpmy na bok i patrzmy.

(Usuwa się z Horacym na stronę).

Laertes. Jakiż obrządek pozostaje?

Hamlet. Jest to

Laertes, zacny młodzian. Uważajmy.

Laertes. Jakiż obrządek jeszcze pozostaje?

Książdz. Posunęliśmy ten akt tak daleko,
Jak tylko mandat nam pozwala. Śmierć jej
Była wątpliwą, i gdyby był wyższy
Nakaz nie przemógł rygoru przepisów,
W niepoświęconej musiałaby ziemi
Przeleżeć do dnia sądu. Miasto modłów,
Spadłyby na nią gruzy i kamienie;
Tak zaś zachowa swój dziewiczki wieniec,
I towarzyszyć jej będzie do grobu
Kwiat i dźwięk dzwonów.

Laertes. Więcej nic?

Książdz. Nic więcej.

Skazilibyśmy nasz kapłański urząd,
Gdybyśmy nad nią *requiem* śpiewali,
Tak jak to czynim tym, co bogobojnie
Oddali ducha.

Laertes. Spuście ją do grobu, —
Niechaj z tych pięknych, nieskalanych szczytków
Fiołki wykwitną! — A ty, twardy księżu,
Wiedz, że pomiędzy chórami aniołów

Wznosić się będzie moja siostra wtedy,
Gdy się ty w prochu wić będziesz.

Hamlet. Ofelia!

Królowa *(sypiąc kwiaty)*. Najmilsza z dziewic, bądź zdrowa! —
[Myślałam

Widzieć cię żoną mojego Hamleta;
Prędeż się w kwiaty spodziewałam stroić
Twoje małżeńskie łożo, niż mogiłę.

Laertes. Trzykroć trzydzieści razy ciężka biada
Niech na przekłętą głowę tego spada,
Kto twe bogate zmysły w nędzę wtrącił! —
Nie sypcie jeszcze ziemi, niech się jeszcze
Raz jej kochanym widokiem napieszczę!

(Wskakując w grób).

Walcie proch teraz na dwojakie zwłoki,
Aż usypiecie kurhan tak wysoki,
Jak Pelion albo prująco obłoki
Podniebny Olimp.

Hamlet *(ukazując się)*. Co to jest za człowiek,
Którego boleść brzmi z taką przesadą?
Którego objaw żalu zatrzymuje
Gwiazdy w ich biegu i obraca one
W słuchaczy osłupiałych? — To ja jestem,
Hamlet, syn Danii.

(Wskakuje w grób).

Laertes. Poleć duszę czartu!

Hamlet. Żle się Waść modlisz. Puść mi gardło, proszę;
Bo choć nie jestem prędko i drażliwy,
Ale mam w sobie coś niebezpiecznego,
Czego ci radzę strzedz się. Odejm rękę.

Król. Hola! Rozdzielcie ich.

Królowa. Hamlecie! synu!

Dworzanie. Panowie!

Horacy. Hamuj się, łaskawy Książcu.

(Dworzanie rozdzielają ich i obadwaj wychodzą z grobu).

Hamlet. Walczyć z nim będę o lepszą dopóty,
Dopóki powiek na wieki nie zawrę.

Królowa. O co, mój synu?

Hamlet. Kochałem Ofelię —

Tysiącby braci z całą swą miłością
Nie mogło memu wyrównać uczuciu. —
Cóżbyś ty dla niej uczynił?

Król (*do Laertes*). To nowy

Wyskok szaleństwa.

Królowa (*podobnie*). O, miej wzgląd na niego!

Hamlet. Mów, do pioruna! mów, co byś uczynił?

Jesteś-li gotów płakać, bić się, pościć?

Dać się rozedrzyć? rzekę wypić do dna?

Jeść krokodyle? I jam także gotów.

Przyszedłeś tutaj jęczeć, w grób jej skakać

Dla urągania mi? Daj się z nią razem

Żywcem pogrzebać, i ja to uczynię;

A jeśli prawisz o górach, niech na nas

Runą miliony włók ziemi, aż z sapu

Powstały kopiec, stercząc w głąb eteru,

Ossę w brodawkę zmieni. Jeśli umiesz

Szermować gębą, i ja to potrafię.

Królowa. Szał to, któremu chwilowo ulega;

Gdy go ominie, wraz jak gołębica,

Po wylężeniu swoich złotych piskląt,

Potulnie zwiesi głowę i zamilknie.

Hamlet. Powiedz mi Waćpan, co się to ma znaczyć,

Że się obchodzisz ze mną tak niegodnie?

Jam ci tak sprzyjał! Ale mniejsza o to;

Niech sam Zeus światu sili się nastarczyć,

Zawsze kot miauczeć będzie, a pies warczyć.

(*Wychodzi*).

Król. Horacy, proszę cię, miej go na oku.

(*Horacy wychodzi. — Do Laertes*).

Uzbrój cierpliwość tem, co ułożone

Pomiędzy nami; rzecz się sama składa. —

Gertrudo, każ tam komu nad nim czuwać. —

Grób ten mieć będzie wkrótce żywy pomnik,

A my spokojność; lecz nim to się stanie,

Cierpliwie nasze prowadźmy zadanie.

(*Wszyscy wychodzą*).

SCENA II.

Sala w zamku.

(*Hamlet i Horacy*).

Hamlet. Dosyć już o tem; słuchaj teraz dalej.

Pamiętasz dobrze całą okoliczność?

Horacy. Pamiętam, Mości Książę.

Hamlet. W duszy mojej

Wrzał jakiś rodzaj walki, skutkiem której

Ani na chwilę nie zmrużyłem oka.

Zdawało mi się, żem był w położeniu

Gorszem, niż więzień przykuty do galer.

Nagle, i niech się święci owa nagłość!

Trzeba ci bowiem wiedzieć, że nie wszystko

Bywa po dyable, co czynimy nagle,

Że owszem czasem niezastanowienie

Lepiej nam służy, niż najumiejtniej

Skombinowane plany; co dowodzi,

Że jakieś dobre bóstwo kształt nadaje

Naszym działaniom z gruba obciosanym.

Horacy. To pewna.

Hamlet. Nagle przywdziałem kapotę

I, wyskoczywszy z kajuty, po macku

Szukałem miejsca, gdzie spali; znalazłem

Wreszcie robaków, wyjąłem ich pakiet

I powróciłem z nim do mego kąta.

Strach tak dalece zrobił mię niepomnym

Na delikatność, żem rozpieczętował

Depeszę, w której odkryłem, cóż na to

Powiesz, Horacy! królewskie szelmstwo:

Jawne wezwanie, mnóstwem różnych racyi

Naszpikowane, w imię dobra Danii

I Anglii dobra, z którym się istnienie

Takiego jak ja upiora nie zgadza,

Aby za odebraniem niniejszego,

Bez ceremonii i bez zwłoki, nawet

Na wyostrenie miecza nie czekając,

Głowa mi była zdjętą.

Horacy. Czy podobna?

Hamlet. Oto dokument; przejrz go w wolnej chwili.

A teraz, chcesz-li wiedzieć, com ja zrobił?

Horacy. Błagam cię, Panie, powiedz.

Hamlet. Tak wplątany

W hultajskie sidła, nie zdołałem jeszcze

Do mego mózgu z prologiem wystąpić,

Gdy on już zaczął swoją rolę. Siadłem

I napisałem inny list, jak tylko

Mogłem najpiękniej. Dawniej, naśladowując

Przykład uczonych naszych i statystów,

Za ujmę miałem sobie pięknie pisać
I zadawałem sobie wielką pracę
Nad zapomnieniem tego kunsztu; teraz
Wyświadczył mi on kapitalnie ważną
Przysługę. Chcesz-li usłyszeć, co w sobie
Mój list zawierał?

Horacy. Pragnę, Mości Książę.

Hamlet. Oto zakłęcie jak najuroczystsze
Ze strony króla: jeśli Anglia szczerze
Chce mu dać dowód hołdowniczej wiary;
Jeśli stosunki między nami mają
Kwitnąć, jak palma; jeśli pokój stale
Ma nam zaplatać swą girlandę z kłosów
I stać jak komma między okresami
Naszej przyjaźni; (takich szumnych *jeśli*
Było tam więcej) aby, w takim razie,
Angielski władca, wraz po odczytaniu
I rozpoznaniu treści tego pisma,
Nie namyślając się i ćwierć sekundy,
Oddawców jego, bez spowiedzi nawet,
Ze świata sprzątnąć kazał.

Horacy. Jakżeś, Panie,
Zapiecztował to pismo?

Hamlet. Tu właśnie
Najwidoczniejszy był wpływ Opatrzności;
Miałem przy sobie sygnet mego ojca,
Rznięty zupełnie tak, jak pieczęć Danii.
Złożywszy tedy list na wzór tamtego,
I opatrzywszy stemplem i adresem,
Niepostrzeżenie wsadziłem podrzutka
W miejsce prawego pomiotu. Nazajutrz
Mieliśmy bitwę morską; wiesz już resztę.

Horacy. Tak więc Rozenkranc i Gildenstern poszli
Na śmierć niechybną.

Hamlet. Sami-ć jej szukali;
Sumienie moje spokojne w tej mierze.
Własne ich wścibstwo wtrąciło ich w przepaść.
Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy.

Horacy. Cóż to za człowiek z tego króla!

Hamlet. Mamże
Jeszcze się wahać? On mi zabił ojca,
Zhańbił mi matkę, stawił się na pogrzeb

Między elekcyą a prawami memi.
Na życie moje tak podstępnie godził.
Nie będziez to czyn najzupełniej zgodny
Z słusnością, dać mu odwet tem ramieniem?
I nie byłoby to krzyczącą rzeczą
Pozwolić, aby się taki skir dłużej
Wpółród nas szerzył?

Horacy. Wkrótce mu zapewne

Doniosą z Anglii o skutku poselstwa.

Hamlet. Zapewne, trzeba mi przeto się śpieszyć.

Życie człowieka zdmuchnąć, jest to tyle,
Co zliczyć jeden. Przykro mi jednakże,
Żem się zapomniał względem Laertesia;
W obrazie bowiem jego losu widzę
Wierne odbicie mojej własnej doli.
Cenię go bardzo; słysząc wszakże owe
Przechwałki jego boleści, nie mogłem
Być panem siebie.

Horacy. Cicho, ktoś nachodzi.
(*Wchodzi Ozryk*).

Ozryk. Stokroć szczęśliwa chwila, która nam pozwoliła
Waszą Książęcą Mość ujrzeć znowu.

Hamlet. Pokornie dziękuję Waćpanu. (*Na stronie do Hora-
cego*). Czy znasz tę muchę wodną?

Horacy. Nie, Mości Książę.

Hamlet. Tem lepiej dla zbawienia duszy twojej, bo znać
go jest występkiem. Ma on poddostatkiem ziemi i ży-
znej. Niech bydlę jakie będzie panem między bydlę-
tami, wraz będzie miało swój złób przy królewskim
stole. To istna sroka, ale, jak powiadam, hojnie upo-
sazona błotem.

Ozryk. Łaskawy Książę, jeżeli Wasza Książęca Mość masz
czas wolny, miałbym szczęście zakomunikować mu coś
z polecenia Jego Królewskiej Mości.

Hamlet. Z całem natężeniem ducha gotów jestem to coś
odebrać. Zrób Pan właściwy użytek ze swojej czapki;
czapka stworzona na głowę.

Ozryk. Dziękuję Waszej Książęcej Mości; bardzo dziś
gorąco.

Hamlet. Gdzież tam! raczej bardzo zimno; wiatr z północy.

Ozryk. W istocie, Mości Książę, zimno jakoś.

Hamlet. Podobno jednak masz Waćpan słusność; parno
jest i gorąco; tylko moje usposobienie.

Ozryk. Nadzwyczajnie, Mości Książę; tak jest parno, wypowiedzieć tego nie umiem. Łaskawy Książę, Król Jegomość kazał mi Waszej Książęcej Mości oznajmić, że wielki na Waszą Książęcą Mość zakład stawił. Rzec się tak ma...

Hamlet. Nie zapominajże Waćpan, bardzo proszę.

(Pokazuje mu, aby włożył kapelusz).

Ozryk. Nie, Mości Książę; doprawdy, dla własnej mojej wygody. Od niejakiego czasu jest tu na dworze Laertes, nieporównany młodzian, pełen najwytworniejszych przymiotów, nadzwyczaj miły w towarzystwie i dystyngowany w obejściu. Na honor, jest to, że użyję poetycznego wyrażenia, istny inwentarz albo kalendarz ukształcenia, bo znajdziesz w nim, Mości Książę, kwintesencję tego wszystkiego, co prawdziwie ukształcony człowiek znaleźć pragnie.

Hamlet. Mości Panie, zalety jego nie cierpią upośledzenia w ustach Waćpana; jakkolwiek wyliczenie ich kategori czne nabawiłoby arytmetykę pamięciową zawrotu głowy i jeszczeby mogło rzecz oddać tylko *in crudo*, ze względu na wysoki stopień jego ogłady. Co do mnie, sprowadzając pochwały do najprostszych wyrazów, mam go za młodego człowieka wielkich nadziei; za złewek cnót tak rzadkich i szacownych, że, bez przesady mówiąc, podobnym do niego jest zwierciadło, w którym się przegląda; kto zaś idzie w jego ślady, jest jego cieniem, niczem więcej.

Ozryk. Opis Waszej Książęcej Mości ze wszech miar trafny.

Hamlet. Do czegoż to zmierza, mój Panie? W jakimże celu chuchamy na tę doskonałość naszym ułomnym oddechem?

Ozryk. Jakto? Mości Książę?

Horacy. Trzeba mu to przełożyć na jego rodowity język.

Hamlet. Co znaczy wyjechanie na harc z tym panem?

Ozryk. Wasza Książęcą Mość mówi o Laertesie?

Horacy. Worek jego już próżny; wyszyplił całą gotówkę dowcipu.

Hamlet. Nie inaczej, o Laertesie.

Ozryk. Widzę, że Książę Pan nie jesteś nieumiejętny.

Hamlet. Cieszę się, że Pan to widzisz; lubo, zaprawdę,

niewiele mogę na tem zyskać. Cóż dalej?

Ozryk. Widzę, że Książę Pan nie jesteś nieumiejętny w ocenianiu znakomitej wyższości Laertesza.

Hamlet. Nie mogę tego przyznać, nie porównawszy się z nim poprzednio; znać bowiem drugich dokładnie, jest to znać samego siebie.

Ozryk. Mówię o jego wyższości w władaniu bronią, powszechna bowiem opinia uważa go za nieporównanego w tym kunszcie.

Hamlet. W jakimże on rodzaju broni tak jest mocny?

Ozryk. Na rapiery i florety.

Hamlet. W dwóch aż rodzajach broni tak odrębnych! Cóż dalej?

Ozryk. Król Jegomość stawił w zakład sześć berberyjskich koni; on zaś, ile wiem, sześć francuskich szpad i puginałów, z należącymi do nich przyborami, jakoto: pendentami, pasami i t. d. Z pomiędzy tych ryszunków trzy są w istocie bardzo ozdobne, odpowiednie garniturowi, nader misternie wyrobione i świeżego pomysłu.

Hamlet. Co pan nazywasz ryszunkami?

Horacy. Będziesz się Książę musiał unosić jeszcze nad kutasami, nim się dowiesz końca.

Ozryk. Ryszunki, Mości Książę, to pendenty.

Hamlet. Wyrażenie to byłoby bardziej z rzeczą spokrewnione, gdybyśmy armaty mogli nosić u boku; tymczasem jednak przyjmijmy je za pendenty. Tak więc sześć berberyjskich koni z jednej strony, a z drugiej sześć francuskich różnów z ich przyborami i trzy świeżego pomysłu ryszunki. To prawdziwie francuski zakład przeciw duńskiemu. O cóż on stawiony?

Ozryk. Król Jegomość założył się, że w spotkaniu z Waszą Książęcą Mością w dwunastu pchnięciach z obojej strony, Laertes pokonany będzie, dawszy trzy fory. Szansa więc Jego do szansy Laertesza ma się, jak dwańście do dziewięciu; i zarazy się to rozstrzygnęło, gdybyś Książę Pan raczył przychylnie odpowiedzieć.

Hamlet. A gdybym odpowiedział: nie?

Ozryk. Chciałem powiedzieć, gdybyś Książę Pan raczył osobą swoją odpowiedzieć temu zadaniu.

Hamlet. Będę się tu przechadzał w tej sali; jest to czas, w którym używam wytchnienia. Jeśli ten pan ma ochotę i Królowi Jegomości to dogadza, mogę im służyć zaraz. Niech przyniosą florety. Rozegram ten zakład na rzecz Króla; jeżeli zaś mi się nie powiedzie, zyskam tylko na własny mój rachunek trochę konfuzy i kontuzyi.

Ozryk. Mamże to odnieść w tym sposobie?

Hamlet. W tym duchu; z przyozdobieniami, jakie się Panu stosownemi wydadzą.

Ozryk. Polecam Waszej Księżęcej Mości moje usługi.
(*Wychodzi.*)

Hamlet. Uniżony, uniżony. Dobrze czyni, że się sam poleca, żaden ludzki język nie uczyniłby tego.

Horacy. Ta czajka lata z skorupą od jaja na głowie.

Hamlet. On komplementy stroił już do cycka, nim go ssać zaczął. Jest to jedna z baniek tego wietrznego świata wydęta tchnieniem mody i przybrana w konwencyjną szatę; rodzaj szumowiny różnorodnych pierwiastków, ludzającej oczy zarówno najciemniejszej jak najświatlejszej opinii; ale dmuchnij tylko, natychmiast prysnie bąbel.

(*Jeden z dworzan wchodzi.*)

Dworzanin. Mości Księżę, Jego Królewska Mość przesłał Waszej Wysokości pozdrowienie przez Ozryka, który wróciwszy oznajmił mu, że Księżę czekasz na niego w tej sali. Przesyła on mnie teraz z zapytaniem, czy Wasza Księżęca Mość trwasz w chęci fechtowania się z Laertesem, czyli też żądasz zwłoki.

Hamlet. Stały jestem w mych postanowieniach, a te są zgodne z życzeniami króla. Jeśli on gotów, moja gotowość nie zostanie w tyle, tak teraz jak kiedykolwiek, przypuszczając, że zawsze będę do tego równie sposobny, jak teraz.

Dworzanin. Król i królowa i wszyscy inni nadejdą tu niebawem.

Hamlet. I owszem.

Dworzanin. Królowa życzy sobie, abyś Księżę przemówił kilka uprzejmych słów do Laertesu, nim się z nim spotkasz.

Hamlet. Korzystać będę z jej upomnienia.

(*Dworzanin wychodzi.*)

Horacy. Przegrasz ten zakład, Księżę.

Hamlet. Nie sędzę; od czasu jego wyjazdu do Francji nie przestawałem się ćwiczyć; wygram przy korzystnych warunkach. Nie uwierzysz jednak, jak mi coś ciężko na sercu; ale to nic.

Horacy. Drogi Księżę.

Hamlet. To dzieciństwo; jakiś rodzaj przecucia, któreby mogło zastraszyć kobietę.

Horacy. Jeżeli dusza twoja, Panie, czuje wstręt jakowy, bądź jej posłuszny. Pójdę ich wstrzymać od przybycia tu; powiem, że się Księżę nie czujesz usposobionym.

Hamlet. Daj pokój; drwię z wróżb. Lichy nawet wróbel nie padnie bez szczególnego dopuszczenia Opatrzności. Jeżeli się to stanie teraz, nie stanie się później; jeżeli się później nie stanie, stanie się teraz; jeżeli nie teraz, to musi się stać później; wszystko polega na tem, żeby być w pogotowiu, ponieważ nikt nie wie, co ma utracić, cóż szkodzi, że to coś wcześniej utraci?

(*Król, Królowa, Laertes, Ozryk, dworzanie, słudzy z floretami i inne osoby wchodzi na scenę.*)

Król. Synu Hamlecie, weź tę dłoń z rąk moich.
(*Łączy rękę Laertesu z ręką Hamleta.*)

Hamlet. Przebac mi Waćpan, krzywdę ci wyrządził;

Lecz przebac jako honorowy człowiek.

Wszyscy tu wiedzą i pan sam wiesz pewnie,

Jak ciężka trapi mię niemoc umysłu.

Oświadczam przeto, iż to, com uczynił,

W grubiański sposób ubliżającego

Twojemu sercu, czci twej lub stopniowi,

Nie było niczem innym jak szaleństwem.

Czyliż to Hamlet skrzywdził Laertesu?

Nie; Hamlet bowiem nie był samym sobą.

Skoro więc Hamlet nie sam był krzywdzącym,

Więc Hamlet temu nic nie winien; Hamlet

Zaprzecza temu. Któż więc temu winien?

Jego szaleństwo. W takim razie Hamlet

Sam raczej także został pokrzywdzony;

Szaleństwo jego było jego wrogiem.

Oby to moje wyparcie się jawne

Wszelkiej złej względem Waćpana intencji

Mogło mię w jego szlachetnem uznaniu

Tak uniewinnić, jak gdybym był na wiatr

Wypuścił strzałę, która poza domem

Trafiła brata mojego.

Laertes. Dość na tem

Mojemu sercu, któreby mię było

W tym razie głównie skłaniało do zemsty;

Wszakże stosując się do praw honoru,

Muszę się zdała mieć od pojednania,

Dopóki starsi mężowie, uznanej

W rzeczach honoru powagi,

Nie upoważnią mię do tego kroku
I nie wyrzekną, że sławy mej żadna
Nie kazi plama. Tymczasem atoli
Przyjmuję, Panie, ofiarę twych uczuć
Jako prawdziwą i uwłaczać onej
Nie myślę.

Hamlet. Z serca dziękuję Waćpanu.
Swobodnie mogę teraz ten braterski
Zakład rozegrać. Podajcie mi floret.

Laertes. Podajcie i mnie także.

Hamlet. Laertesie,
Biegłość twa wobec mojego fuzzerstwa,
Jak gwiazda błyszczeć będzie wpośród nocy.

Laertes. Żartujesz ze mnie, Książę.

Hamlet. Nie, na honor.

Król. Podaj im, Ozryk, florety. Hamlecie,
Znasz już warunki zakładu?

Hamlet. Znam, Panie.
Wasza Królewska Mość zawarowałeś
For słabszej stronie.

Król. Nie skutkiem obawy;
Widziałem dawniej was obu. Laertes
Postąpił odtąd, dlatego for daje.

Laertes. Ten jest za ciężki dla mnie, dajcie inny.

Hamlet. Ten mi do ręki. Są-li to florety
Równiej długości?

Ozryk. Równiej, Mości Książę.

Król. Postawcie kubki z winem, tu na stole.
Gdy Hamlet zada pierwszy cios lub drugi,
Lub gdy zwycięsko odparuje trzeci,
Niech wtedy działa zagrzmią z wszystkich wałów;
Król spełni toast za zdrowie Hamleta
I w puhar jego wrzuci perłę, droższą,
Niż te, co czterech z rzędu duńskich królów
Dyadem zdobyły. Przynieście puhary.
Niech trąby kołom, a kotły armatom,
Armaty niebu, a niebiosy ziemi
Oznajmią grzmiącym echem, że król pije
Na cześć Hamleta. Zaczynajcie teraz;
A wy, sędziowie, baczcie pilnem okiem.

Hamlet. Dalej więc!

Laertes. Jestem w pogotowiu, Panie.
(*Składają się.*)

Hamlet. To raz.

Laertes. Nie.

Hamlet. Niechaj sędziowie rozstrzygną.

Ozryk. Dotknięcie było jawne.

Laertes. Dobrze; dalej!

Król. Stójcie! Hej! wina! Ta perła do ciebie
Należy, synu; piję za twe zdrowie.
Oddajcie puhar księciu.

(*Odgłos trąb i huk dział.*)

Hamlet. Poczekajcie:
Niech się załatwię pierwej z drugim pchnięciem.
Dalej!

(*Składają się.*)

To drugi raz; cóż Waćpan na to?

Laertes. Dotknąłeś, Mości Książę; nie zaprzeczam.

Król. Nasz syn wygrywa.

Królowa. On tłustej kompleksyi
I tchu krótkiego. Hamlecie, masz chustkę,
Obetrzyj sobie czoło; matka pije
Za powodzenie twoje.

Hamlet. Dobra matka.

Król. Gertrudo, nie pij.

Królowa. Czemu? wybacz, Panie.
(na stronie). Zatruty był ten kielich; już zapóźno.

Hamlet. Nie mogę teraz pić, Pani; za chwilę.

Królowa. Czekał, obetrę ci twarz.

Laertes (*do króla*). Teraz, Panie,
Ja go ugodzę.

Król. Powątpiewam o tem.

Laertes (*na str.*). Ależ uczynię to wbrew sumieniowi.

Hamlet. No, Laertesie; żarty ze mnie stroisz.

Proszę cię, natrzyj z całą gwałtownością,
Bo mógłbym myśleć, że mię masz za fryca.

Laertes. Sam tego żądasz, Książę; dobrze zatem.
(*Składają się.*)

Ozryk. Chybione z obu stron.

Laertes. Pilnuj się teraz.

(*Laertes rani Hamleta; poczem w zapale przemieniają ra-
piery i Hamlet rani Laertesą.*)

Król. Hola, rozdzielcie ich, zbyt się zazarli.

Hamlet. Nie; jeszcze, jeszcze.

(*Królowa pada.*)

Ozryk. Patrzcie, co się dzieje
Z królową.

Horacy. Z obu krew ciecze. O! Panie,
Tyś ranny.

Ozryk. Jesteś ranny, Laertesie?

Laertes. Jak bekas w własne złowiłem się sidło;
Słusznie ofiarą padam własnej zdrady.

Hamlet. Cóż to królowej?

Król. Omdlała z przestachu,
Widząc cię rannym.

Królowa. Nie, nie, ten to napój,
Ten napój, drogi Hamlecie! ten napój...
Jestem otruta.

(Umiera).

Hamlet. O, podłości! Hola!
Pozamykajcie drzwi! Szukajcie zdrajcy.

(Laertes pada).

Laertes. Oto tu leży. Zgubionyś, Hamlecie.
Nie uratują-ć żadne leki świata;
I pół godziny życia niema w tobie.
Narzędzie zdrady sam trzymasz w swych ręku,
Nieprzytępione i zatrute. Wpadłem
W ten sam dół, którym wykopał pod tobą.
Już nie powstanę, królowa otruta;
Nie mogę więcej mówić: król, król winien.

Hamlet. Więc i to ostrze zatrute? Truczno,
Dokończ swojego dzieła.

(Przebija króla).

Ozryk i Inni. Zdrada! zdrada!

Król. Ratujcie! to nic, nic, draśniętym tylko.

Hamlet. Wszeteczny, zbójczy, przeklęty Duńczyku,
Wysącz ten kielich. A co? jest w nim perła?
Idź w ślad za moją matką.

(Król umiera).

Laertes. Sprawiedliwą
Śmierć poniósł; on to sam jad ten przyrządził.
Przebaczmy sobie wzajem, cny Hamlecie;
Niech duszy twojej nie ciąży śmierć moja
I mego ojca, ani twoja mojej!

(Umiera).

Hamlet. Niechaj ci nieba jej nie pamiętają!
Zaraz za tobą pójde. O, Horacy!
Umieram. — Żegnaj cię, matko nieszczęsna!

Wam, co stoicie tu bladzi i drżący,
Mógłbym ja, gdybym miał czas, wiele rzeczy
Powiedzieć, ale śmierć, ten srogi kapral,
Stoi nade mną. Umieram, Horacy,
Ty pozostajesz. Wyłómacz mą sprawę
Tym, co jej zblizka nie znają.

Horacy. Nic z tego.
Więcej mam w sobie krwi rzymskiej, niż duńskiej.
Jeszcze tam trochę jest wina!

Hamlet. Człowieku,
Jeśli masz serce, oddaj mi ten kielich! —
Oddaj, na Boga! Jak upośledzone
Imięby po mnie pozostało, gdyby
Ta tajemnica nie miała wyjść na jaw!
O, mój Horacy! jeśli kiedykolwiek
W poczciwym sercu twojem miałem miejsce,
Wyrzecz się jeszcze na chwilę zbawienia
I ponieś trudy oddychania dłużej
W zepsutej atmosferze tego świata,
Dla objaśnienia moich dziejów. —
(Marsz w odległości i wystrzały).

Cóż to
Za zgiełk wojenny?

Ozryk. To młody Fortynbras,
Wracając z polskiej wojny, daje salwy
Angielskim postom.

Hamlet. Żegnaj cię, Horacy;
Potęga jadu mroczy zmysły moje.
Już się angielskich postów nie doczekam!
Lecz przepowiadam ci, że wybór padnie
Na Fortynbrasa. Za nim konający
Głos daję; powiedz mu to i opowiedz,
Co poprzedziło. — Reszta jest milczeniem.
(Umiera).

Horacy. Pękło cne serce. — Dobranoc, mój Książę;
Niechaj ci do snu nuca chóry niebian!
(Marsz za sceną).

Po co ten odgłos aż tu?
(Fortynbras i posłowie angielscy z orszakiem swoim wchodzą).

Fortynbras. Niech zobaczą
Na własne oczy!
Horacy. Cóż to chcecie widzieć?
Chcecieli ujrzeć coś nadzwyczajnego,

Lub żałosnego nad wszelkie wyrazy,
Prześciancie szukać dalej.

Fortynbras. Czy zniszczenie
Tron tu obrało sobie? — Dumna śmierci,
Jakież dziś święto w twym ciemnym królestwie,
Żeś tak morderczo, za jednym zamachem,
Tyle książęcych głów ścięła!

Pierwszy poseł. Ten widok
Zbyt jest okropny. Spóźniony nasz przyjazd;
Głuche są uszy tego, który miał nam
Dać posłuchanie, aby się dowiedzieć,
Że zadość stało się jego żądaniu
I że Rozenkranc wespół z Gildensternem
Straceni; któż nam podziękuje za to?

Horacy. Nie on zapewne, chociażby ku temu
Miał odpowiednie warunki żywoła;
Nigdy on bowiem ich śmierci nie pragnął.
Lecz skoro, po tych fatalnych wypadkach,
Wy z polskiej wojny, a wy z granic Anglii
Tak bezpośrednio przybywacie, kaźcież,
Aby te zwłoki wysoko na marach
Na widok były wystawione; mnie zaś
Pozwólcie i wszem wobec i każdemu
Nieświadomemu prawdy opowiedzieć,
Jak się to stało. Przyjdzie wam usłyszeć
O czynach krwawych, wszetecznych, wyrodnym,
O chłostach trafu, przypadkowych mordach,
O śmierciach skutkiem zdrady lub przemocy,
O mężobójczych planach, które spadły
Na wynalazcy głowę. O tem wszystkiem
Ja wam dać mogę wieść dokładną.

Fortynbras. Pilno
Nam to usłyszeć. Niechaj się w tym celu
Niezwłocznie zbierze czoło waszych mężów.
Co się mnie tyczy, z boleścią przyjmuję,
Co mi przyjazny los zdarza; mam bowiem
Do tego kraju z dawien dawna prawa,
Które obecnie muszę poprzeć.

Horacy. O tem
Będę miał także coś do powiedzenia,
Zgodnie z życzeniem tego, co już nigdy
Nie wyda głosu, ale pierwszej muszę
Wypełnić tamto, aby obłąd ludzki

Więcej tymczasem klęsk i niefortunnnych
Przygód nie zrządził.

Fortynbras. Niech czterech dowódców
Złoży Hamleta, jako bohatera,
Na wywyższeniu, niewątpliwie bowiem
Byłby był wzorem królów się okazał,
Dożywszy berła; a gdy orszak ciała
Jego niosący postępować będzie,
Niechaj muzyka i salwy rozgłośnie,
Czem był, zaświadczą. Wynieście te zwłoki. —
Po tak okropnem, jak to, widowisku,
Śmiaćby się można na pobożowisku.
Kaźcie dać ognia z dział.

(Marsz pogrzebowy).

(Wychodzą, unosząc zwłoki, poczem huk dział słyszeć się daje).



TLÓMACZENIE J. PASZKOWSKIEGO.

W szeregu arcydzieł tragicznych Shakespearą tragedia o najszerszym ze wszystkich horyzoncie społecznym bezpośrednio sąsiaduje z tą, której widnokrąg jest najbardziej zacieśniony i najściślej prywatny: »Król Lir« następuje po »Otellu«. Takiego ich stosunku dowodzi fakt — zauważony przez Bradleya — że cały szereg słów i zwrotów niezwykłych, albo zgoła nigdzie indziej u Shakespearą nie użytych, spotykamy w »Otellu« i »Lirze«, a mianowicie w pierwszych dwóch aktach »Króla Lira«; podobieństwo i w sytuacji i w wysłowieniu stanowi błysk wspomnienia o młodzieńczych czynach wojennych i u Lira i u Otella w chwili przed zgonem¹⁾. Znamienny chyba także jest szczegół, że w akcyi »Lira«, i »Otella« — w przeciwieństwie do »Hamleta« i »Makbeta« — niema zjawisk nadprzyrodzonych.

Do absolutnej daty »Lira« zbliżają nas wydania dramatu *in quarto*. Dwa takie wydania — może tylko odmienne egzemplarze jednego wydania w różnych stadyach korekty — posiadamy z roku 1608. Wydania te — drukowane zresztą bardzo licho i często nadające wierszom postać prozy — znacznie się różnią od tekstu dramatu w późniejszym zbiorze *in folio*: tutaj mianowicie brakuje całego szeregu ustępów — razem około 220 wierszy na 3298 — które znajdujemy tylko w drukach *in quarto*. Luki w tekście *in folio* powstały najwidoczniej przez systematyczne

¹⁾ »Król Lir«, V, 3:

»O, były czasy, w których moją szablą,
Ostrą, siekącą, tańczyłbym ich uczył!«

»Otello«, V, 2:

»Wierz mi, dni widziałem,
W których tą dłonią i tą dobrą szablą
Przez więcej zawał przerabiałem drogę,
Niżli dwadzieścia razy piersi twoje«.

skrócenia; prawdopodobnie mamy przed sobą wersję sceniczną, bo pominięte są głównie partye opisowe i liryczne, malujące obszernie jakąś sytuację lub charakteryzujące którą z osób: więc brak (III, 6) mniemanego sądu, przed który obłąkany Lir z błaznem i żebrakiem jako ławnikami wzywa niewdzięczne córki; — brak długich i wymownych wyrzutów, które oburzony książę Albanii czyni swej okrutnej żonie Gonerilli (IV, 2); — brak wreszcie całej sceny (IV, 3), w której słyszymy od świadka, jak Kordelia przyjęła wiadomości o okrucieństwie swych sióstr. Z drugiej strony są i w druku *in folio* pewne małe dodatki w porównaniu z tekstami *in quarto* — razem około 50 wierszy; w wielu miejscach także poszczególne słowa w obu wydaniach są rozmaite, i często trudno powiedzieć, który z wariantów możnaby uważać za bardziej shakespearewski; w znacznej ilości wypadków chodzi o drobne i obojętne wyrazy; nie możemy sobie wyobrazić, żeby Shakespeare był tracił czas na robienie takich zmian; nie da się bynajmniej orzec, czy wersja sceniczna, którą oczywiście reprodukuje tekst *in folio*, była dokonana przez poetę, i czy wogóle poddał swe dzieło kiedy jakiejś rewizji.

Datę »Króla Lira« wstecz od wydań *in quarto* cofają różne jeszcze okoliczności: przy zgłoszeniu do druku w celu księgarzy w roku 1607 zapisano, że dramat był grany na dworze królewskim na ostatnie Boże Narodzenie, a więc w roku 1606. W maju roku 1605 zgłoszono do druku »tragiczną historię króla Lira, tak jak była niedawno grana«, — i w tymże roku wyszedł anonimowo starszy, przed-shakespearewski dramat o tym przedmiocie, — może podany publiczności przez spekulującego księgarza jako surogat świeżego dzieła shakespearewskiego, którego tekstu nie mógł się dorwać. W roku 1603 wyszła książka Harsneta o praktykach jezuitów angielskich, którzy robili sobie reklamę przez rzekome egzorcyzmowanie złych duchów: z tej książki notorycznie wziętą Shakespeare nazwy dyabłów i inne szczegóły, które wspomina Edgar, udając obłąkanego (III, 4, 6). W tymże roku 1603 dokonano się połączenie Szkocji z Anglią, i powstała Wielka Brytania: Shakespeare dwukrotnie w dramacie (III, 4; IV, 6¹) używa

¹) Tu druki *in quarto* mają *British*, zaś *folio* ma *English* — jeden z przykładów owych wspomnianych powyżej, licznych a drobnych różnic między tekstami.

wyrazu *British*, raz w urywku z popularnej ballady, który w zachowanej nam dawniejszej aluzji ma *English*. Do zaćmień księżycy i słońca, które zaszły w październiku roku 1605, odnieszono słowa Glouceстера o tych złowróżbnych zjawiskach (I, 2); do wykrytego w następnym miesiącu sprzysiężenia celem wysadzenia w powietrze parlamentu (*Gunpowder Plot*) — jego dalsze wywody o »spiskach i obłudzie, zdradzie i anarchii«¹). Aluzje to co prawda ogólnikowe; mogły także być wstawione do gotowego i już granego dramatu; w każdym razie za prawie pewne uważać możemy, że tragedia powstała w roku 1605.

Przedmiotem tragedji jest jedna z licznych popularnych legend, otaczających pierwotne dzieje Brytanii; opowiada ją wśród wielu innych podań już w XII wieku Godfryd z Monmouth w swej fantastycznej *Historia regum Britanniae*; stąd przeszła do całego szeregu średniowiecznych kronik wierszem i prozą; znalazła się w tej bogatej skarbnicy fabulistycznej, jaką jest kolekcja po nazwą *Gesta Romanorum*, jeszcze w shakespearewskiej Anglii w odnowionej formie siedem razy drukowana. Shakespeare o królu Lirze i jego córkach mógł czytać w Annalach Holinsheda, które były źródłem jego dramatów królewskich; w całej zresztą generacji, otaczającej poetę, literaci jakby w zawody tę starą baśń parafrazowali: umieścił ją oczywiście w swej kronice brytyjskiej znakomity archeolog William Camden; nie pominięto jej wśród przykładów »tragedji« czyli upadków sławnych mężów konsorcjum pisarzy, wydające zbiór ballad historycznych pod nazwą »Zwierciadło dla dostojników« (*A Mirror for Magistrates*, 1586); po Shakespeare naturalnie znalazł dla niej miejsce William Warner w rymowanej chryi kronikarskiej *Albion's England* (1608); zaś przed Shakespeareem jeszcze uwiecznił historię Lira także największy z epiczno-lirycznych poetów epoki Edmund Spenser, wplatając jej streszczenie w sześciu zwrotkach do swej alegorycznej epepei *Faerie Queene* (1590; księga II, pieśń X²).

¹) Tej części mowy Glouceстера niema w drukach *in quarto*; mogła być pisana przed sprzysiężeniem, a potem wycofana z tekstu z powodu drażliwej aktualności, jaką ono jej nadawało.

²) Od Spensera przejął Shakespeare formę imienia *Cordelia* (u Holinsheda i innych *Cordella*); Shakespeare też wedle zgodnego świadectwa druków stale używa pisowni *Lear* w miejsce przeważającej w dawniejszych wersjach formy *Leir*.

We wszystkich tych wersjach dzieje króla Lira kończą się inaczej, niż w tragedii — szczęśliwie, zwycięskim powrotem na tron przy pomocy Kordelii i wojsk francuskich¹⁾. U Holinsheda Lir, przemocą pozbawiony królestwa przez swych dwóch zięciów, i ograniczony do dożywocia, które potem stopniowo zmniejszają, szuka schronienia w Gallii, gdzie go Kordelia i trzeci zięć życzliwie przyjmują. Wyprawa wojenna kończy się zwycięstwem, niewdzięczni zięciowie padają w bitwie, Lir odzyskuje królestwo i rządzi jeszcze dwa lata. Po jego śmierci Kordelia panuje przez lat pięć, poczem powstają przeciw niej synowie sióstr; wzięta przez nich do niewoli, odbiera sobie życie w więzieniu. Tu jedynie jest pewne, dość odległe podobieństwo do katastrofy shakespeareowskiej.

Różni się natomiast w zakończeniu kardynalnie od tragedii Shakespeara, tak samo jak ogół innych wersji, także to dzieło, które mu prawdopodobnie posłużyło jako bezpośrednie źródło materiału, mianowicie anonimowy dramat »Król Leir i jego trzy córki«, drukowany w r. 1605, ale pochodzący prawdopodobnie z lat dawniejszych, gdyż mamy wzmianki o takim dramacie z roku 1594²⁾. Że Shakespeareowi ten dramat był znany, wątpić nie można wobec uderzających podobieństw, jakie miejscami zachodzą w drobnych motywach i w szczegółach wyrażenia: już w starym dramacie Kordelia na swe zachowanie w pierwszej scenie przygotowuje nas przez krótkie uwagi *a parte* po wymownych oświadczeniach obu sióstr; w starym dramacie także zupełnie jak u Shakespeara (IV, 7), w scenie pierwszego spotkania po długim rozłączeniu, klęka nietylko córka przed ojcem, ale ojciec przed córką; w obu dramatach Lir porównywa się z pelikanem, co własną krwią żywi potom-

¹⁾ Z Shakespearem zgadza się przez tragiczne zakończenie jedynie stara ballada, kilkakrotnie w XVIII wieku przedrukowana (także w »Zabytkach starej poezji angielskiej«, które wydał biskup Percy): tam Kordelia ginie w rozstrzygającej bitwie, Lir umiera na jej trupie, obie okrutne siostry Kordelii zaś szlachta królestwa skazuje na śmierć. Ballada ta, choć zawiera niektóre szczegóły obce dramatu Shakespeara, jednak prawdopodobnie po nim powstała; łączy ją z nim także motyw obłąkania Lira, który chyba za pomysł Shakespeara uważać można, i którego w żadnej innej wersji nie ma. Ballady uliczne jako owoce popularności dramatów, to zjawisko w literaturze okresu shakespeareowskiego całkiem pospolite.

²⁾ W tym roku notuje przedstawienie jakiegoś *Kinge leare* agent teatralny Henslowe (i to bez dopisku »nowości«); w miesiąc później dramat o królu Lirze zgłoszony jest do druku w cechu księgarzy; ale żaden druk z roku 1594 się nam nie zachował.

stwo (u Shakespeara mówi o »pelikanach-córkach«, III, 4). Już w starym dramacie także jeden z zięciów, dobroliwy ale niedość stanowczy, nie godzi się na postępowanie żony z ojcem, ale nic nie czyni, by mu zapobiedz. Jest wreszcie w starym dramacie prototyp tego ideału wierności, jakim u Shakespeara jest Kent: tam wierny sługa imieniem *Perillus* bezskutecznie ostrzega króla przed pokrzywdzeniem Kordelii, i potem w nieszczęściu i opuszczeniu nieodstępnie mu towarzyszy; ale tam ani go Lir nie skazuje w uniesieniu na wygnanie, ani też potem *Perillus* nie potrzebuje służyć mu w przebraniu i pod innym nazwiskiem, jak Kent u Shakespeara. Wogóle zresztą nawet co do samego szkieletu akcyj Shakespeare od autora starego dramatu zależnym nie jest; w całych szeregach scen dzieła zupełnie są od siebie odmienne. Niema w starym dramacie obłądki Lira, jak niema go i w innych wersjach; niema także postaci jego błązna; brak więc wszelkiego wzoru dla najwspanialszych scen shakespeareowskich w trzecim i w czwartym akcie (III, 2, 4, 6; IV, 6). *La scène à faire* dla autora starego dramatu, to najwidoczniej postawiona w środek dramatu długa rozmowa w lesie między Lirem i *Perillusem* a płatnym mordercą, nastanym przez jedną z córek, którego wreszcie błyskawice i pioruny odstraszą od wykonania zbrodniczego czynu. Cały ten motyw z obfitą nastrojową ornamentacją zostawił Shakespeare na boku. Całkiem inny kształt, niż u niego, ma także w starym dramacie historia małżeństwa między królem francuskim a Kordelią, zajmująca dosyć obszerne miejsce. Niema w starym dramacie epizodycznej figury księcia Burgundii, ani też król francuski otwarcie się nie pojawia na dworze Lira; u anonimowa król Gallii w przebraniu pielgrzyma wybrał się do Anglii, zwabiony wieściami o piękności córki Lira; towarzyszy mu stale szlachcic nazwany Mumford, humorystyczna figura sztuki. Spotykają się przypadkowo z odtrąconą i opuszczoną Kordelią; król zbliża się do niej zrazu *incognito*; na deklaracje jego afektów Kordelia dziwnie rychło i wymownie odpowiada oświadczeniem wzajemności, a tem chętniej przystaje na związek, gdy się dowiaduje o godności konkurenta. O ich pożyciu — którego Shakespeare nie ma czasu przedstawiać — informuje nas w starym dramacie osobny monolog Kordelii i dalsze jeszcze sceny. Na przeciwko Lira, którego zaprosili do siebie przez ambasadora, król z Kordelią i Mumfordem wybierają się znowu

w przebraniu, w stroju wieśniaczym; spotykają Lira i Perillusą prawie umierających z głodu, już na ziemi francuskiej, dokąd się przeprawili, płacąc za przewóz płaszczami. W późniejszej wyprawie wojennej sam król francuski bierze udział — Shakespeare dość niezręcznie usuwa go ze sceny (IV, 3); — obaj angielscy zięciowie Lira stają do walki, i wraz z żonami uciekają z pola pobici. Lir rzeka się odzyskanego królestwa na korzyść króla francuskiego i z nim i Kordelią powraca do jego kraju ¹⁾.

Te kilka szczegółów już dostatecznie dowodzi, jak wielce samodzielnie Shakespeare przyoblekł stary temat w nową szatę dramatyczną.

Wśród wielkich tragedji Shakespeara jeden »Lir« ma dwie odrębne, równoległe akcje; ze wszystkich dzieł poety zaś to jedno w akcji pobocznej poprostu powtarza problem głównej: wdzięczność i niewdzięczność dzieci wobec ojca. Jak słusznie zauważył Schlegel, ta dwoistość akcji i ten paralelizm wyraźnie służą intencji poetyckiej: że w domu wasala dzieje się to samo co w domu króla, to dowód, że cały świat ogarnęła jakaś zaraza, że powszechny i potężny jest rozkład moralny; koniec świata zdaje się bliżki, jak wyraźnie słyszemy z ust osób dramatu i na początku i po katastrofie ²⁾. W tem wszechobejmującym widowisku świata moralnego, najwyższej cnoty i najohydniejszego występku we wszelkich stosunkach ludzkich, nie tknął jednak poeta macierzyństwa, które w tak tragicznym świetle ukazał w »Hamlecie«: Gloucester, jak Lir, jest wdowcem. Gloucester także, tak samo jak Lir, nieszczęścia swe poniekąd sam na siebie sprowadził przez lekkomyśl-

¹⁾ Ci krytycy, którzy gorliwie szukają jakiejś winy, usprawiedliwiającej tragiczny koniec Lira i Kordelii u Shakespeara, mieli wśród innych i ten dziwny pomysł, że potępiali postępowanie obojga jako niepatryotyczne: Niemiec Horn oskarżał Lira, że, zrzekając się tronu, samowolnie zrzuca z siebie obowiązki, nałożone przez Opatrzność; Amerykanin Snider zarzucał Kordelii, że z pobudek prywatnych targnęła się na świętą instytucję Państwa. Słuszności w tem wszystkim tyle, że jednym z powodów, które nie pozwoliły Shakespeareowi przejąć zakończenia starego dramatu, niewątpliwie był jego patryotyzm angielski: nietylko nie znośli myśli zwycięstwa Francuzów nad Anglikami w ich własnym kraju, ale nawet stopy najezdniczej na swej ziemi ojczyznej ich królowi postawić nie pozwolili.

²⁾ I, 2 (Gloucester): »Te ostatnie zaćmienia słońca i księżycy nie rokuja nam nic dobrego... Ubiegły już najlepsze nasze lata...«

V, 2 (Kent): »... Czy to świata koniec

Zapowiedziany?«

(Edgar):

»Grozy jego obraz?«

ność i niesprawiedliwość; obaj przez cierpienie stają się szlachetniejsi i światlejsi; obaj w nieszczęściu przez zetknięcie z żebrakiem uczą się myśleć o tym ogromie ludzkiej nędzy, w świecie, na którą przedtem nie zważali ¹⁾. Że Gloucester wobec ogromu królewskiej postaci Lira wydać się musi figurą bladą i schematyczną, to już nieunikniona słaba strona tego śmiałego pomysłu, który tak świetnie zresztą wydał poetyckie owoce.

Źródłem historii Glouceстера i jego synów jest jeden z licznych luźnych epizodów w romantyczno-pasterskiej powieści Filipa Sidneya *Arcadia*, wydanej po śmierci autora (1590), i bardzo poczytnej u całego pokolenia shakespeareowskiego. I z tą fabułą, jak z główną, poeta obszedł się bardzo swobodnie. U Sidneya opowiada całą sprawę już po osłepieniu i wypędzeniu z domu nieszczęsny ojciec, który był »królem Paflagonii«. Syn z nieprawego łoża, pozbywszy się z domu brata ²⁾, otoczył ojca własnymi kreaturami, potem pozbawiwszy go tronu i światła oczu, wysłał go bez litości w daleki świat. Z obawy przed uzurpatorem nikt nie ma odwagi litować się nad ślepy młodym, aż przychodzi mu z pomocą wygnany syn, porzucając świetne stanowisko, które właśnie miał pozyskać w obecnej służbie wojskowej. Tak samo jak w źródle głównej akcji prototyp Kenta, tak i tutaj litościwy syn-przewodnik nie ukrywa przed ojcem swej tożsamości: w obu wypadkach *incognito* jest pomysłem poety, który je z widocznym

¹⁾ Zarówno Lir jak Gloucester wypowiadają w tej sytuacji niezwykle u Shakespeara, demokratyczne sentencje.

Lir (III, 4):

»O, nazbyt mało troskałem się o to!
Przepychu świata, wypij to lekarstwo,
Uczuj na chwilę, co czują nędzarze,
Abyś im resztki twego zbytku rzucił,
Pokazał większą moc sprawiedliwość!«

Gloucester (IV, 1):

»Spraw, spraw, o Boże, by tak zawsze było!
Opływający w zbytki niech rozpustnik,
Co z twych praw sztydził, który nie chce widzieć,
Nie czując, nagle moc poczuje twoją;
A dostatkami swymi się podzieli,
I każdy znajdzie, ile mu potrzeba.«

²⁾ Jakich środków użył, by go oczernić, tego ojciec nawet wspominać nie chce. Shakespeare całą intrygę Edmunda przeciw Edgarowi wymyślił, a wymyślił niezbyt zręcznie: manipulacje z listem (rzekomo pisanym do brata, który przecież mieszka w tym samym domu!) wymagają nieprawdopodobnej ławowierności u ojca; ten zdaje się nawet nie znać pisma swego syna (I, 2).

upodobaniem i bez właściwej potrzeby aż pod koniec dramatu przedłuża. U Sidneya tak samo, jak u Shakespeara, starzec każe się wieść na szczyt wysokiej skały; syn nie słucha rozkazu; ale w powieści niema komedii rzekomego upadku w przepaść — epizodu, którego na scenie nawet poezya Shakespeara od pewnej śmieszności uchronić nie może ¹⁾. W powieści tutaj interwenują osoby z poza sfery tego epizodu, i przez ich współdziałanie rzecz dochodzi do szczęśliwego zakończenia; sędziwy król odzyskuje tron i ustępuje go wdzięcznemu synowi, zaś tamten drugi przez dobre udaną skruchę i uległość zapewnia sobie przebaczenie. Całe nader umiejętne powiązanie akcji pobocznej z główną w późniejszych aktach dramatu jest dziełem pomysowości Shakespeara.

Najtrudniejszym do artystycznego usprawiedliwienia szczegółem w dramacie wydał się już Goethemu sam początek — rażąco nieprawdopodobne postanowienie podziału królestwa między córki na podstawie konkursu w publicznych deklaracjach uczuć wobec ojca. Do złagodzenia tego pierwszego wrażenia przyczyniają się różne obiektywne okoliczności i subiektywne uwagi komentatorów. Już Coleridge podniósł, że Shakespeare ten sposób rozpoczęcia akcji przejął z ustalonej tradycyjnie legendy, z którą jego publiczność była doskonale oswojona, tak że właśnie inny początek historii króla Lira byłby raził audytorium; że zresztą chodzi tylko o sam punkt wyjścia dla fabuły, a nie o jakąś wciąż powracającą *conditio sine qua non*; że nigdzie w tragedji sam przypadek nie jest fundamentem budowy dramatycznej. Raleigh uwydatnił fakt, że i w innych wielkich tragedjach podstawowe postulaty autora są — i poniekąd być muszą — niezwykle, zdumiewające, nieprawdopodobne. Bradley spostrzegł, że przecież cały turniej oświadczeń dziecięcych w intencji Lira ma być tylko formalnym popisem ku zadowoleniu jego miłośnicy własnej, a sam podział państwa jest z góry dokonany i na mapie, którą przynoszą, już naznaczony; zmianę powoduje dopiero nie-

¹⁾ Przy czytaniu silny apel do naszej wyobraźni, jaki czyni piękny opis skał nadmorskich w słowach Edgara (IV, 6), przytłumia budzące się poczucie nieszczerości i śmieszności sytuacji.

spodziewane zachowanie Kordelii ¹⁾. Integralną wreszcie częścią shakespeareowskiej charakterystyki króla Lira robią ten szczegół ci, którzy już tutaj widzą objaw nietylko autokratycznego temperamentu i starczego dzieciennienia, ale wprost niezdrowia umysłowego. W starym dramacie sytuacja rozdrobiona jest na szereg scen; wogóle jego autor nadewszystko na niekorzyść różni się od Shakespeara gadatliwością; niema jego przedziwnej poetyckiej zwięzłości i instynktu dla pomijania tych rzeczy, których czytelnik na pewno się domyśli. Prawdopodobieństwo w starszym »Lirze« osłabione jest jeszcze przez fakt, który Shakespeare odrzucił, że mianowicie wybór mężów dla starszych córek ma stanowić część ceremonii; co prawda są one pewne, jak słyszymy w dyalogu, że dostaną tych, których pragną. Zyskuje znowuż prawdopodobieństwo w starym dramacie na szczególne, że Goneril i Regan o zamierzonej próbie uczuciowej retoryki uprzedzone są przez dworaka, zaś Kordelia nic o niej naprzód nie wie i jest nią zaskoczona.

Ale shakespearewska Kordelia, nawet gdyby ją uprzedzono, nie powiedziała by chyba ojcu nic innego. Jej zachowanie w scenie popisu córek dostarcza głównego oparcia tym krytykom, którzy odczuwają nieprzepartą potrzebę »sprawiedliwości poetyckiej« i dlatego radziby u córki Lira wytropić jakieś choćby drobne »przewinienie tragiczne«. Istotnie zachowanie się Kordelii w tej scenie ma w sobie coś drażniącego; odmawia bezwzględnie koncesji tak niewielkiej i tak naturalnej w stosunku dziecka do ojca; zdaje nam się, że odziedzyczyła coś z tego uporu, który jest wybitną cechą Lira. Ale inną postać przybiera to znamię Kordelii w dalszych fazach jej charakterystyki; chodzi bowiem o stałą jej właściwość. Kordelia, ukazująca się tylko w czterech scenach dramatu i wypowiadająca w całości jakie sto wierszy, jest jedną z najbardziej małomównych bohaterek w literaturze dramatycznej; jeden z głównych czynników jej uroku stanowi właśnie szlachetna wstydlivość uczuć, niezdolność strojenia ich we wymowne słowa: słyszymy od Kenta, że urwane tylko wykrzykniki dobywały się z jej ust, gdy czytała straszliwe wiadomości

¹⁾ Sam zaś w sobie motyw podziału państwa należy do rzeczy poplitych i w historii i w podaniach; figuruje w greckich legendach o rodzie Edypa, skąd może do brytyjskich baśni się dostał; publiczność teatralna okresu shakespeareowskiego oswojona z nim była właśnie z tragedji osnutych na fabularnych dziejach Brytanii, jak *Gorboduc* i *Lochrine*.

o krzywdzie ojca (IV, 3); w scenie spotkania z nim (IV, 7) prócz prośby o błogosławieństwo zaledwie wyjąka jest w stanie kilka słów twierdzących i przeczących¹⁾; w niewoli, w obliczu śmierci z rąk okrutnych sióstr, w dwóch zdaniach mówi ojcu, że jego los jedynie »dolega jej ciężko« (V, 3). Ten przymiot szczególnie drogą czyni Kordelię czelniczkom i widzom anglosaskim wszystkich pokoleń; wszak u narodu Shakespeara tłumienie wyrazu uczuć osobistych jest jedną z tradycyjnych zasad moralnych; już Hamlet gardzi sobą za to, że »jak nierządnicą, tylko w słowach szuka ulgi dla serca« (II, 2). Ale Hamlet przez potoki swej refleksyjnej wymowy właśnie ujął i oczarował cały świat potomny; jedynym zaś w swym rodzaju tryumfem sztuki poetyckiej, działającej przeciw wyłącznie przez słowa, jest fakt, że wśród nieśmiertelnych jej kreacji, zawsze i wszędzie wielbionych, stoi na wieki milcząca córka Lira.

O ile w jej roli Shakespeare potrafił zrobić milczenie środkiem najwyższej poezji, o tyle w roli intryganta Edmunda wznieść się nie umiał — i pono nie mógł — ponad technikę, jaką się posługiwał, kreśląc dawniejsze figury tej samej kategorii; tak samo jak Ryszard III i Iago, Edmund w monologu na początku (I, 2) wprost wyjawia publiczności swe złe zamiary i wyjaśnia ich motywy, a potem jeszcze dwukrotnie w tejże scenie i kilka razy w dalszych aktach (II, 1; III, 3, 5; V, 1) uzupełnia te informacje; tak samo jak w tamtych dramatach, jest to niezbędne dlatego, że nikczemnik, dążący do swych celów głównie obłudą, w dyalogu zawsze przybiera jakąś maskę i nie ukazuje się w swej własnej naturze. Jakby wyczerpawszy swą siłę twórczą w tej dziedzinie przez postać Iago, Shakespeare dał nam w Edmundzie figurę daleko mniej skomplikowaną i głębką. Podobnie jak Ryszard III, Edmund jest nikczemnikiem z urodzenia i powołania: tamtemu fizyczne upośledzenie daje powód do mściwej zawiści wobec całego świata, temu — moralne: jest bękartem; przypominają mu to w upokarzający, przykry sposób; usu-

¹⁾ »Nie, nie, nie kłękaj!«

 (»Zda mi się, że to córka ma Kordelia.«.)
 »To ona, to ona!«

 (»Ty masz powody, one ich nie miały.«)
 »Żadnych, o żadnych!«

nięto go na dziewięć lat z domu (I, 1) jak niemiętego naręta, i w ten sposób z góry wstrzymano rozrost lepszych uczuć. W sposobach swego postępowania znowu Edmund wyraźnie się objawia jako najbliższy sąsiad Iago; całe jego machinacje w pierwszych aktach, to jakby słabe reminiscencye kunsztowniejszych intryg w tamtej tragedji; udana bójka (II, 1) wprost przypomina dwie inscenizowane przez Iago burdy uliczne (»Otello«, II, 3; V, 1); zupełnie jak Iago, gdy sączy jad podejrzania w duszę Otella (III, 3), Edmund do oczernienia brata wobec ojca przystępuje z uporem i niby wbrew woli (I, 2).

Od wszelkich literackich źródeł zarówno jak i od wzorów we własnej twórczości zupełnie oddala się Shakespeare w tym dramacie, gdy tylko wstępuje na scenę niezrównana kreacja jego wyobraźni — błażen królewski. Odległymi krewniakami w mądrości i dowcipie są mu wprawdzie Probiereczyk w sielance »Jak się wam podoba« i Feste w komedji »Wieczór Trzech Króli«; z ust tego ostatniego przejmując nawet zwrotek pozornie bezsensownej, a smutnej i szarej jak samo życie piosenki »o deszczu i wietrze« (III, 2). Ale to tylko znakomiści poddani tego króla błażnów. By dać kolor życia jego dziwactwom prozą i wierszem — zawsze przez jakąś nić połączonym z wielkimi sprawami tragedji, — trzeba sobie go wyobrażać — tak niewątpliwie chciał Shakespeare — jako istotę, jeżeli nie lekko anormalną umysłowo, to w każdym razie przyzwyczajoną do emancypacji od pospolitej logiki, i przez to właśnie uprawnioną i uzdolnioną do wypowiedziania śmiałych, krytycznych zdań w oryginalnej formie. Nigdzie Shakespeare nie przeniknął tak zupełnie swoim geniuszem i treścią swych najgłębszych myśli tego konwencyonalnego żywiołu komicznego, który w tragedji był koncesją — często, jak w »Otellu«, zgoła nie chętną — na rzecz wymagań publiczności; że i w tej roli poeta w momentach znudzenia mógł popaść w zwykłe tradycyjne błażnowanie, tego uznać nie chcą ci, co »dodatkami aktorów« mienią sprośne lub niedorzeczne wierszyki błażna z końcem niektórych scen, gdzie on zrywa iluzję, zwracając się wprost do publiczności (I, 5; III, 2¹⁾). Brak równowagi umysłowej

¹⁾ W drugiej z tych rymowanych apostrof błażen korzysta ze starego satyrycznego wierszyka, który jako »Prorocstwo« łączono z nazwiskiem średniowiecznego poety Chaucera; cytuje te rymy w podobnej formie w roku 1589 autor jednego z licznych wtedy podręczników poetyki.

u błazna potęguje wrażenie scen, gdzie znajduje się w towarzystwie obłąkanego króla i udającego szaleństwo Edgara (III, 4, 6); do efektu dramatycznego pożytecznie się przyczynia także wyobrażenie, które przeważnie starają się wytworzyć nowsi aktorzy, że błazen to stworzenie delikatne i bezsilne, zapewne i bardzo młode: Lir nazywa go »chłopcem« i lituje się nad nim, gdy mu zimno (III, 2); Korde lia zapewne otaczała go życzliwą opieką, bo od jej wyjazdu do Francji »bardzo zesmutniał« (I, 4). Pod koniec tragedji Shakespeare dla błazna już miejsca nie znajduje; zapomniał nawet powiedzieć nam coś o jego zgonie¹⁾; zgon tylko zapowiadać mogą ostatnie słowa, jakie od niego słyszymy: »A ja pójdę do łóżka o południu« (III, 6).

Pierwsza scena, w której pojawia się błazen (I, 4), zarazem jest pierwszą głęboko tragiczną: i z tej strony także zupełnie samodzielnie ją stworzył poeta. Prócz samego faktu, że dwory obu z kolei córek Lir w rozżaleniu opuścić musi, niema prawie żadnego podobieństwa w tych partyach między starym dramatem a shakespeareowskim: niema w starym dramacie ani skucia w dyby wiernego sługi królewskiego, ani straszliwego przekleństwa na niewdzięczną córkę, z tak umiejętną odmianą wyrażenia potem powtórzonego przy spotkaniu z drugą (II, 4). U anonia obie sceny są niedługie; Lir, zgnębiony przykrem postępowaniem Gonerilli, przypuszcza, że ona »młode życie w łonie nosi«, i to ją czyni taką rozdrażnioną; przenosi się do drugiej córki, która, przyjąwszy go serdecznie, nasyła nań mordercę; ocalony od jego zamachu, król z wier nym sługą wybiera się do Francji, szukać przytułku u skrzywdzonej Kordelii. Nic tu niema z tego stopniowego gromadzenia chmur na fizycznym i duchowym horyzoncie akcji, które u Shakespeara poprzedza wybuch burzy i na niebie i w duszy Lira; całe głęboko poetyckie i muzyk alnie potężne zakończenie drugiego aktu jest nowe i niezależne.

Z niczego prócz bezpośredniej obserwacji w połączeniu z cudowną intuicją wywieść się nie da obszerny,

¹⁾ Słowa Lira w scenie końcowej (V, 3): *And my poor fool is hang'd!* (dosłownie: »I biedny mój błazen był powieszony!« — tak tłumaczy Ulrich; pomija Paszkowski; Koźmian: »I powiesił mi błazna biedaczka!«) według zdania większości komentatorów odnoszą się, jak wszystkie myśli i słowa Lira w tej chwili, do Kordelii, którą pieszczotliwie nazywa »swym błazniakiem«.

zajmujący sam środek dramatu obraz wzrastającego obłąd u Lira (III, 2, 4, 6; IV, 6). Pochwał nowych te sceny nie potrzebują; mądrość społeczną i filozoficzną autora, której błyskawice biją z refleksji obłąkanego króla, — świat cały podziwia; wszyscy widzimy i wielbimy stopniowe pogłę bienie treści i rozszerzenie zakresu w tych dumanjach obłą kanego: Lir, zrazu wyłącznie owładnięty tragizmem niewdzięczności dzieci i w niewzruszonym panowaniu tej jed nej myśli odczuwający tyranję obłąd u (III, 2, 4, 6¹⁾) potem z wyżyn odosobnienia w obłąkaniu coraz obszerniej sze przestworza życia ludzkiego wzrokiem obejmuje, coraz wyraźniej staje się rzecznikiem posępnych rozmyślań sa mego poety o zbrodni i niewinności, karze i krzywdzie (III, 2), o egoizmie możnych i nędzy maluczkich (III, 4), o równości króla z żebrakiem w biedzie i opuszczeniu (III, 4), wobec cierpienia i śmierci (IV, 6), o obłudnych roszczeniach władzy i sprawiedliwości ludzkiej (IV, 6). W tych ogólnie filozoficznych i poetycznych rojeniach obłą kanego, jako szczegół zastanawiający i niewiadomo dla czego do psychiki chorego starca wprowadzony, uderza nas żywołowy wybuch wstępu do faktów życia płciowego (IV, 6). »Daj mi łut piżma, dobry aptekarzu; okadź mą wyobraźnię!« — to jakby krzyk obrzydzenia samego poety. I przypominamy sobie, że to samo obrzydzenie w te same prawie słowa odzywa się w dramacie tego samego okresu, »Tymon Ateńczyk« — w słowach Tymona do nierządnic, towarzyszących Alcybiadesowi (IV, 3), — że ta sama głę boka odraza do popędu płciowego i wszystkich jego spraw, do kobiety jako jego przedmiotu, bije z pełnego szyder stwa dramatu »Troilus i Kressyda«, wiekopomnym głosem przemawia z kilku najpotężniejszych sonetów poety — jak sonet 129, — że wyraźnie i dobitnie się odzywa w słowach Hamleta, gdy nieszczęsnej Ofelii radzi »iść do kla sztoru« (III, 1). Tyle świadectw połączonych dowodzić chyba musi, że te akcenty w poezji Shakespeara miały źródło w jakiejś fazie jego przejść osobistych.

Prócz hołdu całej potomnej ludzkości dla filozofują cego szaleńca, zdobył sobie Shakespeare i dodatkowe jesz cze laury, o których może nie myślał: obiektywnemu przed-

¹⁾

»Gdzie dusza wolna, drażliwe tam ciało.
Burza w mej duszy z mych wydziera zmysłów
Wszystkie uczucia, prócz tych, co tu palą.
Niewdzięczne córki!...«

stawieniu samych patologicznych symptomów obłądzenia w »Lirze« najwyższe pochwały w nowszych czasach oddało wielu uczonych medyków-specjalistów. Jako moment szczególną grozą przejmujący zwykłego widza i czytelnika, warto podnieść te straszliwe przeczucia nadchodzącego obłąkania, które wdzierają się co chwila w świadomość Lira, gdy go torturują złe córki: raz po razu rozpaczliwym okrzykiem jakby się bronił przeciw zapadającej ciemności szaleństwa¹⁾. Nie uchodzi także uwagi bacznego czytelnika, jak starannie i umiejętnie Shakespeare przygotowuje fizyczny podkład ostatecznego paroksyzmu: do moralnych wstrząśnięć przyląca się zmęczenie długą podróżą, a wreszcie noc na pustkowiu w zimno, deszcz i burzę; jeszcze gdy Lir usypia w miejscu chwilowego schronienia, jest jakaś nadzieja (III, 6); ale i ten spoczynek wierni słudzy przerwać muszą, by go ratować przed śmiercią²⁾. Także fakt, że Lir znajduje pewne uspokojenie w towarzystwie rzekomo obłąkanego żebraka i sam się domaga tego towarzystwa (III, 4, 6), — podobno odpowiada spostrzeżeniu, że na umysłowo chorych kojąco wpływa obecność innych pacjentów.

Uznanie psychiatrów zyskał sobie poeta nie tylko obraz obłądzenia Lira, ale i przez jego wyleczenie. Daleko istotnie wyprzedził swój wiek, w którym najbardziej barbarzyńskich i gwałtownych środków jeszcze przeciw obłądzeniu używano, — przedstawiając sen i spokój jako zalecone przez lekarza środki uzdrowienia (IV, 7). Że ten sam lekarz potem każe budzić króla »głośniejszą muzyką«, gdyż »śpi już dość długo«, tego poeta potrzebował w celu dramatycznym, by mianowicie stworzyć sobie możliwość do jednej z najbardziej wzruszających scen w poezji powszechnej — dyalogu między ojcem a córką; krytyce medycznej zatem ten motyw już podlegać nie może, tak samo jak jej nie może podlegać fakt, że Desdemona po uduszeniu jeszcze przemawia.

- ¹⁾ I, 5: »Strzeż mnie, o Boże, strzeż mnie od szaleństwa!
Ocal mój rozum! Nie chcę być szalonym«.
II, 4: »Proszę cię, córko, nie rób mnie szalonym«.
(Tamże): »Błaznie, oszaleję!«
III, 2: »Rozum w mej głowie zaczyna się mącić«.
III, 4: »O, do szaleństwa droga ta prowadzi!
Nie chcę iść dalej — nie mówmy już o tem!«

²⁾ Gloucester »na życie jego odkrył spisek«; może to ślad motywu niedosłęgo zamachu najętego mordercy na Lira w starym dramacie.

W scenach obłądzenia Lira osobnego wyjaśnienia dla dziśszego czytelnika wymaga dziwaczne *incognito*, które przybrał Edgar (II, 2). Typu, pod którego maską bezpiecznie się ukrywa syn Glouceстера, Shakespeare z książek poznawać nie potrzebował, gdyż ludzi tego rodzaju codzień mógł spotykać i oglądać na gościńcach ówczesnej Anglii. Byli to żebracy, w stanie nawpół obłąkanym, wypuszczeni ze szpitala i niezdolni do pracy, albo też udający takich pacjentów i do pracy niechętni, czasem nawet wprost niebezpieczni. Żebrak taki nazywał się *Bedlam Beggar* (według *Bethlehem Hospital*) albo *Abraham Man*, lub poprostu *Poor Tom*. Jego stereotypowy okrzyk: »Biednemu Tomkowi zimno!« (*Poor Tom's a-cold!*), i inne jeszcze rysy obrazu, który przed nami roztacza sam Shakespeare w środkowych aktach »Lira«, znajdujemy także już w opisach, zachowanych nam w bogatej literaturze tego rodzaju co traktaty Awdeleya i Harmana o »braterstwie wagałundów« (1561, 1567), lub — z samych londyńskich czasów Shakespeara — szkice Dekkera z ulicznego życia stolicy (»Stróż nocny londyński«, 1608).

Zarówno obszerne ekstrawagancje rzekomego żebraka, jak i wznowiony na kilka zawodów obraz szafu Lira jednakowo mają przeznaczenie w technice dramatu: tak jak w »Hamlecie« czas zajęty ekspedycją bohatera do Anglii wypełnić musiało rozciągnięte również na kilka scen szaleństwo Ofelii, tak w »Lirze« lukę w akcji między pokrzywdzeniem ojca przez starsze córki a przybyciem najmłodszej z wojskami z Francji, wypełnił poeta elementami lirycznej raczej i refleksyjnej niż ściśle dramatycznej natury: pewnemu kłopotowi dramaturga zawdzięczamy tu i tam najwspanialsze poetyckie ozdoby dzieła¹⁾. W »Lirze« dla pomnożenia tych scen popisowych umiejętnie

¹⁾ Podobieństwo jest nie tylko w użyciu obłądzenia w tym samym celu dramatycznym w obu dziełach, ale nawet w akcesoryach: Ofelia nosi i rozdaje kwiaty, symbolicznie zastosowane do charakterów otoczenia (IV, 5), — Lir fantastycznie przystroił się w wieniec »ze wszystkich chwastów, Rosnących w zboża polu życiodajnym« (IV, 4).

I tu symbolizm: cały świat społeczny wokół zarósł chwastami moralnymi.

Dodać tu można, że nader częste w dramatach okresu shakespeareńskiego przedstawianie obłądzenia na scenie ma swe źródło, jak wiele innych szczegółów renesansowej dramaturgii, u Seneki, mianowicie w jego tragedji *Hercules Furens*.

użyty jest motyw, że Lir, »drażniony wstydem« — »żadną miarą nie chce swej córki widzieć« (IV, 3).

W głównej akcji sam fakt szału Lira jest pomysłem poety; najbardziej przejmujący moment akcji pobocznej — oślepienie księcia Gloucester (III, 7) — wprawdzie nie w założeniu, ale w szczegółach przedstawienia Shakespeare samodzielnie ukształtował. Obok uduszenia Desdemony to może najokropniejsza scena w dziełach jego dojrzałego wieku; brutalną grozą przypomina okrucieństwa, popełniane w najwcześniejszych jego tragediach młodocianych, »Tytusie Androniku« i »Henryku VI«; nic dziwnego, że już Capellowi w XVIII wieku nasunęło się przypuszczenie, iż utwór z tych samych lat, co pierwsze dramaty Shakespeara, i podobny charakterem, dostarczył mu wzoru do tej nieznośnej sceny w »Królu Lirze«: motyw wyklucia oczu na scenie (połączonego z obcięciem rąk) znajdujemy w drukowanej w roku 1594 i przypisywanej Robertowi Greenowi tragedii z tureckiej historii dynastycznej *Selimus*. Podobnie jak co do katastrofy w »Otellu«, tylko z mniejszą pewnością, wyobrażać sobie można, że horror tej sceny był złagodzony przez to, iż rozgrywała się na tylnym planie, w owej niszy, która tyłu różnym celom na scenie shakespeareowskiej służyła¹⁾.

Kto wie coś z góry o fabule »Lira«, a zna zwykłą technikę poety, spodziewałby się wypełnienia całego końcowego aktu epizodami rozstrzygającej bitwy, tak jak w »Cezarze«, »Makbecie« i kilku dramatach królewskich. Tymczasem Shakespeare, chcąc zostawić sobie jak największe miejsca na różne obrachunki w zbiorowej scenie ostatniej, pomija bitwę prawie zupełnie: dowiadujemy się w kilku słowach o jej początku i zaraz potem o wyniku (V, 2); z samej walki nic nie widzimy na scenie. Ten pośpiech tłómaczyć chyba należy jako objaw zniecierpliwienia poety wobec natłoku figur i wypadków; pokusie naprawienia tego błędu poety nie mógł się oprzeć Spedding, twierdząc, że w intencji poety czwarty akt musiał się kończyć na rozmowie Gloucestera z Edgarem przed bitwą, a piąty zaczynać od ich dyalogu po bitwie, tak że wyobraźnia widza całą pauzę między aktami wypełniać mogła zgielkiem walnej rozprawy i oczekiwaniem decyzji.

¹⁾ Z drugiej strony potęgują okropność tej sceny ci, co biorą literalnie słowa księcia Cornwall: »Na twoich oczach postawię mą nogę!«

Brak podobieństwa między tragedią shakespeareowską a starym dramatem pod koniec oczywiście staje się krańcowy. Anonim, ku wielkiej zapewne ucieście publiczności, wpłata epizodyczne figury błaznujących strażników wybrzeża, których niedbalstwo i opilstwo ułatwia Francuzom wylądowanie; kraj, srodze opodatkowany przez zięciów Lira, łatwo i chętnie ulega najeźdźcom; w homeryckim turnieju wytwisk przed bitwą Goneril Kordelii jako szczególnie dotkliwą obelgę rzuca nazwanie: »Ty Purytanko!«

Obok takich różnic pewne drobne szczegóły jednak i tutaj dowodzą, że Shakespeare miał stary dramat przed sobą: tak samo jak u niego Goneril usiłuje wyrwać małżonkowi i podrzeć list, który pisała do Edmunda, tak u anonima w scenie końcowej Regan, gdy jej Lir pokazuje list świadczący, że nastawała na jego życie, wyrывa mu papier z rąk i drze w kawałki.

Sama katastrofa w »Lirze« bardziej chyba jest żywiołowa, niż w którejkolwiek innej tragedii. Licząc między ofiary tragedii także Kenta, który zapowiada, że »w długą podróż« za swym panem się wybiera — niektórzy z komentatorów każą mu umierać na trupie króla — dochodzimy do cyfry jedenastu¹⁾: w »Hamlecie«, gdzie śmierć zbiera obfite żniwo, trupów jest osiem. Podobniejszą w zakończeniu do starego dramatu, i znośniejszą dla słabych nerwów, była wersja »Lira«, która przez sto kilkadziesiąt lat panowała na scenie angielskiej wyłącznie, w której grał Lira jeszcze Garrick, i którą ostatecznie wyrugował dopiero Kean w roku 1823. Za czasów restauracji Stuartów mianowicie trzeciorzędny poeta Nahum Tate wydobyl dzieło shakespeareowskie z zupełnego prawie zapomnienia, przerobił według ówczesnego smaku i wprowadził na scenę (1681). W jego opracowaniu Lir i Kordelia, choć zwyciężeni w rozstrzygającej bitwie i wzięci do niewoli, nie giną, i odzyskują królestwo po śmierci obu starszych córek, które wzajemnie sobie zadały truciznę²⁾. Za Lirem ujmuje się nie król francuski, którego wcale niema w dramacie, lecz

¹⁾ Lir, Kordelia, Goneril, Regan, Gloucester, Edmund, Cornwall i jego sługa (III, 7), Oswald (IV, 6), błazen (? III, 6), Kent.

²⁾ W »szczęśliwe zakończenie« zaopatrzyć »Lira« musiał także jeszcze w XIX wieku dramaturg wiedeński Schreyvogel w przedkonstytucyjnej Austrii, bo cesarz Franciszek I pod wrażeniem wypadków rewolucji francuskiej bał się przedstawienia na scenie upadku i śmierci króla. W Anglii za panowania obłąkanego króla Jerzego III († 1820) »Lira« wogóle grać nie było wolno.

sam lud angielski przez zbrojne powstanie. Rycerzem i wkońcu małżonkiem Kordelii w tej wersji staje się jej *pendant* w akcyi pobocznej — Edgar, i historia ich miłości, cklewie sentymentalna, ciągnie się przez cały dramat. Miarę wartości artystycznej tej przeróbki daje także fakt, że Tate błazna zupełnie z dramatu wykreślił.

* * *

»Lir« — to dzieło o zbyt ogromnym materiale, aby mogło być dramaturgicznie składne. By wprowadzić kilkanaście pierwszoplanowych osób w ten ruch, który im nadać zamierza, poeta musi wielokrotnie gwałcić elementarne prawdopodobieństwo; by dać folgę całej pełni natchnienia w kilku największych scenach, musi inne partye akcyi załatwiać pośpiesznie i co do wielu szczegółów — jak los owych stu rycerzy orszaku Lira, którzy gdzieś między drugim a trzecim aktem giną bez śladu — pozostawiać nas bez wiadomości. O położeniu siedzib książęcych obu brytyjskich zięciów Lira, ani o jego własnej rezydencji nic dokładnego nie słyżymy¹⁾; w pierwszych aktach — i w czwartym znowu — od jednych osób do drugich chodzą różne listy, których treści czasem wcale nie poznajemy; w ślad za posłańcami zdążają same figury dramatu²⁾, podróżując bez widocznych powodów, tylko dlatego, by się gromadzić w jednym miejscu do wielkich scen zbiorowych: w ten sposób dochodzi do skutku ostateczna rozprawa między ojcem a obiema niewdzięcznymi córkami (II, 4). Nadewszystko zaś prawidłem kompozycyi dramatycznej uragać się zdaje katastrofa, która spada na nas jak grom z jasnego nieba, nie wywiązuje się organicznie z poprzednich wypadków, jak katastrofy w innych wielkich tragediach poety. Ale właśnie ta katastrofa, o ile jest dziełem zgoła nie-dramatycznego przypadku, o tyle znamienne przyczynia się do wyższego wrażenia poetyckiego i filozoficznego tragedyi.

W historyi poezyi angielskiej dziwna jest ciągłość upodobania do alegoryi. W średnich wiekach pod wpływem teologów, medytujących nad różnemi znaczeniami

¹⁾ Nazwy *Albany* (stara nazwa Szkocyi) i *Cornwall* są z kroniki Holinsheda; w starym dramacie jest *Cornwall* i *Cambria*. Z miejscowości w dramacie wspomniane są tylko Gloucester (I, 5, 1) i Dover (III, 6, etc.)

²⁾ I, 5: »Jesli się nie pośpieszysz, stanę tam przed tobą«.

i zastosowaniami słów Pisma Świętego, cały świat cywilizowany uważał alegoryczną wieloznaczność za nieodzowny przymiot wysokiej poezyi; Dante, jak inni, daje temu przekonaniu zarówno teoretyczny jak praktyczno-artystyczny wyraz. W Anglii, po wygaśnięciu natchnień średniowiecznych u innych narodów, nie zanika to poważanie dla poezyi alegorycznej: w pełni doby humanizmu rozwija się do olbrzymich rozmiarów produkcya alegorycznych dramatów moralnych, zazwyczaj przedstawiających stosunek człowieka do cnoty i występku w całej wędrówce ziemskiej; — w generacyi shakespeareowskiej Spenser w swej wielkiej epopei wystawia świetny alegoryczny pomnik ideałom współczesnego społeczeństwa w drodze od katolicyzmu i feudalizmu do protestantyzmu i centralizmu; — a jeszcze w drugiej połowie XVII wieku natchniony Purytanin Bunyan w najpoczytniejszej otdąd książce całego piśmiennictwa angielskiego alegorycznie przedstawił »Drogę pielgrzyma chrześcijańskiego« z tego świata na tamten. Wśród dzieł Shakespeara »Burza« i »Lir« najwięcej w sobie mają tego alegorycznego ducha. »Lir« — to dramatyczne uzmysłowienie odwiecznej walki pierwiastków dobrych ze złymi w życiu i w naturze ludzkiej. Cały świat żywy i martwy zdaje się podzielony na te dwa obozy. Używając w tym dramacie więcej niż gdziekolwiek indziej nazw drapieżnych i nikczemnych zwierząt na oznaczenie przymiotów i postępów ludzkich, Shakespeare jakby dumał nad teoriami o wędrówce dusz. Ludzkość w tych kataklizmach moralnych zdaje się powracać do stanu zwierzęcego; Natura znowuż, jakby brała stronę złych potęg w świecie ludzkim, gwałtowną burzą towarzyszy przewrotom w życiu Lira; wydaje się targana ludzkiemi namiętnościami. Same figury dramatu stoją naprzeciwno siebie w dwóch wyraźnie odgraniczonych grupach — dobrzy naprzeciw złych; i przez ten moralny układ »Lir« bardziej niż którykolwiek inny dramat Shakespeara przypomina ów bogaty i za shakespeareowskich czasów jeszcze żywotny typ dramatów alegoryczno-moralnych, gdzie uosobione siły dobrego i złego walczą o duszę bohatera. Kordelia i Edgar — to obrońcy dobrej sprawy; Goneril, Regan i Edmund — to protagoniści złego. Nawet na dodatkowe figury rozciągnięty jest ten ścisły i symetryczny podział: słaby książę Albanii należy do dobrych, stanowczy i popędliwy Cornwall do złych; naprzeciw ideału wiernego sługi w postaci Kenta postawiony jest wierny

również do śmierci Oswald, niestrudzony wykonawca »grzesznych rozkazów« swej »występnej pani« (IV, 6). Jak się poeta wywiązał z trudnego zadania subtelnego zróżniczkowania poszczególnych charakterów w obu tych wielkich klasach, najlepiej wykazuje porównanie między obu niewdzięcznymi córkami. Goneril i Regan — to chyba pierwsze z gruntu niedobre niewiasty w dziełach Shakespear, i na pierwszy rzut oka, to dwa jednakowe egzemplarze tego samego rodzaju, jak Rosencrantz i Guildenstern w »Hamlecie«. Ale przyjrząwszy się bliżej, dostrzegamy znaczne różnice. Goneril straszliwsza przez swą stanowczość i odwagę: ona pierwsza czynnie okazuje ojcu niewdzięczność i buntuje przeciw niemu siostrę, ona pierwsza poddaje myśl wyłupienia oczu Gloucesterowi (IV, 7), ona jest cudzołożnicą i nastaje na życie małżonka, ona truje siostrę, ona podpisuje rozkaz śmierci na Lira i Kordelię, ona wreszcie bez wahania odbiera sobie życie. Tego wszystkiego niema w charakterystyce Regany. Jakby dla podkreślenia tego kontrastu, zupełnie jak w historii królewskiej rodziny Tarkwiniuszów rzymskich u Liwiusza (księga I, rozdz. 46), gwałtowniejsza siostra połączona jest z łagodniejszym mężem, i odwrotnie.

W środku między zmagającymi się siłami złego i dobrego, jako przedmioty walki, stoją Lir i bledszy jego sobowtór Gloucester. W nich samych znowu ten zasadniczy konflikt i ta dwoistość żywiołów moralnych: w obu dokonują się w ciągu dramatu przemiana; cierpienie ich doskonalą i oczyszcza; z początkiem dramatu przeważają w ich naturze słabości i wady, w chwili śmierci — dobroć i miłość. Gina lepsi, niżli żyli; ten zysk moralny usprawiedliwia wiele wycierpianej krzywdy.

Ale krzywdą jest, i Lir słusznie może o sobie wyrzec słowa, które w dostojeństwie cierpienia czynią go towarzyszem innego cierpiącego starca w koronie, jak on otoczonego aureolą wielkiej poezji. Sofoklesowski Edyp w Kolonie powiedzieć o sobie miał prawo: »Bom zniósł ja raczej, niżli spełnił czyny«¹⁾; Lir w te same prawie wyrazy się odzywa: »Jam pokrzywdzony więcej niż krzywdziciel«²⁾.

¹⁾ Wiersz 266 (tłóm. K. Morawskiego):

. τὰ γ' ἔργα μου

Πεπονθότε' ἐστὶ μάλλον ἢ δεδραγότε.

²⁾ III, 2: *I am a man more sinned against than sinning.*

Rzadki to zaiste wypadek, by w poetyckiej krystalizacji przewodnich myśli tak blisko się z sobą spotykały na wyżynach nieśmiertelności dwa arcydzieła tak od siebie oddalone dziejowem podłożem, jak tragedia grecka i tragedia Shakespeara.

Wycierpiawszy więcej, niż zasłużył, ginie wreszcie Lir, ginie i Gloucester. Można uchylić czoło i powiedzieć, jak orzekł Raleigh, że »głębszy pokój, niż spokojna starość przy ognisku domowym, potrzebny był, by uciszyć taką nawałnicę uczuć«. Ale ginie także Kordelia; co wobec jej okrutnej śmierci waży fakt, że i ze złych ludzi w dramacie nikt z życiem nie uchodzi? Niema więc widomego triumfu dobra nad złem w tym świecie: czy niema nad światem rządzącej potęgi, coby tą wiekuiłą walką kierowała ku zwycięstwu dobrego? Shakespeare czuł, że to metafizyczne pytanie z jego dramatu z nieuniknioną siłą wyłonić się musi, i starał się usilnie — co w poreformacyjnym okresie teologicznego roznamiętnienia i ze względów bezpieczeństwa było wskazane — wykluczyć z góry pierwiastek aktualności religijnej. Brytania »Króla Lira« jest pogańska; król klnie się na bóstwa klasyczne — Hekate, Apollina (I, 1), Jowisza (II, 4) — i poeta ściśle przestrzega politeizmu w samem wysłowieniu: stale w dramacie mówi się tylko o »niebiosach« i o »bogach«.

A mówi się o nich dużo — więcej, niż w innych tragediach Shakespeara: wobec wypadków dramatu prawie u wszystkich jego osób się budzą refleksje religijnej natury, i stają wprost naprzeciwko siebie najsprzeczniejsze mniemania. Za nutę zasadniczą utworu poczytywał Swinburne rozpaczliwy okrzyk Gloucester (IV, 1):

»Jesteśmy bogom, czem są muchy dzieciom,
I dla zabawy swej nas zabijają«.

Ale temu samemu Gloucesterowi syn, wybawiwszy go od śmierci samobójczej, każe wierzyć w boską opiekę (IV, 6):

»Nie wątp, że ręka oplekuńcza bogów,
Których jest chwałą zwyciężać, gdy mdleje
Moc ludzka, w tej cię zbawiła potrzebie«.

Ten sam Edgar, najwyraźniej religijna osobistość w dramacie, raz jeszcze w scenie końcowej jako naukę z nieśczęsnych dziejów ojca wyciąga zdanie (V, 3):

»Nieba sprawiedliwe;
Z słodkich występów naszych czynią one
Narzędzia naszej chłosty«.

Tak samo książę Albanii na wieści o śmierci złych
i grzesznych raz wraz mówi o sprawiedliwości bogów:

»Więc jest tam w górze jeszcze sprawiedliwość,
Śpiesznie karcąca ziemskie nasze zbrodnie!« (IV, 2).

»Ten straszny sąd Boży
Przenika serce strachem, nie litością!« (V, 3).

Gloucester spodziewał się ujrzeć »skrzydłą zemstę...
na takie spadającą dzieci« (III, 7): nie ujrzał, bo wyłupiono
mu oczy; ale spełniło się, co na swój sposób zapowia-
dają sędziy, obecni przy okropnym czynie:

»Na wszystko się ważę,
Jeśli on dobrze skończy«.
»Jeśli ona
Żyć długo będzie, jeśli się doczeka
W podeszłych latach zwykłej starcom śmierci,
Wszystkie kobiety zmieniają się w potwory«.

Bogowie wyzwanie przyjęli: zagłada dosięgła sprawców. Ale
wyzwanie bogom rzucił także Lir, gdy go wygnano na pa-
stwą burzy, — i na to wyzwanie odpowiedzi nie było:

»Potężne bogi, co nad głową naszą
Tej grzmotnej burzy rozpalacie ognie,
Wynajdźcie teraz waszych nieprzyjaciół!
.....
Jam pokrzywdzony więcej niż krzywdziciel« (III, 2).

Burza nie słucha: nie szuka i nie smaga zbrodniarzy; znęca
się nad niewinnymi.

Pozostajemy zatem w dręczącej niepewności; poeta
nie daje na odwieczne pytanie żadnej jednolitej odpowie-
dzi, tak samo jak jej nie daje w »Makbecie« na zagadnie-
nie: »mus czy wolna wola?« Możliweby mniemać, że głą-
boko religijny Edgar, postać szlachetna i poecie droga,
jest właściwym rzecznikiem jego wierzeń: ale jakby roz-
myślnie postawiony jest naprzeciw niego Kent, również
zacny i równie twórcy miły, a religii całkiem pozbawiony:
nietylko drwi z zaklęć króla na bogi (I, 1; II, 4), ale zdaje
się fatalistycznie wierzyć w gwiazdy, tak jak w nie zabo-

bonnie wierzy słaby Gloucester ¹⁾. Z tych zabobonów słu-
sznie drwi Edmund: »Gdy nasza fortuna omdlewa, najczę-
ściej przez własne nasze błędy, składamy winę naszej nie-
doli na słońce, księżyc i gwiazdy; niby że... wszystkie na-
sze występki są tylko bożem zarządzeniem« (I, 2). Sam
Edmund jest zasadniczym ateistą:

»Ty jesteś moją boginią, naturo...«

Obok »praw natury« — których głównem bezwzględny
egoizm — zna on tylko przyjęte »zwyczaje«, a tych nie
chce »być ofiarą«. Wobec tajemniczych odmian i zarządzeń
w losach ludzkich i ten nikczemnik i szlachetny Kent obaj
są wyznawcami skeptycznego okazyonalizmu:

»Teraz dobranoc, Fortuno! uśmiechnij
Znowu się do mnie, a koło twe obróć!«
(II, 2, Kent).

»Koło skończyło swój krąg, i tu jestem!«
(V, 3, Edmund).

Przelotnie wreszcie i w tym dramacie, podobnie jak
w sławniejszym ustępie »Burzy« (IV, 1), przygnębienie nad
nędzą tego żywota odzywa się z akcentem niewiary w rze-
czywistość wszelkiego bytu:

»O zrujnowany utworze natury!
I świat ten wielki tak w nic się obróci« (IV, 6).

Wszystko tedy — od pobożności do bezbożności, od
przesądów do skepsis, od fatalizmu do nihilizmu metafiz-
ycznego — znaleźć można w tej mozaice mniemań reli-
gijnych, która z ustępów »Króla Lira« da się ułożyć ²⁾.

»Wiele i często«, mówi w uniesieniu Swinburne, »sły-
szeliśmy od teologów o świetle objawienia; i coś takiego
istotnie znajdujemy u Ajschylosa; ale ciemność objawienia
jest tutaj«. Jest rzeczywistość i w »Lirze« — jak w »Hamle-
cie«, »Otellu«, »Makbecie« — ta wieloznaczność, co tak

¹⁾ IV, 3 (Kent):

»Gwiazdy kształtują ludzkich serc naturę;
Jakby z jednego ojca, jednej matki
Mogły tak różne puścić latorośle?«

I, 2 (Gloucester): »Te ostatnie zaćmienia słońca i księżycy nie ro-
kują nam nic dobrego. Choć świadomi rzeczy przyrodzonych mogą je
tak lub owak tłumaczyć, to przecie ich następstwa mają przyrodzony
porządek«.

²⁾ Cytaty powyższe w przeważnej części zestawił skrzętnie A. C. Brad-
ley (*Shakespearean Tragedy*, 271—3).

zasadniczo odróżnia i tak odrębnym urokiem otacza wszelką poezję romantyczną w porównaniu z przejrzystymi jak kryształ arcydziełami klasycyzmu.

»Nie trzeba tu Eumenid«, woła jeszcze Swinburne, »nie trzeba cór Nocy wiekuiстей; bo tu zaprawdę jest Noc sama«.

A jednak — choć bez stanowczej odpowiedzi na postawiające natarczywie zagadnienia metafizyczne pozostawia nas cały przebieg dramatu — jakąś pozytywną naukę i nadzieję może wyciągnąć można z samej katastrofy. Kłam ona zadaje oczekiwaniom — to prawda; prawda jeszcze i to, że Lir — jak wszyscy tragiczni bohaterowie Shakespear (z dziwnym wyjątkiem poganki Kleopatry) — ani na chwilę nie myśli o połączeniu z córką w jakimś przyszłym życiu; pięciokrotne rozpaczliwe »Nigdy!« to ostatnie prawie jego słowo ¹⁾. Ale czy sama nieorganiczność tej katastrofy niczego głębszego nam nie mówi? Czy oczyszczenie moralnej natury Lira i jego pojednanie z córką nie jest tryumfem potęg dobrych bez względu na dalsze fizyczne losy tych osób? Czy losy te po wielkiej scenie przebudzenia Lira w namiocie Kordelii (IV, 7) nie są już właściwie obojętne, tak jak obojętnem Lirowi według jego własnych słów (V, 3) byłoby dożywotnie uwięzienie? Brak widocznego związku między czynami osób a katastrofą napełnia nas jakimś lekceważeniem dla ziemskich przypadków; żegnamy świat tej tragedii, utwierdzeni w poczuciu, że w całości wszechbytu, której tak drobna tylko cząstka nam jest znaną, cierpienia i nieszczęścia tego życia tracą przyniatający ogrom i tragiczną potęgę, zaś bohaterstwo, udoskonalenie, poświęcenie, miłość, w tamtej perspektywie świecą niepożytym blaskiem i majestatem, że to są wartości istotne i wiekuiстей, których żadne przeciwności żywota ludzkiego przyćmić ani w niwecz obrócić nie zdołają.

¹⁾ Halucynacja w dalszym jeszcze wierszu, w samej chwili zgonu, że u Kordelii pojawiają się znowu jakieś znaki życia, — to już tylko jakby kwiatek albo promyk słońca, padający na trumnę.

OSOBY:

Lir, król brytański.
 Król francuski.
 Książę burgundzki.
 Książę Kornwalii.
 Książę Albanii.
 Hrabia Kent.
 Hrabia Gloster.
 Edgar, syn Glostera.
 Edmund, naturalny syn tegoż.
 Kuran, dworzanin.
 Doktor.
 Błazen.
 Oswald, marszałek dworu Goneryli.
 Herold.
 Starzec, dzierżawca w hrabstwie Glostera.
 Goneryla
 Regana
 Kordelia } córki Lira.

Rycerze z orszaku Lira, słudzy księcia Kornwalii, dworzanie, rotmistrze, żołnierze, gońcy i inne osoby.

Rzecz dzieje się w Brytanii, w XXXII wieku świata.

KRÓL LIR.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Sala główna w pałacu Lira.

(*Kent, Gloster i Edmund*).

Kent. Myślałem, że król bardziej sprzyja albańskiemu niż kornwalskiemu księciu.

Gloster. Tak się nam zawsze zdawało, ale teraz, przy rozdziale królestwa, nie widać wcale, żeby który z tych dwóch książąt w większej był łasce u niego, bo równość względów tak jest ściśle odważoną, że najpilniejsze badanie nie może dociec, która z dwóch połowic wyżej stoi.

Kent. Czy to wasz syn, milordzie?

Gloster. Nie inaczej; ale ja mam jeszcze drugiego syna, o kilka lat starszego. Edmundzie, czy znasz tego szanownego pana?

Edmund. Nie, milordzie.

Gloster. Jest to milord Kent; pamiętaj o nim, jako o moim zycznym przyjacielu.

Edmund. Moje usługi są na jego rozkazy.

Kent. Naprzód cię już kocham, Edmundzie, i życzliwość moja, spodziewam się, wzrośnie z bliższym poznaniem.

Edmund. Starac się będę to usprawiedliwić.

Gloster. Był za granicą przez lat dziewięć i jeszcze się tam uda. — Król nadchodzi.

(*Odgłos trąb. Król Lir, książę Kornwalii, książę Albanii, Goneryla, Regana i Kordelia wchodzą z orszakiem*).

Król Lir. Poproś tu panów Francyi i Burgundy, Glosterze.

Gloster. Śpieszę, Miłościwy Królu.
(*Wychodzi z Edmundem*).

Król Lir. Tymczasem damy wam poznać nasz zamiar.

Przynieście mapę. — Wiedźcie, żeśmy nasze Królestwo na trzy części podzieliłi.

I stałem naszym jest postanowieniem, Wyzwolić naszą starość z trosk i trudów, Na młodsze kładąc je barki, a sami Spokojnie odtąd, wolni od ciężaru, Śmierci wyglądać. — Synu nasz z Kornwalii, I ty, naszemu sercu niemniej drogi, Synu Albanii, dla zapobieżenia

Sporom w przyszłości mogącym się zrodzić, Przedsięwzięliśmy niezłomnie już teraz Ogłosić posag każdej z naszych córek.

Panowie Francyi i Burgundy, zacni Współzawodnicy do miłości naszej Najmłodszej córki, od dawna już czynią Na naszym dworze zalotne zabiegi I na odpowiedź stanowczą czekają. — Zanim atoli rzekniemy się rządów, Królewskich dzierżaw i kłopotów władzy, Pragniemy wiedzieć przedewszystkiem, która Z was, córki moje, najbardziej nas kocha, Abyśmy w miarę tego oznaczyli Najrozsądniejszy dział naszych dobrodziejstw. Ty, Gonerylo, jako pierworodna, Mów najprzód.

Goneryla. Ojczy mój, kocham cię bardziej,

Niżeli słowa mogą wypowiedzieć;
Więcej niż światło, powietrze i wolność;
Nad wszystko, co jest szacownem i rzadkiem;
Nie mniej jak życie, zdrowie, piękność, honor;
Jak kiedykolwiek dziecko mogło kochać
I kiedykolwiek ojciec był kochanym.
Dech mój za krótki, i mowa za słabą,
Do wyrażenia siły mej miłości.

Kordelia (*do siebie*). Cóż ja uczynić mam? Kochać i milczeć.

Król Lir. Cały ten obszar od tej do tej linii,
Bogaty w grunta i cieniste lasy,
W obfite rzeki i rozległe łąki.

Oddaję w wieczne posiadanie tobie
I twemu z księciem albańskim potomstwu. —
Cóż powie nasza druga córka, nasza
Droga Regana, Kornwala małżonka?
Regana. Jam z tego kruszcu, co i moja siostra,
I w sile uczuć jej nie ustępuję.
W szczerości serca znajduję, że ona
Całą mą miłość zawarła w swych słowach;
Tylko za skąpo, bo ja się być mienię
Nieprzyjaciółką wszelkich innych uciech,
Najżywiej zmysły mogących pociągać.
I szczęście moje zakładam jedynie
Na twęj miłości, ojcze mój i panie!
Kordelia (*do siebie*). Biedna Kordelio! jakże ty się wydasz?
Nie biednam jednak, bo w sercu mam pewność,
Że moja miłość bogatsza, niż słowa.
Król Lir. Tobie i twoim przypada w dziedzictwo,
Na wieczne czasy, ta druga dzielnica,
Nie mniejsza, ani pod względem przestrzeni,
Ani wartości, ani przyjemności
Od tej, jakąśmy dali Goneryli. —
A ty że, nasza pociecho, ostatnia,
Jako najmłodsza, nie jako najniższa
W miłości naszej, o którą się wino
Francyi dobija i mleko Burgundy,
Cóż ty nam powiesz, gwoli otrzymaniu
Działu większego jeszcze, niż twe siostry?

Kordelia. Nic.

Król Lir. Nic?

Kordelia. Nic, Panie.

Król Lir. Jakto? nic? Z niczego

Może być tylko nic. Odpowiedz jeszcze.

Kordelia. Nieszczęsnaż ja! nie umiem uczuć moich

Przenosić z serca w usta; ja miłuję
Waszą Królewską Mość tak, jak mi każe
Mój obowiązek, ni mniej ani więcej.

Król Lir. Jakto? Kordelio! Daj inną odpowiedź,

Inaczej los swój zniweczysz.

Kordelia. O, Panie!

Tyś mi dał życie, wychował mnie, kochał,
I ja odpłacam ci te dobrodziejstwa,
Tak jak powinienam: jestem ci posłuszna,
Czczę cię i kocham. Na co moim siostram

Mieć mężów, skoro mówią, że wyłącznie
Kochają ciebie? Gdy ja pójdę za mąż,
Ten, co odbierze z mych rąk zakład wiary,
Otrzyma także połowę mych uczuć,
Połowę starań mych i obowiązków.
Nigdybym w związki małżeńskie nie weszła,
To pewna, gdybym tak jak moje siostry
Ojca jedynie kochała.

Król Lir. Kordelio,

Czy ty to z serca mówisz?

Kordelia. Tak jest, Panie.

Król Lir. Tak młoda i tak nieczuła!

Kordelia. Tak młoda

I szczerza, Panie.

Król Lir. Dobrze więc, niech szczerość,

Którą się chlubisz, stanie ci za wiano;

Gdyż na ten święty, promienny krąg słońca,

Na misterye Hekaty i nocy,

Na tajemnicze wpływy wszelkich planet,

Przez które istniem i przestajem istnieć,

Zrzekam się odtąd wszelkiej pieczy ojca,

Wszelkiej łączności i związku krwi z tobą.

Bądź od tej chwili mnie i memu sercu

Obcą na zawsze! Barbarzyński Scyta,

Nawet ów dziki, co żre własne dzieci,

By głód nasycił, równie będzie blizki

Mojemu sercu, równie znajdzie względy

I pomoc, jak ty, niegdyś moje dziecko.

Kent. Najmiłościwszy mój Królu!

Król Lir. Milcz, Kencie,

Nie wchodzi pomiędzy smoka i gniew jego.

Jam ją najbardziej kochał, przy jej boku

Miałem nadzieję znaleźć błogi spokój

Na stare lata. — (*Do Kordelii*). Precz z mego oblicza!

Obym tak w grobie miał spokojność, jak cię

Nieodwołalnie w tej chwili odtrącam

Od ojcowskiego mego serca. — Hola!

Wezwać tu panów Francyi i Burgundy! —

Kornwala i ty Albanie, rozdzielcie

Pomiędzy siebie tę część pozostałą

I do posagu swych żon ją przyłączcie.

Niech ją zaślubi duch pychy, którego

Zwie duchem prawdy! Was dwóch przyoblekam

W najwyższą władzę, moc i przywileje
Majestatowi służące. — Co do nas,
Przy zachowaniu sobie stu rycerzy,
Na waszym żołądźce być mających, u was
Przebywać będziem kolejną co miesiąc,
Warujem sobie tylko tytuł króla
I przynależne nam względy; ster rządu,
Intraty, wszelkie atrybucye władzy
Do was należą, kochani synowie;
Tym końcem między siebie rozpołowicie
To złote godło.

Kent. Wielkomyślny Lirze,
Któregom zawsze wielbił, jako króla,
Kochał, jak ojca, słuchał, jako pana,
I jak patrona w modłach mych wymieniał...

Król Lir. Łuk naciągnięty, chroń się przed pociskiem.

Kent. Niech padnie, choćby grot ugrzązł mi w sercu!
Niechaj Kent będzie grubianinem, kiedy
Lir jest szaleńcem! Co chcesz czynić, starcze?
Czy myślisz, że się obowiązek zleknie
Otworzyć usta, kiedy się potęga
Gnie ku pochlebstwu? Honor nakazuje
Otwartość, kiedy majestat drwi głową.
Cofnij twe słowo i lepszym rozmyśłem
Sprostuj ten zdrożny pośpiech. Gardło moje
Dam na porękę mojego twierdzenia,
Że cię najmłodsza córka mniej nie kocha;
Ni braknie uczuć tym, których głos słaby
Nie wtórzy próżnym dźwiękiem.

Król Lir. Przystań, Kencie,
Jeśli ci życie miłe.

Kent. Życie moje
Zawszem uważał tylko jako zakład
Do postawienia przeciw twoim wrogom;
Nie lękam się je stracić, skoro idzie
O twoje dobro.

Król Lir. Usuń się z mych oczu!

Kent. Patrz lepiej, Lirze, i daj mi pozostać
Rzetelnym oczu twoich drogowskazem.

Król Lir. Na Apollina!...

Kent. Apollo jest świadkiem,
Że bogów swoich wzywasz nadaremnie.

Król Lir (*przykładając rękę do miecza*). Ha! nikczemniku!
[renegacie!]
Przebacz,

Ks. Albanii i Kornwalii.

Łaskawy Panie.

Kent. Uczyni, coś zamierzył:
Zabij lekarza, a pogłaszcz swą słabość.
Odwołaj swoją darowiznę, albo,
Dopóki w piersiach nie zbraknie mi głosu,
Dopóty krzyczeć będę, że popełniasz
Niesprawiedliwość.

Król Lir. Słuchaj, buntowniku!

W imię lenniczej uległości, słuchaj!
Ponieważ chciałeś nas do tego skłonić,
Abyśmy dane raz złamali słowo
(Co się nam jeszcze nie zdarzyło nigdy),
I poważyleś się, z zuchwałą dumą,
Stanąc pomiędzy naszym wyrzeczeniem
A naszą władzą (czego ani nasza
Powaga, ani nasza osobistość
Ścierpieć nie mogą), przemawiam teraz
Jako pan: — odbierz to, na coś zasłużył.
Pięć dni ci dajem do odpowiedniego
Zaopatrzenia się w to, co wypada,
Aby potrzebom życia stawić czoło;
Szóstego precz się wyniesiesz z królestwa;
A jeśli twoje wyklęte oblicze
Dnia dziesiątego jeszcze się ukaże
Na naszej ziemi, śmiercią to przypłacisz.
Precz! na Jowisza! nie cofnę już tego.

Kent. Bądźże zdrów, królu; przy takiej twej zamianie,
Wolność gdzieindziej, a tu jest wygnanie.

(*Do Kordelii*).

Bogowie z tobą, dziewico, co zdrowo
Myślisz i w trafne myśl oblekasz słowo.

(*Do Goneryli i Regany*).

A z waszych długich przemów niech wypłynie
Niepłonny skutek i sprawdzi je w czynie. —
Tem was Kent żegna, w smutnej konieczności
Idąc w kraj nowy ponieść stare kości. (*Wychodzi*).
(*Gloster wchodzi z królem francuskim, księciem burgundzkim
i ich orszakiem*).

Gloster. Oto panowie Burgundy i Francyi,
Dostojny władco.

Król Lir. Szlachetny Burgundzie,
Do ciebie mowę nasamprzód zwracamy,
Coś się z tym królem współubięć raczył
O naszą córkę; jakiego, co najmniej,
Żądasz z jej ręką posagu, byś wytrwał
W zamiarach względem niej?

Ks. burgundzki. Potężny Panie,
Dosyć mi na tem, co Wasza Dostojność
Już przeznaczyła; wysokość zaś tego
Nie będzie, tuszę, niżona.

Król Lir. I owszem.
Póki nam ona była drogą, póty
Szacowaliśmy ją w tej cenie; teraz
Wartość jej spadła. Pisz ją, mości księżę,
Tak jak ją widzisz. Jeżeli się Waszej
Księżęcej Mości coś w tej gładkiej dziewce,
Lub ona cała, bez niczego więcej,
Krom złorzeczenia naszego, podoba,
To ją weź; możesz ją nazywać swoją.

Ks. burgundzki. Nie wiem, co na to odpowiedzieć, Panie.

Król Lir. Chcesz ją z temi upośledzeniami,
Ogołoczoną z mienia i przyjaciół,
Uposażoną li naszym przekleństwem,
Wziąć lub porzucić?

Ks. burgundzki. Przy takich warunkach
Najlepsza, Panie, chęć się nie ostoi.

Król Lir. Odstąp więc od niej, bo na tę potęgę,
Co mię stworzyła, klnę się, zem wymienił
Wszystko, co jej się dostanie w podziale.

(Do króla francuskiego).

Co się was tyczy, przedostojny królu,
Nie lekceważę tak Miłości Waszej,
Abym Was łączył z tem, co nienawidzę;
Skierujcie, proszę, do lepszego celu
Swoje życzenia, a nie do tej dziewki,
Którą natura rumieni się uznać
Za swoje dzieło.

Król francuski. To rzecz nie do wiary,
Żeby osoba, co była dotychczas
Przedmiotem Waszych niestannych pochwał,
Waszym klejnotem, balsamem starości,
Najlepszą w Waszem uznaniu, najdroższą
Waszemu sercu, nagle, w gnieniu oka,

Mogła popełnić coś tak występnego,
Co ją wyzuło z wszelkich łask. Jej wina
Musi zaiste być potwornie wielką,
Albo poprzednia Wasza czułość dla niej
Była naganną; do wierzenia wszakże
W taką jej zmianę rozum mój, bez cudu,
Nigdy nie zdoła mię skłonić.

Kordelia *(do Liry)*. O, Panie,
Jeżelim winna, przeto, że mój język
Nie ma giętkości dosyć i biegłości
W mówieniu, czego nie myślę (co bowiem
Serce mi radzi, to nie mówiąc czynię),
Niechże choć Wasza Królewska Mość powie,
Że to nie żadna zbrodnia, nie morderstwo,
Nie żadna podłość, nie żaden bezwstydnym
Postępek, ani krok zniesławiający
Waszej mię łaski i względów pozbawił,
Lecz brak, który mię tem bogatszą czyni,
Brak umiejących się przymyśleć oczu
I tego daru wymowy, którego,
Wolę, że nie mam, lubo przez to właśnie
Popadłam w Waszą niełaskę.

Król Lir. Bogdajbyś
Nie żyła lepiej, niżbym się był z ciebie
Takiego braku pociechy doczekał!

Król francuski. Nic więcej nad to? Całem przewinieniem
Jest tu więc tylko owa przyrodzona
Powolność, która często nie pozwala
Z tem się wywnętrzyć, do spełnienia czego
Jesteśmy w gruncie gotowi?

(Do księcia burgundzkiego).

Cóż teraz
Zamierzasz czynić, mości księżę? Miłość
Nie jest miłością, jeśli idzie w parze
Z względami, które są poza obrębem
Jej celu. Chceszli ją pojąć? Jej posag
Jest w niej.

Ks. burgundzki. Dostojny Lirze, daj mi tylko
Tę częśćkę, którą sam wprzód wyznaczyłeś,
A wraz powiodę Kordelię za rękę,
Jako burgundzką księżnę.

Król Lir. Nie! przysiągłem:
To rzecz skoficzona.

Ks. burgudzki. Boleję więc, Pani,
 Żeś razem z ojcem utraciła męża.

Król francuski. Piękna Kordelio, ty w ubóstwie swoim
 Bogata, wzniosła w swoim poniżeniu,
 Najukochańsza, będąc pogardzoną.
 Z zapalem biorę w posiadanie ciebie
 I twoje cnoty; niech mi będzie wolno
 To, co zostało odrzuconem, podnieść.
 Rzecz dziwna, że ich zimna obojętność
 Tem bardziej wzmacnia cześć mą i namiętność. —
 Królu, ta, którąś odsądził od wiana,
 Jest teraz Francyi królową, jej pana
 Wszzechwładną panią. Naprózno by który
 Z książąt burgundzkiej ziemi zbożopłennej
 Zapragnął teraz tej brytańskiej córy,
 Tak nie cenionej, a tak drogocennej. —
 Pożegnaj, luba, tych okrutnych: inny,
 Lepszy kraj znajdziesz, tracąc swój rodzinny.

Król Lir. Wolność ją zabrać, Francya niech ci służy,
 Bo my jej znać nie chcemy, ani dłużej
 Cierpieć przy sobie. Otwarta wam droga
 Zdala od serca naszego i proga.
 Pójdź, cny Burgundzie.

(Odgłos tręb. Król Lir, ks. burgundzki, ks. Albanii i Kornwalii wychodzą, za nimi Gloster i orszak.)

Król francuski. Pożegnaj swe siostry.

Kordelia. Klejnoty ojca naszego, Kordelia
 Ze łzami żegna was. *(Do siebie).* Znam ja was dobrze,
 Lecz, jako siostra, nie chcę po nazwisku
 Wymieniać waszych przywar. *(Głośno).* Miejcie pieczę
 O ojcu. Resztki jego dni szanownych
 Oddaję pod straż waszych serc wymownych. *(Do siebie).*
 Gdybym mu jednak jak wprzód była drogą,
 Pod bezpieczniejszą zostałaby załogą. *(Głośno).*
 Bywajcie zdrowe!

Goneryla. Obowiązków córek
 Nie ucz nas; my je znamy.

Regana. Twoją rzeczą
 Jest przypodobać się twojemu panu,
 Coć przyjął z ręki losu jak jałmużnę.
 Skąpiłaś postuszeństwa, słusznie tedy
 Skąpej się za to doczekałaś schedy.

Kordelia. Czas wyda na jaw, co kryje obłuda:

Kto zły, ten nigdy długo cnót nie uda;
 Życzę wam szczęścia.

Król francuski. Pójdź, moja Kordelio.
(Wychodzi z Kordelią i orszakiem swoim).

Goneryla. Nie o małej rzeczy mam z tobą do pomówienia, siostrzo: z blizka się ona tyczy nas obudwóch. Ojciec nasz zamierza, jak się zdaje, dziś wieczorem wyjechać.

Regana. Nie inaczej i to do ciebie; na drugi miesiąc zjedzie do nas.

Goneryla. Widzisz sama, jak się stał kapryśnym na starość; niemająłszy mieli sposobności do przekonania się o tem: on zawsze kochał naszą siostrę najbardziej, a z jak niedorzeczną surowością ją odepchnął, byliśmy tego świadkami.

Regana. To ułomność wieku; ale on nigdy nie wiedział dobrze, czego chce.

Goneryla. Przy całej sile i czerstwości władz był popędliwym, trzeba nam więc być przygotowanemi na to, że będziemy musiały znosić nie tylko złe z dawna zakorzenionych przywyknień, ale i wybryki dziwactw, jakie zgryźliwa i tetryczna starość z sobą przywodzi.

Regana. W przystępie jego widzi-mi-się łatwo nam może przyjść na taką dolę, jak wygnanemu Kentowi.

Goneryla. Podobnie przyjemnych pożegnań, jak przy rozstaniu się z królem francuskim, będziemy miały więcej; trzymajmyż się za ręce. Jeżeli nasz ojciec zechce się utrzymywać przy powadze, z takim jak dotąd usposobieniem, to owo ustąpienie nam władzy obróci się na naszą niekorzyść.

Regana. Weźmy to pod bliższą rozagę.

Goneryla. Trzeba nam coś przedsięwziąć, i to póki żelazo gorące. *(Wychodzą).*

SCENA II.

W zamku hrabiego Glostera.
(Wchodzi Edmund z listem w rękę).

Edmund. Naturo, tyś mi bóstwem, twemu tylko
 Ulegam prawu. Dlaczegoż mam znosić
 Płagę zwyczajną i dać się potulnie
 Fantazyi ludów wydziedziczać, przeto

Żem się o marnych dwanaście miesięcy
 Albo czternaście później, niż brat jakiś,
 Zjawił na świecie? Cóż z tego, żem bękart?
 Dlaczegoż mię to tak ma upośledzać,
 Gdy moje członki są zarówno krzepkie,
 Umysł i rysy zarówno szlachetne,
 Jak u prawego jejmości potomstwa?
 Za cóż kłaść na nas piętno nieprawości,
 Zakał bękarcstwa, na nas, co po części
 W rzeskiej natury ukradkowym akcie
 Otrzymaliśmy więcej treści, więcej
 Ognia i życia, niż tłum niedołęgów,
 Z prawego łoża idących? Dlatego
 Mienie twe, prawo spłodzony Edgarze,
 Stanie się mojem. Równie drogim ojcu
 Jest bękart Edmund, jak prawy potomek.
 Prawy potomek! — piękne słowo. Czekaj,
 Prawy potomku: jeżeli mój pomysł
 Uda się i ten list wyda swój owoc,
 Nieprawość pośle prawość do stu czartów. —
 Ojcze, bogowie wspierajcie bękartów!

(*Wchodzi Gloster.*)

Gloster. Kent na wygnanie poszedł; król francuski
 Z gniewem wyjechał; nasz tej nocy także
 Wyniósł się z swego zamku, zdawszy rządy,
 Ograniczony tylko do dochodów!
 I wszystko to się stało w mgnieniu oka! —
 Cóż tam, Edmundzie? Jakie masz nowiny?

Edmund. Żadnych, panie.

(*Chowa list.*)

Gloster. Dlaczego z takim pośpiechem ten list chowasz?

Edmund. Nie wiem, panie, nic nowego.

Gloster. Co to za list czytałeś?

Edmund. Ej, to nic.

Gloster. To nic? Cóż znaczyła ta straszna skwapliwość,
 z jaką go wsadziłeś do kieszeni? Właściwie nic nie po-
 trzeba tak się ukrywać. Pokażno. Jeżeli to nic, obejmę
 się bez okularów.

Edmund. Wybacz, milordzie, błagam cię; to list od mego
 brata; jeszcze całego nie przeczytałem; o ilem go prze-
 zrał jednakże, nie znajduję tego, co w nim jest stosow-
 nym dla ciebie do odczytania.

Gloster. Daj mi ten list zaraz.

Edmund. Źle uczynię, czy go dam, czy zatrzymam. Osnowa
 tego listu, o ile ją zrozumiałem, jest naganną.

Gloster. Zobaczmy, zobaczmy.

Edmund. Spodziewam się, na usprawiedliwienie mego
 brata, że on to pisał jedynie dla wypróbowania mojej
 cnoty.

Gloster (*czyta*). »Ta uległość, to uszanowanie dla wieku
 zaprawia goryczą najpiękniejsze dni życia naszego; za-
 gradza nam drogę do szczęścia, którego w starości
 kosztować już nie będziemy mogli. Zaczyna mi się co-
 raz niedorzeczniwszem wydawać poddawanie się tej
 tyranii starszeństwa, które panuje nie dlatego, że silne,
 ale dlatego, że jest cierpiane. Przyjdź do mnie, abyśmy
 o tem obszerniej pomówili. Gdyby mój ojciec mógł
 zasnąć i spać, dopóki bym go ja nie zbudził, posiadałbyś
 połowę jego mienia na zawsze i stałbyś się podwójnie
 drogim twojemu bratu, Edgarowi«. — Hm! — to spi-
 sek! — »spać, dopóki bym go ja nie zbudził«, — »po-
 siadłbyś połowę jego mienia«. — Mój syn, Edgar!
 Miałże on rękę zdolną do napisania tego? Serce i głowę
 zdolne do powzięcia tej myśli? — Kiedyż odebrał to
 pismo? Kto ci je przyniósł?

Edmund. Nie przyniesiono mi go, panie, w tem właśnie
 mądrość; znalazłem je wrzucone przez okno w moim
 pokoju.

Gloster. Jesteś pewny, że to ręka twego brata?

Edmund. Gdyby osnowa tego listu była dobrą, mógłbym
 przysiąc, że to jego ręka; ale w obecnym razie rad-
 bym móżdź myśleć, że tak nie jest.

Gloster. Jego to ręka.

Edmund. Jego, w istocie; ale jego serce nie miało, spo-
 dziewam się, udziału w tem, co pisał.

Gloster. Nigdyż on jeszcze dotąd nie napomykał ci o tem?

Edmund. Nigdy, panie; alem go nieraz słyszał utrzymu-
 jącego, że kiedy syn jest w wieku dojrzałym, a ojciec
 na schyłku życia, ojciec powinienby właściwie w ta-
 kim razie być na opiece syna, a syn zarządzać ma-
 jątkiem.

Gloster. O, nędznik! nędznik! — To samo się pokazuje
 z jego listu... — Nędznik ohydny! Wyrodny, przeklęty,
 bestyalski nędznik! gorszy od bestyi! Idź, mój kochany;
 każ go przytrzymać, osadź go pod rygłem. — Obrzy-
 dliwy nędznik! — Gdzież on jest?

Edmund. Nie wiem. Pozwól sobie jednak powiedzieć, milordzie, iż gdyby ci się podobało powściągnąć oburzenie, jakim cię mój brat przejmuję, dopóki byś z niego nie wydobył więcej wskazówek co do jego zamiarów, oparłbyś się na pewniejszej zasadzie; gdy tymczasem, występując gwałtownie przeciw niemu, gdybyś się zwłaszcza co do zamiarów jego pomylił, naraziłbyś na wielki uszczerbek własną swoją powagę i odepchnąłbyś ze szczętem jego serce. Gotówem życiem ręczyć, że on to napisał dla doświadczenia moich uczuć ku tobie, panie, a nie w żadnej złej intencji.

Gloster. Czy tak myślisz?

Edmund. Jeżeli Wasza Cześć uzna to za stosowne, postawię cię, panie, w takim miejscu, gdzie będziesz nas słyszał rozmawiających w tym przedmiocie, i tym sposobem własnym uchem nabędziesz przeświadczenia o prawdzie; to zaś stać się może niezwłocznie, tego wieczora.

Gloster. Niepodobna, aby był takim potworem.

Edmund. I nie jest nim też, niezawodnie.

Gloster. Względem ojca, który go tak czule, tak nad miarę kocha! — Przekleństwo! — Edmundzie, pomów z nim; nastęrcz mi sposobność przekonania się o prawdzie; poprowadź tę rzecz według własnego uznania. Gotówbym się ogołocić ze wszystkiego, bylebym stanowczo wiedział, co mam myśleć.

Edmund. Pomówię z nim natychmiast; ułożę tę rzecz, jak się da najlepiej, i uwiadomię cię o tem, panie.

Gloster. Te zaćmienia słońca i księżycy, które niedawnymi czasy przypadły, nie zwiastują nam nic dobrego; niech je nauka przyrody jak chce wyklada, zawsze to pewna, że one w skutkach są przyrody plagą: miłość chłodnie, przyjaźń zawodzi, braterstwo popada w rozdwójenie; w miastach rozruchy, po wsiach zatargi, w pałacach zdrada; węzeł pomiędzy ojcami i dziećmi zostaje przerywany. Widzieliśmy już piękne rzeczy za dni naszych: intrygi, nieczułość, przewrotność, wszelkie burzące czynniki nieładu ścigają nas i niepokoją aż do grobu. — Wybadaj tego nędznika, Edmundzie; nie stracisz na tem; uczyni to jak najskrupulatniej. — I Kent, szlachetny, prawy Kent wygnany! Pocziwość, to jego zbrodnia. — Dziwy! dziwy!

(*Wychodzi.*)

Edmund. Taki to śmieszny zwyczaj tego świata, że kiedy chorujemy na niepomyślność (częstokroć skutkiem własnych nadużyć), obwiniamy o to słońce, księżyc i gwiazdy, jak gdybyśmy byli hultajami z musu, głupcami ze zrządzenia niebios, łotrami, złodziejami i oszustami z nadprzyrodzonego impulsu, pijakami, łgarzami i cudzołóżnikami z koniecznej zależności od planetarnego wpływu, — słowem, złymi, na wszelkie kopyto, z poduszczania bogów. Co za przedziwny wykręt ze strony rozpustnika, składać swą małą naturę na karb gwiazd. Mój ojciec porozumiał się z moją matką pod ogonem smoczycy, a urodzeniu mojemu świeciła *Ursa major*; zatem poszło, że jestem krewki i do sprośności skłonny. Ba i bardzo! byłbym ci był, jaki jestem, choćby najwstydlwsza z gwiazd firmamentu była mię na świat inaugurowała.

(*Wchodzi Edgar.*)

Otóż i on, jak rozwiązanie w starej komedyi. Przybiore postać melancholika, a wzdychać będę, jak bedlamski żebrak. — O, te zaćmienia! one są zwiastunami tych niezgód! Fa, sol, la, mi!

Edgar. Cóż to, bracie Edmundzie? W jakichżeś głębokich pograżony dumaniach!

Edmund. Rozmyślał, bracie, nad przepowiednią, którą świeżo w tych dniach czytałem, jakie będą skutki tych zaćmień.

Edgar. Czy ty się takimi rzeczami zajmujesz?

Edmund. Uprzedzam cię, że następstwa, o których tam pisze, będą bardzo niefortunne, jako to: przeciwny naturze stosunek pomiędzy rodzicami a dziećmi; pomór, drożyzna, rozerwanie dawnych przyjaźni; rozdział w państwie; zamachy przeciw królowi i szlachcie; bezzasadna nieufność, wygnanie przyjaciół, rozprzężenie w wojsku, starganie małżeńskich związków i nie wiem jeszcze co.

Edgar. Od jak dawna zostałeś astrologicznym adeptem?

Edmund. Dawno się z ojcem widziałeś?

Edgar. Wczoraj wieczorem.

Edmund. Czyś z nim mówił?

Edgar. Nieinaczej, dwie godziny blisko.

Edmund. Czyście się dobrze rozstali? Nie dostrzegłeś w nim nieukontentowania, bądź w słowach, bądź w obejściu?

Edgar. Najmniejszego.

Edmund. Przypomnij sobie, w czym mu się mogłeś narazić, i unikaj jego obecności, proszę cię, póki czas nie ostudzi jego gniewu; bo w tej chwili gniew jego jest tak wielki, że ledwieby go mogło uśmierzyć jakie gwałtowne wystąpienie przeciw tobie.

Edgar. Jakiś łotr coś mu o mnie nagadał.

Edmund. Boję się, czy tak nie jest. Proszę cię, unikaj go jak najpilniej, dopóki gorączka jego uniesienia nie ochłodnie; a tymczasem ukryj się w moim pokoju, gdzie ci nastreczę sposobność do wysłuchania, co on mówić będzie. Posłuczaj mojej rady: oto klucz. A jeżeli wyjdiesz, to miej broń przy sobie.

Edgar. Broń przy sobie, bracie?

Edmund. Tak, bracie; radzę ci to dla twojego dobra; nieuczciwy-m człowiek, jeżeli się co dobrego dla ciebie święci. Powiedziałem ci, co wiedziałem i słyszałem; słaby to tylko rys w porównaniu ze strasznym obrazem rzeczywistości. Idź, idź, zaklinam cię.

Edgar. Prędkoż się zobaczymy?

Edmund. Spuść się już na mnie.

(*Wychodzi Edgar*).

Łatwowierny ojciec

I brat szlachetny, których dobroduszość
Tak jest daleką od szkodenia drugim,
Że nie przypuszcza, aby był ktokolwiek
Zdolnym do tego, to dogodna para
Do mych widoków. Głupia ich poczciwość
Będzie podwodą, którą się do celu
Łatwo dostanę. Widzę już mą przyszłość.
Nie ród, to przemysł uczyni mię panem;
Wszystko mi dobre, co zgodne z mym planem.

(*Wychodzi*).

SCENA III.

Pokój w pałacu księcia Albanii.

(*Wchodzi Goneryla i Oswald*).

Goneryla. To więc mój ojciec obił mego sługę

Za to, że jego lżył błazna?

Oswald.

Tak, Pani.

Goneryla. Dzień i noc mi dokuczają; niema chwili,

Żeby nam jaki nowy jego wybryk

Nie dał się uczuć; nie zniosę już tego.

Jego rycerze pozwalają sobie

Coraz to więcej, a on sam dom wstrząsa

O lada fraszkę. — Jak powróci z łowów,

Nie chcę go widzieć; powiedz mu, Oswaldzie,

Że jestem słaba. Jeśli moja służba

Będzie dla niego nadal mniej uległą,

To dobrze zrobi: ja biorę na siebie

Odpowiedzialność. (*Odgłos rogów*).

Oswald.

Już powraca, słyżę.

Goneryla. Okaż mu waćpan i inni w czemkolwiek

Lekceważącą opieszałość. Pragnę,

Aby się o to wytoczyła sprawa:

Jeśli mu nie w smak mój dom, to niech idzie

Do mojej siostry, która się w tym względzie

Zupełnie ze mną zgadza i nie myśli

Uginać karku. Bezrozumny starzec!

Chce mu się jeszcze imponować władzą,

Której się pozbył. Te stare półgłówki,

Na honor, stają się małemi dziećmi,

I krótko trzeba ich trzymać, bo skoro

Ich się pogłaszcze, zaraz na kiel biorą.

Com powiedziała, pomnij.

Oswald.

Dobrze, Pani.

Goneryla. A jego orszak niech oziębłość znajdzie

Pomiędzy nami; co z tego wypadnie,

Mniejsza; poszepnij to całej mej służbie,

Radabym z tego wydobyć sposobność

Do przemówienia. Zaraz list napiszę

Do mojej siostry, ażeby działała

W tym samym duchu. Zarządź waćpan obiad.

(*Wychodzą*).

SCENA VI.

Tamże, inny pokój.

(*Wchodzi Kent przebrany*).

Kent. Jeżeli tylko zdołam dobrze udać

Głos obcy, który akcent mój pokryje,

To mi się może najzupełniej powieść
Ten bogobojny zamiar, dla którego
Postać zmieniłem. No, wygnany Kencie,
Niech jeno nieba twoim dobrym chęciom
Pobłogosławić raczą i pozwoląc
Być użytecznym tam, skąd cię wygnano,
A twój kochany pan nieznuzonego,
Niepożytego znajdzie w tobie sługę.

(Odgłos rogów. Lir wchodzi; za nim rycerze i służba).

Król Lir. Nie kaźcie mi ani sekundy czekać na obiad.
Nuże! Niech dają! — *(Jeden z orszaku wychodzi).* Kto
ty jesteś? he?

Kent. Człowiek, Panie.

Król Lir. Jaki twój stan? Czego chcesz?

Kent. Mój stan, Panie, nie jest krótszym, niż się wydaje;
chcę zaś wiernie służyć temu, kto mi zaufa; kochać
tego, kto poczciwy; przestawać z tym, kto ma rozum
i mało mówi; bić się, kiedy inaczej być nie może, niebu
cześć oddawać i ryb nie jeść.

Król Lir. Któż ty jesteś?

Kent. Prostoduszny człowiek i biedny, jak nasz król.

Król Lir. Jeżeliś tak biedny, jako poddany, jak on jest
biedny, jako król, to zaprawdę dość biednym jesteś.
Czego żądasz?

Kent. Służby.

Król Lir. Komuż chcesz służyć?

Kent. Wam.

Król Lir. Czy mię znasz?

Kent. Nie znam Was, Panie, ale macie coś w sobie, co
mię do służenia Wam pociąga.

Król Lir. Cóż takiego?

Kent. Wyższość.

Król Lir. A co ty umiesz?

Kent. Umiem trzymać język za zębami, kłusować, biegać,
psuć ciekawe powieści opowiadaniem ich i jasno otrzy-
mane polecenie po prostu wypełniać. Do czego pospoli-
ty człowiek może się kwalifikować, do tegom ja zdolny,
a najlepszą moją zaletą jest gorliwość.

Król Lir. W jakimże jesteś wieku?

Kent. Nie w takim, żeby się zakochać w kobiecie, jak za-
śpiewa; ani w takim, żeby szaleć za nią bez przyczyny;
mam lat czterdzieści ośm na karku.

Król Lir. Zgoda, przyjmuję cię do usług. Jeżeli po obie-

dzie nie podobasz mi się gorzej, niż teraz, to się nie
zaraz rozłączymy. — Obiad! hej! obiad! — Gdzie mój
błazen? — Niech tam kto pójdzie po mojego błazna.
(Wchodzi Oswald).

Hola! służba! — Gdzie moja córka?

Oswald. Za pozwoleniem.

(Wychodzi).

Król Lir. Co on powiedział? he? Niech się wróci ten cym-
bał. — Gdzie mój błazen? — Cóż to, czy się wszyscy
pospali? — No, i cóż? Gdzie ten niedołęga?

Jeden z rycerzy. On mówi, Panie, że Wasza córka słaba.
Król Lir. Dlaczego obwieś nie przyszedł, kiedy go wo-
łałem?

Rycerz. Odpowiedział mi, Panie, jak najzwięźlej, że nie
chce.

Król Lir. On? nie chce?

Rycerz. Nie wiem, co się to znaczy, Miłościwy Panie, ale
Wasza Wysokość nie odbiera teraz, jak uważam, tej
uroczystej atencji, jaką Jej dotąd oddawano; pokazuje
się wielki ubytek uprzejmości, tak ze strony domowni-
ków, jak ze strony księcia i księżny.

Król Lir. Tak waćpan myślisz?

Rycerz. Błagam cię, Miłościwy Panie, wybac mi, jeśli
się myślę; obowiązek mój nie pozwala mi milczeć, kiedy
mi się zdaje, że Waszą Królewską Mość krzywdzą.

Król Lir. Potwierdzasz tylko to, co mi już samemu po
głowie chodziło. Dostrzegąłem ja w ostatnich czasach
widocznego zaniedbania, ale wołałem to przypisywać
mojej podejrzliwości, niż ich złej wierze i umyślnemu
lekceważeniu. Muszę w to wejrzeć głębiej. — Ale gdzie
mój błazen? od dwóch dni go nie widziałem.

Rycerz. Odkąd nasza młoda królewna do Francji wyje-
chała, bardzo się zmizerował.

Król Lir. Dajmy temu pokój; uważałem ja to. — Idź wać-
pan do mojej córki i powiedz jej, że chcę z nią mó-
wić. — A wy zawołajcie tu mego błazna. —

(Oswald powraca).

A! to waszmość. Pójdźno tu waszmość. Kto ja jestem?

Oswald. Któż? Ojciec Jej Książęcej Mości.

Król Lir. Ojciec Jej Książęcej Mości? mości hultaju! ty
psie parszywy! ty fagasiel! ty mucu!

Oswald. Nie jestem ani tem, ani owem, milordzie; proszę
mi darować.

Król Lir. Będziesz mi odszczekiwał, gałganie?

(*Uderza go*).

Oswald. Ja się, milordzie, bić nie dam.

Kent (*podbijając mu nogi*). Ani sobie nogi podstawić? ty nikczemny fidrygansie!

Król Lir. Dziękuję ci, przyjacielu: dobrze mi służyysz, będę i ja dobrym dla ciebie.

Kent. Wstań Wasze i wynoś się! Nauczę ja cię znać różnice. Wynoś się, wynoś! Jeżeli chcesz jeszcze raz zmierzyć długość swego chudego cąbra, to zostań, a nie, to ruszaj mi zaraz. Allons! marsz! Miej rozum — tak.

(*Wytrąca Oswalda za drzwi*).

Król Lir. Dobrze, mój pocziwcze, dziękuję ci. Masz tu zadatek.

(*Daje Kentowi pieniądze. — Wchodzi Błazen*).

Błazen. Niechże go sobie i ja kupię. — (*Do Kenta*). Oto masz mój kapturek.

(*Daje Kentowi swój kapturek*).

Król Lir. Co to ma znaczyć, mój synu?

Błazen (*do Kenta*). Otbyś wziął, bracie, mój kapturek; nie masz nic lepszego do zrobienia.

Kent. Dlaczego, mości błaznie?

Błazen. Dlatego, że się wieszasz przy kimś, co popadł w nietaskę. Jeżeli się umiesz uśmiechać wedle tego, jak wiatr wieje, to dostaniesz kataru. Na, weź mój kapturek. Ten człowiek odpędził od siebie dwie córki, a trzeciej mimo woli dał błogosławieństwo: jeżeli chcesz być przy nim, to trzeba ci gwałtem kapturka. (*Do Lira*). No i cóż, wujaszku? Radbym mieć dwa kapturki, gdybym miał dwie córki.

Król Lir. Dlaczego, moje serce?

Błazen. Gdybym im oddał całe moje mienie, zachowałbym kapturki dla siebie. Oto mój; żebrz o drugi u córek.

Król Lir. Strzeż się waść, bo korbacz będzie w robocie.

Błazen. Prawda jest to pies, którego korbaczem wyganiają do budy; gdy tymczasem jaśnie wielmożnej bonońskiej succe wolno przy kominie leżeć i cuchnąć.

Król Lir (*do siebie*). Gorzka to dla mnie pigułka.

Błazen (*do Kenta*). Nauczę cię, bracie, jednej przypowieści.

Król Lir. Słuchamy.

Błazen. Uważaj, wujaszku:

Miej więcej, niż zapowiadasz,

Więcej wiedz, niżeli gadasz;

Mniej pożyczaj, niż posiadasz,
Zyskuj więcej, niż zakładasz;
Porzuć kubki i kobiety,
Pilnuj domu i kaletki,
A rachunek będzie letki,

Gdy w dwustu dwie znajdziesz setki.

Król Lir. To wszystko razem wzięwszy, jest — nic.

Błazen. Więc to jest tak dobre, jak mowa niezapłaconego adwokata: niceście mi za to nie dali. Powiedźno mi, wujaszku, czy z niczego żadnego mieć użytku nie możesz?

Król Lir. Ma się rozumieć, mój chłopcze; z niczego będzie nic.

Błazen (*do Kenta*). Powiedzcie mu, proszę, że właśnie tyle wynosi dochód z jego krajów: błaznowi nie zechce uwierzyć.

Król Lir. Cierpki błazen!

Błazen. Czy znasz różnicę, mój chłopcze, pomiędzy cierpkim błaznem a słodkim?

Król Lir. Nie, moja duszo; wskaż mi ją.

Błazen. Kto ci doradził, panie,
Z twych państw uczynić dań,
Niech tu przede mną stanie,
Lub ty za niego stań.
Cierpki i słodki błazen
Wnet się ukaże nam:
Tu jeden w pstrym kaftanie,
A drugi — oto tam.

Król Lir. Błaznem mnie nazywasz, rybeńko?

Błazen. Wszystkie inne tytuły swoje porozdawałeś; ten jest od ciebie nieodłączny.

Kent. Nie jest on kompletnym błaznem, milordzie.

Błazen. Nie, zaiste; milordowie i wielcy ludzie nie pozwalają mi na to. Gdybym miał monopol błazeństw, musieliby oni mieć w nich udział; nie daliby mi swobodnie błaznować, jeśli bym im coś z mego towaru nie odstąpił. — Daj mi jaje, wujaszku, a ja ci dam połowicę.

Król Lir. Połowicę? co przez to rozumiesz?

Błazen. Ma się rozumieć połowicę jaja, skoro z niego wyjem środek. Kiedyś rozciął swoje królestwo i podarował obie jego połowice, poniosłeś osła na grzbiecie przez błoto i głowa twoja rozpadła się podobnie na dwie połowice, czyniąc z ciebie półgłówka. Jeżeli to

mówię jako błazen, to każ ściągnąć korbaczem tego, co tak utrzymywać będzie.

(Śpiewa).

Błazny dziś dawną wziętość stracili,

Bo pobłaźnili mędrcom;

Próżno się który na koncept sili:

Żaden nic trafnie nie powie.

Król Lir. Od jak dawna masz torbę tak pełną pieśni?

Błazen. Od tak dawna, wujaszku, jakieś córkom swoim kazał sobie matkować: bo kiedy im dałeś różgę do ręki, a sobie spuściłeś to, co wiesz,

(Śpiewa).

One w płacz z szczęścia niespodzianego,

Jam się śpiewaniem pocieszał,

Że król tak wielki gra w schowanym

I między błaznów się wmieszał.

Proszę cię, wujaszku, przyjmij nauczyciela, coby twego błazna nauczył kłamać: radbym nauczyć się kłamać.

Król Lir. Jak wasze będziesz kłamał, to dostaniesz plagi.

Błazen. Nie pojmuję, jakie jest pokrewieństwo między tobą a twemi córkami: one mi grożą plagami, jak będę mówił prawdę, ty mi grozisz plagami, jak będę kłamał; a czasem grożą mi plagami, jak cicho siedzę. Wolałbym być nie wiem czem, niż błaznem; a jednakże nie chciałbym być tobą, wujaszku. Oberwałeś swój rozum z obu stron i nic nie zostawiłeś w pośrodku; oto jedna z tych obrywek.

(Wchodzi Goneryla).

Król Lir. Jak się masz, córko? Co znaczą te fałdy

Na twojem czole? Od pewnego czasu

Jesteś, uważam, bardzo zachmurzona.

Błazen. Walnym byłeś chłopcem, kiedyś nie potrzebował zważać na marsy; teraz jesteś zerem bez cyfry. Jam teraz lepszy od ciebie: jestem błaznem, ty niczem. — *(Do Goneryli).* W rzeczy samej trzeba mi zahamować język. Nakazuje mi to oblicze pani, choć usta jej nie mówią. Sza! sza!

Kto ma okruchy za nic i ochłapy,

Syty wszystkiego, z czasem liże łapy.

To wyluszczone strączek.

(Wskazuje na Lira).

Goneryla. Nie tylko ten Wasz wyuzdany trefniś,

Ale i inni z Waszego orszaku,

Milordzie, ciągle szerzą zamieszania

I niepokoje, bonując i brojąc

W sposób, zaprawdę, do zniesienia trudny.

Myślałam, Panie, że gdy Wam to podam

Do wiadomości, złe wkrótce ustanie;

Lecz teraz, po tem, coście świeżo rzekli

I uczynili, muszę się obawiać,

Czyli ten zdrożny tryb postępowania

Nie jest powagą Waszą osłonięty,

I czy go sami nie wywołujecie

Potakiwaniem swoim. W takim razie

Znalazłyby się kluby do ścieśnienia

Tych niesforności i surowa karność

Nie zaspąłaby sprawy. Ostre środki,

Zdolne przywrócić pożądany spokój,

Mogłyby wprowadzić, Panie, w biegu swoim

Przykrość Wam sprawić, i nam, w innym razie,

Być niegodnymi; w obecnym atoli

Byłyby krokiem z roztropnością zgodnym,

Który potrzeba nakazuje.

Błazen.

Tak jest,

Bo wiesz, wujaszku:

Wróbel kukułkę póty pielęgnuje,

Póki mu płód jej oczu nie wykluje.

Otóż i wypaliła się świeca i osiedliśmy w ciemności.

Król Lir. Jesteś ty moją córką?

Goneryla.

Drogi Panie,

Radabym, żebyś chciał się powodować

Zdrowym rozsądkiem, którego, wiem dobrze,

Masz po dostatku, i zbył się tych chimer,

Któreć stawiają od pewnego czasu

W sprzeczności z sobą samym.

Błazen. Przecież i osioł pozna się na tem, kiedy wóz ciągnie konia. — Brawo, Maciusiu, kocham cię!

Król Lir. Poznajeż mię tu kto? To nie ja jestem;

To nie Lir! Także Lir wygląda, mówi?

Gdzie jego oczy? Chyba jego zmysły

Stępały, jego umysłowe władze

Snem letargicznym zostały ujęte.

Czyliż ja czuwam? Nie, to być nie może.

Czemże ja jestem? Mów kto!

Błazen.

Cieniem Lira.

Król Lir. Gotówem temu uwierzyć, bo wedle

Królewskich oznak, pamięci i wiedzy,

Mógłbym być w błędzie, myśląc, że mam córki.

Błazen. Co chcą wychować posłusznego ojca.

Król Lir. Jak się zwiesz, piękna pani?

Goneryla. O, milordzie!

To zdumiewanie się nosi charakter

Innych wybryków Waszych. Chciejcie, proszę,

Wejść lepiej w moją myśl: bądźcie rozsądni,

Tak jak jesteście starzy i szanowni.

Utrzymujecie tu zgraję rycerzy

I giermków, ludzi tak rozpróżnionych,

Tak źle się prowadzących i burzliwych,

Że zarażony ich obyczajami

Dwór nasz karczemną ma postać. Hulactwo

I libertynizm czynią dom nasz raczej

Do szynkownianej podobnym gospody

I do zamtuza, niż do poważnego

Mieszkania książąt. Przyzwoitość sama

Każę zaradzić temu. Chciejcie zatem

Uczynić zadość prośbie tej, co może,

W przeciwnym razie, zadośćuczynienie

Mieć sama przez się, i zmniejszcie cokolwiek

Swój poczet; reszta zaś teraz i nadal

Niech będzie z ludzi statecznych złożoną,

Dbałych o własną sławę i o Waszą.

Król Lir. Do wszystkich piekieł i szatanów! — Hola!

Siodłajcie konie! niech się zbierze zaraz

Cały mój orszak! — Bękartko wyrodna!

Już ci się więcej naprzykrzać nie będę:

Jeszcze mam jedną córkę.

Goneryla. Bijesz, Panie,

Mych domowników i hałastra Wasza

Pomiata ludźmi lepszymi od siebie.

(Wchodzi książę Albanii).

Król Lir. Biada tym, którzy zapóźno żałują! —

(Do księcia).

Ha! to Wy, Panie. Czyliż się to dzieje

Z upoważnieniem Waszem? Odpowiedzcie. —

Osiodłać konie! hej! — O, niewdzięczności,

Czarna dyablico, z marmurowem sercem,

Tyś ohydniejsza od hipopotama,

Kiedy się jawisz w dziecku.

Ks. Albanii. Co to znaczy?

Milordzie, chciej się uspokoić, proszę.

Król Lir. Obrzydły sępie, kłamiesz: w mym orszaku

Są sami ludzie wybrani i zacni,

Znający dobrze swoje obowiązki

I umiejący ściśle utrzymywać

Godność imienia swego. — O, ty błahy,

Nic nie znaczący występku Kordelii,

Jakże ty wielkim wydał się w mych oczach!

Jakże ty mogłeś wstrząsnąć aż do głębi

Moje jestestwo i w żółć zmienić miłość?

(Bije się w głowę).

O Lirze, Lirze, Lirze, bij w tę bramę,

Przez którą weszło twoje zaślepienie,

A wyszedł rozum! — *(Do swoich).* Idźcie, moi ludzie.

Ks. Albanii. Jam nic nie winien, milordzie, i nie wiem,

Co Wasz gniew budzi.

Król Lir. Być może, milordzie. —

Słuchaj, naturo, ukochane bóstwo,

Słuchaj wezwania mego! Odmień zamiar,

Jeżeliś chciała potwór ten obdarzyć

Imieniem matki! uczyni ją nieplodną!

Zwarz w niej, wyjąłw organa rodzajne!

Niech jej zepsuta krew nie wyda nigdy

Dziecięcia, coby chlubę jej przyniosło!

Jeśli zaś tak jest już postanowionem,

Że jej udziałem ma być macierzyństwo,

Niech jej płód będzie zlewkiem wszelkiej złości

I dokuczliwym dla niej mąk narzędziem!

Niechaj wyrzyje zmarszczki na jej czole,

Wyciskanemi bez ustanku łzami

Niech jej zbróduje lica! za jej trudy,

Za odebrane od niej dobrodziejstwa,

Niech jej zapłaci śmiechem i pogardą!

By mogła uczuć, o ile dotkliwiej,

Niż ukąszenie zjadliwego gadu,

Boli niewdzięczność dziecka! — Precz stąd! precz stąd!

(Wychodzi z Kentem i orszakiem swoim).

Ks. Albanii. Na miłość bogów, których czcimy, powiedz,

O co to poszło?

Goneryla. Nie troszcz się o powód;

Zostawmy wolne pole przywidzeniu,

Co się wylęgło w niedołężnej głowie. *(Lir powraca).*

Król Lir. Jakto? za jednym machem pięćdziesięciu

Moich rycerzy i to w dwóch tygodniach?

Ks. Albanii. O, Panie, co to jest?

Król Lir. Dowiesz się zaraz. —

(Do Goneryli).

Do wszystkich śmierci! Aż się wstydzić muszę,
Że ty do tego stopnia mogłaś zatrzeć
Mym męskim duchem; że te zły gorące,
Które się gwałtem z mych ocz dobywają,
Płyną przez ciebie. Niech cię tknie zaraza!
Niezdolne nigdy się zbliżnić rany
Ojcowskich przekleństw niech przejmą i przeżrą
Wszystkie organa twoje! — A wy stare,
Dziewcinne oczy, jeślibyście jeszcze
Raz uroniły łzy nad tem, co zaszło,
Wyrwę was z niemi i w proch rzucę, byście
Błotem się stały. — Ha! niech i tak będzie!
Mam inną córkę, która, pewny jestem,
Będzie uprzejmą dla mnie i powolną.
Skoro jej twoje obejście się z mną
Będzie wiadomem, paznokciami ona
Rozszarpie twoją twarz wilczą. Zobacysz,
Znów ja przybiorę właściwą mi postać,
Której, rozumiesz, że zbyłem na zawsze.
Ręczę ci za to.

(Wychodzi).

Goneryla. Słyszałeś, milordzie?

Ks. Albanii. Przy całej mojej miłości dla ciebie,

Nie mogę tak być stronnym, Gonerylo.

Goneryla. Dajmy już temu pokój! — Hej! Oswaldzie!

(Do błazna).

A Waszmość z głupia-francie idź za panem.

Błazen. Zaczekaj, wujaszku, zaczekaj! weź z sobą swego
błazna.

Taka córka, gorsza Turka,
Nabawiłaby mię sznurka,
Pomimo mego kapturka:
A więc błazen daje nurka.

(Wychodzi).

Goneryla. Ten człowiek miał węch dobry. — Stu rycerzy!

Zapewne, toby było politycznie

I z bezpieczeństwem, dać mu mieć przy sobie

Aż stu rycerzy! by za lada szusem,

Lada fantazyą, lada urojeniem,
Za lada jaką skargą lub urazą,
Mógł siłą poprzeć swoje fanaberye
I miecz nam trzymać nad głową. — Oswaldzie!

Ks. Albanii. Może też zbyt się obawiasz.

Goneryla. Bezpieczniej

Zbyt się obawiać, niżeli zbyt ufać.
Wolę ja złemu, gdy się go obawiam,
Wcześniej kark łamać, niż wciąż się obawiać,
Aby mnie ono karku nie złamało.
Znam ja grunt jego. O tem, co objawił
Słowem i czynem, piszę do mej siostry;
Jeżeli ona, pomimo mych przestróg,
Zechce go trzymać i jego stu drabów...
Gdzież Oswald? — Oswald!

(Wchodzi Oswald).

Czy już napisany

List do mej siostry?

Oswald. Napisany, Pani.

Goneryla. Weź z sobą kilku ludzi i siądź na koń.

Przełóż jej, wyłuszc wszystkie me obawy,
I dodaj z swojej strony, co wypadnie,
Aby rzecz wzmocnić. Jedź, a wracaj prędko.

(Wychodzi Oswald).

Nie, nie, milordzie, nie mam ja ci za złe
Tej twojej mlekiem i miodem zaprawnej
Dobrotliwości serca, ale, wybacz,
Bardziej świat gani twój brak roztropności,
Niż twą szkodliwą łagodność pochwała.

Ks. Albanii. Nie chcę rozstrzygnąć, czy sądzisz zasadnie:

Kto lepsze goni, często w gorsze wpadnie.

Goneryla. A więc?...

Ks. Albanii. Czekajmy końca.

(Wychodzą).

SCENA V.

Dziedziniec w pałacu, tamże.

(Wchodzą: król Lir, Kent i Błazen).

Król Lir. Jedź waść naprzód z tym listem do miasta Gloster, powiedz mojej córce o tem, co wiesz; tylko tyle,

ile jej pytania, po odczytaniu listu, wyciągać będą. Jeżeli się nie będziesz bardzo śpieszył, stanę tam przed tobą.

Kent. Nie zmruję oka, milordzie, dopóki nie doręczę Waszego listu.

(Wychodzi).

Błazen. Gdyby mózg człowieka był w pięcie, nie byłoby narażony na odziebliznę?

Król Lir. Nieinaczej, mój synu.

Błazen. Bądźże wesół, wujaszku, twój rozum nie będzie nigdy potrzebował chodzić w papuciach.

Król Lir. Cha! cha! cha!

Błazen. Zobaczysz, że ta druga twoja córunia grzecznie się z tobą obejdzie; bo chociaż ona tak jest do tej podobna, jak leśne jabłko do sadowego, to dlatego wiem dobrze, to co wiem.

Król Lir. Cóż ty wiesz, mój robaku?

Błazen. Będzie do tej w smaku tak podobną, jak leśne jabłko do leśnego jabłka. A wiesz ty, wujaszku, dlaczego nos sterczy w środku twarzy?

Król Lir. Nie wiem.

Błazen. Dlatego, żeby po każdej jego stronie było jedno oko, i żeby człowiek mógł dojrzeć to, czego zwaćchać nie może.

Król Lir. Skrzywdziłem ją!...

Błazen. Wiesz, wujaszku, jakim sposobem ostrzyga urabia sobie skorupę?

Król Lir. Nie wiem.

Błazen. Ani ja; ale wiem, na co ślimak ma dom.

Król Lir. Na cóż?

Błazen. Na to, żeby weń głowę włożył; nie na to, żeby go oddał córkom i rogi swoje zostawił bez puzdra.

Król Lir. Wyrzekam się mojej natury. — Tak dobrym będąc ojcem! — Czy konie w pogotowiu?

Błazen. Osły już nie poszły. Powód, dla którego w grupie siedmiu gwiazd niema gwiazd więcej niż siedm, jest powodem extra ciekawym.

Król Lir. Bo ich niema ośm.

Błazen. W rzeczy samej; doskonały byłby z ciebie błazen.

Król Lir. Gwałtem odebrać będę musiał. — Potworna niewdzięczności!

Błazen. Gdybyś ty był moim błaznem, wujaszku, dostałbyś kije za to, żeś się przed czasem zestarzał.

Król Lir. Jakto?

Błazen. Nie trzeba ci się było zestarzyć, dopókiś nie zmrądrzał.

Król Lir. O, bogowie, nie dajcie mi oszaleć! Zachowajcie mi przytomność! Nie chciałbym oszaleć.

(Wchodzi jeden z rycerzy).

Czy konie w pogotowiu?

Rycerz. W pogotowiu, Panie.

Król Lir. Siadajmyż.

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Dziedziniec w zamku hrabiego Glostera.

(Wchodzi Edmund i Kuran ze stron przeciwnych).

Edmund. Dobry wieczór, Kuranie.

Kuran. I wam, milordzie. Byłem u waszego ojca i udzieliłem mu wieści, że książę Kornwalii z swą księżną Reganą tej nocy tu przybędą.

Edmund. Cóż ich sprowadza?

Kuran. Nie wiem. Słyszałeś, milordzie, o krążących nowinach, albo raczej o szeptanych? bo to są dotąd rzeczy podawane na ucho.

Edmund. Nie słyszałem o żadnych. Cóż to takiego?

Kuran. Nie słyszałeś o prawdopodobnie wiszącej wojnie między książętami Albanii i Kornwalii?

Edmund. Ani słowa.

Kuran. Więc kiedyś o tem usłyszysz. Żegnam cię, milordzie.

(Wychodzi).

Edmund. Książę tej nocy, tu? Dobrze, wybornie!

To się w me plany samo przez się wplata.

Mój ojciec wysłał strażę dla pojmania

Mojego brata, ja zaś mam przed sobą

Ślizkie zadanie, które spełnić muszę.

Przedsięwzięcia i fortune, sprzyjaj!

Bracie, znijdź, mam ci coś powiedzieć. Bracie!

(Wchodzi Edgar).

Nasz ojciec czujny; uciekaj, co żywo!
 Wyśladowano, gdzie jesteś ukryty.
 Uciekaj, póki czas, korzystaj z pory.
 Czyś ty co nie rzekł na księcia Kornwalii?
 On tu przybywa, teraz, w noc, tak nagle;
 A z nim Regana. Nie mówiłeś czego,
 Obstawając za nim na księcia Albanii?
 Pomyślno?

Edgar. Ani słowa, jestem pewien.

Edmund. Ha! słyszę kroki ojca. Wybacz, bracie:

Pozornie muszę miecz na ciebie dobyć;
 Wydobądź także; udaj, że się bronisz. —
 Poddaj się! pójdź do ojca! Hola! światła!
 Uciekaj! — Światła! hej! — Tak — bądź zdrow, bracie.

(Wychodzi Edgar).

Skoro cokolwiek krwi sobie utoczę,

(Rani się w ramię).

Utwierdzą przez to wiarę w tem gorętszą
 Moją żarliwość. Widziałem pijaków
 Robiących na żart gorsze rzeczy. — Ojczce!
 Stój! Stój! Nie znajdę pomocy?

(Wchodzi Gloster za nim słudzy z pochodniami).

Gloster. I cóż, Edmundzie, gdzie ten łotr?

Edmund. Przed chwilą

Stał tu w ciemności z gołym mieczem, mrużąc
 Dyabelski pacierz, zaklinając księżyc,
 Swe opiekuńcze bóstwo.

Gloster. Gdzież się podział?

Edmund. Patrz, panie, krew mnie broczy.

Gloster. Gdzie ten hultaj?

Edmund. Uszedł tą stroną, kiedy w żaden sposób
 Nie mógł...

Gloster. Ruszajcie w pogoni za nim, żywo!
 Co w żaden sposób?

(Wychodzą słudzy).

Edmund. Nie mógł mię nakłonić

Do odebrania życia Waszej Cześci.
 Gdy mu przekładał, że bogowie zemsty
 Wszystkie pioruny swoje obracają
 Na ojcobójców, gdy mu przypominał,
 Jak wieloliczne i jak silne węzły
 Jednoczą dzieci z ojcem, — słowem, panie,
 Gdy widział, z jakim wstrętem przyjmowałem

Namowy jego przeciwne naturze,
 W dzikim zapędzie natarł ostrym mieczem
 Na me bezbronne ciało, pchnął mię w ramię;
 Skoro atoli spostrzegł, że w poczuciu
 Mej dobrej sprawy zebrał władzę ducha
 I energicznie stanął z nim do walki,
 Może też krzykiem, jakimom narobił,
 Strwożony będąc, uszedł szybkim krokiem.
Gloster. Niech jak najdalej uchodzi; w tym kraju
 Niema dla niego oparcia, grób tylko.
 Szlachetny książę, mój pan i protektor,
 Dostojny zwierzchnik mój, zjeżdża tej nocy,
 Jego powagą poprę ogłoszenie,
 Że kto mi tego zbójckiego tchórza
 Pod miecz dostawi, zyska dzięki moje;
 Kto go ukryje — śmierć.

Edmund. Gdy go odwozili

Od zamierzonej zbrodni i, ujrawszy,
 Że trwa w swej złości, surowemi słowy
 Groził mu, że go wydam, odpowiedział:
 O ty bękarcki chłystku, czy rozumiesz,
 Że gdy ja fałsz ci zadam, twe zeznanie
 Będzie mieć jaką wagę, moc i wiarę?
 Nie ludź się próżno: czemu ja zaprzeczę
 (A przeczyć będę, chociażbyś mą duszę
 Żywem przedstawił), to się wnet obróci
 Przeciwko tobie, jako wymysł, dowód
 Intrygi twojej i złośliwych knoń: —
 Chybabyś musiał świat zamienić w dudka,
 Gdyby nie uznał, o ile dla ciebie
 Korzyść z mej śmierci jest potężnym bodźcem
 Do jej zadania.

Gloster. O, łotr pierwszej próby!

Mógłże on zaprzecić się własnego listu?

Nie, nie, on nie jest moim synem.

(Odgłos trąb).

To trąby księcia. Co go tu sprowadza,
 Nie wiem. Dokoła każę zamknąć bramy;
 Nie wymknie mi się nędznik. Książę musi
 Rozporządzenia me zatwierdzić. Przytem
 Każę rozesać wszędzie jego obraz,
 Aby go cały kraj dokładnie poznał;
 Wreszcie obmyślę środki, aby wszystkie,

Jakie mam, ziemie, wraz z całą iścizną,
Twoją, Edmundzie, stały się puścizną.
(*Wchodzi: księżę Kornwalii i Regana ze swoim orszakiem.*)

Ks. Kornwalii. Witaj, mój zacny przyjacielu! Cóż to?

Ledwim tu przybył (a to nastąpiło
Przed chwilą), dziwne doszły mnie nowiny.

Regana. Jeżeli to jest prawda, niema kary,
Którejby nie był godzien winowajca.

Jakże się miewasz, milordzie?

Gloster. O, Pani,
Cios ten mię złamał; stare serce moje
Spękane.

Regana. Jakto? Onże, ulubieniec

Mojego ojca, godził na twe życie?

On, co mu ojciec mój dał imię? Edgar?

Gloster. O, Pani, wstydyby rad to mieć ukrytem.

Regana. Czy on czasami nie miał związków z zgrają
Tych rozpasanych rycerzy, co tworzą
Orszak mojego ojca?

Gloster. Nie wiem, Pani.

To zgroza! zgroza!

Edmund. Tak jest, Pani, miał je.

Regana. Nie dziw więc, że był skłonny do niecnoty:

Oni to zabić mu kazali starca,

By mienie jego zająć i roztrwonić.

Dziś w wieczór właśnie dostałam od siostry

Bliższą wiadomość o nich, skutkiem której

Nie myślę nigdy być w domu potenczas,

Gdy oni zjadą w gościnę.

Ks. Kornwalii. Ja także,

Możesz być pewną. Edmundzie, słyszałem,

Że postąpiłeś sobie względem ojca

Prawdziwie po synowsku.

Edmund. Mości księżę,

To było moim obowiązkiem.

Gloster. Odkrył

Jego knowania i odebrał oto

Tę ranę, chcąc go przytrzymać.

Ks. Kornwalii. Czyś posłał

W pogoń za zdrajcą?

Gloster. Nieinaczej, Pani.

Ks. Kornwalii. Jeżeli będzie schwytyany, złość jego

Nie będzie nadal szkodliwą nikomu.

Rozrządzaj mocą moją według woli.

Ty zaś, Edmundzie, którego pocziwość

I przywiązanie synowskie obecnie

Tak jasno świeca, ty do nas należysz;

Potrzebujemy ludzi zaufanych:

Bądźże z nich pierwszym.

Edmund. Będę służył, Panie,

Źle albo dobrze, ale wiernie.

Gloster. Dzięki

Za niego składam Waszej Wysokości.

Ks. Kornwalii. Nie wiesz, pociśmy przybyli w twe prog.

Regana. O tak niewczesnej porze, w noc tak ciemną.

Okoliczności, szlachetny Glosterze,

Niepospolitej wagi, względem których

Potrzebujemy rady twej zasięgnąć,

Przyniewoliły nas do tych odwiedzin.

Ojciec nasz pisał, podobnież i siostra,

O pewnych zaszłych nieporozumieniach,

W przedmiocie których odpowiedź udzielić

Uważaliśmy za najstosowniejsze

Poza obrębem domu. Tu czekają

Na nią posłańcy. Daj folgę boleści,

Nasz doświadczony, dobry przyjacielu,

I zdrowej rady swej nam użycz w sprawie

Odwłoki nie cierpiącej.

Gloster. Służęć Pani.

Niech Księstwo Ichmość raczą się rozgościć.

(*Wychodzą.*)

SCENA II.

Przed zamkiem Glostera.

(*Wchodzi: Kent i Oswald z przeciwnych stron.*)

Oswald. Dobry świt, przyjacielu. Czyś tutejszy?

Kent. Ech!

Oswald. Nie wiesz, gdzieby tu można konie umieścić?

Kent. W błocie.

Oswald. Powiedz mi, jak mię kochasz.

Kent. Ja ciebie nie kocham.

Oswald. Kiedy tak, to się obejdę bez ciebie.

Kent. Obejście moje z tobą byłoby inne w innym miejscu!

Oswald. Dlaczego tak ze mną poczynasz, mój człowieku?
Ja ciebie nie znam.

Kent. Ale ja znam ciebie, mój robaku.

Oswald. Któż ja jestem, jeżeli mię znasz?

Kent. Hultaj, nequam, pieczeniarsz; nikczemny, próżny, brudny, pyszny a goły, strojny a głodny, niecnota w grubyh, wełnianych pończochach, tchórz, piszący pozwy za obrazę; zakochany w sobie, mizdrzący się, nadszkapujący, elegancki hultaj; infamis, gotów makarelować z wielkiej usłużności; co się ma za coś, a nie jest niczem innym, jak mieszaniną łotra, golca, tchórza, rajfura, synem nieodrodnym burej suki; którego zbiję na kwaśne jabłko, jeżeli zechce ująć choćby jedną literę z tych zaszczytnych tytułów.

Oswald. Cóż za okropny człowiek z waszmości, że tak jeździsz po mnie, który ani ci jestem znany, ani znam ciebie?

Kent. Co za bezwstydnny cham z wasana, żeby się zapierać mojej znajomości? Toż dopiero dwa dni temu, jakem ci w tył dał nogą i wygrzmocił cię przed królem. Dobądź żelazka, hultaju; chociaż to noc, ale miesiąc świeci: zmaceruję cię przy świetle miesiąca. (*Dobyya miecza*). Dobądź żelazka, mówię, ty plugawy, przemierzły golibrodo!

Oswald. Idź zdrów, nie mam nic z tobą do czynienia.

Kent. Dobądź żelazka, hultaju: nosisz listy przeciw królowi i służysz tej lalce wiatrem wydętej przeciw powadze jej ojca. Broń się, warchole, albo ci tak naszpikuję pieczeń — broń się!

Oswald. Ratunku! morderstwo! ratunku!

Kent. Broń się, psuabracie; stój! stój! ty wymuskany fufancie! broń się!

(*Bije go płazem miecza*).

Oswald. Hej! ratunku! morderstwo! morderstwo!

(*Wchodzą: księżę Kornwalii, Regana, Gloster, Edmund i służba*).

Edmund. Co to jest? Co się tu dzieje?

Kent. Do usług waszych, mój paniczku, jeżeli macie ochotę; pójdź, potańcujemy z sobą.

Gloster. Miecze dobyte! Co to znaczy?

Ks. Kornwalii. Stójcie, jeśli wam życie miłe: umrze,

Kto jeszcze zacznie. Co się to ma znaczyć?

Regana. To są postaćy siostry mej i króla.

Ks. Kornwalii. Jaki jest powód waszej kłótni?

Mówcie.

Oswald. Ledwie oddychać mogę, Panie.

Kent. Nie dziwota, takeś zhasał twe męstwo. Tchórzliwy niecnoto, natura wypiera się ciebie; szewc cię spółdził.

Ks. Kornwalii. Dowcipniś jakiś: szewc spółdzić człowieka!

Kent. Tak jest, szewc, Panie: żaden kamieniarz, ani malarz nie byłby go tak sfuszrował, choćby był parę godzin spędził przy pracy.

Ks. Kornwalii. Powiedźcie jednak, skąd przyszło do kłótni?

Oswald. Ten stary burda, com mu życiezczędził,

Przez wzgląd na jego siwą brodę...

Kent. Ty, nikczemny iksie, niepotrzebna litero. Mości księżę, pozwól mi, a zdepcę na miałkie wapno tego niepytlowanego hultaja i posmaruję nim miejsce, gdzie mój pan chodzi piechotą. Oszczędzałeś moją siwą brodę, ty pliszko?

Ks. Kornwalii. Milcz, gburze, nie znaszli uszanowania.

Kent. Znam, Panie, ale gniew ma swój przywilej.

Ks. Kornwalii. Cóż gniew twój budzi?

Kent. To, że taki nędznik,

Co nie ma w sobie i szczypty honoru,

Może miecz nosić. Takie infamisy,

Z wiecznym uśmiechem na ustach, jak szczury,

Święte częstokroć przegryzają węzły,

Co się rozwiązać nie dają; schlebiają

Niegodnym panów swoich namiętnościom;

Olej na ogień leją, a do chłodu

Ich usposobień dorzucają lodu;

Przeczą lub twierdzą, i jedneży doby

Zwracają swoje alcyońskie dzioby

W sto stron, skąd pański wiatr zachwycić mogą,

Jak psy umiejac iść tylko za nogą.

Przepadnij z swoim wykrzywianiem pyska!

Śmiejesz się z moich słów, jakbym plótt brednie?

Gąsiorze! gdybym był na błoniach Sarum!

Pogęgałbyś mi rzewnie do Kamlotu.

Ks. Kornwalii. Czyś ty szalony, starcze?

Gloster. Skąd poróżnienie wasze, to nam powiedz.

Kent. Niema przeciwieństw antypatyczniejszych

Jak ja i taki łotr.

Ks. Kornwalii. Za co go mienisz łotrem? Co ci zrobił?

Kent. Ot, nie podoba mi się jego mina.

Ks. Kornwalli. Może i moja nie, i jej i jego.

Kent. Szczerłość jest, Panie, mojem powołaniem.

Widziałem lepsze twarze w mojem życiu,
Niż te, co siedzą na którymbądź karku
Z tych, co je widzę w tej chwili.

Ks. Kornwallii. To jeden

Z tych urwipołciów, co, gdy ich pochwalisz
Za ich grubiaństwo, siłą się udawać
Szorstkość i grają rolę wręcz przeciwną
Swojej naturze. On schlebiać nie umie;
Pocziwa dusza: musi prawdę mówić;
Czy jej kto żąda, czy nie żąda. Znam ja
Takich hultajów: szczerłość ich ukrywa
Więcej chytrości i złego zamiaru,
Niż go ma w sobie tuzin głupowatych,
Kornych służalców, wykonywających
Swój obowiązek co do joty.

Kent. Panie,
W samej istocie, z całą otwartością,
Z czią dla wielkiego Waszego aspektu,
Którego wpływ podobien do kędziorów
Promienistego ognia, co migoce
Na czole Feba...

Ks. Kornwallii. Do czego to zmierza?

Kent. Do zastąpienia stylu, który zyskał tak wielką Waszą
nieaprobatę. Wiem, Panie, że nie jestem pochlebcą;
kto Was pod pozorem szczerłości oszukuje, ten jest
szczerym hultajem, jakimbym ja być nie chciał, choć-
byś Wasza Miłość z niełaski swojej raczyła tego żądać
ode mnie.

Ks. Kornwallii (*do Oswalda*). Czyliż mu waćpan w czym
[uchybił?

Oswald. W niczem.

Królowi, jego panu, tymi dniami,
W skutku jakiegoś nieporozumienia,
Podobało się mnie uderzyć; wtedy
On, pochlebając pańskiemu gniewowi,
Rzucił się na mnie z tyłu; powaliwszy
Zelżył mnie, okrył szyderstwem i przybrał
Minę człowieka dziwnie wielkiej wagi.
Otrzymał za to pochwały od króla,
Że upokorzył tak walecznie tego,
Co sam z natury swojej był pokornym;

I upojony sławą tego czynu,
Znów się tu do mnie przypiął.

Kent. Te niecnoty,

Tchórzem podszyte, tak się układają,
Że Ajaks obok nich wyda się błaznem.

Ks. Kornwallii. Przynieście dyby, nauczę ja ciebie,

Ty stary drabie, krnąbrny samochwale.

Kent. Za stary jestem, Panie, do nauki;
Cofnij swój rozkaz: ja służę królowi,
Który z zleceniem przysłał mię do Ciebie.

Byłby to wielki brak uszanowania;

Lekceważenie za śmiałe osoby
Mojego Pana, gdybyś jego służę
W dybach osadzał.

Ks. Kornwallii. Hej! przynieście dyby!

Jak honor kocham i życie, posiedzi

W nich do południa.

Regana. Do nocy, milordzie,

Nie do południa; nawet przez noc całą.

Kent. O, Pani, choćbym był psem twego ojca,

Nie powinnabyś tak na mnie nastawać.

Regana. Ale żeś jego ladaco pachotkiem,

Przeto nastaję. (*Przynoszą dyby*).

Ks. Kornwallii. Ten hardy niecnota

Jest najwyraźniej barwy tych, o których

Pisze nam siostra. Pakujcie go w dyby.

Gloster. Łaskawy książę, nie każ tego czynić.

Wielka jest jego wina, i niechybnie

Zacny król, jego pan, skarci go za to.

Kara, przez ciebie, Panie, zamierzona

Jest taka, jaką wymierzają ludziom

Najnikczemniejszym, najbardziej zhańbionym,

Za kradzież i za inne gminne zbrodnie.

Król za złe weźmie takie postąpienie

Z jego posłańcem i będzie w tem widział

Własną obrazę.

Ks. Kornwallii. Odpowiem ja za to.

Regana. Gorzej to może przyjąć moja siostra,

Że jej dworzanin był napastowanym

I znieważonym w spełnieniu jej zleceń.

Zaklamrujcie mu nogi. (*Zakładają dyby Kentowi*).

Pójdź, milordzie.

(*Wychodzą: Regana i ks. Kornwallii*).

Gloster. Żal mi cię, bracie. Tak się podobało
Księżciu, którego wola, jak wiadomo,
Nie cierpi ścieśnienia ani tamy. Będę
Prosił za tobą.

Kent. Dajcie pokój, panie.
Czuwałem długo i szybko jechałem;
Pół czasu prześpię, drugie pół przegwizdam.
Pocziwym ludziom zdarza się ugrzęznąć.
Życzę wam dnia dobrego.

Gloster. Krok ten księcia
Naganny; za złe będzie mu to wzięciem.
(*Wychodzi*).

Kent. Pocziwy królu, sprawdza się na tobie
Przypowieść: z deszczu trafiłeś pod rynnę.
Zbliź się, pochodnio ziemskiego padołu,
Bym mógł przy twoich rzeźwiących promieniach
List ten przeczytać. Nikt nie widzi cudów,
Tylko niedola: wiem to od Kordelii,
Która szczęśliwym trafem posłyszała,
Gdzie się obracam. Postara się ona
Ten anormalny stan rzeczy sprostować;
Wynajdzie środki. Trudem i niewczasem
Znużone oczy moje, korzystajcie
Ze sposobności, by na ten sromotny
Nocleg nie patrzeć. Fortuno! dobranoc!
Przybądź zdjąć ze mnie te drewniane kleszcze;
Obróć twe koło; uśmiejnij się jeszcze!
(*Zasypia*).

SCENA III.

Dzika leśna okolica.

(*Wchodzi Edgar*).

Edgar. Słyszałem imię moje wymówione,
Alem szczęśliwie uniknął pogoni,
Włazłszy w spróchniałe drzewo. Niema portu,
Niema jednego miejsca, gdzieby na mnie
Mnogie a czujne straże nie czyhały.
Dopóki tylko będę mógł, dopóty
Chronić się będę. Umyśliłem przeto
Przybrać na siebie postać tak nikczemną,

Tak odrażliwą, jaka kiedykolwiek,
Z ujmą ludzkości, do stanu zwierzęcia
Zbliżyła nędzę; twarz sobie pomażę
Błotem, łachmanem członki przyoblekę,
Włos sobie zbiję w kołtuniaste kłaki,
I tak w pół nagi stawiać będę czoło
Wiatrom i wszelkim dopuszczeniom niebios.
Za wzór mi będą do naśladowania
Znani w tym kraju bedlamscy żebracy,
Którzy, wydając jęki przeraźliwe,
Wrażają sobie w wychudłe ramiona
Szpilki, cierniowe kolce, ćwieki z trzmielu,
I oplakany tym widokiem, chodząc
Po dworkach, chałach, po młynach i hurtach,
Bądź to pokorni, bądź jak opętani,
Na biednych kmieciach wymuszają litość.
Biedny Edgarze, zostań biednym Tomkiem!
Będziesz przynajmniej czemś pod tym przydomkiem.
(*Wychodzi*).

SCENA IV.

Przed zamkiem Glostera.

(*Wchodzą: król Lir, Błazen i jeden z rycerzy*).

Król Lir. Rzecz dziwna, że tak wyjechali z domu,
Nie odprawivszy mojego posłańca.

Rycerz. Dniem wprzód, o ile słyszałem, nie było
O tym wyjeździe u nich ani mowy.

Kent. Cześć ci, szlachetny Władco.

Król Lir. Tam do licha!
Cóż to, czy bawisz się w hańbę?

Kent. Nie, Panie.

Błazen. Cha, cha! patrzcie, ten nosi podwiązkę nie lada.
Konie wiąże się za głowę, psy i niedźwiedzie za szyję,
małpy za biodra, a ludzi za nogi; kiedy nogi nie stat-
kują, dostają drewnianą obrozę.

Król Lir. Któż to do tego stopnia zapomina
Winnych mi względów, że cię tu osadził?

Kent. Dwoje ich, Panie, on i ona: syn twój
I twoja córka.

Król Lir. Nie.

Kent. Tak jest.
Krół Lir. Nie, mówię.
Kent. Tak jest, ja mówię.
Krół Lir. Nie, tegoby oni
 Nie uczynili.
Kent. Tak jest, uczynili.
Krół Lir. Nie, na Jowisza!
Kent. Tak jest, na Junonę!
Krół Lir. Oniby tego nie śmieli uczynić,
 Oniby tego nie mogli, nie chcieli;
 Taka zniewaga w miejsce czci należnej
 Byłaby jeszcze gorszą, niż morderstwo.
 Powiedz mi krótko ale szczegółowo,
 Jak mogłeś ściągnąć na siebie, a oni
 Taką ci krzywdę wyrządzić, gdyż przyszedł
 W naszym imieniu.
Kent. Panie, gdym im w domu
 Doręczył pismo Waszej Dostojności,
 Zanim powstałem z miejsca, gdzim na klęczkach
 Uszanowanie me ukazał, nadbiegł
 Konny posłaniec, usmażony w pocie,
 Ledwie zięjący, niosąc pozdrowienie
 Od Goneryli, swojej pryncypałki,
 I nie wytchnąwszy nawet, list im oddał,
 Który też oni zaraz przeczytawszy,
 Kazali służbie z największym pośpiechem
 Kulbaczyć konie; mnie zaś rzekli zimno,
 Abym za nimi jechał i zaczekał,
 Rychło do dania odpowiedzi znajdując
 Swobodną chwilę. Gdym więc tu przybywszy,
 Spotkał owego drugiego posłańca,
 Którego dobre przyjęcie widocznie
 Było powodem mniej dobrego dla mnie
 (A był to właśnie ten sam skurczypałka,
 Co się niedawno takiego zuchwałstwa
 Dopuścił względem Waszej Dostojności),
 Więcej krwi w sobie mając niż rozwagi,
 Dobyłem miecza; on wzruszył dom cały
 Tchórzowskim krzykiem, i występek taki
 Córka twa, Panie, i syn twój uznali
 Godnym sromoty, jaką tu ponoszę.
Błazen. Zima jeszcze nie przeszła, skoro dzikie gęsi tędy
 ciągną.

Tatuś chodzący w łatach
 Nabawia dzieci ślepoty,
 Niech chodzi w złotych szatach,
 A będzie znał ich pieczyoty.
 Fortuna, sproсна dyablica,
 Od biednych odwraca lica.
 Ale co się tyczy córek twoich, te ci policzków nie szczędzą.
Krół Lir. O, jak ta kolka prze mnie aż do do serca!
 Precz, lichu! żywiol twój zamart już we mnie.
 Gdzie jest ta córka?
Kent. Z hrabią, Panie, w zamku.
Krół Lir. Nie idźcie za mną, pozostawcie tutaj.
 (*Wychodzi.*)
Rycerz. Nie uczyniłeś nic więcej, jak tylko
 To, co mówiłeś?
Kent. Więcej nic. Dlaczego
 Król się z tak małym pocztem tu wyprawił?
Błazen. Gdybyś był wsadzony w dyby za to pytanie, nie
 dziwiłbym się bynajmniej.
Kent. Dlaczego, błaznie?
Błazen. Trzebaby ci pójść na naukę do mrówki, abyś wie-
 dział, że się nie pracuje w zimie. Kto idzie za wężem,
 tego wzrok prowadzi, wyjąwszy ślepych; a z pomię-
 dzy dwudziestu nosów niema i jednego, któryby nie
 poczuł kogoś, co cuchnie. Nie czepiaj się wielkiego
 koła, gdy się stacza z góry, bo cię pociągnie z sobą
 na złamanie szyi; ale kiedy wielkie koło idzie pod górę,
 dierz się go i gramol się za niem. Jeżeli jaki mędrzec
 da ci lepszą radę, to mi zwróć moją:
 Niech za nią idą hultaje,
 Ponieważ ją błazen daje.
 Kto, lubiąc na dwóch stołkach siadać,
 Dla zysku tylko służy,
 Ten drapnie, gdy deszcz zacznie padać,
 I rzuci cię wśród burzy.
 Ja wytrwam w szczęściu nieprzyjaznem,
 Niech mędrzec tył podaje:
 Odstępny kiep się staje błaznem,
 Kpem błazen się nie staje.
Kent. Gdzie ty się tego, błaznie, nauczyłeś?
Błazen. Nie w dybach, błaznie.
 (*Krół Lir powraca, Gloster za nim.*)
Krół Lir. Nie chcesz wyjść do mnie? Słabi są? znużeni?

Jechali całą noc? To są wybiegi,
Wstępne objawy buntu i zerwania!
Przynieś mi lepszą odpowiedź.

Gloster. O, Panie,
Znany ci księcia gwałtowny charakter,
Jego zaciętość, jego nieugiętość
W postanowieniach, które raz poweźmie.

Król Lir. Do wszystkich śmierci, plag i pomst! Gwałtowny
Jego charakter? Glosterze, Glosterze,
Ja chciałem widzieć się z Kornwalskim księciem
I z jego żoną.

Gloster. Tak, Łaskawy Panie,
Uwzględniłem ich.

Król Lir. Uwzględniłeś!
Człowieku, czy ty rozumiesz, co mówię?

Gloster. Jak najzupełniej, Miłoścy Panie.

Król Lir. Król chciał się widzieć z księciem; stary ojciec
Z swą własną córką; żąda od niej usług.
Uwzględni ich oni byli o tem?

Tchu mi brak, krew mi wre. Gwałtowny księżę?
Powiedźże temu gwałtownemu księciu...

Ale nie, czekaj; może on i chory,
W niemocy zwykle zaniedbuje człowiek
Tych obowiązków, których, zdrowym będąc,
Ściśle dopełnia; nie jesteśmy sobą,

Gdy w przygnębieniu naszego jestestwa
Duch nasz skazany na cierpienie z ciałem.
Nie chcę przesądzać; uniosłem się może
Niesprawiedliwie, biorąc chorobliwe
Uspokojenie za niechęć zdrowego.

(Spojrzawszy na Kenta).

Przekleństwo! za co ten człowiek tu siedzi?
Jawny w tem dowód, że ten wyjazd księcia
I jej jest tylko podstępem kuglarstwem.

Wyzwólcie go z tych pęt. Idź, powiedz księciu
I jego żonie, że chcę mówić z nimi
I to natychmiast; powiedz, żeby przyszli
I wysłuchali mnie: inaczej, każę
U drzwi ich izby pęty w trąbę walić,
Aż im wytrąbi: »zaśpijcie się na śmierć«.

Gloster. Radbym harmonię widzieć jak najlepszą
Między Waszemi Cześćmi.

(Wychodzi).

Król Lir. Biada tobie,
O, moje serce! moje wrzące serce!
Ale siedź cicho!

Blazen. Gadasz do serca, wujaszku, jak owa kucharka do
węgorzy, kiedy je żywcem w pasztet włożyła; uderzyła
je po łbach kijem i zawołała: »siedźcie cicho, figla-
rze!« Rodzonym jej bratem był ten, co to, jedynie
przez dobroć serca, siano swym koniom masłem po-
smarował.

(Wchodzą: księżę Kornwalii, Regana, Gloster i orszak).

Król Lir. Dzień dobry wam obojgu.

Ks. Kornwalii. Cześć Wam, Panie.
(Zdejmują dyby z Kenta).

Regana. Miło mi Waszą Wysokość oglądać.

Król Lir. Tak sądzę; sądzić tak, mam nie zły powód;

Gdyby inaczej było, wziąłbym rozwód
Z grobem twej matki, któryby pokrywał
Cudzołożnicę. *(Do Kenta).* A! jesteś już wolny;

O tem na potem. Ladaco masz siostrę,
Moja Regano, wraziła mi ona
Ząb niewdzięczności w serce, jak szpon sępa,
Nie wydam tego w słowach; nie uwierzysz,
Jak jej przewrotny umysł... O, Regano!

Regana. Miarkujcie, Panie, swą porywczosć. Tuszę,
Żeście wy raczej mniej zdolni ocenić
Jej wewnętrzną wartość, niż ona uchybić
Swym obowiązkom.

Król Lir. Hę? jak to rozumiesz?

Regana. Nie mogę myśleć, aby moja siostra
W najmniejszej części miała wyjść ze szranków
Swej powinności. Jeżeli, przypuszczam,
Chciała ukrócić niesforną swawolę
Twego orszaku, Panie, miała k'temu
Tak dobry powód i cel tak zbawienny,
Że to oddała od niej wszelki zarzut.

Król Lir. Przekleństwo moje niech ją wiecznie ściga!

Regana. O, Panie, jesteś stary; władze twoje
Już dobiegają mety: powinienbyś
Dać się prowadzić i kierować komuś
Z świeższym umysłem, któryby był zdolny
Dobro twe lepiej, niż ty sam, rozpoznać.
Proszę cię przeto, powrócić do mej siostry
I powiedz, żeś ją skrzywdził.

Król Lir. Ja ją prosić

O przebaczenie? Czyżes pomyślała,
Jakby to ojca powadze przystało,
Pójść i z pokorą do niej się odezwać:
»Kochana córko, przynaję, zem stary;
Starość nie radość; na kolanach błagam,
Abyś mi dała karm', odzież i schronę?»

Regana. Dość tego, drogi Panie; to są tylko
Przesadne treny! Wróć się do mej siostry.

Król Lir. Nigdy, Regano. Ona mi zmniejszyła
Mój wierny orszak do połowy; krzywo
Na mnie patrzała; ona swym językiem
Jak wąż mi nawskroś rozraniła serce.
Niech wszelkie pomsty niebios spadną razem
Na jej niewdzięczną głowę! Niech zjadliwe
Powietrzne wpływy na jej młode kości
Niemoc sprowadzą!

Ks. Kornwallii. Wstydź się, wstydź się, Panie.

Król Lir. Zlećcie ślepiący wasz blask, błyskawice,
W jej wzrok wżgardliwy! Zarażcie jej piękność,
Wy miazma, które z błot wyciąga słońce,
Skażcie i strawcie jej wdzięki!

Regana. O, nieba!
Tak samo będziesz mnie złorzeczył, Panie,
W nowym przystępie gniewu.

Król Lir. Nie, Regano,
Ciebie przekleństwo me nie dotknie nigdy;
Twoja natura tkliwa i wrażliwa
Na mój gniew nigdy nie narazi ciebie;
Jej oczy zioną ogień, twoje grzeją,
Ale nie palą. Tybyś nie umiała
Upodobaniom moim się sprzeciwić,
Zmniejszać mi służbę, miotać harde słowa,
Skąpić mi kęsa strawy, a na domiar
Ryglem zastawiać się przed mem przebyciem;
Ty znasz powinność dziecka, głos natury,
Winną uprzejmość, wdzięczność przynależną;
Nie zapomniałaś, zem ci dał na wiano
Połowę mego państwa.

Regana. Ależ, Panie,
Przystąp do rzeczy.

Król Lir. Kto śmiał w dyby wsadzić
Mojego sługę? (*Odgłos trąb*).

Ks. Kornwallii. Co znaczą te trąby?
(*Wchodzi Oswald*).

Regana. To trąby mojej siostry: potwierdzają,
Co mi pisała, że wkrótce tu będzie!
(*Do Oswalda*).

Czy przyjechała twoja pani?

Król Lir. Ten to
Hardy niecnota, zuchwały pyszałek,
Którego buta jak purchatka rośnie
Na płytkim gruncie łask tej, której służy.
Precz z moich oczu!

Ks. Kornwallii. Co Wasza Wysokość
Raczyła mówić?

Król Lir. Kto mojego sługę
W dybach osadził? Spodziewam się przecie
Ześ ty, Regano, o tem nie wiedziała.
(*Wchodzi Goneryla*).

Co widzę? O, wy liतोściwe bogi,
Jeśli sprzyjacie starcom, jeśli wasze
Łaskawe rządy cenią posłuszeństwo,
Jeżeli sami jesteście starymi,
To się ujmijcie za mną i ześlijcie
Znak współdziału swego w mojej sprawie.
(*Do Regany*).

Czy się nie wstydzisz, patrząc na tę brodę?
I ty ją bierzesz za rękę, Regano?

Goneryla. Dlaczegożby mię z nią brać nie miała?
Cóżem ja, Panie, uczyniła złego?
Nie wszystko bywa złem, co nierozsądek
Za złe uważa, dziecinność złem mieni.

Król Lir. O, moja piersi, z jakiegożes kruszcu,
Ześ jeszcze cała? — Jakim się sposobem
Mój człowiek dostał w dyby?

Ks. Kornwallii. Jam go, Panie,
Kazał w nie wsadzić; lecz postępkę jego
Zasługiwały na surowszą karę.

Król Lir. Waćpan się tego dopuściłeś? Waćpan?

Regana. Proszę cię, miły ojcze, będąc słabym,
Nie chciej się innym wydawać na zewnątrz.
Jeżeli wrócisz nazad do mej siostry
I będziesz u niej do końca miesiąca,
Połowę świty swojej odprawiwszy,
Sprowadź się potem do mojego domu.

Nie jestem teraz u siebie i brak mi
Zaopatrzenia w zapasy potrzebne
Na utrzymanie twoje.

Król Lir. Wrócić do niej?
I pięćdziesięciu ludzi mych odprawić?
Nie, wolę raczej zrzec się całkiem strzechy,
Walczyć z wszelkimi zmianami powietrza;
Żyć w towarzystwie sów i wilków, jęcząc
Pod ostrym zębem nędzy. Wrócić do niej!
Z równą łatwością przeniosłbym na siebie,
Żeby się udać do tego Francaza,
Z krwią wrzącą, który me najmłodsze dziecko
Wziął bez posagu, upaść na kolana
Przed jego tronem i na wzór pachołka
Błagać o jurgiel, bym mógł nadal marny
Wieść żywot. Wrócić do niej! Radź mi raczej
Zostać parobkiem i juczmem bydłciem
Tego fagasa. (*Wskazuje na Oswalda*).

Goneryla. Uczyni, jak chcesz, Panie.

Król Lir. O, moja córko, nie chciej, bym oszalał.
Nie będę tobie ciężarem; bądź zdrowa!
Już się nie ujrzym, nie spotkamy z sobą.
Tyś jednak mojem ciałem, tyś krwią moją,
Mojem dziecięciem — nie, raczej chorobą
W mem ciele, którą muszę mienić moją,
Narością raczej, wrzodem, karbunkulem,
Z krwi mej zepsutej powstałym. Nie będę
Jednak złorzeczył; niech uczucie wstydu
Przyjdzie, gdy zechce; ja go nie przyzywam,
Nie proszę władzy gromu, by uderzył,
Ni skargi na cię przed tron jego składam,
Wejdz w siebie, popraw się, jeżeli możesz:
Będę cierpliwie czekał tej przemiany;
Tymczasem mogę mieszkać u Regany,
Z poczem rycerstwa mego.

Regana. Nie tak bardzo.
Jam jeszcze na to nie liczyła; jeszcze
Nie jestem, Panie, tak, jakby przystało,
Przygotowaną na twoje przyjęcie.
Słuchaj, co siostra mówi; bo kto patrzy
Rozsądnem okiem na twe uniesienie,
Ten musi sobie powiedzieć, żeś stary,
A zatem... ale ona wie, co robi.

Król Lir. Czy to z namysłem powiedziane?
Regana. Mogęć

Zapewnić, Panie. Pięćdziesięciu ludzi!
Czy to nie dosyć? Na co ci ich więcej?
A nawet tyle, gdy koszt, a co gorsza
Niebezpieczeństwo przemawiają przeciw
Tak wielkiej liczbie? Czyżby w jednym domu
Taka moc ludu pod dwoistym rządem
Mogła żyć w zgodzie? Trudnemby to było,
Do osiągnięcia nawet niemożliwym.

Goneryla. Czyliżbyś nie miał, Panie, dostatecznej
Obsługi od jej ludzi lub od moich?

Regana. Zapewne; gdyby zaś który z nich chybił,
Naówczasabyśmy mogły go ukarać.
Jeżeli zechcesz do mnie przybyć, Panie,
Proszę cię bardzo (teraz bowiem widzę
Niebezpieczeństwo), przywiedz z sobą tylko
Dwudziestu pięciu ludzi: większej liczby
Nie będę mogła zmieścić ni opatrzyć.

Król Lir. Dałem wam wszystko...

Regana. I w właściwą porę.

Król Lir. Siebie i mienie me wam powierzyłem,
Z warunkiem, abym przy sobie zachował
Tych stu rycerzy. Jakto! Mogęć tylko
Przybyć do ciebie z dwudziestu pięcioma?
Takżeś mówiła, Regano?

Regana. Tak, Panie;
Powtarzam jeszcze raz i na tem kończę.

Król Lir. Tak szpetne monstra mogą się jednakże
Obok szpetniejszych wydawać pięknymi!
Nie być najgorszym, jest to już zaletą
W zepsuciu tego świata.

(*Do Goneryli*).

Pójdę z tobą.

Twoje pięćdziesiąt jest w dwójnasób większe,
Niż jej dwadzieścia pięć, i twoja miłość
W dwójnasób większą jest od jej miłości.

Goneryla. Słuchaj mię, Panie: na co ci konieczne
Dwudziestu pięciu ludzi mieć przy sobie,
Dziesięciu nawet, a wreszcie i pięciu,
W domu, gdzie dwakroć tylu czekać będzie
Na twoje rozkazy?

Regana. Na co i jednego?

Król Lir. O, nie rozumiem o ścisłej potrzebie.

Ostatni żebrak ma jeszcze w swej nędzy

Coś zbytkownego. Nie dawaj nikomu

Więcej, niż tego natura wymaga;

Życie człowieka takie, jak bydlęce.

Ty pani, strojnie chodzisz; czyż jedynie

Dłatego strojnie chodzisz, że strój grzeje?

Do utrzymania życia czyż potrzeba

Tych strojów, które ciepła dać nie mogą?

O, co się tyczy prawdziwej potrzeby,

Bogowie, dajcie mi cierpliwość! tej ja

Przed wszystkim innem potrzebuję. Patrzcie,

Oto tu stoi biedny starzec, wiekiem

I cierpieniami równie przygnieciony,

Dwakroć nieszczęsny. Jeśli to wy serca

Tych córek przeciw ojcu podniecacie,

Nie chcecie, abym to łagodnie znosił,

Słusznym zapalcie mię gniewem, nie dajcie

Wodnistym kropłom, tej niewieściej broni,

Męskich lic moich kazić. Nie, potwory,

Wywrę ja na was zemstę taką, taką,

Że się świat cały — zrobię coś takiego,

Że — nie wiem jeszcze co; będzie to jednak

Coś okropnego, strasznego. Myślicie,

Że płakać będę, nie, nie będę płakał.

Mam wprawdzie nadmiar powodów do płaczu,

Ale to serce zdruzgoce się prędzej

Na milionowe części, nim zapłaczę.

O, głupiec! blizki jestem oszalenia.

(Wychodzą: król Lir, Gloster, Kent i Blazen).

Ks. Kornwalii. Pójdźmy stąd, burza będzie.

(Słychać grzmot w oddali).

Regana. Dom ten mały:

Nie zmieści tego starca z jego świtą.

Goneryla. Sam sobie winien; zatrął sobie spokój

I znosić musi skutki swej głupoty.

Regana. Jego samego chętniebym przyjęła

Ale żadnego z jego zauszników.

Goneryla. I ja toż samo. Gdzie jest milord Gloster?

(Gloster wraca).

Ks. Kornwalii. Poszedł za starcem. Lecz oto powraca.

Gloster. Król zagniewany jest w najwyższym stopniu.

Ks. Kornwalii. Dokądże jedzie?

Gloster. Każę na koń siadać,

Lecz dokąd udać się zamierza, nie wiem.

Ks. Kornwalii. Najlepiej wolną zostawić mu drogę,

Skoro sam chce się prowadzić.

Goneryla. Milordzie,

Nie proś go przecie, aby tu pozostał.

Gloster. Niestety, noc się zbliża, ostry wicher

Rażąco ryczy; na kilka mil w koło

Ledwie się krzak gdzie znajdzie.

Regana. Trudna rada;

Kto jest upartym, panie, temu bieda,

Którą niebacznie sam sobie gotuje,

Musi być szkołą. Każ pan zamknąć bramy:

Ma on garść ludzi na wszystko gotowych,

A co ta gawieź mogłaby mu poddać,

Bacząc na jego łatwość do namowy,

Temu roztropność każę nam zapobiedz.

Ks. Kornwalii. Tak, tak, każ, hrabio, pozamykać bramy.

Burza tuż, schrońmy się, skoro dach mamy.

(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Dzika okolica. Burza, grzmoty i błyskawice.

(Kent i jeden z rycerzy Lira wchodzą z przeciwnych stron).

Kent. Kto tu jest, oprócz burzy?

Rycerz. Człowiek, również

W najwyższym stopniu wzburzony.

Kent. Poznając.

Gdzie król?

Rycerz. W zapasach ze wściekłym żywiołem.

Zaklina orkan, by ziemię zwiął w morze

Lub podniósł morze na zalanie ziemi;

By wszystko mogło zmienić się lub przepaść.

Wyrywa sobie biały włos, któremu

Szalony wicher, miecąc nim z bezwzględną

Natarczywością, zdaje się urągać.

Chce on w swym małym ludzkim świecie wzgardą

Przewyższyc wzgardę wiatrów i ulewy.
W tę noc, gdy w głębi swego matecznika
Chętnie wyssana niedźwiedzica leży,
Gdy lew i głodny wilk od przemoknięcia
Rad zabezpiecza skórę: on harcuje
Z odkrytą głową i wyzywa wszystko,
Coby się mogło zdarzyć.

Kent. Któż jest przy nim?

Rycerz. Nikt, oprócz błazna, który usiłuje
Żartami ulżyć ranom jego serca.

Kent. Znam cię, rycerzu, i na mocy tego,
Co wiem o tobie, nie waham się ważną
Rzecz ci poruczyć. Pomiedzy zięciami
Króla, albańskim i kornwalskim księciem,
Panuje skryte rozdwojenie, skryte,
Bo obaj jeszcze kryją mu oblicze
Maską chytrości. Mają oni sługi
Niby przychylnie (i któż nie ma takich,
Kogo szczęśliwa gwiazda w górę wzniosła
I posadziła na tron), sługi, mówię,
Co są szpiegami francuskiego króla
I wiedzą, co się dzieje: jaka niechęć
Rozdziela książąt i co wzajem knują,
Jak ciężkie jarzmo wtłoczyli na tego
Zacnego króla, i o innych rzeczach,
Które tkwią głębiej, a do których może
Wszystko poprzednie było tylko wstępem.
Co wszakże pewnem jest, to to, że z Francji
Przybywa wojsko w ten kraj skołatany.
Już ono, mądrze korzystając z naszej
Opieszałości, umiało się dostać
Do kilku naszych portów i niebawem
Sztandar rozwinie. — Słuchajże, rycerzu:
Jeżeli moim słowom tak dalece
Zaufać zechcesz, że się śpiesznie udasz
Do Dowru, znajdziesz tam kogoś, co wielce
Będzie ci wdzięcznym, gdy mu wiernie skreślisz
Ten do szaleństwa przywodzący ucisk,
Jakiego król doznaje. Jestem, panie,
Szlachcicem czystej krwi i na zasadzie
Pewnych rękojmi, jakie co do ciebie
Posiadam, tobie powierzam tę czynność.

Rycerz. Pomówim o tem później.

Kent. Nie, nie później.
Byś się przekonał, że jestem czemś więcej,
Niż się wydaję, weź ten trzos, rycerzu,
I przyjm ode mnie to, co się w nim mieści.
Skoro zobaczysz Kordelię (a nie wątp,
Że to nastąpi), pokaż jej ten pierścień,
A onać powie, co to był za jeden,
Co mówił z tobą. — Cóż to za szturm! Idę
Poszukać króla.

Rycerz. Daj mi rękę, panie.
Nie maszli więcej nic do powiedzenia?

Kent. Idź waćpan w tamtą stronę, ja w tę pójdę;
Komu się uda pierwej znaleźć króla,
Ten niech drugiemu krzyknie: hop!
(*Wychodzą w przeciwnie strony.*)

SCENA II.

Ta sama okolica w innej stronie. Burza nieustająca.
(*Wchodzą: król Lir i Błazen.*)

Król Lir. Dmijcie, wichrzyska, aż wam miechy pękną!
Dmijcie, wściekajcie się! Plujcie powodzią
Wy, katarakty, i wy, uragany,
Aż zatopicie wieże po szczyt kopu!
Wy, siarką tchnące, jak myśl chyże błyski,
Zwiastuny dęby druzgocących beltów,
Osmalcie biały mój włos! a ty, gromie
Wszystko niszczący, splaszcz twardy krąg świata,
Zgnieć wszelkie kształty przyrodzenia, zniwecz
Wszelkie zarody niewdzięcznej ludzkości!

Błazen. O, wujaszku, jałowcówka we dworze lepsza, niż
deszczówka na dworze. Kochany wujaszku, wejdz do
izby i proś córek o błogosławieństwo: jest to jedna
z tych nocy, co ani nad mędrcom, ani nad głupcem
nie mają litości.

Król Lir. Grzmijcie pioruny! lej, dżdzu! pryskaj, ogniu!
Deszcz, wiatr, grom, ogień, to nie moje córki.
Ja was, żywioty, nie winię o srogość:
Nic wam nie dałem, nie zwałem was dziećmi;
Wy obowiązków względem mnie nie macie:
Ciągnijcie dalej swe straszne igrzyska.

Oto tu stoję, jako wasz niewolnik,
Ja, starzec biedny, słaby i wzgardzony,
A przecież wręcz was mienię służalcami,
Bo, pomagając dwom wyrodnym córkom,
Zastępy swoje, z górnych sfer wiedzione,
Zwracacie przeciw takiej jak ta głowie,
Starej i siwej. O! o! to niegodnie!

Błazen. Dobry ma szturmak, kto ma dom, gdzieby przed
szturmem wścibił głowę.

Gdy serce ma swój dom,
Nim głowa ma takowy,
Na budę zda się psom
Los serca i los głowy.
A kto swym piętom da
To, co miał sercu dać,
Nagniotki w zysku ma
I czuwa zamiast spać.

Taka to prawda, jak to, że niema pięknej kobiety,
coby się nie mizdrzyła przed zwierciadłem.

Król Lir. Nie, będą odtań wzorem cierpliwości;
Nic już nie powiem.

(Wchodzi Kent).

Kent. Kto tu?

Błazen. Wspaniałomyślność i jej towarzysz, to jest mę-
drzec i błazen.

Kent. Ach! Wy tu, Panie? Twory, co noc lubią,
Nie lubią przecie takiej: ten gniew niebios
Zapędza nawet wędrowców ciemności
Do ich kryjówek. Odkąd jestem mężem,
Nie przypominam sobie, abym kiedy
Był świadkiem takich ognistych wybuchów,
Takiego huku piorunów, takiego
Wycia i ryku wichrów i ulewy.
Ludzka natura nie może wytrzymać
Podobnej chłosty i zgrozy.

Król Lir. Bogowie,
Co tak okropnie wrzecie ponad nami,
Wynajdźcie teraz swych wrogów. Drzyj, zbrodniu,
Co w sobie nosisz tajone przestępstwa,
Których nie dosięgł bicz sprawiedliwości.
Ukryj się, krwawa ręko; wiarołomco,
I ty, świętoszku, co płaszczyłem cnoty
Ostniasz czyny kazirodne, truchlej.

Krusz się na części, szalbiertz bez serca,
Coś pod uprzejmym i gładkim pozorem
Godził na ludzkie życie. Wy, głęboko
Zamknięte winy, rozsądźcie swą uwięź
I żebrzcie łaski tych strasznych mścicieli.
Co do mnie, więcej względem mnie zgrzeszono,
Niż sam zgrzeszyłem.

Kent. Ach! Wy z gołą głową!

Łaskawy Panie, jest tu podle kletka,
Coć jaką taką da schronę przed burzą.
Spocznij tam; ja zaś pójdeż zakołatać
Do tego domu twardszego niż głazy,
Z których wzniesiony został, a którego,
Gdym się o ciebie dowiadywał, świeżo
Zamknięto bramy przede mną. Spróbuję,
Może mi uda się wymódz tym razem
Choć skąpą litość.

Król Lir. W głowie mi się miesza. —
Pójdź, chłopcze. Jakże się czujesz, mój chłopcze?
Zimno ci? i mnie zimno. Gdzie ta kletka?
Dziwna jest własność braku: on nam może
Najlichszy przedmiot uczynić szacownym. —
Pójdźmy do owej kletki. Biedny błaznie,
Jeszcze mi cząstka serca pozostała,
I ta boleje nad tobą.

Błazen *(śpiewa).*

U kogo rozum gra rolę poślednią,
Ten musi śpiewać wśród dżdżu i zawiei,
Zgadzać się z losem, gdy mu się nie klei:
Boć przeciwności są rzeczą powszednią.

Król Lir. Prawda, mój chłopcze. —

(Do Kenta).

Pójdź, wskaż nam tę kletkę.

(Wychodzi z Kentem).

Błazen. To mi noc, zdolna ochłodzić najgorętszą babę. —
Powiem jedno proroctwo, nim pójdeż:
Gdy księdza poznasz z dzieł, nie słów wyvodu;
Piwowar wodą psuć nie będzie słodui;
Szlachta pożyczac będzie w dobrej wierze;
Gdy lica płonąć będą, nie kacerze;
Gdy sędzia żadnych brać nie będzie danin;
Bez długów będzie i pan i dworzanim;
Gdy złość porzuci swoje kręte ścieżki;

W ciżbę nie będą wchodzić rzezimieszki;
 Lichwiarze w polu liczyć będą wory,
 A nierządnicę fundować klasztor;
 Wtedy przyjdzie do gomonu
 W wielkiem państwie Albionu;
 Wtedy czas przyjdzie, że modą dziwaczną,
 Na nogach u nas ludzie chodźć zaczną.
 Przekazuję to prorocstwo Merlinowi, który ma przyjść
 po mnie. *(Wychodzi).*

SCENA III.

Pokój w zamku Glostera.

(Gloster i Edmund).

Gloster. O, Edmundzie, nienaturalny ten postępek oburza mnie. Gdym ich prosił, aby mi pozwolili nad nim się zmiłować, odjęli mi prawo użytkowania z własnego mego domu; pod karą wiecznej nielaski zabronili mi mówić o nim, wstawiać się za nim i wspierać go w jakibądź sposób.

Edmund. Co za srogość naturze przeciwna!

Gloster. Cicho, cicho; nie mów nic o tem, co ci powiem. Książęta nasi są z sobą na bakier, nawet na gorszej jeszcze stopie. Odebrałem tej nocy list — niebezpieczna rzecz o tem mówić — schowałem ten list w moim gabinecie. Ciężkie krzywdy, jakie król teraz ponosi, będą pełna pomszczone. Część wojska już wyładowała. Trzeba nam stać po stronie króla. Pójdę go wyszukać i wesprzeć potajemnie. Idź ty do księcia i zabaw go rozmową, aby ten mój krok miłosierny uszedł jego oka. Jeżeli się o mnie zapyta, powiedz mu, że m zasłał i poszedł do łóżka. Chociażbym miał śmiercią to przyplącić, jak mi tem i zagrożono, muszę dać pomoc memu staremu panu. Ważne się rzeczy gotują. Proszę, cię, Edmundzie, bądź ostrożny.

(Wychodzi).

Edmund. O tem współczuciu książę, z przeproszeniem,
 Dowie się zaraz i o liście także.
 Będzie to, sądzę, zasługą nielada
 I płodną w skutki: co ojciec postrada,

Tem niezawodnie książę mnie obdarzy.
 Wznoszą się młodzi, gdy padają starzy.
(Wychodzi).

SCENA IV.

Dzika okolica. Lepianka na boku. Burza nieustająca.

(Wchodzą: król Lir, Kent i Blazen).

Kent. Tu jest ta chata; wnijdź, kochany Panie:
 Żadna żyjąca istota nie zniesie
 Takiej tyrańskiej nocy.

Król Lir. Daj mi pokój.

Kent. Wnijdź do tej chaty, Miłościwy Panie.

Król Lir. Czyś się ty zawziął na mnie?

Kent. O, wolałbym

Na siebie raczej. Wnijdź, kochany Panie.

Król Lir. Tobie to bardzo zdaje się dotkliwym,

Że nas ta wściekła burza wskroś przemacza;

Ale gdzie większa dokuczca choroba,

Tam mniejszej prawie się nie czuje. Zadrżysz

Wobec niedźwiedzia i uciekniesz przed nim;

Ale jeżeli uciekając trafisz

Na zbałwanione morze, wtedy chętnie

Popatrzysz oko w oko niedźwiedziowi.

Gdy duch spokojny, wtedy ciało czułe;

Burza w mej duszy mym zmysłem odbiera

Uczucie wszelkie, nie czuję nic, tylko

To, co nurtuje tu: niewdzięczność dzieci.

Czyliż to nie tak, jak gdyby te usta

Gryzły tę rękę, za to że im hojnie

Karm' podawała? — O, ależ je skarzę! —

Nie, już nie będę płakał. — W taką porę

Wypchnąć mnie! — Niechaj leje, nic nie szkodzi. —

W taką noc! — O, Regano! Goneryło! —

Starego ojca, co w dobroci serca

Wszystko wam oddał, — och! och! na tej drodze

Grozi szaleństwo; muszę jej unikać;

Dość tego.

Kent. Drogi Panie, wejdz do chaty.

Król Lir. Wejdz ty sam, proszę cię; dbaj sam o siebie.

Ta burza nie da mi myśleć o rzeczach

Gorzej trapiących. — Pójdę ja tam potem. —

(*Do błazna*).

Wędz ty wprzód, chłopcze. Ty bezstrzeszna biedo,
Idź, schroń się. Ja się pomodłę i zasnę.

(*Błazen wchodzi do chaty*).

Nadzy biedacy, w którejbaż wy stronie

Znosicie ostre pociski powietrza,

Jak mogą wasze głowy bez okrycia,

Wasze od głodu wycieńczone członki,

Pod rozpadłymi fuchmanami, obstać

Wśród takiej jak ta burzy? O, jak mało

Myślałem o tem dotąd! Weź lekarstwo,

Królewski zbytku, doświadcz dobrowolnie

Co czuje nędza, byś jej zstrząśł swój nadmiar

I z winy obmył sprawiedliwość niebios!

Edgar (*w chacie*). Półtora sążnia! półtora sążnia! Biedny

(*Błazen wybiega z chaty*). [Tomek.

Błazen. Nie wchodzi tam, wujaszku; tam duch siedzi. Na pomoc! na pomoc!

Kent. Dajno mi rękę. — Kto tam jest?

Błazen. Duch, duch; nazywa siebie biednym Tomkiem.

Kent. Co ty za jeden, co tam mruyczysz w słowie? Wyjźd!
(*Wchodzi Edgar, przebrany za waryata*).

Edgar. Biada mi! zły wróg przyszedł mię dręczyć! —

Przez ostre ciernie wieje wiatr zimny. —

Brr! idź do łóżka i rozgrzej się.

Król Lir. Czyś ty twe całe mienie oddał córkom,

I stąd przyszedłeś do takiego stanu?

Edgar. Nie dacie tam czego biednemu Tomkowi, którego zły wróg prowadził przez rozżarzone węgle i płomie- nie, przez fale i prądy, przez bagna i trzęsawy; któ- remu podłożył noże pod poduszkę, zastawił żelazka pod ławą, wrzucił do rosołu pigułki na szczury; któremu wbił w głowę, żeby na bystrym rumaku jechać przez kładki na cztery cale szerokie i ścigać cień własny, jak zdrajcę. — Pokój waszym pięciu klepkom! — Tomkowi zimno! brr! Niech was bogowie chronią od złych wia- trów, złych gwiazd i złych wyziewów! Dajcie wspo- możenie biednemu Tomkowi, któremu zły wróg doku- kucza. Oto go teraz macie tu — oto tam — i owdzie — i tam znowu i tam.

Król Lir. Czy go do nędzy tej córki przywiodły? —

Nie ocaliłeś nic? wszystkoż im dałeś?

Błazen. Owszem, zachował sobie płachtę; inaczejbyśmy wstydzić się musieli za niego.

Król Lir. Niechajże wszelkie plagi, na skaranie

Występków ludzkich w powietrzu wiszące,

Spadną na twoje córki!

Kent. On nie ma córek, Miłościwy Panie.

Król Lir. Zdrajca, kto przeczy! nic nie może wprawić

Ludzkiej istoty w takie poniżenie,

Tylko niewdzięczne córki. Czy to teraz

Jest modą, żeby wygnani ojcowie

Tak się pastwili nad swem własnem ciałem?

Słuszna pokuta! Czyliż nie to ciało

Tym pelikana córkom życie dało?

Edgar. Cierp, ciało, kiedy ci się chciało. — Holala! holala!

Błazen. Ta noc wy kieruje nas wszystkich na błaznów i na waryatów.

Edgar. Strzeżcie się złego wroga, słuchajcie rodziców; do- trzymujcie słowa; nie knijcie; nie nakłaniajcie niewiast do grzechu; nie wbijajcie w pychę serc waszych. — Tomkowi zimno.

Król Lir. Czemeś ty był, człowieku?

Edgar. Gachem, zalotnikiem; z fumami w głowie i w sercu; co sobie włos trefił, rękawiczki nosił u kapelusza, do- gadzał chęciom damy swego serca; co tyle przysiąg ile słów nagadał, a wszystkie złamał w oczach nieba; co zasypiał, układając rozkoszne plany, a budził się, aby je wykonać. Wino wściekle lubiłem; grę w kości szalenie, a przy kobietach zakasowywałem sultana. By- łem gnuśny, jak wieprz; układny, jak lis; żarłoczny, jak wilk; lubieżny, jak pies; jak lew, chciwy zdobyczy. Niech skrzywienie trzewików lub chrzest jedwabnych sukien, zapowiadając zbliżanie się kobiety, nie czyni oskomy biednemu twemu sercu; niech noga twoja nie tyka fryerskich progów, ręka twoja podwiki, pióro twoje weksłów: a zły wróg nic ci nie zrobi. — Cią- gle przez ciernie wieje wiatr zimny, świszczce: gwiiii, biada! — Delfinie, mój synu, puść ich, niech przejadą!
(*Burza trwa ciągle*).

Król Lir. Biedaku, lepiej ci być w grobie, niż z tak obnażonem ciałem znajdować się w tej nawałnicy. — Czyliż człowiek jest tylko tem? niczem więcej? Przy- patrzcie mu się. On robakowi nie winien jedwabiu, owcy wełny, piźmowcowi pachnidła. My trzej jesteśmy

zamalgamowani, on jest czystym metalem. Człowiek właściwy niczem więcej nie jest, jak takim biednym, nagiem, dwunożnym zwierzęciem. — Precz, pożyczone przydatki! — Pójdźcie mnie rozpiąć, hej!

(Zdziera z siebie szaty).

Blazen. Proszę cię, wujaszku, uspokój się; nie dobra to noc na kąpiel. — Terazby mały ogień w polu był tem, czem serce starego zalotnika: mała iskierka, a reszta ciała zimna. — Patrzcie, oto się zbliża chodzący ogień.

Edgar. To zły wróg, Flibbertygibet; zaczyna on swoje wędrówki równo z odgłosem wieczornego dzwonu, a kończy z pierwszym zapianiem kura; sprowadza na oczy łuszczki i skałki; spojrzawszy zezem, rozszczepia ludziom wargi w kształt zajęczych; rzuca śnieć na białą pszenicę i męczy biedne ziemskie stworzenia.

Święty Witalis szedł polnym szlakiem,
Wtem spotkał zmorę z jej sióstr orszakiem;

Więc krzyknął jej:

Hej! z drogi hej!

A kysz! a kysz! a kysz!

(Wchodzi Gloster z pochodnią).

Król Lir. Kto to jest?

Kent. Ktoś ty? i pocios tu przyszedł?

Gloster. Kto wy jesteście! Jakie wasze miana?

Edgar. Jam biedny Tomek, co jada żaby, ropuchy, kijanki, jaszczurki ziemne i wodne; co przywieziony do rozpaczy, gdy mu zły wróg dopieka, łajna je zamiast sałaty; pożera stare szczury i zdechłe sobaki; spija zieloną śmietankę ze stojących kałuż; co bywa przepędzany od gminy do gminy, biczowany, kuty w dyby i więziony; co miał kiedyś trzy suknie na skrycie grzbietu, sześć koszul na okrycie ciała, konia do jazdy i miecz do przypasania.

Lecz myszy, szczury i inne robaki,

Te, od lat siedmiu, są Tomka przysmaki.

Strzeżcie się mego prześladowcy. Cicho, Smolkin! cicho, wrogu!

Gloster. O, Panie, także twoje towarzystwo?

Edgar. Książę ciemności jest szlachcicem; nazywa się Modo i Mahu.

Gloster. Nasza krew, Panie, tak się zbeczcześciła,
Że jej musimy kłać.

Edgar.

Tomkowi zimno.

Gloster. Pójdź, Miłościwy Panie. Moje serce
Nie może uledeć woli twoich córek.

Choć mi kazały zamknąć bramy zamku

I pozostawić cię na łup tej nocy

Nielitościwej, ważyłem się jednak

Pójść cię wyszukać, bym cię zaprowadził

Tam, gdzie cię czeka ogień i wieczera.

Król Lir. Niechno pomówię wprzód z tym filozofem.

Co jest przyczyną grzmotów?

Kent.

Drogi Panie,

Przyjm tę ofiarę; idź, gdzie cię wzywają.

Król Lir. Chcę wprzód pomówić z tym uczonym Grekiem. —

Powiedz mi, nad czem ty rozmyślasz?

Edgar.

Nad tem,

Jak się strzedz wroga i gnębić robactwo.

Król Lir. Pomówmy parę słów na osobności.

Kent *(do Glostera).* Naglij go jeszcze, aby szedł, milordzie;

Zaczyna mu się w głowie mieszać.

Gloster.

Nie dziw.

Wyrodne córki pragną jego śmierci.

O, Kencie, zacny Kencie, ty wiedziałeś,

Że to nastąpi; tyś to przepowiadał,

Biedny wygnaćce! — Mówisz, przyjacielu,

Że się królowi w głowie miesza; wierz mi,

Jam także bliżki tego. Miałem syna,

Któregom musiał odtrącić od siebie;

Który na moje życie godził, świeżo,

Teraz nieledwie. Kochałem go; nigdy

Syn nie był droższym ojcu: cios ten, bracie,

Zwichnął mi umysł. Cóż to za noc straszna! —

(Burza nie ustaje).

Zaklinam Waszą Wysokość...

Król Lir.

O, wybacz! —

Cny filozofie, chciej nam towarzyszyć.

Edgar. Tomkowi zimno.

Gloster.

Idź sobie, człowieku,

Do owej budy tam; trzymaj się ciepło.

Król Lir. Pójdźmyż tam wszyscy.

Gloster.

Nasza droga tędy,

Łaskawy Panie.

Król Lir.

Chyba, że z nim razem;

Nie chcę się rozstać z moim filozofem.

Kent. Dogódź mu, hrabio, niech z sobą zabierze
Tego biedaka.

Gloster. Niechże idzie z nami.

Kent. Pójdź waść.

Gloster. Nie mówmy teraz nic — milczeniem.

Edgar. Czajld Roland szedł do ciemnej wieży:

Zwykł on być mówić, marszcząc brwi:

Brytańskiej wietrzę zapach krwi.

(*Wychodzą*).

SCENA V.

Pokój w zamku Glostera.

(*Wchodzi ks. Kornwalii i Edmund*).

Ks. Kornwalii. Muszę się na nim zemścić, nim jego dom opuszczę.

Edmund. Kiedy pomyślę, jak to ludzie uważać będą, że uczucie obowiązku przeważało we mnie głos natury, jakiś strach mnie ogarnia.

Ks. Kornwalii. Teraz widzę, że twój brat, Edmundzie, nie zupełnie ze złego serca godził na jego życie; było to raczej skutkiem oburzenia, jakie w nim naganne usposobienie starca obudzało.

Edmund. Jak prześladowczym jest mój los, że muszę prawości mojej żałować! Oto list, o którym mówił, świadczący o jego konszachtach z partją francuską. O, bogdajby ta zdrada nie istniała lub bogdajby nie mnie przypadło o niej donosić!

Ks. Kornwalii. Pójdź ze mną, kochany Edmundzie, do księżnej.

Edmund. Jeżeli osnowa tego listu jest prawdziwą, masz przed sobą ważne zadanie, mości księżę.

Ks. Kornwalii. Prawdziwa czy błędna, w każdym razie czyni cię ona hrabią Gloster. Dowiedz się, gdzie jest twój ojciec, aby go można niezwłocznie przytrzymać.

Edmund (*do siebie*). Jeżeli go znajdę niosącego pomoc królowi, tembardziej to wzmocni ciężące na nim podejrzenie. — (*Głośno*). Będę trwał w wiernopoddańczych uczuciach, jakkolwiek bolesną będzie walka pomiędzy niemi a uczuciami syna.

Ks. Kornwalii. Posiędziesz przez to moje zaufanie, i życzliwość moja lepsze ci ojcostwo zapewni.

(*Wychodzą*).

SCENA VI.

Izba w dworku folwarcznym w pobliżności zamku.

(*Wchodzi: król Lir, Gloster, Kent, Edgar i Blazen*).

Gloster. Tu lepiej, niż pod gołem niebem. Przyjmijcie, co dać mogę. Postaram się zapewnić wam jakie takie wygody; wkrótce ujrzycie mię z powrotem.

Kent. Wszelka siła ducha ustąpiła w nim miejsca zniecierpliwieniu. — Niech ci bogowie nagrodzą tę uczynność, milordzie!

(*Wychodzi Gloster*).

Edgar. Frateretto woła na mnie i mówi, że Nero łowi ryby w jeziorze państwa ciemności. — (*Do blazna*). Módl się, dobra duszo, i strzeż się złego wroga.

Blazen. Powiedz mi, proszę, wujaszku, czy waryat jest szlachcicem, czy chłopem?

Król Lir. Królem! królem!

Blazen. Chłopem, wujaszku, który ma syna szlachcica, bo waryatem jest taki chłop, co pozwoli, aby jego syn był szlachcicem pierwej, niż on sam.

Król Lir. Żeby się tysiąc jedź rzuciło na nie
Z rozpalonemi żelazami!

Edgar. Zły wróg gryzie mnie z tyłu.

Blazen. Waryatem jest, kto liczy na łagodność wilka, na zdrowie konia, na miłość młodego chłopca i na przysięgi nierządnicy.

Król Lir. Tak, dobrze; zaraz przed sąd je zapozwę.

(*Do Edgara*).

Pójdź, siądź w tem miejscu, wieloumny sędzio. —

(*Do blazna*).

Ty, światły panie, siądź tu — No, wilczyce! —

Edgar. Patrz, jak im ślepie się iskrzą! — Gdzieżeś to podziała czoło, piękna pani?

Pójdź, Betsy, za rzeczka Jaś stoi...

Blazen. W jej łodzi szczelina,

Lecz tai dziewczyna,

Dłaczego przepawić się boi.

Edgar. Zły wróg dręczy biednego Tomka głosem słowiczym. Hoberdydas woła w brzuchu Tomka o parę śledzi. Nie kracz, czarny demonie, nie mam dla ciebie strawy.

Kent. Wyjdz, drogi Panie, z tego odrętwienia;
Możebyś spoczął, położył się?

Król Lir. Potem,
Wprzód indagacya. Przyprawdźcie świadków. —
(*Do Edgara*).

Zacny jurysto w długiej todze, zasiądź!
(*Do błazna*).

A Waćpan, jego szanowny kolego,
Chciej zająć miejsce przy nim. —
(*Do Kenta*).

Wasza Miłość

Należysz do kompletu; siądźże także.

Edgar. Sądźmy sumiennie.

Śliczna pasterko, powiedz, dlaczego

Owieczki wpuściłaś w zboże?

Daj pocałować ustka twe hoże,

Nic się twej trzódce nie stanie złego.

Pr! kocica bura.

Król Lir. Badajcie naprzód tę: to Goneryla. Zeznaję, prześwietny sędzie, pod przysięgą, że ona zdeptała wszelkie względy należne królowi, jej ojcu.

Błazen. Przystąp, miledy. Zwiesz się Goneryla?

Król Lir. Nie może temu zaprzeczyć.

Błazen. Wybacz, wziąłem cię za dziurawy stołek.

Król Lir. A to ta druga; krzywe jej spojrzenia

Zdradzają grunt jej serca. — Łapać, łapać! —

Ognia i miecza! — Ha, wy przekupieni!

Przedajny sędzie, pocij jej dał uciec?

Edgar. Poleć bogom swoje pięć klepek!

Kent. O, nędzo! — Gdzież jest owa tęgość ducha,

Którą, ręczyłeś Panie, że zachowasz?

Edgar (*na stronie*). Łzy moje biorą udział w jego doli,

Tak, że mi trudno dotrwać w mojej roli.

Król Lir. Nawet maleńkie pieski, mops, szpic, daksik,

Szczekają na mnie.

Edgar. Tomek rzuci na nie głową. — A zasię, sobaki!

Czy wasz pysk czarny, czy biały,

Choćbyście wściekle kąsały,

Pudle, muce, wyżyły, brysie,

Plemię gończe i kundysie,

Kuse lub z długimi chwosty,

Tomka się lękajcie chłosty;

Bo gdy na was głową ciśnie,

Cała psiarnia się rozprysnie.

Sasa! fora z dwora! na kiermasze i jarmarki!

Biedny Tomku, twój róg wysechł.

Król Lir. Zanatomizujcie mi Reganę, zobaczcie, co tam siedzi w jej sercu. Czy jest jaka przyczyna w naturze, zdolna taką zatwardziałość sprowadzić? (*Do Edgara*).

Waszmość pana uważam odtąd jako jednego z moich stu towarzyszy; tylko mi się nie podoba krój waszmościnego munduru. Powiesz może, że to na sposób periski, ale każ go odmienić.

Kent. Połóż się, drogi Panie, spocznij nieco.

Król Lir. Nie róbcie hałasu, nie róbcie hałasu; zaciągnijcie firankę. Tak, tak, tak. Jutro z rana będziem wieczerali; tak, tak, tak.

Błazen. A ja w południe będę spał.

(*Gloster powraca*).

Gloster. Gdzie król?

Kent. Tu; zostaw go w pokoju, panie:

Biedak, zupełnie utracił przytomność.

Gloster. Weź go na ręce, poczywy człowiecze;

Zdradziecki spisek grozi jego życiu.

Mam tu lektykę z sobą; wsadź go do niej

I śpiesz do Dowru, gdzie dobre przyjęcie

I pomoc znajdziesz. Żywo! podnieś pana:

Jeśli się spóźnisz choć o pół godziny,

On, ty i każdy, co go bronii gotów,

Ulegnie pewnej zgubie. Bierz go! żywo!

Dam ci eskortę z ludzi zaufanych;

Śpiesz się.

Kent. Znękana natura zasnęła. —

Ten wypoczynek może być balsamem

Na twe stargane siły; w braku tego

Ich odzyskanie byłoby zbyt trudnem.

(*Do błazna*).

Pomóż mi ponieść pana.

Gloster. Idźmy, idźmy.

(*Kent, Gloster i błazen wychodzą, niosąc króla*).

Edgar. Gdy lepszych od nas widzim w poniewierce,

Własnych nędz naszych zapomina serce.

Najciężej cierpią ci, co sami cierpią,

Bo znikąd ulgi ni pociech nie czerpią;
 Lecz to w cierpieniu znajdzie towarzysza,
 Tego się boleść zmniejsza i ucisza.
 Mnie znośniej teraz i lżej, gdy niedola,
 Co mnie przygniata, przygniata i króla;
 On stracił dzieci, ja ojca. No, Tomku,
 Idź się znów ukryć w twym chrześciany domku,
 I nie wprzód wystąp, aż zdołasz czynami
 Zmyć kał potwarzy, co twe imię plami.
 Niech się tej nocy jeszcze co chce dzieje,
 Byle król uszedł. Bacžność! bacžność!
 (*Wychodzi.*)

SCENA VII.

Pokój w zamku Glostera.

(*Ks. Kornwalii, Regana, Goneryla, Edmund i studzy.*)

Ks. Kornwalii (*do Goneryli*). Jedź pani bezzwłocznie do księcia, swego małżonka, i pokaż mu ten list. — Wojska francuskie wylądowały. — (*Do stug*). Przeprowadźcie tu tego zdrajcę Glostera.

(*Kilku stug wychodzi.*)

Regana. Każ go natychmiast powiesić.

Goneryla. Wyłupić mu oczy.

Ks. Kornwalii. Zostawcie go memu gniewowi. Edmundzie, jedź z naszą siostrą. Zemsta, którą zniewoleni będziemy wyrzucić na twym przeniwierczym ojcu, nie składa się z twoją tu bytnością. — Znaglijcie księcia za przybyciem do jak najspieszniejszego zbrojenia się; my, z naszej strony, nie zaniedbamy tego. Trzeba, żeby gońcy nasi krążyli bez przerwy i utrzymywali porozumienie między nami. — Bądź zdrowa, kochana siostrzo. Bądź zdrów, milordzie Gloster.

(*Wchodzi Oswald.*)

Gdzież jest król?

Oswald. Dzięki milordowi Gloster
 Uprowadzony został. Ze trzydziestu
 Jego rycerzy, tropiących ślad jego,
 Zdybało go u bramy, poczem łącznie
 Z kilkunastoma podwładnymi lorda

Udało się z nim do Dowru, gdzie tuszą
 Znaleźć przyjaciół dobrze uzbrojonych.

Ks. Kornwalii. Każ przyprowadzić konie swojej pani.

Goneryla. Bywajcie zdrowi, milordzie i siostrzo.

(*Wychodzi, a z nią Edmund i orszak.*)

Ks. Kornwalii. Bądź zdrów, Edmundzie. — Wynajdźcie [mi tego

Zdrajcę Glostera, jak złodzieja zwiąźcie
 I tu go stawcie. (*Inni studzy wychodzą.*)

Nie możemy wprowadzić

W braku form prawych odebrać mu życia,
 Ale moc nasza naszemu gniewowi
 Musi dać jakieś zadośćuczynienie,
 Które naganić ludzie będą mogli,
 Ale bynajmniej pociągnąć nas za to
 Do tłumaczenia. — Ha! czy to ten zdrajca?

(*Wchodzi studzy, prowadząc Glostera.*)

Regana. Ten to niewdzięczny lis.

Ks. Kornwalii. Zwiąźcie mu ręce.

Gloster. Co to za mowa, Miłościwi Państwo?

Co za obejście? Moi przyjaciele,
 Zwaźcie, że u mnie jesteście w gościnie:
 Nie wyrządzajcie mi takiej zniewagi.

(*Studzy więżą go.*)

Ks. Kornwalii. Wiąźcie go!

Regana. Mocno! O, nikczemny zdrajco!

Gloster. Nielitościwa niewiasto, ja nigdy

Zdrajcą nie byłem.

Ks. Kornwalii. Przywiąźcie go tutaj

Do tego stołka. Zobaczysz, nędzniku.

(*Regana targa go za brodę.*)

Gloster. Na miłość bogów! czyn to nieszlachetny

W najwyższym stopniu, targać mię za brodę.

Regana. Ma taki biały włos, a taki zdrajca.

Gloster. O, niegodziwa kobieto, te włosy,

Coś je nieludzko z brody mej wyrwała,

Powstaną kiedyś i oskarżą ciebie.

Jam wasz gospodarz: nie powinnybyście

Zbójcejką dłonią tykać mojej twarzy.

Co wy myślicie ze mną czynić?

Ks. Kornwalii. Powiedz,

Co to za listy odebrałeś z Francji?

Regana. Powiedz poprostu, wiemy już o wszystkim.

Ks. Kornwallii. I jakie związki masz z tymi zdrajcami,
Co świeżo naszli nasze ziemie?

Regana. W czyje
Oddałeś ręce szalonego króla?
Mów.

Gloster. Mam list wprawdzie na domysł pisany
Przez kogoś, co się do niczyjej partyi
Nie miesza.

Ks. Kornwallii. Wykręt.

Regana. I jeszcze niezgrabny.

Ks. Kornwallii. Gdzieżeś to króla wyprawiał?

Gloster. Do Dowru.

Regana. Po co do Dowru? Czyś nie był zagrożon?

Ks. Kornwallii. Po co do Dowru? Niech na to odpowie.

Gloster. Muszę znieść szczwanie, jak niedźwiedz u słupa.

Regana. Po co do Dowru?

Gloster. Bo nie chciałem patrzeć,

Jakby mu twoje okrutne paznokcie
Stare nieszczęsne oczy wyłupiały;
Lub jakby twoja siostra swymi kłami
Szarpała jego namaszczone ciało.
Wśród takiej burzy, jaką on wytrzymał,
Z odkrytą głową, w noc czarną jak piekło,
Morze byłoby się spiętrzyło słupem
I pogasiło gwiazdy. A ten biedny,
Pocziwy starzec pomagał dździżyć niebu.
Gdyby był w taki czas u twojej bramy
Wilk zawył, tobyś była zawołała:
»Odźwierny, otwórz!« Wszelkie dzikie twory,
Prócz ciebie jednej, złagodniały wtedy,
Ale ja jeszcze ujrzę chyżą zemstę
Dosięgającą takie dzieci.

Ks. Kornwallii. Nigdy nie ujrzysz. *(Do sług)*. Przytrzymajcie
[stołek.

Wprzód, nimbyś ujrzał, zdepczę oczy twoje.

(Wyrzywa Glosterowi jedno oko, ciska je na ziemię i depcze).

Gloster. Kto chce późnego wieku się doczekać,
Niech się zmiłuje nade mną! O, bogi!
O, okrucieństwo!

Regana. To dopiero jedno;

Tamto pół twarzy szczydziłoby z tego:

Niech lepiej obie strony będą równe.

Ks. Kornwallii. Jeżeli widzisz zemstę...

Jeden sługa. Stój, milordzie!

Od lat dziecinnych jestem twoim sługą;
Nie wyświadczyłem ci jednakże nigdy
Lepszej usługi, jak teraz, wołając:
Stój!

Regana. Co to znaczy, ty plugawy kundlu?

Sługa. Gdybyś miledy miała włos na brodzie,
Hojnyby odwet znalazł się w tej garści.
Co państwo chcecie czynić?

Ks. Kornwallii. A ty, chamie!

(Dobywa miecza i rzuca się na niego).

Sługa. Niechże pomiędzy nami miecz rozstrzyga.

(Dobywa także miecza. Walczą. Książę zostaje raniony).

Regana *(do jednego ze sług)*. Daj mi miecz. Taki chłop
[śmie tak być hardym!

(Przebija go z tyłu).

Sługa. O, piekielnico! Już po mnie! Milordzie,

Jeszcze ci jedno oko pozostało,
Byś widział jego karę. Och! umieram. *(Umiera)*.

Ks. Kornwallii. Aby podobnych nie widziało więcej,
Przeszkodzę. Wskocz, marna galareto!

(Wydziera Glosterowi drugie oko).

Gdzież twój blask teraz?

Gloster. Wszędzie ciemno, smutno!

Gdzie mój syn Edmund? Edmundzie, Edmundzie,
Rozżarz w twem łonie wszelkie iskry uczuć
I pomścij ten czyn srogi.

Ks. Kornwallii. Podły zdrajco!

Przyzywasz tego, co cię nienawidzi;
On to nam odkrył twoje przენiewierstwo.
Nigdy cię pewnie taki prawy człowiek
Nie pożałuje.

Gloster. O, moja głupoto!

Więc Edgar został skrzywdzony. Bogowie,
Pobłogosławcież mu i mnie wybaczcie!

Regana. Wyrzucicie go za bramę, niechaj wietrzy
Drogę do Dowru. Jakże ci, milordzie?

Ks. Kornwallii. Zadał mi hultaj ranę. Pójdź, miledy!

Wynieście tego ślepcę. Tego łotra
Rzucicie w gnojowy dół. Krew mię uchodzi;
Podaj mi ramię. Nie w porę to przyszło.

*(Ks. Kornwallii, wsparty na Reganie, wychodzi. Słudzy roz-
wiązują i wyprowadzają Glostera)*.

Pierwszy sługa. Sam nie wiem, na co bym się gotów ważyć,
Byleby ulżyć temu biedakowi.

Drugi sługa. Jeżeli ona długi czas pożyje
I umrze zwykłym trybem, niezawodnie
Ze wszystkich kobiet staną się potwory.

Pierwszy sługa. Pójdźmy w czem pomódz staremu hra-
[biemu];

Sprowadźmy tego waryata, co krąży
W pobliżu zamku; on go zaprowadzi,
Gdzie zechce; jęgo prostackie szaleństwo
Da się tu w porę użyć.

Drugi sługa. Idź i zrób tak.
Ja pójdę przynieść trochę lnu i białka,
By go opatrzyć w tym żalonym stanie.
Bogowie, miejcie nad nim zmiłowanie!
(*Rozchodzą się w przeciwnie strony*).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Dzika okolica.

(*Wchodzi Edgar*).

Edgar. Przecież tak lepiej: lepsza jawna wzgarda,
Niż ubarwiona pochlebstwem. Najlichsza,
Najniżej pchnięta od losu istota
Żyje w nadziei ciągłej, nie w obawie.
Żalonna zmiana dotyka jedynie
Wyższych, maluczkiem śmiech wraca na usta.
Święć się więc wolne, otwarte powietrze,
Co mnie otaczasz! wicherzeń twych i wstrząśnięć
Nie mam ci za złe. — Lecz któż to się zbliża? —
(*Wchodzi Gloster, wsparty na ramieniu starca*).

Mój ojciec w takim opłakanym stanie?
O, świecie, świecie, świecie! Gdyby twoje
Dziwne koleje i kapryśne przejścia
Nie kazały nam nienawidzić ciebie,
Któżby cierpliwie nosił brzemień wieku?

Starzec. O, drogi panie, byłem twym dzierzawcą
I twego ojca przez lat osiemdziesiąt.

Gloster. Idź sobie, idź, mój dobry przyjacielu:
Pomoc twa nic mi poradzić nie może,
A tobie może szkodzić.

Starzec. O, milordzie,
Nie widzisz drogi.

Gloster. Dla mnie jej już niema,
Więc mi do tego oczy nie potrzebne:
Zdarzało mi się potknąć, kiedyś widział.
Często brak bywa zbawiennym i strata
Jedna nam korzyść. — O, drogi Edgarze,
Ofiaro gniewu zwiedzonego ojca!
Gdybym cię widzieć mógł przez namacanie,
Rzekłbym, że oczy odzyskałem.

Starzec. Kto tu?

Edgar (*na stronie*). O, bogi! komuż wolno jest powiedzieć,
Że już być gorzej nie może? mnie teraz
Gorzej niż kiedybądź.

Starzec. To biedny Tomek.

Edgar (*na stronie*). I jeszcze może być gorzej. Zaprawdę,
Najgorzej jeszcze nie jest, póki człowiek
Może powiedzieć: teraz mi najgorzej.

Starzec. Gdzie, przyjacielu, idziesz?

Gloster. Czy to żebrak?

Starzec. Waryat i żebrak.

Gloster. Ma on jeszcze rozum;
Bo gdyby nie miał go, nie mógłby żebrać.

Widziałem właśnie jednego takiego
Ostatniej nocy w czasie burzy; istny
Obraz robaka stawił mi ów człowiek.
Wtedy mi biedny mój syn na myśl przyszedł,
A przecież wtedy myśl moja nie była
Uspokojoną dla niego przyjaźnie.
Zmieniło się to później. Czem są muchy
Dla psotnych chłopców, tem ludzie dla bogów;
Gnębnią nas dla zabawki.

Edgar (*na stronie*). Cóż mam czynić? —
Smutna to sprawa błaznować w cierpieniu
I drażnić przez to i siebie i drugich. —
Bogowie z wami, mój paneczku!

Gloster (*do starca*). Powiedz,
Czy to ów nagi Bedlamczyk?

Starzec. Tak, panie.

Gloster. To idź do domu, bracie. Gdybyś dla mnie

Chciał jeszcze wrócić i złączyć się z nami
O jaką miłą albo i dwie dalej,
W kierunku Dowru, to cię proszę, w imię
Twey przychylności dawnej, przynieś z sobą
Jakie okrycie dla tego biedaka,
Co mię prowadzić będzie.

Starzec. Ależ, panie,
On waryat.

Gloster. Taki dziś porządek świata,
Że ślepych wodzą waryaci. Idź, uczyń,
O co prosiłem, lub zresztą co zechcesz,
Tylko idź sobie.

Starzec. Przyniosę mu odzież,
Jaką mam; niechaj co chce stąd wyniknie.
(*Wychodzi*).

Gloster. Słuchajno nagi, biedny mój człowieku.

Edgar. Tomkowi zimno. (*Na stronie*). Nie wytrzymam dłużej.

Gloster. Chodźno tu; zbliż się.

Edgar (*na stronie*). A jednakże muszę. —
(*Głośno*).

Niechaj bogowie uzdrowią, paneczku,
Niebogie oczy twoje: krew z nich ciecze.

Gloster. Czy znasz ty drogę do Dowru?

Edgar. Drogę i drożyny, ścieżki i manowce. Biedny Tomek stracił, niestety, jedną z pięciu klepek. Pocziwa duszo, niech cię bogowie chronią od złego wroga! Pięciu ich naraz siedziało w biednym Tomku: Obidykut, duch pożądlivosti; Hoberdydas, księżę niemoty; Mahu, kradzieży; Modo, morderstwa, i Flibbertygibbet, duch fochów i fomfrów, który potem przeszedł w starą pannę. Bogowie z tobą, paneczku.

Gloster. Masz tu trzos; weź go ty, którego nieba
Zgięły pod brzemień wszelkich upokorzeń;
Bądź ty szczęśliwszym przeto, żem ja biedny. —
Czyńcie tak zawsze, bogowie; niech człowiek
Opływający w dostatki, syt uciech,
Co szydzi z waszych praw, co nie chce widzieć,
Nie czując, nagle moc poczuje waszą;
Takim sposobem podział niesie zbytek
I każdy będzie miał dosyć. — Czy dobrze
Znasz okolice Dowru?

Edgar. Znam, paneczku.

Gloster. Jest tam gdzieś skała, której grzbiet spadzisty

Strasznie pogląda w przepaścistą głębię;
Do jej krawędzi tylko mnie doprowadź,
A zmniejszę ciężar twej nędzy czemś drogiem,
Co mam przy sobie. Tam się już obejdę
Bez przewodnika.

Edgar. Oprzyj się o ramię
Biednego Tomka; on cię poprowadzi.
(*Wychodzą*).

SCENA II.

Przed zamkiem księcia Albanii.

(*Wchodzą: Goneryla i Edmund; Oswald wychodzi na ich spotkanie*).

Goneryla (*do Edmunda*). Witaj, milordzie. — Dziwi mię to
[bardzo,

Że mój łagodny małżonek nie raczył
Wyjść na spotkanie nasze. —

(*Do Oswalda*).

Gdzie pan?

Oswald. W domu,

Łaskawa Pani, ale odmieniony
Nie do poznania. Gdym go uwiadomił
O owych wojskach, co wylądowały,
To się uśmiechnął; gdy mu oznajmiłem
Twój powrót, Pani, rzekła na to: »tem gorzej«;
A gdym mu wspomniał o Glosterze zdrajcy
I o niezłomnej wierze jego syna,
Nazwał mnie głupcem, powiedział, że biorę
Rzeczy na opak. Coby mu powinno
Nie być po myśli, zda mu się przyjemnem,
A co po myśli — przykrem.

Goneryla. W takim razie
Nie potrzebujesz, Edmundzie, iść dalej.
Jest to właściwa mu tchórzliwość ducha,
Odbierająca wszelką przedsiębiorczość.
Krzywd on nie czuje, gdy się za nie śmiało
Ująć potrzeba. Wynurzone w drodze
Życzenia nasze mogą być ziszczone.
Wróć się, Edmundzie, do mojego szwagra.
Przyśpiesz czynione przezeń uzbrojenia

I przywiedź jego wojsko. Muszę w domu
Zamienić rolę i mężowi memu
Dać w rękę kądziel. Ten mój wierny sługa
Będzie pomiędzy nami pośrednikiem.
Jeżeli, dbały o swe własne dobro,
Zechcesz na wszystko się ważyć, niebawem
Usłyszysz słodszy rozkaz twojej Pani.
Noś to...

(Daje mu upominek).

Bądź skąpy w mówieniu — schyl głowę:

Ten pocałunek gdyby mówić umiał,
Wzniósłby pod niebo władze twego ducha. —
Zrozum mię dobrze; bądź zdrów.

Edmund. Twój niewolnik,
Aż do bram śmierci.

Goneryla. Drogi mój Glosterze!
(Wychodzi Edmund).

Co za różnica między tymi ludźmi!
Tamtemu winnam uległość: cap taki
Ma do mnie prawa.

Oswald. Pani, milord idzie.
(Wychodzi).

(Wchodzi książę Albanii).

Goneryla. Sądzę, żem warta choć kiwnięcia głową.

Ks. Albanii. O, Gonerylo! ty nie jesteś warta
I tego pyłu, coć nim wiatr w twarz wieje.
Twoja natura trwoży mię: kto gardzi
Szczepem, z którego powstał, ten nie może
Żądz swych w granicach utrzymać. Gałązka,
Odczepiająca się od pnia swojego,
Musi koniecznie schnąć i stać się zgubną.

Goneryla. Dostyc już tego; ten tekst nie ma sensu.

Ks. Albanii. Mądrość i cnota złym zdaje się zdrożną,
Gnój pachnie gnojkom. Cóżes uczyniła?
Hienny, nie córki, coście wy zrobiły?
Ojciec wasz, starzec dostojny, którego
Niedźwiedzby ze czcią lizał — o, sromoto!
O, nieprawości! — wpadł przez was w szaleństwo.
Mógłże mój szwagier coś takiego ścierpieć?
Mąż, książę, który mu tyle był winien?
Jeżeli nieba niebawem widzialnie
Nie ześlą duchów swoich dla skarcenia
Takich bezpraw, przyjdzie czas, że ludzie

Żreć się nawzajem będą, jak potwory
Piekielnych głębi.

Goneryla. O, miękki człowieku!
Co masz policzki do polickowania,
A głowę, żeby kolki na niej strugać;
Co nie masz zmysłu zdolnego rozpoznać,
Gdzie honor a gdzie obelga; co nie wiesz,
Że tylko głupcy zwykli się litować
Nad niecotami, których ukarano,
Nim złe spełnili. Gdzie twój róg wojenny?
Francya rozwija sztandar w naszych krajach;
Pióropuszystym hełmem wróg twój grozi;
A ty, cnotliwy głąb, siedzisz i stękasz:
»Przecż on to czyni? ach!«

Ks. Albanii. Spójrz na się, dyable!
Wewnętrzna szpetność mniej razi w szatanie,
Niż w białołowie.

Goneryla. Nikczemny półgłówku!

Ks. Albanii. Z gruntu zepsuta, zbestwiona istoto,
Nie czyń potwornym swojego widoku.
Gdyby mi na to przystało pozwolić,
Żeby ta ręka słuchała krwi mojej,
Łatwoby ona mogła ciało twoje
Odprządz od kości. Choć jesteś szatanem,
Niewieścia twoja postać chroni ciebie.

Goneryla. Ha! co za męska dzielność teraz przyszła!
(Wchodzi Goniec).

Ks. Albanii. Co mi przynosisz?

Goniec. O, Łaskawy Panie,
Książę Kornwalii zmarł, zamordowany
Przez swego sługę, gdy miał Glosterowi
Wyłupić drugie oko.

Ks. Albanii. Glosterowi
Oko wyłupić?

Goniec. Sługa ten, którego
On sam wychował, przejęty litością,
I chcąc go w jego zamiarze powstrzymać,
Wydobył miecza przeciw dostojnemu
Swojemu panu, który do wściekłości
Tem przywiedziony, rzucił się na niego
I przy pomocy drugich go powalił,
Zostawszy jednak wprzód sam ugodzony
Tym ciosem, który później śmierć sprowadził.

Ks. Albanii. Widoczna, że wy tam jesteście w górze,
Sędziowie, którzy ziemskie nasze zbrodnie
Szybko umiecie karać. — Biedny Gloster!
Obojeż oczu stracił?

Goniec. Tak, milordzie.
List ten wymaga śpiesznej odpowiedzi;
Jest on od siostry miledy.

Goneryla (*do siebie*). Po części
Kontentam z tego; skoro ona jednak
Jest teraz wdową, a przy niej mój Gloster,
Cała budowa mojej wyobraźni
Mogłaby łatwo runąć i przywalić
Me nienawistne życie. Z drugiej strony
Nie tak trapiącą jest ta wieść. — Przeczytam
I dam odpowiedź.

(*Wychodzi*).

Ks. Albanii. Gdzież był syn jego, gdy go oślepiali?

Goniec. Pojechał z twoją małżonką, milordzie.

Ks. Albanii. Niema go tutaj.

Goniec. Tak, Łaskawy Panie;
Wracającego stąd spotkałem właśnie.

Ks. Albanii. Czy wie on o tym barbarzyńskim czynie?

Goniec. Wie, Miłościwy Panie. — On to świadczył
Przeciwko ojcu i unikał zamku
Umyślnie, aby ukaraniu jego
Dać bieg swobodny.

Ks. Albanii. Ja żyję, Glosterze,
Bym ci zawdzięczył twą wierność królowi
I wzrok twój pomścił. — Pójdź, mój przyjacielu,
Powiedz mi, jeśli jeszcze wiesz co więcej.

(*Wychodzą*).

SCENA III.

Obóz francuski w pobliżności Dowru.

(*Wchodzi Kent i jeden z rycerzy*).

Kent. Nie wiesz, rycerzu, co było powodem,
Że król francuski tak nagle odjechał?

Rycerz. Jakiś interes, państwa dotyczący,
Nie załatwiony a który dopiero
Przyszedł mu na myśl po wylądowaniu.

Królestwu jego grozić ma podobno
Niebezpieczeństwo tak wielkie, że powrót
Jego osoby był wielce potrzebnym,
Niezbędnym nawet.

Kent. Kogoż on w swe miejsce
Wodzem zostawił?

Rycerz. Marszałka Le Fer'a.

Kent. Czy ten list, któryś pan oddał królowej,
Wywołał jaki objaw jej boleści?

Rycerz. Tak, panie; wzięła go i odczytała
W mej obecności, a gdy go czytała,
Duże łez krople od czasu do czasu
Spadały po jej delikatnych licach.
Widząc ją, byłbyś rzekł, że jest królową
Swojego żalu, który buntowniczo
Chciał jej królować.

Kent. Była więc wzruszoną!

Rycerz. Ale nie gniewną. Żałość i moc duszy
Walczyły w niej o lepszą; widać było
Deszcz i pogodę razem; jej uśmiechy
I jej łzy były jako dzień majowy,
Pełen uroku. Błogie te promyki,
Które igrały na jej świeżych ustach,
Zdawały się nie wiedzieć, jacy goście
Byli w jej oczach i z nich wychodzili,
Jakoby perły kapiące z brylantów.
Słowem, żal byłby pożądanym skarbem,
Gdyby każdego tak upiękniał.

Kent. Nic-że
Nie powiedziała?

Rycerz. Owszem, parę razy
Z głębi jej piersi wyszło imię ojca,
Jakby się serce jej oswobadzało
Z ciężaru. — Siostry! — zawołała, — siostry!
Hańba kobietom! siostry! Kencie! ojcze!
Jakto? w noc? w czasie burzy? Więc litości
Niema na świecie! — Wtedy się puściły
Święte strumienie z jej niebiańskich oczu
I rzewny głos jej stłumiły; wybiegła,
By zostać sama z swem cierpieniem.

Kent. Gwiazdy,
Gwiazdy to rządzą treścią naszych jestestw,
Inaczej, jedno i to samo stałoby

Nie wydałoby dzieci tak odmiennych. —

Czy się z nią potem widziałeś, rycerzu?

Rycerz. Nie.

Kent. Czy to było przed odjazdem króla?

Rycerz. Później.

Kent. To dobrze. Biedny Lir jest w mieście.

Chwilami sobie przypomina kolej
Zasłych wypadków i na żaden sposób
Nie chce się widzieć z córką.

Rycerz. Czemu, panie?

Kent. Tak mu wstyd. Twardość, z jaką jej odmówił

Błogosławieństwa, puścił ją na hazard
W obczyznę, wyzuł ją z praw przynależnych,
Na korzyść tamtych dwóch pogańskich córek;
Wszystko to gryzie mu serce tak srodze,
Tak go zawstydzają, że nie śmie nieborak
Spojrzeć Kordelii w oczy.

Rycerz. Biedny człowiek!

Kent. Wiesz co, rycerzu, o obrotach książąt?

Rycerz. Wieść się potwierdza, że są w marszu.

Kent.

Dobrze.

Powiodęć teraz, rycerzu, do króla
I pozostawię, abyś nad nim czuwał.
Ważne powody każą mi się jeszcze
W skrytość obwijać; gdy mię Waćpan poznasz
W właściwym świetle, nie będziesz żałował
Dotychczasowej naszej znajomości,
Chciej mi tymczasem towarzyszyć.

(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Tamże. Pole.

(*Wchodzi Kordelia, Lekarz. Orszak, rotmistrze i żołnierze*).

Kordelia. To on, niestety! spotkano go właśnie

Szalejącego jak wzburzone morze,
Śpiewającego i uwieńczonego
Chabrem, kąkołem, łopianem i innym
Bezużytecznym zielskiem, które rośnie
W żywiących zbożach. — Weźcie ze stu ludzi,
Przepatrzcie pilnie każdy mórg tych łanów

Bujnie porośłych, i przywieźdźcie do nas
Nieszczęśliwego.

(*Wychodzi rotmistrz z częścią żołnierzy*).

Czyliż mądrość ludzka

Zdoła mu wrócić utracone zmysły?

Wszystkie me skarby chętnie oddam temu,
Kto go uleczy.

Lekarz. Są sposoby, Pani.

Odżywcielem natury najlepszym
Jest wypoczynek, którego mu braknie;
Do zapewnienia mu tego postużą
Pewne skuteczne, specyficzne leki,
Których moc uspi jego udręczenia.

Kordelia. O, wy, zaradczycy, zbawcze tajemnice,

Wy niezbadane potęgi natury,
Spłyńcie wraz z memi łzami! przyjdźcie w pomoc,
Uzdrowcie tego drogiego mi mi starca! —

A wy szukajcie go, szukajcie wszędzie,

Zanim samemu sobie zostawione

Szaleństwo jego rozstroi to życie,
Niezdolne sobie radzić. (*Wchodzi goniec*).

Goniec. Wieści, Pani!

Wojska brytańskie zbliżają się.

Kordelia. O tem

Już wiedzieliśmy i jesteśmy na to
Przygotowani. — O! drogi mój ojczu,
W twojej to sprawie uchwyciłam oręż,
W twojej to sprawie wspaniały pan Francyci
Cierpienia mego i też się uzalił.

Nie próżna pycha wkłada na nas zbroję,
Lecz miłość, a z nią święte prawa twoje.

Obym cię mogła ujrzeć jak najprędzej,
Słyszeć i koniec twej położyć nędzy!

(*Wychodzi ze swoimi*).

SCENA V.

Pokój w zamku Glostera.

(*Regana i Oswald*).

Regana. Więc wojska mego szwagra są w pochodzie?

Oswald. Tak, Pani.

Regana. I on sam dowodzi niemi?

Oswald. Tak jest, po wielu korowodach. Siostra
Waszej Miłości lepszym jest żołnierzem.

Regana. Czy się lord Edmund widział z waszym księciem?
Oswald. Nie, Pani.

Regana. Cóżby w sobie mógł zawierać
List mojej siostry do niego?

Oswald. Nic nie wiem.

Regana. Wyjechał wprawdzie stąd w nielada celu.
Było to wielkiem głupstwem Glosterowi,
Po ócz wyjęciu, pozostawiać życie:
Gdzie się pokaże, wszędzie wszystkich serca
Od nas odwraca. Edmund, jak rozumiem,
Z politowania nad jego niedolą,
Udał się mroczny jego byt zakończyć;
A przytem zbadać siły nieprzyjaciół.

Oswald. Muszę go szukać z tym listem, miledy.

Regana. Jutro ruszają nasze wojska; czekaj:
Drogi nie pewne.

Oswald. Nie mogę, miledy:
Mam przez mą Panią zalecony pośpiech.

Regana. Po co jej było pisać? Czyliż waćpan
Nie mogłeś ustnie powiedzieć, co chciała?
Coś się w tem święci — czyby czasem?... słuchaj:
Będę ci za to nieskończenie wdzięczną,
Pozwól mi pismo to rozpieczętować.

Oswald. Wolałbym raczej...

Regana. Wiem, że twoja pani
Nie cierpi męża, jestem tego pewna,
A za ostatnim swoim tu pobytom,
Rzucała dziwnie znaczące spojrzenia
Na szlachetnego Edmunda. Wiem także,
Iż waćpan jesteś jej wiernikiem.

Oswald. Ja, Pani?

Regana. Mówię zasadnie, żeś nim jest, wiem o tem;
Muszę dlatego uprzedzić waćpana
O rzeczy, którą trzeba żebyś wiedział.
Mój mąż nie żyje; jam się już z Edmundem
Porozumiała i moja dłań ręka
Jest stosowniejszą, niż ręka twej pani.
Resztę wynioskuj sam. Jeśli go znajdziesz,
Oddaj mu, proszę, i to moje pismo;
A gdy twa pani dowie się od ciebie
O tych szczegółach, staraj się ją skłonić,

Ażeby poszła za radą rozumu.
Bywaj mi teraz zdrów. Gdybyś przypadkiem
Tego ślepego zdrajcę gdzie napotkał,
Pomnij, że tego, co go sprzątnie, hojna
Czeka nagroda.

Oswald. Radbym go napotkać.
Łaskawa Pani, byś się przekonała,
Czyjej się strony trzymam.

Regana. Idź szczęśliwie.
(*Wychodzą*).

SCENA VI.

Okolice w pobliżności Dowru.

(Wchodzi Gloster i Edgar w ubraniu wieśniaczem).

Gloster. Kiedyż dojdziemy na szczyt tego wzgórza?
Edgar. Drapiemy się nań, panie; nie czujecież,
Jak to iść ciężko?

Gloster. Grunt zdaje się równy.

Edgar. Okropnie stromy. Nie słyszycie morza?

Gloster. Nic wcale.

Edgar. Widać więc, że wasz brak wzroku
I innym zmysłom odejmuje władzę.

Gloster. W istocie, być to może. Mnie się zdaje,
Że twój głos inny teraz, że twa mowa
Jest rozsądniejszą i gładszą, niż pierwej.

Edgar. Mylisz się, panie; niema we mnie zmiany,
Chyba w ubraniu.

Gloster. Zdaje mi się jednak,
Że lepiej mówisz.

Edgar. Jesteśmy na miejscu:
Stójcie spokojnie. — O, jakże to strasznie,
Jak to odurza patrzeć w taką głębię!
Wrony i kawki, krążące w pośrodku,
Ledwie wydają się wielkości chrząszczów.
W połowie chyłu wisi jakiś człowiek,
Zbierając morski kopr: okropna czynność!
Zda mi się, że się wydaje nie większym,
Jak jego głowa. Rybacy, chodzący
Owdzie wzdłuż brzegów, rzekłbyś, że to myszy;
A ów ogromny statek na kotwicy

Wygląda jak czótenko. Głuchy odgłos
 Wałów, bijących o nadbrzeżne żwiry,
 Tu dojść nie może. Nie będę już patrzył,
 Bo mi się w mózgu zawraca i mógłbym
 Stoczyć się w przepaść.

Gloster. Postaw mię, gdzie stoisz.

Edgar. Dajcie mi rękę; jesteście już tylko
 O stopę od krawędzi. Za nic w świecie
 Nie podskoczyłbym tutaj.

Gloster. Puść mi rękę.
 Masz tu trzos jeszcze jeden, przyjacielu,
 A w nim zawarty klejnot, wielkiej ceny
 Dla ubogiego: niech ci z nim bogowie
 Szczęście przyniosą! Idź teraz, kochanku;
 Bywaj zdrów! daj się słyszeć, że odchodzisz.

Edgar. Bądźże mi, panie, zdrów!

Gloster. Bogowie z tobą.

Edgar (*do siebie*). Pozwalam sobie tych żartów z rozpazca
 Dlatego tylko, abym ją uleczył.

Gloster. O! wy, potężni władcy na niebiosach!
 W obliczu waszem wyrzekam się świata
 I rzucam z siebie wielką boleść.
 Gdybym ją dłużej mógł znosić bez szemrań
 Na waszą świętą nieodmienną wolę,
 Knot mego życia sam przez się by wytłał.

Jeżeli Edgar mój żyje, o, zlejcie,
 Zlejcie na niego swe błogosławieństwa! —

No, przyjacielu, bądź zdrów — a gdzie jesteście?

Edgar. Jużem daleko, panie; bądźcie zdrowi.
 (*Gloster skacze i pada na ziemię*).

A kto wie, czyli czasem wyobraźnia
 Nie jest w możności wydrzeć skarbu życia,
 Kiedy to życie samo chce swej zguby?

Myśl, że się zabił, nie mógł go zabić

Naprawdę? — Żywy, czy nie żywy? —

Hej, przyjacielu! — panie! czy nie słyszysz?

Przemów! — Czyliżby umrzeć miał w istocie!

Przecież! porusza się. — Kto wy jesteście?

Gloster. Precz, daj mi umrzeć!

Edgar. Gdybyś nie był piórkiem,

Nitką pajęczą, byłbyś się był rozbił,

Jak jajko, spadłszy tyle sążni na dół;

Ale oddychasz, masz wagę, nie rannys,

Przemawiasz, jesteś cały. Dziesięć masztów,
 Stawionych jeden na drugi, nie czynią
 Tej wysokości, z jakiej prostopadle
 Zleciałeś tu, gdzie stoim. Cud, że żyjesz.
 Przemów raz jeszcze.

Gloster. Spadłem ja istotnie?

Edgar. Stamtąd, z owego straszliwego wirchu
 Kredowej skały. Spójrz tylko do góry:
 Donośnogłosy skowronek nie mógłby
 Na taką metę ani być widzianym,
 Ani słyszany. Spójrz tylko do góry.

Gloster. Niestety, nie mam oczu. Czyliż nędzy
 Jest odmówione i to dobrodziejstwo,
 By śmiercią sobie położyła koniec?
 Było to pewnym rodzajem pociechy,
 Gdy uciśniony mógł się tym sposobem
 Od okrucieństwa ciemnicy uchronić
 I podejść dumną jego samowolność.

Edgar. Daj rękę, panie; wstań — tak — no, i jakże?
 Stoiszli mocno?

Gloster. Aż nadto, aż nadto.

Edgar. To nie do wiary. Co to było owdzie
 Na skale, co się od was oddaliło,
 Nimeście spadli?

Gloster. Był to biedny żebrak.

Edgar. Stąd mi się jego oczy wydawały
 Jak dwa księżycy w pełni; miał sto nosów,
 Rogi zagięte, nakształt wzdętej fali.
 Był to niechybnie zły duch. Pomyśl przeto,
 Szczęśliwy starcze, żeś winien swą całość
 Opatrzny bogom, którzy zakładają
 Swą chwałę na tem, żeby uskutecznić
 To, co się ludziom zdaje niepodobnem.

Gloster. Tak jest, poznaje teraz. Będę odtań
 Dźwigał mą nędzę, aż zawoła sama:
 »Dość już, umieraj!« Ten, o którym mówisz,
 Mój bracie, mnie się wydawał człowiekiem;
 Często on mówił: »Zły wróg! zły wróg!« On mię
 Tam przyprowadził.

Edgar. Bądźcie dobrej myśli

I nie frasujcie się. — Któż to tu zmierza?

(*Wchodzi król Lir fantastycznie przybrany w polne kwiaty*).

Przytomny umysł nigdy swego pana

Tak nie wystroi.

Król Lir. Wolno mi przecie bić monetę; za to mi nic nie zrobią; nie jestem królem?

Edgar. Rozdzierający widoku!

Król Lir. Natura w tym względzie przechodzi sztukę. — Oto macie jurgielt. Ten drab trzyma łuk jak stracha na ptaki! Naciągaj lepiej krawiecki łokieć, bałwanie. — Patrzcie, patrzcie! — mysz. Cicho! cicho! — ten kawałek sera to potrafi. — Oto moja rękawica; pójdź, obrzymie, zmierzmy się. — Przynieście berdysze! — O, ptaku, jakżeś czmychnął! — W samo centrum, w samo centrum! hiii! Stój! jakie hasło?

Edgar. Pachnie majeranek.

Król Lir. Przejdźcie.

Gloster. Ten głos mi znany.

Król Lir. Ha! Goneryło! — z białą brodą! — Pochlebiali mi, jak psy; mówili mi, że mam biały włos na brodzie, nim mi jeszcze urósł czarny. »Tak« i »nie« na wszystko, com powiedział! »Tak« i »nie« na jedno i toż samo! to nie bogomyślnie. Kiedy mię razu jednego deszcz prażył i wiatr na wskroś przejmował, kiedy grzmot nie chciał się uciszyć, choć mu kazałem, wtędy je poznał, wtędy je przewąchał. Dajcie im pokój! nie można liczyć na ich słowo. Powiedziały mi, że mogę wszystko; to fałsz: nie mogę się nie trząść w febrze.

Gloster. Dźwięk tego głosu przypominam sobie.

Czy to król?

Król Lir. Tak jest, król, król w każdym calu.

Gdy groźnie spojrzę, patrz, jak drżą poddani.

Temu darował życie. Cóż on zgrzeszył?

Popęłnić cudzołóstwo. —

Nie umrzesz: ponieść śmierć za cudzołóstwo?

Nie, nie! tak samo grzeszy pokrzywniczek,

Maleńka złota muszka w moich oczach

Grzeszy tak samo. Niech się ludek mnoży! —

Przecież nieprawo syn Glostera bardziej

Miłował ojca, niż Lira dwie córki,

Splodzone w prawem łożu.

Święć się rozpusto, bo mi brak żołnierzy. —

Patrzcie na ową piękną damę: twarz jej

Zdaje się mówić, że lód jest w jej łonie;

Jawi wzór cnoty i odwraca głowę,

Słyszac ten wyraz: rozkosz.

A jednak żadna klacz, żadna łasica

Nie jest w swej żądy tak nieposkromioną.

Boginie one na zewnątrz,

A wewnątrz — piekło w nich, mrok, siarka, smoła,

Żar i war, fetor, stęchlizna.

Tfy! tfy! tfy! Daj mi piżma, aptekarzu,

Na złagodzenie mojej wyobraźni...

Oto pieniądze.

Gloster. Niech ucałuję tę rękę!

Król Lir. Zaczekaj,

Wprzód ją obmyję: czuć ją cielesnością.

Gloster. O, ty, wielkości zrujnowany szczytku!

Tak samo kiedyś w niwecz się obróci

Ten ogrom świata. Poznajesz mię, Panie.

Król Lir. Poznają twoje oczy. Mrugasz na mnie?

Nie, darmo kusisz, ślepy Kupidynie:

Nie chcę już kochać. Czytaj to wyzwanie,

Tylko uważaj na charakter pisma.

Gloster. Choćby litera każda była słońcem,

Nie przeczytałbym i jednej.

Edgar (*do siebie*). Nie chciałem wierzyć, gdy mi to mówiono;

Sam widzę teraz i serca mi pęka.

Król Lir. Czytaj.

Gloster. Czem? Temi dziurami bez oczu?

Król Lir. Oho, tak ze mną poczynasz? Do licha!

Głowa bez oczu, worek bez pieniędzy?

Brak oczu gorzej cięży twojej głowie,

Niż brak pieniędzy twojemu workowi.

Taki to, widzisz, świat.

Gloster. Widzę, niestety!

Król Lir. Co? czyś oszalał? Żeby ślepy człowiek

Mógł widzieć, jaki jest świat! Patrz uszyna.

Patrzno, czy widzisz, jak ten sędzia jeździ

Po tym złodzieju dobrodusznym? Słuchaj —

Ale to zostaw przy sobie: zmień miejsce

I zgadnij, w której ręce złota kula?

Kto jest złodziejem, kto sędzią? Czyś widział,

Żeby wieśniaczy pies czekał na dziada?

Gloster. Widziałem, Panie.

Król Lir. I nieboraczysko

Umknął przed kurta? —

Widzisz w tem wielki obraz wpływu władzy:

Słucha się nawet kundłów na urzędzie.
 Podły pacholku, odejm krwawą rękę!
 Za co ty chłoszczesz tę niewiastę? Bij się
 Po własnym grzbiecie. Pożądasz jej, chamie,
 A karzesz ją za pożądlivość? lichwiarz
 Wiesza Cygana. Przez wytarte suknie
 Widać najmniejsze niedoskonałości.
 Togi i szuby pokrywają wszystko.
 Powlecż grzech złotem, a hartowna dzida
 Sprawiedliwości pryśnie, nie zraniwszy;
 Uzbrój go w łachman, karzeł zdźbłem go zmoże.
 Nikt nie jest winnym, nikt, nikt, ręczę za to,
 Jeżeli — zapisz to, mój przyjacielu —
 Jeżeli zdoła oskarżycielowi
 Zapieczętować usta. —
 Wpraw sobie szklane oczy i tak uczyń,
 Jak czynią zręczni politycy: udaj,
 Że widzisz rzeczy, których nic nie widzisz.
 Cóż teraz będzie? teraz, teraz, teraz
 Zdejmcie mi buty — mocniej, mocniej, tak, tak.

Edgar. O, ileż sensu wśród niedorzeczności!
 Wśród obłąkania, jaki rozum!

Król Lir. Chceszli
 Płakać nade mną, to weź moje oczy.
 Znam ja cię dobrze, nazywasz się Gloster.
 Cierp, myśmy wszyscy płacząc na świat przyszli.
 Wiesz, że wciągając pierwszy raz powietrze,
 Kwilim i krzyczym. Powiem ci kazanie,
 Tylko uważaj.

Gloster. Niestety! Niestety!

Król Lir. Krzyczymy, rodząc się, dlatego, bracie,
 Że wchodzimy na tę wielką scenę błazeństw. —
 Niezła myśl! Byłby to subtelny fortel,
 Część naszych koni kazać podkuć pilśnią.
 Muszę spróbować; gdy zaś tym sposobem
 Cichaczem zejdem moich panów zięciów,
 Wtedy rżnij, morduj, morduj, morduj, morduj!
(Wchodzi jeden z rotmistrzów, za nim żołnierze).

Rotmistrz. Jest tu, jest; miejcie go na oku. — Panie,
 Dostojna Wasza córka...

Król Lir. Bez odsieczki.
 Jakto? w niewoli? Istnym błazen losu.
 Nie obchodźcie się ze mną barbarzyńsko,

Dam wykup. Kaźcie przywołać chirurga:
 Cięty tu. *(Wskazuje na głowę).*

Rotmistrz. Wszystko mieć będziecie, Panie.
 Król Lir. Znikąd pomocy? Zewsząd opuszczony?

Toby człowieka w zdrój łez mogło zmienić,
 A czy jego w ogrodowe konwie
 Do zalewania kurzu.

Rotmistrz. Drogi Panie!
 Król Lir. Umrę walecznie, strojnie, jak pan młody.
 Będę jowialnym, cha! cha! jestem królem;
 Czy wiecie o tem państwo?

Rotmistrz. Wielkim królem;
 Wiemy to, Panie, i słuchać cię będziem.
 Król Lir. Jest więc nadzieja życia; gońcie za mną,
 Jeśli mię chcecie schwytać. Hussa! hussa!
(Wybiega; żołnierze za nim).

Rotmistrz. Ostatni nędzarz w tak żalonym stanie
 Litośby wzbudził, a cóż król dopiero! —
 Jedna ci jeszcze córka pozostała,
 A ta wybawi świat z pod ciężkiej kłatwy,
 Którą go tamte dwie przyniołły.

Edgar. Cześć Wam,
 Szlachetny panie.

Rotmistrz. Mówcie węzłowato;
 Czegoż to chcecie?

Edgar. Nie slyszalżeś, panie,
 Czy się zanosi na bitwę?

Rotmistrz. Z pewnością;
 To rzecz wiadoma: każdy o tem slyszy,
 Kto może dźwięki rozeznąć.

Edgar. Wybaczcie;
 A czy daleko nieprzyjaciel?

Rotmistrz. Blizko:
 Szybkim pochodem posuwa się ku nam,
 I główne jego siły za godzinę
 Pewnie nadejdą.

Edgar. Dziękuję Wam, panie:
 To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

Rotmistrz. Lubo królowa z szczególnych powodów
 Tu się znajduje, wojska jej już dawno
 Ruszyły naprzód.

Edgar. Dziękuję Wam, panie.
(Wychodzi rotmistrz).

Gloster. O, bogi, których dobroć nieprzebrana,
 Weźcie mi życie, ażeby mię znowu
 Zły duch nie skusił do szukania śmierci,
 Nim ona będzie zgodna z wola waszą.

Edgar. Dobrze się modlisz, ojcze.

Gloster. Któż ty jesteś,
 Mój przyjacielu?

Edgar. Nader biedny człowiek,
 Co się otrząsał już z ciosami losu
 I w szkole własnych cierpień stał się czułym
 Na nędzę drugich. Daj mi rękę, starcze,
 Zapewnić jaki przytułek.

Gloster. Przyjm dzięki,
 Błogosławieństwo niebios niech ci zsyła
 Pomyślność jedną po drugiej.
(Wchodzi Oswald).

Oswald. Ha! tuś mi!
 Nagroda sama wchodzi mi pod rękę.
 Ta twoja ślepa głowa po to siadła
 Na twoim karku, by szczęście me poprzeć.
 Policz się z sobą, stary, nędzny zdrajco;
 Już wydobyty miecz, co cię ma zgładzić.

Gloster. Kiedy tak, niechże twa przyjazna ręka
 Silnie uderzy. *(Edgar zastania go sobą).*

Oswald. Co się to ma znaczyć,
 Zuchwały chłopie, śmiesz stawać w obronie
 Oślawionego zdrajcy? Precz! inaczej
 Zaraza jego doli będzie mogła
 Udzielić się i tobie. Odstap, mówię.

Edgar. Jo nie kę, otby wej się pon odcepił.

Oswald. Odstap, szubrawcze, albo zginiesz.

Edgar. Ejze,
 Idźta jegomość lepiej w swoją drogę
 I pozostawta biedny lud w pokoju.
 Kiejby jo jeno kciał się dać zjeść w kasy,
 To bych był od dwóch tydni to potrafił.
 Nie następujta, warujta się, radzę,
 Bo wej spróbuję co mocniejsze, łeb was
 Cy moja pałka. Mata wóz i przewóz.

Oswald. Precz, ryfo!

Edgar. Ejze, wylecą wam zęby.

Co mi tam trząsać będzieta śpikulcem.

(Walczą. Edgar powala pałką Oswalda).

Oswald. Nędzny, zabiłeś mię. — Weź mój trzos, łotrze,
 Chcesz li, ażeby ci się dobrze działo,
 To ciało moje pochowaj i oddaj
 Te listy, które niostem, Edmundowi,
 Hrabiemu Gloster: pytaj się o niego
 W angielskiem wojsku. — O, niewczesna śmierci!
(Umiera).

Edgar. Znam ja cię dobrze, usłużny niecnoto;
 Z tobą twa pani straciła narzędzie
 Wszelkich występków, do jakich jest zdolną.

Gloster. Czy on nie żyje?

Edgar. Siądz tu, panie; spocznij. —
(Do siebie).

W kieszenie jego zajrzyjmy: te listy,
 O których mówił, mogą mi wyświadczyć
 Ważną przysługę. — *(Głośno).*

Nie żyje on, panie;
 Tylko mi przykro, że jego oprawcą
 Nie był kto inny.

(Znalazszy list, do siebie).

Otóż i są: wybacz,
 Szanowny wosku; nie wiń mię, dyskrecyo.
 Ażeby odkryć myśl nieprzyjaciela,
 Rozdarlibyśmy mu serce; rozedrzyć
 Kopertę jego listu, prędzej ujdzie.

(Rozpieczętowanywa list i czyta).

»Nie zapominaj, milordzie, o zobowiązaniach naszych przyrzeczeniach. Nie brak ci sposobności do usunięcia go z drogi; jeżeli ci woli nie zabraknie, czas i miejsce nieraz ci się przyjaźnie następczą. Wszystko za nic, jeżeli on wróci zwyciężca; ja, w takim razie, zostałabym niewolnicą, a jego łoże stałoby się mojem więzieniem. Uwolnij mię od tej ostateczności i zajmij, w nagrodę trudów, opróżnione miejsce przy mym boku.

Twoja (żona chciałabym powiedzieć)
 powolna sługa

Goneryla.

O, nieprzejrzana głębio żądz niewieściach!
 Spisek na życie jej zacnego męża;
 A substytutem mój brat. — Tu, w tych piaskach,
 Pogrzebię ciebie, niefortunny pośle
 Krwawych sprośników, a gdy przyjdzie pora,
 Stawię ten słodki bilecik przed oczy

Zagrożonemu księciu. Szczęście jego,
 Że mu o śmierci twojej donieść mogę
 I dać zbawienną na przyszłość przestrogę.
(Wywleka ciało Oswalda za scenę).

Gloster. Król zmysły stracił. Jak silne są moje,
 Że się kołaczę jeszcze, czując ogrom
 Mojej niedoli! Bogdajbym oszalał!
 Wtedyby moja myśl się oddzieliła
 Od moich cierpień i boleść uśpiona
 Urojeniami chorej wyobraźni
 Świadomość siebieby straciła.

(Odgłos trąb w oddali. — Edgar wraca).

Edgar. Idźmy.
 Dajcie mi rękę, ojczu. Zdaje mi się,
 Że słyszę w dali odgłos trąb wojennych.
 Pójdźcie, umieszczę was u przyjaciela.
(Wychodzą).

SCENA VII.

Obóz francuski. Namiot Kordelii na stronie.

*(Melodyjna muzyka za sceną. Kordelia, Kent, Doktor
 i jeden z dworzan).*

Kordelia. O, najpocziwszy Kencie! jakże zdołam
 Zawdzięczyć twoją dobroć? Życie moje
 Za krótkie na to i możność za szczupłą.

Kent. Takie uznanie, Miłościwa Pani,
 Jest już zapłatą nad zasługę. Wszystko,
 Co powiedziałem, jest rzetelną prawdą;
 Nie przesadziłem nic, ani ująłem.

Kordelia. Ubierz się przecie inaczej: te szaty
 Budzą wspomnienie owych chwil żalonych.
 Proszę cię, zdejm je.

Kent. Wybacz mi, królowo;
 Plan mój chce, abym jeszcze nie był znanym.
 Proszę cię o to, Pani, jak o łaskę,
 Byś mię nie znała póty, póki pora
 Nie przyjdzie i ja nie uznam, że przyszła.

Kordelia. Niechże tak będzie. — *(Do doktora).*
 Co się dzieje z królem?

Doktor. Śpi ciągle, Pani.

Kordelia. O, bogi, uleczcie,
 Tę wielką szczerbę w tej zranionej duszy!
 Wróćcie harmonię rozstrojonym zmysłom
 Ojca, co się stał dzieckiem.

Doktor. Czy nie każe
 Wasza Królewska Mość obudzić króla?
 Dość już spał.

Kordelia. Rządź się, panie, własnem zdaniem
 I uczyn, co tylko uznasz za stosowne. —
 Czy on ubrany?

Dworzanin. Tak, Łaskawa Pani.
 Pograżonemu w śnie głębokim świeżą
 Daliśmy odzież.

Kent. Bądź Pani obecna,
 Gdy go przebudzim; jestem prawie pewny,
 Że teraz będzie spokojniejszy.

Kordelia. Dobrze.
(Król Lir w krześle śpiący wniesiony zostaje na scenę).

Doktor. Bliżej. — Powiedzcie, żeby głośniejsz grano.

Kordelia. Drogi mój ojczu, oby moje usta
 Były lekarstwem i ten pocałunek
 Ukoił boleść, którą moje siostry
 Czcigodny wiek twój zatruli!

Kent. Kochana,
 Zacna istoto!

Kordelia. A! chociażbyś nawet
 Nie był ich ojcem, te białe kędziory
 Powinny były litość w nich obudzić.
 Czyliż to była twarz do wystawienia
 Na pastwę wichrów, deszczu i piorunów,
 Jak owa biedna, stracona placówka
 W wiotkim szyszaku? Pies mojego wroga
 Choćby mię ugryzł, byłby był przytułek
 W taką noc znalazł przy mojem ognisku.
 A tyś poprzestać musiał, biedny ojczu,
 Na chlewnej strzesze, na skąpej i zgniłej
 Garści barłogu, wśród świń i włóczęgów.
 O, bogi, bogi! to cud, że cię życie
 Nie opuściło z przytomnością razem.
 Budzi się; przemów do niego, doktorze.

Doktor. Uczyn to Pani, to będzie właściwiej.

Kordelia. Jakże się miewa nasz dostojny chory?
 Jakże się Wasza Królewska Mość czuje?

Król Lir. Niepotrzebnieście mię dobyli z grobu. —

Tyś dobra dusza, alem ja przykuty
Do ognistego koła, które łzami,
Jak roztopionym otowiem polewam.

Kordelia. Czy mię poznajesz, Panie?

Król Lir. Jesteś duchem,
Wiem, wiem. Dawnożesz opuściła ciało?

Kordelia. Wciąż nieprzytomny.

Doktor. Tylko co się ocknął;
Zostaw go, Pani, chwilkę w spokojności.

Król Lir. Gdzież to ja byłem? Gdzie jestem? — Dzień jasny. —

Zwodzą mię srodze. — Umarłbym z litości,
Gdybym w tym stanie widział drugich. — Nie wiem,
Co mam powiedzieć. — Nie przysiągłbym na to,
Że to są moje ręce, a nie cudze; —
Zobaczmy: — czuję to zakłucie szpilką.
Gdybym mógł pewność mieć mojego stanu!

Kordelia. O, spojrzij na mnie, Panie, i wnieś ręce
Nad moją głową w znak błogosławieństwa, —
Nie, Panie, tobie klękać nie przystoi.

Król Lir. Nie szydźcie ze mnie! Jestem zdziecinniały,
Bezsilny starzec; mam lat osiemdziesiąt
Z górą, o jeden dzień ni mniej, ni więcej.
Boję się, mówiąc otwarcie, czy jestem
Przy całkiem zdrowych zmysłach. Zdaje mi się,
Że cię znam, Pani, i tego tu męża;
A jednak wątpię, bom zgoła nie świadom,
Co to za miejsce i cały mój rozum
Nie może sobie przypomnieć tych sukien.
Nie mogę sobie podobnież zdać sprawy,
Gdziem tę noc spędził. Nie śmieście się ze mnie,
Bo na poczciwość, jako żyw tu stoję,
Ta Pani zdaje mi się mojem dzieckiem,
Moją Kordelią.

Kordelia. Jestem nią też, jestem.

Król Lir. Sąli wilgotne twe łzy? Tak, zaiste.

Proszę cię, nie płacz. Jeżeli masz dla mnie
Jaką truciznę, chętnie ją wypiję,
Ty mnie nie kochasz, wiem; bo twoje siostry,
Ile pamiętam, złemi były dla mnie.

O, ty masz powód, one go nie miały.

Kordelia. Nie mam go, nie mam.

Król Lir. Jestem ja we Francyi?

Kordelia. W własnem królestwie swoim.

Król Lir. Czy być może?

O, nie oszukuj mnie.

Doktor. Pociesz się, Pani.

Owo szaleństwo wielkie jest, jak widzisz,
Już usunięte; nie byłoby jednak
Bezpiecznie teraz objaśniać mu przeszłość.
Namów go, Pani, by wszedł do namiotu;
Nie przerywajmy mu tak potrzebnego
Spoczynku, póki lepiej się nie wzmoże.

Kordelia. Może się Wasza Królewska Mość przejdzie.

Król Lir. Wybacz mi, proszę, bądź wyrozumiałą;

Zapomnij: jestem niedołążny starzec.

(Wychodzi z Kordelią, za nimi doktor i służba).

Dworzanin. Czy się to sprawdza, że księżę Kornwalii

Tak marnie zginął?

Kent. Z największą pewnością.

Dworzanin. Któż jego wojska prowadzi?

Kent. Podobno

Ów syn Glostera z nieprawego łoża.

Dworzanin. Mówią, że jego syn wygnany, Edgar,

Jest w Niemczech z hrabią Kentem.

Kent. Ta wiadomość

Może być błędną. Czas nam się obejrzeć:

Wojska książęce postępują naprzód.

Dworzanin. Będzie to krwawa bitwa. — Bądźcie zdrowi.

(Wychodzi).

Kent. A w miarę tego, jak los ją rozstrzygnie,

Szała mej doli schyli się lub dźwignie. *(Wychodzi).*

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Obóz brytański w pobliżności Dowru.

*(Przy odgłosie kottów, z chorągwiemi wchodzą: Edmund,
Regana, rotmistrze i żołnierze).*

Edmund *(do jednego z rotmistrzów)*. Idź waćpan spytać
księcia, czy trwa stale

Przy ostatecznie umówionych planach,

Czy też, zagnalony okolicznościami,
Odstąpił od nich, bo jest sprzeczny z sobą
I wahający się. Staraj się waćpan
Stanowczą o tem przynieść nam wiadomość.
(*Wychodzi rotmistrz*).

Regana. Postać naszej siostry spotkał pewnie
Jakiś przypadek.

Edmund. Ani wątpić, Pani.

Regana. Znasz, hrabio, moje uczucie dla ciebie:
Powiedz mi tylko otwarcie, rzetelnie,
Czy kochasz moją siostrę?

Edmund. Jak przystoi
Wiernemu słudze.

Regana. Lecz czyś nigdy do niej
Nie znalazł drogi dozwolonej tylko
Memu szwagrowi?

Edmund. Co za myśl!

Regana. Wieść chodzi,
Żeście wy z sobą w stosunkach tak ścisłych
I poufanych, jak tylko być można.

Edmund. To fałsz, honorem ci ręczę, Miledy.

Regana. Tegobym nigdy nie zniósła. Pamiętaj,
Kochany hrabio, nie zbliżać się do niej.

Edmund. Oddal, o Pani, tę myśl raz na zawsze —
Otóż i ona, z księciem swym małżonkiem.
(*Wchodzą: ks. Albanii, Goneryla i żołnierze*).

Goneryla (*do siebie*). Nimby ta siostra miała mi go wydrzeć,
Prędejbym przegrać wołała tę bitwę.

Ks. Albanii. Witaj nam, luba siostró. — (*Do Edmunda*).
[Mówią, Panie,

Że król znajduje się w obozie córki
Z innymi, których ostrość naszych rządów
Zraziła. Nigdy nie byłem walecznym,
Gdzie być nie mogłem uczciwym. Dobyłem
Oręż przeciwko Francuzom dlatego,
Że naszli nasze ziemie, nie dlatego,
Że dłoń przyjazną podają królowi
I innym, których bodają czy niestusznia
Uzbraja przeciw nam sprawa.

Edmund. Milordzie,
Szlachetnie mówisz.

Regana. Na co tu ten rozbiór?

Goneryla. Myślmy, jak stawić czoło najezdnikom;

O tych domowych, prywatnych niechęciach,
Nie pora mówić teraz.

Ks. Albanii. Zasięgnijmyż
Nasamprzód rady starych wojowników,
Jakiby obrać tryb działań.

Edmund. Za chwilę
Będę w namiocie Waszych Wysokości.

Regana. Siostró, wszak idziesz z nami?

Goneryla. Nie.

Regana. Pójdź, proszę;
Wypada, abyś była z nami razem.

Goneryla (*do siebie*). Aha, wiem, o co idzie. — (*Głośno*).
[Dobrze, pójdę.

(*Edgar przebrany wchodzi*).

Edgar (*do ks. Albanii*). Nie pogardzacie li, Panie, rozmową
Z biednym człowiekiem, to mię wysłuchajcie.

Ks. Albanii (*do odchodzących*). Zaraz ja przyjdę. — (*Do*
[*Edgara*]). Mów.

(*Edmund, Regana, Goneryla, rotmistrze i żołnierze wychodzą*).
Edgar. Rozpieczętujcie

Ten list przed bitwą; jeśli zwyciężycie,
Kaźcie oddawcę jego trąbą przyzwać.
Choć moja postać gminna i nikczemna,
Mogę jednakże stawić zapaśnika,
Zdolnego stwierdzić to, co tu podane.
Jeśli przegracie, Panie, rola Wasza
Na tym tu świecie skończy się tem samem
I usną wszelkie knowania. Bogdajby
Fortuna chciała was kochać!

Ks. Albanii. Zaczekaj,
Aż list przeczytam.

Edgar. Nie wolno mi, Panie.
Gdy przyjdzie pora, kaźcie heroldowi
Ozwać się tylko, a wnet się ukaże.

Ks. Albanii. Dobrze więc, bywaj zdrów, przejrż to pismo.
(*Edgar wychodzi*. — *Edmund powraca*).

Edmund. Już nieprzyjacieli przed nami: milordzie,
Spraw swoje wojsko. Oto obliczenie
Ich sił, z dokładnych powzięte wywiadów;
Ale na waszym pośpiechu, milordzie,
Wiele zależy.

Ks. Albanii. Będę na czas gotów.
(*Wychodzi*).

Edmund. Obudwu siostróm zaprzysięgłem miłość;
 Jedna nie cierpi drugiej, jako żmii
 Nie cierpi, kto był ukaszony przez nią.
 Któraż z nich wezmę? Obiedwie? czy jedną?
 Czy żadnej? Żadnej posiadaćbym nie mógł,
 Jeśliby obie żyły. Wziąwszy wdowę,
 W wściekłościąbym tamtą wprawił, a przy tamtej
 Z trudnościami mi przyszło dojść do celu,
 Dopóki mąż jej przy życiu zostaje.
 Użyjmyż jego plec w bitwie, a potem
 Niech ta, któraby rada go się pozbyć,
 Sama pomyśli o tem. Co się tyczy
 Ułaskawienia Lira i Kordelii,
 Które on sobie ułożył, nic z tego.
 Jeżeli bitwę wygramy i oni
 Wpadną w moc naszą, w niwecz ja obrócę
 Ten piękny projekt. W położeniu mojem
 Biernym być zgubnie, trzeba iść przebojem.
(Wychodzi).

SCENA II.

Pole pomiędzy dwoma obozami.

(Wrzawa wojenna za sceną. Przy odgłosie bębnow, z chorągwiami przechodzą przez scenę: król Lir, Kordelia i żołnierze. Wchodzą: Edgar i Gloster).

Edgar. Usiądź tu, ojcze; to cieniste drzewo
 Gościnną strzechę ci zastąpi; módl się
 Za tryumf dobrej sprawy. Jeśli wrócę,
 Przyniosę ci pociechę.

Gloster. Niech ci, bracie,
 Błogosławieństwo niebios towarzyszy!
(Edgar wychodzi. — Wrzawa wojenna. Sygnały do odwrotu. — Edgar powraca).

Edgar. Uchodźmy, starcze! daj rękę! uchodźmy!
 Lir zwyciężony i w niewolę wzięty
 Wraz z córką. Idźmy, idźmy.

Gloster. Po co szukać
 Innego miejsca? Wszak i tu zgnić można?

Edgar. Znów czarne myśli? Nie od nas zależy
 Nasz koniec, tak jak przyjdzie nasze na świat:

Jak do tamtego trzeba być dojrzałym,
 Tak i do tego. Idźmy.

Gloster. I to prawda.
(Wychodzą).

SCENA III.

Brytański obóz w pobliżności Dowru.

(Wchodzą: Edmund, jako zwycięzca, przy odgłosie kottów z chorągwiami, król Lir i Kordelia, jako jeńcy; rotmistrze i żołnierze).

Edmund. Kilku rotmistrzów niech ich odprowadzi,
 Trzymać ich pod jak najściślejszą strażą,
 Póki nie będzie oznajmiony wyrok
 Tych, co ich sądzić mają.

Kordelia. Nie mnie pierwszej
 Przyszło w złe popaść, przy chęci najszczerzej
 Zrobienia dobrze. Twój to los, o królu,
 Boli mię; własny zniosłabym bez bólu.
 Nie zobaczymyż tych dwóch sióstr, tych córek?

Król Lir. Nie, nie, nie! Precz! precz! Idźmy do więzienia.
 Będziem tam sobie śpiewali we dwoje,
 Jak ptaki w klatce. Gdy mię ty poprosisz
 O udzielenie ci błogosławieństwa,
 Ja klęknię wtedy i prosić cię będę
 O przebaczenie. Tak sobie żyć będziem,
 Modlić się, śpiewać, pleść stare powieści,
 Śmiać się do złotych motylów i słuchać,
 Jak prostaczkowie opowiadać będą,
 Co się u dworu dzieje, kto wygrywa,
 Kto traci, kto jest w łasce, kto w niełasce.
 Będziem też i my gawędzić z nimi
 I w pogadance tej przybierać minę
 Tak tajemniczą, jak żebyśmy byli
 Powiernikami bogów. Tym sposobem
 Odosobnieni, za murem i kratą,
 Przetrywamy dole i niedole wielkich,
 Które się ciągle zmieniają, jak przypływ
 I odpływ morza.

Edmund. Precz ich wyprowadzić!
Król Lir. Na takie, jak my, ofiary, Kordelio,

Bogowie sypią kadzidła. Mam ciebie!
 Ktoby rozdzielić nas chciał, tenby musiał
 Wziąć chyba z nieba głównię, i tą głównią
 Podkurzyć nas jak lisy. Otrzyj oczy!
 Niech im zaraza prędzej skanceruje
 Skórę i ciało, niż tży nasze ujrzą!
 Niech wprzód zmarnieją! — Pójdź!

(Król Lir i Kordelia wychodzą pod strażą).

Edmund. Zbliź się, rotmistrzu.

Weź ten skrypt, idź za nimi do więzienia.
 Jużem o stopień wyżej cię posunął;
 Jeżeli zrobisz to, co tu wskazane,
 Do wyższych sobie przez to utorujesz
 Zaszczytów drogę. Wiedz o tem, że człowiek
 Jest niewolnikiem czasu: nie przystoi
 Mieczowi tklivość. Nad tem, com ci zlecił,
 Niema co dyskutować; albo powiedz:
 Zrobię to, albo szukaj sobie szczęścia
 Na innej drodze.

Rotmistrz. Zrobię to, milordzie.

Edmund. Działaj więc i bądź szczęsnym, gdy to zdziałasz.

Ale pamiętaj — jak najprędzej; zresztą
 Wykonaj wszystko tak, jak napisałem.

Rotmistrz. Nie mogę wozu ciągnąć, ni jeść owsa,

Ale co w mocy ludzkiej, to wykonam.

(Wychodzi. — Odgłos trąb. Wchodzą: Ks. Albanii, Goneryla, Regana, rotmistrze i żołnierze).

Ks. Albanii. Daliście, Panie, świetny dowód męstwa

I szczęście Wam sprzyjało. W naszych rękę
 Są ci, co głównie byli sprężynami
 Dzisiejszej walki; żądamy ich od was
 Dla postąpienia z nimi, jak nam każe
 Postąpić wzgląd na bezpieczeństwo nasze
 I ich zasługę.

Edmund. Uważałem, Panie,

Za rzecz stosowną usunąć z przed oczu
 I pod zamknięciem umieścić starego,
 Biednego króla; wiek jego i tytuł
 Ma w sobie urok, zdolen serca ludu
 Zwrócić ku niemu, a przeciw nam lance,
 Któreśmy zwerbowali. Z nim posłałem,
 Dla tychże samych powodów, królowę:
 Są oni wszakże w pogotowiu stanąć,

Jutro lub później, tam, gdzie posiedzenie
 Zechcecie odbyć. Krew z nas ciecze teraz
 I pot; przyjaciół płacze przyjaciela,
 I najlepszemu wypadkowi bitwy
 Klnie ten, co ciosów jej doświadczył. Kwestya
 Kordelii i jej ojca sposobniejszej
 Wymaga chwili.

Ks. Albanii. Wybaczcie mi, Panie:
 Mam Was jedynie za sługę w tej wojnie,
 A nie za brata.

Regana. To jeszcze zależy
 Od tego, co my powiemy! Zda mi się,
 Że się nas pierwej godziło zapytać,
 Przed tak stanowczem wyrzeczeniem tego.
 On wojskiem naszym dowodził, on działał
 Jako zastępca mój i reprezentant:
 W tak bezpośredniem przeto położeniu
 Mógłby się mienić naszym bratem.

Goneryla. Zwolna!

Nie tak gorąco! Własna jego wartość
 Wyżej go stawia, niż tve wyniesienie.

Regana. Przeze mnie w moje prawa wprowadzony,
 Nie ustępuje on najznakomitszym.

Ks. Albanii. Toby być mogło w najszcześniejszym razie,
 Gdybyś z nim Pani była zaślubioną.

Regana. Z szyderców często bywają prorocy.

Goneryla. Hola! To oko pani zezowate,
 Co się spodziewa to ujrzeć!

Regana. O, pani —
 Czuję się jakoś słabą; gdyby nie to,
 Odpowiedziałabym dosadniej. — Hrabio,
 Oddaję wojsko me, jefców i mienie:
 Rozrządaj wszystkim mojem i mną samą.
 Niech wie świat, że cię uznają za pana
 I za małżonka.

Goneryla. Myślisz go posiadać?

Ks. Albanii. Nie pani dobra chęć przeszkodzi temu.

Edmund. Ani też twoja, panie.

Ks. Albanii. Moja właśnie,
 Podły mieszańcze.

Regana *(do Edmunda)*. Kaź uderzyć w trąbę.

I poprzyj moje prawa jako swoje.

Ks. Albanii. Czekać! Parę słów tylko. — Edmundzie

Aresztujemy cię za zdradę stanu,
A z tobą tego węża w złotej łusce. —
(*Wskazuje na Gonerylę*).

Co się zaś tyczy twojego zamiaru,
Nadobna siostrzo, kładziemy nań *velo*,
W imieniu naszej żony; ona bowiem
Wprzód już z tym lordem była zaręczoną,
A my, jej mężem będąc, musim bronić
Jej interesu. Pragniesz li zamęścia,
To weź mnie, pani; jam wolny: — ta dama
Już zamówiona.

Goneryla. Co za śmieszna farsa!
Ks. Albanii. Masz waćpan oręż. — Niech w trąby uderzą!
Nie stawi li się nikt, aby ci dowieść
Ohydnej, jawnej i przeróżnej zdrady.
Oto mój zakład. — (*Rzuca rękawicę*). Nie wprzód tknę
[się chleba,

Aż ci wykażę z tym mieczem na sercu,
Że jesteś takim, jakim cię ogłaszam.

Regana. Słabo mi! słabo mi!

Goneryla (*na stronie*). Wierzę, inaczej
Nie ufałabym żadnemu lekarstwu.

Edmund. Oto nawzajem mój zakład. — (*Rzuca rękawicę*).
[Ktokolwiek

Mieni mię zdrajcą, ten kłamie bezczelnie.
Niech zagrzmią trąby! Ktobądź się ośmieli
Wystąpić, przeciw temu gotów będę
Bronić honoru mojego i sławy,
Aż do ostatniej kropli krwi.

Ks. Albanii. Herolda!

Edmund. Herolda przyzwać!

Ks. Albanii. Licz na własne siły.

Żołnierze twoi, których zwerbowano
W moim imieniu, w moim też imieniu
Dostali rozkaz wrócenia do domów.

Regana. Coraz mi gorzej, och! och!

Ks. Albanii. Jej niedobrze,
Odprowadźcie ją do mego namiotu.
(*Regana zostaje wyprowadzoną. — Wchodzi herold*).
Zbliź się, heroldzie — przeczytaj to pismo,
A potem zatrąb.

Herold (*czyta*). »Jeżeli jest jaki rycerz szlacheckiego rodu
lub stopnia, coby Edmundowi, przypuszczalnemu hra-

biemu Gloster, w oczy śmiał zarzucić, że jest wielo-
licznym zdrajcą, niech się ukaże za trzecim odgłosem
trąby. W mowie będący Edmund gotów jest przyjąć
walkę w swej obronie«.

Ks. Albanii. Zatrąb!

(*Herold trąbi pierwszy raz*).

Ks. Albanii. Jeszcze!

(*Herold trąbi drugi raz*).

Ks. Albanii. Jeszcze!

(*Herold trąbi trzeci raz*).

(*Trąba odpowiada z za sceny. — Edgar wchodzi uzbrojony;
przed nim trębacz*).

Ks. Albanii. Spytaj go, czego chce, po co się stawia
Na ten głos trąby?

Herold. Kto jesteś, rycerzu?

Jakie twe miano? Jaki stan i po co

Stajesz tu na to hasło?

Edgar. Miano moje,

Od raka zdrady stoczone, przeżarte

Zębem niecnoty, zatartem zostało,

Alem szlachetnej krwi, jak ten przeciwnik,

Z którym mam walczyć.

Ks. Albanii. Któż jest ten przeciwnik?

Edgar. Kto się tu stawia w obronie Edmunda,

Hrabiego Gloster?

Edmund. On sam, cóż mu powiesz?

Edgar. Dobądź oręża, aby cię dłoń twoja

Mogła oczyścić, jeśli moja mowa

Skrzywdzi szlachetne serce — tu jest moje.

W imię praw moich, mojego honoru,

Mojej przysięgi, bez względu na twoją

Siłę i młodość, stopień i znaczenie,

Na twój zwycięski miecz i świeże szczęście,

Na twoje męstwo i waleczność, twierdzą,

Że jesteś zdrajcą, wiarołomnym bogom,

Bratu i ojcu, sprzyśniętym na życie

Tego wysoko dostojnego księcia,

Słowem, od czubka głowy do ostatnich

Kończyn podeszwy, najprzeniewierniejszym,

Wierutnym zdrajcą. Zaprzeczysz li temu,

Ten miecz, to ramię, wszystkie siły moje

Gotowe stwierdzić to kosztem krwi twojej

I dowieść ci, że kłamiesz.

- Edmund.** Ściśle biorąc,
Wprzódbym powinien wiedzieć, jak się zowiesz;
Ponieważ jednak twoja powierzchowność
Tak jest rycerską i niepospolitą,
I mowa twoja zdradza ród szlachezny,
Pogardzam przeto formą wymaganą
W tego rodzaju spotkaniach, przy której
Roztropności mi radziła obstawać.
W oczy odbijam ci twój zarzut zdrady,
Jako piekielny fałsz, który zaledwie
Drasnął mię a nie zranił, a któremu
Ten mój miecz zaraz utworuje drogę
Tam, gdzie na wieki spocznie. — Niech zatrąbią!
(*Odgłos tręb. Walczą. Edmund pada.*)
- Goneryla.** Ratujcie go! ratujcie! — (*Do Edmunda*). To był
[podstęp,
Podstęp, Glosterze. Według praw rycerskich,
Nie byleś wcale w obowiązku walczyć
Z nieznanym przeciwnikiem. Oszukany,
Nie pokonany zostałeś.
- Ks. Albanii.** Milcz, Pani,
Albo ci usta zatkam tym papierem. —
(*Do Edmunda, pokazując mu list Goneryli*).
Patrz, mości panie. — (*Do Goneryli*). Poczwaro, prze-
[czytaj
Ten jawny dowód twojej nieprawości. —
(*Oddaje jej list*).
Nie drzyj go; znasz to jejmość, jak uważam.
- Goneryla.** Choćby tak było, ja tu jestem panią,
Nie ty, nikt nie ma prawa mię pociągać
Do tłómaczenia.
- Ks. Albanii.** Nędzna! a więc znasz to?
Goneryla. Nie pytaj mnie, co znam.
(*Wychodzi*).
- Ks. Albanii** (*do jednego z rotmistrzów*). Idź waćpan za nią:
Jest zrozpaczoną, daj na nią baczenie.
(*Rotmistrz wychodzi*).
- Edmund.** Jam to uczynił, o co mię oskarżasz
I więcej, znacznie więcej; czas pokaże:
Już on się dla mnie kończy. Ale ktoś ty,
Coś mi tak przeciął przyszłość? Jeśliś szlachcic,
To ci przebaczę.
- Edgar** (*podnosząc przyłbicę*). Użalmy się wzajem.

- Jestem tak dobrej krwi, jak ty, Edmundzie;
Jeśli zaś moja lepszą jest od twojej,
Tem gorzej sobie postąpiłeś ze mną,
Moje nazwisko Edgar; jestem synem
Twojego ojca. Nieba sprawiedliwe;
Z słodkich występków naszych czynią one
Narzędzie naszej chłosty: owo ciemne,
Pokątne miejsce, w którym on cię spłodził,
Doprowadziło go do ociemnienia.
- Edmund.** O, prawdę, prawdę mówisz! — Koło losu
Bieg swój odbyło spełna; ja tu leżę.
- Ks. Albanii.** Po chodzie jużem domyślał się twojej
Zacności rodu. Pozwól się uściśnąć.
Niech brzemień cierpień przygniecie mi serce,
Jeżeli kiedy źle życzyłem tobie
I twemu ojcu.
- Edgar.** Wiem o tem, cny książe.
- Ks. Albanii.** Ale gdzieżeś to dotąd się ukrywał?
Skąd wiesz o ojca nieszczęściu?
- Edgar.** Stąd, Panie,
Żem go w nieszczęściu pielęgnował. Zdam Wam
W krótkości sprawę z moich przejść i jego —
Bogdajby potem pękło serce moje! —
Aby ująć skutku krwawych listów gońcących,
Wysłanych za mną — o, ileż słodczy
Ma dla nas życie, gdy wolimy w mękach
Mrzeć co godzina, niż umrzeć odrazu! —
Przywdziałem na się łachmany waryata,
Przybrałem postać taką, że psy nawet
Z wzdargą patrzyły na mnie. W takim stanie
Spotkałem ojca mojego, z owymi
Krwia zbuczonymi pierścieniami, z których
Świeżo szlacheć wyrwano kamienie.
Zostałem odtąd jego przewodnikiem,
Byłem z nim ciągle, zebrałem dla niego
I wstrzymywałem go od samobójstwa.
Nie dałem mu się poznać (o, dlaczego!),
Dopiero teraz, kiedym już był zbrojny,
Przed pół godziną. Niepewny wycięstwa,
Jakkolwiek pełen najlepszej otuchy,
Prosiłem, aby mię pobłogosławił,
I od samego początku do końca
Opowiedziałem mu swoje tułactwo.

Ale, niestety! znękany duch jego,
Za słaby, aby mógł znieść bieg tak nagły
Dwóch sprzecznych uczuć, bólu i radości,
Uśmiech na jego ustach zostawiając,
Uleciał.

Edmund. Mowa twoja mię wzruszyła,
Skutki jej mogą być dobre, mów dalej.
Masz, zda się, jeszcze coś do powiedzenia.

Ks. Albanii. Masz li coś więcej jeszcze tak smutnego,
To zamilcz, bo ja sam, słuchając tego,
Zaczynam mięknąć.

Edgar. Toby się zdawało
Dla nielubiących smutku dostatecznem,
Lecz był ktoś, który to wiele powiększył
O wiele więcej jeszcze i posunął
Tę ostateczność do ostateczności.
Gdy żal wydobył głośny jęk z mej piersi,
Wtedy przystąpił do mnie pewien człowiek,
Który mię widział był w mej ciężkiej nędzy
I z wstrętem stronił od mego widoku,
Ale w tej chwili poznawszy, kto jestem,
I przypomniawszy sobie, com wycierpiał,
Silnem ramieniem objął mię za szyję
I zawył, jakby chciał rozsadzić niebo.
Rzucił się potem na mego ojca.
A potem jął się opowiadać dzieje
Lira i jego, z których okropnością
Nic się znanego porównać nie może;
A gdy to opowiadał, boleść jego
Rosła tak, że się struny jego życia
Pękać zdawały. Zatrąbiono wtedy,
I pozostawić go musiałem prawie
Bez przytomności.

Ks. Albanii. Któż to był?

Edgar. Kent, Panie,
Ów to wygnany Kent, który w przebraniu
Nie odstępował króla, swego wroga,
Pełniąc posługi, jakichby się nie chciał
Podjąć niewolnik.

(Jeden z dworzan wbiega z zakrwawionym nożem).

Dworzanin. Na pomoc! na pomoc!

Edgar. Komu na pomoc?

Ks. Albanii. Mów.

Edgar. Cóż ten nóż znaczy?
Dworzanin. Gorący on, dymiący się krwią świeżą:
Tylko co wyszedł z serca — już jej niema!

Ks. Albanii. Kogo? mów.

Dworzanin. Waszej małżonki, Milordzie:
Zamordowała się. Jej siostra przez nią
Padła otruta; sama to wyznała.

Edmund. Z obiema byłem zaślubiony, teraz
Wszystkich nas troje łączy jedna chwila.

Ks. Albanii. Niech je przyniosą żywe czy nieżywe.
(Dworzanin wychodzi).

Ta kara niebios drzeniem nas przejmując,
Litości w nas nie budzi.

(Wchodzi Kent).

Edgar. Oto i Kent.
Czas nie pozwala cię powitać, panie,
Jakby przystało.

Kent. Przyszedłem powiedzieć
Mojemu Panu dobranoc na zawsze.
Czy go tu nie ma?

Ks. Albanii. Ha! jakżeśmy mogli
Zapomnieć o czemś tak ważnem!
Edmundzie, powiedz, gdzie król, gdzie Kordelia?
(Służba wnosi ciała Goneryli i Regany).

Patrz, Kencie, na to widowisko.

Kent. Nieba!
Czemuż tak?

Edmund. Edmund był kochany jednak:
Dla mnie otruła jedna drugą, poczem
Zabiła siebie.

Ks. Albanii. Zakryjcie ich twarze.

Edmund. Pragnę żyć — pragnę zrobić co dobrego,
Wbrew mej naturze. Poślijcie czempredzej,
Na zamek — tylko zaraz, bo mój rozkaz
Zagraża życiu Lira i Kordelii.
Nie ociągajcie się.

Ks. Albanii. Śpieszcie, o, śpieszcie!

Edgar. Do kogo, Panie? *(Do Edm.).* Któż otrzymał rozkaz?
Poślij co na znak odwołania.

Edmund. Dobrze,
Że ci to na myśl przyszło: oto miecz mój;
Idź z nim i oddaj go oficerowi,
Co ma straż przy nich.

Ks. Albanii. Śpiesz, na miłość bogów!

(Edgar wychodzi).

Edmund. On ma od twojej żony i ode mnie

Rozkaz powieść Kordelię w więzieniu

I zwalić potem winę na jej rozpacz,

Jakoby sama sobie śmierć zadała.

Ks. Albanii. Bogowie, strzeżcie ją! Wynieść go na bok.
(Żołnierze wynoszą Edmunda za scenę. — Wchodzi król Lir, trzymając w objęciach martwą Kordelię; za nim Edgar, rotmistrze i inni).

Król Lir. Jęcz, jęcz, jęcz, świecie! — O, wy wszyscy z głazu!

Gdybym miał wasze oczy, wasze usta,

Wstrząsnąłbym niebiosa mym jękiem. Już po niej!

Po niej, na zawsze! Umieję ją rozpoznać,

Kto żyje, a kto trup: z niej już trup tylko.

Może się myłę. Podajcie zwierciadło:

Jeśli jej oddech na jego powierzchni

Zostawi jaki ślad, to jeszcze żyje.

Kent. Jestże to koniec świata?

Edgar. Albo obraz

Równej mu zgrozy?

Ks. Albanii. Wszechprzemiany w nicość?

Król Lir. Poruszyło się piórko: jeszcze żyje!

Jeżeli żyje, szczęście to umorzy

Wszystkie niedole, jakie wycierpiałem.

Kent *(kłękając).* Drogi, kochany Panie!

Król Lir. Odstąp! odstąp!

Edgar. To Kent, szlachetny wasz przyjaciel, Panie.

Król Lir. Precz! precz! Przekleństwo wam, zdrajcy, mordercy!

Wszyscyście tacy. Mogłem ją ocalić;

Teraz po wszystkim! Kordelio! Kordelio!

Zaczekaj trochę. Ha! Co mówisz? Głos jej

Był zawsze słodki, łagodny i cichy,

Nieoceniona rzecz w kobiecie! Nędznik,

Co cię powiesił, zginął z mojej ręki.

Jeden z rotmistrzów. W istocie, on go zabił, Milordowie.

Król Lir. Nie prawdę mówię? Był czas, gdy na widok

Tego bułata dobytego z pochwy

Truchlano: terazem stary, złamany

Tylolicznymi ciosy. Kto ty jesteś?

Wzrok mi się popsuł, czekaj, zaraz powiem.

Kent. Jeśli fortuna pyszną jest z dwóch ludzi,

Których kochała i nienawidziła,

Jednego z nich tu widzimy.

Król Lir. Jak tu ciemno!

Czyś ty Kent?

Kent. Jestem Kent, twój sługa, Panie;

A gdzieś twój sługa Kajus?

Król Lir. Był to walny,

Pocziwy chłopak, możecie mi wierzyć,

Miał krzepką rękę. Zmarł on i zgnął.

Kent. Żyje,

Kochany Panie, jam jest tym człowiekiem.

Król Lir. Zaraz zobaczę.

Kent. Który od początku

Twego upadku nie przestawał dzielić

Smutnych kolei twoich.

Król Lir. Bądź pozdrowion!

Kent. Nikt inny. Zewsząd śmierć, ciemność i próżnia.

Starsze twe córki same się zgładziły

I zmarły śmiercią gwałtowną.

Król Lir. Tak myślę.

Ks. Albanii. Nie wie, co mówi; próżnobyśmy teraz

Dawali mu się poznać.

Edgar. Nadaremnie.

(Wchodzi jeden z rotmistrzów).

Rotmistrz. Milordzie, Edmund, hrabia Gloster, skonał.

Ks. Albanii. To rzecz podrzędna. Szlachetni lordowie

I przyjaciele, słuchajcie naszego

Postanowienia. Niech wszelka pociecha,

Jaką dać można, zapewnioną będzie

Tej nieszczęśliwej ruinie wielkości.

Co się nas tyczy, rzekamy się ninie

Najwyższej władzy na rzecz tego starca,

Póki żyć będzie.

(Do Kenta i Edgara).

Wy dwaj, milordowie,

Kencie, Glosterze, wejdźcie w wasze prawa,

Których przewyżka będzie odpowiedzialną

Waszej zasłudze. Niech każdy przyjaciel

Cnót swych dank znajdzie, każdy nieprzyjaciel

Kielich goryczy. Ależ patrzcie, patrzcie.

Król Lir. Ani isierki życia! ani zipnie!

Pies, koń, mysz może żyć, a ty i tchnienia

Wydać nie możesz! O, ty już nie wrócisz,

Nigdy nie wrócisz, nigdy, nigdy, nigdy!
 Bądźcie tak dobrzy, rozpiąć mię. Dziękuję.
 O, patrzcie! patrzcie na nią! na te usta
 Patrzcie! o, patrzcie!

(Umiera).

Edgar.

Mdleje. O, mój królu!

Kent. Pęknij, przez litość, pęknij, serce moje!

Edgar. Spójrz, mój królu!

Kent.

Przestań, niech duch jego

Wzleci swobodnie! Byłby jego wrogiem,

Ktoby go dłużej na torturach świata

Chciał zatrzymywać.

Edgar.

Umarł, rzeczywiście.

Kent. To dziw, że dotrwał do tej chwili; żył on

Od dawna tylko przywłaszczonem życiem.

Ks. Albanii. Weźcie te ciała. Ogólna żaloba

Tłumi w nas wszelką myśl. Wy oba,

(Do Edgara i Kenta).

Drogi Edgarze i Kencie kochany,

Rządźcie i państwa zagajacie rany.

Kent. Ja się niebawem muszę wybrać w drogę;

Mój pan mię woła, odmówić nie mogę.

Edgar. Nie traćmy serca w tej dotkliwej próbie,

Czując, co czuję, czynmy, co na dobre.

Ten z nas najstarszy zniósł najwięcej ciosów:

My nie dożyjemy równych lat i losów.

(Wychodzą. Muzyka odgrywa marsza pogrzebowego).



OTELLO.

TŁÓMACZENIE J. PASZKOWSKIEGO.

»Otello« jest prawdopodobnie najbliższą po »Hamlecie« w szeregu wielkich tragedii shakespeareowskich. Ze wewnętrznych dowodów na to twierdzenie co prawda nie mamy niemal żadnych. Najwcześniejsze wydanie »Otella«, jakie posiadamy, o rok tylko poprzedza wielki pośmiertny zbiór dramatów Shakespeara *in folio*¹⁾, nie zezwala więc na żadne wnioski co do daty. Natomiast ze zapisków urzędowych o przedstawieniach teatralnych na dworze królewskim²⁾ dowiadujemy się, że trupa shakespearewska grała tam dramat w dzień WW. Świętych roku 1604; dzieło, wybrane na ten uroczysty cel, przeszło chyba już poprzednio przez próbę powodzenia na scenie ludowej; tak samo dokumentarne wiadomości o dalszych jego przedstawieniach na dworze w latach 1610 i 1613 dowodzą niegasnącej popularności tragedyi w stałym repertuarze trupy. Już w roku 1604 także spotykamy się z aluzją literacką, niewątpliwie chyba do »Otella« się odnoszącą, w dramacie Dekkera »Uczciwa nierządnicą«:

¹⁾ To wydanie *in quarto* z roku 1622 — jedyny taki druk między śmiercią poety a zbiorem *in folio* — ma znaczne luki (zawiera około 350 wierszy mniej niż *folio*); miejscami to może tradycyjne skrócenia wersyi scenicznej. Brak temu tekstowi między innymi tej wielkiej ozdoby dramatu, jaką stanowi pieśń Desdemony o wierzbie (IV, 32). Wydanie *in folio*, które w tym wypadku ma spis osób (na końcu) i nawet pewien podział na akty i sceny, od autentycznego tekstu oddala się przez staranne złagodzenie i usunięcie (w myśl rozporządzenia króla Jakóba z r. 1605) wszelkich przekleństw i zaklęć na istotę boską; te szczególgi wyrażenia uzupełnia tekst *in quarto*. Dalsze trzy stare wydania *in quarto* (z lat 1630, 1655, 1681) nie przedstawiają szczególnego interesu dla krytyki tekstu.

²⁾ Zapiski te — w których nazwisko poety figuruje w formie *Shaxberd* — do r. 1911 uchodziły niestusnie za falsyfikat.

»Zmarłą twą ukochaną zabijasz na nowo,
I okrutniejszy jesteś, niżli dziki Murzyn«¹⁾.

Z »Hamletem« — ale tak samo z »Królem Lirem« i z »Tymonem« — łączy tragedję zasadnicze podobieństwo w psychologii tematu: we wszystkich tych dziełach człowiek szlachetny, pełen wiary w swe otoczenie, doznaje okrutnego rozczarowania. »Hamleta« w szczególności przypomina w »Otelu« wzmianka Desdemony (IV, 3) o niešťczęsnej dziewczynie, opuszczonej przez szalonego kochanka²⁾, i o jej ulubionej piosence, którą Desdemona nuci: to jakby ponowny a ślubszy powiew tego lirycznego natchnienia, które stworzyło postać i śpiewy Ofelii³⁾.

Źródłem tragedji jest nowela włoska w zbiorze *Hecatonmithi* (1566), którego autorem był Giambattista Giraldi, zwany Cinthio⁴⁾. W przeciwieństwie do komedji — jak »Wiele hałasu o nic« — gdzie poeta załarł związek fabuły z wypadkami historycznymi, — tutaj Shakespeare rozmyślnie umieścił wypadki tragedji w horyzoncie historycznym swej publiczności przez motyw wyprawy wojennej Turków przeciwko Cypru jako powód wysłania tam Otella (I, 3); w noweli Otello dostaje się na Cypr przez zmianę

¹⁾ *The Honest Whore*, cz. I, akt I, sc. 1: przemawia ojciec zmarłej rzekomo córki do jej kochanka, który — jak u Shakespeara Hamlet w V akcie — przerywa obrządki pogrzebowe.

²⁾ *She was in love: and he she lov'd prov'd mad
And did forsake her.*

Słowo *mad* różni wydawcy angielscy usiłowali przez konjekтуры usunąć z tekstu, i dlatego w żadnym z tłumaczeń polskich niema słowa »oszalał«.

³⁾ Tak samo też, jak w piosenkach Ofelii użytkowane są pieśni ludowe, śpiewane po shakespeareowskiej Anglii, tak i cudowna pieśń Desdemony o wierzbie ma swe analogie w poezji ludowej. O pieśniach z podobnym refrenem słyszemy z kilku stron; jedna, podobna w kilku zwrotkach do shakespeareowskiej, jest w sławnym rękopisie, z którego biskup Percy w r. 1765 wydał »Zabytki dawnej poezji angielskiej«; w tej wersji nie jest to skarga niewiasty, lecz zawięzionego kochanka. Tekst shakespeareowski z muzyką znajduje się w rękopisie z XVII wieku w British Museum; muzyka musi być starsza, znajdujemy ją bowiem już w rękopiśmiennym zeszycie muzycznym Tomasza Dallisa z r. 1583.

W zbiorze, który wydał Percy, znalazła się także odmienna nieco wersja ballady, śpiewanej w scenie pijackiej (II, 2) przez Iaga: »Król Stefan, król Stefan, o pan jakich mało!«

⁴⁾ Nowelę tę — jest nią siódma w trzecim dziesiątku — znajdujemy także we francuskim tłumaczeniu zbioru Cinthia (1584); niema jej natomiast wśród tego angielskiego wyboru tłumaczeń z Cinthia, który w roku 1582 wydał Whetstone p. t. *Heptameron*.

garnizonów weneckich. Otóż wyspę Cypr wydarli republice weneckiej Turcy w latach 1570/1, o czym i poeta i jego audytorium wiedzieć mogli z ustnej tradycji; może też być, że Shakespeare wyczytał ten fakt w świeżo wydanej drukiem, a niebawem wielce popularnej »Historji Turków« Knollesa (1603).

Podobnie jak w niejednym innym dramacie — »Kupiec wenecki«, »Hamlet« — pozostawia nas Shakespeare i w »Otelu« w niepewności co do czasu trwania akcji. Wypadki poszczególnych scen od przyjazdu na Cypr, przez drobne fakta nierozzerwalnie między sobą powiązanych, według różnych aluzji w tekście następują po sobie z piorunującą szybkością w ciągu półtorej doby; od tego pośpiechu dramatycznego zależy możliwość tragicznego obrotu rzeczy, który każdej chwili uchylićby mogło choćby jakieś spotkanie Otella z Kassymem.

Z drugiej strony inne wzmianki w dyalogu przemawiają za upływem dłuższego czasu między szczęściem a nieszczęściem Otella; w noweli opuszcza on Wenecję dopiero po dłuższem pożyciu małżeńskim, i na Cyprze także dopiero po pewnym czasie dojrzewa intryga. W dramacie żadna jednolita konstrukcja chronologiczna wszystkich szczegółów zgodnie, przekonywająco i logicznie wyjaśnić nie zdoła, i pozostaje nam subiektywna swoboda upatrywania w tych nierozwikłanych sprzecznościach czy to »magii dramatycznej« czy to niedbałości poety; w każdym razie nie zwraca na te trudności uwagi ani widz w teatrze ani pobieżny czytelnik, których fascynuje wytworzona przez te manipulacje Shakespeara ciągłość i jednolitość całej akcji.

Zwyczajem swoim Shakespeare ponadawał postaciom dramatu imiona, których niema w oryginalne, a które on wybierał bez namysłu z konwersacji i przygodnej lektury. U Cinthia znalazł tylko niezwykle imię bohaterki — *Disdemona* — które może wykształceńsi słuchacze i czytelnicy łączyli z greckim przymiotnikiem *δυσδαίμων* i pojmowali jako »nieszczęsna«. Reszta osób u Cinthia właściwie wcale nie ma nazwisk: Otello nazywa się *il Moro*, Kassyo — *il capo di Squadra*, Iago — *l'alfiero*. Nazwisko rodzinne *Moro* znane było i poważane w Wenecji; ale usiłowania nad utożsamieniem bohatera noweli i dramatu z którym z głośnych w historyi republiki Morów — n. p. z Krzysztofem, który był gubernatorem Cypru w latach 1505—8, i wrócił stam-

ład po śmierci żony — nie wydały żadnego pożytecznego rezultatu. Shakespeare, idąc za Cinthiem, czyni swego bohatera ciemnoskórym Afrykańczykiem, i w samym tytule tragedyi nazywa go *the Moor of Venice*. Słowo *Moor* w ówczesnej angielszczyźnie używane było na określenie zarówno Maurów jak Murzynów, których świadomość ogółu zapewne nie odróżniała dokładnie; u Shakespeara *Moor* nazwany jest zarówno Murzyn Aaron w »Tytusie Androniku« jak mauretański książę Marokku (II, 7); tamże Murzynka w tem samem zdaniu nazwana jest raz *Negro*, raz *Moor* (III, 5). Otella zawistny Rodrygo nazywa »grubowargim« (I, 1); w teje scenie Iago porównywa go z »berberyjskim«, więc maurytańskim, koniem: według jego słów także (IV, 2) bohater z żoną wybiera się do Maurytanii. Wielokrotnie w dramacie o bohaterze i od niego samego słyszymy, że kolor jego był »czarny«, a choć ten wyraz w uniesieniu stosowany być może wogóle do koloru ciemniejszego, niż europejski, jednak jest rzeczą prawie niewątpliwą, że Shakespeare chciał mieć na scenie bohatera o skórze czarnej; w tem właśnie objawiać się miała potęga miłości, że Desdemona »w duszy Otella twarz jego widziała« (I, 3), i rozkochana w jego duchowej osobistości, pokonać zdołała fizyczny wstręt do człowieka tak dalekiego od niej rasą. Łagodzenie kontrastu nie odpowiada intencyom poety. Sympatyczniejszym i prawdopodobniejszym oczywiście dla krytyków i aktorów nowszych pokoleń jest bohater z rodu Maurów, których długie wojny z Hiszpanami otoczyły aureolą rycerskości; Murzynowi szczególnie amerykańscy krytycy, z muzyństwem zblizka obecnymi, skłonni są odmawiać zdolności do tych szlachetnych poruszeń duszy, które podziwiamy u Otella. Ale czy afrykańskie pochodzenie Otella ma coś do czynienia z jego charakterem i zachowaniem, czy też jest tylko romantyczną dekoracją o pewnej nastrojowej funkcji? Tłómaczono, że właściwym przedmiotem dramatu jest wybuch namiętnej natury pierwotnego człowieka, rozbijający zewnętrzną skorupę cywilizacji. Niewiadomo jednak, czy mamy prawo wielbić w Otellu obraz psychologii Afrykanina, — czy w pojęciu renesansowego poety Europejczyk — przynajmniej Włoch — nie byłby w tych okolicznościach działał równie gwałtownie. Paralelizmu między Otellem a Shylockiem jako portretami charakterów narodowych czy rasowych stwierdzić nie można już dlatego, że do Shylocka

modelów dostarczyć mogli notorycznie mieszkający w Anglii Żydzi, a do charakterystyki Murzyna jako takiego Shakespeare materiału obserwacyjnego w swym widnokregu chyba nie miał¹⁾. Tak samo nie mamy prawa traktować Iago jako typu specyficznego włoskiej nikkzemności i obłudy.

W noweli Cinthia — podobnie jak w nowelistycznych źródłach komedyi shakespeareowskich — mamy do czynienia z materiałem literackim, który Shakespeare traktuje bardzo swobodnie; poeta porobił kardynalne zmiany w uzasadnieniu wypadków, i z samych faktów opowiadania niektóre jako nieprzydatne poodrzucił i zastąpił innymi. Pewną miarę tych zmian daje nam już lektura krótkiego streszczenia, które Cinthio stawia na czele swej powieści:

»*Un capitano Moro* poślubia obywatelkę wenecką, jego chorąży oskarża ją u męża o cudzołóstwo; za sprawą kapitana chorąży zabija tego, którego uważał za cudzołóżnika; kapitan zabija swą żonę; oskarżony przez chorążego, nie przyznaje się do winy, lecz wobec wyraźnych poszlak jest skazany na wygnanie; zbrodniczy chorąży, mniemając, że zaszkozi innym, sam sobie nędzną śmierć gotuje«.

Sama historia obudzenia zazdrości u Otella i jej tragicznych następstw nie wystarczyłaby na wypełnienie pięcioaktowej tragedyi tą różnorodnością akcji, jakiej wymagała publiczność shakespeareowska: dlatego też poeta cały akt poświęca romantycznemu zawarciu tego weneckiego małżeństwa, tworząc w ten sposób jakby »dramat w dramacie«.

Cinthio początkowe wypadki opowiada lakonicznie, w kilku słowach; ojciec panny młodej wcale u niego nie występuje; dowiadujemy się tylko, że »rodzice damy czynili wszystko, co mogli, żeby kogo innego wzięła za męża«.

¹⁾ Inaczej u Cinthia, gdzie krew afrykańska bohatera wyraźnie ma być ważnym czynnikiem jego postępowania. Desdemona mówi w noweli do zazdrosnego małżonka: »Ale wy *Mor!* jesteście tak gorącej natury, że każda drobna przyczyna pobudza was do złości i zemsty«; Desdemona także wypowiada morał powieści w słowach: »Ode mnie niechaj się Włoszki nauczą nie obierać sobie za towarzysza mężczyzny, którego dzieli od nas i natura i niebo i sposób życia«. U Shakespeara ten argument nienaturalności związku spotykamy tylko na ustach intryganta (II, 1; III, 3).

Tak samo jak co do Shakespeara, tak i co do Cinthia niepewną jest rzeczą, czy sobie wyobrażał swego bohatera jako Murzyna czy jako Maura; wyraz *Moro*, którego używa, według świadectwa wielkiego słownika Tommasea i Belliniego aż do XIX wieku używany był w obu tych znaczeniach.

Widocznie jednak rodzina lady godzi się z dokonaniem faktem, bo po ślubie Murzyn i Desdemona żyją jakiś czas spokojnie w Wenecji, aż wreszcie Murzyn wysłany jest na Cypr; Desdemona mu towarzyszy. W tym punkcie opowiadania Cinthio przedstawia nam chorążego — *un alfiero di bellissima presenza, ma della più scelerata natura che mai fosse uomo del mondo* — oraz jego żonę — *bella ed onesta giovane* — która jest przyjaciółką i towarzyszką bohaterki, ale nie, jak w dramacie, jej służebną; — wreszcie porucznika, któremu, jako przyjacielowi męża, Desdemona okazuje życzliwość. Naiwna ofiara Iago, Rodrygo, jest dodatkiem Shakespeara.

Radykalna różnica między nowelą a dramatem zaczyna się od umotywowania zawiści Iago: w noweli Iago płonie namiętną miłością do Desdemony; w dramacie wyznaje wprawdzie w monologu, że »niedalekim« jest nawet »od tak wielkiego grzechu«, ale odrazu dodaje, że kocha ją »głównie — w widoku zemsty« (II, 1); zresztą motyw ten żadnego istotnego znaczenia dla akcji dramatu nie ma. Natomiast jednego z rzeczywistych powodów postępowania Iago w dramacie nie znajdujemy wcale w noweli: Iago na samym początku zapowiada, że uważa się za skrzywdzonego przez mianowanie Kassya porucznikiem; tylko jako zemsta za tę krzywdę ma sens dramatyczny scena długa scena spojenia Kassya (II, 2), przyprawiająca go o utratę stopnia; jeżeliby chodziło wyłącznie o obudzenie zazdrości małżeńskiej u Murzyna, dałoby się to nawet wygodniej zrobić, gdyby Kassyo pozostał na swym stanowisku. W noweli Iago dąży do usunięcia Kassya, bo myśli, że ten cieszy się względami Desdemony. Zarazem, powiada Cinthio, »zmienił miłość, którą żywił dla lady, w gorzką nienawiść, i z całą gorliwością jął rozmyślać, jakby doprowadzić do tego, żeby po zabiciu porucznika, jeżeliby on sam posiadaniem Desdemony cieszyć się nie mógł, przynajmniej Murzyn także się nią nie cieszył«. Kassyo w noweli nie za sprawą Iago, lecz wyłącznie z własnej winy traci stopień; niema inscenizowanej przez Iago awantury z jej obszernymi akcesoryami; Cinthio o zajściu mówi krótko: »Po niedługim czasie zdarzyło się, że porucznik w służbie użył miecza przeciwko jakiemuś żołnierzowi i zadał mu kilka uderzeń: Murzyn za to pozbawił go stopnia«.

Rozwój właściwej tragicznej intrygi poprzedza Shakespeare na początku trzeciego aktu krótką sceną komiczną

z muzykantami, podobnie jak w »Makbecie« tragiczny obrót akcji poprzedza humorystyczny monolog odźwiernego (II, 3); ale daleko scenie w »Otelu« do świetnego efektu tamtej; jest ona raczej jakby słabszą kopia sceny z muzykantami w żalobnym domu Kapuletów (»Romeo i Julia«, IV, 5); wydaje się pisana z przymusem, wpleciona raczej z przyzwyczajenia, niż z przekonania; podobna w tym względzie do równie wymuszonego dyalogu komicznego z wieśniakiem przed katastrofą w tragedii »Antoniusz i Kleopatra« (V, 2). Takie same wrażenie robi drugi jeszcze, krótki występ błaznującego sługi (III, 4). Na całkiem innym poziomie sztuki stoją zarówno *intermezzi* komiczne w »Hamlecie« (V, 1), poprzedzającym »Otellę«, jak i wspaniała rola błazna w następującym po nim »Królu Lizze«.

Szczytem twórczego natężenia w dramacie są dwie wielkie sceny rozpraw między intrygantem a bohaterem (III, 3); tak samo — jakby adwokaci stron przeciwnych przed sądem — stali naprzeciwko siebie namiestnik i zakonnica w dramacie »Miarka za miarkę« (II, 2, 4); tak samo, jakby zabójcze kłębły węża, rozwijały się tam powoli i stopniowo złe myśli; tak samo tam jak tutaj, świadom swych zasobów, Shakespeare podzielił dyalog na dwie sceny, przegrodzone inną. Argumentacja tych scen »Otellę« w głównej swej treści znajduje się już w noweli; do Shakespeara należy układ argumentów, ich obszerniejsze wypowiedzenie, umiejętne stopniowanie i wspaniała poetycka szata; Cinthio nie nazywa zazdrości »zielonookim potworem, co sam ze swej sztydi strawy«.

Motyw chustki, która się staje narzędziem złego, znalazł Shakespeare w noweli; ale tam chustkę kradnie Desdemonie sam Iago w chwili, gdy ona, bawiąc na odwiedzinach w jego domu, bierze na ręce jego trzyletnie dziecko. Shakespeare może wzdragał się uczynić niecnego Iago ojcem, — choć uczynił nim, i szczerą miłością ojcowską ozdobił, nikczemnego murzyna Aarona w »Tytusie Androniku« (IV, 2). W noweli Kassyo, gdy chustka dostaje się w jego ręce, poznaje ją jako własność Desdemony i chce oddać, ale ucieka od bramy domu, gdy mu ją sam Murzyn przychodzi otworzyć, — tak samo jak w dramacie (według orzeczenia Iago) »jak zbrodniarz się wykrada«, gdy podczas jego rozmowy z Desdemoną nadchodzi Otello (III, 3). W tem miejscu noweli także Murzyn jest świadkiem rozmowy między Iagiem a Kassyem, której nie sły-

szy, a którą mu Iago potem tłumaczy jako dotyczącą stonku Kassya do Desdemony: Shakespeare z tego motywu skorzystał w późniejszym, odpowiedniejszym miejscu i w dramatyczniejszej formie (IV, 1). Bianka opisana jest w noweli jako »kobieta mieszkająca u porucznika, i bardzo zdolna w haftach«; sama zabiera się do odkopiwania chustki, z dołu przez okno widzi ją przy tej robocie Murzyn, i tak nabiera przeświadczenia o winie swej żony.

Najbardziej oddala się poeta od noweli w zakończeniu tragedii. I u niego, jak u Cinthia, nikczemnik poddaje małżonkowi sposób zabicia Desdemony (IV, 1). Ale sposób to zgoła odmienny: w noweli narzędziem zabójstwa ma być »pończocha wypchana piaskiem« (*una calza piena di rena*): zaleca się to dlatego, że nie będzie na ciele znaku morderstwa; potem zwali się na trupa z dziurawej powały belkę, która mu rozbija głowę, i świat będzie mówił o nieszczęśliwym przypadku. Wszystko odbywa się według tego programu; w wykonaniu czynu uczestniczy chorąży, ukryty w tym celu w komórcie obok sypialni; on zabija Desdemonę. Shakespeare, pozostawiając na boku te ordynarne okropności, i nie wprowadzając trzeciej osoby do samej tragicznej sceny między mężem a żoną, spotęgował jednolitość wrażenia. Ślusznie zauważono, że w tej chwili dopełnienia losów litość nasza nad Otellem większa jest od grozy, jakiej doznawać musimy; niemal że bardziej dręczącą od katastrofy jest scena poprzednia, gdzie Otello w twarz uderza żonę wobec gościa z Wenecji (IV, 1), lub straszliwy dyalog, w którym przemawia do Desdemony jako do nierządnicy, a do Emilii jako odzwiernej złego domu (IV, 2). Widowisko śmierci Desdemony na scenie shakespeareowskiej łagodziła także okoliczność, że łóżko stało w niszy w środku tylnej ściany sceny, nie w pełnym świetle pierwszego planu. Żeby Otello w scenie zamordowania żony używał także sztyletu, jak niektórzy nowsi przedstawiciele roli, do tego niema żadnej podstawy w samym tekście dramatu; że Desdemona po uduszeniu jest »blada jak giezło«, że później wypowiada jeszcze przed skonaniem te kilka słów, w których się stara niewinnie męża, — to potrzebne było poecie do dramatycznego wrażenia, które pragnął wywołać, i jemu, niebacznie czy rozmyślnie, poświęcił fizyczne prawdopodobieństwo.

Z ostatecznych losów innych osób dramatu tylko nocna przygoda Kassya i udział w niej Iago (V, 1) mają wzór

w noweli; tam porucznik, napadnięty w nocy przez chorążego, traci nogę wskutek rany, w tem spotkaniu odniesionej. Po zabójstwie Murzyn, przejęty nienawiścią dla narzędzia zbrodni, pozbawia chorążego stopnia. Chorąży wprawia w porucznika, że Murzyn z zazdrości o niego i Desdemonę zabił i na niego samego po nocy napadł; radzi mu zemścić się, oskarżając Murzyna przed Signorią wenecką. Murzyn, wzięty na tortury, nie przyznaje się do winy; po długim więzieniu skazany jest na wygnanie, gdzie ginie z rąk krewnych żony. Chorąży później za całym innym jakiś niecny postępek dostaje się na tortury i umiera. Heroiczny zgon Emilii, tak pięknie rehabilitujący w naszych oczach i opromieniający poezją tę na wskroś pospolitą postać, — jest pomysłem poety.

Jednym z najpopularniejszych typów dramatu w twórczości okresu shakespeareowskiego była »tragedya mieszczańska«, zwykle osnuta na jakimś sensacyjnym morderstwie niedawnej daty, a często zawierająca motyw niewiary małżeńskiej. Shakespeare, który zresztą tak swobodnie stosuje swą twórczość do przyjętych szablonów literackich, do tego rodzaju dramatycznego swej arystokratycznej estetyki nagiąć widocznie nie mógł; raz tylko zdobył się na komedię z mieszczańskiego życia angielskiego, pisząc — i to może niecałkiem z własnej inicjatywy — »Wesołe kumoszki windsorskie«. Do tragedii mieszczańskiej najbardziej stonkowo zbliża się poeta w »Otellu«, z tego i innych jeszcze względów dosyć odrębne zajmującym stanowisko wśród jego arcydzieł tragicznych. Wprawdzie i tutaj z losami osób dramatu powiązał doniosłe sprawy polityczne; ale ten związek po drugim akcie znika z dramatu; rozwój uczuć i myśli Otella od wielkiej sceny z Iagiem nic nie ma do czynienia z jego wysokim stanowiskiem; wszakże bohater sam we wzruszających słowach żegna się »z wszelkimi przybory, — z chwałą, przepychem, całą dumą wojny«, gdyż »skończył swój zawód« (III, 3). Podobieństwa do typu tragedii mieszczańskiej dodaje »Otellowi« także fakt, że wielką rolę w akcji — tak jak we wszystkich prawie dziełach owej kategorii — odgrywa przypadek: jemu Iago zawdzięcza zdobycie właściwego narzędzia swych zbrodni.

czych zamiarów — nieszczęsnej chustki, którą dopiero jakby dodatkowo słowa Otella otaczają urokiem tajemniczego pochodzenia i czarodziejskiej siły (III, 4). Nigdzie z »Otella« nie dochodzi nas — jak z »Makbeta« lub »Lira« — muzyka jakichś wiekuistych praw, rządzących życiem jednostek. Szerokie dalej miejsce, znowu jak w dramatach mieszczańskich, zajmuje systematycznie obmyślana intryga; i tego niema wśród głównych rysów akcji w innych wielkich tragediach Shakespeara. Ulrici nawet określił »Otella« specyficznie jako »tragedyę intrygi« w przeciwieństwie do »tragedyi charakteru«, tak samo jak zdawna odróżnia się »komedyę intryg« jako odmienny rodzaj od »komedyi charakterów«. Niewiadomo, czy tak zasadnicze odgraniczenie można uznać za słuszne; trudno osądzić, czy i do jakiego stopnia charakter Otella przysposobiony był na zgubny posiew zazdrości. Trzymać się tylko możemy tekstu, w którym sam bohater o sobie powiada (V, 2), że

»nie był skory do podejrzeń, ale
Raz je powziąwszy, nie był siebie panem« —

że zatem była w jego konstytucyi duchowej jakaś skłonność do tych potężnych uniesień, które przedstawia druga połowa dramatu.

Dramatyzując fabułę, podobną do typowych przedmiotów tragedyi mieszczańskiej, Shakespeare zarazem jakby się starał przeciwdziałać najsilniejszymi środkami znizeniu swej tragicznej sztuki do tej szarej, codziennej pospolitości, którą widocznie uważał za artystyczną klęskę zwykłych tragedyi kryminalnych z życia prywatnego. Nie myśli więc o tem, żeby przenosić akcję na ziemię angielską; pozostawia ją w ukochanych przez fantazyę krainach południa, i w pierwszym akcie niemięniej barwnie i bujnie, jak w »Kupcu weneckim«, przedstawia życie na kanałach i placach najpoetyczniejszego z miast włoskich. Zaś charakterystyce bohatera nie tylko zostawił poeta te cechy romantycznej niezwykłości, jakie ją odznaczają już w noweli, ale spotęgował je i podniósł do uroku fantastyczności i poezyi, który otacza Otella jak żadną inną z tytułowych figur wielkich dramatów. Ciemna skóra, zaszczytna karyera wojskowa, nadzwyczajne przygody w dalekich krajach i na wielu niebezpiecznych wyprawach, — to wszystko tchnie fascynacją, która też wnet podbiła wyobraźnię i serce młodej Wenecjanki, wzrosłej w klasztornej pustkowi ojcowskiego

pałacu. Nietylko w długiej mowie Otella na początku (I, 3¹), ale i w dalszym ciągu dramatu jeszcze przygodnie słyżymy o jego przejściach i czynach: Iago rozmyślnie mówi o zimnej jego krwi w straszliwych bitwach (III, 4), a sam Otello ostatni, śmiertelny swój zamiar przyobleka w opowieść o dawnej, awanturkowej przygodzie na ulicach Aleppa (V, 2). Prócz takich aluzji, do stałego zachowania tej romantycznej aureoli przyczynia się fakt, że Shakespeare obficie pono niż innych bohaterów tragicznych wyposażył Otella w poezyę słowa; wszystkie jego dłuższe deklamacye w dramacie czarują pięknnością obrazowania i melodyą wiersza. Co więcej, całe usposobienie Otella ukazuje nam poeta jako zasadniczo poetyckie: imaginacya przeważa w nim nad refleksyą, uczucie nad rozsądkiem, wola nad rozwagą; nie padłby ofiarą Iago, gdyby rozmyślał o wszystkim jak Hamlet, gdyby o nim rzec nie trzeba, jak powiedział Goethe o Byronie: »skoro tylko zaczyna rozumować, jest dzieckiem«.

Dzieckiem także jest Desdemona, gdy się w życiu spotyka z temi różnicami między złem a dobrem, które dla niej pozostaną niepojęte. Ona z natury dobrze czyni i myśli; złego nie zna i wyobrazić sobie nie potrafi, więc też i jego pozorów unikać nie będzie. Cudzołóstwo — jak się dowiadujemy z rozmowy z Emilią w sypialni (IV, 3) — uważa prawie za fantastyczną bajkę; to też nietylko w najfatalniejszych momentach natęrczywie prosi o łaskę dla Kassya, ale jeszcze tam, gdzie za chwilę ma zginąć z rąk zazdrosnego małżonka, swobodnie ze służebną gwarzy o wdzięku i zaletach weneckiego kuzyna. W podobnej sytuacji co Kordelia w »Królu Lirze«, stanowczo, szczerze i odważnie, jak tamta, wypowiada swe uczucia wobec ojca i Senatu (I, 3); ale później, gdy chodzi o nieszczęsną chustkę, w strachu i zakłopotaniu popełnia małe kłamstwo (III, 4), a z rozmyślnem i heroicznym kłamstwem w obronie męża na ustach — umiera (V, 2). To też jako skłonność do mówienia nieprawdy — niestusnie i niedorze-

¹) Szczegóły w opowiadaniu Otella o »antropofagach i ludziach, co głowy pod ramionami mają« okazały się jako pochodzące z pełnego dziwo sprawozdania o odkryciu Gujany, które w 1596 ogłosił Walter Raleigh; obfita tego rodzaju literatura, w połączeniu zapewne i z ustnymi wieściami, niemało przyczynić się musiała do natchnienia, które stworzyło romantyczną postać Otella i zapewniło jej powodzenie u współczesnej publiczności.

cznie — określali jej przewinienie krytycy, nie mogący się wyzwoić od starych dramaturgicznych przesądów »tra-gicznej winy« i »sprawiedliwości poetyckiej«. Że Desde-mona — istota po prostu słabsza od Kordelii — w poję-ciu poety ginie tak samo niewinnie, jak ona, że cierpi tak samo niesłusznie, jak inne ofiary zazdrości małżeńskiej w dramatach poety — Imogena w »Cymbelinie« i Her-miona w »Powieści zimowej«, — o tem nieuprzedzony czy-telnik Shakespeara wątpić nie może. Courthope wyraził przypuszczenie, że poeta, co trzykrotnie w swych dziełach przedstawił zazdrość małżeńską, sam kiedyś cierpieć musiał jej męki: równie dobrze na podobieństwie bohaterów w tych trzech wypadkach zbudowałyby można dalszy jeszcze do-mysł, że zazdrość, co dręczyła poetę, była zupełnie bez-podstawną.

»Poza granicami złego i dobrego«, tak samo jak Des-demona, jest również Iago — tylko zgoła w innym sensie. Tak jak właściwym problemem »Hamleta« zawsze pozos-taje pytanie, dlaczego bohater ociąga się z dokonaniem zemsty, tak naczelnym problemem psychologicznym »Otella« zawsze było pytanie, jakie powody ma do swej piekielnej intrygi Iago, — po Ryszardzie III drugi z rzędu doskonały nikiemnik w chronologicznym porządku twórczości Sha-kespeara. Obaj górują nad ludźmi otoczenia potężnym intelektem, obaj nam imponować muszą konsekwencją i powodzeniem. Ryszarda do ludzkości zbliżają budzące się wyrzuty sumienia, — u Iago za odruchy sumienia co najwyżej poczytywaćby można, jak to uczynił Bradley, ową niespokojną gorliwość, z jaką w monologach sam dla siebie wyszukuje coraz nowe powody do zbrodniczych czynów. Ale czy to powody rzeczywiste? Czy zaszło coś takiego, coby zawziętość Iago w ten sam sposób tłóma-czyło, jak Ryszarda poniekąd tłómaczy jego cielesna ułom-ność? Zdawałoby się, że za taką okoliczność uchodziłby mogło pominięcie go przy awansie; mówi o niem z roz-drażnieniem sam Iago na początku dramatu. Ale w dal-szym ciągu motyw ten nie daje znaków żywotnej siły dra-matycznej; mówi wprowadzić Iago, podpatrując Kassya i Des-demonę (II, 1): »Takie, jak ta, sztuczki... obedną cię z two-jego porucznikostwa«; ale gdy wreszcie Kassyo swój stopień postradał, Iago ani słowem o osiągnięciu tego celu w swych monologach nie wspomina. Znowuż podejrzenia o cudzołóstwo ze swą żoną, które rzuca na Otella (I, 3;

II, 1), potem i na Kassya także (II, 1), — nie mają żadnego oparcia w tekście reszty dramatu: zachowanie Kassya wo-bec Emilii (II, 1) odpowiada zwyczajom i jej charakterowi; w scenach między nią a Otellem (IV, 2; V, 2) niema ni-czego, coby się połączyć dało z podejrzeniem Iago. Sha-kespeare, gdyby jaką wagę dramatyczną do tych przy-puszczeń przywiązywał, dałby nam stanowczo do zrozu-mienia, co o nich sądzić, lub wyraźniej do poznania, jak mogły powstać. Samo usposobienie Emilii — niedwu-znacznie objawione w rozmowie z Desdemoną w sypialni (IV, 3) — nie starczyłoby za podstawę do podejrzeń wo-bec niewątpliwie silnego jej przywiązania do męża; zno-sząc jego ciągłe cynizmy, bynajmniej nie daje mu ona »tyle języka«, jak to Iago przedstawia Desdemonie (II, 1); raz tylko wypomina mu, że ją »z Murzynem w podejrzeniu trzymał« (IV, 2); z radością kradnie dla niego chustkę, któ-rej się domagał (III, 3); wreszcie jak gromem z jasnego nieba rażona jest nieprzewidzianą zgoła wiadomością o jego niecnej intrydze (V, 2); w osłupieniu trzykrotnie powtarza: »Mój mąż!« i potem jeszcze rozpaczliwie go błaga, by za-przeciżył posądzeniu.

Rezygnację wobec tajemnicy rzeczywistych powodów Iago oznacza określenie, w którym streścił jego psycholo-gię Coleridge:

the motive-hunting of motiveless malignity.

Taka żywiołowa »złość bez powodów — szukająca sobie powodów« musiałaby przeciętnemu człowiekowi wydać się wykroczeniem przeciwko poetyckiemu prawdopodobień-stwu, gdyby nie przekonywająca siła geniuszu Shakespeara.

Rezygnuje właściwie także z umotywowania w swej in-terpretacji Iago nowszy poeta-krytyk Swinburne; ale re-zygnuje na swój sposób, definiując go jako »zbrodniarza-artystę«, którego natura w samej subtelności intrygi znajduje twórcze, estetyczne upodobanie. Istotnie Iago rozkoszuje się swymi pomysłami, i poeta coś z tego za-dowolenia podziela; powiedzieć nawet można, że Sha-kespeare, przedstawiając stopniowe dojrzewanie zbrodni-czego planu w mózgu intryganta, daje obraz podobny do tej drogi, jaką własny jego umysł przy tworzeniu każdego z dzieł odbywał od pierwszych medytacji nad materiałem i kompozycją do skończonego czynu arty-

stycznego ¹⁾). Ale to śmiało przeniesienie nowoczesnej formułki »sztuka dla sztuki« w dziedzinę stosunków moralnych jest raczej świetnym pomysłem essayistycznym, niż istotnym wyjaśnieniem kreacji shakespeareowskiej.

Czysto patologiczne znowu, i dlatego nie-shakespeareowskie, jest pojęcie siły rozpędowej Iago jako instynktu okrucieństwa na tle erotycznym; tak po części wytłómaczyć go usiłował duński psycholog kryminalny Goll, podnosząc widoczną na każdym kroku skłonność myśli i fantazy Iago do wyobrażeń brudno-zmysłowych. Ten cynizm wszechobejmujący w sposób może historycznie słuszniejszy określił romantyczny krytyk Hazlitt, jako wyraz zacieklej pewności Iago, że żadne pozory przed jego okiem się nie ostoją, jako wyraz dumy z tej władzy, którą mocą górującego rozumu dzierżył nad otoczeniem. Władza nad ludźmi, jak to w całej swej twórczości dramatycznej wypowiedział wielki poprzednik Shakespeara, Marlowe — najwyższym była szczęściem ziemskim dla nieodrodných synów Renesansu i wiernych uczniów Machiavella; najgodniejszy w niej przedmiot wszelkich wysiłków niewątpliwie także widzi Iago. Shakespeare, w »Ryszardzie III« kopiujący wielkich zbrodniarzy Marlowa, już tam, a jeszcze doskonalej w »Otellu«, okazuje się jako natura głębiej moralnie i bardziej społecznie myśląca. O zgubę Iago przyprawia nie druzgocący obrót koła Fortuny, nie zbieg przypadków, lecz zasadnicza pomyłka w rachunkach, brak zmysłu i zrozumienia dla całej jednej strony duszy ludzkiej. Człowiek z gruntu zły ginie, bo nie liczył się dostatecznie z rzeczywistością dobrych i szlachetnych impulsów u innych; tego pierwiastka brakło w subtelnej budowie jego rozumowań, dlatego nie mogła objąć wszystkich możliwości i okazać się niepożycie stałą. A że zawodzi się właśnie na żonie, której chyba najbardziej był pewny, że niespodziany heroizm wierności i poświęcenia u tej najbardziej szarej ze wszystkich osób dramatu w ostatniej chwili w niwecz obraca wszystkie machinacje Iago i wdziera mu owoc tych morderstw, w które zabrnął, — to nadaje cechę głębokiej tragiki upadkowi tego potężnego intelektu, otwiera mu miejsce obok tylu szlachetniejszych

¹⁾ II, 1 (koniec):

»O, tu mi wszystko — jeszcze we mgle — pływa;
Kształty łotrostwa tylko czyn odkrywa«.

i droższych naszemu sercu sąsiadów w bogatej galerii przykładów niedoskonałości człowieczej, Iago i Brutus — obaj idą na zatracenie przez błąd rozumowy; obaj niedokładnie i nie całkowicie pojmują prawdziwą naturę ludzką; u obu ten niedostatek zrozumienia jest wynikiem własnego ustroju moralnego; z przeciwnych biegunów dążą do tej samej fatalnej omyłki: Brutus jest idealistą dobrego, Iago — idealistą złego.

OSOBY:

Doża wenecki.

Brabancyo, senator.

Dwóch innych senatorów.

Gracyano, brat } Brabancya.
Lodowłko, krewny }

Otello, wódz, murzyn.

Kassyo, jego namiestnik.

Jago, jego chorąży.

Rodrygo, młody Wenecyanin.

Montano, zarządca Cypru.

Służący Otella.

Herold.

Desdemona, córka Brabancya.

Emilla, żona Jagona.

Bianka, metresa Kassya.

Oficerowie, panowie, gońcy, muzykanci, majtkowie, słudzy
i inne osoby.

Rzecz się odbywa w pierwszym akcie w Wenecyi; przez
resztę dramatu w Cyprze.

OTELLO.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Wenecya. Ulica, przy której położony dom Brabancya.

(Wchodzą: Rodrygo i Jago).

Rodrygo. Nie mów mi tego, Jagonie: nie mogę
Słuchać tej mowy. Tyż to, coś mą kiesą
Tak rozporządzał, jakby była twoją,
Śmiesz mi powiadać, żeś tego był świadom?

Jago. Do licha! Słuchajże lepiej, co mówię;
Jeżeli mi się o tem kiedy śniło,
To mną pogardzaj.

Rodrygo. Czyżeś mi nie mówił,
Że go nie cierpisz?

Jago. Brzydź się mną, jeżeli
Nie mówił prawdy. Dwóch magnatów naszych
Fortowało mię na namiestnika
I osobiście czapkowało przed nim,
Aby mi dał ten stopień; jakem żołnierz,
Stopień ten słusznie mi się przynależał:
Znam moją wartość; a on, zatopiony
W swem widzimisię i w swej dumie, zbył ich
Napuszonymi frazesami, srodze
Nastrzępionymi w wojenne termina.
»Wierzcie mi«, prawil moim protektorom,
»Zem już mianował kogoś na to miejsce.«
I któż to taki ten ktoś? Patrzcie jeno:

Ot, zawołany jakiś arytmetyk,
 Jakiś tam Michał Kassy, Florentyńczyk.
 Podwikarz, nawpół potępiony w związkach
 Z piękną kobietą, który, póki życia,
 Jednego hufca nie powiodł do boju
 I na sprawieniu wojska w polu zna się
 Tyle, co prądka; bohater książkowy,
 Co o teorii umie pleść nie gorzej,
 Niż jaki burmistrz; cała bowiem jego
 Sztuka wojenna w gębie, nie w praktyce.
 Ten to wybrany został, a ja, panie,
 Com w jego oczach pokazał, co umiem
 W Rodus i w Cyprze i po innych ziemiach
 Tak chrześcijańskich jak pogańskich, pchniętym
 Pod wiatr i wodę przez tego plus minus,
 Przez tę chodzącą kredkę; on to został,
 Pozał się Boże! namiestnikiem jego
 Murzyńskiej mości, a ja, ja być muszę
 Jego chorążym.

Rodrygo. Jabym wolał zostać
 Jego oprawcą!

Jago. Niema na to środka;
 Taki to służby przekłety porządek:
 Awans zależy od łask i protekcyi,
 A nie od prawa starszeństwa, co każe,
 Aby po jednym odziedziczał miejsce
 Drugi z kolei. Osądźże sam teraz,
 Czy mam jakibądź obowiązek kochać
 Tego murzyna.

Rodrygo. Tobym go porzucił.

Jago. O, pozwól! służę mu, gwoli odwetu.
 Nie wszyscy, bracie, mogę być panami,
 Ale nie wszyscy też panowie mogą
 Mieć wierne sługi. Znajdziesz niejednego
 W kłębek zgiętego, potulnego ciurę,
 Co w niewolniczych kochając się więzach,
 Trzyma się miejsca, jak osioł za lichą
 Garstkę obroku; a kiedy zepsieje,
 Na stare lata bywa odpędzony.
 W skórę takiego kornego cymbała!
 Są znowu inni, co pod wymuskaną
 Formą i strojną barwą uległości
 Chowają serce, siebie tylko pomne;

Co, dając tylko pozór wiernych usług
 Swym przełożonym, popierają przez to
 Własny interes, a porószy w pierze,
 Nie potrzebują już nikogo słuchać,
 Prócz siebie samych. Ci mają krztę ducha,
 I do tych rzędu ja się liczę. Juźci,
 Gdybym był w skórze Otella, nie chciałbym,
 Ma się rozumieć, być w skórze Jagona:
 Rzecz to tak pewna, jak żeś ty Rodrygo.
 Służąc mu, służę li samemu sobie;
 Nie z przywiązania ani z obowiązku,
 Niebo mi świadkiem! Ale pod pokrywką
 Tego obojga, dla widoków własnych.
 Gdyby me czyny miały kiedykolwiek
 Wydać na zewnątrz wewnętrzny stan, zakrój
 Mojego serca, nie długobym potem
 Musiał to serce nosić u rękawa,
 Na żer dla kruków. Nie jestem, czem jestem.

Rodrygo. Jakież, u licha, szczęście niesłychane
 Ma ten grubodziób, że mógł tego dopiąć!

Jago. Ostrzeż jej ojca, zbudź go ze snu, otwórz
 Staremu oczy, zatruj mu pociechę;
 Narób hałasu w mieście; podszczuj krewnych;
 Niechaj go muchy tną za twoją sprawą,
 Chociaż łagodny zamieszkuje klimat;
 Choćbyś mu szczęścia nie wydarł, przynajmniej
 Tak mu je zapraw piotunem udrczęci,
 Iżby cokolwiek zbladło.

Rodrygo. W tym tu domu
 Mieszka jej ojciec; zawolałam na niego.

Jago. Zrób to i głosem tak alarmującym,
 Jak ktoś, co w nocy zapuszczony ogień
 Dostrzeże nagle w ludnej części miasta.

Rodrygo. Hola! Brabancyo! hej! signor Brabancyo!

Jago. Wstawaj, Brabancyo! Złodzieje! Złodzieje!
 Strzeż się! chroń swoją córkę! chroń swe worki!
 Złodzieje! Gwałtu! Złodzieje!

(Brabancyo ukazuje się w oknie).

Brabancyo. Jakiz jest powód tego zgielku? Co się
 Takiego stało?

Rodrygo. Wszyscyż twoi, panie,
 Są w domu?

Jago. Są li drzwi twojego domu
Zamknięte, panie?

Brabancyo. Po co te pytania?

Jago. Niech dyabli wezmą! Okradli was; weźcie
Pędź opończę! przeszyto wam serce;
Utraciliście połowę swej duszy.
W tej właśnie chwili czarny baran tryksa
Białą owieczkę waszą. Żywo! żywo!
Bijcie w dzwon; zbudźcie chrapiących sąsiadów,
Inaczej czart was wystrychnie na dziadka
Żywo! powiadam.

Brabancyo. Czyście oszaleli?

Jago. Poznajesz mój głos, czcigodny panie?

Brabancyo. Nie. Któż waś jesteś?

Rodrygo. Imię me Rodrygo.

Brabancyo. Imię to jeszcze bardziej cię potępia.
Wzbronilem ci się zbliżać do mych progów;
Zapowiedziałem ci, że moja córka
Nie jest dla ciebie; a ty, wiedzion szalem,
Przebrawszy miarę napoju przy uczcie,
Przychodzisz teraz zuchwale przerywać
Mój wypoczynek.

Rodrygo. Signore, signore!

Brabancyo. Ale wiedz o tem, że gniewowi memu
I stanowisku nie zbywa na środkach
Dania ci tego gorzko pożałować.

Rodrygo. Uspokój się, signore.

Brabancyo. Co mi prawisz
O okradzeniu? To przecie Wenecya,
A mój dom to nie lamus.

Rodrygo. Zaczny panie,
W czystych, niewinnych chęciach tu przyszedłem.

Jago. Niech kaci porwą! Jesteś, panie, jednym
Z tych, co się nie chcą modlić, gdy ich szatan
Do tego nagli. Masz nas za szubrawców,
Dlatego, że cię przychodzimy ostrzedz?
Chcesz sprzedać swą córkę z berberyjskim koniem,
Mieć rżące wnuki, bachmatów za krewnych
I z dzianetami być w powinowactwie?

Brabancyo. Coś ty za jeden bluźnierczy szczekaczu?

Jago. Ktoś, co ci przyszedł oznajmić, signore,
Że twoja córka w chwili, gdy tu stoim,
Klei z murzynem kazirodny związek.

Brabancyo. Jesteś nędznikiem.

Jago. A pan — senatorem.

Brabancyo. Za ten żart ty mi odpowiesz, Rodrygo:
Znam cię.

Rodrygo. Odpowiem za wszystko, signore.
Ależ, dlaboga! za waszą-to wiedzą
I mądrą wolą dzieje się (a prawie
Mógłbym tak sądzić), że o tej spóźnionej
Nocnej godzinie piękna wasza córka,
Pod najemnego gondoliera strażą,
Zostaje w sprośnych objęciach murzyna?
Jeżeli o tem wiesz, panie, jeżeliś
Na to pozwolił, toć zaiste ciężką,
Grubą zniewagęśmy ci wyrządzili;
Ale jeżeli nie wiesz o tem, moje
Wyobrażenie o przyzwoitości
Mówi mi, żeśmy niesłusznie zostali
Znieważonymi przez was. Nie sądz, panie,
Abym wuzuty z wszelkich innych względów
Takiego sobie z Waszą Dostojnością
Żartu pozwalał. Jeżeliście, panie,
Córki swej k' temu nie upoważnili,
Powtarzam jeszcze raz, to popełniła
Wielki występki, pomiótszy w ten sposób
Obowiązkami, pięknością, rozumem,
Przyszłością swoją, dla awanturnika,
Dla wszędobylca, goniącego szczęście
Po całym świecie. Sprawdź natychmiast, panie,
Czy jest w sypialni, nawet gdziebądź w domu.
Jeśli ją znajdziesz, niechaj sprawiedliwość
Ściga mię z całą surowością za to,
Żem cię tak czelnie zdurzył.

Brabancyo. Skrzeście ognia!
Światła! hej! Zbudźcie wszystkich moich ludzi!
Coś podobnego już mi się marzyło:
To przypuszczenie samo mię przygniata.
Światła hej! światła!
(*Znika z okna.*)

Jago. Bądź zdrów! muszę odejść.
Nie byłoby to stosownem i dla mnie
Bezpiecznem nawet, gdybym był stawiony
Za świadka przeciw temu murzynowi,
A pozostając tu, świadczyłbym musiał:

Chociaż go bowiem to skompromituje,
Rzeczpospolita nie będzie go mogła
Potępić, bacząc na interes własny,
Przy gotującej się cypryjskiej wojnie,
Do której prowadzenia nie ma wodza,
Równego jemu kalibru. Dlatego,
Choć się nim brzydzą, jak piekielną plagą,
Ze względu jednak na doczesny żywot,
Zmuszony jestem opuścić banderę
I znak przyjaźni, (*do siebie*) który rzeczywiście
Jest tylko znakiem. — Zawiedź pod Łuczownika
Tych, co go będą szukali; niechybnie
Tam go znajdziecie, i ja też tam będę.

(*Wychodzi*).

(*Brabancyo wchodzi z domownikami swymi, niosącymi pochodnię*).

Brabancyo. Niema najmniejszej wątpliwości: zbiegła;
I nic mi więcej po niej nie zostało,
U schyłku tego obmierzonego życia,
Jak sama gorycz. Powiedz mi, Rodrygo,
Gdzie ją widziałeś? Niegodziwe dziecko!
Z murzynem, mówisz? Któżby chciał być ojcem!
Skądże wiesz waćpan, że to ona była?
O, hańbo! Cóż ci rzekła? — Więcej światła!
Zwołajcie wszystkich mych krewnych! — Jak myślisz,
Czy wzięli oni ślub?

Rodrygo. Sądzę, że wzięli.

Brabancyo. O, nieba! Jak wyjść mogła? O, wyrodna!
Ojcowie, nigdy nie ufajcie odtąd
Powierzchnownemu układowi córek!
Chyba istnieją jakie czary, zdolne
Podejść niewinność młodości, dziewictwa.
Nie wyczytałeś gdzie tego, Rodrygo?

Rodrygo. W istocie, panie, czytałem gdzieś o tem.

Brabancyo. Wezwijcie mego brata. O, wołałbym,
Żebyś ją waćpan był posiadał. Biegnijcie
Jedni w tę, drudzy w tę stronę. — Czy nie wiesz,
Odzieby ją można znaleźć z tym murzynem?

Rodrygo. Rozumiem, że go wysłedzę, jeżeli
Racysz mi, panie, towarzyszyć, wzięwszy
Dobrą straż z sobą.

Brabancyo. Bądź nam przewodnikiem.
Przed każdym domem wołać będę; w wielu

Mam wpływ przeważny. — Podajcie mi szpadę;
Sprowadźcie mi tu policyjne sługi
I siłę zbrojną. — Poczcwy Rodrygo,
Wskazuj nam drogę, zawdzięczę twe trudy.
(*Wychodzą*).

SCENA II.

Tamże. Inna ulica.

(*Wchodzą: Otello i Jago z orszakami*).

Jago. Na wojnie, panie, nie jednogom zabił,
Ale popełnić rozmyślnie morderstwo,
Jakoś to z mojem sumieniem niezgodne.
Braknie mi czasem złości, co by mogła
W czemś mi dopomódz. Z jakie dziesięć razy
Miałem myśl pchnąć go tu, pomiędzy żebra.

Otello. Lepiej jest tak, jak jest.

Jago. Kiedyż bo prawili
Takie szkarady i w tak obelżywy
O Waszej Cześci wyrażał się sposób,
Że gdyby nie ten kęs bogobojności,
Jaką mam, byłby mi żywcem nie uszedł.
Ale czy tylko twe małżeństwo, panie,
Szczelnie zawarte? Bo ten magnifikus
Ma popleczników, i gdy się uweźmie
Co przeprowadzić, głos jego dorówna
Głosowi Doży. On was zechce rozwieść,
Albo wam tyle narobi trudności
I tarapatów, o ile mu prawo
Wszystkimi jego wpływami poparte
Da k' temu kierształ.

Otello. Niech czyni, co zechce.
Usługi, jakim oddał senatowi,
Zagłuszą jego skargę. Wiedz, Jagonie,
I nie zaniedbam z tem jawnie wystąpić,
Skoro się dowiem, że chwalba uzacnia;
Wiedz, że wywodzę ród ze krwi królewskiej,
Czyny zaś moje mogą, i bez czapki,
Do tak wielkiego rościć prawo szczęścia,
Jak to, com posiadał. Wiedz i to, że gdybym
Nie kochał czule pięknej Desdemony,

Pewniebym nie był mej niezależności,
Niekrepowanej żadnem stałem miejscem,
Samochcąc ujął w granice i ścieśnił,
Za wszystkie skarby mórz. Co to za światła?

Jago. To gniewny ojciec z swymi przyjaciółmi;
Ustąpmy, panie.

Otello. Nie mnie to przystoi.
Stawię im czoło; godność moja, stopień
I nieskazona prawość mojej duszy
Będą świadczyły za mną. Czyż to oni?

Jago. Na twarz Janusa! podobno nie.
(*Wchodzi Kassyo z dwoma posłańcami Doży*).

Otello. Są to
Przyboczni słudzy Doży mój Kassyo.
Pomyślnej nocy, moi przyjaciele!
Cóż tam nowego?

Kassyo. Doża cię pozdrawia,
Wodzu, i wzywa, abyś się niezwłocznie,
Jak najniezwłoczniej stawił.

Otello. W jakim celu?
Nie wiesz?

Kassyo. Jeżeli domysł mój prawdziwy,
O Cypr to idzie: jakoś tam gorąco,
Flota przysłała ze dwunastu gońców
W ciągu tej nocy, jednego za drugim.
Zbudzonych ze snu wielu panów rady
Już się zebrało u Doży; wysłano
Na gwałt po ciebie, panie, a gdy w domu
Cię nie zastano, senat pchnął umyślnych
W trzy różne strony, aby cię wyszukać.

Otello. Dobrze się stało, żeście mię znaleźli.
Zostawię tylko parę słów w tym domu
I pójdę z wami.

(*Wychodzi*).

Kassyo. Co on tu porabia,
Jagonie?

Jago. Hm! hm! co? Pojmał tej nocy
Ładową skutę: zdobycz to nielada,
Jeżeli tylko się okaże prawną.

Kassyo. Nie zrozumiałem.

Jago. Ożenił się.

Kassyo. Z kim?

(*Otello powraca*).

Jago. Ba! z kim? Idziemy, panie?

Otello. Jestem gotów.

Kassyo. Oto nadchodzi drugi poczet, wodzu,
Szukając ciebie.

Jago. To Brabancyo, miej się
Na ostrożności, wodzu.

(*Brabancyo, Rodrygo i urzędnicy policyjni wchodzą uzbroieni i z pochodniami*)

Otello. Hola! stój!

Rodrygo (*do Brabancya*). Signore, to ten murzyn.

Brabancyo. Ha! rabusiu!

(*Z obu stron dobywają mieczów*).

Jago. Rodrygo? jestem na pańskie usługi.

Otello. Schowajcie miecze, bo się rdzą pokryją
Od rosy nocnej. Wiek wasz, panie, więcej
Dokazać może, niżeli wasz oręż.

Brabancyo. Nędzny rabusiu! gdzieś podział mą córkę?

Oczarowałeś mi ją, potępieńcze;
Bo powołuję się na wszystko w świecie,
W czym jest choć trochę zdrowego rozsądku,
Czy młoda dziewczka, piękna i szczęśliwa,
I tak stanowczą mającą odrazę

Do małżeńskiego stanu, że wzgardziła
Kwiatem najpierwszej tutejszej młodzieży,
Bez popadnięcia w czarodziejskie wniki,
Byłaby kiedy, na ogólny pośmiejch,
Zbiegła z ojcowskich progów, by się rzucić
Na powleczone sadzą łono takiej

Jak ty istoty, wzbudzającej postrach
Nie pociąg? Niechaj cały świat osądzi,
Czyli to nie jest tak jasnym jak słońce,
Żeś ją ty kunsztem piekielnym usidlił,
Uwiódł jej młodość jakiemiś kroplami
Lub czemś podobnym, co o szaf przyprawia;
Śledztwo to musi wykryć: jest to bowiem
Jawnem dla myśli, prawie dotykalmem.

Aresztuję cię przeto i oskarżam

Jako oszusta praktykującego

W pokątny sposób zakazane sztuki.

Bierzcie go; jeśli zaś będzie się ważył

Stawić wam opór, użycie przemocy,

Choćby miał życiem przypłacić.

Otello.

Odstąpcie,

Wy co trzymacie ze mną i wy drudzy.
Gdyby mi z roli wypadało walczyć,
Byłbym był o tem wiedział bez suflera.
Gdzież mam pójść, panie, aby odpowiedzieć
Na uczyniony mi zarzut?

Brabancyo. Do turmy,
Gdzie siedzieć będziesz, dopóki cię zwykły
Bieg procedury przed sąd nie powoła.

Otello. Gdybym, przypuścimy, był posłuszny temu,
Ciekawy jestem, coby w takim razie
Powiedział Doża, którego posłańcy
Przyszli mię w nagłym interesie państwa
Wezwać do niego, i oto tu stoją,
Czekając na mnie.

Posłaniec. Nie inaczej, panie:
Doża jest w sali obrad i dostojna
Osoba wasza była niewątpliwie
Wezwana tamże.

Brabancyo. Doża w sali obrad?
Teraz wśród nocy? Wiedźcie go tam! Ważną
I ja mam sprawę. Wspaniały nasz Doża
I każdy z moich współkolegów pewnie
Uczuje moją krzywdę tak, jak swoją;
Bo gdyby taki czyn płazem uchodził,
Lada poganin rejby u nas wodził.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Tamże. Sala obrad.

(*Doża i senatorowie siedzą wkoło stołu przy świecach.
Kilku urzędników stoi opodal, czekając na rozkazy*).

Doża. Wieści w tych listach nie są zgodne z sobą:
Trudno polegać na nich.

Pierwszy senator. W rzeczy samej,
Sprzeczne są sobie: w moim wymieniono
Sto siedem galer.

Książę. W moim sto czterdzieści.

Drugi senator. A w moim dwieście. Jakkolwiek się jednak
Cyfry w nich różnią (co się musi zdarzać
Tam, gdzie podobne dane są oparte

Na przypuszczeniu), we wszystkich atoli
Jedna jest wzmianka o tureckiej flocie,
Posuwającej się w kierunku Cypru.

Doża. Zważywszy dobrze, rzecz to jest możebna.
Nie ubezpiecza mnie błąd w tych raportach,
Raczej nabawia trwogi treść ich główna.

Majtek (*za sceną*). Wieści! hej! wieści!
(*Wchodzi urzędnik, za nim majtek*).

Urzędnik. Nowy goniec.

Doża. Cóż tam?

Majtek. Turecka flota żegluje ku Rodus:
Mam polecenie od signora Angela
Uprowadzić o tem senat.

Doża. Co myślicie
O tej przemianie?

Pierwszy senator. To niepodobieństwo,
Rozsądnie rzeczy biorąc: demonstracja
Dla zamydlenia nam oczu. Gdy zważym,
Jak wiele Turkom zależy na Cyprze,
I pod względ weźmiem, że jak z jednej strony
Wyspa ta dla nich ważniejsza, niż Rodus,
Tak z drugiej łatwiej zdobytą być może,
Bo mniej jest silnie fortyfikowaną
I do obrony sposobną, niż Rodus;
Gdy te uwagi obok siebie stawim,
Nie przypiszemy wtedy bisurmanom
Niedorzeczności takiej, iżby mieli
Chować na później to, co przedewszystkiem
Im pożądane, i porzucać zamiar,
Obiecujący im wygodną korzyść,
Dla narażania się na bezowocne
Niebezpieczeństwo.

Doża. Niema wątpliwości,
Nie idzie im o Rodus.

Urzędnik. Znów posłaniec.
(*Wchodzi goniec*).

Goniec. Najdostojniejsza rado! Otomanie,
W prostym kierunku sterując ku Rodus,
W pośrodku drogi złączyli się z drugą
Częścią swej floty.

Pierwszy senator. Tegom się spodziewałem.
Ileż przybyło im żagli?

Goniec. Około

Trzydziestu, panie, i teraz się znowu
W tył zawrócił, zamierzając, widno,
Pokusić się o Cypr. Signor Montano,
Wasz zaufany i gorliwy sługa,
Za obowiązek poczytuje sobie
Donieść wam o tem, czcigodni panowie,
Prosząc o danie mu wiary i pomoc.

Doża. Z pewnością zatem na Cypr godzą. Gdzie jest
Marko Lucchese?

Pierwszy senator. We Florencyi.

Doża. Piszcie

Zaraz do niego, niech wraca czemprędzej.

Pierwszy senator. Oto Brabancyo i dzielny nasz murzyn.
(*Brabancyo, Otello, Jago, Rodrygo i urzędnicy policyjni
wchodzą.*)

Doża. Mężny Otello, musimy niezwłocznie
Użyć twej dłoni przeciw Otomanom.
(*Do Brabancya.*)

A, to wy! Witaj, cny signore; właśnie
Brakło nam waszej rady i pomocy.

Brabancyo. Tak jak mnie waszej. Miłościwy książe,
Wybacz: nie służba, ni żadna wiadomość,
Żem tu potrzebny, podniosła mnie z łóżka,
Ani troskliwość o publiczne dobro
Myśl mą zakłóca, bo własny mój smutek
Jest tak gwałtownej, nawalnej natury,
Że wszelkie inne kłopoty pochłania,
Siebie jedynie pomny.

Doża. Cóż się stało?

Brabancyo. Ach moja córka!

Doża. Umarła?

Brabancyo. Tak, dla mnie;

Wydarto mi ją, podle uwiedziono,
Hańbą okryto za pomocą czarów
I szarłatańskich środków; bo dziewczyna
Przy zdrowych zmysłach, nieupośledzona
Ani na wzroku, ani na umyśle,
Nie mogła popaść w tak krzyczący obłąd,
Bez czarodziejskiej w tem sprawy.

Doża. Ktokolwiek

W tak niecny sposób o stratę czci waszą
Córkę przyprawił, a Was o jej stratę,
Do tego sami w krwawej księżde ustaw

Zastosujecie najsurowszą karę,
Choćby nasz własny syn był tym przestępcą.

Brabancyo. Kornie dziękuję Waszej Wysokości.

Oto przestępca: tento czarny szatan,
Coście go, panie, jak słyszałem, teraz
W naglącej sprawie rzeczypospolitej
Tu zawezwali.

Doża i senatorowie. Bolejemy nad tem.

Doża. Otello, cóż ty na to?

Brabancyo. Nic innego

Zeznać nie może, jak, że to jest prawda.

Otello. Potężni, światli, szanowni panowie,
Wielce szlachetni i łaskawi moi
Rozkazodawcy! żem starcowi temu
Wziął córkę, prawdą jest; prawdą jest niemniej,
Żem ją zaślubił: dopóty, nie dalej
Sięga istota mego wykroczenia
I jego zakres. Szorstka moja mowa,
Obrona z krasnych wyrażeń właściwych
Czasom pokoju. Zaledwie to ramię
Uczuło w sobie siedmioletnie siły
Od tej już pory, aż dotąd, odjawszy
Dziewięć ostatnich miesięcy, jedynem
Mojem zajęciem, w polu i w obozie,
Było wojenne rzemiosło; o sprawach
Tego wielkiego świata mało więcej
Powiedzieć mogę nad to, co dotyczy
Bitw i szczegółów żołnierskiego życia;
To też i mówiąc w własnej sprawie, mało
Barw mogę użyć. Zaczem w zaufaniu
Waszych łaskawych względów, bez ogródki,
W prostych wyrazach po żołniersku skreślę
Cały bieg mojej miłości; poznać,
Jakich to zakłęb, jakich eliksyrów,
Jakich użyłem uroków i czarów,
Ażeby sobie ująć jego córkę:
O to albowiem jestem posądzony
I oskarżony.

Brabancyo. Dziewczyna tak skromna,

Cicha, spokojna, i tak pełna wstydu,
Że ją wzruszenie każde rumieniło,
Byłażby zdolną, pytam, wbrew naturze,
Wiekowi swemu, niepomna ojczyzny,

Rodu, imienia, wszystkiego na świecie,
 Rozmiłowywać się w czemś, co ją samym
 Widokiem swoim musiało przestraszać?
 Byłby to bardzo chory sąd, ze wszech miar
 Niedoskonały, przypuszczać na chwilę,
 Że doskonałość może się tak zbłąkać.
 Bez chytrych praktyk piekielnych, do których
 Musim koniecznie domagać się klucza,
 Stać się to nigdy nie mogło. Dlatego
 Jeszcze raz twierdzę, że on zapomocą
 Jakowychś mikstur na krew działających,
 Lub jakichś kropel zaklętych w tym celu,
 Wywarł tak zgubny wpływ na nią.

Doża. Twierdzenie
 Nie jest dowodem: w braku jawnych świadectw,
 To, co przeciwko niemu przytaczacie,
 Są to domysły tylko, przypuszczenia,
 W prostą pozor szatę obleczone.

Pierwszy senator. Powiedz, Otello, azaliś istotnie
 Nadzwyczajnymi, niegodnymi środki
 Zatrui i podbił skłonność tej dziewicy
 Czy też dopiąłeś tego przez zaloty
 I dozwolone zabiegi, co serce
 Sercu jedną?

Otello. Raczie po nią postać
 Pod znak Łucznika, i zażądać od niej,
 Wobec jej ojca, objaśnić w tej mierze.
 Jeśli jej usta przeciw mnie zaświadcza,
 Niechaj nie tylko wasze zaufanie
 I stopień, który mam od was, utracę,
 Ale i życie.

Doża. Przyprawdźcie ją tu.
(Parę osób ze służby wychodzi).

Otello. Chorąży, prowadź ich, lepiej znasz miejsce.
(Jago wychodzi).

Nim zaś nadejdzie z równą rzetelnością,
 Jak się z mych grzechów spowiadam przed niebem
 Wyznam przed wami, poważni mężowie,
 Jakim sposobem pozyskałem miłość
 Tej pięknej, godnej kochania dziewicy,
 I ona moją wzajem.

Doża. Mów, Otello.

Otello. Jej ojciec lubił mnie; często, bywało,

W dom mnie zapraszał, badał mnie o dzieje
 Mojego życia w tych a w tych epokach;
 O bitwy, szturm, przebyte koleje.
 Opowiadałem mu one, począwszy
 Od lat chłopięcych, aż do owej chwili,
 W której mi one kazał opowiadać;
 Prawiłem mu o ciężkich moich przejściach,
 Strasznych przygodach na morzu i lądzie;
 Jakem to o włoś ledwie się wydobyl
 Z śmiercią zięjących bresz; jak mnie wróg pojmał
 I sprzedał w jassy; jakem z tej niewoli
 Wyswobodzony tułał się po świecie;
 Przyczem zdarzyło mi się wzmiankę czynić
 O dzikich stepach, szerokich jaskiniach,
 O rafach, skałach, niebotycznych górach,
 O ludożercach i o samojedach,
 Co się żrą wzajem, albo też o ludziach,
 Co mają głowy niżej ramion. Rada
 Słuchała tego piękna Desdemona;
 Jeśli ją jaki domowy interes
 Znaglił do wyjścia, jak mogła najprędzej
 Wracała znowu i łakomem uchem
 Chwytała moje słowa. Co spostrzegłszy,
 Razu jednego, w stosowną godzinę,
 Doprowadziłem ją do wynurzenia
 Serdecznej prośby, abym jej opisał
 Cały ciąg mojej tułaczkiej pielgrzymki,
 Którą dotychczas słyszała częściowo
 I niedokładnie. Zgodziłem się na to
 I nieraz z oczu ły jej wycisnąłem,
 Mówiąc o różnych żalonych wypadkach
 Mojej młodości. Gdy skończył mą powieść,
 Obdarzyła mnie hojnie westchnieniami
 I rzekła: — dziwnie to brzmiało, w istocie,
 Nadzwyczaj dziwnie; lubo, dziwnie lubo —
 Że lepiej było jej tego nie słyszeć;
 A jednak, jednak chciałaby się być
 Urodzić takim mężczyzną, i czule
 Podziękowała mi i oświadczyła,
 Że jeśli kiedy kto z moich przyjaciół
 Kochać ją będzie i pozyskać zechce,
 Niechby się tylko ode mnie nauczył
 Tego opisu, a cel go nie minie.

Taką skazówkę mając, przemówiłem.

Ona mnie pokochała za przebyte
Niebezpieczeństwa, a jam ją pokochał
Za okazane nad niemi współczucie.

Takich to zaklęć użyłem, nie innych.

Otóż i ona, niech sama zaświadczy.

(Desdemona i Jago wchodzą, za nimi służba).

Doża. W istocie, powieść taka mogła ująć
I moją córkę. Kochany Brabancyo,
Ścierp ten fakt, chociaż w formie mniej legalnej:
Spękanym mieczem lepiej przecie walczyć,
Niż gołą ręką.

Brabancyo. Każ jej mówić, panie.
Jeżeli wyzna, że pierwsza choć jeden
Krok uczyniła ku niemu, przekleństwo
Mojej siwiźnie, jeśli dłużej będę
Jego obwinał. Zbliź się, mościa panno;
Kogo tu widzisz w tem szlachetnem gronie,
Komu najpierwej winnaś posłuszeństwo?

Desdemona. Ojczy mój, widzę tu naprzeciw siebie
Dwa obowiązki: tobie winnam życie
I wychowanie, a jedno i drugie
Każe mi ciebie czcić; ty jesteś panem
Mych obowiązków, bom ja twoja córka;
Ale tu stoi także mój małżonek,
A takie same obowiązki, jakie
Skloniły były niegdyś moją matkę
Ciebie nad ojca przenięść, takie same
Każą mi teraz uznawać za pana
Tego murzyna.

Brabancyo. Bóg z tobą! — Skończyłem.
Racz, panie, teraz przejść do spraw publicznych.
Przysposobione mi było mieć raczej
Nie własne dziecko. Przystąp tu, murzynie:
Bezwarunkowo oddając to, czego
Bezwarunkowo byłbym ci odmówił,
Gdyby nie było już twojem. — Przez ciebie,
Mój ty klejnocie, cieszę się, że nie mam
Drugiego dziecka, bo dzięki twej sprawie,
Byłbym dla niego tyranem i w dyby
Okuć je kazał. — Jużem skończył, panie.

Doża. Niechże ja jeszcze coś za ciebie powiem
I niech te kilka uwag, jakie rzucę,

Będą niejako szczeblem dla tej pary
Do twoich względów.
Gdzie środków braknie, tam z znikłą nadzieją
Kończą się żale i skargi niemieją.
Nad nieocfioną biedą utyskiwać,
Jest to chcieć nową biedę wywoływać.
Utarczka z losem płonem jest szermierstwem;
Więcej z nim wskórasz spokojnem szyderstwem.
Kto się uśmiecha, będąc okradziony,
Ten rabusiowi kradnie jego plony;
Ale zaprawdę sam siebie okrada,
Kto się tam trapi, gdzie daremna rada.

Brabancyo. Trzeba więc Cypru obrony zaniechać:
Nasz on, dopóki mogę się uśmiechać.
Dobre uwagi dla tych, co im błogo,
Ale w cierpieniu nie krzepią nikogo;
Raczej przeciwnie, bo zamiast bólu koić.
Zmuszają w nową cierpliwość się zbroić.
Takie sentencje miewają dwa smaki:
Cukru i żółci, wpływ też ich dwojaki.
Lecz słowa wiatrem: nawet siła Doży
Plastrem przez ucho serca nie obłoży.
Proszę Waszej Wysokości najpokorniej, przystąpić do
spraw państwa.

Doża. Turcy z ogromną potęgą posuwają się ku Cyprowi.
Otello, tobie jest najlepiej znaną miejscowość, a cho-
ciaż mamy tam komendanta wysoko cenionej biegło-
ści, przecież głos powszechny, ten wszechwładny re-
gulator rzeczy ludzkich, przemawia z większem zaufa-
niem za tobą. Musisz się przeto poddać konieczności
i przyćmić świeży blask swego szczęścia tą pochmurną
i burzliwą wyprawą.

Otello. Moc przywyknienia, cni senatorowie,
Czyni mi twardą, kamienistą pościel
Puchowem łóżem. Mogę się pochłubić
Wrodzoną, skorą do czynu rześkością
W nagłej potrzebie; jakoż gotów jestem
Do tej wyprawy przeciw Otomanom.
Kornie więc chyląc się przed waszym sterem,
Żądam stosownej pieczy nad mą żoną,
Przyzwóitego dla niej utrzymania
I pomieszczenia, obsługi i wygod,
Jej urodzeniu odpowiednich.

Doża. Pójść do ojca może,

Jeżeli wola.

Brabancyo. Na to się nie zgadzam.

Otello. Ani ja.

Desdemona. Ani ja: będąc na oczach
Mojemu ojcu, ciąglebym gniew jego
Drażnić musiała. Racz, wspaniała Dożo,
Przychylne ucho skłonić do mych życzeń,
I przywilejem łaskawego słowa
Wesprzeć je.

Doża. Czego żądasz, Desdemono?

Desdemona. Że kocham tego murzyna i żyję

Dla niego tylko, niech o tem gwałtowna

Przemiana losu mojego obwieści

Całemu światu; serce me zarówno

Jest przywiązane do jego osoby

Jak i do jego urzędu. Jam w duszy

Mego Otella jego twarz ujrzała,

I jego sławie, jego bohaterstwu

Duszę i przyszłość poświęciła moją.

Gdybym tu przeto pozostała, nakształt

Wegetującej w pokoju monady,

Gdy on na wojnę pójdzie, w takim razie

Ogołoconąbym została z tego,

Co mi go głównie uczyniło drogim,

I przez ten rozdział byłabym skazaną

Na tymczasowy byt nader dotkliwy;

Pozwólcie mi więc udać się z nim razem.

Otello. Uczynicie zadość jej chęciom, dostojni

Senatorowie, zostawcie jej wolność.

Niebo mi świadkiem, że nie proszę o to,

Dla dogodzenia podniebienia żądz,

Ni za podnietą krwi, która już we mnie

Przestała kipieć z młodzieńczym zapałem

Ale jedynie tylko przez uprzejmą

Powolność dla niej. I niech Pan Bóg broni

Mych miłościwych panów od myślenia,

Że poruczonej mi tak ważnej sprawy

Zaniedbam, skoro ona będzie ze mną.

Nie; jeśli płocze igraszki Amora

Gnuśną ciężkością owładną i stępią

Władz mych działalność tak, że skutkiem tego

Cel mej wyprawy narażony będzie

Na szwank i szkodę, niech mi lada baba

Rynkę na głowę wsadzi zamiast hełmu,

I wszelkie szpetne znamiona niestawy

Kałem okryją moje dobre imię.

Doża. Jak uradzicie sami, tak niech będzie;

Wolno jej zostać lub jechać. Rzecz nagli,

Równie też nagłym pośpiech być powinien.

Pierwszy senator. Musisz odplłynąć tej nocy.

Otello.

Doża. O ósmej z rana zejdziem się tu znowu.

Otello, zostaw kogo z podkomendnych,

Co ci powiezie od nas nominację,

Oraz to, czego twój urząd i stopień

Wymagać będzie.

Otello.

Oto mój chorąży,

Rzetelny, godzien zaufania człowiek;

Jemu powierzę mą żonę, on także

Zabierze z sobą to, co Wasza mądrość

Przesłać mi uzna za stosowne.

Doża.

Dobranoc zatem każdemu z osobna.

(Do Brabancya.)

No, no, signore, przestań chmurzyć czoło.

Słuszną li szpetność przypisać niecnocie,

Zięć wasz, choć czarny, jest pięknym w istocie.

Pierwszy senator. Bądź zdrow, Otello, a oszczędzaj żonę.

Brabancyo. Pilnuj jej, odkąd jest na twoim chlebie;

Bo zwiódłszy ojca, może zwieść i ciebie.

(Doża, senatorowie i urzędnicy wychodzą.)

Otello. Życie dam za jej wiarę. Tak więc, Jago,

Tobie zostawiam moją Desdemonę.

Proszę cię, poleć swej żonie być przy niej,

I sprowadź mi ją, jak się da najprędzej;

Pójdź, Desdemono, godzinę mam tylko

Do poświęcenia miłości i innym

Sprawom domowym. Musim uleźć temu,

Czego chwilowa wymaga konieczność.

(Wychodzi z Desdemoną.)

Rodrygo. Jagonie!

Jago. Czego chcesz, zacna duszo?

Rodrygo. Cóż mi teraz czynić pozostaje, jak sądzisz?

Jago. Co? pójść do łóżka i spać.

Rodrygo. Pójdę się natychmiast utopić.

Jago. Jeżeli to uczynisz, przestanę być twoim przyjacielem na zawsze. Jakież ci głupstwo przyszło do głowy?

Rodrygo. Głupstwo żyć, kiedy życie jest męczarnią, a odjęcie go sobie jest receptą, kiedy śmierć ma być lekarstwem.

Jago. O, niktzemności! Patrzę na ten świat od siedmiu lat, cztery razy wziętych, i odkąd mogę odróżnić dobrodziejstwo od krzywdy, nie spotkałem jeszcze człowieka, któryby umiał być przyjacielem samego siebie. Co do mnie, wolałbym się na człowieczeństwo pomieścić z pawianem, nimbym powiedział, że się chcę utopić z miłości ku pętarcze.

Rodrygo. Cóż mam tedy uczynić? Wyznaję, że mi wstyd być tak zakochanym, ale rezygnacya, nie moja to cnota.

Jago. Cnota! Psu na budę! Od nas samych zależy być takimi lub owymi. Nasze jestestwo jest ogrodem, a nasza wola ogrodnikiem; jeżeli chcemy w tym ogrodzie siać pokrzywy lub sałatę sadzić; rozpleniać hyzop, a wyrwać macierzankę; hodować jedno ziele albo pielęgnować różnego rodzaju rośliny; zapuszczać go niedbale lub skrzętnie uprawiać — możność ku temu i środki odpowiednie leżą w woli naszej. Gdyby waga władz naszych nie miała z jednej strony szali rozumu dla zrównoważenia szali zmysłowości z drugiej strony, wtedy krew i ułomność naszej natury doprowadziłaby nas do najhaniebniejszych ostateczności; ale mamy rozum na poskromienie w nas dzikich popędów, cielesnych bodźców i rozkiełzanych chuci; z czego wyprowadzam wniosek, że to, co ty nazywasz miłością, jest poprostu szczeniem, ablegrem.

Rodrygo. To być nie może.

Jago. Miłość — jest jedynie krwi chucią i ustępstwem woli. Nuże! Bądź mężem! Utopić się? Top koty i ślepe szczenięta. Mienię się twoim przyjacielem i deklaruję się do ciebie być przywiązany liną nieprzełomnej wytrwałości; nigdy ci tego nie mógł lepiej dowieść, jak teraz. Naładuj kiesę, udaj się za nią na tę wojnę; przebierz sobie twarz w fałszywą brodę; a kiesę naładuj, powiadam. Ani można przypuścić, żeby Desdemona miała długo kochać tego murzyna — naładuj kiesę — a on ją nawzajem; był to gwałtowny przypływ, i odpływ taki sam będzie, zobaczysz — naładuj tylko kiesę. Ci murzyni nie są stali w swych sentymentach — miej

kiesę dobrze podszytą — łakoć, która mu teraz smakuje przesłodka jak chleb świętojański, wyda mu się wkrótce gorzką, jak dziki ogórek. Jej skłonność musi się zmienić, bo młoda; nasyciwszy się nim, pozna niestosowność swego wyboru. Ona musi zmiany zapragnąć, musi, ani wątpić; dlatego miej kiesę naładowaną. Jeżeli chcesz gwałtem pójść na potępienie, obierzże przyjemniejszą drogę ku temu, niż utopienie. Weź pieniądze, co tylko będziesz mógł. Jeżeli trwałość wiary i świętość ślubów afrykańskiego włóczęgi i kuto-przebiegłej Wenecyanki nie są rzeczą dla mego dowcipu i piekielnych potęg nieprzełomną, to ją posiadać będziesz. Dlatego zaopatrź się w pieniądze. Topić się? Co za myśl dzika! nie tędy droga do celu; raczej ci zostać obwiesiem dopiąwszy swego, niż topielcem nic nie wskórawszy.

Rodrygo. Zaręczysz mi za skutek, jeżeli na tem oprę moją nadzieję?

Jago. Możesz śmiało na mnie liczyć. Idź, postaraj się o pieniądze. Mawiałem ci często i powtarzam jeszcze raz, że nienawidzę tego murzyna. Moja ansa z serca pochodzi twoja nie z innego źródła; działajmy więc wspólnie w interesie zemsty. Jeżeli mu zdołasz przypiąć rogi, sprawisz sobie przez to uciechę, a mnie pociechę. Leży jeszcze coś więcej w łonie przyszłości, co się dopiero ma narodzić. Allons! marsz! Zaopatrź się w pieniądze. Jutro o tem obszerniej pogadamy. Bądź zdrow!

Rodrygo. Gdzież się zejdziemy z rana?

Jago. W mojej kwaterze.

Rodrygo. Przybędę jak najwcześniej.

Jago. Bądź zdrow! do zobaczyska! Ale, ale...

Rodrygo. Co takiego?

Jago. Nie topże się już, słyszysz?

Rodrygo. Jużem tej myśli zaniechał. Spieniężę cały mój majątek.

Jago. Bądź zdrow! do zobaczyska! Naładuj trzos, a dobrze.

(Rodrygo wychodzi.)

Tak zawsze z głupców robię sobie łyko.
Krzywdębym czynił memu rozsądkowi,
Gdybym czas marnie tracił z takim dudkiem,
I nie korzystał na tem. Nienawidzę
Tego murzyna; chodzą pogadanki,
Że on przy mojej żonie mnie luzował;

Może to bajka, nie mam pewnych danych,
 Że tak jest; samo jednak podejrzenie
 Tego rodzaju staje mi za pewność
 I bodzie mnie do zemsty. On mi ufa,
 Temci skuteczniej mogą dopiąć celu.
 Kassyo przystojny — pomyślmy-no trochę. —
 Zabrać mu miejsce i nasycić zemstę
 Jednym zamachem — ale jak? pomyślmy. —
 Gdybym po pewnym czasie otumaniał
 Ucho Otella nieznacznym poszeptem,
 Że on i jego żona są na stopie
 Za poufałej? Kassyo miły człowiek,
 Kształtny, mogący wzbudzić podejrzenie;
 Na serc podbójcę stworzony; a murzyn
 Jest charakteru łatwego, prawego,
 Wierzy w uczciwość, gdzie widzi jej pozór,
 I najdokładniej daje się, jak osioł,
 Za nos prowadzić. Plan mój już osnuty;
 Rzucone ziarno: piekło i noc czarna
 Wyda potworny owoc z tego ziarna.

(*Wychodzi*).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Miasto portowe w Cyprze. Taras nad morzem.

(*Wchodzi Montano z dwoma obywatelami*).

Montano. Czy tam co widać na morzu z przylądka?

Pierwszy obywatel. Nic, prócz wysoko wezbranej powodzi.

Nie mogłem dostrzedz ni jednego żagla

Pomiędzy niebem a powierzchnią fali.

Montano. Coś dziś wiatr głośno przemawiał do ładu;

Nie pomnę, aby kiedy szturm podobny

Do parapetów naszych zakołatał.

Jeśli tak samo dął na pełnem morzu,

Jakież dębowy bał, bity kafarem

Walących się nań gór, mógł nie wyjść z fugi?

O czemże przyjdzie nam usłyszeć?

Drugi obywatel.

Pewnie

O rozproszeniu tureckiej eskadry.
 Bo stańcie jeno na wspanionym brzegu
 I patrzcie, jak to rozdąsane wały
 Miotają się ku chmurom jak bałwany
 Rozkołysane, monstualną paszczą
 Rzygają wodę w oczy Niedźwiedzicy
 I zdają się chcieć zalać wieczny świecznik
 Gwiazdy polarnej. Nigdy jeszcze dotąd
 Nie widział takiej wściekłości żywiołu.

Montano. Jeśli turecka flota nie zdążyła
 Wcześniej się schronić do jakiej zatoki,
 To po niej; ująć jej nie będzie podobna.

(*Wchodzi trzeci obywatel*).

Trzeci obywatel. Wieści, panowie! Wojna już skończona.

Tak srodze Turkom dała się we znaki

Ta nawałnica, że plan ich okulał;

Jeden z weneckich okrętów był świadkiem

Ciężkiego szwanku i rozbicia większej

Części ich floty.

Montano. Pewnaż to wiadomość?

Trzeci obywatel. Okręt ów właśnie zawiął do portu:

Jest to weroński bryg. Kassyo, namiestnik

Bohaterskiego murzyna Otella,

Wysiadł już na ląd; sam wódz, opatrzony

W pełnomocnictwo nieograniczone,

Na morzu jeszcze jest, żeglując ku nam.

Montano. Cieszę się z tego, godzien on być rządcą.

Trzeci obywatel. Tenże sam jednak Kassyo, co nam przyniósł

Pociechę wieścią o klęsce tureckiej,

Smutną ma minę i modły zanosi

Za całość wodza, bo ich rozdzieliła

Gwałtowna burza.

Montano. Bogdajby ocalał!

Służyłem pod nim; jest to całą gębą

Żołnierz i hetman. Idźmy do przystani

Przybyły okręt powitać i posłać

Wzrok na spotkanie dzielnego Otella,

Aż tam, gdzie krańce morza i błękitu

W jedno spływają.

Trzeci obywatel. Idźmy, bo co chwila

Nowych się gości możemy spodziewać.

(*Wchodzi Kassyo*).

Kassyo. Dzięki wam, mężni obrońcy tej wyspy,

Za te przychylne uczucia dla wodza.
Oby go nieba zachowały cało!
Bo oddzielony od niego zostałem,
Pośród balwanów wzburzonego morza.

Montano. Dobryż ma okręt?

Kassyo. Mocno zbudowany,
I sternik mistrzem jest w swoim rzemiośle;
Nadzieje moje przeto nie są jeszcze
Śmiertelnie chore i liczą na blizki
Powrót do zdrowia.

(Głosy za sceną).

Żagiel! żagiel! żagiel!

Kassyo. Co to za krzyki słychać?

(Wchodzi czwarty obywatel).

Czwarty obywatel. Tłumy ludu
Na brzeg wybiegły i wołają: żagiel!

Kassyo. Moja nadzieja zwiastuje Otella.

(Słychać wystrzały).

Drugi obywatel. Wydają teraz powitalne salwy;
Nie jest to zatem w każdym razie okręt
Nieprzyjacielski.

Kassyo. Idź pan, proszę, zobacz
I przynieś nam wieść pewną, kto to przybył.

Drugi obywatel. Śpieszę natychmiast.

(Wychodzi).

Montano. Panie namiestniku,
Chciej mi powiedzieć, czy wasz wódz ma żonę?

Kassyo. I jaką jeszcze! Zaślubił dziewicę,
Która z opisem najidealniejszym
Może się równać, któraby zdołała
Najwytworniejsze pióro w kłopot wprawić,
Bo mieści w sobie wszelką doskonałość,
Na jaką może zdobyć się natura.

(Drugi obywatel wraca).

Któż to przypląnął?

Drugi obywatel. To niejaki Jago,
Chorąży wodza.

Kassyo. Szczęśliwą zaiste
Miał podróż, kiedy mógł przybyć tak prędko.
Orkany nawet, wichry i topiele,
Śpiczaste rafy i w mur zbite piaski,
Te przyczajone wrogi niewinnego
Tramu okrętów, jakby ulegając

Wpływom piękności, stłumiły złość w sobie
Dla przepuszczenia boskiej Desdemony.

Montano. Któż ona?

Kassyo. Ta to, o której mówiłem,
Pani naszego pana, powierzona
Pieczy dzielnego Jago, który nasze
Oczekiwania uprzędził o tydzień,
Przybywszy teraz. Panie, chroń Otella!
Zbawczem swem tchnieniem wezdmij jego żagiel,
By mógł okrętem swym ten port ucieścić,
Chyżo w objęciach Desdemony spocząć,
Włać nowy zapał w nasz duch półprzygasły
I uszczęśliwić cały Cypr. O, patrzcie!

(Wchodzi z orszakiem: Desdemona, Emilia, Jago i Rodrygo).

Klejnót okrętu na brzeg wysiadł. Cyprze,
Zegnij kolana przed nią. Cześć ci, pani!
Błogosławieństwo nieba niechaj będzie
Z tobą, za tobą, w krąg ciebie!

Desdemona. Dziękując,
Waleczny Kassyo; wiesz co o mym mężu?

Kassyo. Jeszcze nie przybył, i nic więcej nie wiem
Nad to, że zdrow jest i wkrótce tu będzie.

Desdemona. Boję się tylko — czemuś się z nim rozstał?

Kassyo. Straszny spór morza ze sklepieniem niebios
Rozdzielił nasze statki.

(Słychać wystrzały).

Styszysz, pani?

Zbliża się jakiś okręt.

(Głosy za sceną).

Żagiel! żagiel!

Drugi obywatel. Ogniem z dział wita naszą cytadelę.
Snaż i to nasi.

Kassyo. Chciej pan pójść do sprawdzić.

(Wychodzi drugi obywatel).

Mości chorąży, witaj! Witaj, pani!

(Całuje Emilię).

Niech ci ta moja śmiałość krwi nie psuje,
Kochany Jago, bo zwyczaj w mym kraju
Uświęca taki objaw serdeczności.

Jago. Gdyby jej usta były dla Waszmości
Podobnie szczodre, jak jej język dla mnie,
Wnetbyś był syty.

Desdemona. Biedna, słów jej braknie.

Jago. Ma niepośledni ich magazyn: nieraz
Doświadczam tego, kiedybym chciał zasnąć.
W twej obecności, pani, naturalnie
Cofa się trochę z językiem za szaniec
I w myśli tylko gdera.

Emilia. Co też pleciesz!

Jago. Idź, idź; obrazki z was za progiem domu,
Dzwony w pokojach, dzikie koty w kuchni;
Święte, jeżeli same co zbroicie;
Dyablice, gdy kto wam w czem nie dogodzi;
Komediantki koło gospodarstwa,
A gospodynie w łóżku.

Desdemona. O bluźnierco!

Emilia. Pochwalnych ód mi nie pisz.

Jago. Nie chcesz tego.

Desdemona. Cóżbyś napisał, gdybyś mnie miał chwalić?

Jago. O, nie wyzywaj mnie do tego, pani,
Bo Jago zero, jeżeli nie gani.

Desdemona. Spróbuj. — Czy poszedł kto do portu?

Jago. Poszedł.

Desdemona (*do siebie*). Nie w smak mi żarty, chcę atoli
[pokryć

Stan mój wewnętrzny wesołym pozorem.

No, jakżebyś mnie pochwalił, Jagonie?

Jago. Myślę ja nad tem, lecz pomysł w tej mierze

Tak się odczepia od mej mózgownicy,

Jak lep od gzymsu, wrywa mózg z sobą,

Wszystko; wszelako muza ma pracuje

I w taki sposób wydaje swój poród:

Białam, piękna i sprytna, stąd dwie mam korzyści:

Piękność wróży mi szczęście, spryt takowe iści.

Desdemona. A jeśli piękność jest czarną przy sprycie?

Jago. Jestli czarną a sprytną, daję w zakład szyję,

Że ktoś biały niebawem jej czarność pokryje.

Desdemona. Coraz to gorzej.

Emilia. A jeżeli która

Jest, dajmy na to, piękną ale głupią?

Jago. Głupstwo pięknej kobiecie nie może zawadzić,

Bo przy piękności każda umie sobie radzić.

Desdemona. Niesmaczne to, stare koncepty, zdolne roz-
śmieszyć karczemną kompanię. Cóżbyś powiedział o ko-
biecie brzydkiej i głupiej zarazem?

Jago. Niech będzie jak gęś głupia i szpetna jak flądra,
Potrafi to, co każda i piękna i mądra.

Desdemona. Co za grubiańskie zdanie! Najgorszą pochwa-
liłeś najlepiej. Jakaż ci pochwała pozostaje dla prawdzi-
wie zanej kobiety? dla kobiety, której wszechstronna
wartość zmusza złośliwość do oddania jej sprawiedli-
wości?

Jago. Taka, co krasą nęci, a nie razi pychą,
Ma język nie dla kształtu, jednakże jest cichą;
Choć jej złota nie braknie, nie pstrzy się jak lala;
Mogłaby, przecież nigdy sobie nie pozwala;
Gdy ma powód do gniewu i do zemsty możność,
Zniesie urazę, odwet mając za bezbożność;
Której nigdy do głowy nie przyjdzie myśl taka,
Że lepszy jest mlecz śledzia, niż ogon szczupaka;
Co powierzone sobie szanuje sekreta,
A sama nie ma żadnych: o, taka kobieta
Warta — jeżeli tylko jest gdzie takie dziwo...

Desdemona. Czegoż warta?

Jago. Karmić bębny i cienkie butelkować piwo.

Desdemona. Możnaż ohydniej, niegodniej co zakończyć?
nie ucz się od niego, Emilio, choć jest twoim mężem.
Cóż ty na to, mości Kassyo? Jest jeszcze to najbezbo-
żniejszy, najbezwstydniejszy bajarz?

Kassyo. Rąbie krzyżową sztuką, łaskawa pani: więcej ma
zalet jako żołnierz, niżeli jako światowiec.

Jago (*do siebie*). Bierze ją za rękę; tak, tak, szeptajcie do
siebie w takiej to wątłej tkance uwikłam tak wielką
muchę jak Kassyo. Tak, tak, uśmiechaj się do niej,
uśmiechaj; równaj nogi, tem dogodniej cię spętam
w tej postawie. O, tak, tak, przewybornie! Jeżeli ta
uprzejmość wyzuje cię z twego namiestnikostwa, to le-
piej ci było tak często nie całować swych trzech pal-
ców, którymi z taką gracją odgrywasz rolę galanta.
Brawo! ślicznie całujesz! co za wytworna dworność!
w rzeczy samej. Znowu palce do ust? Radbym, żeby
ci się zmieniły w szpikulce.

(*Słychać trąbkę*).

To wódz, znam jego trąbkę.

Kassyo. Tak, to on.

Desdemona. Idźmy naprzeciw niego.

Kassyo. Oto idzie.

(*Wchodzi Otello z orszakiem*).

Otello. O, bohaterko moja!

Desdemona. Mój Otello!

Otello. Zdumienie moje, żem cię tu już zastał,

Równa się mojej radości. O, drogi,
Zachwycający skarbie duszy mojej!

Gdyby po każdej burzy miała taka
Cisza nastawać, niech szaleją wichry,
Póki uśpionej śmierci nie przebudzą;
Niech się na góry fal pnie łódź wędrowna
Aż po sam Olimp i w głąb spada nazad
Aż po kraj piekieł! Gdyby trzeba było
Umrzeć natychmiast, skonanie w tej chwili
Błogosławieństwem by mi się wydało,
Bo rozkosz mojej duszy tak jest wielką,
Że się obawiam, czy druga podobna
We mgle przyszłości jest mi zachowaną.

Desdemona. Niechże Bóg broni, aby nasza miłość
I nasze szczęście nie miało się owszem
Z liczbą dni zwiększać!

Otello. Święte twe życzenie!

Nie mogę zmieścić mej radości w słowach.
Oby w harmonii serc naszych nie zaszła
Inna niezgodność jak obecnie. (*Całuje ją*).

Jago (*do siebie*). Brawo!

Jesteście teraz dobrze nastrojeni;
Ale ja wkrótce odkręcę te kołki,
Co dają taką dźwięczność waszym strunom;
Jakem poczciwy, rozstroję ten półdźwięk.

Otello. Pójdźmy na zamek. Tak więc, przyjaciele,

Wojna skończona. Turcy potonęli.
Jakże się macie moi dobrzy, moi
Starzy znajomi? Luba, znajdziesz w Cyprze
Dobre przyjęcie, bo mam na tej wyspie
Wielu życzliwych. O, najukochańsza,
Nie kleją mi się wyrazy, mającąc
Ze zbytku szczęścia. Proszę cię, Jagonie,
Każ moje skrzynie poznosić z okrętu,
I kapitana przyprowadź mi z sobą
Do cytadeli: dzielny to marynarz.
Nie mogę jego zasług pozostawić
Bez zawdzięczenia. Idźmy, Desdemono;
Jeszcze raz, bądź mi w Cyprze pozdrowioną!
(*Otello i Desdemona wychodzą ze swym orszakiem*).

Jago (*do swego slugi*). Idź do portu i czekaj tam na mnie.
(*Do Rodryga*). Zbliź-no się, bracie, jeżeli masz odwagę —
a mówią, że nawet tchórze, zakochani będąc, nabierają
szlachetnych impulsów, których im odmówiła natura —
jeżeli tak jest, to słuchaj, co ci powiem. Kassyo będzie
miał tej nocy straż w zamku; przedewszystkiem jednak
muszę ci powiedzieć, że Desdemona jest w nim na-
prawdę zakochana.

Rodrygo. W nim? to być nie może.

Jago. Przyłóż palec, ot tak, i zważ, co ci powiem. Przy-
pominasz sobie, jak ona namiętnie pokochała zrazu
tego murzyna, za to tylko, że przed nią junaczył i pra-
wił jej smalone duby. Możnaż przypuścić, że go stale
kochać będzie za gadulstwo? Odwołuję się do twego
rozsądku. Jej oczy potrzebują karmi, a cóż im za roz-
kosz patrzeć na dyabła? Aby krew, po pewnym czasie
pożycia ochłodzona, na nowo mogła zakipieć i namię-
tność ukołysana na nowo się rozbudzić; niezbędną jest
ku temu kształtność postawy, stosowność wieku, gład-
kość oblicza i obejścia, czego wszystkiego murzynowi
braknie. Oto, w braku tego rodzaju dezyderyów, sub-
telna jej czułość widzieć będzie zawód, zacznie czuć
niesmak, kłiwłość a następnie odrazę do tego murzyna;
sama natura do tego ją przywiedzie i nagli do nowego
wyboru. Przypuściwszy to, przyjacielu, a przypuszcze-
nie to jest niezbite, bynajmniej nie nakręcane, któż stoi
na wyższym szczeblu tego szczęścia, jak Kassyo? Zrę-
czny to hultaj, nieposuwający skrupulatności dalej, jak
do nadania sobie uczciwego, przyzwoitego pozoru, pod
którymby tem lepiej mógł zaspokajać swoje sprosne,
kryjome chuci? Nikt jak on, nikt jak on; przebiegły to
szczwany hultaj; wyżeł na gratki, którego oko umie
bić fałszywą monetę sposobności, gdy prawdziwa się
nie nastęrcza: szatan wcielony. Przytem hultaj ten jest
młody i przystojny i posiada wszelkie warunki, za któ-
rymi pstre, puste głowy szaleją; hultaj to kompletny,
z piekła rodem; i ona go już sobie upatrzyła.

Rodrygo. Nie mogę temu uwierzyć; znam jej bogobojny
sposób myślenia.

Jago. Oł, wyjechał z bogobojnością, jak na targ z łysą
kobyłą. Toć przecie wino, które ona pije, jest z gron,
nie z czego; gdyby była bogobojną, nie zakochałaby
się była w murzynie. Bogobojna głupoto! Nie uwa-

żałżeś, jak mu dłoń muskała palcami? Nie uważałeś tego?

Rodrygo. Uważałem; ale to tylko tak, z życzliwości.

Jago. Z lubieżności, tak to pewno, jak że mam pięć palców u ręki. Był to wstęp, nieznaczny prolog do dzieła bezwstydu i nierządu. Tak się do siebie zbliżyli ustami, że się ich tchnienia objęły nawzajem. Obmierzłe myśli! nieprawdaż, Rodrygo? Skoro te porozumienia uturują sobie drogę, tuż za nimi pójdzie akcja główna i ostateczne rozwiązanie; tfy! Ale jest na to sposób; posłuchaj mojej rady, przyjacielu; nie napróżno sprowadziłem cię z Wenecyi. Bądź tej nocy na warcie; moją rzeczą będzie naznaczyć ci posterunek; Kassyo nie zna cię; ja będę w pobliżności; staraj się jakim-bądź sposobem w gniew go wprowadzić, bądźto mówiąc za głośno, bądźto szydząc z jego służbistości, bądźto innym jakim środkiem drażniącym, który czas i okoliczności za najstosowniejszy ci wskażą.

Rodrygo. Dobrze.

Jago. On jest porywczy, pasyonał; zechce cię może laską uderzyć; polechcz-no go tak, żeby to zrobić; będzie to dla mnie dostatecznem do podburzenia Cypryjczyków, którzy się nie prędzej uspokoją, aż Kassyo od obowiązków oddalonym zostanie. Wtedy będziesz miał uproszczoną drogę do celu środkami, jakimi będę mógł rozporządzać; i tym sposobem pozbędziemy się zawady, bez której usunięcia nie mogliśmy się spodziewać powodzenia.

Rodrygo. Zgoda, uczynię to; tylko mi nastroż sposobność.

Jago. O to się nie troszcz; przyjdź tylko niebawem do cytadeli. Muszę pójść teraz na okręt po jego rzeczy; bądź zdrów.

Rodrygo. Do widzenia.

(Wychodzi).

Jago. Że się w niej Kassyo kocha, temu wierzę; Że ona kocha go, to wiarogodne.

Murzyn ma stały, szlachetny charakter
(Choć go nie cierpię, muszę mu to przyznać),
I, ani wątpić, będzie dobrym mężem
Dla Desdemony. Ja ją także kocham,
Nie samą tylko zmysłową miłością,
Jakkolwiek, prawdę mówiąc, niedalekim

Od tak wielkiego grzechu, głównie jednak
W widoku zemsty; podejrzenie bowiem,
Że się ten murzyn wkradł do mej kwatery,
Jak wityrolem pali mi wnętrzości.
Póty nie zdoła nic mnie zaspokoić,
Póki nie oddam mu wet za wet; gdyby
To zaś chybiło, opętam mu duszę
Taką zazdrością, że jej nie uleczy
Żadna rozważa; do spełnienia czego,
Byle mi tylko nie skrewił ten mały
Wenecki szpiczak, którego podjudzam,
Pan Michał Kassyo za most mi posłuży.
Opiszę go jak węża przed murzynem,
Bo się obawiam, aby i on także
Nie znalazł drogi do mojej szlafmocy;
Zyskam murzyna serce, zaufanie
I wdzięczność za to, że go wy kieruję
Na błazna; że go z pokoju i szczęścia
W szaleństwo strącę. Oto szkic tej matni;
Błady on jeszcze, czas go uwydatni.

(Wychodzi).

SCENA II.

Ulica.

(Wchodzi Herold z proklamacyą w rękę; za nim lud).

Herold. Wołają jest Otella, dostojnego, walecznego generała naszego, ażeby, z powodu świeżo nadeszłych wieści o zupełnem zniszczeniu floty tureckiej, całe miasto objawiło swą radość, bądźto przez taniec, bądźto przez fajerwerki, bądź przez inne jakiegokolwiek zabawy i uciechy, odpowiednie upodobaniu każdego; tembardziej, że obok tak fortunnego wypadku generał święci dziś swoje zaślubiny. Wszystkie sale zamku są otwarte i wolno w nich każdemu weselić się i bankietować od tej, to jest piątej godziny, aż dopóki zegar nie wybije jedenastej. Niech nieba błogosławią wyspę Cypr i naszego dostojnego generała Otella!

(Wychodzą).

SCENA III.

Przedsięń w zamku.

(Wchodzą: Otello, Desdemona, Kassyio i służba).

Otello. Ścisłą tej nocy miej straż, mój Michale;
Trzeba nam samym mieć się na baczności,
Aby uciecha miary nie przebrała.

Kassyio. Jago otrzymał już rozkaz po temu;
Pomimo tego jednak osobiście
Oko mieć będę.

Otello. Jago jest sumienny.
Bądź zdrów, Michale; jutro jak najraniej,
Pomnij przyjsć do mnie. — Pójdź, najukochańsza.
Kto targu dobił, może zyski ciągnąć:
Nam już się godzi korzyść tę osiągnąć.
Dobranoc.

(Wychodzi z Desdemoną i służbą. — Wchodzi Jago).

Kassyio. Trzeba nam pójść na wartę, Jagonie.

Jago. Jeszczeć nie teraz, namiestniku; dopiero dziesiąta.
Generał pozbywa się nas tak wcześnie z miłości ku
swojej Desdemonie, i za złe mu tego wziąć nie można;
jeszcze się nią nie nacieszył, a to kąsek godzin Jo-
wisza.

Kassyio. Rzadka to kobieta, w rzeczy samej.

Jago. I ognista, na honor.

Kassyio. W istocie, dziwnie hoże i nadobne stworzenie.

Jago. Co to za oczy! Zdaje mi się, że jest w nich coś
wyzywającego.

Kassyio. Coś podbijającego, a przytem, zdaje mi się, nad-
zwyczaj skromnego.

Jago. A kiedy mówi, to tak, jak gdyby do serca szturm
przypuszczała.

Kassyio. W istocie, doskonałość sama.

Jago. Daj im Boże szczęście! Pójdź, namiestniku; mam
gąsiorek wina, a tam w podłe jest kilku cypryjskich zu-
chów, coby radzi szturchnąć w kubki za zdrowie czar-
nego Otella.

Kassyio. Tej nocy ani kropli, Jagonie. Mam słabą, nie-
szczęśliwą głowę do picia. Radbym, żeby koleżeństwo
wynałazło inny jaki obyczaj na objawienie serdec-
zności.

Jago. To walne chłopcy; tylko jeden kubek: ja za ciebie
pić będę.

Kassyio. Wypiłem dziś wieczór tylko jeden kubek, i to dobrze
wodą zobojeźniony, a patrz, jaką tu rewolucję wywo-
łał. Już to takie moje upośledzenie; nie mogę brawo-
wać z memi siłami.

Jago. Ejże! ejże! toć to noc na hulankę przeznaczona; a ci
panowie tak bardzo sobie tego życzą.

Kassyio. Gdzież oni są?

Jago. U bramy wchodowej; gdybyś chciał ich tu zaprosić.

Kassyio. No, mniejsza zresztą, ale niechętnie to czynię.
(Wychodzi Kassyio).

Jago. Jeśli choć jeden kubek wlać weń zdołam

Do tego, co już dziś wieczorem wypił,

Tak się drażliwym stanie i zajadłym,

Jak mały piesek bonoński. Rodrygo,

Któremu miłość przewróciła głowę

Prawie na ręby, wychylił już kilka

Porządnych miarek na cześć Desdemony

I jest na warcie. Uraczyłem przytem

Tęgo przed chwilą trzech cypryjskich chwatów,

Hardych i ciętych i dbałych o honor,

Prawdziwe jądro tutejszej młodzieży;

Ci są na straży także. Owóż tedy

Wśród tej drużyny, dobrze podchmielonej,

Przywiode Kassyia do czegoś takiego,

Co całą wyspę oburzy. Już idą.

Niech jeno plan mój nogi nie wywinie,

Z wiatrem i nurtem łódź moja popłynie.

*(Wchodzi Kassyio, z nim Montano i dwóch innych Cypryj-
czyków).*

Kassyio. Na honor, już mi się w głowie kręci.

Montano. Cóż znowu? od kilku kropel? Nie było nawet
flaszki, jakem żołnierz.

Jago. Hej, wina!

(Śpiewa).

Uderzmy w puhary: buch! buch!

Uderzmy w puhary: buch!

Łyk rzeźwi człowieka,

A życie ucieka,

Więc dalej! niech pije, kto zuch!

— Wina, chłopcy!

(Przynoszą wino).

Kassyo. Na honor, przednia śpiewka.

Jago. Nauczyłem się jej w Anglii, gdzie są zawołane majstry do kufła. Ani Duńczyk, ani Niemiec, ani nawet opasły Holender, — hej, wina! — nie dotrzyma placu Anglikowi.

Kassyo. To więc Anglicy mają takie tęgie głowy?

Jago. Ba! kiedy Duńczyk legnie trupem, Niemiec pod ławę się stoczy z przepicia, a Holender odda to, co wypił, Anglik spokojnie każe sobie nalewać nowy puhar.

Kassyo. Za zdrowie naszego generała!

Montano. Chętnie je przyjmuję, namiestniku, i godnie na nie odpowiem.

Jago. O, kochana Anglio! (*Śpiewa*).

Król Stefan nie był marnotrawca,
Z szaraku nosił szarawary;
Dał za nie tylko dwa talary
I jeszcze zdziercą nazwał krawca.
Pan to na wielkie był rozmiary,
A tyś niebogim jest chudziną;
Zbytkiem narody nawet giną,
Wdziej więc na siebie płaszcz swój stary.

— Hola! jeszcze wina!

Kassyo. To jeszcze przedniejsza śpiewka, niż tamta.

Jago. Chcesz, abym ją powtórzył?

Kassyo. Nie, nie, bo mi się zdaje niegodnym swego miejsca, kto coś takiego czyni. Tak, tak; Opatrzność jest nad wszystkimi: są dusze, co się doczekają zbawienia, i są dusze, co się nie doczekają zbawienia

Jago. Masz słuszność, kochany namiestniku.

Kassyo. Co do mnie, bez obrazy generała i kogobądź wyższej rangi, spodziewam się doczekać zbawienia.

Jago. Tak samo i ja, mój namiestniku.

Kassyo. Za pozwoleniem, tylko nie wprzód ode mnie: namiestnik powinien być wprzód zbawionym, niż chorąży. Ale dość tego; idźmy na służbę. Przebacz nam, Panie, nasze grzechy! Idźmy, panowie. Nie myślicie przecie, żem ja pijany! To mój chorąży, to moja lewa ręka, a to prawa: widzicie, żem nie pijany; mogę jeszcze dobrze stać i mówić dobrze.

Wszyscy. Zupełnie dobrze.

Kassyo. No, to bardzo dobrze; nie trzeba wam przeto myśleć, żem pijany. (*Wychodzi*).

Montano. Idźmy, panowie; czas już na tarasie Wartę rozstawić.

Jago. Mieliliście, panowie, Próbkę naszego namiestnika; jest to Wojownik, godzien przy Cezarze służyć I rozkazywać, ale ma tę wadę, Coście widzieli; ta zaś do istotnej Jego wartości w takim jest stosunku, Jak dzień do nocy w czasie porównania; Długość ich równa. Szkoda go prawdziwie. Boję się, żeby Otella w nim ufność Nie zamieszała spokojności Cypru, Gdy go ta jego słabość w niewłaściwej Porze napadnie.

Montano. Częstoż on tak bywa?

Jago. Codzień przed pójściem spać; zdolny jest czuwać Całe dwie doby, jeżeli go trunek Nie ukołysze.

Montano. Nie byłoby dobrze Uprzedzić o tem generała? Może On o tem nie wie? Może jego dobroc Dostrzega tylko cnót Kassya, a wady Jego przebacza? Azaliż tak nie jest? (*Wchodzi Rodrygo*).

Jago. Rodrygo?!

(*Po cichu do niego*).
Czego chcesz? ruszajże za nim.
(*Wychodzi Rodrygo*).

Montano. Szkoda, doprawdy, że zacny Otello Tak ważne miejsce, bo drugiego siebie, Nałogowemu zwierza pijanicy. Miałby zasługę, toby mu w tej mierze Oczy otworzył.

Jago. Nie zrobię ja tego, Choćby mi cały Cypr dawano za to. Szczerze miłuję Kassya i wołałbym Uleczyć go z tej wady. Ale cicho! Cóż to za hałas?

(*Krzyki za sceną*).

Na pomoc! na pomoc!

(*Rodrygo wbiega, Kassyo ściga go*).

Kassyo. Ha, psie! gałganie!

Montano. Co to, namiestniku?

Kassyo. A łajdak! uczyć mnie mych obowiązków?

Zbiję na leśne jabłko tego szelmę.

Rodrygo. Bić mnie!

Kassyo. Ujadasz jeszcze?

(*Uderza Rodryga*).

Montano. Namiestniku,

Powściągnij swój gniew, proszę.

(*Wstrzymuje go*).

Kassyo. Puść mię waćpan,

Jeżeli nie chcesz sam oberwać guza.

Montano. Wstydz się, pijany jesteś.

Kassyo. Ja, pijany?

(*Biją się*).

Jago. Panowie, dajcie pokój!

(*Do Rodryga na stronie*).

Idź, krzycz: gwałtu!

(*Wychodzi Rodrygo*).

Mój namiestniku! przestańcie, panowie!

Panie Montano! Namiestniku! Hola!

Na pomoc! Także straż odbywać mamy?

(*Dzwon bije na alarm*).

Diavolo! któż to na alarm uderzył!

Całe się miasto poruszy. Dla Boga!

Stój, namiestniku! zhańbisz się na zawsze.

(*Wchodzi Otello z orszakiem*).

Otello. Co się tu dzieje?

Montano. Krew się leje ze mnie.

Zranił mię na śmierć. Musi umrzeć!

Otello. Stójcie,

Jeśli wam życie miłe!

Jago. Namiestniku!

Panie Montano! przestańcie, na Boga!

Zgodneź to z waszym stopniem, obowiązkiem?

Stójcie! generał mówi; dajcież pokój!

Otello. Co się to znaczy? Jak przyszło do tego?

Czyśmy się w Turków przemienili? Mamyż

Czynić to, czego nawet bisurmanom

Ich Bóg zabrania? Przez wstyd chrześcijański

Położcie koniec tej pogańskiej walce.

Kto pierwszy, w nowym przystępie wściekłości,

Drgnie z miejsca, życiem odpowie mi za to.

Niech zaprzestaną tego bicia w dzwony!

Straszny ich rozgłos rzuca próżną trwogę

Na miasto. Co się tu stało, panowie?
Pocziwy Jago, coś aż zbladł z zmartwienia,
Powiedz, kto powód dał do tego? W imię
Twojej przychylności wzywam cię, mów.

Jago. Nie wiem.

Przed chwilą jeszcze, przed pół-cwierć sekundą,

W najlepszej zgodzie z sobą, w zażyłości

Najpoufalszej, jak brat z bratem; nagle

Jak gdyby jaki planeta ich urzekł,

Łap za orężę i dalej po sobie

Grzmotać zaczęli. Nie umiem powiedzieć,

Z czego powstała ta jałowa zwada.

Było mi raczej w jakiej chlubnej sprawie

Stracić tę nogę, co mię tu przywiódła.

Otello. Jakaś mógł tak się zapomnieć, Michale?

Kassyo. Wybacz mi, wodzu, nie mogę rzec słowa.

Otello. Zaczny Montano, znany byłeś z taktu;

Wysoko cenił świat rozwagę twoją

W tak młodym wieku, i twe imię brzmiało

Pochwalnie w ustach najświetlejszych sędziów.

Skądże ci przyszło kazić tak swą przeszłość

I klejnot sławy zamieniać na imię

Burdy nocnego? Odpowiedz mi na to.

Montano. Zaczny Otello, ciężko jestem ranny,

Nie mogę mówić; Jago, twój chorąży,

Powie ci wszystko, co wiem; nie wiem wszakże,

Abym cokolwiek zdrożnego powiedział

Albo uczynił, jeśli zachowanie

Własnego życia nie zwie się występkiem,

I grzechem nie jest bronić się, gdy napaść

Grozi całosci naszej.

Otello. Już krew we mnie

Zaczyna górę brać nad cierpliwością,

I gniew, ćmiąc jasny mój pogląd, nurtuje

Po moich żyłach. Gdy krok zrobię naprzód,

Gdy raz dłoń wzniosę, jeden z was dwóch padnie.

Mówcie więc, jak się wszczął ten bój ohydny?

Kto dał do niego powód? Na kimkolwiek

Cięży stąd wina, tego się wyrzekam,

Choćby był nawet mym bliźnięcym bratem.

Jakto? W samejże twierdzy? gdy lud jeszcze

Trwogą przejęty, skłonny do popłochu,

Wzniecać domowe kłótnie i rozterki,

W noc, w czasie służby, na głównym odwachu?

To niesłychana. — Jagonie, kto zaczął?

Montano. Jeśli przez stronność, z koleżeńskich względów,

Mniej albo więcej powiesz niż jest prawdą:

Nie żołnierz z ciebie.

Jago. Nie łechc mię z tej strony:

Wolałbym raczej mieć ucięty język,
Niż świadczyć przeciw Michałowi Kassyo;
Pewnym atoli, że mu objaw prawdy
Nic nie zaszkodzi. Tak było, mój wodzu:
Jam tu rozmawiał z Montanem, aliści,
Krzyżąc o pomoc, wbiega jakiś człowiek,
A za nim Kassyo z wydobytym mieczem,
Jakby w zamiarze pchnięcia go. Montano,
Chcąc go powstrzymać, postąpił ku niemu,
Ja zaś pobiegłem za tamtym, co krzyczał,
By swoim wrzaskiem (co się jednak stało)
Nie rozsiał trwogi. Ów ptak, chyży w nogach,
Umknął mi śpiesznie, więc wróciłem nazad,
Tembardziej, żem już posłyszał szcęk broni,
A przytem Kassya przeklinającego,
Jak jeszcze nigdy dotąd. Gdym powrócił,
Jak powiedziałem, znalazłem ich zwartych
W zaciętej walce, jaką wiedli właśnie,
Gdyś ich rozdzielił, wodzu. Oto wszystko,
Co w tym przedmiocie mam do powiedzenia.
Ludzie są ludźmi, panie; nie jednemu
Trafi się zbłądzić, i aczkolwiek Kassyo
Skrzywdził poniekąd zacnego Montana
(Jak się to w gniewie zdarza człowiekowi
Względem tych nawet, co mu dobrze życzą),
Jednakże Kassyo musiał, mniemam, doznać
Ciężkiej zniewagi od tego, co uszedł,
Zniewagi, jakiej żaden prawy żołnierz
Nie zdola z flegmą strawić.

Otello. Wiem, Jagonie,
Że twa poczciwość stara się tę sprawę
Pozostawić w świetle mniej rażącym, aby
Kassya oszczędzić. — Kassyo, sprzyjam tobie,
Ale przestajesz być mym namiestnikiem.

(Wchodzi Desdemona ze swym orszakiem).

Otóż i wdzięczny mój anioł się zbudził. —
(Do Kassya). Muszę dać z ciebie przykład.

Desdemona.

Co się stało?

Otello. Wszystko już dobrze, luba, idź się połóż.

Ran twych, Montano, sam będę lekarzem

Hej, służba! niech go do domu prowadzą.

(Wychodzi Montano wsparty na sługach).

Jagonie, obejdz miasto i uspokój

Tych, co się mogli zająciem tem przerazić.

Pójdź Desdemono; takto dla żołnierza

Niema stałego z wythnieniem przymierza.

(Wychodzą wszyscy prócz Kassya i Jagona).

Jago. Jesteś raniony, namiestniku?

Kassyo. Tak, że mi żaden chirurg nie pomoże.

Jago. Niechże Bóg broni, aby tak być miało!

Kassyo. Dobre imię! dobre imię! moje dobre imię! Utra-
ciłem dobre imię; utraciłem nieśmiertelną część mego
jeststwa, a pozostała jest bydłęca. O, Jagonie! już po
mojem dobrem imieniu.

Jago. Na poczciwość, rozumiałem, żeś jaką cielesną ranę
odebrał: nad temby warto było utyskiwać prędzej, niż nad
dobrem imieniem. Dobre imię jest to rzecz nader wie-
trzna i zawodna; rzecz, którą się częstokroć niezasału-
nie nabywa i niewinnie traci. Utraciłeś dobre imię
o tyle chyba, o ile się sam mienisz stratnym w tej
mierze. Kuraż, przyjacielu! Są przecie środki odzyska-
nia względów generała; zły tylko jego humor dał ci
dymisyę; ukarał on cię przez politykę, a nie przez nie-
chęć ku tobie; tak właśnie, jak ktoś, coby nieszkodli-
wego psa smagał, aby groźnego lwa zastraszyć. Za-
kołataj jeno do niego znowu, a pewnie drzwi ci otworzy.

Kassyo. Wolałbym go prosić, żeby mnie całkiem odepchnął,
jak żeby tak dobry dowódca takiego ladaco, takiego
pijanicy, takiego wartogłowa cierpiał dłużej przy sobie
oficerem. Spić się! pleść duby! zżymać się! kłać! juna-
czyć! szermować gębą z własnym cieniem! O, ty nie-
widzialna potęgo wina! jeżeli jeszcze nie wynaleziono
godnej ciebie nazwy, bądź nazwaną — szatanem.

Jago. Co to był za człowiek, którego ścigałeś z mieczem
w rękę? Co on ci zrobił?

Kassyo. Nie wiem.

Jago. Czy to być może?

Kassyo. Przypominam sobie masę rzeczy, ale żadnej do-
kładnie; wiem, że była jakaś kłótnia, ale zabij mnie,
nie wiem o co. Że też ludzie mogą do ust przyjmo-

wać wroga, co ich okrada z rozumu! Uciechy, rozrywki, hulanki na to są tylko, aby nas obracały w bydlęta.

Jago. Wcale przytomnie mówisz teraz; jakżeś mógł tak prędko wytrzeźwieć?

Kassyo. Podobało się biesowi pijaństwa ustąpić z pola biesowi gniewu; jedno lichy przerodziło się w drugie, aby mnie we własnych oczach zmierzyć ze szczętem.

Jago. Ejże, ejże! za surowy z ciebie moralista. Ze względu na czas, miejsce i usposobienie tego kraju z sercabym rad, żeby się to nie było stało; ponieważ jednak stało się i odstać się nie może, trzeba, żebyś to jakoś załatwił dla własnego swego dobra.

Kassyo. Poproszę go, żeby mnie powrócił do posady, to mi powie, żem pijak. Choćbym miał tyle gąb, co hydra, wszystkieby mi zatkał tą odpowiedzią. Dopiero co być człowiekiem rozsądnym i nagle zamienić się w głupca, a nakoniec w bydlę! to okropnie! Przekłęty każdy kubek nad miarę! na dnie jego czart siedzi.

Jago. Ejże, ejże! dobre wino to dobra, niewinna istota, kiedy odpowiednio użyta; przestań mu złorzeczyć. Kochany namiestniku, nie wątpię, że o przychylności mej nie wątpisz?

Kassyo. Przekonany o niej jestem. — Ja pijany!

Jago. Niema człowieka, przyjacielu, któremuby się raz w życiu nie zdarzyło upić. Posłuchaj mojej rady. Żona naszego generała jest teraz generałem; mogę się poniekąd tak wyrazić, bo on się całkiem pograżył i zatopił w rozpatrywaniu, badaniu i studyowaniu jej wdzięków. Wywnętrz się jej otwarciu, natrzyj na nią; ona ci do odzyskania miejsca dopomoże. Ona jest tak łatwego, słodkiego, dobrotliwego charakteru, że za grzech sobie poczytuje nie zrobić więcej nad to, o co jest proszoną. Błagaj jej, aby ten złamany członek pomiędzy tobą a jej mężem w łupki wsadziła, a stawiam mienie moje przeciw wszelkiemu zakładowi, że przyjaźń wasza wyjdzie z tego wyłomu silniejszą, niż była wprzód.

Kassyo. Dobrze radzisz.

Jago. Z rzetelnej przychylności i najlepszego serca; za to ręczę.

Kassyo. Jak najmocniej temu wierzę; zaraz z rana prosić

będę cnotliwej Desdemony, aby się za mną wstawiła. Zwątpię o mym losie, jeżeli mię ten krok zawiedzie.
Jago. Słusznie mówisz. Dobranoc, namiestniku, muszę pójść na patrol.

Kassyo. Dobranoc, pocziwy Jagonie.
(*Wychodzi.*)

Jago. Niechże kto o mnie powie, żem niecnota, Skoro ta moja rada tak jest dobrą, Przeświadczająco trafną, i w istocie Do prześlągania murzyna jedyną. Jak łatwo czułe Desdemony serce Da się do prośby ladajakiej skłonić, Gdy cel jej prawy! Ona jest tak pełną, Jak dobroczynne żywioły; a dla niej Cóż łatwiejszego, jak skłonić murzyna Do czegokolwiek, chociażby do tego, Żeby się wyrzekł chrztu i wszelkich innych Rękami odkupienia? Jego serce Tak jest miłością ku niej okielznane, Że się jej daje najpotulniej wodzić, Jak kapryśnemu bóstwu, które igra Z ludzką słabością. Jestżem więc niecnotą, Gdy prostą drogę Kassyowi wskazuję. Do jego dobra? Piekielna prawości! Gdy czart chce kogo wwieść w grzech najczarniejszy, Przybiera k' temu świętobliwy pozór; Tak i ja teraz czynię: skoro bowiem Ten dobroduszny półgłówek wymoże Na Desdemonie poparcie swej sprawy, I ona wstawi się za nim usilnie Do swego męża, ja w murzyna ucho Wleję zjadliwy ten poszept, że ona Dla dogodzenia swej cielesnej żądy Chce go przywrócić nazad, i im bardziej Starać się będzie dobrze mu uczynić, Tem bardziej straci wiarę u murzyna. Takim sposobem zmienię w kał jej cnotę, I z jej dobroci zgubną sieć uplotę Dla wszystkich trojga.

(*Wchodzi Rodrygo.*)

No, cóż tam, Rodrygo?

Rodrygo. Jestem tu, widzę, na łowach, jak obławniczy pachołek do robienia hałasu, a nie jak pies do schwy-

tania zwierzyny. Wydałem już prawie wszystkie pieniądze, dostałem tej nocy po skórce, i na tem się wszystko skończy podobno, że w nagrodę trudów nabędę doświadczenia, i że bez grosza, z trochę tylko rozumu więcej, powrócę do Wenecyi.

Jago. Jak biedny jest, kto nie ma cierpliwości?

Gojąż się rany zaraz, czy stopniowo?

Wiesz, że działamy sprytem, nie czarami,

A spryt wybierać musi czas stosowny.

Czyż nam źle idzie zresztą? Kassyo zbił cię,

A ty krztą bólu skasowałeś Kassya.

Wiele się rzeczy udaje pod stońcem,

Ten wszakże owoc dojrzewa najpierwej,

Co najpierw kwitnął: nie bądź więc gorączką.

Przebóg! już świta; wśród zabaw i zajęć

Czas leci. Oddal się, idź na kwaterę;

Bądź zdrów, niebawem usłyszysz coś więcej.

Idźże.

(Wychodzi Rodrygo).

Dwie rzeczy są do uczynienia:

Trzeba, ażeby moja pani żona

Za Kassyem rzekła słówko Desdemonie;

Już ja nakłonię ją do tego; sam zaś

Ściągnę murzyna i zniecka wwiode

Tam, gdzie pan Michał Kassyo jego żonę

Rozczulać będzie. To droga do celu.

Nie stępże, zwłoko, ostrz tego fortelu.

(Wychodzi).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Przed zamkiem.

(Wchodzi Kassyo z muzykantami).

Kassyo. Zagrajcie co krótkiego na dzień dobry

Dla generała; zawdzięczę wam trudy.

(Muzykanci grać zaczynają. — Wchodzi Błazen).

Błazen. Za pozwoleniem, panowie; czy te wasze instrumenty były w Neapolu, że tak przez nos mówią?

Pierwszy muzykant. Jaktó, panie?

Błazen. Nie sąż-to pędziwiatry, proszę panów?

Pierwszy muzykant. Co pan przez to rozumie?

Błazen. Tak zwane dęte instrumenty, które wiatr puszczają.

Pierwszy muzykant. Nie inaczej: dęte są.

Błazen. Oto macie za fatygę: generał nie lubi takich instrumentów, co skutkiem wzdęcia wiatr puszczają, i dlatego życzy sobie, żebyście mu tą muzyką nie robili dłużej hałasu.

Pierwszy muzykant. Dobrze, panie; nie będziemy.

Błazen. Jeżeli macie taką muzykę, której słyszeć nie można, to grajcie; w przeciwnym razie wsadźcie dudy w miech i marsz!

Pierwszy muzykant. Nie mamy takiej, panie.

Błazen. A więc w imię Boże! Rozplyńcie się w powietrze! Fora ze dwora!

(Wychodzą muzykanci).

Kassyo *(do odchodzącego błazna).* Hej! hej! Słyszysz, moje serce?

Błazen. Nie słyszę waszego serca, tylko was.

Kassyo. Schowaj, proszę, swoje koncepty. Masz tu złoty pieniądz: jeżeli ta pani, co zostaje przy małżonce generała, jest już na nogach, to jej powiedz, że niejaki Kassyo prosi ją o chwilkę rozmowy i tu na nią czeka. Dobrze?

Błazen. Jesteś na nogach; jeżeli tylko zechce ich użyć ku przyjsciu, to jej powiem, o co idzie.

(Wychodzi).

(Jago wchodzi).

Kassyo. Uczyń to. — W porę przychodzisz, Jagonie.

Jago. Jaktó? nie kładłeś się wcale?

Kassyo. Czyż mogłem?

Dobrze już dniało, gdyśmy się rozeszli.

W tej właśnie chwili pozwoliłem sobie

Posłać po twoją żonę; chcę ją prosić,

Aby mi jako ułatwiła przystęp

Do Desdemony.

Jago. Zaraz ci ją przyślę;

Pomyślę przytem także o sposobie,

Jakby murzyna usunąć na stronę,

Abyście mogli swobodnie pomówić.

(Wychodzi).

Kassyo. Dzięki ci! Jeszczem nie znał Florentczyka
Tak poczciwego i przyjacielskiego.
(*Emilia wchodzi*).

Emilia. Dzień dobry, zacny namiestniku; los wasz
Żywo mnie obszedł; lecz bądźcie spokojni,
Wszystko się jeszcze odmieni na dobre.
Generał mówił o tem z swoją żoną,
I ona z zwykłą sobie serdecznością
Ozędowała za wami; powiedział,
Że, roztroptnymi krępowany względy,
Nie może teraz nic dla was uczynić,
Bo ten Cypryjczyk, coście go zranili,
Wielki ma tutaj wpływ i zachowanie;
Ale zapewnił przytem, że wam sprzyja,
I nie potrzeba wam innej protekcji,
Jak jego dobra chęć, do odzyskania
Namiestnikostwa.

Kassyo. Mimo tego jednak,
Jeżeli się to wam zdaje stosownem
I wykonalnem, nastęrczcie mi, proszę,
Sposobność pomówienia z Desdemoną
Na osobności.

Emilia. Dobrze, pójdźcie jeno:
Wskazę wam miejsce, gdzie będziecie mogli
Z całą swobodą wywnętrzyć się przed nią.
Pójdźcie.

Kassyo. O! jakąż wdzięczność wam winienem.
(*Wychodzą*).

SCENA II.

Tamże, w innem miejscu.

(*Wchodzą: Otello, Jago i kilku obywateli*).

Otello. Jagonie, oddaj ten list sternikowi,
I każ mu senat pozdrowić ode mnie.
Idę na szańce; przyjdź tam.

Jago. Dobrze, wodzu,
Otello. Chcecież panowie, pójść ze mną obejrzeć
Fortyfikacje?

Obywatele. Służym Waszej Cześci.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Tamże, w innem miejscu.

(*Wchodzą: Desdemona, Kassyo i Emilia*).

Desdemona. Bądź pewny, panie Kassyo, że uczynię,
Co będę mogła, aby ci dopomódz.

Emilia. Uczyni to, pani; mój mąż tak się martwi
Tą sprawą, jakby była jego własna.

Desdemona. Dobry to człowiek. — Nie wątp, panie Kassyo,
Że cię postawię na tej, co wprzód byłęś
Stopie z mym mężem.

Kassyo. O, łaskawa pani!
Cokolwiek stanie się z Michałem Kassyo,
Wiernym twym sługą być on nie przestanie.

Desdemona. Wierzę ci, panie Kassyo. Wiem, że jesteś
Szczerze do mego męża przywiązany;
Znasz go oddawna: bądź więc przekonany,
Że usunięcie się jego od ciebie
Nie będzie większe nad zakres wytknięty
Politycznymi względy.

Kassyo. Ależ, pani,
Ta polityka może trwać tak długo,
Może się żywić tak błahym pokarmem,
I tak się wzmagać z okolicznościami,
Że gdy kto inny będzie na mem miejscu,
A ja daleko, generał zapomni
O przywiązaniu mem i o mej służbie.

Desdemona. Nie sądz tak: ręczę ci wobec Emilii,
Miejsce odzyskasz. Bądź o nie spokojny;
Kiedy raz komu co przyrzeknę, zwykłam
Dotrzymać tego co do joty. Mąż mój
Nie będzie odtąd miał chwili spokojnej:
Nie dam mu zasnąć, będę mu nad głową
Klekać i pisać do zniecierpliwienia;
Łóżko mu w szkołę, obiad zmienię w spowiedź,
Słowem, we wszystko, czego się tknie, wmieszam
Interes Kassya. Nabierz więc otuchy,
Bo protektorka twoja umrze raczej,
Niż się wyrzeczę twojej sprawy.

(*Otello i Jago ukazują się w pewnej odległości*).

Emilia.

Pani,

Generał idzie.

Kassyo. Żegnaj cię, o pani.

Desdemona. Dlaczego? Zostań i słuchaj, co powiem.

Kassyo. Nie mogę, pani; nie jestem na teraz

Przygotowany.

Desdemona.

Miejże wolę swoją.

*(Wychodzi Kassyo).*Jago *(przez pół do siebie)*. To mi się nie podoba.

Otello.

Co takiego?

Jago. Nic, panie; gdyby jednak... nie wiem sam co.

Otello. Czy to nie Kassyo odszedł od mej żony?

Jago. Kassyo? Nie, tego nie przypuszczam, panie,

Aby on chronił się jak winowajca,

Widząc, że idziesz.

Otello.

Zdaje mi się jednak,

Że to był nie kto inny.

Desdemona.

Mój małżonku,

Właśnie mówiłam z jednym suplikantem,

Co pod niełaską twoją jęczy.

Otello.

Któż on?

Desdemona. Kassyo, namiestnik twój. Luby Otello,

Mam li moc jaką, zdolną wzruszyć ciebie,

To go ułaskaw; bo jeśli on nie jest

Jednym z tych, co cię rzetelnie miłują,

Co mimo wiedzy, nie z umysłu błędzą,

To na pocziwem nie znam się obliczu.

Przywróć go, proszę.

Otello.

Czy to on stąd odszedł?

Desdemona. On; z taką skruchą i upokorzeniem,

Że część cierpienia swego mnie zostawił,

Bym z nim cierpiała. Przyzwij go, mój drogi.

Otello. Nie teraz, moje serce, innym razem.

Desdemona. Prędkoż?

Otello.

Jak tylko będę mógł najprędzej.

Gdy tego żadasz.

Desdemona.

Dziś więc na wieczerzę?

Otello. Dziś? nie.

Desdemona.

Nie dzisiaj, to jutro na obiad?

Otello. Jutro nie będę w domu na obiedzie;

W fortecy mam się zejść z oficerami.

Desdemona. To jutro w wieczór lub we wtorek z rana,

W południe, w wieczór, lub z rana we środę?

Naznacz czas, tylko niech się nie przeciąga

Dłużej nad trzy dni. On żałuje szczerze.

Postępek jego odłożywszy na bok,

To, że, jak mówią, w czasie wojny trzeba

Najlepszych nawet karać dla przykładu,

Jest ledwie błędem, na prostą naganę

Zasługującym. Kiedyż się ma stawić?

Powiedz, Otello. Pytam siebie w duszy,

Czegobym tobie odmówiła, gdybyś

Mnie o co prosił, i czyliżbym mogła

Stać tak milcząco? Jakto? Michał Kassyo,

Co ci był druhem, gdyś się o mnie starał,

Co tyle razy w twej obronie stawał,

Gdym mniej korzystnie mówiła o tobie.

On potrzebuje tyle korowodów

Do prześlągania ciebie? Wierz mi, wiele,

Wielebym mogła...

Otello.

Proszę cię, dość tego;

Niech przyjdzie kiedy zechce; nie odmawiam

Tobie niczego.

Desdemona.

To nie żadna łaska;

To tak, jak gdybym cię prosiła, abyś

Kładł rękawiczki, ciepło się odziewał,

Albo posiłnych używał pokarmów —

Słowem, ażebyś miał troskliwą pieczę

O sobie samym. Mam li prośbę, która

Wyłącznie stawia miłość twą na próbę,

Trzebaż, ażeby ta była ważoną

Tak skrupulatnie, i aby jej przedmiot

Spotykał takie trudności?

Otello.

Niczego

Ci nie odmawiam; tymczasem zrób dla mnie

To tylko, abym sam został na chwilę.

Desdemona. Miałabym tego odmówić? nie, panie;

Bądź zdrow.

Otello.

Bądź zdrowa, moja Desdemono;

Zaraz do ciebie przyjdę.

Desdemona.

Pójdź, Emilio.

Niech się fantazyi twojej zadość stanie;

Jakąbądź ona, jestem ci posłuszną.

(Wychodzi z Emilią).

Otello. Lube stworzenie! Wieczna kaźń mej duszy,

Jeśli nie kocham cię! Gdybym poprzestał,
Światby się zmienił w chaos.

Jago. Z przeproszeniem,
Łaskawy panie.

Otello. Mów, kochany Jago.

Jago. Czy Kassyo wiedział o twojej miłości,
Gdyś o małżonkę swoją się ubiegał?

Otello. Od pierwszej chwili do ostatniej; na co
To zapytanie?

Jago. Ot tak, przez ciekawość;
Nic złego zresztą.

Otello. Skąd ci ta ciekawość?

Jago. Nie przeszło mi przez głowę, że się znał z nią.

Otello. O tak, i często bywał pośrednikiem
Pomiędzy nami.

Jago. Doprawdy!

Otello. Doprawdy!

To cóż? doprawdy. Co w tem upatrujesz?

Nie jest uczciwy?

Jago. Zapytujesz, panie,

Czy on uczciwy?

Otello. Pytam, czy uczciwy?

Jużci, uczciwy.

Jago. O ile wiem o tem.

Otello. Co ty masz w myśli?

Jago. Ja, w myśli?

Otello. Ja, w myśli!

Przebóg! Czyś ty mem echem? Przebakujesz,

Jakby w twej głowie siedział jaki potwór,

Tak straszny, że go boisz się pokazać.

Ty się domyślasz czegoś. Świeżo wyrzekł:

To mi się nie podoba, kiedy Kassyo

Stąd się oddalał; cóż to ci się wtedy

Nie podobało? A gdym ci powiedział,

Że on miłostek mych był powiernikiem,

Wtedy znacząco krzyknąłeś: *Doprawdy!*

I brwi ściągnąłeś i zmarszczyłeś czoło,

Jakbyś był w mózgu swym zamykał jakiś

Okropny domysł. Jeżeli mnie kochasz,

Powiedz, co myślisz.

Jago. Wiesz, łaskawy panie,

Żem ci przychylny?

Otello. Tak myślę, i przeto

Że znam przychylność i poczciwość twoją,
I wiem, że ważysz to, co masz powiedzieć,
Tembardziej trwożą mnie te urywane
Twoje wykrzyki. Takie demonstracje
Są obyczajem nikczemnych szalbierzy:
U prawych ludzi są one objawem
Wstrzymywanego w piersi oburzenia,
Które się gwałtem wyrwa na zewnątrz.

Jago. Kassyo jest, mniemam, poczciwym człowiekiem.

Otello. I ja tak mniemam.

Jago. Ludzieby powinni
Być w rzeczy samej tem, czem się wydają,
A ci, co nie są, niechby się takimi
Nie wydawali.

Otello. Ani słowa, ludzie

Byćby powinni tem, czem się wydają.

Jago. To też ja Kassya mam za poczciwego.

Otello. Nie, w tem się święci coś więcej. Mów do mnie,
Jakbyś rozmawiał sam z sobą; wypowiedz
Żywcem swe myśli i najgorszej nadaj
Najgorszy wyraz.

Jago. Wybacz mi, mój wodzu:

Winiemem tobie wszelkie posłuszeństwo,
Nie w tem jednakże, w czem niewolnik nawet
Jest panem siebie. Myśli me wyjawić!
Przypuśćmy, że są zdrożne i opaczne;
Jestże gdzie pałac, w któryby się jakiś
Zakał nie zakradł? Gdzież serce tak czyste,
Aby w niem jakieś brudne podejrzenie
Nie odbywało czasem walnych sądów,
Przy drzwiach zamkniętych trutynując pewne
Zawiłe kwestye?

Otello. Dopuszczasz się istnej
Zdrady, Jagonie, względem przyjaciela,
Gdy go uważasz za pokrzywdzonego,
I nie chcesz jego ucha zaznajomić
Z swemi myślami.

Jago. O, błagam cię, panie,
Jeśli przypadkiem domysł mój jest błędny,
(Coby być mogło, wyznaję albowiem,
Że mam z natury nieszczęśliwą manię
Śledzenia bezpraw, i nieufność moja
Tworzy częstokroć winy, których niema),

Błagam cię tedy, panie, by twa mądrość
Do niezręcznego postrzegacza słowa
Najmniejszej wagi nie przywiązywała,
Ni wniosków jakich chciała wyprowadzać,
Niepokojących z jego niedokładnych
I luźnych uwag. Nie byłoby zgodnem
Z twą spokojnością i twem szczęściem, panie,
Ni z uczciwością moją i rozsądkiem,
Gdybym ci moje myśli wypowiedział.

Otello. Co się to wszystko znaczy?

Jago. Dobre imię,
Łaskawy panie, jest najdroższym skarbem
Mężów i niewiast; kto mi kradnie worek,
Kradnie drań marną, coś i nic; rzecz, która
W tysiącnych była rękach wprzód niż w moich;
Ale kto dobre imię mi wydziera,
Grabi mi dobro, z którego sam nie ma
Korzyści, mnie zaś przyprawia o nędzę.

Otello. Na Boga, musisz mi odkryć swe myśli.

Jago. To być nie może, choćby moje serce
Było w twych ręku, panie, i nie będzie,
Póki to serce jest pod moim kluczem.

Otello. Ha!

Jago. Strzeż się, panie, zazdrości! O, strzeż się
Tego potworu zielonookiego,
Co żyje karmią własnego utworu.
Szczęsny, kto wiedząc o tem, że jest zdrazdon,
Może nie kochać tych, co go zdradzili;
Ale jak wielkie ten cierpi katusze,
Co wielbiąc wąpi, mając podejrzenie,
Namiętnie kocha!

Otello. O, nędzo!

Jago. Ubogi,
Rad z swego losu, jest arcybogaty,
Ale sam Krezus jest jak Job ubogim,
Gdy się wciąż lęka, aby nie zubożał.
Chroń, Panie Boże, od zazdrości wszystkich,
Których miłuję!

Otello. Co? Cóż to? Czy myślisz,
Że moje życie zazdrości poświęcę?
Że się jak miesiąc zmieniać będę w ciągłych
Kwadrach podejrzeń? Nie; raz zacząć wąpić,
Jest to odrazu zbyć się wąpliwości.

Miej mnie za capa, jeśli kiedykolwiek
Władze mej duszy zajmę tak wydetą
I wietrzną bańką, jak ta, którą puszczasz.
Niech sobie mówi świat, że moja żona
Jest piękną, dobrze gra, śpiewa i tańczy;
Że jest rozmowną, lubi towarzystwo.
Wcale to we mnie podejrzeń nie wzbudzi,
Bo gdzie jest cnota, tam ją to ozdabia;
Ani ze względu na brak mych powabów
Powezmę choćby cień niedowierzania,
Boć miała oczy, gdy mnie wybierała.
Nie, mój Jagonie, muszę widzieć pierwej,
Nim zacznę wąpić, mieć dowód, gdy zwąpię;
Skoro zaś dowód mieć będę, o, wtedy
Precz i z miłością i z podejrzeniami!

Jago. Szczerze się z tego cieszę; teraz bowiem
Mogę ci, panie, okazać swobodniej
Moją przychylność. Posłuchaj mnie przeto: —
Jeszcze na teraz milczę o dowodach —
Uważaj, panie, na swą żonę; śledź ją
W stosunkach z Kassyem; miej zwrócone oko:
Tak, ni zazdrośnie, ni z ubezpieczeniem.
Nie radbym, aby twe szlachetne serce
Krzywdy doznało z zbytku swej dobroci.
Baczność więc! Znam ją dobrze obyczaje
Naszego kraju: weneckie niewiasty
Jawiają częstokroć niebu takie figle,
Jakichby mężom pokazać nie śmiały;
Sumienie ich nie mówi: nie czyń tego,
Ale: nie wydaj się z tem.

Otello. Czy tak myślisz?

Jago. Żona twa, panie, oszukała ojca,
Idąc za ciebie; a gdy się zdawała
Drzeć na twój widok i truchleć, miłością
Tchnęła ku tobie.

Otello. W rzeczy samej.

Jago. Ergo,

Kiedy tak młodo mogła tak udawać,
I nawet oczy ojca otumanic
Do tego stopnia, że krok jej przypisał
Wpływowi czarów... Ale ja źle czynię;
Błagam cię, panie, najpokorniej, wybacz,
Wybacz mi zbytek mego przywiązania.

Otello. Obowiązany ci na zawsze.

Jago. Widzę,

Że cię to, panie, zmieszało cokolwiek.

Otello. Wcale nie, wcale nie.

Jago. Obym się mylił!

Tuszę przynajmniej, że raczysz położyć

To, com powiedział, na karb mej miłości.

Ale ja widzę, panie, żeś wzruszony.

Na Boga! nie chcesz mowy mej rozciągać

Do grubszych wniosków i do granic dalszych,

Jak przypuszczenie.

Otello. Nie myślę inaczej.

Jago. W przeciwnym bowiem razie mowa moja

Doprowadziłaby do takich następstw,

O jakich mi się nie marzyło. Kassyo

Jest przyjacielem moim. Ależ, panie,

Wyraźnie jesteś wzruszony.

Otello. Nie bardzo.

Sądzę, że jest mi wierną Desdemona.

Jago. Bodaj nią długo była i bogdajbyś

Ty, panie, długo tak sądził!

Otello. A jednak,

O ile może natura się zbłąkać...

Jago. Tak, właśnie o to idzie; jak naprzykład:

Że się poważam zrobić tę uwagę, —

Odmówić ręki licznym wielbicielom

Jednego kraju, plemienia i stopnia;

Wzgardzić związkami takimi, do jakich

Wszystko, jak wiemy, w naturze jest skłonem;

Hm! w temby mógł ktoś upatrzeć chęć zdrożną,

Sprzeczność niegodną, myśl nienaturalną.

Wybacz mi jednak, panie; to, com wyrzekł,

Nie wprost się do niej odnosi, jakkolwiek

Mógłbym się lękać, by z czasem jej chęciom,

Do normalnego zwróconym kierunku,

Nie przyszło stawić twej urody, panie,

Obok urody którego z jej ziomeków,

I pożałować wyboru.

Otello. Dość tego;

Bądź zdrow. Jeżeli dostrzeżesz co więcej,

Więcej mi powiesz. Zaleć swojej żonie

Mieć ją na oku. Opuść mnie, Jagonie.

Jago. Żegnaj cię, wodzu. *(Odchodzi).*

Otello. Pocóżem się żenić?

Zacny ten człowiek niezawodnie widzi

I wie nierównie więcej, niż wyjawia.

Jago *(wracając)*. Łaskawy panie, błagam cię, zaklinam,

Przestań się dłużej nad tem zastanawiać,

Pozostaw resztę czasowi. Jakkolwiek

Dobrzeby było, żeby Kassyo wrócił

Nazad do służby, bo trzeba mu przyznać

Wiele zdolności potemu, z tem wszystkim,

Jeślibyś, panie, uznał za stosowne,

Jeszcze czas jakiś potrzymać go zdala,

Łatwiejbyś jego obrotów mógł dostrzedz.

Uważ, mój wodzu, azali twa żona

Nie będzie czasem w sposób za żarliwy,

Za natarczywy wstawiała się za nim;

Z tego się wiele da wnieść. Racz tymczasem

Pomyśleć sobie, żem był za gorliwy

W powzięciu obaw i w ich wynurzeniu

(Jakoż istotnie boję się, czym nie był),

I ufaj jej, jak wprzód; błagam cię o to!

Otello. Nie bój się, umiem nad sobą panować.

Jago. Jeszcze raz ściele się do nóg twych, panie.

(Wychodzi).

Otello. Jest to niezwyklej poczciwości człowiek

I doświadczony znawca wszelkich sprężyn

Ludzkiej natury. Jeśli się przekonam,

Mój ty sokole, że jesteś dzikowcem,

Choćbyś miał pęta z sercem mem splecione,

Puszczę cię, pošlę w świat na cztery wiatry,

Abyś polował na własny rachunek.

Może dlatego, żem czarny i nie mam

Tego łatwego obejścia, co daję

Powab fircykom, lub żem już zszedł nieco

W dolinę wieku; mniejsza z tem... już po niej.

Zwiedziony jestem i nienawiść ku niej

To cała moja pociecha. Przekleństwo

Małżeńskim związkom! Możemyż się mienić

Panami wietrznych tych istot, nie będąc

Żądź ich panami. Ropuchą być raczej

I żyć miazmami pieczar, niż posiadać

Do spółki z drugim tę, którą się kocha.

Taki to jednak jest los wielkich świata:

Upośledzeni oni pod tym względem

W prerogatywach bardziej, niż maluczcy;
Nieuniknione to jak śmierć: zaledwie
Zadrza w nas życie, już rogata plaga
Zaczyna na nas ciążyć. Ha! to ona.

(Wchodzą: Desdemona i Emilia).

Jeżeli ta jest kobieta fałszywą,
To chyba niebo samo z siebie szydzi.
Nie wierzę temu.

Desdemona. Kochany Otello,
Obiad i goście czekają na ciebie.

Otello. Naganym godzien.

Desdemona. Dlaczego twa mowa
Tak przytłumiona? Czyś nie słaby?

Otello. Trochę:
Mam ból tu w skroniach.

Desdemona. Z niewczasu; to przejdzie.
Ścisnę ci czoło chustką, a w godzinę
Ból ten ustanie.

Otello. Chustka twa za mała;
(Desdemona upuszcza chustkę).

Daj pokój. Idźmy.

Desdemona. Przykro mi, żeś słaby.
(Desdemona i Otello wychodzą).

Emilia *(podnosząc chustkę).* Cieszę się, żeś tę chustkę tu
[znalazła:

Pierwsza to była pamiątka murzyna.
Mój dziwak mało sto razy mi kazał
Wykraść tę chustkę, ale Desdemona
Tak w niej lubuje i mąż tak ją zaklął,
Aby się nigdy z nią nie rozstawała,
Że ją wciąż nosi przy sobie, całuje
I z nią rozmawia; wyhaftuję drugą
Na ten sam deseń i dam Jagonowi.
Na co mu ona może być potrzebną,
Bóg to wie; mniejsza z tem, nie chcę w to wchodzić,
Li tylko jego fantazyi dogodzić.

(Wchodzi Jago).

Jago. Czego się szwendasz? Co tu robisz?

Emilia. Otybś

Nie gderał lepiej! Mam tu coś dla ciebie.

Jago. Ty masz coś dla mnie? to rzecz zbyt powszednia.

Emilia. Także? naprzykład, co?

Jago. Mieć głupią żonę.

Emilia. Nic więcej? Jesteś nadzwyczaj uprzejmym.
Cóż mi dasz za tę chustkę?

Jago. Jaka chustkę?

Emilia. Jaką? tę, z której murzyn Desdemonie
Pierwszy dar zrobił, którąś tyle razy
Wykraść mi kazał.

Jago. Więc ją wykradła?

Emilia. Nie, upuściła ją przez nieuwagę,
A ja, tu będąc, podniosłam ją z ziemi.
Oto jest.

Jago. Daj ją, nieoszacowana
Kobieta z ciebie.

Emilia. Na co ci ta chustka,
Że tak usilnie nalegałeś na mnie,
Bym ją wykradła?

Jago *(wyrzuwając jej chustkę).* Co tobie do tego?

Emilia. Jeżeli nie masz bardzo ważnych przyczyn,
To mi ją oddaj! oszaleje biedna,
Jak jej nie znajdzie.

Jago. Udaż, że nic nie wiesz.
Potrzebna mi jest i kwita; idź z Bogiem.

(Wychodzi Emilia).

W kwaterze Kassya podrzucę tę chustkę;
Tam on ją znajdzie. Fraszki, jak puch błahe,
Są dla zazdrosnych zarówno silnymi
Dokumentami, jak cytaty z pisma.
To może zrządzić jaki taki skutek.
Już murzyn toczy walkę z moim jadem:
Zdradliwy poszept jest istną trucizną,
Co zrazu ledwie w smaku da się poczuć,
Ale niebawem z krwią złączona, pali,
Jak roztopiona siarka.

(Wchodzi Otello).

Miałem słusność.

Ni wyskok z smaku, ni sok mandragory,
Ni żadna siła ziół usypiających,
Już mu nie wróci tego snu błogiego,
Jakim spał wczoraj.

Otello. Ha! ha! mnie niewierna!

Jago. Ejże, zapomnij już o tem, mój wodzu.

Otello. Precz! precz! tyś to mię rzucił na katownię,
O, lepiej tysiąc razy być zdradzonym,
Niż przez pół wiedzieć, że się nim jest.

Jago.

Łaskawy panie.

Jakto?

Otello.

Czyliżem zamarzył

O jakichkolwiek jej pokątnych związkach?
Dostrzegłem tego? Trwożyłem się o to?
Dobrzem spał, dobrzem jadł, byłem swobodny,
Lekki, wesoły; na jej słodkich ustach
Nie znachodziłem Kassya pocałunków.
Gdy okradziony nie uczuwa braku
Rzeczy skradzionej, nie mów mu nic o tem:
A okradzionym tak dobrze jak nie jest.

Jago. Boleśnie mi to słyszeć.

Otello. Niechby ją cały obóz był posiadał,
Nie wyłączając ciur, szczęśliwy byłbym,
Gdybym był tego nie świadom. O, teraz,
Bądź zdrów na zawsze spokoju; bądź zdrowa
Pogodo myśli! Wy w kity piór strojne,
I wy poważne, w pancerz kułe hufce,
Co pychę w cnotę mienicie, o bądźcie,
Bądźcie mi zdrowe! Bądźcie i wy zdrowe,
Rżące rumaki, grzmiące trąby, kotły,
Ducha rzeźwiące, wy rozgłośnie flety,
Świetne proporce, z wszelkimi przybory
I przepychami właściwymi wojnie;
I wy śmiertelne śpiże, których gardła
Nieśmiertelnego władcy na Olimpie
Głos przedrzeźniają, bywajcie mi zdrowe!
Otello skończył swój zawód.

Jago.

O, panie!

Mamże mym uszom wierzyć? Czy podobna?

Otello. Nędzniku, dowiedz mi, że moja żona
Jest wiarołomną; daj mi jaki dowód;
Lub na istnienie wieczne duszy mojej,
Lepiej ci było urodzić się kundlem,
Niż gniew mój budzić.

Jago.

Do tegoż mi przyszło?

Otello. Spraw, bym to ujrzał, lub przynajmniej daj mi
Dowód, bez żadnych haczyków, na których
Mogłaby jakaś wątpliwość zawisnąć;
Inaczej biada ci!

Jago.

Szlachetny panie!

Otello. Jeśli ją czernisz, a mnie próżno dreczysz,
Nie módl się odtąd, wyrzecz się sumienia;

Na okropnościach okropności gromadź;
Czyń takie rzeczy, iżby, patrząc na nie,
Niebo aż płakać musiało, a ziemia
Drętwieć ze grozy; nic gorszego bowiem
Dodaćbyś nie mógł do szczytu ohydy,
Nad ten postępek.

Jago.

Litościwe nieba,

Wejrzyjcie na mnie! Jesteś, panie, mężem?
Gdzież twoja mądrość, gdzie zmysły? Bóg z tobą!
Składam mój urząd. O, nędzny ja głupiec,
Com swą pocziwość wystrychnął na zbrodnię!
Przewrotny świecie! zapisz to, że dzisiaj
Prawym, rzetelnym być jest niebezpiecznie.
Dzięki ci, panie, za naukę! odtąd
Nikt przyjaciela nie znajdzie w Jagonie,
Skoro przychyłość tak na złe wychodzi.

(Chce odejść.)

Otello. Stój! powinienbyś jednak być pocziwym.

Jago. Powinienem był raczej być roztroptym.
Pocziwość głupstwo, kiedy chybia celu,
Którego stara się dosiądz.

Otello.

Na Boga!

Myślę, że moja żona jest niewinną
I że nią nie jest; myślę, żeś ty prawy
I żeś nim nie jest. Dowodu mi trzeba.
Imię jej niegdyś tak jasne, tak czyste,
Jak lice Dyany, tak się stało czarnem
I powleczone sędzą, jak twarz moja.
Są li na świecie noże, stryczki, jady,
Płomienie albo chłonna topiele —
Nie zniosę tego. Gdybym się przekonał!

Jago. Widzę, o panie, żeś namiętność trawi;
Żałuję, że ci to nasunął. Chciałbyś
Się więc przekonać?

Otello.

Chciałbym? nie, chcę tego.

Jago. I możesz; ale jak, łaskawy panie?

Jakże chcesz nabyć przekonania? Chceszli
Jej przენiewierstwa być naocznym świadkiem?
Chceszli ich zejść na dobre?

Otello.

Śmierć i piekło!

Jago. Trudnem to, mniemam, byłoby zadaniem,
Chcieć ich wypatrzeć w takiej konjunkturze.
Przeklnij ich, panie, jeśli kiedykolwiek

Więcej ócz ludzkich, niż ich cztery, będzie
 Przy tem obecnych. Jakże więc? Cóż tedy?
 Skąd przekonania? Niepodobna, panie,
 Abyś to ujrzał, choćby byli krewcy
 Jak małpy albo wilki w czas wesela,
 I rozbestwieni jak pijana gawieź.
 Oświadczam wszakże, iż jeżeli ważne
 Okoliczności, niezbite poszlaki,
 Wiodące prosto do bram prawdy, mogąć
 Dać przekonanie, to je mam w mych ręku.

Otello. Daj mi wyraźny dowód jej niewiary.

Jago. Arcy to dla mnie nieprzyjemna sprawa;
 Skorom jednakże zaszedł tak daleko,
 Powodowany głupią poczciwością
 I przywiązaniem, zająd jeszcze dalej.
 Spędziłem świeżo noc tuż obok Kassya,
 Że zaś cierpiałem ogromny ból zębów,
 Nie mogłem zasnąć. Zdarzają się ludzie
 Duszy tak słabej i niepowściągliwej,
 Że przez sen paplą o swych interesach;
 Tego rodzaju jest Kassyo; slyszalem,
 Jak mówił przez sen: *luba Desdemono!*
Bądźmy ostrożni, kryjmy się z miłością;
 A potem chwycił mię, ścisnął za rękę
 I wołał: *luba istota!* a potem
 Tak zapalczywie zaczął mię całować,
 Jakby mi wyrwać chciał z ust pocałunki
 Aż do korzenia; przytulał się do mnie,
 Pieścił mię, wzdychał, a potem zawołał:
Przeklęty los, co dał cię murzynowi!

Otello. O, to okropnie! to okropnie!

Jago. Wszakże
 To był sen tylko?

Otello. Ale ten sen zdradził
 Poprzednie czyny; z piekiel to wskazówka,
 Choć tylko przez sen.

Jago. I mogąca poprzeć
 Inne dowody, które ladajako
 Rzecz objaśniają.

Otello. Rozszarpie ją.

Jago. Zwolna,
 Łaskawy panie, jeszcze nic nie widzimy;
 Jeszcze być ona może wolną zmy.

Powiedz mi, proszę, tylko, czyś czasami
 Nie widział kiedy w ręku swojej żony
 Chustki w poziomki haftowanej?

Otello. Właśnie

Dałem jej niegdyś taką: był to pierwszy
 Mój podarunek.

Jago. Nie wiedziałem o tem;

Taką jednakże chustką (jestem pewny,
 Że to jej była) widziałem jak sobie
 Pan Michał Kassyo brodę dziś obcierał.

Otello. Gdyby to była ta?

Jago. Czy ta, czy inna,

Byle jej, zawsze to przeciw niej mówię,
 Łącznie z tem, co się wyżej powiedziało.

Otello. Żeby ten nędznik miał nie jedno życie,

Lecz sto ich, tysiąc, jednego za mało
 Dla mojej zemsty! Ha! teraz już widzę,
 Że to jest prawda. Patrz, Jagonie, oto
 Oddaję niebu z tem westchnieniem cały
 Skarb mej miłości; stało się! już po niej!
 Wstań, czarna zemsto, z głębokości piekieł!
 Miłości, ustąp twego tronu w sercu
 Nieubłaganej nienawiści! Pęknij,
 Piersi, nabrzękła od padalczych żądań,
 Co się pokłuły!

Jago. Uspokój się, panie.

Otello. Krwi! krwi! krwi!

Jago. Uzbądź się, panie, w cierpliwość:
 Możesz odmienić jeszcze zdanie.

Otello. Nigdy,

Nigdy, Jagonie! Jak Pontyńskie morze,
 Którego wzdęta, lodem ścięta fala
 Nie zna odpływu wstecz, ale wciąż dąży
 Do Propontydu i do Hellespontu,
 Tak krwawa moja myśl, w niepowstrzymanym
 Naprzód pochodzie, nigdy w tył nie spojrzę,
 Ani się cofnie ku brzegom miłości,
 I nie wprzód spocznie, aż ją przestwór zemsty
 Spelna pochłonie. (*Kłękając*).

Na ten błękit niebios!
 Z całą należną ciężą dla świętych ślubów
 Przysięgam, że tak będzie.

Jago (*klękając także*).

Czekaj, panie.

Zaświadczenie, o, wy wiecznie tam u góry
Tlejące światła! wy żywioty, które
Nas otaczacie! zaświadczenie, że Jago
Całą działalność swojego umysłu,
Swych rąk i serca święci na usługi
Pokrzywdzonego Otella! Jakkolwiek
Może być krwawem to, co on mi każe,
Mym obowiązkiem będzie posłuszeństwo.

Otello. Nie odpowiadam na twoją przychylność
Marną podzięką, ale jej przyjęciem
I wystawieniem niezwłocznem na próbę:
Spraw, bym za trzy dni z ust twych się dowiedział,
Że Kassyo przestał żyć.

Jago. Zmarł mój przyjaciel;
Żądałeś tego, panie, tak się stało;
Lecz niechaj ona żyje!

Otello. Niech przepadnie
Kukła wszeteczna! Pójdź ze mną, pomyślim
O jakim szybkim pośredniku śmierci
Dla tej uroczej dyablicy. Tyś teraz
Mym namiestnikiem.

Jago. Twym sługą na zawsze.
(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Tamże.

(*Wchodzą: Desdemona, Emilia i Blazen*).

Desdemona. Nie wiesz, kochanku, gdzie stoi namiestnik
Kassyo?

Blazen. Na polu bitwy.

Desdemona. Jaktó?

Blazen. On żołnierz, a ktoby o żołnierzu powiedział, że
nie stoi na polu bitwy, tenby swoją skórę naraził.

Desdemona. Pytam się, gdzie on stoi kwaterą.

Blazen. Powiedzieć wam, gdzie on stoi kwaterą, na jednoby
wyszło, co skłamać.

Desdemona. Możesz kto z tego być mądrym?

Blazen. Nie wiem, gdzie on stoi kwaterą; gdybym przeto
powiedział, że stoi nią tu lub owdzie, powiedziałbym
wierutne kłamstwo.

Desdemona. Nie mógłżebyś powziąć o nim języka, wy-
wiedzieć się o niego.

Blazen. Uczynię to katechetycznym sposobem, to jest przez
pytania i odpowiedzi.

Desdemona. Wyszukaj go, proszę, i proś go, aby tu przy-
szedł. Powiedz mu, że o nim mówiła z moim mę-
żem, i mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Blazen. Taka rzecz nie przechodzi granic ludzkiej możno-
ści, gotów przeto jestem przedsięwziąć jej wykonanie.
(*Wychodzi*).

Desdemona. Gdzieżem ja mogła zapodziać tę chustkę?
Nie wiesz?

Emilia. Nie, pani.

Desdemona. Wolałabym była
Zgubić sakiewkę pełną kruzadosów.
Gdyby szlachetny mój mąż mniej miał prawy
Sposób myślenia i mniej był dalekim
Od nikczemności, właściwej zazdrosnym,
Coś podobnego mogłoby w nim jaką
Złą myśl obudzić.

Emilia. To on nie zazdrosny?

Desdemona. On? słońce jego ojczyzny wyszało
Zdaje się z niego wszelkie takie miazma.

Emilia. Oto nadchodzi.

(*Wchodzi Otello*).

Desdemona. Nie dam mu tym razem
Pokoju, póki Kassya nie odwoła.

Jak się masz, mój Otello?

Otello. Dobrze, pani. (*Do siebie*).

O, co za męka udawać! (*Głośno*). A ty że
Jak, Desdemono?

Desdemona. O, dobrze.

Otello. Daj rękę.

Wilgotna ręka u pani.

Desdemona. Bo jeszcze
Wiek jej nie zmroził, ni żadne cierpienie.

Otello. To znaczy płodność, szczodroblivość serca
I ciepła! Ciepła i wilgotna; takiej
Ręce przystoi zaparcie się świata,
Post i modlitwa, chłosta, umartwienie;
Bo wewnątrz siedzi młody, krewki szatan,
Co lubi broić. Łaskawa to ręka
I hojna.

Desdemona. Słusznie mianujesz ją taką,
Ona ci bowiem serce me oddała.

Otello. Wspaniała ręka! w dawnych czasach serce
Dawało rękę, nowsza heraldyka
Umieszcza w herbach rękę, a nie serce.

Desdemona. Nie znam się na tem. Pamiętasz, coś przyrzekł?

Otello. Cóżem to przyrzekł, kochanie?

Desdemona. Posłałam

Po Kassya, aby przyszedł cię przeprosić.

Otello. Nieznośny katar mam; tak mi dokucza!

Pozwól mi chustki.

Desdemona. Oto jest, mój mężu.

Otello. Tej, co ci dałem.

Desdemona. Nie mam jej przy sobie.

Otello. Nie masz jej?

Desdemona. Nie mam, w istocie.

Otello. Nie mam, w istocie. To szkoda.

Chustkę tę dała była mojej matce
Jedna cyganka, wróżka, co umiała
Najskrytsze myśli ludzkie odgadywać,
I powiedziała jej, że moc tej chustki,
Póki ją będzie miała w posiadaniu,
Nada jej urok i przywiąże do niej
Mojego ojca; gdyby zaś, broń Boże!
Miała ją zgubić lub darować komu,
Wrazby się od niej odwróciło serce
Mojego ojca i wzrokby się jego
Zaczął obracać ku innym pięknościom.
Przy zgonie dała mi ją z tem zleceniem,
Abym ją wzajem dał tej, z którą kiedyś
Los mnie połączyć zechce. Tak zrobiłem.
Strzeżże jej, pilnuj, jako oka w głowie;
Zguba jej bowiem lub podarowanie
Komu innemu, mogłoby spowodzić
Najfatalniejsze skutki.

Desdemona. Czy podobna?

Otello. Z całą pewnością: magiczny to wyrób.
Pewna Sybilla, która policzyła
Dwieście obiegów słońca na tym świecie,
W wieszczem natchnieniu utkała tę chustkę;
Jedwab doń snuły czarowne robaki,
A farbowaną była w soku, który

Wtajemniczone ręce z serc dziewiczych
Przysposobiły.

Desdemona. Prawdaż to istotna?

Otello. Najistotniejsza; chowajże ją dobrze.

Desdemona. Obym więc nigdy jej nie była znała!

Otello. Ha! czemu?

Desdemona. Skąd ta zmiana w twoim głosie?

Otello. Zginęłaż? poszłaż do ludzi? przepadałaż?

Mów, pani.

Desdemona. Boże, zmiłuj się nade mną!

Otello. Hę!

Desdemona. Nie zginęła, lecz gdyby zginęła?

Otello. Co?

Desdemona. Nie zginęła, mówię.

Otello. To ją przyniesiesz;

Pokaż ją zaraz.

Desdemona. Mogłabym, lecz nie chcę.

To tylko wybieg, aby mnie zbić z toru

W mej prośbie; proszę cię, przebac Kassyowi.

Otello. Idź po tę chustkę: przeczuwam coś złego.

Desdemona. Daj pokój; nigdy nie znajdziesz człowieka

Równych mu zalet.

Otello. Idź, przyniesiesz tę chustkę.

Desdemona. Człowieka, który całe swoje szczęście,

Przez tyle czasów, pokładał jedynie

W twej życzliwości, który dzielił z tobą

Niebezpieczeństwa.

Otello. Idź, mówię, po chustkę.

Desdemona. Ejże, niedobry jesteś.

Otello. Precz ode mnie

(*Wychodzi.*)

Desdemona. Mężu!

Emilia. Nie jestże zazdrosnym ten człowiek?

Desdemona. Jeszczem w nim tego nigdy nie dostrzegła.

Niechybnie jakieś czary są w tej chustce.

O, nieszczęśliważ ja, żem ją zgubiła!

Emilia. W rok, ni w dwa lata nie poznasz mężczyzny:

Oni żołądki a myśmy ich strawą;

Chciwie nas chłoną, a gdy są już syci,

Radziby nas się pozbyć. Oto Kassyo

I mój mąż.

(*Wchodzi Jago i Kassyo.*)

Jago. Niema, bracie, innej drogi:

Trzeba, ażeby ona to sprawiła.

Patrz, co za szczęście! Przypuście szturm do niej.

Desdemona. Witaj, kochany Kassyo; co tam słyhać?

Kassyo. Pani, przychodzę powtórzyć mą prośbę.

Spraw, bym za wpływem twego przyczynienia

Odżył na nowo i odzyskał względy

Tego, którego z całej mocy duszy

Czczę i miłuję. Zwłoka mi nieznośna.

Jeżeli moja wina tak jest ciężką,

Że ani służba upłyniona, ani

Żal terazniejszy, ani zamierzona

Nadal poprawa, nie mogą mi wrócić

Jego życzliwych chęci, niech przynajmniej

Wolno mi będzie prędzej o tem wiedzieć;

Wtedy przybrawszy przymuszony spokój,

Na innej drodze pójdę sobie szukać

Jałmużny losu.

Desdemona. O, szlachetny Kassyo!

Bezsilny teraz jest mój głos; Otello

Już nie Otello; anibyś go poznał,

Gdyby się jego twarz tak odmieniła

Jak jego humor. Oby mi tak zawsze

Błogosławione pomagały duchy,

Jakem usilnie mówiła za tobą;

Gniew jego nawet nie zdołał mnie wstrzymać

Od nalegania. Bądź jeszcze cierpliwy;

Zrobię, co będę mogła, więcej nawet

Niżbym uczynić śmiała w własnej sprawie.

Poprzestań na tem, zacny przyjacielu.

Jago. To on był w gniewie?

Emilia. Tylko co stąd wyszedł;

W istocie, dziwnie wzburzony.

Jago. On w gniewie?

Byłem obecny, gdy kule armatnie

Szeregi wkoło niego rozrywały,

I gdy z nich jedna tuż przy jego boku

Sprzątnęła jego rodzonego brata.

I on jest w gniewie? to nie bez kozery.

Idę natychmiast do niego: niechybnie

Jest w tem coś, kiedy on jest rozniewany.

(Wychodzi).

Desdemona. Idź, proszę. Pewnie coś dotyczącego
Spraw państwa; bądź to jaka wieść z Wenecyi,

Bądź potajemna jaka złość, uknuta

Tu w Cyprze, której ślad tylko co odkrył,
Pogodny jego zachmurzyła umysł.

W podobnych razach zwykli się mężczyźni

O małe rzeczy obruszać, choć w gruncie

Wielkie ich drażnią. I nie dziw: jeżeli

Palec nas boli, czyliż się ból z niego

Do innych zdrowych nie rozchodzi członków?

Nie powinniśmy mężów mieć za bóstwa,

Ni żądać od nich takiej uprzejmości,

Jaka przystoi kochankom przed ślubem.

Zgrom mię, Emilio; już serce me chciało

Przed sąd wojenny stawić jego szorstkość,

Lecz widzę, że się dało uwieść świadkom

I oskarżyło go niesprawiedliwie.

Emilia. Oby to tylko był interes państwa,

A nie zazdrosne jakie widzimi się,

Wprost dotyczące się pani!

Desdemona. Niestety!

Dałażem kiedy mu do tego powód?

Emilia. Cóż stąd? zazdrośni o to nie pytają;

Nie zawsze oni zazdroszczą dlatego,

Że mają powód taki lub owaki,

Ale zazdroszczą, bo zazdroszczą: zazdrość

Jest to poczwara, co się sama płodzi,

Sama wylęga.

Desdemona. Niechże nieba chronią

Od tej poczwary mego męża!

Emilia. Amen!

Desdemona. Pójdę do niego. Pozostań tu, Kassyo:

Jeśli go znajdę lepiej nastrojonym,

Poprę twą prośbę i wyczerpnę resztę

Mojej wymowy, by osiągnąć skutek.

Kassyo. Dzięki, o, dzięki ci, łaskawa pani!
(Wychodzą: Emilia i Desdemona. — Wchodzi Bianka).

Bianka. Jak się masz, Kassyo?

Kassyo. Skądżeś się tu wzięła?

Jak mi się miewasz, śliczna moja Bianco?

Właściem się, luba, wybierał do ciebie.

Bianka. A jam szła właśnie do twojej kwatery.

Jakto? nie widzieć się ze mną przez tydzień?

Spędzić beze mnie siedem dni i nocy?

Aż osiemdziesiąt godzin, w dubelt wziętych,

I jeszcze osiem? godzin, które zdala
Od przyjaciela osiemdziesiąt razy
Dłużej się włoką, niż na cyferblacie?
O, co za nudny obrachunek!

Kassyo. Przebacz,
Przebacz mi, Bianco; ciężkie mię kłopoty
Gniotły w tych czasach; ale ja umorzę
Ten twój rachunek w sposobniejszej porze.
Kochana Bianco,

(*Podając jej chustkę Desdemony.*)
wyhaftuj mi chustkę,

Na wzór tej.

Bianka. Skądżeś przyszedł do tej chustki?
Dar to od jakiejś nowej przyjaciółki.
Dotkliwie czułam twoją nieobecność,
Ale dotkliwiej czuję jej przyczynę.
Takiś to? dobrze, dobrze.

Kassyo. Dajże pokój!
Rzuć te domysły w oczy szatanowi,
Co ci je poddał. Myśliszże na seryo,
Że mam tę chustkę od jakiejś kochanki?
Nie, wierz mi, Bianco.

Bianka. Czyjaż więc jest, powiedz!

Kassyo. Nie wiem; znalazłem ją w moim pokoju.
Podoba mi się haft na niej i, zanim
Zgłoszą się po nią, co się pewno stanie,
Chciałbym mieć deseń ten przekopiovany.
Weźże ją, zrób to i odejdz stąd teraz.

Bianka. Odejść? dlaczego?

Kassyo. Czekam tu na wodza;
Ziąby to miało minę i nie radbym,
Żeby mię zdybał w towarzystwie z tobą.

Bianka. A to dlaczego, proszę?

Kassyo. Nie dlatego,
Żeby cię nie miał kochać.

Bianka. Lecz dlatego,
Że mię nie kochasz. Odprowadź mię trochę,
I powiedz, czy się prędko dziś zobaczymy?

Kassyo. Nie mogęć dalej odprowadzić, serce,
Jak kilka kroków, bo muszę tu czekać;
Ale zobaczymy się wkrótce.

Bianka. No, zgoda;
Pamiętaj, że mi pozostajesz dłużny. (*Wychdozą.*)

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Tamże.

(*Wchodzą: Otello i Jago.*)

Jago. Sądziśzli panie, że to można?

Otello. Można?
Co można?

Jago. Możnaż ścisnąć się pokątnie?

Otello. Zakazane są takie uściśnienia.

Jago. Lub być w objęciach gacha rozpustnika
Przez parę godzin i więcej, i myśleć,
Że to nic złego?

Otello. Być w objęciach gacha
I myśleć, że to nic złego? Jagonie,
Toby prawdziwą było hipokryzją
Dla zamydlenia oczu szatanowi.
Ktoby uczciwym być chciał i tak czynił,
Tenby ulegał pokusom szatana
I samby kuśił sprawiedliwość niebios.

Jago. Jeśliby jednak nie czynił nic więcej,
Takiby usterk był do przebaczenia.

Z tem wszystkiem, gdybym mej żonie dał chustkę...

Otello. To cóż?

Jago. To chustka ta byłaby, panie,
Prawną własnością mej żony, i ona
Miałaby, jako właścicielka, prawo
Podarowania jej, komuby chciała.

Otello. Onać jest panią i swego honoru;
Mogłażby i ten podarować?

Jago. Honor
Jest to istota, której się nie widzi.

I bardzo często bywa tych udziałem,
Co jej nie mają; ale chustka, chustka...

Otello. Na Boga! radbym był o tem zapomnieć.

Mówiłeś — o, ta myśl krąży w mej duszy,
Jak kruk nad domem dotkniętym zarazą,
W złowieszczy sposób dla wszystkich — mówiłeś,
Że on tę chustkę posiada.

Jago. Cóż z tego?
 Otello. Zaprawdę nie jest to wcale pomyślnem.

Jago. A gdybym też był mówił, że widziałem,
 Jak on cię krzywdził, panie? że słyszałem —
 Są bowiem takie niecnoty na świecie,
 Co, zniewoliwszy sobie lub posiadłszy
 Jaką kobietę skutkiem swych zabiegów,
 Lub jej łatwości do zbałamucenia,
 Życby nie mogli, gdyby tego zaraz
 Nie wypapłali...

Otello. To więc on co mówił?
 Jago. Mówiłci, panie; nic takiego jednak,
 Czegoby nie mógł się wyprzeć.

Otello. Cóż mówił?

Jago. Że z nią... ej, nie wiem co...

Otello. Co? co? mów zaraz.

Jago. Był jak mąż z żoną.

Otello. On? z nią! jak mąż z żoną! — Ta chustka, — te
 wyznania, — ta chustka. — Kto czyni wyznania, z tym
 na szubienicę! — Nie, wprzód z nim na szubienicę,
 a potem niech wyznaje! — Dreszcz mię przechodzi.
 Takie wrzenie w mózgu byłoby przeciw naturze, gdyby
 nie było wskazówką. Nie słowa to tak mię wstrzą-
 sają. — Fuj! fuj! — Czy być może? — Przyznaj się! —
 Gdzie chustka? O, szatanie!

(Wpada w odrętwienie).

Jago. Działaj, trucizno moja, działaj! Tak to
 Łowi się w matnię łatwowiernych głupców;
 Niejedna zacna, uczciwa kobieta
 Takim sposobem osławioną była
 Jak najniewinniej. — Ejże, ejże, panie!
 Otello! wodzu mój!

(Wchodzi Kassyo).

Czego chcesz, Kassyo?

Kassyo. Co się tu stało?

Jago. Wpadł w wielką chorobę;
 Jużto od wczoraj drugi taki atak.

Kassyo. Trzeba mu potrzeć skronie.

Jago. Nie, daj pokój.

Niemoc ta musi przejść swój bieg spokojnie,
 Inaczej, pianą ustaby mu zaszyły,
 Szalećby zaczął. Patrz, już się porusza;
 Oddał się, oddał na chwilę; niebawem

Odzyska zmysły. Jak go tu nie będzie,
 Chciałbym pomówić z tobą o czemś ważnem. —
(Kassyo wychodzi).

Jakże ci, panie? nie zraniliżes głowy?

Otello. Drwisz ze mnie?

Jago. Jażbym miał z ciebie drwić, panie?

Nie, Bóg mi świadkiem! Radbym, abyś przyjął
 To dopuszczenie jak mąż.

Otello. Mąż z rogami!

To istny potwór, bydlę, nic innego.

Jago. Jest więc niemało bydła w ludnych miastach,
 I znakomych potworów niemało.

Otello. Więc on to wyznał?

Jago. Bądź mężem, mój wodzu.

Pomyśl, że każdy, co ma włos na brodzie,
 W małżeńskim jarzmie może los twój dzielić.
 Miliony takich się znajdują, co, leżąc
 W zbrukanem łożu, gotowi są przysiądź,
 Że ono czyste; z tobą tak źle nie jest.
 O, niema większej dla piekła uciechy,
 Jak gdy kto pieści chytrą rozkosznicę
 I dobrodusznie ma ją za cnotliwą.
 Nie, tu potrzeba przeświadczenia; wiedząc,
 Czem kto jest dla mnie, będę wiedział także,
 Czem dlań być wzajem.

Otello. O, słusznie, to pewna.

Jago. Zejdź, panie, trochę na stronę i uwięź
 Swoje uczucia w szrankach cierpliwości.
 Gdy cię przed chwilą przygniotło cierpienie
 (W sposób niegodny takiego człowieka),
 Nadszedł tu Kassyo; zbyłem go, jak mogłem,
 I ubarwiwszy przed nim ów paroksyzm,
 Prosiłem; aby się później tu stawił,
 Dla pomówienia ze mną, co i przyrzekł;
 Skryjże się, panie, gdziekolwiek opodal,
 I zapisz sobie każdy pogardliwy,
 Przedrwiwający i szydęczy wyraz,
 Jaki na jego twarzy się ukaże;
 Bo on mi musi jeszcze raz wygadać,
 Gdzie, jak, jak często, jak długo i kiedy
 Miał z twoją żoną schadzki i mieć będzie;
 Uważaj, panie, na grę jego twarzy,
 Powtarzam. Tylkoż uzbrój się w cierpliwość,

Bo powiem, że masz żółć jedynie w sobie,
A męstwa ani krzty.

Otello. Słuchaj, Jagonie,
Będę cierpliwym, ale ta cierpliwość
Krwawo się skoficzy; słyszysz?

Jago. Mniejsza o to,
Byleby w porę. Usuńcie się, panie.
(*Otello odchodzi na stronę.*)

O Biankę go się wypytywać będę,
O tę wytartą nimfę, co, frymarząc
Swemi pieśczoćty, kupuje chleb sobie
I odzież; ona szaleje za Kassym,
Lecz kosa trafia tym razem na kamień,
Jak się to zwykle zdarza takim dziewczkom:
Ilekróć Kassyo słyszy o niej wzmiankę,
Tylekróć parska śmiechem. — Otóż idzie.

(*Wchodzi Kassyo.*)

Im bardziej on się śmiać będzie, tem bardziej
Wściekać się będzie Otello; zajadła
Zazdrość murzyna wyłómaczy sobie
Uśmiechy, gesty i jowialne żarty
Biednego Kassya zupełnie na opak. —
Jak się masz, namiestniku?

Kassyo. Temci gorzej,
Gdy mi nadajesz ten tytuł, którego
Brak mię zabija!

Jago. Zakołataj jeno
Do Desdemony, a nie doznasz braku.
(*Ciszej.*)

Odyby to tylko było w mocy Bianki,
Jakżebyś prędko cel życzeń otrzymał!

Kassyo. Biedna istotka!

Otello (*do siebie*). O, jak się już śmieje!

Jago. Dalipan, jeszcze nie widział kobiety,
Tak zakochanej jak ona.

Kassyo. Biedactwo!

W istocie, zdaje się do mnie mieć słabość!

Otello (*do siebie*). Nie przeczy i jak drwiąco to przyznaje.

Jago. Słuchaj-no, Kassyo.

Otello (*do siebie*). Teraz go wyciąga

Na dobitniejsze słowo. Nuże! dalej!

Jago. Ona się daje z tem słyszeć, że myślisz

Wziąć ją za żonę: szczerze masz ten zamiar?

Kassyo. Cha! cha! cha!

Otello (*do siebie*). Tryumfujesz, Rzymianinie?

Kassyo. Ja wziąć za żonę fryjerkę? Proszę cię, miejże li-
tość nad moim rozsądkiem; nie sądź go tak niezdro-
wym. Cha! cha! cha!

Otello (*do siebie*). Tak, tak, tak: śmieje się, kto wygrywa.

Jago. Doprawdy, wieści chodzą, że się z nią ożenisz.

Kassyo. Powiedz prawdę.

Jago. Szelma jestem, jeżeli nie.

Otello (*do siebie*). Więceście się mnie już pozbyli? Dobrze.

Kassyo. To własny wymysł tej błaznicy; wbiła sobie
w głowę, że się z nią ożenię, przeto, że sobie tego
życzy, nie że ja jej to przyrzekłem.

Otello (*do siebie*). Jago daje mi znak, teraz się zacznę
wywnętrzać.

Kassyo. Tylko co tu była, ściga mnie, gdzie się ruszę.
Niedawno stałem na wybrzeżu, rozmawiając z kilku
Wenecyanami, aż oto nadbiega ta lala, i bez ceremo-
nii rzuca mi się na szyję, ot tak...

Otello (*do siebie*). I woła: O, mój Kassyo! lub coś podo-
bnego; z jego gestów można się tego domyślić.

Kassyo. I wieśza się na mnie i cmoka mnie i kwili, i sku-
bie mnie i ciągnie. Cha! cha! cha!

Otello (*do siebie*). Teraz powie, jak go wciągnęła do mego
pokoju. O, nędznik! widzę nos jego, ale nie widzę psa,
któremu go rzucę.

Kassyo. Na poczciwość! muszę z nią zerwać stosunki.

Jago. Tam do licha! patrz, kto to idzie.

(*Wchodzi Bianka.*)

Kassyo. Biadaż mi z tym koczkodanem! — Co się to zna-
czy, że się tak włóczysz za mną?

Bianka. Niech się czort włóczy za tobą! Co znaczy ta
chustka, co mi ją dałeś przed chwilą? Byłam tak głu-
pią, że ją wzięła. Mam z niej haft zdejmować? Tak
misterny wyrób znalazłeś w swojej kwaterze i niby nie
wiesz, kto go tam zostawił. To prezent od jakiejś mar-
muzeli i ja mam z niej haft zdejmować! Daj ją jakiej
hetce pętelce a nie mnie; od kogokolwiek ją masz, nie
myślę zdejmować z niej haftu.

Kassyo. No, no, kochana Bianco! zgoda, zgoda!

Otello (*do siebie*). Nieba, byłaby to owa chustka ode
mnie?

Blanka. Jeżeli chcesz dziś przyjść na kolację, to dobrze; a nie, to przyjdź, kiedy ci przypadnie ochota.

(Wychodzi).

Jago. Nuże za nią! nuże za nią!

Kassyo. Na honor! muszę pójść; inaczej zbeształaby mnie na ulicy.

Jago. Będzieszże u niej na kolacyi?

Kassyo. Zapewne.

Jago. No, to może się tam zobaczym, bo w istocie potrzebuję z tobą pomówić.

Kassyo. Przyjdź, przyjdź; przyjdieszże pewno?

Jago. Przyjdę, przyjdę.

(Wychodzi Kassyo).

Otello. Jak go mam zamordować, Jagonie?

Jago. Czy uważałeś, panie, jak się naśmiewał z własnej zbrodni?

Otello. O, Jagonie!

Jago. I widziałeś ową chustkę?

Otello. Mojaż to była?

Jago. Twoja, panie, jak żyw tu stoję. Miałeś dowód, jak on cenę tę szaloną kobietę — mówię o twojej żonie — ona mu ją dała, a on ją daje swojej utrzymance.

Otello. O, gdybym go mógł przez dziesięć lat mordować! — Piękna kobieta! śliczna kobieta! luba kobieta!

Jago. Trzeba o tem teraz zapomnieć.

Otello. Niech zgnije, niech zmarnieje i do piekła pójdzie tej nocy! bo że musi umrzeć, to pewna. — Serce moje obróciło się w kamień, kaleczy mi rękę, gdy w nie uderzę. — O, świat nie ma śliczniejszej istoty! mogłaby leżeć w łóżnicy cesarza i mieć go niewolnikiem swych skinięć.

Jago. Nie w porę te rozpamiętywania.

Otello. Niech przepadnie! powiadam tylko, jaką jest. — Tak zgrabna z igłą w ręku! tak czarodziejsko muzykalna! ach! onaby swoim śpiewem zakłęta dzikość niedźwiedzia. Tak pełna wytwornego dowcipu! tak rozumna!

Jago. Tem ci godniejsza potępienia.

Otello. O, po tysiąc, po tysiąc razy! A przytem tak słodka, tak uprzejma w obcowaniu!

Jago. W istocie, za uprzejma.

Otello. To pewna. — Co za szkoda jednak! O, Jagonie! Co za szkoda!

Jago. Jeżeli się, panie, nad jej niecnotą rozczulasz, to daj

jej patent do grzeszenia; bo jeżeli to ciebie nie obchodzi, nikt pewnie inny nie weźmie tego do serca.

Otello. Rozsiekam ją na drobne kawałki. Mnie zdradzić tak haniebnie!

Jago. To szkaradnie z jej strony.

Otello. Z moim podkomendnym!

Jago. To jeszcze szkaradniej.

Otello. Postaraj mi się, Jagonie, o truciznę na tę noc. Nie będę się z nią wdawał w rozprawy, aby mnie jej postać i piękność nie rozbroiła. Na tę noc, Jagonie.

Jago. Daj, panie, pokój truciznie; uduś ją w łóżku, w tem samym łóżku, które zbecześciła.

Otello. Dobrze, sprawiedliwość tego kroku podoba mi się; tak uczynię.

Jago. A co do Kassya, tego ja biorę na siebie: o północy dowiesz się, panie, czegoś więcej.

(Słychać trąbienie).

Otello. Wybornie. — Co ma znaczyć to trąbienie?

Jago. Pewnie nadeszła jaka wieść z Wenecyi. —

To Lodowiko, w poselstwie od Doży, zbliża się, a z nim twoja żona, panie.

(Wchodzą z orszakiem: Lodowiko i Desdemona).

Lodowiko. Witaj, cny generale!

Otello. Witaj, panie.

Lodowiko. Doża i senat pozdrawiają ciebie.

(Oddaje mu list).

Otello. Całuję tego tłómacza ich woli.

(Otwiera list i czyta).

Desdemona. Cóż nam nowego przynosisz, kuzynie?

Jago. Signore, pozwól mi wyrazić radość z ujrzenia ciebie.

Lodowiko. Dziękuję waćpanu.

Jakże się miewa Kassyo?

Jago. Żyje, panie.

Desdemona. Smutne pomiędzy nim a moim mężem

Zaszło w tych czasach rozdwojenie, ale

Ty ich pojednasz.

Otello. Czy tak?

Desdemona. Co, mój mężu?

Otello *(czytając).* Nie zwlekaj tego uczynić, jak tylko...

Lodowiko. On nie do pani mówił, on jest cały

Listem zajęty. To więc twój małżonek

Jest poróżniony z Kassyem?

Desdemona. Na nieszczęście;
 Dałabym, nie wiem co, żeby znów byli
 Na dawnej stopie, bo sprzyjam Kassyowi.
 Otello. Ognia i siarki!
 Desdemona. Mężu!
 Otello. Masz-li zmysły?
 Desdemona. Oniewasz się?
 Lodowiko. Pewnie go ten list tak wzburzył;
 Bo go podobno senat odwołał
 I zarząd wyspy powierza Kassyowi.
 Desdemona. Doprawdy, cieszę się z tego.
 Otello. W istocie?
 Desdemona. Co, panie?
 Otello. Cieszę się, żeś oszalała.
 Desdemona. Jakto? kochany mężu?...
 Otello. Precz, dyablico!
(Uderza ją).
 Desdemona. Nie zastrzyżłam na to.
 Lodowiko. Generale,
 Temu w Wenecyi wiaryby nie dano,
 Chociażbym przysiągł, że na to patrzałem.
 Taki postępek jest twardy nad miarę,
 Przepróż ją, płacze.
 Otello. O, dyablico! gdyby
 Ziemię zapłodnić mogły łzy niewieście,
 Z każdej ich kropli powstałby krokodyl.
 Precz z moich oczu!
 Desdemona. Nie chcę cię już drażnić.
(Odchodzi).
 Lodowiko. Co za uległość i pokora! — Każ jej
 Powrócić nazad, panie generale.
 Otello. Wróć się!
 Desdemona. Co każeś?
 Otello. Czego pan chcesz od niej?
 Lodowiko. Ja?
 Otello. Chciałeś przecie, aby przyszła nazad.
 O, ona umie się, jak chcesz, obracać;
 Iść wstecz, a przecie naprzód, i znów wstecznie;
 I płakać umie, panie, umie płakać;
 I jest uległą, jak mówisz — uległą,
 Bardzo uległą nawet. — Płaczcie jeszcze. —
 O, co do tego, jest to, panie, czułość
 Arcysubtelna. — Mam więc Cyr opuścić.

Odejdź stąd, przyślę niedługo po ciebie. —
 Panie, posłuszny jestem rozkazowi,
 I do Wenecyi wracam. — Precz mi zaraz!
(Wychodzi Desdemona).
 Kassyo obejmie mój urząd. Bądź łaskaw
 Przyjąć dziś u mnie wieczerzę, signore:
 Szanowny z pana gość. — Kozy i małpy!
(Wychodzi).
 Lodowiko. Toż to szlachetny ów murzyn, którego
 Cały nasz senat ma za doskonałość?
 Toż to ów umysł szlachetny, którego
 Nigdy namiętność zachwiać nie zdołała?
 Którego cnoty stałej i hartownej
 Żaden traf, żadna przeciwność nie mogła
 Zgiąć ni wykrzywić?
 Jago. Bardzo się odmienił.
 Lodowiko. Powiedz mi, jestli on zdrów na umyśle?
 Jago. Jest, panie, tem, czem jest; sąd mój tu milczy,
 Dałby Bóg, aby był tem, czemby mógł być,
 Jeśli tem, czemby mógł być, nie jest teraz.
 Lodowiko. Żeby aż żonę uderzyć!
 Jago. Zaprawdę
 Nie był to wcale uprzejmy postępek;
 Radbym jednakże, aby się skończyło
 Li na tem.
 Lodowiko. Czy to taki jego zwyczaj?
 Czy też może ten list na krew jego
 Wywarł wpływ taki i do tej zdroźności
 Dziś po raz pierwszy go przywiódł?
 Jago. Niestety!
 Ladaco byłbym, gdybym mówił o tem,
 Com widział, albo czegom się dowiedział.
 Miej go na oku, signore, a własne
 Jego czynności zastąpią świadectwo
 Mego języka. Miej tylko nań oko
 Zwrócone, panie, gdy będziecie razem.
 Lodowiko. Przykro mi, że się na nim tak zawiodłem.
(Wychodzi).

SCENA II.

Pokój w zamku.

(Wchodzą: Otello i Emilia).

Otello. Więc nie dostrzegłaś niczego?

Emilia. Nie, panie,
Anim słyszała, anim pomyślała
Coś podobnego.Otello. Widywałaś jednak
Kassya z nią razem.Emilia. Ale nie widziałam
Nic nagannego wtedy i słyszałam
Każdą sylabę przez nich wymówioną.

Otello. Nigdyż do siebie nie szepotali?

Emilia. Nigdy.

Otello. I nigdy cię nie wysyłali?

Emilia. Nigdy.

Otello. Po wachlarz albo rękawiczki, po nic?

Emilia. Po nic a po nic, panie.

Otello. To rzecz dziwna.

Emilia. Gotowam stawić duszę moją w zakład

Za jej niewinność; jeżeli inaczej
Myślisz, o panie, oddał tę myśl; ona
Próżno zakłóca twój spokój. Jeżeli
Jaki niecnota ci to poddał, niechaj
Niebo go za to zetrze jako węża!
Jeżeli bowiem ta kobieta nie jest
Cnotliwą, czystą i wierną, to niema,
Niema na świecie szczęśliwego męża,
I najzacniejsza żona tak jest niecną,
Jak potwarz.

Otello. Powiedz jej, żeby tu przyszła.
Idź.*(Wychodzi Emilia).*

Tamta nie jest kuta w takim stopniu:
Nie umie tyle gadać. To rufianka
Arcyprzebiegła, istny klucz i rygiel
Do zamykania wszetecznych tajemnic.
A przecież klęka, modli się, bywałam
Sam nieraz świadkiem tych pobożnych praktyk.
(Desdemona i Emilia wchodzą).

Desdemona. Co mi rozkażesz, panie?

Otello. Pójdź tu, rybko.

Desdemona. Czego ode mnie żądasz?

Otello. Pokaż oczy;

Patrz mi w twarz.

Desdemona. Cóż to za straszna przemowa?

Otello *(do Emilii)*. A aśka dalej do swych obowiązków!

Zamknij drzwi, zostaw czułą parę samą;
Kaszlaj i chrząkaj, jak się kto przybliży.
Nuże, pełń swoje rzemiosło, no, śpiesz się.

(Wychodzi Emilia).

Desdemona. Błagam cię, panie, na kolanach, powiedz,

Co znaczy twoja mowa, nie pojmuje
Twych słów, pojmuje tylko jakąś wścikiłość
W tych słowach.

Otello. Powiedz mi, coś ty za jedna?

Desdemona. Twa żona, panie; wierna twoja żona.

Otello. Poprzysiąż na to, potęp sama siebie;

Inaczej, widząc twą anielską postać,
Pochwyć cię baliby się dyabli:
Bądź więc po dwakroć potępioną, przysiąż,
Żeś jest uczciwą.

Desdemona. Niebu to wiadomo.

Otello. Niebo wie, żeś jest zradziecką jak szatan.

Desdemona. Kogoż ja zdradzam, panie? w czym? dla kogo?

Otello. O, Desdemono! precz! precz!

Desdemona. O, mój Boże!

Ty płaczesz? jestem ja tych łez przyczyną?
Jeśli przypadkiem sądzisz, że mój ojciec
Jest sprawcą twego odwołania, nie kładź
Tej winy na mnie: jeżeliś ty stracił
W nim przyjaciela, ja straciłam także.

Otello. Niechby mnie niebo jakbądź doświadczało
Utrapieniami, niechby na mą głowę
Złało nawałem krzywdy i cierpienia,
Niechby mnie całkiem pogrzyżyło w nędy,
W loch mnie rzuciło i pogrzebło wszelkie
Moje nadzieje, jeszczebym gdzieś w duszy
Znalazł ciepłiwość do zniesienia tego;
Lecz czynić ze mnie cel naigrawania,
Na który wzgarda świata bezustannie
Sztynymby swoim palcem wskazywała —
I tobym jednak zniósł, znieść miałbym się;

Ale tam, kędy serce me przyrosło,
 Kędy żyć muszę, albo nie żyć wcale,
 Tam być wygnańcem; od źródła, z którego
 Wypływa strumień mojego istnienia,
 A bez którego wysechłoby koniecznie,
 Od tego źródła zostać odepchniętym,
 Albo go widzieć obróconym w bagno,
 W którym osiada skrzek — o! cierpliwości,
 Młody, różanousty cherubinie,
 Zmień twą naturę wobec takiej doli,
 I przybierz postać tak groźną jak piekło!

Desdemona. Tuszę przynajmniej, że mnie mój małżonek
 Ma za uczciwą.

Otello. O, za tak uczciwą,
 Jak owe muchy w jatkach w czasie lata,
 Co się gżą wraz po łęgu. O, ty chwaście,
 Tak wdzięcznie piękny, tak słodko pachnący,
 Że aż odurzasz; bogdajbyś był nigdy
 Na świat nie przyszedł!

Desdemona. Nieszczęsnaż ja! Jakiż
 Grzech popełniłam, o którym nic nie wiem?

Otello. Na toż ta piękna książka dzień ujrzała,
 Aby jej czyste karty bezwstyd kalał? —
 Com popełniła?! O, gminna sprośnico!
 W hutnicze piece zmieniłbym me lica,
 I srom mój w popiół obrócićbym musiał,
 Gdybym o twoich czynach wspomniał tylko.
 Com popełniła? Niebu ckliwo, księżyc,
 Na widok tego, chmurą się zasłania,
 A wiatr lubieżny, co zwykł w swym przelocie
 Wszystko całować, chowa się w głąb' ziemi,
 Na wzmiankę o tem. Cóżem popełniła?!
 O, ty bezczelna wszetecznicu!

Desdemona. Przebóg!
 Krzywdzisz mnie, panie.

Otello. Nie jesteś wszeteczna?
Desdemona. Nie jestem, panie, jakim chrześcijanka!

Jeśli zachować tę ziemską powłokę,
 Którą wyłącznie tobie poślubiłam,
 Wolną od zmyły obcego dotknięcia
 I być wszeteczna, nie jest temże samem,
 Tom nie jest taką.

Otello. Ty wolna od zmyły?

Desdemona. Jak być zbawioną pragnę?!
Otello. Czy podobna?

Desdemona. O, Boże, zmiłuj się!
Otello. Przebac mi zatem:

Wziąłem cię za wenecką nierządnicę,
 Co zaślubiła Otella. (*Wchodzi Emilia*).

Ty, nimfo,
 Co wręcz przeciwny świętemu Piotrowi
 Urząd sprawujesz, bo strzeżesz bram piekła.
 Ty, ty — jużesmy interes skończyli.
 Masz tu za swoje trudy; zasuń rygiel
 I trzymaj szczelnie język za zębami.
 (*Wychodzi*).

Emilia. Dla Boga! co mu przychodzi do głowy?
 O, pani, co ci to? takeś zmieniona?

Desdemona. Jestem jak we śnie.

Emilia. O, kochana pani!
 Co się naszemu panu stało?

Desdemona. Komu?

Emilia. Naszemu panu, małżonkowi twemu,
 Łaskawa pani.

Desdemona. Ja nie mam małżonka.
 Nie mów nic do mnie, Emilio, nie pytaj,
 Nie mogę płakać: odpowiedzią moją
 Byłyby tylko łzy. Okryj mi łóżko
 Na tę noc ślubną kołdrą, nie zapomnij;
 I męża swego tu przywołaj.

Emilia. Dobrze,
 Natychmiast, pani. Jak się tu zmieniło! (*Wychodzi*).

Desdemona. Słusznie mię los ten spotyka, o, słusznie!
 Cóż jednak było w mem postępowaniu,
 Żeby upatrzeć mógł najłżejszy pozór
 Podobnej winy.

(*Wchodzi Emilia, a z nią Jago*).

Jago. Staję na twój rozkaz,
 Łaskawa pani; o cóż idzie?

Desdemona. Nie wiem,
 Jak to powiedzieć. Ci, co uczą dzieci,
 Czynią to w sposób łagodny, podają
 Łatwe zadania, należało jemu
 W taki sam sposób zgromić mnie, bo jestem
 Godnem zgromienia dzieckiem, w rzeczy samej.
Jago. Co ci się stało, pani?

Emilia. Ach, Jagonie!
 Generał nazwał ją wszeteczną, zelżył
 Tak hańbiącemi, ohydniemi słowy,
 Jakich nie może znieść uczciwe ucho.

Desdemona. Jestżem ja taką? powiedz.

Jago. Jaką, pani?

Desdemona. Taką, jak ona mówi, że mnie nazwał.

Jago. Jakąż to?

Emilia. Nazwał ją... wstyd mi powtórzyć;
 Pijany prostak nawetby nie użył
 Takich terminów na ostatnią dziewczkę.

Jago. Jakiż on powód miał do tego?

Desdemona. Nie wiem,
 Ale to pewna, żem nie zasłużyła
 Na nic takiego.

Jago. Nie płacz, droga pani,
 O, nie płacz, nie płacz! Biedaż się uwzięła!

Emilia. Na toż się ona wyrzekła ojczyzny,
 Ojca, przyjaciół, na toż odrzuciła
 Tyle ponętnych, tyle świetnych związków,
 Aby otrzymać miano wszeteczniczy?
 Jak tu nie płakać?

Desdemona. Taki mój los.

Jago. Niech go
 Pomsta ogarnie! Skąd mu to przyjść mogło?

Desdemona. Bóg raczy wiedzieć.

Emilia. Gardło w zakład daję,
 Że jakiś szczywany nędznik, jakiś chytry,
 Przymilający się łotr, jakiś lizus
 Bez czci i wiary, wymyślił tę potwarz,
 By się dochrapać jakiegoś urzędu.
 Gardło dam za to.

Jago. Fuj! to być nie może:
 Niema na świecie takiego człowieka.

Desdemona. A jeśli taki jest, niech mu złość jego
 Pan Bóg przebaczy.

Emilia. Niech mu kat przebaczy,
 I piekło wszystkich szpik wysuszy w kościach!
 Ją zwać wszeteczną? Któż z nią ma stosunki?
 Gdzie, jak i kiedy? Skąd cień podobieństwa?
 Jakiś wierutny łotr murzyna zdurzył,
 Jakiś nikczemny oszust, podły hultaj.
 Oby go nieba odkryć pozwoiliły

I bicz podały w każdą dłoń pocziwą,
 Do przepędzenia tego szelmy nago
 Przez obszar świata, od wschodu na zachód!

Jago. Czego tak wrzeszczysz?

Emilia. O, wieczna kaźń jemu!
 Taki to ptaszek pomieszał był niegdyś
 Klepki i tobie i nabił ci głowę,
 Że ja mam jakieś konszachty z murzynem.

Jago. Cicho bądź, głupia.

Desdemona. Kochany Jagonie,
 Cóż mam uczynić, aby go przejednać?
 Idź za nim, pomów z nim, bo na to słońce,
 Ani wiem, przez co mu się naraziłam.
 Oto na klęczkach klnę się, żem niewinna.
 Jeżeli serce moje kiedykolwiek
 Przeciw miłości jego spiskowało,
 Czy to uczynkiem, czy to pożądaniem;
 Jeżeli wzrok mój, słuch lub jakikolwiek
 Zmysł mój lubował kiedy w kimbądź innym;
 Jeśli go teraz nie kocham wyłącznie,
 I nie kochałam zawsze i nie będę
 Zawsze kochała, chociażby mnie nawet
 Skazał na rozwód z sobą, jak żebraczkę:
 To niech nie zaznam pociechy w tem życiu!
 Wiele dokazać może złe obejście:
 On mnie niem może zabić, ale nigdy
 Zmniejszyć miłości mojej. Ja wszeteczna!
 Sam już ten wyraz zgrozą mnie przejmuje;
 Do zasłużenia czynem na to miano
 Żadna potęga próżności światowych
 Nie potrafiłaby mnie doprowadzić.

Jago. O, pani, nie bierz tego tak do serca;
 W złym był humorze tylko: list z Wenecyi
 W niesmak mu poszedł i niechęć się jego
 Krupi na tobie.

Desdemona. Bogdajby tak było!
Jago. Ręczę, że tak jest. (*Słychać trąbienie*).
 Słyszysz, pani? trąba
 Wzywa na ucztę; posłowie weneccy
 Radziby zasiąść do stołu. Idź, pani,
 I przestań płakać; wszystko będzie dobrze.
 (*Wychodzą: Desdemona i Emilia. — Wchodzi Rodrygo*).
 Cóż tam Rodrygo?

Rodrygo. Nie zdajesz mi się rzetelnie ze mną wychodzić. **Jago.** Z powodu?

Rodrygo. Codzień mnie zbywasz jakimś wykrętem i zamiast mnie posuwać naprzód w mych nadziejach, usuwasz raczej, jak uważam, ode mnie wszelką pożądaną sposobność. Na honor! nie myślę tego dłużej cierpieć, ani schować do kieszeni tego, com zniósł dotychczas. **Jago.** Posłuchaj mnie, Rodrygo.

Rodrygo. Jużem się dosyć nasłuchał i przekonał się aż nadto, że twoje słowa i czyny nie chodzą z sobą pod rękę.

Jago. Obwiniasz mnie najnieśluszniej.

Rodrygo. Nie mniej ani więcej, jak zasługujesz. Wyszystałem się co do grosza. Klejnoty, com ci je dał dla Desdemony, połowa ich byłaby nawet mniszkę ujęła: powiedziałeś mi, że zostały przez nią przyjęte i otworzyłeś mi pocieszające widoki rychłego pozyskania jej względów i przystępu do niej; tymczasem nic z tego nie widzę.

Jago. Dobrze, dobrze, dalej!

Rodrygo. Dobrze, dalej! Dalej tak iść nie może, i wcale to nie dobrze. Na tę dłoń! powiadam, że to niegodziwie i zaczynam się domyślać, że ze mnie zakpiono.

Jago. Dobrze.

Rodrygo. Powtarzam, że to nie dobrze. Odkryję wszystko przed Desdemoną; jeżeli mi zechce zwrócić klejnoty, to zaniecham dalszych zabiegów i żałować będę mych nieprawnych uroszczeń; jeżeli zaś mi ich nie zwróci, bądź pewien, że zażądam zadośćuczynienia od ciebie.

Jago. Czyś już wszystko wypowiedział?

Rodrygo. Nie inaczej; i niewzruszone mam postanowienie postąpić nie inaczej, jak powiedziałem.

Jago. Teraz widzę, że masz w sobie animusz, i od tej pory zaczynam mieć lepsze wyobrażenie o tobie, niż kiedykolwiek. Daj mi rękę, Rodrygo; obarczyłeś mnie nader uzasadnionymi zarzutami, a przecież, klnę się na wszystko, żem działał jak najgorliwiej w tej sprawie.

Rodrygo. To się nie pokazało.

Jago. Przyznaję, że się nie pokazało i podejrzenie twoje nie jest bez trafności i subtelności. Ależ Rodrygo, jeżeli istotnie jest w twojem łonie to, o czem teraz więcej niż kiedykolwiek mam powodów nie wątpić, to jest: wola, odwaga i męstwo, daj tego dowód tej nocy,

a jeżeli następnej nie ujrzysz Desdemony w swoich objęciach, to zastaw siłta na me życie i sprzątnij mnie zdradziecko ze świata.

Rodrygo. No, no, o cóż to idzie? Jestli to w granicach możliwości i rozsądku?

Jago. Trzeba ci wiedzieć, że nadszedł wyraźny rozkaz z Wenecyi, ażeby Kassyo zajął miejsce Otella.

Rodrygo. Czy być może? Takim sposobem Otello i Desdemona powrócą nazad do Wenecyi.

Jago. O, nie: on się uda do Maurytanii i zabierze tam z sobą piękną Desdemonę; chybaby tu był zatrzymany jakim wypadkiem; żaden zaś inny wypadek nie mógłby być bardziej stanowczym w tej mierze, jak usunięcie Kassya.

Rodrygo. Co rozumiesz przez usunięcie go?

Jago. Ba, nic innego jak uczynienie go niezdatnym do zajęcia miejsca Otella: ewakuowanie mu czaszki.

Rodrygo. I chcesz, abym ja to uczynił?

Jago. Tak właśnie, jeżeli chcesz sięgnąć po korzyść, słusznie ci przynależną. On dziś przepędza wieczór u pewnej marmuzeli; tam się z nim zejść. Nic jeszcze nie wie o swoim wyniesieniu. Jeżeli zechcesz czatować na niego, jak stamtąd będzie powracał (a moją rzeczą będzie tak urządzić ten powrót, aby wypadł między dwunastą a pierwszą), to będziesz mógł żgnąć go jak najwygodniej. Ja będę tuż, aby cię wesprzeć, i padnie pomiędzy nami. Pójdź, nie stój tak osłupiale; wykażę ci przez drogę tak dowodnie potrzebę jego śmierci, że poczytasz sobie za powinność o nią go przyprawić. Już późna godzina, idźmy.

Rodrygo. Musisz mi udzielić jeszcze więcej objaśnień.

Jago. Będziesz ich miał, ile zechcesz.
(*Wychodzą*).

SCENA III.

Inny pokój w zamku.

(*Wchodzą: Otello, Lodowiko, Desdemona, Emilia i służba*).

Lodowiko. Nie trudź się, panie generale, proszę.

Otello. Wybacz, przechadzka dobrze mi posłuży.

Lodowiko. Dobranoc, pani; przyjm dzięki.

Desdemona.

Dziękuję tobie, signore.

My raczej

Otello.

Idziemy?

O! — Desdemono...

Desdemona.

Co każesz, mój mężu?

Otello. Idź się położyć zaraz, wkrótce wróć;

Oddał Emilię; bacz, aby tak było.

Desdemona. Będzie tak, panie.

(Wychodzą: Otello i Lodowiko, za nimi służba).

Emilia.

No, cóż? jak tam teraz?

Złagodniał jakoś.

Desdemona.

Wkrótce wróci, mówił;

Kazał mi pójść się położyć i ciebie

Oddalić, moja droga.

Emilia.

Mnie oddalić?

Desdemona. Tak kazał; zatem, kochana Emilio,

Daj mi mój nocny ubiór i bądź zdrowa.

Nie trzeba nam się mu sprzeciwić teraz.

Emilia. Obyś go nigdy nie była ujrzała,

Kochana pani!

Desdemona.

Tego ja nie powiem.

Serce me tak jest ku niemu zwrócone,

Że nawet jego gniew, jego zniwagi

I jego groźby — rozepnij mnie proszę —

Mają w mych oczach urok.

Emilia.

Położyłam

Na łóżku pani tę kołdrę, coś chciała.

Desdemona. Wszystko mi jedno. Biedneż nasze głowy!

Jeżeli umrę wprzód niż ty, Emilio,

Pamiętaj przykryć mnie tą kołdrą.

Emilia.

Ejże,

Co pani prawisz!

Desdemona.

U mej matki była

Sługa; Barbara było jej na imię;

Miała kochanka, a ten był okrutny,

Bo ją porzucił. Śpiewywała sobie

Piosnkę o wierzbie; była to pieśń stara,

Ale stosowna do jej położenia;

Zmarła, nucąc ją. Pieśń ta dziś w wieczór

Wciąż mi brzmi w uszach, i gwałt sobie czynię,

Abym tak samo nie zwiesiła głowy

I nie śpiewała, jak biedna Barbara.

Proszę cię, śpiesz się.

Emilia.

Mamże pani przynieść

Nocne ubranie?

Desdemona.

Nie, rozbierz mnie tylko.

Ten Lodowiko jest wcale przystojny.

Emilia. Piękny mężczyzna.

Desdemona.

I miły w rozmowie.

Emilia. Znam pewną damę w Wenecyi, co chętnie

Bosoby poszła do Jerozolimy,

Za jedno tchnienie jego wargi dolnej.

Desdemona *(śpiewa)*:

Pod wierzbą płaczącą dziewczyna łzy roni

I śpiewa: wierzbo! wierzbo!

W dół główkę spuściła, skroń wsparła na dłoni

I śpiewa: wierzbo! wierzbo!

Zdrój, mrużąc opodał, przywtarza jej jękom;

O wierzbo! wierzbo! wierzbo!

Od łez jej gorących kamienie aż miękną;

— Złóż to na boku.

O wierzbo! wierzbo! wierzbo!

— Proszę cię, śpiesz się, on wkrótce powróci.

Z gałązek ja wierzby splecę sobie wianek,

Nie gańcie mu tego, przyjmuję mój los.

— Nie, to przypada w innej strofie. Słyszysz,

Ktoś zakołatał do drzwi.

Emilia.

To wiatr, pani.

Desdemona. Nazwałam go ziemnym, a on mi rzekł: ach!

Płacz wierzbo! wierzbo! wierzbo!

Niejeden ci przecie zastąpi mnie gach.

Idź już, dobranoc. Coś mnie oczy swędzą;

Nie zapowiadaż to łez?

Emilia.

Skądże znowu?

Desdemona. Tak mówią. O, ci mężczyźni, mężczyźni,

Powiedz mi szczerze, Emilio, czy myślisz,

Że są kobiety zdolne tak okropnie

Zdradzać swych mężów?

Emilia.

Są takie, bez kwestyi.

Desdemona. Czyżbyś za cały świat to uczyniła?

Emilia. Hm! świat nie fraszka; z małej bagatelki

Zysk byłby wielki.

Desdemona.

O, nie, pewna jestem,

Że nigdy tegobys nie uczyniła.

Emilia. Z całą pewnością bym to uczyniła
I odczyniłabym po uczynieniu.

Ma się rozumieć, żebym takiej rzeczy
Nie uczyniła za marny pierścionek,
Ani za parę batystowych szmatek,
Ani za kornet, ani za mantole,
Ani za żaden rupieć tym podobny,
Ale za cały świat; któraż kobieta
Nie zapragnęłaby swemu mężowi
Przyprawić rogów i zrobić go przez to
Monarchą świata? Za tak wielką korzyść
Gotowabym się narazić na czyściec.

Desdemona. Niebo mi świadkiem, żebym za świat cały
Nie popełniła takiego bezprawia.

Emilia. Bezprawie takie jest bezprawiem tylko
W opinii świata; skorobys zaś, pani,
W nagrodę trudu cały świat posiadała,
Własnyby świat twój sądził to bezprawie,
Łatwo byś przeto mogła je uprawnić.

Desdemona. Nie sądzę, aby istniała choć jedna
Taka kobieta.

Emilia. Tuzin ich się znajdzie,
Nietylko jedna i w dodatku tyle,
Ileby trzeba, żeby w krąg zapewnić
Ten świat, o któryby się ubiegały.
Rozumiem jednak, że to wina mężów,
Ilekcroć żona się potknie. Jeżeli
Zapominając o swych obowiązkach,
Na łonie innych skarby nasze trwonią;
Jeśli kapryśną zwiedzeni zazdrością
Ścieśniają naszą swobodę, a nawet,
Co gorsza, biją nas; jeśli nam czynią
Ujmę w tem, cośmy wprzód posiadały:
Toć nic dziwnego, że w nas żółć zakipi;
Jesteśmy korne w duchu, ale przytem
I mściwe trochę. Niech wiedzą mężowie,
Że żony mają zmysły, tak jak oni;
Że mają oczy, węch i podniebienie,
Zdolne odróżnić słodycz od goryczy,
Tak jak i oni. Czegoż oni pragną,
Gdy nas nad inne przenoszą? Rozkoszy?
Tak myślę. Wiedzieć ich k' temu namiętność?
Zapewne. Słabości temu jest winną?

Jużci tak. A czyż my jesteście wolne
Od namiętności, od żądy rozkoszy
I od słabości, bardziej niż mężczyźni?
Niechże statkują, a potem nie mruczą,
Żeśmy złe, gdy nas sami złego uczą.
Desdemona. Dobranoc! niebo krzyż ten na mnie zsyła,
Bym trwała w dobrem, nie złem złe płaciła. (*Wychodzą*).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Ulica.

(*Wchodzi: Jago i Rodrygo*).

Jago. Stań tu za słupem; wnet przechodzić będzie;
Wyjm rapir, dierz go krzepko i wtłocz gracko.
Nie bój się, będę tuż opodal ciebie.
Ten krok nas zbawi lub zgubi; pamiętaj
I wolę w sobie skup.

Rodrygo. Bądź jednak blisko.

Jago. Będę tuż. Śmiało! marsz na stanowisko!
(*Oddala się i staje w pewnej odległości*).

Rodrygo. Nie wielki pochoł mam do tego czynu,
Ale powody podał tak zasadne...
Mniej, więcej jeden człowiek, cóż to znaczy?
Nuż, mój mieczu, pójdź, zapadł nań wyrok.
(*Idzie na stanowisko*).

Jago. Potarłem ten świerz b młody do żywego;
Ot się i jątrzy. Czy on sprzątnie Kassya,
Czy Kassyo jego, czy obaj się sprzątną,
Zawsze coś wygram. Jeżeli Rodrygo
Uniknie śmierci, zażąda ode mnie
Zwrotu pieniędzy i owych klejnotów,
Które od niego wyludziłem, niby
Dla Desdemony: nie będzie nic z tego.
Jeżeli Kassyo zostanie przy życiu,
Codzień się jaki przymiot w nim okaże,
Aby mnie zaćmił; może też i murzyn
Wydać mnie przed nim: ten punkt zbyt jest groźny,
Musi więc umrzeć. — Cicho! to on idzie.
(*Wchodzi Kassyo*).

Rodrygo. Poznaję jego chód, to on. — Gifń, wrogu!

(Rzuca się na Kassya i rani go).

Kassyo. To pchnięcie było niezłe wymierzone,

Ale mój kaftan lepszy jest, niż sądzisz;

Doświadczę zaraz twego.

(Dobywa szpady i rani Rodryga).

Rodrygo. O, zabitym! *(Pada).*

(Jago nadbiega, zadaje Kassyowi pchnięcie w udo i wychodzi).

Kassyo. Okaleczonym na zawsze. Ratunku!

Hola! ratunku! Mordercy, mordercy! *(Pada).*

(Otello ukazuje się w głębi).

Otello. Głos Kassya: — Jago dotrzymuje słowa.

Rodrygo. Biada mi! o ja nędzny!

Otello. W rzeczy samej.

Kassyo. Na pomoc! Hej! kto żyw! światła! felczera!

Otello. To on. — O, walny, poczciwy Jagonie,

Coś tak wziął żywo krzywdę przyjaciela,

Ty mnie pouczasz. — Pupko ubóstwiana!

Twój ulubieniec legł trupem i twoja

Bije godzina. Idę, wszetecznic!

Już mnie nie złudzisz swemi ponętami;

Splamione łoże sprośna krew twa splami. *(Wychodzi).*

(Lodowiko i Gracyano ukazują się w pewnej odległości).

Kassyo. Cóż to? czy niema ani straży, ani

Żywego ducha? Mordercy! mordercy!

Gracyano. Jakieś nieszczęście się stało; te krzyki

Tragiczny jakiś zwiastują wypadek.

Kassyo. Na pomoc!

Lodowiko. Słyszysz?

Rodrygo. O, nędznik przeklęty!

Lodowiko. Dwóch, czy trzech jęczy. Noc ta jest złowroga.

Może to jaka zasadzka; czekajmy,

Póki kto więcej nie przyjdzie na pomoc.

Rodrygo. Nikt nie nadchodzi; na śmierć mi krew ujdzie.

(Jago na wpół rozebrany wchodzi ze światłem i gołą szpadą).

Lodowiko. Ktoś tu w koszuli zdąży, z światłem w rękę

I bronią.

Jago. Kto tu? Skąd ten zgiełk? Kto krzyczał?

Lodowiko. Nie wiemy.

Jago. Czyście krzyku nie słyszeli?

Kassyo. Tu, tu! dla Boga, ratuj!

Jago. Co się stało?

Gracyano. Zda mi się, że to chorąży Otella.

Lodowiko. Tak, to on; pełen to dzielności człowiek.

Jago. Ktoście wy, co tak żałośnie krzyczycie?

Kassyo. Jagonie! łotry przebili mnie; ratuj!

Sprowadź mi pomoc!

Jago. To ty, namiestniku?

Dla Boga! jakież łotry to zrobili?

Kassyo. Jeden z nich, zda mi się, leży tu w podłej

I ująć nie może.

Jago. O, nikczemne łotry!

(Do Lodowika i Gracyana).

Co wy za jedni? Pójdźcie tu na pomoc.

Rodrygo. Ratujcie mnie!

Kassyo. To jeden z nich.

Jago. Ha, łotrze!

Zbóju pokątny! *(Przebija Rodryga).*

Rodrygo. Przeklęty Jagonie!

Nieludzki psie! oh! oh!

Jago. Zabijać w mroku! —

Gdzie się podziała reszta tych hultajów? —

Jak też w tem mieście pusto! — Hej! na pomoc! —

Kto wy? jesteście źli czy dobrzy!

Lodowiko. Pisz nas

Tak, jak nas widzisz.

Jago. Signor Lodowiko?

Lodowiko. Ten sam.

Jago. Przepraszam was, Kassyo tu leży,

Ciężko raniony przez hultajów.

Gracyano. Kassyo?

Jago. Jakże się czujesz, kolego? gdzie rana?

Kassyo. Na wpół przecięte mam udo.

Jago. Broń Chryste! —

Świećcie, panowie — zwiążę je koszulą.

(Wchodzi Bianka).

Bianka. Co to jest? kto tak krzyczał?

Jago. Kto tak krzyczał?

Bianka. O, drogi Kassyo! mój najmiłszy Kassyo!

O Kassyo! Kassyo! Kassyo!

Jago. O, łajdaczko!

Powiedz mi, Kassyo, czy się nie domyślasz,

Kto są ci, co ci tak się przysłużyli?

Kassyo. Nie.

Gracyano. Żal mi, panie, że cię w tak żalonym

Stanie zastaję; szukałem cię wszędzie.

Jago. Daj-no podwiązkę. — Tak. — Żeby kto kazał
Przynieść lektykę, abyśmy go mogli
Spokojnie przenieść.

Blanka. Mdleje. — Kassyo! Kassyo!

Jago. Panowie, mam tę nimfę w podejrzeniu
O uczestnictwo w tej zbrojckiej sprawie.
Kochany Kassyo, bądź chwilę cierpliwym.
Pozwólcie światła, panowie; ciekawym,
Czy znamy tego ptaszka, czy nie znamy.
Co widzę! mójże to ziomek, przyjaciel,
Rodrygo? nie; o tak! nieba! Rodrygo.

Gracyano. Rodrygo? ten z Wenecyi?

Jago. Ten sam właśnie;

Czyś go znał waćpan?

Gracyano. Czym go znał? O, znałem.

Jago. Signor Gracyano? Wybaczcie mi, proszę;
Krwawe to zajście niech usprawiedliwi
Moją niegrzeczność.

Gracyano. Miło mi cię widzieć,
Panie chorąży.

Jago. Jakże ci jest, Kassyo?
Lektyki! prędzej! Czy poszedł kto po nią?

Gracyano. Rodrygo!

Jago. On to, on.
(*Wnoszą lektykę*). Lektyka, przecie!

Nieście go, dobrzy ludzie, jak najwolniej;

Ja po felczera skoczę.

(*Do Bianki*). Oszczędź sobie

Pracy waćpanna.

(*Do Kassya*). Kassyo, ten nieszczęsny,

Co tutaj leży, był mym przyjacielem;

Jakież z nim miałeś nieporozumienie?

Kassyo. Żadnego w świecie; nie znałem go nawet.

Jago (*do Bianki*). Jakżeś waćpanna zbladła!

(*Do lektykarzy*). O, ostrożnie

(*Wynoszą Kassya i Rodryga*).

Zostańcie chwilę, szanowni panowie.

Cóż to waćpannie, żeś tak zbladła? Patrzcie:

Czy uważacie, jak jej wzrok zobłądniał?

W tym wzroku można wiele się doczytać.

Tylko się dobrze przyjrzyjcie, panowie.

Nieprawdaż? Wina musi się odezwać,

Chociażby język odmawiał posługi. (*Wchodzi Emilia*).

Emilia. Co się tu stało, mężu? co się stało?

Jago. Kassyo w ciemności napadnięty został
Przez Roderyga i jego współników,
Którzy uciekli. Rodrygo nie żyje,
A Kassyo blizki śmierci.

Emilia. Wielki Boże!

Biedny młodzieniec! poczcwiwy nasz Kassyo!

Jago. Takie to skutki rozwiążności. Spytaj,
Proszę cię, Kassya, gdzie dzisiaj wieszczał?
(*Do Bianki*).

Cóż to? drżysz aśčka?

Blanka. Wieszczał dziś u mnie,
Ale dlatego drzeć nie mam przyczyny.

Jago. U ciebie? Pójdiesz ze mną, mościa panno.

Emilia. Faj, bezwstydnico!

Blanka. Ja nie bezwstydnica;
Jam równie pełna sromu, jak waćpani,
Co mnie znieważasz.

Emilia. Jak ja? O, beczelna!

Jago. Idźmy, łaskawi panowie, zobaczyć,
Jak będą rany Kassya opatrzone.
Pójdź aśčka, wnet nam zaśpiewasz inaczej.
A ty, Emilio, śpiesz do cytadeli
Donieść naszemu państwu, co się stało. —
Idziem, panowie? (*Do siebie*). Ta noc ma rozstrzygnąć
Mój los: ze szczętem zwalić mnie lub dźwignąć.
(*Wychodzi*).

SCENA II.

Sypialnia.

(*Desdemona w łóżku śpiąca. Świeca pali się. Otello wchodzi*).

Otello. Konieczność to, konieczność nieuchronna;
Nie chcecie, bym wam powód jej wyjawiał,
O, czyste gwiazdy! konieczność tak każe.
Ale ja krwi jej nie przeleję; szkoda,
Szkoda byłoby zrysować żelazem
Tę skórę bielszą od śniegu i gładką,
Jak pomnikowy alabaster.
Musi jednakże umrzeć, bo tak samo
Zwiodłaby innych jeszcze. Zgaszę światło,

A potem — zgaszę światło; skoro zgaszę
Ciebie, żywiłe świecący w pomroku,
Łatwo cię będę mógł znów rozplomić,
Gdy mi żal będzie; ale raz zgasiwszy
Twoje żywotne światło, o! ty cudnie
Misterny wzorze wytwornej natury,
Odzież znajduję iskrę Prometeuszową,
Coby to światło rozliła na nowo?
Gdy raz twą różę zerwę, już jej życia
Wrócić nie zdołam; musi, musi zwiędnąć:
Niechże się jeszcze jej wonią nacieszę,
Póki jest na pniu.

(*Całuje ją.*)

O, słodki oddechu!

Tybyś nieledwie z rąk sprawiedliwości
Mógł miecz wytrącić. — Jeszcze, jeszcze jeden. —
Będziesz li taką, jak jesteś, po śmierci,
Którą ci zadam, to cię kochać będę
Nawet po śmierci. — Jeszcze tylko jeden,
Ostatni — nigdy słodszy pocałunek
Nie był zgubniejszy. Nie mogę się wstrzymać
Od łez; okrutne to łzy jednak: żal mój
Jest żalem nieba, co chłoscze kochając. —
Budzi się.

Desdemona. Kto tu? Czy to ty, Otello?

Otello. Tak, Desdemono.

Desdemona. Czy chcesz się położyć?

Otello. Czyś odmówiła pacierz, Desdemono?

Desdemona. Tak, panie.

Otello. Jeśli sobie przypominasz

Jaki grzech, skruczą dotąd nie obmyty,

To go natychmiast niebu wypowiadaj.

Desdemona. Dla Boga! mężu! co znaczy ta mowa?

Otello. Módl się, a prędko; usunę się na bok;

Nie chcę cię zabić nieprzygotowanej;

Boże broń! nie chcę zabić duszy twojej;

Módl się więc.

Desdemona. Mówisz o zabiciu?

Otello. Tak jest.

Desdemona. Niechże się niebo zmiłuje nade mną!

Otello. Amen! z całego serca tego pragnę.

Desdemona. Skoro tak, to mnie przecie nie zabijesz.

Otello. Hm!

Desdemona. Jednak boję się ciebie, boś straszny,
Kiedy tak dziko przewracasz oczyma.

Dlaczego boję się, nie wiem, bo nie wiem,
Com winna; ale czuję, że się boję.

Otello. Pomyśl o swoich grzechach.

Desdemona. Moje grzechy
Naprzeciw ciebie są z zbytku miłości.

Otello. Za to też umrzesz.

Desdemona. Za to, żem kochała?

Przebóg! dlaczego tak przygryzasz wargi?

Jakaś myśl krwawa wstrząsa tobą całym.

Groźne to znaki, ale mam nadzieję,

Że nie mnie grożą.

Otello. Cicho bądź! milcz!

Desdemona. Milczę.

Cóż masz przeciwko mnie? mów.

Otello. Ową chustkę,

Którą ci dałem, a którąm tak cenił,

Dałaś Kassjowi.

Desdemona. Nie dałam, jak pragnę

Zbawienia duszy i dłuższego życia!

Poślij po niego i spytaj go.

Otello. Strzeż się

Krzywoprzysięstwa, duszyczko kochana;

Pomnij, że leżysz na śmiertelnem łożu.

Desdemona. Ależ nie zaraz mam umrzeć.

Otello. Niezwłocznie.

Żałuj więc z całą szczerością za grzechy;

Choćbyś się bowiem jednego po drugim

Najuroczystszą zaparła przysięgą,

Nie osłabiłabyś i nie zachwiała

Niewzruszonego przekonania tego,

Pod którym jęczę. Śmierć twa nieuchronna.

Desdemona. O, Boże, zmiłuj się nade mną!

Otello. Amen.

Desdemona. I ty się zmiłuj! — Jam cię nigdy w życiu

Nie obraziła; nigdy nie kochała

Inną miłością Kassya, tylko taką,

Na jaką niebo ogólnie pozwała;

Nigdy mu nic nie dała.

Otello. Niebo świadkiem,

Żem ową chustkę widział w jego ręku.

Kobietu bez czci i wiary, ty zmieniasz

Serce me w kamień i nazwać mi każesz
To, co uczynić zamierzam, morderstwem,
Nie zaś ofiarą, za którą to miałem.
Widziałem ową chustkę.

Desdemona. Więc ją znalazł;
Jam mu jej nigdy nie dała. — O, panie,
Poślij po niego, każ mu prawdę wyznać.

Otello. Już on ją wyznał.

Desdemona. Co?

Otello. Że cię posiadał.

Desdemona. Jakto? w nieprawy sposób?

Otello. Nieinaczej.

Desdemona. Nie może tego powiedzieć.

Otello. W istocie,

Nie może teraz, bo ma zwarte usta;
Pocziwy Jago o to się postarał.

Desdemona. Ach! objaśniają się moje obawy. —
Więc on nie żyje?

Otello. Choćby był miał tyle
Organów życia, co włosów na głowie,
Zemsta ma byłaby schłonęła wszystkie.

Desdemona. O, wielki Boże! on jest oszukany,
A ja zgubioną.

Otello. Ha! niecna fryjerko!
Śmiesz za nim płakać wobec mnie?

Desdemona. O, panie,
Odrąć mnie, wygnaj, ale nie zabijaj!

Otello. Giń, nierządnicu! nic cię nie ocali.

Desdemona. Zabij mnie jutro, oszczędź mnie dziś tylko!

Otello. Chcesz się opierać...

Desdemona. Tylko pół godziny.

Otello (*do siebie*). Po dokonaniu skończy się wahanie.

Desdemona. Niech się pomodłę tylko!

Otello. Już za późno.

(*Dławi ją*).

Emilia (*za drzwiami*). Panie, łaskawy panie! otwórz! otwórz!

Otello. Cóż to za hałas! — Jeszcze żyje, dyszy.

Okrutnym wprawdzie lecz i miłosierny;
Nie chcę przeciągać dłużej twoich cierpień. —
Tak, tak! (*Dusi ją*).

Emilia (*za drzwiami*). Otwórz, pan! otwórz, proszę!

Otello. Kto tam?

Emilia. Otwórz, pan, to ja! mam pilny interes.

Otello. Tak! — To Emilia; zaraz. — Już nie żyje.
Pewnie przynosi wieść o śmierci Kassya;
Zgiełk tam był wielki. — Ha! już się nie rusza;
Jak grób milcząca. — Mamże jej otworzyć? —
Zda mi się, że się poruszyła znowu:
Nie. — Cóż mam czynić? Wpuścić ją? Jak wpuszczę
Zechce zagadać pewnie do mej żony.
Do mojej żony! żony! jakiej żony?
Ja nie mam żony. O, fatalna chwilo!
Nie do zniesienia! Zda mi się, że teraz
Będzie zaćmienie słońca i księżyca,
I że krąg cały ziemi przerażony
Rozpadnie się ze zgrozy.

Emilia (*za drzwiami*). Wpuść mnie, panie.
Muszę się widzieć z panem. Otwórz, otwórz,
Łaskawy panie!

Otello. Zapomniałem o niej. —
Zaraz, Emilio. — Spuścimy wprzód firankę. —
(*Otwiera drzwi*).

Czego chcesz? Po co przychodzisz w tej porze?
(*Emilia wchodzi ze świecą*).

Emilia. Ach, panie, niecne morderstwo spełniono!

Otello. Jakto? w tej chwili?

Emilia. Tak, właśnie w tej chwili.

Otello. To księżyc temu winien; on w tych czasach
Bardziej niż zwykle zbliżył się do ziemi;
Stąd szął napada ludzi.

Emilia. Kassyo, panie,
Zabił Rodryga, owego młodego
Wenecyanina.

Otello. Co? Rodrygo zginął?
I Kassyo zginął?

Emilia. Nie, Kassyo nie zginął.

Otello. Nie zginął Kassyo? morderstwo już traci
Swój dźwięk i chrypie słodkobrzmiająca zemsta.

Desdemona. O, sroga, straszna śmierci!

Emilia. Wielki Boże!

Czyj to głos?

Otello. Czyj? co?

Emilia. To głos mojej pani. —
Nieba! na pomoc! na pomoc! — O, pani!
O, Desdemono! przemów jeszcze! przemów,
Kochana pani!

Desdemona. Umieram niewinna.
 Emilia. Ha! któż jest sprawcą tego?
 Desdemona. Nikt, ja sama.
 Bądź zdrowa. Pozdrów ode mnie mojego
 Ukochanego małżonka. Bądź zdrowa!
 (*Umiera*).
 Otello. Jak ona mogła być zamordowaną?
 Emilia. Niestety, któż to wie?
 Otello. Słyszałaś przecie
 Z jej ust, że sprawcą tego ja nie jestem.
 Emilia. Tak powiedziała: muszę to zaświadczyć.
 Otello. Z kłamstwem na ustach poszła wprost do piekła:
 Jam to ją zabił.
 Emilia. Tem czystszy z niej anioł,
 A tem czarniejszy szatan z ciebie, zbójco!
 Otello. Ona puściła wodze sprosznym chuciom.
 Emilia. To istna potwarz, a ty istny szatan.
 Otello. Niestała była jak wiatr.
 Emilia. A tyś wściekły
 Jak ogień, kiedy ją mienisz niestałą:
 Jej wierność była godną niebian.
 Otello. Kassyo
 Miał z nią stosunki; spytaj swego męża.
 Obym się zapadł w najgłębsze dno piekieł,
 Jeślim się chwycił tej ostateczności,
 Bez pewnych danych. Twój mąż wie o wszystkim.
 Emilia. Mój mąż?
 Otello. Tak, mąż twój.
 Emilia. Że miała nieprawie
 Z kimbądź stosunki?
 Otello. Nieinaczej, z Kassyem.
 O, gdybym był miał pewność jej wierności
 I niebo było mi za nią dawalo
 Drugi świat taki, utworzony z jednej,
 Całej, rodzimej sztuki chryzolit, u
 Nie byłbym jej był oddał.
 Emilia. Mój mąż?
 Otello. Tak jest:
 On pierwszy ostrzegł mnie o jej miłostkach.
 Prawy to człowiek, brzydzący się szlamem,
 Powlekającym sromotne występki,
 Emilia. Mój mąż?

Otello. Dopókiż tych pytań, kobieto?
 Twój mąż, powiadam.
 Emilia. O, kochana pani!
 Miłość wywiodła nikczemna złość w pole. —
 Mój mąż obwinia ją o wiarołomstwo?
 Otello. On twój mąż; cóż to? czy mnie rozumiesz?
 Przyjacieli mój, twój mąż, poczciwy Jago?
 Emilia. Niechże mu zgnije jadowity język
 Codzień o jeden gram! Łże najbezczelniej:
 Zbyt drogo ona owszem swój potworny
 Ceniła związek.
 Otello. Ha!
 Emilia. Wywrzuj twą wściekłość!
 Ten twój postępek równie jest wart nieba,
 Jak ty jej byleś wart.
 Otello. Radzę ci milczeć.
 Emilia. Nie lękam się twych gróźb: nie masz ty w sobie
 Do zaskodzenia mi przez pół tej siły,
 Co ja mam do zniesienia twych zamachów.
 O, dudku! głąbie ty z zakutym mózgiem!
 Ten twój czyn — co mnie tam twój miecz obchodzi!
 Wydam cię, choćbym dwadzieściakroć razy
 Śmierć miała ponieść. — Na pomoc! na pomoc!
 Morderstwo! Murzyn zabił moją panią!
 (*Wchodzą: Montano, Gracyano i Jago*).
 Montano. Co to jest? co się stało, generale?
 Emilia (*do Jagona*). Pójdź tu, pójdź; dobrześ dbał o swoją
 [stawę,
 Gdy ludzie mordy na twój karb składają,
 Gracyano. Co się tu stało?
 Emilia (*jak wprzódy*). Jeżeliś nie podlec,
 Zadaj fałsz temu niecnocie; on twierdzi,
 Żeś ty oskarżył przed nim jego żonę
 O wiarołomstwo. Wiem, że tak nie było;
 Nie jesteś zdolny do takiej szkarady.
 Mów, mów, bo serce moje przepeńnione.
 Jago. Nie powiedziałem mu nic więcej nad to,
 Com w duchu myślał i co on sam uznał
 Za wiarygodne i prawdopodobne.
 Emilia. Ale czyż kiedykolwiek mu powiedział,
 Że ona wiarołomna?
 Jago. Powiedziałem.
 Emilia. Skłamałeś, podle skłamałeś; to kłamstwo,

Piekierne kłamstwo; kłamstwo, jak Bóg w niebie!
Ona występne mieć stosunki z Kassyem! —
Z Kassyem, mówiłeś?

Jago. Z Kassyem, mościa pani.
Powściągnij język.

Emilia. Ja, powściągnąć język?
Ja muszę, muszę mówić: oto w łóżku
Zamordowana leży moja pani.

Wszyscy. Boże uchwaj!

Emilia. Twoje to poszepty
Spowodowały tę okropną zbrodnię.

Otello. Wyjdźcie z zdumienia panowie: to prawda.

Gracyano. Nieszczęsna prawda!

Montano. O, potworny czynie!

Emilia. Co za nikczemność! ha! co za nikczemność!

Wiem, wiem — domyślam się — zgaduję wszystko.

Jużem się pierwej tego domyślała. —

Co za nikczemność! zabiję się z żalu.

Jago. Czyś zwaryowała? Idź do domu zaraz.

Emilia. Na Boga! niech mi wolno będzie mówić!

Winnam mu w każdym razie postuszeństwo,

Tylko nie teraz; o, tylko nie teraz.

(Do Jagona).

Może już nigdy nie wrócę do domu.

Otello. Oh! oh! oh!

(Rzuca się na łóżko).

Emilia. Tak, tak, rycz, wij się z boleści,
Boś zamordował najczystsza niewinność,
Jaką świat widział.

Otello *(zrywając się)*. Nie! występna była.
(Do Gracyana).

I ty tu, stryju? dopiero cię spotrzegł.

Patrz, oto leży twoja synowica,

Zgłodzona temi rękami. Zaprawdę,

Czyn ten wydaje się dziki i straszny.

Gracyano. Biedna istoto! W porę zmarł twój ojciec;
Związek twój był dlań zabójczy: cierpienie
Przecięło starą nić; gdyby żył teraz,
Widok ten w rozpaczby go wtrącił taką,
Iżby anioła stróża swego zraził,
I duszy swojej zbawienie naraził.

Otello. Serce się na to ściska; ale Jago
Wie, że się ona jakie tysiąc razy

Z Kassyem sprosnego dopuściła czynu —
Kassyo to wyznał — i zapaly jego
Wynagrodziła tym samym podarkiem,
Który ode mnie dawniej otrzymała.
Widziałem przedmiot ten u niego w ręku:
Była to chustka, pamiątka rodzinna,
Którą mój ojciec dał był mojej matce.

Emilia. O, nieba! nieba!

Jago. Będzieszże ty milczeć?

Emilia. To musi na wierzch wyjść, musi wyjść na wierzch.

Ja, milczeć, panie? nie, ja mówić będę,
Tak głośno jak wiatr północny. Niech niebo,
Ludzie, szatany, wszystkie moce świata
Wołają na mnie: milcz, ja mówić będę.

Jago. Mieję rozważę i ruszaj do domu.

Emilia. Nie pójdę.

(Jago czyni poruszenie w zamiarze przebicia żony).

Gracyano. Wstydz się! dobywać oręża
Przeciw kobiecie.

Emilia. O, głupi murzynie!
Tę chustkę, chustkę tę, o której mówisz,
Ja przypadkowo znalazłam i dałam
Memu mężowi; bo niejednokrotnie,
W nalegający, uroczysty sposób,
(Jakby mu wiele na tem zależało)
Żądał ode mnie, abym ją wykradła.

Jago. Kłepo przekłeta!

Emilia. Ona, dać tę chustkę
Kassyowi? Nigdy! ja to ją znalazłam
I Jagonowi dałam!

Jago. Kłamiesz, draniu.

Emilia. Nie, jak Bóg w niebie! nie kłamię, panowie.
(Do Otella).

O, krwawy capie! jak mógł taki bałwan
Żyć z tak cnotliwą kobietą?

(Jago przebija żonę i wybiega).

Otello. Czy gromy
Na to są tylko w niebie, aby grzmiały?
Superfinowy łotrzel!

Gracyano. Patrzcie, pada;
Niechybnie zadał jej śmiertelne pchnięcie.

Emilia. Tak, tak. O, złóćcie mię przy mojej pani!

Gracyano. I zbiegł.

Montano. To arcyłotr. Signor Gracyano,
Weź ten miecz, com go zabrał murzynowi;
Obsadź drzwi zewnątrz; niech go nie puszczają,
Zabiją raczej. Ja muszę podążyć
Za tym hultajem, bo to pies skazany
Na potępienie.

(*Wychodzi z Gracyanem.*)

Otello. Nie troszczcie się: już ja
Z mej waleczności użytku nie zrobię.
Na cóżby sława miała cnotę przeżyć?
Niech wszystko w nicość przepada!

Emilia. Co znaczył
Ów śpiew twój, pani? Słyszyszże mię jeszcze?
Pożegnaj świat ten jak łabędź i umrę
Z pieśnią na ustach: *Wierzbo! wierzbo! wierzbo!* —
Murzynie, ona była czystą, ona
Kochała ciebie, okrutny murzynie.
Ostatni to już raz usta otwieram,
Więc mi wierz; mówiąc, co myślę, umieram.
(*Umiera.*)

Otello. Mam jeszcze inny oręż w tym pokoju:
Miecz to hiszpański, w lodzie hartowany.
Oto jest. — Stryju, muszę wyjść.

Gracyano (zewnątrz). Jeżeli
Krok zrobisz za próg, przyptacisz to drogo.
Jesteś bezbronny, musisz przeto uledez.

Otello. To przyjdź tu do mnie na chwilę rozmowy,
Lub z gołą pięścią rzucę się na ciebie.

Gracyano (wchodząc). Czego chcesz?

Otello. Mam miecz, widzisz; nigdy jeszcze
Lepszy nie zdołał boku wojownika.
Był czas, gdy mieczem tym i tem ramieniem
Torował sobie drogę przez zawady
Dwadzieścia razy większe, niż zaporą,
Którą mi stawiasz. — O, czcze to przechwałki!
Któż zdoła los swój przejrzeć? dziś tak nie jest. —
Nie bój się, choć mię uzbrojonym widzisz;
Tu kres żeglugi mojej, moja przystań,
Ostatni morski znak dla mego statku.
Czego się cofasz? Płonne twe obawy:
Trać tylko trzcina o piersi Otella,
A wnet ustąpi. — Odzieżbym ja się udał? —
Jakże wyglądasz teraz? O, wybrane

Dziecię niedoli! bladaś, jak to giezło!
Gdy się zejdziemy tam do porachunku,
Widok twój wygna mą duszę z przed niebiosa
I czartom na łup odda. Jakżeś zimna,
Moja pieszczoto! zimna, jak, o! wstyd twój. —
Przeklęty zdrajco! — Odrąćcie mię, furye,
Z przed tego niebiana godnego oblicza!
Rozwiejcie mię wichrami! stopcie w siarce!
Wtrąćcie w głęboką czeluść płynnych żarów!
O, Desdemono! martwa Desdemono!
Martwa! oh! oh! oh!

(*Wchodzą: Lodowiko, Montano, Kassyo podpierany i straż,
prowadząca ujętego Jagona.*)

Lodowiko. Gdzie ten szalony, nieszcześliwy człowiek?

Otello. Oto jest; oto ten, co był Otellem.

Lodowiko. Gdzie ów gad? stawcie tu przed nas tę źmiję.

Otello. Na nogi patrzę mu; ale to bajka.

Jeżeliś dyabeł, nie będąc mógł zabić.

(*Rzuca się na Jagona i rani go.*)

Lodowiko. Odbierzcie mu miecz.

Jago. Rannym, lecz nie na śmierć.

Otello. Tem lepiej: wolę, że jeszcze pożyjesz,
Bo umrzeć, czuję to, jest szczęśliwością.

Lodowiko. O, ty, niedawno jeszcze tak cnotliwy,
Nimeś wpadł w sidła zdrajcy, o Otello!
Cóż świat o tobie powie?

Otello. Wszystko jedno:

Może mię nazwać uczciwym mordercą,
Jeżeli zechce, bom nic nie uczynił
Przez podłość, wszystko przez miłość honoru.

Lodowiko. Ten nędznik wyznał już przez pół swe sprawy;
Byłeś z nim w zмовie przeciw życiu Kassya?

Otello. Tak jest.

Kassyo. Kochany wodzu, czy być może?
Nigdy do tego nie dał ci przyczyny.

Otello. Wierzęć i proszę cię o przebaczenie.

Spytaj się tego szatana, dlaczego
Tak mi opętał i duszę i ciało?

Jago. Prózno by pytał; co wiecie, to wiecie;
Od tej już chwili nieme moje usta.

Lodowiko. Nawet do modłów?

Gracyano. Męki je otworzą.

Otello. Niech pozostaną nieme, to i lepiej.

Lodowiko. Dowiesz się, panie, szczegółów, o których

Nic jeszcze nie wiesz, jak się zdaje. Oto

List znaleziony w kieszeni Rodryga,

W którym się mieści wzmianka, jak Rodrygo

Był dopuszczony do zabicia Kassya.

(*Oddaje list Otellowi*).

Otello (*po przeczytaniu*). O, nędznik!

Kassyo (*również*). Co za pogańskie oszustwo!

Lodowiko. A to drugi list pełen wyrzutów,

Również w kieszeni jego znaleziony;

Rodrygo miał go, jak się zdaje, przesłać

Temu łotrowi, ale on tymczasem

Nadszedł i niechęć jego ułagodził.

Otello (*po przeczytaniu*). O, łajdak szkodny! — Jakimże spo-
[sobem

Chustka mej żony przeszła w twoje ręce,
Kassyo?

Kassyo. Znalazłem ją w moim pokoju,

I on sam wyznał, gdy go tu wiedziono,

Że ją upuścił tam umyślnie, w celu,

Którego dopiął.

Otello. O, moja ślepoto!

Kassyo. Jest też w tym liście Rodryga ślad, jak go

Namówił Jago do szukania ze mną

Owej na warcie kłótni, skutkiem której

Straciłem miejsce; i tenże Rodrygo,

Z pozornej śmierci ocknąwszy się, zeznał

Przed chwilą właśnie, że go Jago podżegł

Do napadnięcia mnie i przebit potem.

Lodowiko. Otello, musisz wyjść stąd i pójść z nami:

Pełnomocnictwo twe ustało, Kassyo

Zarządza teraz Cyprem. Pozostaniesz

Pod ścisłą strażą, póki rząd wenecki

Uwiadomiony nie będzie o winie,

Jaka na tobie ciąży. — Co się tyczy

Tego wyrodka, czekają go męki

Najwyszukańsze, jakim kiedykolwiek

Zbrodniarz ulegał. — Prowadźcie ich!

Otello. Zaraz,

Parę słów tylko. Oddałem Wenecyi

Pewne przysługi: są one wiadome;

Nie mówmy o tem. W doniesieniu, które

O tych nieszczęsnych sprawach prześlesz, panie,

Wystaw mię, proszę, takim, jakim jestem:

Nie ujmij, ani nie dodaj niczego.

Przyjdzie ci przeto mówić o człowieku,

Co nieroztropnie ale bardzo kochał;

Co nie był skory do podejrzeń, ale

Raz je powziąwszy, nie był siebie panem;

Którego ręka, na wzór indyjskiego

Prostego paryi, odrzuciła perłę,

Więcej niż całe jego plemię wartą;

Którego oczy, dotąd zawsze suche,

Ronią łyżę teraz, jak arabskie drzewa

Swój balsamiczny sok. Napisz to wszystko;

A w końcu dodaj, że gdy raz w Alepo

Zuchwały Turczyn bił Wenecyanina

I bluźnił państwu waszemu, jam tego

Psa rzezanego uchwycił za gardło

I pierś mu przeszył — tak. (*Przebija się*).

Lodowiko. O, krwawy kofcicu!

Gracyano. Za nic już teraz wszystko, co się rzekło.

Otello (*padając na Desdemone*). Jak przed zabiciem całowa-

[łem ciebie,

Tak niech umieram, sam zabiwszy siebie.

(*Umiera*).

Kassyo. Bałem się tego, ale rozumiałem,

Że jest bezbronny; dusza jego była

Wzniosłą i wielką.

Lodowiko (*do Jagona*). Spartański pies! srogi

Od moru, głodu i dzikich fal morza,

Patrz na tragiczną postać tego łoża;

Twoje to dzieło. Takiego widoku

Wzrok nie wytrzyma; zakryjcie go oku.

(*Do Gracyana*).

Gracyano, zostań tu jeszcze i zajmij

Mienie murzyna, ono bowiem z prawa

Spada na ciebie. (*Do Kassya*). Od was, panie rządco,

Zależy kara tego piekielnika,

Czas, miejsce, rodzaj mąk: obostrz je, obostrz!

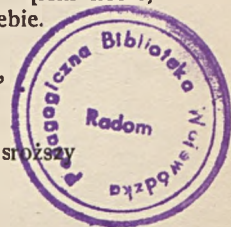
Co do mnie, siadam natychmiast na okręt

I wracam nazad, abym senatowi

Z zbolałem sercem skreślił, jako świadek,

Ten zbyt bolesny dla wszystkich wypadek.

(*Wychodzą*).



SPIS RZECZY.

	Str.
Hamlet	1
Król Lir	145
Otello	277

